

JOHN IRVING



W JEDNEJ OSOBIE

PRZEŁOŻYŁA
MAGDALENA MOLTZAN-MAŁKOWSKA

Prószyński i S-ka

Spis treści

- Rozdział 1. Nieudany casting
- Rozdział 2. Pociąg do niewłaściwych ludzi
- Rozdział 3. Maskarada
- Rozdział 4. Stanik Elaine
- Rozdział 5. Rozstanie z Esmeraldą
- Rozdział 6. Zachowane zdjęcia Elaine
- Rozdział 7. Moje straszliwe anioły
- Rozdział 8. Duży Al
- Rozdział 9. Przegwizdane
- Rozdział 10. Jeden chwyt
- Rozdział 11. Jeden chwyt
- Rozdział 12. Świat epilogów
- Rozdział 13. Z przyczyn nienaturalnych
- Rozdział 14. Nauczyciel
- Podziękowania
- Przypisy

*Dla Sheili Heffernon i Davida Rowlanda
oraz pamięci Tony'ego Richardsons*

*Tak i ja wielu gram w jednej osobie,
I w każdym źle mi.*
William Shakespeare, „Ryszard II”

Rozdział 1

NIEUDANY CASTING

Najpierw opowiem wam o pannie Frost. Chociaż trzymam się wersji, że zostałem pisarzem, bo jako chłonny piętnastolatek przeczytałem pewną powieść Karola Dickensa, poznanie panny Frost i fantazje na jej temat przypadają tak naprawdę na okres wcześniejszy, i ta chwila przebudzenia seksualnego wyznacza również narodziny mojej wyobraźni. Kształtuje nas to, czego pragniemy. W ciągu niespełna minuty potajemnej żądy zapragnąłem zostać pisarzem i uprawiać seks z panną Frost – niekoniecznie w takiej kolejności miałyby się spełnić marzenia.

Poznałem pannę Frost w bibliotece. Lubię biblioteki, chociaż to słowo sprawia mi trudność, zarówno w liczbie pojedynczej, jak i mnogiej. Mam problem z wymową poszczególnych wyrazów, zwłaszcza rzeczowników, na określenie ludzi, miejsc oraz rzeczy budzących we mnie chorobliwe podniecenie, konflikt wewnętrzny wywołujący atak niepokonanej paniki. Tak przynajmniej twierdzą logopedzi i psychiatrzy, którzy próbowali mnie leczyć, bezskutecznie, niestety. W podstawówce powtarzałem klasę z powodu „ostrej wady wymowy”. Obecnie dobijam siedemdziesiątki i przyczyna mojej przypadłości przestała mnie interesować. (Mówiąc wprost, mam w poważaniu etiologię).

Słowo „etiologia” wolę sobie darować, lecz od biedy mogę wysilić się na możliwie czytelną karykaturę „biblioteki” bądź „bibliotek” – przy czym nigdy do końca nie wiadomo, co z tego wyniknie. (Przeważnie mówię „bibloteka”, jak dziecko).

Zakrawa na ironię, ale moja pierwsza biblioteka nie wyróżniała się spośród innych. Była to placówka publiczna w małym miasteczku First Sister w stanie Vermont – kanciasty budynek z czerwonej cegły, na tej samej ulicy, przy której stał dom moich dziadków. Mieszkałem z nimi na River Street do piętnastego roku życia, kiedy to mama powtórnie wyszła za mąż. Poznała mojego ojczyma w teatrze.

Miejscowa amatorska trupa teatralna nosiła nazwę Aktorzy First Sister; odkąd sięgam pamięcią, widziałem wszystkie przedstawienia. Mama była suflerką – gdy zapominałeś, co masz mówić, podrzucała ci kwestię. (W wypadku trupy amatorskiej aktorzy zapominają na potęgę). Latami sądziłem, że sufler to jeden z aktorów – tajemniczym zrządzeniem losu znajduje się poza sceną i nie ma kostiumu, lecz nieodzownie partycypuje w dialogu.

Kiedy matka poznała ojczyma, właśnie wstąpił do trupy. Przyjechał do naszego miasteczka jako nowy nauczyciel w Akademii Favorite River, prestiżowej, prywatnej szkoły dla chłopców. W dzieciństwie (z pewnością do dziesiątego, jedenastego roku życia) musiałem wiedzieć, że gdy osiągnę „odpowiedni wiek”, wstąpię na Akademię. Biblioteka w szkole, bardziej nowoczesna i lepiej oświetlona, mogła się podobać, jednak moją pierwszą biblioteką była biblioteka publiczna w miasteczku First Sister, a tamtejsza bibliotekarka moją pierwszą bibliotekarką. (Tak się składa, że wymawianie słowa „bibliotekarka” zawsze szło mi jak z płatką).

Chyba nie muszę dodawać, że panna Frost wywarła na mnie większe wrażenie aniżeli sama placówka. Wstyd przyznać, ale dopiero po długim czasie dowiedziałem się, jak miała na imię. Wszyscy mówili na nią „panna Frost”, a gdy wreszcie zapisałem się do biblioteki, poznałem bibliotekarkę; wyglądała na osobę w wieku mamy – lub nieco młodszą. Moja ciotka, kobieta o wielkopańskich manierach, wspomniała, że panna Frost „była kiedyś bardzo przystojna”, ale nie mieściło mi się w głowie, że kiedykolwiek wyglądała lepiej, niż gdy ją poznałem – a moja młodociana głowa pomieścić mogła naprawdę sporo. Ciotka twierdziła, że na widok panny Frost wszyscy wolni mężczyźni w mieście potykali się o własne nogi, a gdy któryś wreszcie zdobył się na odwagę, by zagaić, nadobna wówczas bibliotekarka mierzyła go chłodnym spojrzeniem i odpowiadała lodowato: „Jestem panna Frost. Nigdy nie wyszłam za mąż i nie mam takiego zamiaru”.

Tak więc, kiedy się poznaliśmy, panna Frost wciąż była niezamężna, a wolni mężczyźni w miasteczku First Sister z powodów dla mnie niepojętych dawno przestali jej się przedstawiać.

Przełomową dla mnie powieścią Dickensa – przez nią, jak zawsze podkreślam, postanowiłem zostać pisarzem – stały się „Wielkie nadzieje”. Na pewno miałem piętnaście lat, kiedy przeczytałem ją po raz pierwszy i gdy po raz pierwszy sięgnąłem po tę książkę kolejny raz. Wiem, że było to, zanim wstąpiłem na Akademię, bo przy obu okazjach korzystałem z biblioteki publicznej. Nie zapomnę dnia, kiedy zjawiłem się w bibliotece, aby znów wypożyczyć „Wielkie nadzieje”; jeszcze nigdy nie miałem ochoty na ponowną lekturę książki.

Panna Frost zmierzyła mnie przenikliwym spojrzeniem. Wątpię, czy sięgałem jej wówczas do ramion. „Panna Frost była kiedyś, jak to mówią, posągowa”, zakomunikowała mi ciotka, jakby wzrost i postura panny Frost należały do przeszłości. (Dla mnie zawsze była posągowa).

Miała wyprostowaną sylwetkę i szerokie ramiona, przy czym moją uwagę przykuwały jej drobne, ale ładne piersi. Na tle „męskawej” budowy i oczywistej tężyzny fizycznej, biust panny Frost zdawał się dopiero pączkować, jak u młodej dziewczyny. Nie mogłem pojąć, jak to możliwe u dojrzałej kobiety, jednak z całą pewnością fakt ów rozpałał wyobraźnię każdego nastolatka, o czym byłem święcie przekonany w roku – kiedy to było? – tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym. Weźcie przy tym pod uwagę, że panna Frost nigdy nie ubierała się prowokująco, przynajmniej w ciszy biblioteki publicznej ziejącej pustką bez względu na porę dnia.

Kiedyś podsłuchałem, jak moja władca ciotka mówiła (do matki), że „panna Frost dawno wyrosła ze staników treningowych”, co dla trzynastolatka znaczyło, iż jej zdaniem staniki panny Frost nie pasują do jej piersi bądź vice versa. Ależ bynajmniej! I gdy zmagąłem się w sobie z moim i ciotki poglądem na temat piersi damy mojego serca, niezrażona bibliotekarka wciąż patrzyła na mnie badawczo.

Poznałem ją, mając lat trzynaście, w owej chwili byłem już piętnastolatkiem, ale odnosiłem wrażenie, jakbym podlegał takiej lustracji od początku naszej znajomości.

– Czytałeś już „Wielkie nadzieje”, Williamie – oznajmiła wreszcie w kontekście mojej zachcianki.

– Tak, ja kocham tę powieść – powiedziałem, miast wypalić, że kocham ją, co miałem na końcu języka. Była krępująco oficjalna i tylko ona zwracała się do mnie per „Williamie”. Rodzina i przyjaciele zawsze mówili „Bill” lub „Billy”.

Pragnąłem ujrzyć pannę Frost tylko w staniku, który (zdaniem mojej wścibskiej ciotki) podtrzymywał nieadekwatnie jej piersi. Jednakże w miejsce tego wyznania uciekłem się do oględnego „Chciałbym jeszcze raz przeczytać »Wielkie nadzieje«” (nie zdradzając przy tym obawy, że wpływ panny Frost na mnie okaże się nie mniej druzgoczący od wpływu Estelli na biednego Pipa).

– Tak szybko? – zdziwiła się panna Frost. – Czytałeś to nie dalej jak miesiąc temu!

– I chciałbym znowu.

– Jest mnóstwo książek Karola Dickensa – oświeciła mnie. – Powinieneś wypożyczyć inną, Williamie.

– Ależ wypożyczę – zapewniłem. – Ale najpierw chcę jeszcze raz przeczytać „Wielkie nadzieje”.

Kolejne „Williamie” w ustach panny Frost przyprawiło mnie o natychmiastową erekcję – chociaż w wieku piętnastu lat penis miałem tyci, a wzwód zakrawał na kpinę. (Dość rzec, że panna Frost nie miała szans go zauważyć).

Moja wszytkowiedząca ciotka powiedziała matce, że jestem niedorozwinięty jak na swój

wiek. Rzecz jasna, miała na myśli „niedorozwój” pod innym względem; o ile mi wiadomo, nie widziała mojego penisa, odkąd byłem dzieckiem w kolebce – jeśli w ogóle. Do tej kwestii jeszcze wrócimy. Na razie starczy wam wiedzieć, że słowo „penis” kosztuje mnie wiele wysiłku i w moim wykonaniu – jeśli już zdołam je wydukać – brzmi bardziej jak „penif”. (Jak ognia unikam liczby mnogiej).

Tak czy inaczej, kiedy po raz drugi usiłowałem wypożyczyć „Wielkie nadzieje”, panna Frost była nieświadoma mojej seksualnej udręki. Ba, dała mi do zrozumienia, że wobec tylu innych książek w bibliotece chęć ponownego przeczytania którejś z nich zakrawa na niemoralną stratę czasu.

– Cóż takiego niezwykłego jest w „Wielkich nadziejach”? – spytała.

Jej pierwszej powiedziałem, że chcę zostać pisarzem „z powodu” „Wielkich nadziei”, choć tak naprawdę była to jej zasługa.

– Chcesz zostać pisarzem! – wykrzyknęła; nie sprawiała wrażenia zachwyconej tą informacją. (Po latach zachodziłem w głowę, czy podobną niechęć wzbudziłby w niej wyraz „sodomita”, gdybym zadeklarował, że chcę nim zostać).

– Owszem, pisarzem... tak mi się zdaje – odpowiedziałem.

– Nie możesz wiedzieć, że chcesz nim zostać! To nie jest kwestia wyboru.

Trafiła w dziesiątkę, ale wówczas o tym nie wiedziałem. I nie nagabywałem jej wyłącznie kierowany chęcią ponownego przeczytania książki, gdyż im bardziej traciła cierpliwość, tym mocniej falowała jej dziewczęca pierś.

Jako piętnastolatek byłem nią oczarowany bardziej niż przed dwoma laty. Poprawka: jako piętnastolatek szalałem za nią bardziej niż w wieku lat trzynastu, kiedy fantazjowałem tylko na temat uprawiania z nią seksu i zostania pisarzem – podczas gdy dwa lata później ów wyimaginowany seks przybrał bardziej zaawansowaną (i sprecyzowaną) postać i miałem już na koncie kilka zdań, które wzbudziły we mnie pewną dozę samozadowolenia.

Zarówno seks z panną Frost, jak i zostanie pisarzem były oczywiście wielce nieprawdopodobne – ale czy możliwe choćby w znikomym stopniu? O dziwo, starczało mi pychy, aby w to wierzyć. Skąd czerpałem przesadną dumę bądź nieuzasadnioną pewność siebie? Cóż, to zapewne sprawka genów.

Bynajmniej nie po kądzieli, powiedzmy sobie otwarcie: nie trzeba tupetu, żeby zostać suflerem. Niejeden wieczór spędziłem z mamą w tej ostoi talentu (i beztalencja), jaką była amatorska trupa teatralna naszego miasteczka. Z poczuciem własnej wartości bywało różnie – stąd sufler.

Jeśli mój tupet odziedziczyłem, z pewnością miałem go po biologicznym ojcu. Podobno nigdy nie widziałem go na oczy, no może raz; właściwie znałem go tylko z opowieści, przy czym należy zaznaczyć, że jego reputacja pozostawiała wiele do życzenia.

„Szyfrant”, mawiał o nim mój dziadek – lub rzadziej „sierżant”. Mama rzuciła studia z powodu sierżanta, mówiła babcia. (Wolała określenie „sierżant”, któremu nadawała pogardliwą wymowę, niż „szyfrant”). Nie wiedziałem, czy William Francis Dean istotnie stał się powodem, dla którego mama rzuciła studia; w zamian poszła do szkoły dla sekretarek, lecz było to, nim zaszła w ciążę. I ze szkoły dla sekretarek też wyszły nici.

Dowiedziałem się od mamy, że wyszła za tatę w Atlantic City w stanie New Jersey, w kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku – trochę późno jak na przymusowy ślub, ponieważ przyszedłem na świat w First Sister w stanie Vermont rok wcześniej, w marcu. „Ślub” (zawarty w Urzędzie Stanu Cywilnego) był pomysłem babci – tak twierdziła ciotka Muriel. Dano mi do zrozumienia, że William Francis Dean nie pałił się do ożenku.

– Rozwidliśmy się, zanim skończyłeś dwa lata – powiedziała mama. Widziałem akt

małżeństwa, z którego zapamiętałem egzotyczną i dość odległą lokalizację; ojciec przebywał w New Jersey na szkoleniu. Nikt nie pokazał mi orzeczenia o rozwodzie.

– Sierżant nie był zainteresowany małżeństwem i dziećmi – zaznaczyła nie bez wyższości babcia; już w dzieciństwie widziałem, że ciotka odziedziczyła wyniosłość po swojej matce.

Lecz z uwagi na to, co zaszło w Atlantic City – nieważne, że pod naciskiem i poniewczasie – ów akt małżeństwa usankcjonował moje pochodzenie, i tak zostałem Williamem Francisem Deanem juniorem. Na pocieszenie miałem chociaż jego nazwisko i część genów na dokładkę, o „charyzmie” nie wspominając.

– Jaki był? – wypytywałem matkę setki razy. Nie oponowała, wręcz przeciwnie.

– Och, bardzo przystojny... Ty też będziesz – dodawała zawsze z uśmiechem. – I miał kupę charyzmy. – Nim zacząłem dorastać, mama okazywała mi mnóstwo czułości.

Nie wiem, czy wszyscy nastoletni chłopcy przywiązują do chronologii tak samo małą wagę jak ja, lecz nigdy nie przyszło mi do głowy zbadać porządku wydarzeń. Matka musiała zająć w ciążę pod koniec maja lub na początku czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, kiedy ojciec kończył pierwszy rok na Harvardzie. A jednak nikt, przenigdy – nawet sarkastyczna ciotka Muriel – nie powiedział o nim „harwardczyk”. Zawsze nazywano go „szyfrantem” (albo „sierżantem”), chociaż mama szczyciła się powiązaniem z tak prestiżową uczelnią.

– Wyobraź sobie iść na Harvard w wieku zaledwie piętnastu lat! – powtarzała.

Jeśli jednak na początku pierwszego roku na Harvardzie (we wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku) mój charyzmatyczny ojciec liczył sobie piętnaście lat, musiał być młodszy od matki, której urodziny przypadały w kwietniu. W kwietniu czterdziestego roku skończyła dwadzieścia lat, a gdy przyszedłem na świat w marcu czterdziestego drugiego, była niemalże w przededniu dwudziestych drugich urodzin.

Czy nie wzięli ślubu, kiedy dowiedziała się o ciąży, ponieważ mój ojciec nie miał jeszcze osiemnastu lat? Skończył osiemnaście w październiku tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. „Adekwatnie obniżono wiek poborowy”, zakomunikowała mi matka. (Dopiero później wpadłem na to, że wyraz „adekwatnie” nie pochodził z jej słownika; niewykluczone, że przemawiał przez nią harwardczyk).

– Ojciec wierzył, iż lepiej zapanuje nad swoim militarnym przeznaczeniem, gdy zaciągnie się na ochotnika, co nastąpiło w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego – uściśliła mama. („Militarne przeznaczenie” też nie pochodziło od niej i harwardczyka miało wypisanego na czole).

Na początku służby wojskowej, w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, tata dojeżdżał autobusem do Fort Devens w Massachusetts. W owym czasie siły powietrzne stanowiły część armii; dostał specjalność szyfranta. Na potrzeby szkolenia siły powietrzne przejęły Atlantic City i okoliczne wydmy. Ojciec oraz inni poborowi biwakowali w luksusowych hotelach, które systematycznie dewastowali. Zdaniem mojego dziadka „w barach nikt nie sprawdzał dokumentów. W weekendy do miasta zjeżdżały dziewczęta, najczęściej pracownice rządowe z Waszyngtonu. Dam głowę, że zabawa była przednia, a wydmy ostrzelane doszczętnie”.

Mama podobno odwiedziła tatę w Atlantic City „raz czy dwa”. (Kiedy jeszcze nie byli małżeństwem, a ja miałem rok?).

Na kwietniowy „ślub” w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku mama musiała pojechać wraz z dziadkiem; zapewne było to tuż przed wysłaniem taty na kurs do Pawling w stanie Nowy Jork, gdzie poznał książki kodowe i wstęgi cyfr. Stamtąd, u schyłku lata czterdziestego trzeciego roku, został wysłany do Chanute Field w Rantoul w stanie Illinois. „W

Illinois wprowadzono go w arkana kryptografii”, opowiadała matka. Zatem parę miesięcy po moim urodzeniu wciąż utrzymywali ze sobą kontakt. (Wyraz „arkana” też nieczęsto gościł w jej słowniku).

– W Chanute Field twój tata poznał podstawową wojskową maszynę szyfrującą, zasadniczo terminal będący elektromechanicznym urządzeniem wirnikowym – powiedział mi dziadek. Tak samo mógłby do mnie mówić po łacinie: pewnie nawet ojciec nie zdołałby mi tego objaśnić.

Dziadek nigdy nie mówił o tacie z przekąsem i lubił opowiadać o jego wojennych przygodach. Dzięki amatorskim występom w lokalnej trupie miał zadziwiającą pamięć do szczegółów, której zawdzięczałem ścisłą relację na temat późniejszych perypetii ojca – przy czym wcześniejsze związane z rozszyfrowywaniem zaszyfrowanych wiadomości też były niczego sobie.

Kwaterna amerykańskiej 15. Armii Powietrznej znajdowała się w Bari we Włoszech. 760. Szwadron Bombowy, do którego należał mój ojciec, stacjonował w bazie lotniczej armii Spinazzola, na rolniczym południu miasta.

Po inwazji aliantów na Włochy, siły powietrzne 15. armii zajęły się bombardowaniem południowych Niemiec, Austrii oraz Bałkanów. Od listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku do września czterdziestego piątego do bazy nie wróciło ponad tysiąc bombowców B-24. Ale szyfranci nie latali. Tata rzadko opuszczał kwaterę w Spinazzola i ostatnie dwa lata wojny spędził w towarzystwie swoich szyfrów i tajemniczych urzędzeń.

Podczas gdy bombowce przypuściły atak na nazistowskie kompleksy fabryczne w Austrii oraz pola ropy naftowej w Rumunii, tata nie zapuszczał się dalej niż do Bari, najczęściej w celu handlowania papierosami na czarnym rynku. (Matka zapewniła mnie, że sierżant William Francis Dean nie palił, ale zarobiwszy na papierosach, kupił sobie w Bostonie samochód, chevroleta coupe rocznik 1940).

Jego demobilizacja przebiegła względnie gładko. Wiosnę czterdziestego piątego spędził w Neapolu, miasto opisywał jako „czarujące, pogodne i skąpane w piwie”. (Opisywał komu? Jeśli rozwiódł się z mamą, nim skończyłem dwa lata – rozwiódł jak? – czemu pisał do niej, gdy miałem prawie trzy?).

Może jednak pisywał do dziadka; to od niego dowiedziałem się, że tata wsiadł w Neapolu na transportowiec marynarki wojennej. Po krótkim pobycie na Trynidadzie poleciał C-47 do bazy w Natal w Brazylii, gdzie podobno kawę mieli „pierwsza klasa”. Z Brazylii na pokładzie kolejnego „podstarzałego” C-47 udał się do Miami. Wojskowy pociąg na północ rozwoził powracających żołnierzy do domu; tym sposobem tata znalazł się z powrotem w Fort Devens w stanie Massachusetts.

W październiku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku było za późno na powrót na Harvard, więc za pieniądze z kontrabandy kupił chevroleta i zaczął się tymczasowo w dziale z zabawkami Jordan Marsh, największego domu towarowego w Bostonie. Na uczelnię wrócił jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego, wybierając romanistykę, czyli – jak wyjaśnił mi dziadek – języki i tradycje literackie Francji, Hiszpanii, Włoch oraz Portugalii. („Lub przynajmniej dwóch albo trzech z nich”, uzupełnił).

– Twój ojciec miał zdolności do języków – twierdziła matka – może stąd smykałka do kryptografii? – Pytanie tylko, skąd matka i dziadek mieli tak dokładne informacje na temat jego studiów? Jakim cudem wiedzieli o tym wszystkim? Kto im powiedział?

Zachowało się zdjęcie ojca – przez lata jedyne, jakie widziałem. Wygląda na nim bardzo młodo i bardzo chudo. (Była to późna wiosna lub wczesne lato czterdziestego piątego roku). Je lody na transportowcu marynarki wojennej, gdzieś między wybrzeżem południowych Włoch i Karaibami, zanim przybili na Trynidad.

Domyślałam się, że czarna pantera na jego kurtce niemal bez reszty ovladnęła moją dziecięcą wyobraźnię; groźne zwierzę było symbolem 460. Grupy Bombowej. (Kryptografia stanowiła przedsięwzięcie stricte naziemne – co nie zmienia faktu, że szyfranci dostawali lotnicze kurtki).

Ubrdałem sobie, iż posiadam pewne cechy bohatera wojennego, choć szczegóły wojennych osiągnięć ojca nie brzmiały zbyt heroicznie, nawet w uszach dziecka. Lecz dziadek podsycił we mnie to przekonanie, podkreślając wagę wszystkich detali, i powtarzał przy każdej okazji: „Widzę w tobie przyszłego bohatera!”.

Babcia nie miała o Williamie Francisie Deanie nic dobrego do powiedzenia, a matka zaczynała i (przeważnie) kończyła każdą wypowiedź od „bardzo przystojny” i „kupa charyzmy”.

No, może niezupełnie. Na moje pytanie, dlaczego im nie wyszło, odpowiedziała: „Widziałam, jak całował kogoś innego”, i ucięła zdawkowo, jak podpowiedziałyby aktorowi, który zapomniał ostatniego słowa. Mogłem się domyślić, iż wydarzyło się to, gdy była w ciąży – lub nawet po moim narodzeniu – i widok złączonych ust utwierdził ją w przekonaniu, że nie chodzi o niewinny pocałunek.

– Założę się, że poszli w ślinę, łącznie z wpychaniem języka do gardła – poinformowała mnie starsza kuzynka, grubo ciosane dziewczę, latorośl ciotki Muriel. Ale kogo mógł całować tata? Zastanawiałem się, czy poszło o jedną z weekendowych panienek z Waszyngtonu. (No bo po cóż innego dziadek miał o nich wspominać?).

W owym czasie nie wiedziałem nic więcej; ot, garść informacji. Wystarczyły jednak, bym stracił zaufanie do własnej osoby – ba, poczuł do siebie antypatię – gdyż przejawiałem skłonność do przypisywania swoich wad biologicznemu ojcu. Obwinałem go za każdy zgubny nawyk, wszelkie świństwa i grzeszki; jednym słowem, hołdowałem przekonaniu, że wszystkie moje demony mają dziedziczny charakter. Każdy aspekt mojej osoby, który budził we mnie wątpliwości lub strach, na pewno pochodził od sierżanta Deana.

Czy mama nie mówiła, że „będę” przystojny? Czy to również nie było przekleństwem? Co do charyzmy: no cóż, czy nie założyłem (w wieku lat trzynastu), że zostanę pisarzem? Nie wyobrażałem sobie seksu z panną Frost?

Wierzcie mi, nie chciałem być potomkiem marnotrawnego ojca, jego pomiotem genetycznym, który zapładnia młode kobiety i je porzuca. Taka była bowiem metoda działania sierżanta Deana, nieprawdaż? Nie życzyłem sobie nawet jego nazwiska. Nienawidziłem być Williamem Francisem Deane junior – prawie-bękartem szyfranta! Jeśli kiedykolwiek istniał dzieciak, który chciał mieć ojczyzna i marzył, by matka miała przynajmniej stałego chłopaka, byłem nim ja.

Fakt ów w następstwie prowadzi mnie do tego, co uważałem niegdyś za początek rozdziału, gdyż mogłem zacząć opowieść od Richarda Abbotta. Mój przyszły ojczym wprowadził w ruch maszynę mojej przyszłości: gdyby matka nie zakochała się w Richardzie, być może nigdy nie poznałbym panny Frost.

Zanim Richard Abbott zasilił miejscową trupę teatralną, marazm, w jaki ta popadła, moja władca ciotka określała mianem „deficytu bohaterów pierwszego planu”. Ze świecą można było szukać zatrwających czarnych charakterów i młodych kochanków, na których widok paniom na widowni bez względu na wiek szybciej biły serca. Richard był nie tylko wysoki, smagły i przystojny – stanowił ucieleśnienie stereotypu. Był również chudy. Jego chudość nasuwała nieodparte skojarzenie z moim ojcem szyfrantem, wiecznie chudym i wiecznie jedzącym lody gdzieś między wybrzeżem południowych Włoch i Karaibami na jedynym zdjęciu w moim posiadaniu. (Naturalnie zachodziłem w głowę, czy matka też dostrzegła podobieństwo).

Zanim Richard Abbott został aktorem w First Sister, panowie w naszym teatryku dzielili się z grubsza na dwie kategorie – albo mamrotali pod nosem ze wzrokiem wbitym w ziemię, albo

wywrzaskiwali swoje kwestie, strzelając oczami do obraźliwych pań na widowni.

Kwiatem na tym ugorze – gdyż talent miał, choć może nie na miarę Richarda Abbotta – był mój dziadek gawędziarz, Harold Marshall, którego wszyscy (oprócz babki) nazywali Harrym. Był największym pracodawcą w First Sister, zatrudniał bowiem więcej osób niż Akademia Favorite River, będąca drugim z kolei największym pracodawcą w naszym miasteczku.

Dziadek Harry był właścicielem lokalnego tartaku i składu drewna, a jego wspólnik, ponury Norweg, którego poznałem za chwilę, leśniczym. Nadzorował wycinkę, podczas gdy Harry sprawował pieczę nad składem i tartakiem. Dziadek Harry podpisywał również wszystkie czekki, a na zielonych ciężarówkach z drewnem widniał napis żółtymi, drukowanymi literami MARSHALL.

Biorąc pod uwagę wysoki status mojego dziadka w społeczności miasteczka, może nieco dziwić, że zawsze obsadza no go w rolach kobiet. Był niezrównany jako kobieta i wiele (niektórzy powiedzieliby, że większość) głównych ról żeńskich przypadła właśnie jemu. W zasadzie lepiej zapamiętałem go jako kobietę niż mężczyznę. W spódnicy na scenie olśniewał bardziej niż kiedykolwiek w nudnej roli właściciela i zarządcy tartaku.

Jedyną konkurentką do najważniejszych ról żeńskich dziadka Harry'ego była jego starsza córka Muriel (zameżna siostra matki i moja częstokroć wspomnianą ciotka) – i to stało się kością niezgody w rodzinie.

Muriel – tylko dwa lata starsza od mojej matki – robiła wszystko, zanim jeszcze matka na to wpadła, robiła jak należy i (w swoim mniemaniu) robiła idealnie. Ponoć „czytała literaturę światową” w Wellesley i poślubiła mojego wspaniałego wujka Boba – swoją „pierwszą i jedyną miłość”, jak go nazywała. Przynajmniej ja widziałem w nim wspaniałego człowieka; dla mnie był. Ale, jak się później dowiedziałem, Bob pił, i to było dla ciotki Muriel wiecznym utrapieniem. Babcia, po której Muriel odziedziczyła władcze usposobienie, często zauważała, że zachowanie Boba jest „poniżej” godności Muriel, cokolwiek to miało znaczyć.

Przy całym jej snobizmie, język babki był najeżony sentencjami i komunałami; mimo gruntownego wykształcenia ciotka Muriel przejęła bądź po prostu papugowała banalną elokwencję swojej matki.

Sądzę, że miłość i potrzeba teatru wynikała u Muriel z żądzy znalezienia czegoś oryginalnego do powiedzenia, czyniąc tym samym użytek z wyniosłego głosu. Była ładną kobietą – szczupłą brunetką z bujną piersią śpiewaczki operowej i grzmiącym głosem – lecz nie grzeszyła rozumem. Podobnie jak babka, potrafiła być arogancka i krytyczna, ale nie było w tym nic konstruktywnego bądź interesującego; obie uchodziły w moich oczach za nadęte nudziary.

W wypadku ciotki Muriel, nienaganna dykcja przydawała jej wiarygodności na scenie; była jedynie sprawnie gadającą papugą, ale aktorką bez wyrazu, nie dawała odgrywanej postaci nic od siebie. Wyrażała się górnolotnie, lecz „charakteru” nie miała za grosz i wiecznie coś budziło jej niezadowolenie.

Co do babci, z wiekiem stała się uparta jak osioł i miała konserwatywne zaplecze, wyznawała pogląd, że teatr jest z gruntu niemoralny, więc lepiej, gdy kobiety trzymają się od niego z daleka. Victoria Winthrop, tak brzmiało jej panieńskie nazwisko, uważała, że role żeńskie w spektaklach powinni odgrywać chłopcy i mężczyźni, i choć sceniczne triumfy dziadka (w roli kobiet) przyjmowała z pewnym zakłopotaniem, tak jej zdaniem należało obsadzać aktorów.

Babcia – nazywałem ją naną Victorią – wzruszała ramionami, kiedy Muriel nie mogła darować ojcu, że sprzątnął jej sprzed nosa ważną rolę. Harry natomiast nie robił problemu, gdy ona grała w przedstawieniu. „Pewnie potrzebowali ładnej dziewczyny, Muriel. W tej kategorii bijesz mnie na głowę”.

Czy ja wiem? Dziadek był drobnej budowy i miał ujmujący wyraz twarzy; stapał lekkim

krokiem i bez trudu wybuchał perlistym śmiechem lub rzęsiście ronił łzy. Był przekonujący jako dziewczę o złotym sercu i sekutnica, a gdy całował różnych nieudaczników na scenie wypadał lepiej niż własna córka. Od scenicznych pocałunków Muriel cierpła skóra, choć wuj Bob nie miał nic przeciwko temu. Widok żony i teścia całujących się na scenie zdawał się sprawiać mu frajdę – i dobrze, odgrywali bowiem główne role żeńskie w większości produkcji.

Z wiekiem nauczyłem się bardziej cenić wuja Boba, któremu podobną frajdę sprawiało wiele osób i spraw i który darzył mnie niewysłowionym, ale szczerym współczuciem. Chyba rozumiał, skąd pochodzi Winthropowa strona naszej rodziny: kobiety Winthropów miały w zwyczaju (i w genach) patrzeć z góry na resztę z nas. Litował się nade mną, bo wiedział, że nana Victoria i ciotka Muriel (a nawet moja matka) uparcie doszukują się we mnie dowodów, że jestem – jak się obawiały, jak obawiałem się sam – nieodrodnym synem swojego ojca. Osądzano mnie za geny człowieka, którego nie znałem, a wujek Bob – może dlatego, że pił i był „poniżej” godności Muriel – wiedział, jak to jest być na cenzurowanym Winthropowej stronie rodziny.

Wujek Bob odpowiadał za rekrutację w Akademii Favorite River, przy czym niekoniecznie ponosił osobistą odpowiedzialność za dość liberalne kryteria naboru oraz inne niedociągnięcia szacownej uczelni. A jednak oceniano go, a wśród Winthropów zyskał opinię „nadmiernie pobłażliwego”, co poczytywałem za kolejną z jego rozlicznych zalet.

Chociaż sygnały o jego picciu docierały do mnie z różnych źródeł, nigdy nie widziałem go pijanego – pomijając jedną spektakularną okazję. Prawdę powiedziawszy, latami uważałam te doniesienia za wyolbrzymione: w kwestiach natury moralnej kobiety Winthropów często przesadzały. Święte oburzenie stanowiło ich znak szczególny.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku, latem, kiedy podróżowałam z Tomem, zgadaliśmy się jakoś, że Bob jest moim wujem. (Wiem, nie opowiadałem wam o Tomie. Cierpliwości: niełatwo mi o tym mówić). Było to dla nas rzekomo przełomowe lato przed pierwszym rokiem w college’u; za zgodą naszych rodzin mogliśmy zrezygnować z pracy i wyruszyć w podróż. W myśl powszechnych oczekiwań, wyprawa „tropem” własnej tożsamości miała nam wybić z głowy następne tego typu pomysły, ale Tom i ja nie wiązaliśmy z nią wygórowanych nadziei.

Nie mieliśmy pieniędzy i sama cudzoziemskość europejskich wojaży przejmowała nas panicznym lękiem, a po drugie, już się „odnaleźliśmy” i nie mogliśmy pogodzić się z tym, kim jesteśmy – w publicznym wymiarze. Doprawdy, istniały aspekty nas samych, które biednemu Tomowi i mnie zdawały się tak samo cudzoziemskie (i zatrwające) jak nie przymierzając Europa.

Nawet nie pamiętam, jak zeszedliśmy w rozmowie na wuja Boba i Tom dowiedział się, że „stary odźwierny” i ja jesteśmy rodziną.

– Nie łączą nas więzy krwi – próbowałem tłumaczyć. (Bez względu na poziom alkoholu we krwi wuja Boba, nie miał on w sobie ani kropli krwi Winthropów).

– Jesteście zupełnie niepodobni! – wykrzyknął Tom. – Bob jest miły i nieskomplikowany.

Zważcie, że Tom i ja mieliśmy wówczas na pieńku. Popłynęliśmy jednym ze statków „Queen” (klasą studencką) z Nowego Jorku do Southampton, dobiliśmy do kontynentu i wysiedliśmy w Ostendzie, a pierwszym europejskim miastem, w którym spędziliśmy noc, była średniowieczna Brugia – piękna, ale bardziej przemawiały do mnie wdzięki dziewczyny z naszego pensjonatu niż egzotyka ratuszowej dzwonnicy.

– Oczywiście zamierzałeś ją spytać, czy ma dla mnie koleżankę – powiedział Tom.

– Tylko spacerowaliśmy po mieście... i rozmawialiśmy – odparłem. – Skończyło się na paru pocałunkach.

– Och, to wszystko? – rzucił Tom, więc gdy nazwał później Boba „miłym i

nieskomplikowanym”, wziąłem to za przytyk pod swoim adresem.

– Chodziło mi tylko o to, że jesteś skomplikowany, Bill. I w przeciwieństwie do Boba trudno nazwać cię prostolinijnym, prawda?

– Nie wierzę, że wściekasz się o tę dziewczynę z Brugii.

– Szkoda, że nie widziałeś, jak gapieś się na jej mikroskopijne cycki. Dziewczyny wiedzą, kiedy gapisz się na ich cycki, Bill.

Ale dziewczyna z Brugii nic dla mnie nie znaczyła. Po prostu jej mały biust przypomniiał mi falowanie zaskakująco dziewczęcych piersi panny Frost, o której wciąż pamiętałem.

Och, wiatry zmian: nie owiewają łagodnie małych miasteczek w północnej Nowej Anglii. Pierwsze przesłuchanie, które sprowadziło do naszego teatrzyku Richarda Abbotta, miało odmienić nawet sposób obsadzania ról żeńskich: od początku stało się jasne, że role pięknych młodzieńców, złych (lub małomiasteczkowych) mężów i zdradzieckich kochanków przypadną w udziale Richardowi, toteż zaistniała konieczność znalezienia mu odpowiednich partnerek.

Stanowiło to problem dla dziadka Harry’ego, który miał wkrótce zostać jego teściem – dziadek był zbyt starą kobietą, by cokolwiek mogło łączyć go z Richardem na scenie. (Pocałunki nie wchodziły w rachubę!).

Ciotka Muriel miała jeszcze gorzej: takiego kandydata do głównej roli nie spodziewała się i kompletnie straciła głowę. Zdruzgotana stwierdziła później, że mama i Richard „z miejsca wpadli sobie w oko”, toteż myśl o romansie z przyszłym szwagrem na scenie była dla niej nie do zniesienia. (Zwłaszcza że matka miałaby podrzucać im kwestie!).

Jako trzynastolatek nie zdawałem sobie sprawy z konsternacji ciotki Muriel wobec (pierwszego) spotkania z kandydatem do głównej roli, nie wiedziałem też, że mama i Richard Abbott „z miejsca wpadli sobie w oko”.

Dziadek Harry serdecznie powitał młodego człowieka, który właśnie zasilił grono pedagogiczne Akademii.

– Zawsze szukamy nowych talentów – powiedział ciepło do Richarda. – Mówi pan, że uczy Szekspira?

– Uczę i wystawiam. Oczywiście w szkole koedukacyjnej wymagałoby to mniej zachodu, jednak zarówno chłopcy, jak i dziewczęta lepiej rozumieją Szekspira, wystawiając jego sztuki.

– Domyślam się, że pana zdaniem problem polega na tym, iż role żeńskie należałoby powierzyć chłopcom, tak? – rzucił chytrze dziadek Harry. (Richard Abbott nie mógł jeszcze wiedzieć, że kierownik tartaku święci triumfy na scenie jako kobieta).

– Większość chłopców nie ma pojęcia, jak być kobietą... To odwraca ich uwagę od sztuki – odparł Richard.

– Ach tak. I jak zamierza pan temu zaradzić?

– Zaproszę na casting młodsze żony nauczycieli. Albo starsze córki.

– Ach tak – powtórzył dziadek. – Niewykluczone, że wśród mieszkańców też znalazłoby się paru chętnych – podsunął; zawsze chciał zagrać Reganę albo Gonerylę, „latorośle Lira”, jak je nazywał. (Nie wspominając o roli lady Makbet!).

– Myślałem o otwartych castingach – uściślił Richard Abbott. – Ale mam nadzieję, że chłopcy z męskiej szkoły nie będą onieśmieleni obecnością dojrzałych kobiet.

– No cóż, różnie bywa – odpowiedział ze znaczącym uśmiechem dziadek. Jako dojrzała kobieta onieśmielał setki razy; żona i starsza córka dały mu dobrą szkołę. Ale mając trzynaście lat, nie rozumiałem jego podchodów, toteż ich rozmowa wydawała mi się serdeczna i naturalna.

Tym, co zwróciło moją uwagę tamtego piątkowego wieczoru – castingi zawsze odbywały się w piątkowe wieczory – był sposób, w jaki znajomość teatru i zdolności aktorskie Richarda

Abbotta wpłynęły na dynamikę między autorytarnym reżyserem naszego teatryku oraz przyszłą (mniej lub bardziej) utalentowaną obsadą. Jednym słowem Richard wlaź na dramaturgiczny odcisk temu, który nie interesował się „tylko graniem”, dramaturgią parął się nie od dzisiaj i był samozwańczym znawcą Ibsena, uwielbiając go do nieprzytomności.

Nasz niezastąpiony dotąd reżyser Nils Borkman – wspomniany Norweg, wspólnik dziadka Harry’go, leśniczy, drwal i dramaturg w jednej osobie – stanowił ucieleśnienie skandynawskiej depresji i melancholijnych skłonności. Wycinka była jego pracą – przynajmniej za dnia – lecz prawdziwą pasją pozostał teatr.

Dobijało go, że niewybredna publiczność First Sister ma blade pojęcie o poważnym dramacie. Niestety, trzeba przyznać, że szczyt jakże niewygórowanych ambicji stanowiła Agatha Christie. Nils Borkman cierpiał katusze za sprawą niezliczonych adaptacji szmir w rodzaju „Morderstwa na plebanii” z serii opowieści o pannie Marple; ciotka Muriel wielokrotnie wcielała się w postać panny Marple, ale mieszkańcy woleli w tej (jakże kobiecej) roli dziadka Harry’ego.

Kiedyś na próbie Harry rzucił kapryśnym tonem – którego nie powstydziliby się sama panna Marple – „Ojej, ale kto życzyłby sobie śmierci pułkownika Protheroe?”.

Na co mama, jak zawsze czujna, zareagowała:

– Tatusiu, tego nie ma w tekście.

– Wiem, Mary... tylko się wygłupiam – odparł dziadek.

Moja matka, Mary Marshall – Mary Dean (przez niefortunne czternaście lat przed ślubem z Richardem Abbottem) – zawsze zwracała się do dziadka „tatusiu”. Z kolei ciotka Muriel nieodmiennie nazywała go „ojcem”, tak samo uroczystym tonem, jakim nana Victoria zwracała się do niego „Haroldzie”, nigdy „Harry”.

Nils Borkman reżyserował te „śmiec”, jakby „Śmierć na Nilu” bądź „Samotny Dom” miały towarzyszyć mu w dzień zgonu, a wspomnienie „Dziesięciu Murzynków” wpędzić do grobu.

Agatha Christie była klątwą Borkmana i jego zgryzotą – nienawidził jej z całego serca i pomstował na czym świat stoi – a że zapewniała pełną salę, w nagrodę każdej jesieni pozwalano mu wystawić „coś poważnego”.

– W sam raz na porę roku, gdy opadają leszcze – mawiał, przy czym słowo „leszcze” dowodziło jego na ogół zrozumiałej, acz niedoskonałej znajomości angielskiego. (Był to Nils w pigułce: na ogół rozumiały, ale niedoskonały).

W czasie tamtego piątkowego castingu, kiedy Richard Abbott miał odmienić przyszłość wielu osób, Nils oznajmił, że „czymś poważnym” tej jesieni będzie jego ukochany Ibsen, i zawęził wybór do trzech dramatów.

– Których trzech? – spytał młody, utalentowany Richard Abbott.

– Trzech „problemowych” – odparł Nils, jak mu się zdawało, kategorycznie.

– Rozumiem, że mówimy o „Heddie Gabler” i „Domu lalki” – odgadł słusznie Richard. – A trzecia to „Dzika kaczka”?

Borkmana zatkało, dzięki czemu zrozumieliśmy, że wybór skwaszonego Norwega istotnie padł na „Dziką kaczkę”.

– W takim razie – oznajmił Richard Abbott po chwili wymownej ciszy – kto spośród nas mógłby zagrać nieszczęśliwą Jadwinę, to biedne dziecko? – Na piątkowym castingu nie było czternastolatek, a ściśle rzecz biorąc nikogo, kto pasowałby do roli niewinnej miłośniczki kaczek (i tatusia), Jadwini.

– Mieliśmy już pewne... trudności z Jadwigą, Nils – zaryzykował dziadek Harry. Mało powiedziane! Na scenie stawały tragikomiczne czternastolatki, które grały tak fatalnie, że ich samobójcza śmierć budziła niekłamaną radość widzów! Czternastolatki tak niewinne i naiwne, a na ich śmierć widownia reagowała skandalicznie!

– I zostaje nam Gregers – wtrącił Richard Abbott. – Żalony moralista. Mógłbym go zagrać, ale tylko jako wścibskiego błazna. Zadufanego, rozmemłanego mazgaja!

Nils Borkman często mawiał o swoich rodakach Norwegach „fiordolubni”: ponoć obfitość fiordów w Norwegii dostarczała okazji, by ze sobą skończyć – gładko i bez zbędnego bałaganu. (Świadomość, że w śródlądowym Vermont nie ma fiordów, musiała dodatkowo pogłębiać jego depresję). Spojrzał na Richarda Abbotta tak, jakby chciał posłać go na najbliższy fiord.

– Ale Gregers jest idealistą – zaczął.

– Jeżeli „Dzika kaczka” to tragedia, Gregers jest głupcem i błaznem, a Hjalmar nikim innym jak zazdrosnym mężem, który nie widzi dalej niż czubek swojego nosa – ciągnął Richard. – Jeśli zaś zagramy „Dziką kaczkę” jako komedię, oni wszyscy są siebie warci. Pytanie, jak zrobić z tego komedię, skoro dziecko umiera z powodu moralizatorstwa dorosłych? Potrzebujemy Jadwini chwytającej za serce, na wskroś niewinnej i naiwnej czternastolatki, więc nie tylko Gregers, ale i Hjalmar, Gina, a nawet pani Sørby, Stary Ekdal i łajdak Werle muszą być świetnymi aktorami! Nawet wówczas spektakl będzie miał wady: to niełatwy materiał na amatorską produkcję.

– Wady! – krzyknął Nils Borkman, jakby (wraz ze swoją dziką kaczką) dostał kulę.

– W ostatniej adaptacji byłem panią Sørby – zakomunikował Richardowi mój dziadek. – Naturalnie w młodości grałem Ginę, ale tylko raz czy dwa razy.

– Myślałem o młodej Laurze Gordon w roli Jadwini – oznajmił Nils. Laura była najmłodszą Gordonówną. Jim Gordon zasiadał w radzie pedagogicznej Akademii Favorite River; on i jego żona Ellen udzielali się kiedyś w naszym teatryku, a dwie starsze Gordonówny zastrzeliły się już jako Jadwina.

– Wybacz, Nils – odezwała się ciotka Muriel – ale Laura Gordon ma widoczne piersi.

Zrozumiałem, że nie tylko ja zwróciłem uwagę na zadziwiające walory czternastolatki; Laura była zaledwie rok starsza ode mnie, lecz jej wybujały biust kłócił się z niewinnym wizerunkiem Jadwini.

Nils Borkman westchnął, po czym (z niemal samobójczą rezygnacją) zwrócił się do Richarda:

– Zdaniem młodego pana Abbotta, która ze sztuk Ibsena byłaby na siłę miar amatorów? – Nils miał oczywiście na myśli „miarę sił”.

– Och... – zaczął dziadek Harry i umilkł. Świetnie się bawił. Lubił i szanował Nilsa Borkmana jako partnera w interesach, lecz każdy członek naszej trupy teatralnej wiedział, że jako reżyser Nils jest absolutnym tyranem. (I mieliśmy tak samo dość Henrika Ibsena oraz Borkmanowskiej idei „poważnego dramatu”, jak Agathy Christie!).

– Cóż... – Richard Abbott w zadumie zawiesił głos. – Skoro musi być Ibsen, a my bądź co bądź jesteśmy tylko amatorami, niech będzie „Hedda Gabler” albo „Dom lalki”. W pierwszej nie ma dzieci, a w drugiej są jako aktorzy bez znaczenia. Oczywiście w obu wypadkach potrzebujemy bardzo silnej i skomplikowanej kobiety oraz słabych lub niesympatycznych mężczyzn, a najlepiej jednych i drugich.

– Skomplikowanej kobiety, słabych lub niesympatycznych, a najlepiej jednych i drugich? – powtórzył z niedowierzaniem Nils.

– Jørgen, mąż Heddy, jest nieporadny i konwencjonalny: to fatalny przejaw słabości, a zarazem dość częsta przypadłość u mężczyzn – kontynuował Abbott. – Eilert Løvborg jest rozchwianym słabeuszem, a asesor Brack budzi odrazę. Czy Hedda nie popełnia samobójstwa z powodu swojej przewidywalnej przyszłości u boku nieporadnego męża i odrażającego Bracka?

– Czy Norwegowie zawsze popełniają samobójstwo, Nils? – zagadnął figlarnie dziadek. Harry umiał zagrać Borkmanowi na nerwach, jednakże tym razem Nils darował sobie opowieść o fiordach, ignorując starego przyjaciela i współnika transwestytę. (Dziadek Harry wielokrotnie grał Hedde; był też Norą, lecz obecnie z racji wieku nie pasował do żadnej z tych ról).

– A jakież to... słabości bądź też inne wady mają bohaterowie „Domu lalki”, jeśli mogę spytać młodego pana Abbotta? – strzyknął, załamując ręce.

– U Ibsena mężowie nie mają lekko – stwierdził Richard Abbott, tym razem bez chwili zastanowienia: przemawiały przezeń młodość i wykształcenie. – Torwald Helmer, mąż Nory... Cóż, przypomina męża Heddy. Jest nudny i konwencjonalny, dusi ją w tym małżeństwie. Krogstad jest człowiekiem zranionym i zepsutym; owszem, bywa przyzwoity, ale nie jest wolny od słabości.

– A doktor Rank? – spytał Borkman.

– Ten nie ma znaczenia. Potrzebujemy Heddę lub Norę – oznajmił Richard Abbott. – W przypadku Heddy mówimy o kobiecie, która tak ceni sobie wolność, że woli się zabić, niż ją utracić. Jej samobójstwo nie jest słabością, lecz przejawem seksualnej energii.

Na nieszczęście – albo szczęście, zależy od punktu widzenia – Richard wybrał tę chwilę, aby zerknąć na ciotkę Muriel. Bez względu na urodę oraz bujną pierś nie była wulkanem seksualnej energii i straciła przytomność.

– Muriel, tylko bez hysterii proszę! – krzyknął dziadek Harry, ale ona (świadomie lub nie) zrozumiała, że nie sprostą wyzwaniu u boku rezolutnego przybysza i fizycznie wyłączyła się z wyścigu o rolę.

– A w wypadku Nory?... – zwrócił się do Richarda Nils, zupełnie nieporuszony tym, że moja matka rzuciła się cucić swoją zemdloną siostrę.

Muriel usiadła z nieprzytomną miną i dramatycznie falującym popiersiem.

– Wdychaj przez nos, Muriel, a wydechaj przez usta – podpowiedziała sumiennie mama.

– Wiem, Mary, wiem! – odburknęła ze złością.

– Ale robisz całkiem na odwrót, wdychasz przez usta i wydechasz przez nos – stwierdziła mama.

– No cóż... – odezwał się Richard Abbott i urwał. Nawet ja zauważyłem, jak spojrział na mamę.

Richard, który stracił palce lewej stopy w wypadku z kosiarką, co wykluczyło go ze służby wojskowej, podjął pracę w Akademii Favorite River zaraz po zrobieniu magisterki z historii teatru i dramatu. Urodził się i dorastał w zachodnim Massachusetts. Zachował miłe wspomnienia rodzinnych wyjazdów na narty do Vermont; praca w First Sister (na którą miał zbyt wysokie kwalifikacje) pociągała go ze względów czysto sentymentalnych.

Był tylko cztery lata starszy niż mój ojciec na wiadomej fotografii w drodze na Trynidad w czterdziestym piątym roku. Miał dwadzieścia pięć lat – mama trzydzieści pięć. Bite dziesięć lat młodszy od niej. Musiała lubić młodszych mężczyzn; mnie na pewno wołała, zanim dorosłem.

– A czy pani gra, panno... – zaczął, ale mama wiedziała, że zwraca się do niej i przerwała mu w pół słowa.

– Nie, jestem tylko suflerką. Nie gram.

– Ależ Mary... – zaoponował dziadek.

– Nie gram, tatusiu – powtórzyła mama. – Ty i Muriel jesteście aktorkami – dodała, z naciskiem na ostatnie słowo. – Ja suflerką.

– Wracając do Nory... – podjął Nils Borkman. – Coś mówił pan...

– Norze bardziej chodzi o wolność niż Heddzie – oświadczył konspiracyjnie Richard. – Ma nie tylko siłę, by zostawić męża; zostawia również dzieci! W tych kobietach drzemie nieokiełznana wolność; byłbym za tym, aby zostawił pan aktorce wolną rękę. Te kobiety grają pierwsze skrzypce.

Z tymi słowy Richard Abbott omiół wzrokiem amatorską trupę teatralną w poszukiwaniu ewentualnej Heddy lub Nory, ale nieustannie wracał spojrzeniem ku matce, zatwardziałej (na

wieki) suflerce. Ślepe przywiązanie do scenariusza dyskwalifikowało ją jako Heddę lub Norę.

– No cóż... – rzucił w zamyśleniu dziadek, który postanowił kuć żelazo póki gorące (bez względu na swój wiek).

– O nie, Harry, wybij to sobie z głowy – oświadczył Nils w przyływie dawnej władczości. – Młody pan Abbott ma rację. Musimy dopuścić pewną rozwiązłość, nieokiełznaną wolność i energię seksualną. Potrzebujemy młodszej, bardziej seksualnie aktywnej kobiety niż ty.

Abbott patrzył na dziadka z rosnącym szacunkiem; rozumiał, że dziadek zaistniał w trupie jako kobieta – z „aktywnością” czy bez, budził podziw.

– Zastanowisz się, Muriel? – Borkman zwrócił się do mojej władczej ciotki.

– No właśnie – dorzucił Richard Abbott, młodszy od niej o ponad dziesięć lat. – Otacza panią seksualna aura...

I niestety nie dokończył, gdyż „aura”, zwłaszcza poprzedzona słowem „seksualna”, okazała się ponad siły Muriel – znów straciła przytomność.

– Chyba odpowiedź brzmi „nie” – zakomunikowała przystojnemu przybyszowi mama.

Odczuwałem już coś w rodzaju pociągu do Richarda Abbotta, lecz nie znałem jeszcze panny Frost.

Po dwóch latach, kiedy jako świeżo upieczony uczeń Akademii Favorite River pierwszego ranka znalazłem się w szkole, usłyszałem, jak szkolny lekarz, doktor Harlow, każe nam srogo rozprawić się z najczęstszymi przypadłościami naszego wieku. (Dam głowę, że użył określenia „przypadłość”, nie wymyślam). Mówiąc o „najczęstszych przypadłościach”, doktor Harlow miał na myśli trądzik oraz „chorobliwy pociąg seksualny do innych chłopców bądź mężczyzn”. Na przyszcze zalecił nam odpowiednie środki. Co do wczesnych oznak homoseksualnych skłonności – doktor Harlow wraz ze szkolnym psychiatrą, doktorem Grauem, gotowi byli służyć nam pomocą i wsparciem.

– Istnieje lek na te przypadłości – poinformował nas doktor Harlow z lekarskim znanstwem w głosie, fachowo, a zarazem przymilnie, przy czym nawet owa przymilność nosiła znamiona rzeczowej, męskiej rozmowy. Cel jego porannej przemowy był jasny, nawet dla najbardziej zielonych pierwszoklasistów – musieliśmy tylko dobrowolnie poddać się terapii. (I boleśnie dano nam do zrozumienia, że w przeciwnym razie sami będziemy sobie winni).

Zastanawiałem się później, czy sprawiłoby to jakąkolwiek różnicę, to znaczy, gdybym wysłuchał tych bzdur, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Richarda Abbotta, zamiast dwa lata po jego poznaniu. Biorąc pod uwagę to, co wiem teraz, wątpię, czy mój pociąg do niego był „uleczalny”, chociaż ludzie pokroju doktora Harlowa i doktora Graua – czyli ówczesne autorytety medyczne – gorliwie zaliczyliby go do tej kategorii.

Dwa lata po przełomowym castingu było za późno na terapię, gdyż otwierał się przede mną wachlarz pociągów wszelkiego rodzaju. W tamten piątkowy wieczór poznałem Richarda Abbota. Nikt z zebranych, a już na pewno nie ciotka Muriel, która dwukrotnie straciła przytomność, nie miał wątpliwości, że Richard wziął w obroty nas wszystkich.

– Zdaje się, że potrzebna nam Nora lub Hedda, jeśli w ogóle mamy robić Ibsena – powiedział do Nilsa.

– A leszcze?! Już zmieniają kolor, będą spadać – odparł Borkman. – To pora umierania!

Niełatwo było pojąć, o co mu chodzi, prócz tego, że ukochany Ibsen Borkmana i skok z fiordu poniekąd wiązały się z „poważnym dramatem”, będącym zawsze naszą sztuką jesienną – a także z porą umierania, gdy „leszcze” spadały z drzew.

Oczywiście z perspektywy czasu wszystko to wydaje się niewinne – zarówno pora umierania, jak i ów stosunkowo nieskomplikowany rozdział w moim życiu.

Rozdział 2

POCIĄG DO NIEWŁAŚCIWYCH LUDZI

Ile czasu minęło po castingu, zanim mama i młody Richard Abbott zaczęli się spotykać? „Znając Mary, założę się, że zrobili to od razu”, podsłuchałem kiedyś ciotkę Muriel.

Matka tylko raz zapuściła się z dala od domu: pojechała do college’u (nikt nigdy nie mówił gdzie), po czym z niego wyleciała. Zdołała jedynie zająć w ciąży, nie ukończyła nawet szkoły dla sekretarek! Jakby tej porażki było mało, przez czternaście lat wraz ze swoim synem prawie-bękartem nosiła nazwisko Dean – ze względu na przyzwoitość, jak sądzę.

Mary Marshall Dean nie miała odwagi ponownie opuścić domu, świat za bardzo ją skrzywdził. Mieszkała z moją wzdorliwą, stereotypową babką, która wraz z wyniosłą ciotką Muriel nie zostawiała na niej suchej nitki. Tylko dziadek Harry zawsze miał w zanadrzu dobre słowo dla swojej „malutkiej”, jak ją nazywał. Mówił to tak, jakby mama doznała jakiegoś trwałego urazu. Dziadek był też moim bohaterem: umiał poprawić mi humor, gdy czułem się nie najlepiej, i robił wszystko, by podreperować w mamie poczucie własnej wartości.

Nie licząc posady suflerki w naszym teatrzyku, mama pracowała jako sekretarka w tartaku i składzie drewna; właściciel i zarządca obu, dziadek Harry, przymykał oko na jej brak kwalifikacji: wystarczyło, że stuknęła na maszynie.

Musieli o niej gadać – mam na myśli pracowników tartaku. Rzeczy, które o niej mówili, nie dotyczyły raczej maszyno pisania, i założę się, że najpierw usłyszeli je od swoich dziewczyn czy żon. Musieli zwrócić uwagę na urodę mamy, ale nie ulega wątpliwości, że plotki krążące o Mary Marshall Dean w tartaku – lub, co gorsza, obozach flisaków – pochodziły od kobiet.

Mówię „co gorsza”, gdyż pieczę nad obozami sprawował Nils Borkman: o wypadek było tam nietrudno, lecz czy działo się tak z powodu ich uwag pod adresem mamy? Ten czy ów odnosił też kontuzje w tartaku – dałbym głowę, że często padało na tych, którzy zbyt aktywnie melli ozorem o mojej mamie. (Że jej tak zwany mąż nie spieszył się do ożenku; że nigdy z nią nie zamieszkał, z obrączką czy bez; i że „ten chłopiec” nie ma ojca – na pewno coś w tym stylu).

Dziadek Harry nie rwał się do bijatyki; przypuszczam, że Nils Borkman działał w obronie honoru ukochanego współnika i jego córki.

– Ze złamanym obojczykiem dostanie sześć tygodni zwolnienia, Nils – podsłuchałem kiedyś ich rozmowę. – Ilekroć chcesz kogoś „naprostować”, musimy bulić odszkodowanie!

– Stać cię na to, Harry. Razem następnym będzie się pilnował, nie? – brzmiała odpowiedź Nilsa.

– „Następnym razem”, Nils – poprawił życzliwie dziadek.

Z mojej perspektywy mama była ładniejsza od swojej wrednej siostry Muriel. Nieważne, że nie miała jej bujnej piersi i grzmiącego głosu, była za to bardziej proporcjonalna. Moim zdaniem przypominała Azjatkę, nie tylko z powodu drobnej budowy, ale owalnej twarzy oraz migdałowych, szeroko rozstawionych, oczu, o małych usteczkach nie wspominając.

– Perelka – ochrzcił ją Richard Abbott, gdy zaczęli się spotykać. W ten sposób z „Mary” stała się „Perelką”, i tak zostało.

A na jakim etapie ich związku Richard Abbott zorientował się, że nie mam własnej karty bibliotecznej? Dość wczesnym; była jeszcze jesień, bo liście dopiero zaczęły zmieniać kolor.

Mama powiedziała Richardowi, że marny ze mnie czytelnik, co doprowadziło go do odkrycia, że wraz z babcią przynosiły mi książki z miejskiej biblioteki – do przeczytania lub nie, jak to zwykle bywało.

Potem książki pochodziły od wścibskiej ciotki Muriel; najczęściej romanse, przeczytane i rzucone w kąt przez moją grubiańską starszą kuzynkę, Geraldine. Bywało, że wyrażała swoją pogardę dla tych opowieści, bądź głównych bohaterów, na marginesach książek.

Gerry – tylko ciotka Muriel i moja babcia nazywały ją „Geraldine” – była trzy lata starsza ode mnie. Jesienią, kiedy Richard Abbott zaczął spotykać się z mamą, ja miałem trzynaście lat, a Gerry szesnaście. Dziewczyny nie mogły uczęszczać do Akademii Favorite River. Strasznie wkurzał ją ten „męski pierwiastek”, bo musiała dojeżdżać autobusem do Ezra Falls, gdzie znajdowało się najbliższe liceum.

Jej nienawiść do chłopców częściowo znajdowała ujście na marginesach powieści, które po niej dostawałem; przy okazji obrywało się też dziewczynom, uganiającym się za chłopakami. Ilekroć dzięki uprzejmości ciotki Muriel wpadł mi w ręce kolejny romans, natychmiast czytałem komentarze Gerry. Same powieści były śmiertelnie nudne, lecz obok męczącego opisu pierwszego pocałunku Gerry dopisywała na przykład: „Całuj! Niech ci dżiąsła krwawią! Żebyś się w gacie zlała!”.

Bohaterka była zadufaną Prudencją, która nie pozwalała ukochanemu dotykać swoich piersi – na co Gerry dopisała na marginesie: „Już ja ci wymasuję te cyce! Spróbuj mnie powstrzymać!”.

Co do książek przynoszonych z biblioteki przez mamę i babcie, były to, w najlepszym razie, powieści przygodowe, na ogół o piratach lub kowbojach; szczerze nie znośliem za to nieprawdopodobnych powieści science-fiction i pokrewnych im książek futurystycznych.

Czy mama i nana Victoria nie widziały, jak dalece olśniewa mnie i przeraża życie na Ziemi? Nie potrzebowałem podniet w postaci odległych galaktyk i obcych planet. Teraźniejszość wprawiała mnie w osłupienie, że nie wspomnę o zgrozie bycia niezrozumianym, będącej moim chlebem powszednim; na samą myśl o przyszłości przechodziły mnie ciarki.

– Ale czemu Bill sam nie wybierze sobie książek do czytania? – chciał wiedzieć Richard Abbott. – Bill, masz trzynaście lat, tak? Czym się interesujesz?

Nie licząc dziadka Harry’ego i życzliwego wuja Boba (rzekomego pijaka), jeszcze nikt nie zadał mi tego pytania. Lubilem czytać tylko dramaty wystawiane przez aktorów First Sister; wyobrażałem sobie, że zapamiętuję je słowo w słowo jak mama, a gdyby któregoś dnia zachorowała lub miała wypadek samochodowy (w Vermont kraksa gonila kraksę), mógłbym zastąpić ją w roli suflera.

– Billy! – ponagliła matka, śmiejąc się w ten swój na pozór niewinny sposób. – Powiedz Richardowi, czym się interesujesz.

– Interesuję się sobą. Czy są książki o kimś takim jak ja? – zapytałem Richarda Abbotta.

– Och, zdziwiłbyś się, Bill. Dojrzewanie to temat rzeka, napisano o tym mnóstwo wspaniałych książek! Chodź, pójdziemy sprawdzić.

– O tej porze? Gdzie? – zaniepokoiła się babcia. Było tuż po kolacji w dzień powszedni; zmrok jeszcze nie zapadł, ale się ściemniało. Siedzieliśmy przy stole w jadalni.

– Niech Richard zabierze Billa do biblioteki, Vicky – wtrącił dziadek Harry. Nana miała minę, jakby dostała w twarz; była do tego stopnia „Victorią” (przynajmniej w swoim mniemaniu), że nikt prócz dziadka nie nazywał jej, Vicky” i wściekała się, ilekroć miał czelność to zrobić. – Panna Frost przeważnie zamyka o dziewiątej – dodał.

– Panna Frost! – wypluła z niesmakiem babcia.

– Spokojnie, Vicky, tylko spokojnie – perswadował dziadek.

– No chodź – zwrócił się do mnie Richard. – Założymy ci własną kartę biblioteczną, na dobry początek. Na książki przyjdzie czas, niebawem same popłyną.

– Popłyną! – wykrzyknęła matka z zachwytem, nie bez pewnego niedowierzania. – Nie znasz Billy’ego, Richardzie. Marny z niego czytelnik.

– Zobaczymy, Perelko. – Puścił do mnie oko. Mój nieuleczalny pociąg do niego rósł; jeśli matka zakochiwała się wówczas w Richardzie Abbocie, nie była osamotniona.

Pamiętam ten czarodziejski wieczór – nawet czynność tak prozaiczna jak spacer chodnikiem

River Street u boku Richarda Abbotta miał na wskroś romantyczny posmak. Było duszno jak w lecie, zbierało się na burzę. Wszystkie okoliczne dzieci i psy hasały na podwórkach, a dzwon na wieży zegarowej Akademii Favorite River wybił godzinę. (Była dopiero siódma wieczorem wrześnieowego dnia powszedniego, a ja wkraczałem w wiek dojrzewanania).

- Co cię najbardziej interesuje, Bill? – spytał Richard.
- Zastanawiam się, dlaczego miewam nagły, niewytłumaczalny... pociąg.
- Ach, pociąg. Wierz mi, to dopiero początek – rzucił zachęcająco Richard. – Zwykła sprawa, pociąg należy zaakceptować... i mieć z tego frajdę! – dodał.
- Czasem odczuwam pociąg do niewłaściwych ludzi – brnąłem dalej.
- Ależ nie ma czegoś takiego jak pociąg do „niewłaściwych” ludzi. Nie można się zmusić, aby go mieć lub nie.
- Aha. – Musiałem dojść do wniosku, że jest gorzej, niż przypuszczałem.

Ciekawe, że zaledwie sześć lat później w czasie pamiętnej podróży z Tomem po Europie, niechlubnie rozpoczętej w Brugii, sama myśl o zakochaniu się była wysoce nieprawdopodobna; ba, wręcz niemożliwa. Tamtego lata miałem tylko dziewiętnaście lat i niezbitą pewność, że więcej się nie zakocham.

Nie jestem do końca pewien, jakie nadzieje z naszym wyjazdem wiązał biedny Tom, jednakże w świetle własnego braku doświadczenia hołdowałem przekonaniu, że dostałem już wystarczający wycisk od miłości. W swojej bezdennej naiwności wierzyłem, że jeszcze zdążę pozbiierać się po małym uszczerbku, którego doznałem w wyniku uczucia do panny Frost. Jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z piętna, jakie na mnie odcisnęła; uszczerbek nie był „mały”.

Co do Toma, uznałem po prostu, że muszę bardziej uważać, gdy patrzę na młodsze pokojówki oraz inne „płaskie” dziewczęta i młode kobiety, które napotykałismy po drodze.

Byłem świadomy kompleksów Toma; wiedziałem, że jest przeczulony na punkcie „marginalizowania” własnej osoby, tak to nazywał – zawsze czuł się pominięty, niedoceniony, traktowany jak powietrze. Dlatego baczyłem, aby nie zawieszać na nikim za długo wzroku.

Ale któregoś wieczoru – przebywaliśmy w Rzymie – Tom powiedział do mnie niespodziewanie:

– Chciałbym, żebyś pogapił się na prostytutki. Lubią, kiedy się na nie patrzy, Bill, i dobija mnie, że o nich myślisz – zwłaszcza o tej wysokiej z wąsikiem – a nie raczysz nawet spojrzeć!

Innego wieczoru, nie pamiętam, gdzie się znajdowaliśmy, ale położyliśmy się do łóżka i myślałem, że Tom śpi, nagle odezwał się w ciemności:

– Jakbyś dostał kulkę w serce, Bill, ale nie widział dziury i nie czuł upływu krwi. Wątpię, czy choćby słyszałeś strzał!

Ale wybiegam naprzód; ot, doła pisarza, który zna zakończenie opowieści. Wróćmy lepiej do Richarda Abbotta i jego misji pozyskania dla mnie pierwszej karty bibliotecznej oraz mężnych prób zapewnienia mnie, że pociąg do „niewłaściwych” osób nie istnieje.

Tamtego wrześnieowego wieczoru biblioteka niemalże świeciła pustkami; później dowiedziałem się, że to zwykły stan rzeczy. (Co ciekawe, w bibliotece nigdy nie było dzieci; dopiero po latach zrozumiałem dlaczego). Dwie starsze panie czytały na niewygodnej z wyglądu kozetce, a jakiś starszy pan otoczył się stosami książek na końcu długiego stołu, przy czym sprawiał wrażenie bardziej skoncentrowanego na odgradzeniu się od owych pań niż na lekturze.

Zobaczyłem też dwie zniechęcone licealistki, towarzyszki niedoli kuzynki Gerry z Ezra Falls. Przypuszczalnie robiły to, co Gerry określała mianem „prowizorycznego” zadania domowego.

Od kurzu zebranego na niezliczonych okładkach kichnąłem.

– Nie jesteś uczulony na książki, mam nadzieję – zabrzmiał czyjś głos. Były to pierwsze

słowa panny Frost wypowiedziane do mnie, a gdy odwróciłem się w jej stronę, odebrało mi mowę.

– Ten chłopiec chciałby założyć sobie kartę biblioteczną – pospieszył z pomocą Richard Abbott.

– A kimże jest „ten chłopiec”? – spytała, nie patrząc na mnie.

– Nazywa się Billy Dean, na pewno zna pani Mary Marshall Dean – wyjaśnił Richard. – Billy jest synem Mary...

– Ach... no tak! A więc to on!

Rzecz w tym, że w małym miasteczku takim jak First Sister okoliczności mojego przyścia na świat nie mogły pozostać tajemnicą – swego czasu było nawet głośno o „tak zwanym mężu” Mary. Miałem poczucie, że wszyscy znają historię mojego taty szyfranta. William Francis Dean jawił się jako znikający mąż i ojciec, a w First Sister zostało po nim tylko nazwisko – z łatką „junior” przypiętą na końcu. Aż do tamtego wrześnieowego wieczoru roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego panna Frost może nie знаła mnie osobiście, ale wie działa o mnie dużo.

– Rozumiem, że pan nie nazywa się Dean... Nie jest pan ojcem tego chłopca, prawda? – spytała.

– Ależ nie...

– Tak myślałam – ucieła panna Frost. – Zatem jest pan... – Zawiesiła głos; nie miała zamiaru kończyć zdania.

– Nazywam się Richard Abbott.

– Nowy nauczyciel! – Panna Frost pokiwała głową. – Zatrudniony w nadziei, że ktoś w Akademii Favorite River przekona urwisów do Szekspira.

– Owszem – przyznał Richard, zdziwiony jej znajomością szkolnej misji, mającej na celu nie tylko nauczanie angielskiego, ale i skłonienie uczniów do czytania ze zrozumieniem Szekspira. Zdumiałem się może nawet bardziej niż Richard: wiedziałem o jego zainteresowaniu Szekspirem, lecz o „misji” słyszałem po raz pierwszy. Zabrzmiało to tak, jakby Richard Abbott miał zamęczyć uczniów Szekspirem!

– No cóż, powodzenia. Uwierzę, gdy zobaczę to na własne oczy. – Panna Frost uśmiechnęła się do mnie. – Zamierza pan wystawić którąś ze sztuk? – spytała Richarda.

– Tak. Moim zdaniem to jedyny sposób, aby skłonić ich do czytania i polubienia Szekspira. Będą oglądać spektakle, a jeszcze lepiej, żeby brali w nich udział.

– Ach, ci chłopcy w rolach dziewcząt i kobiet – rzuciła w zamyśleniu, potrząsając głową. – To dopiero byłoby dobrowolne zawieszenie niewiary, i co tam jeszcze mawiał Coleridge – dodała, nie przestając się do mnie uśmiechać. (Nie lubiłem, gdy ktoś czochrał mi włosy, ale dla panny Frost zrobiłem wyjątek). – To Coleridge, prawda? – zwróciła się do Richarda.

– Zgadza się – odparł. Widziałem, że jest nią oczarowany, i gdyby ostatnio nie zakochał się w mamie... Cóż, kto wie? Moim skromnym zdaniem panna Frost była olśniewająca. Dłoń, którą nie czochrała mi włosów, spoczywała na stole obok dłoni Richarda Abbotta, lecz podchwyciwszy moje spojrzenie, natychmiast ją cofnęła. Musnęła palcami moje ramię.

– O czym chciałbyś poczytać, Williamie? – spytała. – Masz na imię William, prawda?

– Tak. – Zelektryzował mnie dreszcz. „William” brzmiało nad wyraz dojrzałe. Zawstydzilem się, że chłopak mamy wpadł mi w oko; pociąg do posagowej panny Frost zdawał się bardziej adekwatny.

Zauważyłem, że ma szersze dłonie i dłuższe palce niż Richard Abbott, a gdy stali obok siebie, rzuciły mi się w oczy jej muskularne ramiona i szerokie barki; ponadto przewyższała Richarda wzrostem.

Łączyło ich jedno podobieństwo. Richard wyglądał bardzo młodo nie wydawał się starszy od

przeciętnego ucznia Akademii Favorite River; zapewne mógł golić się tylko raz, dwa razy w tygodniu. Panna Frost zaś, mimo barczystych ramion i nieliczej muskulatury, a także (na co dopiero zwróciłem uwagę) dość szerokiej klatki piersiowej, biust miała niepokąźny. Innymi słowy, miała młode, ledwo pączkujące piersi – tak je przynajmniej oceniłem, choć jako trzynastolatek nie byłem w tej dziedzinie ekspertem.

Kuzynka Gerry miała większe. Nawet czternastoletnia Laura Gordon, zbyt piersiasta do roli Jadwini w „Dzikiej kaczce”, mogła się poszczyć bardziej „widocznym” (jak wnikliwie zaobserwowała ciotka Muriel) biustem aniżeli bujna pod innymi względami panna Frost.

Oczarowanie nie pozwoliło mi wydusić słowa, ale panna Frost (cierpliwie) powtórzyła pytanie:

– Williamie? Rozumiem, że lubisz czytać, ale czy wolisz beletrystykę czy literaturę faktu... i jaką preferujesz dziedzinę? Widziałam tego chłopca w naszym teatryku! – powiedziała nagle do Richarda. – Widziałam cię za kulisami, Williamie; sprawiasz wrażenie bardzo spostrzegawczego.

– Jestem spostrzegawczy – wykrztusiłem. Ba, poczyniłem tyle spostrzeżeń na jej temat, że mógłbym od razu się onanizować, lecz w przyływie odwagi zapytałem tylko: – Czy zna pani jakieś powieści o młodych ludziach, którzy czują... niebezpieczny pociąg?

Patrzyła na mnie bez mrugnięcia okiem.

– Niebezpieczny pociąg – powtórzyła. – A cóż w tym niebezpiecznego?

– Pociąg do niewłaściwej osoby – uściśliłem.

– Mówiłem mu, że nie ma czegoś takiego – wtrącił Richard Abbott. – Nie ma „niewłaściwych” osób; możemy czuć pociąg, do kogo chcemy.

– Pan żartuje? – prychnęła. – Wręcz przeciwnie, Williamie, istnieje całe mnóstwo literatury na ten temat – odpowiedziała na moje pytanie.

– Właśnie to interesuje Billa najbardziej – dodał Richard. – Pociąg do niewłaściwych osób.

– Powiedziałabym, że to dość obszerna kategoria. – Panna Frost wciąż uśmiechała się do mnie cudnie. – Zaczniemy powoli. Zaufaj mi, Williamie: gdy w grę wchodzi pociąg do niewłaściwych osób, pośpiech jest wysoce nie wskazany.

– Co pani konkretnie ma na myśli? – zapytał Richard Abbott. – Czy mówimy o „Romeo i Julii”?

– Problem rodzin Capulettich i Montecchich nie wynikał z sytuacji między Romeo i Julią. Oni byli dla siebie odpowiedni, tylko mieli porąbanych krewnych.

– Rozumiem – bąknął Richard; słowo „porąbani”, nieco dzieńne w ustach bibliotekarki, wstrząsnęło nami do głębi.

– Mam na myśli dwie siostry. – Panna Frost zmieniła temat. Obaj źle ją zrozumieliśmy, uznając, że chce powiedzieć coś mądrego o mojej matce i cioci Muriel.

Kiedyś wyobrażałem sobie, że nasze miasteczko zawdzięcza nazwę cioci Muriel^[1]; emanowała tak wybujałą rangą własnej osoby, że zdawało się to w pełni uzasadnione.

Ale prawdy dowiedziałem się od dziadka.

Favorite River była dorzeczem rzeki Connecticut; gdy pierwsi flisacy spławiali drewno doliną tej drugiej, pozmieniali nazwy niektórych rzek po obu stronach koryta. (Może nie podobały im się indiańskie nazwy). Oni wymyślili nazwę Favorite River^[2], gdyż leciała prosto do Connecticut, bez zakrętów, które mogły zakorkować spływ. Nazwa First Sister pochodziła od stawu zasilającego młyn, utworzonego przez zbudowanie tamy na Favorite River. Z naszym tartakiem i składem drewna staliśmy się „pierwszą siostrą” dla innych, większych miast położonych wzdłuż rzeki Connecticut.

Nie ukrywam, że moja wersja zdarzeń wydawała mi się ciekawsza od wersji dziadka Harry’ego.

Niemniej jednak w tamtej chwili, kiedy panna Frost wspomniała o „dwóch siostrach”, Richard i ja pomyśleliśmy o tym samym. Musiała zauważyć, że ja mam niewyraźną minę, a Richard zatracił nieco aury odtwórcy głównej roli, jakby stąpał po niepewnym gruncie.

– Mam na myśli siostry Brontë – uściśliła.

– Oczywiście! – wykrzyknął z ulgą Richard.

– Emily Brontë napisała „Wichrowe wzgórza” – powiedziała tonem wyjaśnienia panna Frost.

– A Charlotte Brontë „Dziwne losy Jane Eyre”.

– Nigdy nie ufaj facetowi, który trzyma na strychu stukniętą żonę – oświecił mnie Richard. – A ktoś o imieniu Heathcliff powinien wzbudzić twoje podejrzenia.

– To dopiero pociąg co się zowie – dodała znacząco panna Frost.

– Przypadkiem nie mówimy tutaj o pociągu kobiet? – zwrócił się do niej Richard. – Myślę, że Billa bardziej interesuje pociąg w męskim wydaniu.

– Pociąg to pociąg – skwitowała. – Liczy się styl, a chyba nie sugeruje pan, że „Wichrowe wzgórza” i „Dziwne losy Jane Eyre” to książki tylko dla kobiet?

– Bynajmniej! Ma się rozumieć, że liczy się styl! Miałem tylko na myśli bardziej męską przygodę...

– Bardziej męską! – powtórzyła panna Frost. – Cóż, zawsze mamy Fieldinga – dodała.

– Właśnie! – zawołał Richard. – Czyli „Tom Jones”, tak?

– Owszem. – Panna Frost westchnęła. – O ile seksualne eskapady wynikają z pociągu...

– A czemu nie? – odparł pospiesznie Richard Abbott.

– Ile masz lat? – zapytała panna Frost. Jej długie palce znów musnęły moje ramię. Przypomniawszy sobie, że ciotka Muriel (dwukrotnie) straciła przytomność, odczułem przelotną obawę, że pójdę w jej ślady.

– Trzynaście.

– Na początek w zupełności wystarczą trzy książki – zawyrokowała, zwracając się do Richarda. – Nie ma co obciążać go w tak młodym wieku. Zobaczmy, do czego to go doprowadzi, dobrze? – Obdarzyła mnie uśmiechem.

– Zacznij od Fieldinga. Przypuszczalnie najbardziej prymitywny. Odkryjesz, że siostry Brontë są bardziej emocjonalne, głębsze psychologicznie. To bardziej dojrzałe pisarki.

– Panna Frost – wtrącił Richard Abbott. – Czy kiedykolwiek występowała pani na scenie... Czy pani grała?

– Tylko w głowie. – Zabrzmiało to niemal kokieteryjnie. – Kiedy byłam młodsza... cały czas.

Richard posłał mi konspiracyjne spojrzenie; wiedziałem, co knuje. Mieliśmy przed sobą wulkan seksualnej energii; dla mnie i Richarda panna Frost była kobietą o nieskrępowanej wolności – z kapką rozwiązłości na dokładkę.

Dla młodego mężczyzny Richarda Abbotta i mnie – byłem trzynastoletnim marzycielem, który ni stąd, ni zowąd zapragnął spisać historię własnych pociągów do niewłaściwych ludzi oraz uprawiać seks z bibliotekarką po trzydziestce – panna Frost jawiła się jako uosobienie seksualnej energii.

– Jest dla pani rola, panna Frost – podjął mężnie Richard Abbott, kiedy ruszyliśmy za nią między półki, by poszukać moich trzech wyzwania literackich.

– Konkretnie dwie – zaznaczyłem.

– Owszem, musi pani wybrać – uzupełnił pospiesznie Richard. – Albo Hedda z „Heddy Gabler”, albo Nora z „Domu lalki”. Zna pani Ibsena? To dramaty obyczajowe...

– Ładny mi wybór. – Panna Frost uśmiechnęła się. – Albo się zastrzelę, albo zostawię troje małych dzieci.

– Tak czy inaczej, w obu wypadkach to dobra decyzja. – Richard Abbott wysilił się na

krzepiący ton.

– Bardzo! – Zaśmiała się, czyniąc nieokreślony gest smukłą dłonią. (Kiedy się śmiała, w jej głosie pobrzmiwał niski, chropowaty ton, który natychmiast przeszedł na wyższy, czystszy rejestr).

– Nils Borkman reżyseruje – ostrzegłem pannę Frost; czułem się w obowiązku ją chronić, a dopiero się poznaliśmy.

– Drogi chłopcze, mówisz tak, jakbym nie znała tego neurotycznego Norwega, znawcy „poważnego dramatu”. Chciałabym wiedzieć – nieoczekiwanie zwróciła się do Richarda – jeśli wybierzemy „Dom lalki” i zostanę Norą, jaka rola przypadnie panu. – Zanim zdążył odpowiedzieć, panna Frost mówiła dalej: – Rozumiem, że Torwalda Helmera, nudnego i ograniczonego męża Nory, któremu ona ratuje życie, a on nie potrafi uratować jej.

– Tak mniemam – potwierdził ostrożnie Richard. – Oczywiście nie jestem reżyserem.

– Proszę mi powiedzieć, Richardzie Abbott, czy zamierza pan ze mną flirtować... Naturalnie poza sceną.

– Nie... Ależ skąd! Flirtuję na poważnie z mamą Billa.

– Świetnie, na taką odpowiedź czekałam. – Znowu poczochnęła mi włosy. – Jeśli zostanę Heddą – zwróciła się do Richarda – decyzja w związku z pańską rolą jest nieco bardziej skomplikowana, prawda?

– Chyba tak – odparł w zamyśleniu. – Mam nadzieję, że nie będę nudnym, ograniczonym mężem... Nie chciałbym być Jørgenem – uzupełnił.

– A kto by chciał? – rzuciła.

– Nie zapominajmy o pisarzu, którego niszczy Hedda – ciągnął Richard. – To byłoby podobne do Nilsa, obsadzić mnie w roli Eilerta.

– Nie pasuje pan!

– Znaczący, że zostaje asesor Brack – skwitował Richard.

– Nieźle. – Panna Frost pokiwała głową. – Popelniam samobójstwo, aby uciec z pańskich macek.

– Wcale mnie to nie dziwi – odparł z kurtuazją Richard Abbott. Grali, nawet teraz – widziałem – i to wyśmienicie. Mama nie miałaby tutaj nic do roboty; nie sądzę, aby Richard Abbott lub panna Frost kiedykolwiek zapomnieli swojej kwestii bądź przekręcili choćby jedno słowo.

– Zastanowię się i dam panu odpowiedź – obiecała. W korytarzu, gdzie na długim rzędzie wieszaków zauważyłem tylko osamotniony prochowiec, przypuszczalnie bibliotekarki, wisiało wysokie, podłużne, słabo oświetlone lustro. Panna Frost zerknęła na nie. – Chyba zapuszczę dłuższe włosy – rzuciła jakby do swojego odbicia.

– Właśnie tak wyobrażam sobie Heddę – stwierdził Richard.

– Tak? – Zerknęła na niego, ale znowu uśmiechnęła się do mnie. – Spójrz na siebie, Williamie – powiedziała nagle. – I kto tu mówi o dorastaniu... Spójrzcie na tego chłopca!

Zarumieniłem się i odwróciłem wzrok, przyciskając do serca trzy książki o pożegnaniu dzieciństwa.

Panna Frost dokonała słusznego wyboru. Przeczytałem „Toma Jonesa”, „Wichrowe wzgórza” oraz „Dziwne losy Jane Eyre” – w tej kolejności – ku zdumieniu mamy stając się czytelnikiem. Z lektury dowiedziałem się, że przygoda nie ogranicza się do żeglugi, z piratami czy bez nich. Chcąc przenieść się w czasie i przestrzeni, nie musiałem uciekać się do książek podróżniczych czy romansów ani szukać podniet w opowieściach science-fiction i futurystycznych fantazjach. W lekturze, tak jak i w pisaniu, kluczem do odzyskania fascynującej podróży jest wiarygodny, a

zarazem straszny związek międzyludzki. Bo do czegoż by innego wiedzie namiętność, zwłaszcza gdy ma się niepohamowany pociąg do niewłaściwych ludzi?

– Lecimy do domu, Bill, żebyś mógł zacząć czytać – powiedział Richard Abbott tamtego ciepłego, wrześniowego wieczoru i zwracając się do panny Frost, wyrecytował (nieswoim głosem) ostatnie słowa asesora Bracka do Heddy pod koniec czwartego aktu: „Będziemy się na pewno doskonale bawić we dwójkę!”^[3].

Tamtej jesieni mieliśmy przed sobą dwa miesiące prób „Heddy Gabler”, więc ta kwestia zapadnie mi w pamięć, podobnie jak odpowiedź Heddy. Zeszła już ze sceny, ale mówi wyraźnie i donośnie: „No właśnie, czy nie spełniają się pańskie nadzieje, panie asesorze? Pan, w roli jedynego koguta na podwórku...”.

Czy naprawdę kocham tę sztukę, czy może uwielbiałem ją, ponieważ Richard Abbott i panna Frost na moich oczach tchnęli w nią życie? Dziadek Harry zabłysnął w niewielkiej roli panny Desman, ciotki Jürgena, a ciotka Muriel grała zakochaną w Eilercie skromną panią Elvsted.

– To dopiero był popis – mówił z zachwytem Richard Abbott, gdy wracaliśmy River Street tamtego ciepłego, wrześniowego wieczoru. Ściemniło się, w oddali błyskało na niebie, ale wokół panowała cisza; dzieci i psy zeszły z podwórka, a Richard odprowadzał mnie do domu.

– Jaki popis? – spytałem.

– Mam na myśli pannę Frost! Jej popis! Książki, które masz przeczytać, ten cały wywód o pociągu, rozterki, czy ma zagrać Hedde czy Norę...

– Chcesz powiedzieć, że grała? – Znów miałem odruch opiekuńczy, nie wiedzieć czemu.

– Rozumiem, że ci się spodobała.

– Jeszcze jak! – wypaliłem.

– To zrozumiałe. – Pokiwał głową.

– Tobie nie?

– Też... bardzo... Moim zdaniem będzie wspinała Hedde.

– Jeśli się zgodzi – przypomniałem.

– Och, na pewno... Oczywiście, że się zgodzi! Tylko się ze mną droczyła.

– Droczyła. – Nie byłem pewien, czy jej nie krytykuje. Ani czy spodobała mu się w stopniu wystarczającym.

– Posłuchaj, Bill – zaczął Richard. – Zaprzyjajnij się z nią. Jeśli przypadną ci do gustu polecane książki, zaufaj jej. Biblioteka, teatr, pasja do książek i spektakli... To może być furka do twojej przyszłości. Mając tyle lat ile ty, mieszkałem w bibliotece, Bill! A książki i spektakle stały się moim życiem.

Czułem się przytłoczony tymi wywodami. Na dodatek, nasz amatorski teatrzyk chciał wystawić „Hedde Gabler” z zupełnie nowym aktorem pierwszoplanowym oraz wulkanem seksualnej energii (i nieskrępowanej wolności) w roli tytułowej. Moja cierpiąca mama nie tylko miała narzeczonego, jak mówiły o Richardzie Abbocie ciotka Muriel i nana Victoria, ale mój krępujący pociąg do niego ustąpił na rzecz czegoś innego: zakochałem się w bibliotekarce, która mogłaby być moją matką. W miejsce niezdrowej fascynacji Richardem Abbottem zyskałem nową i lubieżną inklinację do panny Frost o stosie książek do czytania nie wspominając.

Nic dziwnego, że gdy wróciliśmy z Richardem do domu, babcia położyła mi rękę na czole – musiałem być rozpalony, jakbym miał gorączkę.

– Za dużo wrażeń jak na dzień powszedni, Billy – stwierdziła.

– Bzdura – sprzeciwił się dziadek. – Pokaż no te książki, Bill.

– Panna Frost mi wybrała – powiedziałem, spełniając jego prośbę.

– Panna Frost! – fuknęła z pogardą babcia.

– Vicky, Vicky – mitygował dziadek Harry.

– Przestań, mamusi – odezwała się matka.

– Te powieści to świetna sprawa – oświadczył dziadek. – Klasyka, panie dzieju. Śmiem twierdzić, że panna Frost wie, jakie książki doradzić młodemu chłopcu.

– Ja też! – burknęła hardo babcia.

Następnie przyszła kolej na porcję złośliwości w związku z wiekiem panny Frost. „Prawdziwym, nie deklarowanym!”, warknęła nana Victoria. Wysunąłem przypuszczenie, że jest w wieku mamy lub trochę młodsza, ale dziadek Harry i mama wymienili spojrzenia. Potem nastąpiło coś, co znałem z teatru – pauza.

– Nie, panna Frost jest raczej w wieku Muriel – ocenił dziadek.

– Ta kobieta jest starsza od Muriel! – krzyknęła babcia.

– Właściwie to są rówieśnicami – wtrąciła cicho mama.

Wtedy liczyło się dla mnie tylko, że panna Frost wygląda na młodszą od Muriel. Zresztą, niewiele się nad tym zastanawiałem. Nana Victoria ewidentnie nie lubiła panny Frost, a Muriel miała problem z jej piersiami lub stanikami – bądź z jednym i drugim.

Dopiero później – nie pamiętam dokładnie kiedy, ale upłynęło parę miesięcy, a ja stałem się regularnym bywalcem biblioteki – podsłuchiłem, jak wredna ciotka Muriel rozmawia (z mamą) o pannie Frost takim tonem jak babka.

– Domyślam się, że dalej nosi te kretyńskie, treningowe staniki? (Na co mama tylko pokiwała głową).

Postanowiłem zagadnąć o to Richarda Abbotta.

– Co to jest stanik treningowy, Richardzie? – spytałem niby to mimochodem.

– Miałeś to w książce, Bill? – zdziwił się.

– Nie, tak mi tylko przyszło do głowy.

– Cóż, prawdę mówiąc nie znam się na tym, Bill, ale zdaje mi się, że to rodzaj stanika, od którego zaczyna młoda dziewczyna.

– Ale dlaczego „treningowy”? – chciałem wiedzieć.

– Hm, moim zdaniem jest tak: dziewczynka, której dopiero zaczynają rosnąć piersi, nosi stanik treningowy, żeby mogły się połapać, w czym rzecz.

– Aha. – Oślupiałem, nie mieściło mi się głowie, po co biust panny Frost miałby potrzebować treningu, a myśl, że mógłby mieć swoje zdanie wzbudziła we mnie odruch niepohamowanej paniki. A jednak zauroczenie panną Frost dowodziło, że mój penis miał własne pomysły zgoła odrębne od moich własnych. Skoro więc penisy żyły własnym życiem, w myśl (trzynastoletniej) logiki należało przyjąć, iż podobnie rzecz ma się z biustem.

W literaturze, którą zarzuciła mnie panna Frost, nie spotkałem jeszcze powieści z punktu widzenia penisu lub takiej, gdzie indywidualizm piersi mógł dawać się we znaki samej kobiecie – bądź jej przyjaciółom lub krewnym. Ich istnienie uważałem jednak za całkiem możliwe, tak jak możliwa (choć odległa) była perspektywa seksu z panną Frost.

Czy panna Frost celowo kazała mi czekać na Dickensa – i niejako do niego dojrzeć? Pierwsza powieść, którą pozwoliła mi przeczytać, nie była „przełomowa”; na „Wielkie nadzieje” też musiałem długo czekać. Podobnie jak wielu czytelników Dickensa, zacząłem od „Olivera Twista”, powieści gotyckiej, z cieniem szubienicy Newgate ciężącym na paru najważniejszych bohaterach. Dickensa łączy z Hardym jedno: fatalistyczne przekonanie, że osoba o szlachetnym sercu i niezłomnym kręgosłupie moralnym (zwłaszcza w wypadku młodych i niewinnych jednostek) stoi w obliczu największych niebezpieczeństw ze strony świata. (Panna Frost miała nosa, zwlekając również z Hardym. Thomas Hardy to nie materiał dla trzynastolatka).

W wypadku Olivera, ochoczo identyfikowałem się z rozwojem wytrwałego sieroty.

Zaszczurzone, ciemne zaułki dickensowskiego Londynu leżały daleko od First Sister w stanie Vermont, a ja byłem bardziej wyrozumiały niż panna Frost, która krytykowała „fabularne niedociągnięcia” tej wczesnej powieści.

– Wychodzi jego brak doświadczenia – zauważyła w rozmowie ze mną.

W czternastym roku życia brak doświadczenia nie budził moich zastrzeżeń. Dla mnie Fagin był wspaniałym potworem. Bill Sykes budził grozę – nawet jego pies przerażał. Smyk uwodził mnie, a nawet całował w snach – drugiego podobnie ujmującego kieszonkowca nie widział świat. Płakałem, kiedy Sykes zamordował dobrą Nancy, jak i wówczas, gdy lojalny pies skacze z parapetu na ramiona wisielca. (Nie trafia i rozwala sobie łeb o bruk).

– Melodramatyczne, nie sądzisz? – spytała panna Frost.

– Poza tym Oliver za często płacze; jest alegorią wszystkich uciśnionych dzieci i cierpi na tym jego wiarygodność.

– Dodała, że pisarz dopracuje tę tematykę w późniejszych powieściach, zwłaszcza w „Dawidzie Copperfieldzie”, którego przeczytałem w następnej kolejności, i w „Wielkich nadziejach”, na które przyszło mi długo czekać.

Gdy pan Brownlow zabiera Olivera „w straszliwe mury Newgate, które tyle nieszczęścia i tyle niewypowiedzianej męki kryły”^[4], gdzie mają powiesić Fagina – rozplakałem się też nad starym złodziejem.

– To dobry znak, gdy chłopiec płacze nad książką – zapewniła panna Frost.

– Dobry? – Nie wiedziałem, jak to rozumieć.

– Dowodzi szlachetnego serca. – I nie powiedziała nic więcej.

Gdy czytałem o tym, co panna Frost określała mianem „lekkomyślnej desperacji włamywacza przetrząsającego dom”, któregoś dnia powiedziała: „Zwolnij, Williamie. Bo nie poczujesz smaku. A gdy książka zapadnie ci w serce, zapamiętaj z niej jedno, może ulubione zdanie. W ten sposób nie zapomnisz języka opowieści, która cię wzruszyła do łez”. (Skoro panna Frost uważała Olivera za bekę, ciekawe, co myślała o mnie). W wypadku „Olivera Twista” niestety zapominałem, jakie to zdanie.

Po „Dawidzie Copperfieldzie” panna Frost dała mi skosztować Thomasa Hardy’ego. Ile miałem wówczas lat? Czternaście? (Chyba tak; Richard Abbott przerabiał właśnie tę samą powieść ze swoimi uczniami, ale tamci chłopcy byli starsi ode mnie, marnego ósmoklasisty).

Pamiętam, że niepewnie spojrziałem na tytuł – „Tessa d’Urberville” – i z rozczarowaniem zwróciłem się do panny Frost.

– To o dziewczynie?

– Tak, Williamie, bardzo pechowej dziewczynie i o mężczyznach, których spotyka na swojej drodze. Obyś nigdy nie stał się do nich podobny, Williamie.

– Ach tak. – Wkrótce zrozumiałem, co miała na myśli, i wcale nie miałem ochoty się do nich upodobnić.

Angela Clare’a panna Frost podsumowała krótko: „ciepłe kluchy”. I dodała na widok mojej zdziwionej miny:

– Rozgotowane spaghetti, Williamie. Wiotkie i słabe.

– Ach tak.

Pędziłem do domu ze szkoły, na łeb na szyję, by czytać, i czytałem, wbrew radom panny Frost, żebym nie połykał książek. Dzień w dzień po kolacji biegłem do biblioteki. Robiłem tak jak Richard: mieszkalem w bibliotece, zwłaszcza w weekendy. Panna Frost zwracała mi uwagę na oświetlenie, powinno być najlepsze: „Nie psuj oczu, Williamie. Będziesz potrzebował ich do końca życia, bo zapowiadasz się na czytelnika”.

Nagle miałem piętnaście lat. Przyszła pora na „Wielkie nadzieje” – po raz pierwszy chciałem przeczytać książkę drugi raz – i wyznałem pannie Frost, że chcę zostać pisarzem. (Nie było to moje jedyne pragnienie, jak wiecie, ale – na razie – drugie zachowałem dla siebie).

I nagle stałem się uczniem Akademii, a panna Frost – słusznie, jak to ona – zauważyła, jaką „przysługę” wyświadczyli mi matka i Richard Abbott. Ponieważ pobrali się latem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku, a ściśle rzecz biorąc, ponieważ Richard mnie zaadoptował – zmieniłem nazwisko z Williama Francisa Deana juniora na Williama Marshalla Abbotta. Jednym słowem, miałem zacząć naukę z nowym nazwiskiem, które dla odmiany nie budziło moich zastrzeżeń!

Richard dostał służbowe mieszkanie w budynku internatu, do którego wprowadziliśmy się z mamą po ich ślubie. Do domu dziadków na River Street, gdzie dorastałem, mieliśmy niezbyt daleko, bywałem więc tam częstym gościem. Za babcią nie przepadałem, ubóstwiałem jednak dziadka Harry’ego; oczywiście wciąż widywałem go na scenie w rolach kobiet, lecz po rozpoczęciu nauki w Favorite River rzadziej bywałem na próbach.

Nigdy nie miałem tylu lekcji do odrabiania, poza tym w szkole działał klub dramatyczny, prowadzony przez Richarda. Jego szekspirowskie ambicje przyciągnęły mnie jak magnes kosztem dotychczasowych przyzwyczajęń. Klub dramatyczny miał większą i bardziej nowoczesną scenę niż nasz kuriozalny teatrzyk. (Wyraz „kuriozalny” był dla mnie nowością. W Akademii stałem się snobem, o czym nie omieszkała poinformować mnie kiedyś panna Frost).

I jak mój pociąg do Richarda Abbotta został wyparty przez żądę, jaką wzbudziła we mnie panna Frost, tak dwoje zdolnych amatorów (dziadek Harry i ciotka Muriel) musiało ustąpić miejsca dwójce aktorów bardziej utalentowanych. Richard Abbott i panna Frost zrobili furorę. Ona zagrała nie tylko neurotyczną Heddę u boku Richarda w roli apodyktycznego asesora: jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku wystąpiła jako Nora w „Domu lalki”. Zgodnie z przewidywaniami Richarda, obsadzono go w roli jej nudnego, ograniczonego męża, Torwalda Helmera. Ciotka Muriel miesiąc nie gadała z własnym ojcem, gdyż to dziadek Harry (nie ona) dostał rolę pani Linde. Richard Abbott i panna Frost namówili Nilsa Borkmana do zagrania nieszczęsnego Krogstada – przyprawił publiczność o ciarki, będąc prawym i straceńczym zarazem.

Jednak większe wrażenie wywarło na mnie przybycie nowego nauczyciela z rodziną. Nazywali się Hadley i przyjechali na początku roku szkolnego w pięćdziesiątym szóstym ze swoją jedynaczką, wyglądającą gapowato Elaine. Pan Hadley był nowym nauczycielem historii. Pani Hadley grała na pianinie, udzielała lekcji głosu i śpiewu; prowadziła parę szkolnych chórów, a także chór Akademii. Hadleyowie zaprzyjaźnili się z Richardem i mamą, więc Elaine i ja często przebywaliśmy razem. Młodsza o rok Elaine ze swoim mikroskopijnym biustem zdawała mi się wówczas wręcz dzieckiem. (I nic nie zapowiadało poprawy, gdyż pani Hadley też przypominała deskę – nawet gdy śpiewała).

Elaine miała wadę wzroku, była dalekowidzem; w tamtych czasach ratowano się grubymi szklami, które powiększały oczy, jakby te miały zaraz wybuchnąć w czasie. Ale matka nauczyła ją śpiewać i dziewczyna miała dźwięczny, wibrujący głos oraz bezbłędną dykcję. Każda jej wypowiedź brzmiała jak pieśń – nie sposób było uronić słowa.

– Elaine ma siłę wyrazu – mawiała pani Martha Hadley, kobieta niezbyt ładna, ale bardzo miła; pierwsza zwróciła uwagę na mój problem z wypowiadaniem pewnych słów. Powiedziała mamie, że mógłbym spróbować ćwiczeń głosowych lub śpiewu, lecz jesienią pięćdziesiątego szóstego roku pochłaniało mnie czytanie. Ćwiczenia głosowe i śpiew nie interesowały mnie w najmniejszym stopniu.

Wszystkie ważne zmiany w moim życiu zbiegły się i nabrały rozpędu: w tysiąc dziewięćset

pięćdziesiątym siódmym roku, jesienią, podjąłem naukę w Akademii Favorite River; wciąż czytałem „Wielkie nadzieje” i (jak wiecie) wygadałem się pannie Frost, że chcę zostać pisarzem. Kiedy miałem piętnaście lat, Elaine Hadley była płaską jak decha czternastolatką z dalekowzrocznością, o głosie niczym dzwon.

Pewnego wrześnieowego wieczoru ktoś zastukał do drzwi służbowego mieszkania Richarda. Obowiązywała godzina nauki; uczeń mógł przyjść do nauczyciela tylko w razie choroby. Otworzyłem drzwi, przygotowany na widok chorego, zalęknionego ucznia w holu, lecz ujrzałem Nilsa Borkmana, reżysera w rozterce: stał z miną jakby zobaczył ducha, na przykład fiordolubnego znajomego z dawnych lat.

– Widziałem ją! Słyszałem, jak mówi! Byłaby idealną Jadwinia! – zawołał.

Biedna Elaine Hadley! Na swoje nieszczęścia niedowidziała, a do tego była płaska i miała tubalny głos. (W „Dzikiej kaczce” sporo mówi się o tym, że coś jest nie tak z oczami Jadwini). Elaine, bezpłciowe, elokwentne dziecko, miała dostać rolę nieszczęsnej Jadwini, i Borkman jeszcze raz poszczuje Bogu ducha winnych mieszkańców „Dziką kaczka”. I po niespodziewanym sukcesie w roli Krogstada zostanie Gregerssem.

„Żalonym moralistą”, jak nazwał go Richard Abbott.

Zawzięty, by pokazać w Gregersie idealistę, Nils Borkman do perfekcji uwypukli jego błazeństwo.

Nikt, a najmniej nawiedzony Norweg, nie potrafił wyjaśnić Elaine Hadley, czy Jadwinia chce zastrzelić dziką kaczka i przypadkowo popełnia samobójstwo, czy też – jak twierdzi doktor Relling – zabija się celowo. Tak czy inaczej, Elaine była fenomenalną Jadwinia – a przynajmniej głośną i wyrazistą.

Informacja o śmierci Jadwini miała tragikomiczny efekt. „Kula trafiła w pierś”, mówi lekarz. (Biedna Elaine nie miała piersi).

Czternastoletnia Jadwinia krzyczy: „Dzika kaczka!”, aż publiczność podskakuje na krzesłach.

Chwilę potem Jadwinia schodzi ze sceny. „Skrada się do półki, bierze z niej pistolet”, czytamy w didaskaliach. Niezupełnie. Elaine Hadley potrząsnęła bronią i z hukiem wypadła za kulisy.

Elaine się zadręczała, nie mogła bowiem pogodzić się z tym, że nie wiadomo, co się dzieje z dziką kaczka.

– Biedactwo! – lamentowała. – Jest ranna! Próbuje się utopić, ale ten wstrętny pies wylawia ją z dna. I zamykają ją na strychu! Co to za życie na strychu? A gdy Jadwinia się eliminuje, skąd wiemy, że ci stuknięci wojskowi – a nawet Hjalmar, ten buc, który tylko się nad sobą użala – po prostu jej nie zastrzelą? Żeby tak traktować ptaka!

Naturalnie wiem, że ani Ibsenowi, ani Nilowi Borkmanowi nie chodziło, by publiczność litowała się nad kaczka, lecz za sprawą melodramatycznej adaptacji niedojrzały umysł Elaine Hadley doznał trwałego uszczerbku.

Do dzisiaj nie widziałem profesjonalnej inscenizacji tego dramatu; w odpowiedniej interpretacji mogłaby okazać się nie do zniesienia. Jednak Elaine Hadley została moją serdeczną przyjaciółką i nie chcę być nielojalny, roztrząsając jej udział w sztuce. Gina (panna Frost) była najbardziej godną współczucia postacią na scenie, ale to dzika kaczka – nie widzimy jej ani przez chwilę! – zgarnęła najwięcej współczucia Elaine. Retoryczne „Co się stało z kaczka?” jeszcze dźwięczy mi w uszach. To jedno z haseł moich i Elaine. Wszystkie dzieci uczą się mówić szyfrem.

Dziadek Harry nie chciał grać w „Dzikiej kaczce”; symulował zapalenie krtani, żeby się wymigać. Poza tym miał dość dyktatorskich zapędów swojego wieloletniego współnika, Nilsa

Borkmana.

Richard Abbott okręcił sobie Akademię wokół palca: nie tylko wykładał Szekspira chłopięcej zgrai z Favorite River, ale i wystawiał na scenie, przydzielając role żeńskie dziewczętom i kobietom. (Bądź specjaliście od przebieranek pokroju Harry'ego Marshalla, który mógł przynajmniej nauczyć chłopców, jak zagrać kobietę). Richard Abbott ożenił się z moją porzuconą matką i wzbudził we mnie pociąg do własnej osoby, prócz tego odnalazł bratnią duszę w dziadku Harrym, który (zwłaszcza jako kobieta) w roli reżysera wolał Richarda zamiast melancholijnego Norwega.

W ciągu pierwszych dwóch lat, kiedy Richard Abbott grał w naszym teatryku (uczył przy tym i reżyserował Szekspira w Akademii), zdarzało się, że dziadek Harry ulegał znajomej pokusie. Na niekończącej się liście sztuk Agathy Christie do wystawienia znajdowała się niejedna o Herkulesie Poirot, grubym Belgu, który bezbłędnie umiał podpuścić mordercę do przyznania się do winy. Zarówno ciotka Muriel, jak i dziadek Harry wielokrotnie wcielali się w postać panny Marple, lecz – używając określenia tej pierwszej – na grubych Belgów mieliśmy „deficyt”.

Richard Abbott grubasów nie grał i stanowczo odmówił udziału w sztuce Agathy Christie. Nie mieliśmy Herkulesa Poirot i Nils Borkman był gotów rzucić się z fiordu.

– Mam pomysł, Nils – zagał kiedyś dziadek Harry. – Czy koniecznie musi być Herkules Poirot? Nie może być Hermiona?

Tak oto wystawiono „Czarną kawę” z dziadkiem Harrym w roli smukłej i zwinnej (prawie jak baletnica) Belgijki, Hermiony Poirot. Z sejfu ginie wzór na nowy środek wybuchowy, sir Claude zostaje otruty, i tak dalej. Nie było to nic szczególnego, jak zwykle w wypadku Agathy Christie, ale dziadek Harry w roli Hermiony przebił wszystkich.

– Agatha Christie przewraca się w grobie, ojciec – oznajmiła z dezaprobatą ciotka Muriel i na tym zakończyła temat.

– Jeszcze jak, Haroldzie! – uzupełniła babcia.

– Agatha Christie jeszcze nie umarła, Vicky – oświecił babkę dziadek, puszczając do mnie oko. – Agatha Christie żyje i ma się dobrze, Muriel.

Uwielbiałem go – zwłaszcza jako ją!

A jednak w ciągu pierwszych dwóch lat pobytu w naszym miasteczku Richard Abbott nie zdołał namówić panny Frost na gościnny występ w choćby jednej sztuce Szekspira, którą wyreżyserował w klubie dramatycznym Akademii.

– Nie sądzę, Richardzie. – Panna Frost pozostawała nieugięta. – To nie byłoby najlepsze dla tych chłopców... Są młodzi, podatni na wpływy.

– Przecież Szekspir potrafi bawić, panno Frost – perswadował Richard. – Możemy wystawić komedię.

– Nie sądzę, Richardzie – powtórzyła, jakby to kończyło sprawę. Trwała przy swoim, mając na względzie dobro „podatnych na wpływy”. Nie wiedziałem, co sądzić o jej uporze; widok panny Frost na scenie przejmował mnie dreszczem, choć nie potrzebowałem dodatkowych powodów, aby ją kochać i wielbić.

Lecz z chwilą wstąpienia na Akademię otoczyła mnie rzesza starszych chłopców; nie byli zbyt przyjaźnie nastawieni, a niektórzy nieźle namieszali mi w głowie. Darzyłem odległą fascynacją ślicznego chłopca z drużyny zapaśniczej, nie tylko z powodu jego pięknej budowy. (Mówię „odległą”, gdyż początkowo starałem się trzymać od niego z daleka – najdalej jak mogłem). To się nazywa pociąg do niewłaściwej osoby! I wcale nie miałem urojeń, że z ust starszych chłopców lawinowo padały słowa „homo”, „pedał” lub „ciota”; według mnie to najgorsze obelgi na określenie innego chłopca.

Czy te „fascynacje”, pociąg do niewłaściwych ludzi, stanowiły część genetycznego bagażu

odziedziczonego po ojcu szyfrancie? O dziwo miałem co do tego wątpliwości; uważałem, że to moja wina, bo czyż sierżant nie był notorycznym kobieciarzem? Nie nazwała go tak moja wojownicza kuzynka? Niewykluczone, że słyszała to od wuja Boba lub ciotki Muriel. (Czy „kobieciarz” nie brzmiało jak żywcem wyjęte z ust tej ostatniej?).

Pewnie mogłem porozmawiać o tym z Richardem, ale tego nie zrobiłem; nie zdobyłem się też na rozmowę z panną Frost. Nowe, nieszczęsne pociągi zachowałem dla siebie, jak to dzieci często mają w zwyczaju.

Zacząłem unikać biblioteki. Chyba przeczuwałem, że panna Frost domyśla się moich zrad nawet tych wyimaginowanych. Jakkolwiek by na to spojrzeć, pierwsze dwa lata w Akademii spędziłem, bujając w obłokach, a szkolna biblioteka była bardziej nowoczesna i lepiej oświetlona niż miejska. Odrabiałem tam lekcje i podejmowałem pierwsze literackie próby.

Czy byłem jedynym chłopcem w męskiej szkole, któremu zapasy dostarczały homoerotycznej podniety? Wątpię, ale tacy jak ja chodzili ze spuszczoną głową.

Po cichej fascynacji tym lub innym chłopcem przyszła kolej na masturbację z udziałem wysyłkowych katalogów z bielizną należących do matki. Moją uwagę przykuwały reklamy staników oraz pasów do pończoch. W drugim wypadku modelkami były głównie starsze kobiety. Dało mi to przedsmak twórczego pisania, przynajmniej pod kątem „wytnij i wklej”. Otóż wycinałem twarze starszych kobiet i zaklejałem nimi buzie młodocianych modelek, reklamujących dziewczęce staniki. Tym samym ożywiałem pannę Frost, choć (jak większość innych rzeczy) jedynie w fantazji.

Rówieśnice raczej mnie nie interesowały. Interesowała mnie za to płaska, nieładna pani Hadley – pewnie dlatego, że była pod ręką i szczerze interesowała się mną (lub, jak kto woli, moimi zaburzeniami mowy).

– Z jakimi wyrazami masz największy problem, Billy? – zapytała kiedyś, gdy wraz z panem Hadleyem (i Elaine z głosem jak dzwon) przyszła do nas na kolację.

– Z „biblioteką” – odezwała się Elaine głośno i wyraźnie, jak zwykle. (Mimo zera pociągu do Elaine, intrygowała mnie pod innymi względami. Nigdy nie wyśmiewała moich przejęzyczeń i sprawiała wrażenie tak samo chętnej do pomocy jak matka).

– Mówiłam do Billy’ego, Elaine – upomniała pani Hadley.

– Myślę, że Elaine wie lepiej ode mnie, które słowa sprawiają mi problem – odpowiedziałem.

– Zawsze zjada końcówkę w wyrazie „złowieszczość” – podjęła Elaine.

– I mówię „penif” – zaryzykowałem.

– Ach tak. – Pani Hadley pokiwała głową.

– Nawet nie pytaj o liczbę mnogą – dorzuciła Elaine. Gdyby Akademia Favorite River przyjmowała wówczas dziewczęta, Elaine Hadley i ja zaprzyjaźnilibyśmy się szybciej, niż to nastąpiło, ale uczęszczaliśmy do innych szkół. Widywaliśmy się tylko dzięki rodzicom, którzy bardzo się polubili.

Zdarzało się więc, że staniki treningowe w katalogach wysyłkowych wieńczyła swojska twarz pani Hadley – i myślałem o jej płaskiej piersi.

W szkolnej bibliotece, gdzie rodził się we mnie pisarz – a przynajmniej zrodzić się chciał – szczególnie upodobałem sobie salę z okazałą kolekcją roczników Akademii. Inni uczniowie traktowali ją obojętnie; czasem tylko zastawałem tutaj kogoś z nauczycieli, zajętego lekturą lub ocenianiem prac.

Akademia Favorite River była szkołą z tradycją; założono ją w dziewiętnastym wieku. Lubilem przeglądać stare roczniki. (Może cała przeszłość skrywała tajemnice; wiedziałem, że moja na pewno). Wyobrażałem sobie, iż w ten sposób dojrnę do ostatniego roku, lecz nie wcześniej niż wiosną. Jesienią, będąc na pierwszym roku, sięgnąłem do dokumentów z tysiąc

dziewięćset czternastego i piętnastego roku. Trwała pierwsza wojna; uczniowie Favorite River musieli być przerażeni. Przyglądałem się uważnie twarzom przyszłych absolwentów, czytałem o ich wymarzonych uczelniach, ambicjach zawodowych; sporo było niezdecydowanych, nie wiedzieli jeszcze jaką drogą chcą pójść. Prawie wszyscy seniorzy mieli przewiska, nawet wtedy.

Z dużą uwagą przeglądałem zdjęcia drużyny zapaśniczej, z nieco mniejszą członków klubu dramatycznego; w tym drugim wypadku wielu chłopców miało makijaże i było przebranych za kobiety. Wyglądało, że drużyna zapaśnicza i klub dramatyczny istniały w Akademii od zawsze. (Pamiętajcie, że przeglądałem te roczniki jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku; hołubioną tradycję męskich szkół z internatem kultywowano jeszcze w latach sześćdziesiątych).

Chyba lubiłem tę czytelnię z rocznikami i nauczycielem na dokładkę, ponieważ nigdy nie spotkałem tam innych uczniów – mówiąc krótko, nikt się nie czepiał i nie mącił mi w głowie. Własny pokój u mamy i Richarda to istny dar od losu. W internacie nie było jednoosobowych pokoi. Nie wyobrażam sobie, jakie szykany lub inne, subtelniejsze formy okrucieństwa czekałyby mnie ze strony współlokatora. I co począłbym z katalogami wysyłkowymi matki? (Cierpiałem na samą myśl, że nie mógłbym się onanizować – Boże uchronij!).

Jako siedemnastolatek jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku nie miałem powodu, by zaglądać do miejskiej biblioteki – a przynajmniej powodu, który śmiałym wyrazić. Znalazłem ustronie; w czytelni mogłem pisać lub marzyć. Lecz tęskniłem za panną Frost. Oglądanie jej tylko na scenie mnie nie zadowalało, a że opuszczałem próby teatryku, widziałem ją tylko na przedstawieniach, których było „co kot napłakał”, jak powiedziałyby moja elokwentna babka.

Mogłem porozmawiać o tym z dziadkiem Harrym; zrozumiałby mnie na pewno. Mogłem opowiedzieć mu o swojej tęsknocie za panną Frost, o pociągu do niej i starszych chłopców, a nawet najwcześniejszym, niestosownym pociągu do ojczyma. Lecz nie pisałem ani słowa – na razie.

Czy Harry Marshall był prawdziwym transwestytą? Czy dla niego było to coś więcej niż okazjonalne przebieranki? Czy dzisiaj nazwalibyśmy mojego dziadka kryptogejem, który grał żeńskie role, bo nie mógł się spełnić inaczej? Naprawdę nie wiem. Jeśli moje pokolenie było uciśnione, a było, mogę sobie tylko wyobrazić, że pokolenie dziadka – bez względu na jego faktyczną orientację – musiało siedzieć jak mysz pod miotłą.

Dlatego wówczas zdawało mi się, że na tęsknotę za panną Frost nie ma lekarstwa innego niż pretekst, aby ją spotkać. (Jeśli miałem zostać pisarzem, musiałem wykombinować wiarygodny pretekst do ponownego odwiedzenia biblioteki miejskiej). Dlatego wymyśliłem bajeczkę, że pisać mogę tylko tam, gdzie nie będą mi przeszkadzać szkolni koledzy. Może panna Frost się nie domyśli, że kolegów mam jak na lekarstwo i są tak samo bojaźliwi jak ja: nikomu nie odważyliby się przeszkadzać.

Ponieważ wyznałem pannie Frost, że chcę zostać pisarzem, może przełknie to, iż chcę spróbować swoich sił w miejskiej bibliotece. Wiedziałem, że wieczorem będzie tam jedynie garstka starszych osób, nie licząc delegacji zgębionych licealistek z Ezra Falls. Nie było zagrożenia, że ktokolwiek mi przeszkodzi. (Zwłaszcza dzieci).

Bąłem się, że panna Frost mnie nie rozpozna. Zacząłem już się golić i dostrzegałem w sobie pewną zmianę – w swoim mniemaniu byłem prawie dorosły. Musiała wiedzieć, że zmieniłem nazwisko, i przez ostatnie dwa lata widywała mnie sporadycznie za kulisami lub na widowni. Na pewno wiedziała, że jestem synem suflerki – „tym chłopcem”.

Gdy zjawiłem się w bibliotece – nie aby wypożyczyć książkę, czy choćby poczytać, ale żeby popracować nad własnym tekstem – panna Frost długo nie mogła oderwać ode mnie wzroku.

Pomyślałem, że mnie nie pamięta, i serce mało mi nie pękło, ale pamiętała więcej, niż myślałem.

– Wszelki duch Pana Boga chwali... William Abbott. Rozumiem, że chcesz przeczytać „Wielkie nadzieje” rekordowy trzeci raz.

Wyznałem, że nie przyszedłem tutaj czytać. Przyszedłem, aby uciec od kolegów – i pisać.

– Przyszedłeś do biblioteki, aby pisać – powtórzyła. Przypomniałem sobie, iż panna Frost miała zwyczaj powtarzania słów rozmówcy. Nana Victoria była zdania, że dzięki temu może przeciągnąć nieco wymianę zdań. (Ciotka Muriel uważała, że nikt nie lubi rozmawiać z panną Frost).

– Tak jest – potwierdziłem. – Chcę pisać.

– Ale dlaczego w bibliotece?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nasunęło mi się słowo (a zaraz potem kolejne), i stremowany palnąłem:

– Nostalgia. Może czuję nostalgię.

– Nostalgia! – zawołała panna Frost. – Czujesz nostalgię! Ile ty masz lat, Williamie?

– Siedemnaście.

– Siedemnaście! – krzyknęła przeraźliwie. – No cóż, Williamie Dean... wybacz, chciałam powiedzieć Williamie Abbott... skoro w wieku siedemnastu lat czujesz nostalgię, może jednak będziesz pisarzem!

Ona pierwsza to powiedziała – i przez jakiś czas pierwsza wiedziała, kim chcę być – a ja jej uwierzyłem. W owym czasie była dla mnie najszczerzą osobą, jaką widział świat.

Rozdział 3 MASKARADA

Zapaśnik o najpiękniejszym ciele nazywał się Kittredge. Miał bezwłosą klatkę piersiową o niedorzecznie rzeźbionej muskulaturze; wyglądał jak gladiator z komiksu. Od pępka w dół biegł wąski pasek ciemnobrązowych, prawie czarnych włosów, a okazały członek, można rzec, spełniał wymogi uroczych penisów – jak ja nie cierpię liczby mnogiej! Jego penis zbaczał lekko w stronę prawego uda, jak wskaźnik. Nie miałem kogo spytać, co oznacza owa prawicowość Kittredge’owskiego penisu. Pod prysznicem, w szatni, spuszczałem wzrok, nie patrząc wyżej jego mocnych, owłosionych nóg.

Kittredge miał obfity zarost, lecz idealną cerę i był przeważnie gładko ogolony. Najbardziej olśniewał mnie z dwu, trzydniową szczecina, gdy wyglądał na starszego od innych uczniów, a nawet niektórych nauczycieli – w tym Richarda Abbotta i pana Hadleya. Jesienią grał w piłkę nożną, a wiosną w lacrosse, lecz największe pole do popisu miał w zapasach, które zdawały się iść w parze z jego wrodzonym okrucieństwem.

Wprawdzie rzadko widziałem, żeby się nad kimś znęcał – to znaczy, fizycznie – był jednak agresywny i zawzięty, a jego sarkazm ciął jak brzytwa. W hermetycznym świecie męskiej szkoły z internatem Kittredge święcił triumfy jako atleta, lecz najbardziej utkwiła mi w pamięci jego zgrzyliwość. Celował w zadawaniu werbalnego cierpienia i nikt nie odważył się mu podskoczyć. Jeśli nim gardziłeś, trzymałeś głowę na kłódkę. Ja nienawidziłem go i uwielbiałem. Niestety, moja nienawiść nie umniejszała pociągu do jego osoby; cierpiałem przez całą третią klasę – kiedy on był w ostatniej – święcie przekonany, że pozostał mi tylko rok męczarni. Odliczałem godziny do dnia, gdy jego bliskość przestanie być dla mnie źródłem udreki.

Pech chciał, że mój krzyż miałem dźwigać dalej: Kittredge nie zaliczył języka obcego i został w szkole piąty rok. Mieliśmy chodzić do jednej klasy. Nie tylko wyglądał wówczas na starszego od reszty uczniów, naprawdę był starszy.

Na początku naszej wspólnej niedoli nie dosłyszałem jego imienia i sądziłem, że wszyscy mówią na niego „Jock”^[5]. Pasowało. Naturalnie uznałem, że „Jock” to ksywa – ktoś tak popularny jak Kittredge musiał ją mieć. Lecz naprawdę miał na imię Jacques.

„Żak”, nazywaliśmy Kittredge’a. W swoim oczarowaniu roilem sobie, że wszyscy koledzy są nim tak samo zafascynowani jak ja, a francuskie brzmienie przezwiska to zasługa jego urody!

Urodził się i dorastał w Nowym Jorku, gdzie pracował jego ojciec, biegły w międzynarodowej bankowości i kwestiach prawniczych z tym związanych. Matka Kittredge’a była Francuzką. Miała na imię Jacqueline, co po francusku było żeńskim odpowiednikiem Jacques’a. „Moja mama, która raczej nie jest moją prawdziwą mamą, nie grzeszy skromnością”, mawiał często Kittredge – jakby sam nią grzeszył. Zastanawiałem się, czy to próżność pchnęła Jacqueline Kittredge do nazwania syna jedynaka własnym imieniem.

Widziałem ją raz, na meczu zapaśniczym. Podziwiałem jej strój. Na pewno była piękna, chociaż moim zdaniem nie tak urodziwa jak syn. W jej twarzy uderzył mnie nieco męski wygląd: miała rzeźbione, twarde rysy, a nawet wydatny podbródek syna. Jakim cudem Kittredge nie wierzył, że go urodziła? Przypominał ją do złudzenia.

– Wygląda jak Kittredge z biustem – zawyrokowała Elaine Hadley głosem jak dzwon, w którym pobrzmiwała niezbita pewność. – Musi być jego matką – dodała. – Lub przynajmniej dużo starszą siostrą. Daj spokój, Billy: gdyby byli rówieśnikami, mogliby uchodzić za bliźnięta!

Elaine i ja nie odrywaliśmy oczu od matki Kittredge’a, co jej zupełnie nie przeszkadzało. Mając tak wyraziste rysy, sterczące piersi i piękny strój, pani Kittredge raczej przywykła do obstrzału spojrzeń.

– Ciekawe, czy depiluje sobie twarz.

- Po co miałyby to robić? – spytała Elaine.
- Wyobrażam ją sobie z wąsami – odparłem.
- No, ale z bezwłosą klatą, jak on – stwierdziła Elaine.

Podejrzewam, że olśniła nas z uwagi na uderzające podobieństwo do syna, olśniewała jednak niezależnie od tego w sposób zgoła niepokojący. Była pierwszą starszą kobietą, przy której poczułem się zbyt młody i niedoświadczony, by ją zrozumieć. Pomyślałem sobie, że to przytłaczające doświadczenie mieć taką matkę – nawet dla Kittredge’a.

Kittredge wpadł Elaine w oko, sama mi powiedziała. (Wstyd, oboje zapamiętaliśmy jego klatę). Tamtej jesieni tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku, gdy miałem siedemnaście lat, ukrywałem przed nią moje fascynacje; jeszcze nie zdobyłem się na odwagę, aby jej wyznać, że panna Frost i Jacques Kittredge mnie kręcą. I czy mógłbym opowiedzieć Elaine o żenującym pociągu do jej matki? Tak jest: czasem wciąż onanizowałem się na cześć swojskiej, płaskiej Marthy Hadley – wysokiej, grubokościstej kobiety o długich ustach z wąskimi wargami, której pociągłą twarz doprawiałem młodocianym modelkom w stanikach z katalogów wysyłkowych mojej matki.

Może Elaine ucieszyłaby się, że też usycham z żądzy do Kittredge’a, który na początku był dla niej tak samo bezlitosny i obojętny (bądź jedno i drugie) jak dla mnie, choć ostatnio traktował nas nieco lepiej – odkąd Richard Abbott obsadził naszą trójkę w „Burzy”. Rolę Prospera rozsądnie pozostawił sobie, gdyż wśród uczniów nie było chłopca, który potrafiłby należycie wcielić się w rolę „prawowitego księcia Mediolanu”, jak nazwał go Szekspir. Dwanaście lat na wyspie wyostrzyło zdolności magiczne Prospera i mało kto z nastolatków umiałby dać temu wyraz na scenie.

Niech będzie: może Kittredge dałby radę. Przypadła mu rola seksownego Ferdynanda i wiarygodnie zagrał miłość do Mirandy, choć udręce Elaine Hadley, która ją grała, nie było końca.

„Nie chcę mieć innego towarzysza prócz ciebie”^[6], mówi Ferdynandowi Miranda.

A Ferdynand odpowiada: „Ponad wszystko, co świat w sobie mieści, kocham cię, czczę i wielbię”.

Jak musiało być jej ciężko słuchać tego na próbach, po czym znosić obojętność (lub wzgardę) Kittredge’a, ilekroć spotykała go poza sceną. „Trochę lepsze” traktowanie nie znaczyło, że Kittredge wciąż nie bywał wstrętny.

Mnie przypadła rola Ariela, którego Szekspir nazywa „zwiewnym duchem”.

Nie, nie sędzę, aby Richard wykazał szczególną przenikliwość co do mojej nieukształtowanej jeszcze orientacji seksualnej. Oznajmił trupie, że płęć Ariela jest „polimorficzna i pozostaje raczej kwestią stroju niż czynników organicznych”.

Od pierwszego „Wchodzi Ariel” (akt pierwszy, scena druga), Ariel mówi do Prospera: „Witaj, czcigodny panie! Jestem gotów do wszelkich usług (...) każde zadanie wypełni Ariel z kohortą swych duchów”. Richard zwrócił uwagę obsady – zwłaszcza moją – że Ariel mówi o sobie w rodzaju męskim.

Na moje nieszczęście Prospero rozkazuje Arielowi: „Przemień się w nimfę morską – niewidzialną dla wszelkich oczu prócz moich i twoich”.

Niestety, dla publiczności nie byłem niewidzialny. Słowa „Wchodzi Ariel w postaci nimfy wodnej” zawsze wzbudzały huragan śmiechu – jeszcze zanim wystąpiłem w kostiumie i charakteryzacji. I Kittredge zaczął nazywać mnie „Nimfą”.

Pamiętam dokładnie, jak to ujął Richard: „Utrzymać płęć Ariela jest łatwiej niż wystroić chłopaka w babski strój”. (Kiedy właśnie w babski strój, a przynajmniej perukę, byłem wystrojony!).

Uwadze Kittredge’a nie umknęło też, kiedy Richard powiedział: „Możliwe, że Szekspir

widział ciągłość od Kalibana, przez Prospera do Ariela, jako rodzaj duchowej ewolucji. Kaliban to woda i ziemia, zwierzęca siła w prymitywnym i podstępny wymiarze. Prospero to ludzka kontrola i przenikliwość, alchemik w najczystszy wydaniu. Za to Ariel... – Richard uśmiechnął się do mnie, co też nie uszło bystrym oczom Kittredge'a. – ...Ariel to duch powietrza i ognia, wolny od ziemskich spraw. Może Szekspir wyszedł z założenia, że przedstawienie Ariela jako kobietę podważy ideę owej ciągłości. Moim zdaniem płeć Ariela jest ambiwalentna”.

– Innymi słowy, wszystko zależy od reżysera? – upewnił się Kittredge.

Nasz reżyser i nauczyciel zmierzył go przezornym spojrzeniem.

– Płeć aniołów też jest ambiwalentna – odparł. – Tak, wszystko zależy od reżysera.

– Ale jak ma wyglądać tak zwana nimfa wodna? – dążył Kittredge. – Jak dziewczyna, prawda?

– Niewykluczone – odpowiedział czujnie Richard.

Próbowałem sobie wyobrazić, jak przebiorą mnie za niewidzialną wodną nimfę, ale w życiu się nie spodziewałem peruki w kolorze wodorostów ani szkarłatnych trykotów zapaśniczych. (Szkarłat i srebrna szarość – „trupia szarość”, jak nazywał ją dziadek Harry – były ulubionymi kolorami Akademii Favorite River).

– Zatem płeć Billy'ego jest... ambiwalentna – podsumował z uśmiechem Kittredge.

– Nie Billy'ego... Ariela – uściślił Richard.

Ale Kittredge dopiął swego i słowo „ambiwalentna” na zawsze zapadło obsadzie w pamięć. „Nimfa”, ochrzcił mnie Kittredge i przezwisko przyłgnęło. Zostały mi dwa lata Akademii i miałem je spędzić jako Nimfa.

– Nieważne, w co się przebierzesz, Nimfo – powiedział mi na osobności. – Nigdy nie będziesz taką laską jak twoja matka.

Miałem świadomość urody mamy oraz – w wieku siedemnastu lat – tego, jak patrzyli na nią moi koledzy z męskiej szkoły. Ale żaden nie ośmielił się nazwać ją „laską” i jak zawsze w konfrontacji z Kittredge'em zabrakło mi języka w gębie. Dam głowę, że słowo „laska” nie znajdowało się jeszcze w powszechnym użyciu – nie w tym kontekście. Lecz aluzja Kittredge'a nie budziła wątpliwości.

Kiedy mówił o swojej matce, co nieczęsto mu się zdarzało, zwykle poruszał kwestię prawdopodobnej zamiany.

– Być może moja prawdziwa mama zmarła przy porodzie – dywagował. – Ojciec znalazł w tym samym szpitalu pannę z dzieckiem (które urodziło się martwe, o czym nie wiedziała), kobietę, która wyglądała jak moja matka. I nastąpiła zamiana. Stary byłby do tego zdolny. Nie twierdzę, że ta kobieta wie, iż jest moją macochą. Może nawet wierzy, że to mój ojciec jest ojczymem! Pewnie faszrowali ją wówczas lekami; miała depresję, może myślała o samobójstwie. Nie wątpię, że wierzy, iż jestem jej synem, po prostu nie zawsze zachowuje się jak matka. Robi różne sprzeczne rzeczy... sprzeczne z macierzyństwem. Mówię tylko, że w relacjach z kobietami – wszystkimi – ojciec zawsze wychodził na swoje. On tylko dobija targu. Ta kobieta może wygląda jak ja, ale nie jest moją matką... Nie jest niczyją matką.

– Kittredge wypiera prawdę – stwierdziła Elaine. – Ta kobieta wygląda jak jego matka i ojciec razem wzięci!

Gdy powtórzyłem Elaine Hadley, co Kittredge powiedział o mojej mamie, zaproponowała, abym przedstawił mu nasz pogląd na jego matkę – wyrobiliśmy go sobie, obserwując bezwstydnie Jacqueline Kittredge na meczu.

– Powiedz mu, że jego mama wygląda jak on z cycami – poradziła.

– Sama mu powiedz – odparowałem; oboje wiedzieliśmy, że tego nie zrobimy. Elaine też za nic w świecie nie podjęłaby tego tematu.

Bała się go prawie tak samo jak ja – a słowo „cycki” nie przeszłoby jej przy nim przez gardło. Bolesnie zdawała sobie sprawę z własnej płaskiej piersi. Nie była swojska jak mama, tylko chuda, niewydarzona i płaska, ale miała za to ładną twarz i w przeciwieństwie do matki nigdy nie będzie grubokoścista. Ujmowała delikatnością, przez co jej głos-jak-dzwon zaskakiwał tym bardziej. A jednak Kittredge paraliżował ją tak, że chrypiała, mamrotała lub gadała bez ładu i składu. Bała się, że zacznie huczeć. „Od Kittredge’a parują mi okulary”, mawiała.

Ich pierwsze spotkanie na scenie – w rolach Ferdynanda i Mirandy – było niczym iluminacja: dwojga dusz tak zwróconych ku sobie nie widział świat. Zobaczywszy Mirandę, Ferdynand nazywa ją „cudem”, pytając, czy jest „żywym dziewczęciem”.

„Nie jestem cudem, lecz żywą dziewczyną – z pewnością”, odpowiada Elaine (jako Miranda) dźwięcznym, wibrującym głosem. Lecz poza sceną Kittredge dokuczał jej z powodu donośnego głosu. Bądź co bądź, Elaine miała dopiero szesnaście lat; Kittredge był osiemnastolatkiem, któremu niebawem stuknie trzydziestka.

Któregoś wieczoru po próbie Elaine i ja wracaliśmy do internatu – Hadleyowie mieszkali w tym samym budynku, co Richard Abbott i mama – gdy naraz Kittredge wyrósł jak spod ziemi obok nas. (To była jego specjalność).

– Ale z was para – powiedział.

– Nie jesteśmy parą! – burknęła Elaine, głośniejsz niż zamierzała.

Kittredge zachwiał się na niby jak pod niewidzialnym ciosem i zatkał uszy.

– Muszę cię ostrzec, Nimfo: uważaj, bo stracisz słuch. Gdy ta panienka przeżyje pierwszy orgazm, lepiej miej w uszach zatyczki. Na waszym miejscu nie robiłbym tego w internacie, wszyscy usłyszą. – Z chytrym uśmieszkiem skrzył w inną, ciemniejszą drogę. Mieszkał w internacie dla sportowców, bliżej sali gimnastycznej.

W mroku nie widziałem, czy Elaine poczerwieniła. Zdążyłem musnąć jej twarz, zanim odepchnęła moją rękę; nie płakała, ale miała rozpalony policzek.

– Jeszcze długo nikt nie doprowadzi mnie do orgazmu! – krzyknęła za Kittredge’em.

Znajdowaliśmy się na dziedzińcu; w okolicznych oknach paliły się światła i wkoło rozległy się wiwaty – jakby stu niewidocznych chłopców podchwyciło słowa Elaine. Ale język plątał jej się w chwilach wzburzenia i miałem wątpliwości, czy Kittredge (bądź ktokolwiek inny) zrozumiał, o co jej chodzi. Myliłem się, choć jej okrzyk brzmiał z grubsza „W ługu nie godzi się mieć spazmu”. (Lub coś równie bzdurnego).

Ale Kittredge usłyszał, co trzeba, i z ciemności dobiegł jego słodki, sarkastyczny głos. Na domiar złego mówił głosem Ferdynanda, choć Elaine (w tamtej chwili) daleko było do Mirandy.

– O, jeżeli jesteś dziewicą, jeśli serce twoje wolne, uczynię cię królową Neapolu. – Tak przysięga Ferdynand i tak brzmiał zalotny okrzyk Kittredge’a. W internacie zapadła cisza, jakby na dźwięk jego głosu chłopcy zamarli w ogłupiałym, nabożnym milczeniu. – Dobranoc, Nimfo! – zawołał. – Dobranoc, Neapolu!

Tym sposobem Elaine Hadley i ja zyskaliśmy przyzwiska. Zaszczyt był wątpliwy, miał jednakże długotrwały i traumatyczny charakter.

– Cholera – odezwała się Elaine. – Mogło być gorzej: mógł mnie nazwać „dziewczęciem” albo „dziewicą”.

– Elaine? Jesteś moją prawdziwą przyjaciółką.

– „Wstrętnym niewolnikiem” – burknęła, aż się echo poniosło, jakby pies szczeknął. Oboje wiedzieliśmy, że Miranda mówi tak do Kalibana – „dzikiego i pokracznego niewolnika”, jak nazywa go Szekspir, lecz Kaliban nie jest bez reszty potworem.

„Targnąłeś się na cnotę mojej córki”, łaje go Prospero.

Kaliban nie zaprzecza. Nienawidzi Prospera i jego córki („niech cię opadną chrząszcze,

nietoperze, ropuchy”), chociaż niegdyś pożądał Mirandy i chciał „zaludnić” wyspę małymi Kalibankami. Jest zdecydowanie płci męskiej, przy czym jego człowieczeństwo stoi pod znakiem zapytania.

Kiedy błazen Trinkulo zauważa Kalibana, mówi: „A to co znowu? Człowiek czy ryba? Żywe toto czy nieżywe?”.

Wiem, że Elaine wygłupiała się tylko, mówiąc do mnie słowami Mirandy, ale gdy znaleźliśmy się w pobliżu domu, w świetle padającym z okna zobaczyłem, że płacze. Wystarczyła minuta lub dwie, a kpiące słowa Kittridge’a/Ferdynanda sięgnęły celu.

– Jesteś moim jedynym przyjacielem! – wykrztusiła.

W przyprawie współczucia otoczyłem ją ramieniem, ku dalszej uciecze niewidocznego auditorium. Wiedziałem, że ten wieczór jest początkiem maskarady? Świadomie dawałem kolegom do zrozumienia, że Elaine Hadley to moja dziewczyna? Czy nawet wówczas grałem? Świadomie czy nie, robiłem z Elaine Hadley swoją przykrywkę. Na chwilę zamydlę oczy Richardowi Abbottowi i dziadkowi Harry’emu – nie wspominając o panu Hadleyu i jego swojskiej żonie oraz (choć w mniejszym stopniu i niezbyt długo) mojej mamie.

Tak, czułem przez skórę, że mama się zmienia. Kiedy byłem mały, okazywała mi dużo czułości. Dorastając, zachodziłem w głowę, co się stało z małym chłopcem, którego dawniej kochała.

Rozpocząłem nawet wczesną powieść tym wymęczonym, rozwlekłym zdaniem: „Wedle słów matki, byłem pisarzem, zanim cokolwiek napisałem, czyli nie tylko zmyślałem i koloryzowałem, ale przedkładałem to nad coś, co na ogół preferują inni ludzie, a mianowicie rzeczywistość”.

Mama nie miała dobrego zdania o „zmyślaniu”. Fikcję uważała za frywolną, a nawet jeszcze gorzej.

Kiedyś w Boże Narodzenie – były to chyba pierwsze święta, na które po kilkuletniej nieobecności przyjechałem do Vermont – skrobałem coś w zeszycie, a mama spytała:

– Co ty znowu piszesz, Billy?

– Powieść – odpowiedziałem.

– Oho, ktoś tutaj się ucieszy – powiedziała nagle pod adresem dziadka Harry’ego, który zaczynał tracić słuch, po latach pracy w tartaku, jak sądzę.

– Ja? A czemu ja miałbym się ucieszyć, że Billy pisze kolejną powieść? Nie, żeby ostatnia mi się nie podobała, bo podobała jak cholera, Billy! – zapewnił pospiesznie.

– Jasne – odparła moja matka. – Powieści to też forma przebieranek, prawda?

– No cóż... – Dziadek Harry nie dokończył. Z wiekiem zaczął urywać w pół zdania, zdarzało mu się to coraz częściej.

Znam to uczucie. Gdy jako nastolatek zacząłem wyczuwać, że mama nie traktuje mnie tak łaskawie jak kiedyś, nabrałem zwyczaju przełykania tego, co chciałem powiedzieć. Ale to już przeszłość.

Po wielu latach, długo po rozstaniu z Akademią Favorite River i u szczytu mojego zainteresowania transwestytami – w tym sensie, że się z nimi spotykałem, nie będąc jednym z nich – podczas kolacji z Donną opowiedziałem jej, że dziadek występował na scenie jako kobieta.

– Tylko na scenie? – upewniła się.

– O ile mi wiadomo – odpowiedziałem, ale nie potrafiłem zataić prawdy. Donna miała to do siebie, że kłamstwo wyczuwała na kilometr.

Nana Victoria nie żyła od ponad roku, gdy dowiedziałem się od Richarda, że dziadek Harry za nic w świecie nie chce rozstać się z jej ubraniami. (Oczywiście w tartaku Harry Marshall wciąż

ubierał się jak drwal).

Wyznałem Donnie, że dziadek Harry spędzał wieczory w ubraniach zmarłej żony – przynajmniej w zaciszu swojego domu przy River Street. Przemilczałem fragment o jego perypetiach tekstylnych w domu spokojnej starości, który (przed laty) ufundował z Nilsem Borkmanem w First Sister. Pozostali pensjonariusze wnieśli skargę, że Harry ustawicznie nachodzi ich w przebraniu. (Jak wyzna mi któregoś dnia: „Chyba zauważyłeś, że ciemne i konwencjonalne jednostki traktują to ze śmiertelną powagą”).

Szczęściem, kiedy Richard Abbott powiadomił mnie o awanturze w ośrodku, dom dziadka Harry’ego jeszcze nie został sprzedany. Richard i ja niezwłocznie przenieśliśmy dziadka w znajome otoczenie, gdzie przeżył z babcią tyle lat. Odzież nany Victorii wróciła wraz z nim, a pielęgniarka, którą zatrudniliśmy do całodobowej opieki, wykazała zrozumienie dla trwałej transformacji Harry’ego w kobietę, gdyż z rozrzewnieniem wspominała jego kreacje na scenie.

– Czy przebieranki kiedykolwiek były dla ciebie solą w oku, Billy? – spytała mnie kiedyś Donna.

– Nie bardzo.

Mój pociąg do transseksualistów miał dość ukierunkowany charakter. (Przepraszam, ale określenie „transgenderyzm” weszło w obieg dopiero w latach osiemdziesiątych). Transwestytów traktowałem obojętnie, transseksualiści zaś musieli być „wiarygodni” – jeden z przymiotników, z którymi nadal mam problem. Co więcej, musieli mieć naturalne piersi – dopuszczałem hormony, w przeciwieństwie do implantów – i oczywiście niewielkich rozmiarów.

Donna przywiązywała dużą wagę do swojej kobiecości. Była wysoka, ale chuda – miała nawet szczupłe ramiona – a do tego idealnie gładką skórę. (Znałem wiele kobiet bardziej owłosionych niż ona). Zawsze dbała o fryzurę; była wytworna.

Miała kompleks za dużych dłoni, choć nie były tak duże i silne jak panny Frost. Nie lubiła, gdy trzymaliśmy się za ręce, bo miałem mniejsze.

Pochodziła z Chicago i próbowała zaczepić się w Nowym Jorku – po naszym zerwaniu słyszałem, że przeniosła się do Toronto – ale święcie wierzyła, że dla kogoś takiego jak ona wymarzone miejsce jest Europa. Zabierałem ją na promocje moich książek, kiedy tłumaczono je na europejskie języki. Twierdziła, że Europa jest bardziej wyrozumiała względem transseksualistów – generalnie była bardziej otwarta i wyrafinowana zarazem – przy czym nauka języka stanowiła dla niej barierę nie do pokonania.

Nie ukończyła studiów, bo jej „kryzys tożsamości seksualnej” przypadł właśnie na owe lata i nie wierzyła w swój potencjał intelektualny. To kompletna bzdura, bo bez przerwy czytała – miała głowę na karku – jednak pewne lata przeznaczamy na edukację i Donna uparła się, że straciła je kosztem trudnej decyzji o zostaniu kobietą.

Najchęćliwsza była w Niemczech, gdzie znałem język – to znaczy nie tylko tam, ale również w Austrii i niemieckojęzycznej Szwajcarii. Uwielbiała Zurych; tak jak wszyscy uważała go za zamożne miasto. Kochała też Wiedeń, który pamiętałem jeszcze (nieco) z czasów studenckich. Lecz najbardziej zachwycał ją Hamburg – zdaje się, że uważała go za najbardziej eleganckie niemieckie miasto.

W Hamburgu zawsze lokowano mnie w Vier Jahreszeiten; sądzę, że to dzięki niemu Hamburg urósł tak bardzo w oczach Donny. Ale potem przyszedł tamten okropny wieczór, po którym spojrzała na Hamburg – i na mnie – zupełnie inaczej.

Zaczęło się niewinnie. Dziennikarz, który robił ze mną wywiad, zaprosił nas do nocnego klubu na Reeperbahn. Nie znałem ulicy ani nie wiedziałem, co to za klub, ale dziennikarz oraz jego żona, albo dziewczyna, zaprosili Donnę i mnie na show. Nazywali się Klaus (przez „k”) i Claudia (przez „c”); pojechaliśmy razem taksówką.

Powiniennem połapać się zaraz po wejściu na widok chudych chłopców przy barze. Był to „Transvestiten-Cabaret” – show z udziałem transwestytów. (Domyślam się, że młodzieńcy przy barze byli chłopakami artystów; raczej nie był to typowy klub, gdyż geje nie rzucali się w oczy).

Przedstawienie stanowiło atrakcję dla seks turystów. Mężczyźni przyjeżdżali się pośmiać, a kobiety nacieszyć oczy widokiem penisów. Artyści byli komikami; mieli pełną świadomość własnej męskości. Nie byli nawet w połowie tak przekonujący jak moja kochana Donna; mieliśmy przed sobą staroświeckich transwestytów, którym nie zależało, by uchodzić za kobiety. Byli starannie umalowani i poprzebierani; owszem, przystojni, ale jako mężczyźni przebrani za kobiety. W perukach i sukienkach byli mężczyznami o zniewieściałym wyglądzie, lecz nikogo nie nabierali – i mieli to w nosie.

Klaus i Claudia jak widać nie mieli pojęcia, że Donna należy do ich grona (choć była bardziej wiarygodna i nieporównywalnie bardziej zaangażowana).

– Nie wiedziałem – szepnąłem do Donny. – Słowo daję. Przepraszam.

Zaniemówiła. Nie przyszło jej do głowy – były lata siedemdziesiąte – iż jednym z dowodów na otwartość i wyrafinowanie Europy w kontekście trudnych decyzji co do tożsamości seksualnej było to, że Europejczycy tak dalece oswoili się z tematem, iż zaczęli sobie z niego stroić żarty.

Widok dworujących z siebie artystów musiał boleśnie dotknąć Donnę, która nie szczędziła starań, by traktować siebie poważnie jako kobieta.

W jednym ze skeczów bardzo wysoki transwestyta prowadzi na niby samochód, podczas gdy jego partner – mniejszy facecik, mający strach w oczach – próbuje mu obciągnąć. Facecika przeraża rozmiar fiuta transwestyty i to, że w wyniku jego niezdarnych manewrów mało nie wpadają na drzewo.

Oczywiście Donna nie znała niemieckiego; transwestyta gadał jak nakręcony, krytykując poczynania tamtego. Cóż, nie mogłem powstrzymać się od śmiechu i Donna chyba nigdy mi tego nie darowała.

Klaus i Claudia zapewne uznali, że mam typową amerykańską dziewczynę: myśleli, że siedzi nadąsana, bo jest seksualnie zadowolona mieszczką. Nie miałem ich jak oświecić – nie tam.

Wstaliśmy do wyjścia, ale Donna była tak rozstrojona, że podskoczyła, kiedy zagadnęła ją kelnerka, wysoki transwestyta, który mógł uchodzić za jednego z artystów na scenie. Powiedział (po niemiecku) do Donny: „Świetnie wyglądasz”. Był to komplement, ale transwestyta wiedział, z kim ma do czynienia. (Większość ludzi nie wiedziała, jeszcze nie wtedy. Donna nie obnosiła się z tym; cały wysiłek skupiała nie na tym, by uchodzić za kobietę, tylko być nią naprawdę).

– Co powiedziała? – dopytywała się Donna, gdy wyszliśmy z klubu. W latach siedemdziesiątych Reeperbahn nie była taką pułapką na turystów jak dzisiaj; oczywiście turystów nie brakowało, lecz ulica była bardziej zgrzebna, podobnie jak kiedyś Times Square, i mniej obleżona przez gapiów.

– Komplement. Uznała, że świetnie wyglądasz. Jej zdaniem jesteś bardzo piękna – zapewniłem.

– Jak na faceta, tak? O to jej chodziło, prawda? – burknęła i wybuchnęła płaczem. Klaus i Claudia nie wiedzieli, co się dzieje. – Nie jestem byle crossdresserką! – wrzasnęła Donna.

– Przepraszamy, jeśli to był zły pomysł – wtrącił dość sztywno Klaus. – Miało być zabawnie, nie chcieliśmy nikogo urazić.

Pokiwałem głową, ale wieczór diabli wzięli.

– Słuchaj, stary: mam większego fiuta niż transwestyta w tym niby samochodzie! – obwieściła Donna. – Chcesz zobaczyć? – zwróciła się do Claudii.

– Przestań – powiedziałem. Wiedziałem, że Donna nie jest pruderyjna. Jeszcze czego!

– Powiedz im – zażądała.

Oczywiście napisałem już kilka powieści o różnicach płciowych oraz pogmatwanej czasem i trudnej tożsamości seksualnej. Klaus znał moje powieści; zrobił ze mną wywiad, na miłość boską – on i jego żona (lub dziewczyna) powinni wiedzieć, że nie miałem pruderyjnej dziewczyny.

– Donna ma większego fiuta niż transwestyta w niby samochodzie – zapewniłem Klause i Claudię. – Proszę nie każcie jej go zademonstrować... Nie tutaj.

– Nie tutaj? – wrzasnęła Donna.

Pojęcia nie mam, co mnie napadło; chyba przestraszyłem się, że Donna zadrze kieckę na ruchliwej ulicy. Przecież nie chodziło mi – jak usilnie wbijałem jej do głowy po powrocie do hotelu – że pokaże im penisa w innym miejscu i czasie! Po prostu tak jakoś wyszło.

– Nie jestem crossdresserką amatorką! – łkała Donna. – Nie jestem, nie jestem...

– Jasne, że nie – przekonywałem, gdy Klaus i Claudia dyskretnie podali tyły. Donna położyła mi ręce na ramionach i zaczęła mną potrząsać; Klaus i Claudia pewnie mieli okazję przyjrzeć się jej wielkim dłoniom. (Naprawdę miała większego fiuta niż ten, od którego dławiał się facecik w niby samochodzie).

Tego wieczoru po powrocie do Vier Jahreszeiten Donna płakała jeszcze w łazience nad umywalką. Zostawiliśmy światło w garderobie i otwarte na oścież drzwi; służyło nam jako lampka nocna, żeby w nocy znaleźć łazienkę. Leżałem, patrząc na śpiącą Donnę. W półświatle i bez makijażu jej twarz miała męski zarys. Może dlatego, że nie próbowała być kobietą we śnie, a może z powodu kształtu rzeźbionych kości policzkowych i zuchwy.

Tamtej nocy, obserwując śpiącą Donnę, przypomniałem sobie panią Kittredge, której atrakcyjność też miała nieco męski charakter – coś z samego Kittredge'a, coś na wskroś męskiego. Lecz gdy kobieta jest agresywna, może wyglądać jak mężczyzna – nawet we śnie.

Zasnąłem, a gdy się obudziłem, drzwi do garderoby były zamknięte – wiedziałem, że zostawiliśmy je otwarte. Donny nie było obok mnie; w pasku światła pod drzwiami garderoby przemknął cień jej stóp.

Stała nago przed lustrem. Znałem to na pamięć.

– Masz idealne piersi – odezwałem się.

– Większość facetów woli większe – odpowiedziała. – Ty jesteś inny niż większość facetów, których znam. Ty nawet lubisz prawdziwe kobiety, na litość boską.

– Co ty chcesz od swoich piersi? W czym ci zawiniły?

– Czy to ważne, że mam dużego? I tak jesteś na górze, Billy. To się nigdy nie zmieni, prawda?

– Kocham twójego dużego fiuta.

Wzruszyła ramionami; uwzięła się na biust.

– Wiesz, na czym polega różnica między crossdresserem amatorem a kimś takim jak ja? – zapytała.

Znałem odpowiedź, słyszałem ją wiele razy.

– Tak, wiem: chcesz zmienić swoje ciało.

– Nie jestem amatorką – powtórzyła.

– Wiem... tylko nie zmieniaj piersi. Są idealne – potwierdziłem i wróciłem do łóżka.

– A wiesz, na czym polega twój problem, Billy? – spytała Donna. Leżałem już odwrócony plecami do światła padającego spod drzwi garderoby. Odpowiedź na to pytanie również była mi znana, ale milczałem.

– Jesteś inni niż wszyscy, Billy... W tym sęk.

Co do crossdressingu, Donna nigdy nie zdołała mnie skłonić do przymierzenia swoich ubrań. Od czasu do czasu wspominała o ewentualnej operacji – nie tylko implantach, tak kuszących dla wielu transseksualistów, ale operacji zmiany płci. Donna, podobnie jak wszyscy transseksualiści,

którzy kiedykolwiek mnie pociągali, była przed operacją. (Znam tylko paru, którzy poddali się zabiegowi. To odważni ludzie. Ich obecność bardzo mnie onieśmiela: znają się na wylot! Wyobraźcie sobie tak się znać! Mieć taką pewność co do własnej tożsamości!).

– Znaczy, że nigdy nie byłeś ciekaw – mawiała Donna – jak to jest być taką jak ja.

– Właśnie – odpowiadałem zgodnie z prawdą.

– I za nic w świecie nie chciałbyś się rozstać ze swoim penisem. Pewnie bardzo go lubisz.

– Twojego też lubię – zapewniałem, również zgodnie z prawdą.

– Wiem – wzdychała. – Tylko że ja za nim nie przepadam. Ale zawsze lubiłam twojego – dodawała pospiesznie.

Biedny Tom pewnie uznałby Donnę za zbyt „skomplikowaną”, ale moim zdaniem była bardzo dzielna.

Onieśmielała mnie jej pewność co do tego, kim jest, a zarazem bardzo mnie w niej pociągała – obok penisa, który słodko zbaczał w prawo, jak wiecie u kogo.

Jedyną okazją do podziwiania (ukradkiem) penisa Kittredge’a były dla mnie prysznic w szatni Akademii Favorite River.

Penisa Donny miałem możność podziwiać częściej. Mogłem go oglądać, ile dusza zapragnie, choć na początku byłem tak nienasycony (innymi transseksualistami też, lecz tylko takimi jak ona), że nie mieściło mi się w głowie, abym kiedykolwiek miał jej dość. Koniec końców nie zerwałem, bo mi się przejadła, ani z powodu jej niezdecydowania bądź rozterek co do własnej tożsamości. To ona zerwała ze mną, a jej brak zaufania sprawił, że zważyłem w sobie.

Gdy przestałem się widywać z Donną (a dokładniej, kiedy ona przestała widywać się ze mną), nabrałem pewnego dystansu do transseksualistów – nie przestali mnie pociągać i nadal podziwiałem ich za odwagę, ale transseksualiści (zwłaszcza Donna) bezustannie zmuszali mnie do refleksji nad zawiłymi aspektami mojej biseksualności! Donna była wyczerpująca.

– Zwykle lubię heteryków – kładła mi do głowy. – Lubię też innych transseksualistów... nie tylko takich jak ja.

– Wiem, Donno.

– I nie przeszkadza mi, jeśli heterocy lubią kobiety – bądź co bądź, usiłuję żyć jako kobieta. Jestem kobietą z penisem! – mówiła coraz głośniej.

– Wiem, wiem – mitygowałem.

– Ale ty lubisz też innych facetów... zwykłych facetów... i kobiety, Billy.

– Owszem, niektóre – zaznaczałem. – I ładnych facetów... ale też nie wszystkich.

– Dobra, nie wnikam – odpowiadała Donna. – Najbardziej wkurza mnie, że nie wiem, co lubisz we mnie i czego we mnie nie lubisz.

– Wszystko w tobie lubię, Donno. Lubię cię całą – przysięgałem.

– Niech ci będzie. Jeśli kiedykolwiek zostawisz mnie dla kobiety, jak zrobiłby to heteryk, zrozumieć. A jeśli kiedykolwiek zostawisz mnie dla faceta, jak zrobiłby gej, też zrozumieć – powiedziała Donna. – Ale sęk w tym, Billy... czego nie rozumiem kompletnie... że ja nie wiem, dla kogo lub czego mnie zostawisz.

– Ja też nie wiem – przyznałem prawdomównie.

– Dobra... Dlatego to ja odchodzę, Billy – podsumowała.

– Będę strasznie za tobą tęsknić. – To też było zgodne z prawdą.

– A ja nie, Billy. – I nie powiedziała nic więcej. Ale do tamtego wieczoru w Hamburgu wierzyłem, że Donna i ja mamy szansę.

Kiedyś wierzyłem, że mama i ja też mamy szansę. Na coś więcej niż pozostanie przyjaciółmi: kiedyś myślałem, że nic nie może nas rozdzielić. Dawniej matka zamartwiała się o mnie z byle

powodu – wystarczyło, żebym kichnął lub kaszlnął, a drżała o moje życie. Ten lęk miał w sobie coś dziecinnego; mawiała, że ma koszmary, kiedy śni mi się coś złego.

W dzieciństwie miałem podobno „gorączkowe sny”; jeśli to prawda, zdarzały mi się też w okresie dojrzewania. Czymkolwiek były, sprawiały wrażenie bardziej rzeczywistych niż sny, lecz przez długi czas nie zdawałem sobie sprawy z ich namacalności. Aż pewnej nocy podczas choroby – dochodziłem do siebie po szkarlatynie – zdawało mi się, że Richard Abbott opowiada mi wojenną anegdotę, przy czym jedyną znaną mu anegdotą wojenną była ta o kosiarce, która wykluczyła go ze służby wojskowej. Nie była to historia Richarda Abbotta, tylko mojego ojca – jedna z jego wielu historii, i Richard nie mógł mi jej opowiedzieć.

Opowieść (lub sen) rozpoczęła się w Hampton w stanie Wirginia, gdzie mój ojciec szyfrant wsiadł na transportowiec typu Liberty do Włoch. Kadra naziemna 760. Szwadronu Bombowego odplynęła z Wirginii ponurego styczniowego dnia; jeszcze w porcie żołnierze zjedli swój pierwszy pokładowy posiłek – schabowe, jak mi powiedziano (na jawie lub we śnie). Kiedy konwój taty wypłynął na otwarty ocean, statki Liberty napotkały zimowy, atlantycki sztorm. Marynarze zajęli pozycje na dziobie i na rufie, a wszyscy zawiesili sobie przy kojach hełmy, do których wkrótce mieli wymiotować. Ale sierżantowi nie groziła choroba morska. Mama opowiadała, że dorastał na Cape Cod i w dzieciństwie nawykł do żeglugi; był odporny na kołysanie.

Mój tata szyfrant robił, co do niego należało, opróżniał żołnierskie hełmy. W śródkręciu, na wysokości pokładu – ładny kawałek drogi od koi – znajdowała się wielka głowa. (Nawet we śnie musiałem przerwać historię i spytać, co to za „głowa”; osoba, którą brałem za Richarda, choć być nim nie mogła, odpowiedziała mi, że tak nazywano wielką latrynę: toalety ciągnęły się przez całą szerokość pokładu).

Podczas jednej z licznych pielgrzymek w celu opróżnienia hełmu tata przysiadł sobie na jednym z sedesów. Nie było sensu próbować sikać na stojąco; statkiem targano na wszystkie strony: nie pozostawało nic innego jak usiąść. Tata oburącz przytrzymał się deski. Morska woda przelewała mu się wokół kostek, przemaczając spodnie i buty. Na przeciwległym końcu długiego rzędu sedesów przycupnął inny żołnierz, ale wydawało się, że zaraz spadnie. Tata widział, że tamten również jest odporny na chorobę morską; czytał książkę, przytrzymując się deski jedną ręką. Nagle statkiem mocniej szarpnęło, żołnierz stracił panowanie nad sedesem i poleciał w bok, kłapiąc pośladkami w kolejne deski, aż zderzył się z moim ojcem na drugim końcu rzędu.

– Wybacz... nie mogłem się oderwać od książki! – powiedział. Okręt zakołysał się w drugą stronę i żołnierz poleciał z powrotem. Kiedy osiadł na ostatnim sedesie, książka wypadła mu z ręki albo ją wypuścił, oburącz łapiąc się za deskę. I chlupnęła mu do wody.

– Co czytałeś? – krzyknął szyfrant.

– „Panią Bovary”! – odkrzyknął tamten.

– Chcesz, to opowiem ci zakończenie – zaproponował sierżant.

– Tylko nie to! – zaproponował żołnierz. – Sam przeczytam!

We śnie lub w opowieści ktoś (na pewno nie był to Richard) wspomniał mi, że przez resztę podróży się nie spotkali. „Tuż za ledwo widocznym Gibraltarem – pamiętam słowa (z jawy lub snu) – konwój wypłynął na Morze Śródziemne”.

Którejś nocy u wybrzeży Sycylii żołnierzy pod pokładem obudził huk i odgłosy kanonady; konwój został zaatakowany przez Luftwaffe. Niebawem tata usłyszał, że pływający obok statek Liberty oberwał i zatonął z całą załogą. Co do żołnierza, który w czasie sztormu czytał „Panią Bovary”, nie przedstawił się ojcu, gdy wylądowali w Taranto. Wojenna historia szyfranta trwała i zakończyła się bez ponownego spotkania z amatorem sedesów.

„Po latach”, rzekł sen (lub osoba snująca opowieść), mój ojciec „kończył Harvard”. Jechał

bostońskim metrem MTA; wsiadł na stacji Charles Street i zmierzał z powrotem na Harvard Square.

Mężczyzna, który wsiadł na Kendall Square, nie odrywał od niego wzroku. Sierżanta „zmieszało” zainteresowanie dziwnego osobnika; zdawało się „nienaturalne, jak przecucie czegoś złego lub co najmniej nieprzyjemnego”. (Ów sen wydał mi się bardziej rzeczywisty od innych z uwagi na język, jakim został opowiedziany. Był to sen z narracją w pierwszej osobie, sen z głosem).

Mężczyzna w metrze przesiadał się z miejsca na miejsce, przysuwając coraz bliżej taty. Kiedy już prawie znaleźli się na wyciągnięcie ręki i pociąg zwalniał przed następnym przystankiem, nieznajomy odwrócił się do ojca, mówiąc: „Cześć, jestem Bovary. Pamiętasz mnie?”. Na następnej stacji przy Central Square, mól książkowy wysiadł, a sierżant pojechał dalej na Harvard Square.

Powiedziano mi, że gorączka „szkarlatynowa” mija w ciągu tygodnia – zazwyczaj w ciągu trzech, pięciu dni. Jestem pewien, że nie miałem gorączki, kiedy zapytałem Richarda Abbotta, czy opowiedział mi tę historię – może na początku, zanim pojawiła się wysypka lub kiedy rozboleło mnie gardło. Język miałem koloru truskawki, lecz gdy poruszyłem ten temat, miał wołowy, ciemnoczerwony odcień – bardziej jak malina – a wysypka zanikała.

– Nie znam tej historii, Bill – odpowiedział Richard. – Nigdy jej nie słyszałem.

– Ach tak.

– To mi wygląda na opowieść dziadka Harry’ego – dodał.

Ale na pytanie, czy opowiedział mi historię o „Pani Bovary”, dziadek Harry zaczął swoje wygibasy, wykręcając się od odpowiedzi. Nie, „zdecydowanie” nic mi takiego nie opowiadał. Owszem, słyszał tę opowieść – „z drugiej ręki, jeśli sobie dobrze przypominam” – ale za nic nie mógł sobie przypomnieć od kogo. „Może od wuja Boba, pewnie on ci opowiedział, Billy”. Następnie dziadek dotknął mojego czoła i wymamrotał, że gorączka chyba minęła.

– Jęzor nadal paskudny – dodał, zajrzawszy mi do ust. – Ale wysypka się zmniejszyła.

– To było zbyt rzeczywiste jak na sen – zapewniłem dziadka.

– No cóż, jeśli człowiek ma bujną fantazję – a ty raczej masz, Bill – rzekłbym, że niektóre sny bywają bardzo rzeczywiste. – Dziadek się wykręcił.

– Spytam wuja Boba – odpowiedziałem.

Bob ciągle wkładał mi piłki do squasha do kieszeni, do butów lub pod poduszkę. Była to nasza gra: znajdowałem je i oddawałem mu z powrotem. „Patrz, wszędzie jej szukałem, Billy! – mówił. – Cieszę się, że znalazłeś”.

– O czym jest „Pani Bovary”? – zapytałem go. Przyszedł sprawdzić, jak się czuję, a ja oddałem mu piłkę znaną w szklance na szczoteczkę do zębów – w łazience, którą dzieliłem z dziadkiem Harrym.

Nana Victoria „wolała umrzeć”, niż mieć z nim wspólną łazienkę, ale mnie to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie.

– Prawdę mówiąc, nie czytałem „Pani Bovary”, Billy – przyznał wujek Bob; wyjrzał na korytarz, upewniając się, że mama (a także babcia i ciotka Muriel) znajdują się poza zasięgiem słuchu. Znajdowały się, ale przezornie ściszył głos: – Chyba o cudzołóstwie, Billy... O niewiernej żonie. – Musiałem zrobić zdziwioną, wręcz ogłupiałą minę, bo dodał pospiesznie: – Powinieneś spytać Richarda. Wiesz, literatura to jego broszka.

– To powieść?

– Tak, fikcja literacka. Ale Richard powie ci więcej.

– Mógłbym też spytać pannę Frost – zaproponowałem.

– Uhm, mógłbyś. Ale nie mów, że to był mój pomysł – poprosił.
– Znam pewną historię – zagailem. – Może ty mi ją opowiedziałeś.
– O facecie, który czytał „Panią Bovary” na okrętowych sedesach? – wykrzyknął Bob. – Uwielbiam ten kawałek!

– Ja też! – zawtórowałem. – Jest bardzo śmieszny!
– Boki zrywać! Ale nie, nie ja ci to opowiedziałem... a przynajmniej sobie tego nie przypominam.

– Ach tak.
– Może mama? – podsunął. Musiałem spojrzeć z niedowierzaniem, bo rzucił nagle: – A może nie.

– Wciąż mam ten sen, ale ktoś musiał mi to najpierw opowiedzieć.
– Gdzieś ci się obilo o uszy. To pewnie jedna z historii, które opowiadają sobie dorośli, myśląc, że dzieci poszły już spać. – Była to bardziej prawdopodobna wersja zdarzeń, lecz obaj mieliśmy wątpliwości. – Nie sposób rozwiązać wszystkich zagadek, Billy – uzupełnił z większym przekonaniem Bob.

Tuż po jego wyjściu odkryłem pod kołdrą kolejną piłkę.

Doskonale wiedziałem, że to nie matka opowiedziała mi historię o pani Bovary i sedesach, ale naturalnie musiałem ją spytać.

– Nigdy nie widziałam w niej nic zabawnego – odparła. – Nie opowiadałabym ci czegoś takiego, Billy.

– No tak.
– Może tatuś ci opowiedział... Prosiłam, żeby tego nie robił! – zawołała.
– Nie, dziadek mi nie opowiedział.
– Założę się, że to sprawka wuja Boba – zawyrokowała.
– Twierdzi, że sobie tego nie przypomina.
– Bob pije, i niewiele pamięta. A ty niedawno miałeś gorączkę – przypomniała. – Sam wiesz, jakie masz wtedy sny, Billy.

– Tak czy siak, myślę, że to bardzo śmieszna historia... zwłaszcza gdy tamten klapie pośladkami w sedesy!

– Nie widzę w niej nic zabawnego, Billy.
– Ach tak.

Kiedy wyzdrowiałem, zapytałem Richarda Abbotta o jego zdanie na temat „Pani Bovary”.

– Myślę, że ją docenisz, gdy będziesz starszy, Bill.
– To znaczy? – spytałem. (Miałem wówczas jakieś czternaście lat. Nie czytałem jeszcze „Wielkich nadziei”, ale panna Frost zaszczepiła mi już bakcyła). – Mógłbym spytać pannę Frost, ile powinienem mieć lat.

– Na twoim miejscu odczekałbym z tym pytaniem, Bill.
– Do kiedy?

Na co Richard Abbott – o którym myślałem, że wie wszystko – odparł:

– Nie wiem dokładnie.

Nie przypominam sobie, kiedy mama została suflerką w klubie dramatycznym Richarda, ale była nią w „Burzy”, pamiętam dokładnie. Czasem kolidowało to z jej obowiązkami w lokalnej trupie, jednakże sufler mógł czasami opuścić próbę, przedstawienia nigdy się nie pokrywały.

Na próbach Kittredge udawał, że myli tekst, wymuszając tym samym interwencję mamy.

– O najmilsza panno – mówił Ferdynand do Mirandy, gdy zaczęliśmy grać z pamięci.
– Nie, Jacques – wtrącała mama. – „Najmilsza pani”, nie „panno”.

Ale Kittredge grał: udawał, że się myli, aby ją wciągnąć w rozmowę.

– Przepraszam najmocniej, pani Abbott, to się więcej nie powtórzy – mówił, by zaraz skopać następny dialog.

„Drogi stworzenie”, mówi Ferdynand do Mirandy, ale Kittredge musiał oczywiście powiedzieć „droga pani”.

– Zdanie rozpoczyna się od „drogi stworzenie”, a nie „droga pani”, Jacques.

– Chyba za bardzo się staram – tłumaczył się. – Chcę, żeby pani mnie polubiła, lecz obawiam się, że jest odwrotnie, pani Abbott. – Flirtował, a ona się zarumieniła. Wstydziłem się tego, ilekroć myślałem o niej, że łatwo daje się uwieść, zupełnie jakbym wierzył, że jest upośledzona lub tak naiwna, że można ją urobić byle pochlebstwem.

– Ależ lubię cię, Jacques... a już na pewno nie nie lubię! – wypaliła mama, podczas gdy w Elaine (Mirandzie) aż się gotowało; wiedziała, że Kittredge nazwał moją mamę „laską”.

– Przy pani się denerwuję – ciągnął Kittredge, chociaż wcale nie wyglądał na zdenerwowanego, z każdą chwilą wręcz nabierał pewności siebie.

– Gówno prawda! – wychrypiła Elaine. Kittredge wzdrygnął się na dźwięk jej głosu, a mama podskoczyła, jakby ktoś ją uderzył.

– Wyrażaj się, Elaine – upomniła.

– Możemy kontynuować? – spytała Elaine.

– Ależ ty niecierpliwa, Neapol – wtrącił z rozbajającym uśmiechem Kittredge i zatrzymał spojrzenie na mojej matce.

– Elaine nie może się doczekać, aż weźmiemy się za rękę – powiedział.

Rzeczywiście, na końcu sceny, którą ćwiczyliśmy – akt trzeci, scena pierwsza – Ferdynand i Miranda biorą się za rękę. Elaine poczerwieniała, jednakże Kittredge, który całkowicie panował nad sytuacją, nie spuszczał żarliwego wzroku z mojej mamy.

– Mam pytanie, pani Abbott – zaczął, jakby Elaine i Miranda nie istniały. – Gdy Ferdynand mówi: „Niejedna piękność wzrok mój przykuwała/I nieraz muzyka żeńskiego głosu/Brała w niewolę moje chętne ucho”... No wie pani... czy to znaczy, że miałem wiele kobiet i powinienem dać do zrozumienia, że jestem... pani rozumie... doświadczony?

Mama zarumieniła się jeszcze bardziej.

– Boże! – jęknęła Elaine Hadley.

A ja... Gdzie ja byłem? Byłem Arielem, „zwiewnym duchem”. Czekałem, aż Ferdynand i Miranda „wyjdą, każde w inną stronę”, jak nakazywały didaskalia. Czekałem wraz z Kalibanem, Stefano („piwnicznym ojca, opojem”, tak nazywa go Szekspir) i Trinkulo; braliśmy udział w kolejnej scenie, w której byłem niewidzialny. Patrząc, jak matka łapie się na lep słówek Kittredge’a, czułem się niewidzialny – albo chciałem być.

– Jestem tylko suflerką – odpowiedziała pospiesznie matka. – To pytanie do reżysera... Powinieneś spytać pana Abbotta. – Rozmowa z Kittredge’em wytrąciła mamę z równowagi i nagle zobaczyłem, jak musiała wyglądać przed laty, kiedy była ze mną w ciąży lub tuż po moich narodzinach – widząc mojego ojca, który „całował kogoś innego”. Pamiętałem, że zaakcentowała słowo „innego”, gdy mi o tym opowiadała; uczyniła to tak samo niedbale, jak teraz poprawiała celowe potknięcia Kittredge’a. (Oczywiście w czasie przedstawienia nie pomylił się ani razu. Chyba nie przyjmowałem tego do wiadomości, ale był naprawdę świetnym aktorem).

Bolało mnie, że tak łatwo zbić ją z tropu – starczyła byle erotyczna aluzja ze strony nastolatka! Poczulem do siebie nienawiść, gdyż zrozumiałem, że wstydzę się własnej matki, a dzieje się tak za sprawą ciągłej krytyki Muriel i jej pomówień. Oczywiście nienawidziłem też Kittredge’a, za to, z jaką łatwością zamącił w głowie mojej matce – i jak łatwo poszło mu z Elaine i ze mną. Mama jakoś doszła do siebie i wezwała posiłki.

– Richardzie! – zawołała. – Jacques ma pytanie o swoją postać!
– Boże – mruknęła Elaine. Ledwo ją było słycać, ale Kittredge miał słuch jak jastrząb.
– Cierpliwości, drogi Neapolu. – Ujął jej dłoń. Zrobił to dokładnie tak, jak Ferdynand ujmując dłoń Mirandy pod koniec sceny pierwszej w akcie trzecim – ale Elaine wyszarpnęła rękę.
– O co chodzi, Ferdynandzie? – zapytał Richard Abbott.
– Co za pierdoły – wtrąciła Elaine.
– Wyrażaj się, Elaine! – upomniała moja matka po raz drugi.
– Mirandzie przyda się łyk świeżego powietrza. – Richard spojrział na Elaine. – Weź parę głębokim wdechów i może wyrzucić z siebie to, co masz na końcu języka. Zrób sobie przerwę, Elaine... Ty też, Bill – dodał. – Chcemy, żeby nasza Miranda i Ariel byli sobą. (Chyba zauważył, że jestem pobudzony).

Za sceną obok pracowni stolarskiej znajdowało się wyjście na podwórze, więc wyszliśmy, by odetchnąć wieczornym powietrzem. Próbowałem wziąć Elaine za rękę, ale wyszarpnęła ją, choć nie tak gwałtownie jak przedtem. Następnie, jeszcze w otwartych drzwiach, ujęła moją dłoń i oparła mi głowę na ramieniu. „Urocza para, prawda?”, powiedział do kogoś lub do wszystkich Kittredge i drzwi się zamknęły.

– Skurwieli! – wrzasnęła Elaine. – Kutas jeden! – Haust zimnego powietrza sprawił, że odzyskała normalny oddech i wróciliśmy do środka, gdzie okulary Elaine natychmiast zasłzygły mgłą.

– Ferdynand nie daje Mirandzie do zrozumienia, że jest doświadczony – tłumaczył Kittredge’owi Richard. – Mówi tylko, że okazywał kobietom uwagę i często robiły na nim wrażenie, ale żadna nie oczarowała go tak jak Miranda.

– Mówimy o wrażeniach, Kittredge – wykrztusiła Elaine. – A nie seksie.

„Wchodzi niewidzialny Ariel, w scenie drugiej aktu trzeciego”, tak mówią didaskalia. Lecz ja naprawdę byłem niewidzialny: jakimś cudem powstało wrażenie, że kocham się w Elaine Hadley. Chyba to podchwyciła – niewykluczone, że pchnął ją ku temu instynkt samozachowawczy. Ale Kittredge uśmiechał się do nas w ten swój szyderczy, pełen wyższości sposób. Nie sądzę, by „wrażenia” znaczyły dla niego cokolwiek. Jemu zawsze chodziło o seks. Jeśli zaś pozostali doszli do wniosku, że Elaine i ja jesteśmy sobą „seksualnie” zainteresowani, może tylko jeden Kittredge nie dał się nabrać – takie przynajmniej odnieśliśmy wrażenie z Elaine.

Może dlatego Elaine odwróciła się nagle i pocałowała mnie. Ledwie musnęła wargami moje usta, lecz kontakt, choć przelotny, był namacalny; chyba nawet odwzajemniłem pocałunek, krótko, ale zawsze. I tyle. Trudno nazwać to pocałunkiem, nawet nie zaparowały jej okulary.

Wątpię, czy w najmniejszym stopniu pociągałem Elaine; na pewno wiedziała, że udaję. Byliśmy amatorami – jej niewinna Miranda i mój zasadniczo niewidzialny Ariel – lecz graliśmy, tworząc w tej fikcji harmonijną całość.

Bądź co bądź, oboje coś ukrywaliśmy.

Rozdział 4

STANIK ELAINE

Po dziś dzień nie wiem, co myśleć o Kalibanie – potworze, który usiłuje zgwałcić Mirandę, skazując się tym samym na potępienie Prospera. A ten nie kwapi się wziąć za niego odpowiedzialności: „to stworzenie mroczne do mnie należy”^[7].

Dla takiego egocentryka jak Kittredge „Burza”, naturalnie, kręciła się wokół Ferdynanda; to opowieść miłosna, w której Ferdynand uwodzi i zdobywa Mirandę. Jednakże Richard Abbott nazwał sztukę „tragikomedią” i przez tamte dwa (prawie trzy) miesiące jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku, gdy Elaine Hadley i ja uczestniczyliśmy w próbach, przez bliskość Kittredge’a rzeczywiście była tragikomedią – bez względu na szczęśliwe zakończenie dla Mirandy i Ariela.

Matka, która zawsze podkreślała, że jest tylko suflerką, miała osobliwie matematyczny zwyczaj mierzenia czasu wszystkim na scenie. Używała staroświeckiego minutnika kuchennego i na marginesach scenariusza zapisywała procentowy udział bohaterów spektaklu. Miałem wątpliwości co do sensu takich poczynań, choć oboje z Elaine czerpaliśmy pewne zadowolenie z tego, że Ferdynandowi przypada tylko siedemnaście procent czasu na scenie.

– A udział Mirandy? – zapytała ostentacyjnie Elaine w zasięgu jastrzębiego słuchu Kittredge’a.

– Dwadzieścia siedem procent – odpowiedziała sumiennie mama.

– Ile czasu jest dla Ariela? – Też chciałem wiedzieć.

– Jemu przypada trzydzieści jeden procent czasu.

Kittredge się zjeżył.

– A Prospero, nasz niezrównany reżyser i jego naciągana magia? – spytał sarkastycznie.

– Naciągana!... – zagrziała jak echo Elaine.

– Wynik Prospera to około pięćdziesięciu dwóch procent – zakomunikowała mama.

– Około – powtórzył drwiąco Kittredge.

Richard mówił nam, że „Burza” to „pożegnalna” sztuka Szekspira, który świadomie rozstawał się z teatrem, lecz ja nie rozumiałem zasadności aktu piątego, a zwłaszcza tego ni przypiął, ni przyłatał epilogu wygłaszanego przez Prospera.

Może ponieważ dlatego zostałem pisarzem (aczkolwiek jedynie prozaikiem), bo moim zdaniem „Burza” powinna zakończyć się przemową Prospera do Ferdynanda i Mirandy – „Nasza zabawa skończona”, w scenie pierwszej aktu czwartego. I na pewno Prospero winien zakończyć przemowę (i spektakl) cudownym: „Jesteśmy tym, z czego rodzą się sny; a niewielkie to życie nasze sen spowija wokół”. Czy musi dodawać coś więcej? (Może jednak czuje się odpowiedzialny za Kalibana).

Lecz gdy wyraziłem swoje zdanie, Richard odparł:

– Wiesz, Billy, jeśli w wieku siedemnastu lat przerabiasz Szekspira, wróżę ci świetlaną przyszłość! – Rzadko nabijał się moim kosztem, więc odczułem to boleśnie, co nie uszło uwadze tego sępa Kittredge’a.

– Hej, Przeróbka! – krzyknął do mnie na dziedzińcu. Przezwisko się nie przyjęło, a Kittredge nigdy go nie powtórzył, obstając przy Nimfie. Wolałbym „Przeróbkę”; przynajmniej odpowiadało temu, jakim któregoś dnia będę pisarzem.

Ale mówiłem o Kalibanie; zboczyłem z głównego wątku, co również świadczy o tym, jakim miałem być pisarzem. Czas sceniczny Kalibana to dwadzieścia pięć procent. (Mama nie brała pod uwagę wypowiedzianych kwestii, lecz pobyt bohaterów na scenie). Było to moje pierwsze doświadczenie z „Burzą”, przy czym ilekroć oglądałem ten spektakl, zawsze uważam Kalibana za postać wielce niepokojącą; jako pisarz nazwałbym go „niesprecyzowanym” bohaterem. Prospero

traktuje go w sposób bezwzględny, ale zastanawiam się, jakie uczucia wobec niego chciał wzbudzić w nas Szekspir. Niewykluczone, że litość – a może poczucie winy?

Tamtej jesieni tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku nie byłem pewien zdania Richarda, obsadzenie w tej roli dziadka Harry'ego nasuwało bowiem sprzeczne wnioski. Harry nigdy nie grał ról męskich, a nadanie Kalibanowi cech żeńskich nie wpłynęło bynajmniej na „doprecyzowanie” tej postaci i odczłowieczyło ją jeszcze bardziej. Kaliban istotnie mógł mieć chrapkę na Mirandę – wiemy, że próbował ją zgwałcić! – ale Harry Marshall, nawet jako czarny charakter, prawie nigdy nie budził antypatii i nigdy nie był do końca mężczyzną.

Być może Richard przyjął do wiadomości, że Kaliban to twardy orzech do zgryzienia, a dziadek Harry dodatkowo zabije widzom ówieka. „Twój dziadek jest dziwny”, palnął bez ogródek Kittredge. (Nazywał go „królową Lir”).

Nawet ja uważam, że w wypadku Kalibana Harry wspiął się na wyżyny dziwactwa. Jego interpretacja była seksualnie dwuznaczna: zagrał Kalibana jako androgeniczną babę-jagę.

Peruka (dziadek Harry były łysy) pasowałyby bez względu na płeć. Stroju nie powstydzilyby się ekscentryczna bezdomna: rozciągnięte spodnie od dresu i workowata bluza, zszarzałe pod kolor peruki. Pomalowane paznokcie bosych stóp obscenicznie dopełniały całości. W jednym uchu miał kolczyk z błyszczącym kamieniem, który prędzej wpadłby w oko piratowi lub zawodowemu zapaśnikowi niż dziwce – oraz naszyjnik ze sztucznych pereł (najtańszy rekwizyt) na bluzie.

– Czym jest właściwie Kaliban? – spytał Kittredge, kierując pytanie do Richarda Abbotta.

– Ziemią i wodą, Kittredge... Zwierzęcą siłą w prymitywnym i podstępny wymiarze – powtórzył Richard.

– Ale jakiej płci jest zwierzęca siła? – dociekał Kittredge. – Czy Kaliban to potwór lesbijka? On czy ona próbuje zgwałcić Mirandę?

– Seks, seks, seks! – krzyknęła Elaine Hadley. – Myślisz tylko o seksie!

– Pamiętaj o zatyczkach, Nimfo. – Kittredge uśmiechnął się wymownie.

Oboje z Elaine widzieliśmy w nim jego matkę, siedzącą wygodnie na niewygodnym krzeselku w sali gimnastycznej; pani Kittredge śledziła potyczki syna z zacięciem godnym filmu pornograficznego, a zarazem chłodną satysfakcją kobiety, która wie, że zrobiłaby to lepiej. „Twoja matka to facet z piersiami”, miałem na końcu języka, lecz oczywiście stchórzyłem.

Mogłem się domyślić jego reakcji. „Masz na myśli moją macochę?”, zapytałby i wdeptał mnie w ziemię.

Rozmawiałem z mamą i Richardem.

– O co chodzi dziadkowi Harry'emu? – spytałem Richarda. – Wiem, że płeć Ariela jest polimorficzna i pozostaje raczej kwestią stroju niż czynników organicznych, jak to ująłeś. Znaczy że mój strój i gadzety... rajtuzy, peruka... dowodzą ambiwalencji płci Ariela. Ale czy Kaliban nie jest potworem płci męskiej? Czy dziadek Harry nie przedstawia go jako... – Urwałem. Nie chciałem nazywać dziadka „królową Lir”, gdyż tak nazywał go Kittredge. – Jako lesby? – ująłem to w ten sposób. Słowo „lesba” biło w Akademii rekordy popularności – wśród uczniów (pokroju Kittredge'a), dla których określenia w rodzaju „pedał” i „ciota” były chlebem powszednim.

– Tatuś nie jest lesbą! – obruszyła się matka. Rzadko wybuchała, lecz coraz częściej dochodziło do tego z mojego powodu.

– No cóż, Bill... – Richard przerwał. – Spokojnie, Perelko – powiedział do mamy; zauważył jej podenerwowanie i stracił wątek. – Osobiście uważam, Bill – podjął – że przejmujemy się kwestią płci bardziej niż Szekspir.

Uznałem to za beznadziejną odpowiedź, ale powstrzymałem się od komentarza. Dojrzywałem do rozczarowania Richardem, czy po prostu dojrzywałem?

– To chyba nie była odpowiedź na twoje pytanie, co? – zapytała później Elaine, kiedy wyznałem jej, że tożsamość płciowa dziadka Harry’ego jako Kalibana nie daje mi spokoju.

Ciekawe, że na osobności Elaine i ja nigdy nie trzymaliśmy się za ręce, za to będąc na widoku publicznym, spontanicznie splataliśmy dłonie i trwaliśmy tak, dopóki było audytorium. (To też rodzaj szyfru między nami, podobnie jak pytanie „Co się stało z kaczką?”).

Ale podczas naszej pierwszej wspólnej wizyty w bibliotece publicznej nie trzymaliśmy się za ręce. Odnosiłem wrażenie, że panna Frost nie nabrałaby się na to, że coś nas łączy. Elaine i ja szukaliśmy tylko zacisznego miejsca, gdzie moglibyśmy poćwiczyć nasze kwestie z „Burzy”. Mieszkania w internacie były klaustrofobiczne i niezbyt kameralne – chyba że ćwiczylibyśmy za zamkniętymi drzwiami sypialni. Niestety, zagalopowaliśmy się w naszej maskaradzie jako para: mama, Richard i państwo Hadley dostaliby szału, gdybyśmy zamknęli się w sypialni.

Co do czytelnicy w szkolnej bibliotece, czasem napatoczył się nauczyciel, no i nie było drzwi: nasze głosy niesłyby się po całym budynku. (Podobnie jak po bibliotece miejskiej!).

– Chcieliśmy zapytać, czy nie znalazłby się tutaj jakiś bardziej ustronny pokój – zwróciłem się do panny Frost.

– Bardziej ustronny – powtórzyła.

– Gdzie nikt nas nie usłyszy – dopowiedziała głosem-jak-dzwon Elaine. – Musimy przećwiczyć nasze kwestie z „Burzy”, ale nie chcemy przeszkadzać! – Wyjaśniła pospiesznie, na wypadek gdyby bibliotekarka pomyślała, że szukamy dźwiękoszczelnego azylu na miłosne igraszki.

Panna Frost przeniosła wzrok na mnie.

– Chcecie ćwiczyć kwestie w bibliotece – powiedziała, jakby stanowiło to klucz do zagadki mojej wcześniejszej zachcianki, żeby tutaj pisać. Ale nie zdradziła moich planów na przyszłość. (Przyjaciółka nie wiedziała jeszcze, jakie mam aspiracje: pragnienie zostania pisarzem oraz inne żądze trzymałem przed nią w tajemnicy).

– Możemy spróbować przećwiczyć je szeptem – odezwała się Elaine nienaturalnie cichym głosem, jak nie swoim.

– Nie, nie, kochani... musicie ćwiczyć tak, jak będziecie mówić na scenie – zaproponowała panna Frost, poklepując dłoń mojej przyjaciółki swoją dużo większą dłonią. – Chyba znam miejsce, gdzie możecie krzyczeć, a i tak nikt was nie usłyszy. – Jak się okazało, sama idea dźwiękoszczelnego azylu w bibliotece była mniejszym cudem niż samo pomieszczenie.

Panna Frost sprowadziła nas schodami do piwnicy, do czegoś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na kotłownię starej biblioteki. Ceglany georgiański budynek początkowo ogrzewano węglem; pod półkolistym okienkiem widniały poczerniałe resztki zsypu węglowego. Lecz masywny piec został przewrócony na bok i wepchnięty w kąt, natomiast w jego miejscu stanął nowocześniejszy piec olejowy. Obok był nowy bojler, a w pobliżu okna wydzielono osobny pokój z drzwiami. W jednej ze ścian pomieszczenia pod sufitem – tam, gdzie z okna zwisały resztki zsypu – widniało prostokątne wycięcie. Dawniej zsyp biegł z okna do wnętrza pomieszczenia, gdzie składowano węgiel. Teraz mieściły się tam umeblowana sypialnia i łazienka.

Mosiężne staroświeckie łóżko miało wezwłowie z prętów grubych jak kraty więzienne, do których przymocowano lampkę do czytania. W jednym rogu znajdowała się mała umywalka i lustro, w drugim, na widoku publicznym, strażnik w postaci sedesu z drewnianą deską. Przy łóżku stała nocna szafka, a na niej obok grubej świecy zapachowej piętrzyły się książki. (W pokoju pachniało cynamonem; domyśliłem się, że świeca ma zabić woń opału).

W uchylonej szafie dostrzegliśmy półki i wieszaki, zapelnione skromną garderobą panny

Frost. Niewątpliwym gwoździem programu zaś była wanna wiktoriańskich rozmiarów z widoczną instalacją – „z kotła na węgiel”, zażartowała panna Frost. Podłogę wykonano z niewykończonych sklejek i elektryczna instalacja znajdowała się na wierzchu.

– W razie burzy nie mam ochoty iść ani jechać do domu – powiedziała bibliotekarka, jakby to tłumaczyło prowizorkę przytulnego mimo wszystko pokoju. (Nie wiedzieliśmy, gdzie mieszka, ale domyślaliśmy się, że niedaleko).

Elaine zacięła się na ławki z dwiema główkami zamiast kurków. Przyznam, że mnie zafascynowało łóżko z więziennym wezłowiem.

– Niestety, do siedzenia mam tylko łóżko – powiedziała panna Frost. – Chyba że wolicie ćwiczyć kwestie w wannie.

– Sprawiała wrażenie kompletnie obojętnej na to, że moglibyśmy robić coś innego.

Już miała wyjść i zamknąć za sobą drzwi – drzwi swojej połowej sypialni, swojego domu-dala-od-domu – gdy Elaine Hadley zawołała:

– To idealne miejsce. Dziękujemy za pomoc, panno Frost!

– Ależ nie ma za co, Elaine. Zapewniam cię, że tutaj możecie wrzeszczeć, ile sił w płucach, i nikt was nie usłyszy. – Ale nim zamknęła drzwi, popatrzyła na mnie z uśmiechem. – Gdybyście potrzebowali pomocy z tekstem, w razie problemów z artykulacją lub intonacją... wiecie, gdzie mnie szukać.

Nie miałem pojęcia, że panna Frost zwróciła uwagę na moje zaburzenia; prawie nie rozmawialiśmy.

Wstydziłem się odezwać, lecz Elaine nie wahała się ani chwili.

– Skoro o tym mowa, panno Frost, Billy napotkał pewną trudność w kwestii Ariela, nad którą obecnie pracujemy.

– Na czym polega ta trudność, Williamie? – Panna Frost, przeszyła mnie spojrzeniem. (Chwała Bogu, że Ariel nie mówił o penisach!).

Gdy Kaliban nazywa Prospera tyranem, (niewidzialny) Ariel mówi: „Kłamiesz”. Ponieważ go nie widać, Kaliban myśli, że to Trinkulo nazwał go kłamcą. W tej samej scenie Ariel mówi „Kłamiesz” do Stefano, który też podejrzewa Trinkula – i spuszcza mu manto.

– Dwa razy muszę powiedzieć „Kłamiesz”. – Starłem się wymówić to jak należy, z dwiema sylabami.

– Czasami mówi „kmiesz”, z jedną sylabą, rymuje się z „dmiesz” – wtrąciła Elaine.

– O matko. – Bibliotekarka aż oczy przymknęła na taką potworność. – Spójrz na mnie, Williamie. – Zrobiłem, jak kazała: chociaż raz nie musiałem łypać ukradkiem. – Powiedz „damie” – poleciła.

To nie było trudne. Od czegoż panna Frost była damą mego serca?

– Damie – odpowiedziałem posłusznie, nie odrywając od niej spojrzenia.

– Zapamiętaj, że „kłamiesz” rymuje się z „damie”.

– Powiedz – zachęciła Elaine.

– Kłamiesz – powiedziałem, jak niewidzialny Ariel rzec powinien. Dwie sylaby wyszły bezbłędnie.

– Oby wszystkie twoje problemy dały się rozwiązać tak gładko, Williamie. – Panna Frost pokiwała głową. – Uwielbiam powtarzać kwestie – rzuciła do Elaine, zamykając za sobą drzwi.

Byłem pod wrażeniem, że zna się na rzeczy. Na pytanie Richarda, czy kiedykolwiek „grała”, panna Frost odpowiedziała pospiesznie: „Tylko w głowie. Kiedy byłam młodsza... cały czas”. Mimo to zrobiła furorę!

„Panna Frost to kobieta Ibsena!”. Zachwyciła Nilsa Borkmana, chociaż nie miała dużo ról, grała kobiety ciężko doświadczone przez los w dramatach „Hedda Gabler”, „Dom lalki” oraz

„Dzika (cholerna) kaczka”.

Jak na kogoś, kto grał tylko w głowie, a zarazem zdawał się stworzony do ról kobiet Ibsena, panna Frost знаła się na rzeczy i zapewniła wsparcie Elaine i mnie.

Czuliśmy się nieco skrzepowani. Łóżko było wąskie, ale rama wysoka, więc gdy (dość sztywno) przysiedliśmy obok siebie, nie sięgaliśmy stopami podłogi. Leżąc na brzuchach musieliśmy wykręcać głowy, dopiero gdy oparliśmy poduszki o wezglowie (z prętami niczym więzienne kraty), położyliśmy się na boku zwróceniem twarzami w swoją stronę i powtórzyliśmy kwestie, w razie potrzeby zaglądając do scenariusza.

– Jak stare małżeństwo – skomentowała Elaine; myślałem dokładnie o tym samym.

Pierwszego wieczoru w schronie panny Frost Elaine zasnęła. Wiedziałem, że musi wstawać wcześniej niż ja: dojeżdżała do Ezra Falls i wiecznie była niewyspana. Kiedy panna Frost zapukała do drzwi, Elaine ocknęła się, zarzucając mi ręce na szyję, i tak zastała nas bibliotekarka. Bez względu na niewątpliwie romantyczne okoliczności, nie wydaje mi się, by nabrała jakichś podejrzeń. Powiedziała tylko: „Niedługo muszę zamknąć bibliotekę. Nawet Szekspir musi wrócić do domu i iść spać”.

Jak każdy, kto kiedykolwiek grał w przedstawieniu, wie, po wielu stresujących próbach i mozolnym kuciu na pamięć – te kwestie naprawdę wymagały ćwiczenia – nic nie trwa wiecznie, nawet Szekspir. Daliśmy cztery przedstawienia „Burzy”. Za każdym razem bezbłędnie rymowałem „kłamiesz” z „damie”, choć na premierze prawie zamarłem, kiedy wśród publiczności mignęła mi wytworna postać matki Kittredge’a. W czasie antraktu dowiedziałem się, że jestem w błędzie. Ta kobieta nie była jego matką.

– Kobieta, którą bierzesz za moją matkę, jest w Paryżu – wyjaśnił lekceważąco Kittredge.

– Ach tak.

– Musiałeś widzieć inną panią w średnim wieku, która wydaje majątek na ciuchy – uzupełnił.

– Twoja matka jest bardzo piękna – odpowiedziałem. Mówiłem szczerze, nie mając na myśli nic złego.

– Ale twoja mama jest laską – skwitował rzeczowo Kittredge. W jego słowach nie było cienia aluzji i sarkazmu; mówił tym samym racjonalnym tonem, którym oznajmił, że jego matka (lub też kobieta, która nią nie jest) przebywa w Paryżu. Niebawem słowo „laska” w tym znaczeniu zrobiło w Akademii wielką karierę.

– Co ty wyprawiasz, Billy? – spytała później Elaine. – Chcesz się z nim zaprzyjaźnić?

Elaine była fantastyczną Mirandą, choć na premierze wypadła nie najlepiej. Niewykluczone, że przeze mnie.

„Szlachetne łona wydają niekiedy niegodnych synów”, mówi Miranda do ojca à propos jego brata Antonia.

Przemaglowaliśmy z Elaine ten temat chyba za bardzo. Opowiadałem jej o moim biologicznym ojcu – że wszystko, co we mnie złe, przypisuję jego genom (nie mamy). Matka wydawała mi się jeszcze wówczas szlachetnym łonem. Wprawdzie złościła mnie jej łatwowierność, jednakże Mary Marshall Dean lub Abbott była z gruntu niezdolna do złych czynów. Może naiwna, czasem „wsteczna” – w rozmowach z Elaine unikałem określenia „upośledzona” – lecz nigdy „niegodna”.

Przyznaję, że choć bardzo się starałem, nie mogłem wymówić słowa „łono”, nawet w liczbie pojedynczej. Pękaliśmy ze śmiechu, bo niezmiennie wychodził z tego „łomot”.

– Jaki łomot, Billy! – krzyczała Elaine. – Co ty gadasz?

Nawet mnie to bawiło. Czego ja chciałem od słowa „łono”?

Lecz raczej dlatego Elaine zafiksowała sobie słowo „mamy” zamiast „łona” i mało nie sypnęła się na premierze. „Szlachetne mamy wydają czasem niegodnych synów”, miała na końcu

języka, lecz opamiętała się w porę i urwała zaraz po „szlachetne”. Po czym nastąpiło to, przed czym drży każdy aktor: kompromitująca cisza.

– Łona – szepnęła moja matka; miała doskonały szept suflera, prawie niesłyszalny dla ucha.

– Łona! – wrzasnęła Elaine Hadley. Richard (jako Prospero) podskoczył. – „Szlachetne łona wydają czasem niegodnych synów!” – oznajmiła nieco zbyt dobitnie Miranda. Sytuacja więcej się nie powtórzyła.

Oczywiście Kittredge musiał dopieć Elaine, nie omieszkał tego uczynić tuż po premierze.

– Musisz popracować nad słowem „łono”, Neapol – powiedział. – Budzi w tobie niezdrowe podniecenie. Powtarzaj sobie: „Każda kobieta ma łono, nawet ja. Łono to nic wielkiego”. Możemy przeciwzyć to razem, jeśli wolisz. Ja mówię „łono”, a ty odpowiadasz: „Łono to nic wielkiego”. Albo ja mówię „łona”, a ty: „Mam i ja!”. Coś w tym stylu.

– Dzięki za radę Kittredge. – Elaine przygryzała dolną wargę; wiedziałem, że na niego leci i nienawidzi siebie za to. (Miałem tak samo).

I nagle, po miesiącach scenicznej bliskości nasz kontakt z Kittredge’em dobiegł końca i oboje z Elaine wpadliśmy w czarną rozpacz. Richard usiłował opowiadać nam o depresji poporodowej, która czasem nachodzi aktorów.

– My nie urodziłyśmy „Burzy” – zaproponowała ze zniecierpliwieniem Elaine. – Tylko Szekspir!

Teżkniałem za powtarzaniem kwestii na mosiężnym łóżku panny Frost, lecz gdy wspomniałem o tym Elaine, odpowie działa:

– Dlaczego? Przecież nawet się nie dotknęliśmy.

Była mi coraz bliższa, jednak lepiej mieć się na baczności, gdy za wszelką cenę usiłujemy poprawić humor bliskiej osobie.

– Co nie znaczy, że tego nie chciałem – odparłem.

Siedzieliśmy w jej pokoju – przy otwartych drzwiach – w sobotni wieczór na początku zimowego semestru. Nadszedł Nowy Rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty. Miałem siedemnaście, a Elaine szesnaście lat. W Akademii Favorite River był wieczór filmowy i z okna Elaine widzieliśmy migotanie projektora w nowej sali gimnastycznej w kształcie cebuli, dobudowanej do starej – w zimowe weekendy często tam oglądaliśmy Kittredge’a na macie. Nie tym razem: zapaśnicy mieli rozgrywki chyba w Mount Hermon, albo w Loomis.

Gdy zajeżdżali autokarami, Elaine i ja widzieliśmy ich z okna na piątym piętrze. Nawet w styczniowy ziąb, przy pozamykanych oknach, korytarzami niosły się echa ich okrzyków. Zapaśnicy oraz inni sportowcy zanosili sprzęt z autokaru do nowej sali gimnastycznej, gdzie znajdowały się szatnie i prysznice. Jeśli jeszcze leciał film, niektórzy sportowcy zostawali na końcówce.

Lecz w tamten sobotni wieczór puszczono western; tylko idiota oglądał końcówkę westernu, nie obejrzawszy początku – wszystkie westerny kończyły się tak samo. (Oczywiście strzelanką). Elaine i ja zakładaliśmy się, czy Kittredge zostanie do końca westernu – o ile drużyna zdąży wrócić przed napisami.

– Kittredge nie jest głupi – stwierdziła Elaine. – Nie skusi się na ostatni kwadrans końskiej opery. (Gardziła westernami; w przyпыływie łaskawości nazywała je „końską operą”, częściej poprzestając na określeniu „samcza propaganda”).

– Kittredge to mięśniak, zostanie w sali gimnastycznej z innymi mięśniakami – powiedziałem. – Nieważne, jaki to film.

Mięśniaki, którzy nie chcieli po przyjeździe zostać w sali gimnastycznej, nie mieli daleko do domu. Mieszkali w internacie o nazwie Tilley, pięciopiętrowym prostopadłościu z cegły, położonym tuż obok sali, i z sobie tylko znanych kretyńskich powodów na dziedzińcu zawsze

darli się jeden przez drugiego.

Pana Hadleya i jego swojskiej żony Marthy nie było; wyszli z Richardem i mamą, co zdarzało im się dosyć często, zwłaszcza kiedy w Ezra Falls leciał zagraniczny film. W razie filmu z napisami, tytuł filmu na markizie nad kinem widniał drukowanymi literami. Nie dlatego, by ostrzec vermontczyków, którzy nie chcieli (bądź nie umieli) czytać napisów; sens aluzji był głębszy, zagraniczne filmy bowiem zawierały dużo seksu jak na tutejsze zwyczaje.

Kiedy mama, Richard i państwo Hadley jechali do Ezra Falls na seans z napisami, Elaine i ja zostawaliśmy. Gdy nasi rodzice oglądali filmy erotyczne, my siedzieliśmy sami, w moim lub jej pokoju, zawsze z otwartymi drzwiami.

Elaine nie chodziła na filmy do sali gimnastycznej, nawet kiedy nie puszczano westernu. Twierdziła, że w kinowej atmosferze jest za dużo pierwiastka męskiego jak na jej gust. Dziewczęta w pewnym wieku nie czuły się swobodnie wśród młodych samców, przy wtórce bąków puszcanych na cały regulator oraz jeszcze gorszych przejawów braku ogłady. Przypuszczała, że gdyby w sali gimnastycznej wyświetlano zagraniczne filmy erotyczne, niektórzy chłopcy onanizowaliby się na boisku do koszykówki.

Zwykle woleliśmy przesiadywać w jej pokoju. Z mieszkania na piątym piętrze rozciągał się lepszy widok na dziedziniec; mieszkanie mamy i Richarda – a co za tym idzie, mój pokój – znajdowało się na trzecim piętrze internatu imienia Bancrofta. W holu na parterze stało popiersie starego Bancrofta, od dawna nieżyjącego profesora honorowego Favorite River. Bancroft (na popiersiu) był łysy, ale za to miał krzaczaste brwi.

Zaznajamiając się z przeszłością Akademii oglądałem też zdjęcia profesora Bancrofta. Był kiedyś młodym członkiem kadry wykładowców i widziałem jego fotografie – z burzą włosów – w starych rocznikach w czytelnicy. (Nie wypada spekulować na temat czyjejś przeszłości; jeśli nie widziałeś na nią dowodów, przeszłość danej osoby stoi pod wielkim znakiem zapytania).

Gdy Elaine poszła ze mną do czytelnicy, starsze roczniki nie wzbudziły jej zainteresowania. Dopiero co przebrnąłem przez pierwszą wojnę światową, ale ona zaczęła od roczników współczesnych: lubiła oglądać zdjęcia obecnych uczniów i świeżo upieczonych absolwentów. Biorąc pod uwagę nasze postępy, szacowaliśmy, że spotkamy się na początku drugiej wojny – lub tuż przed nią.

– Przystojniak – mawiała Elaine, gdy ten czy ów chłopiec ze zdjęcia wpadł jej w oko.

– Pokaż – odpowiadałem, jak zawsze lojalny, ale wciąż nie zdradzałem się przed nią. (Mieliśmy podobny gust).

Jakim cudem dałem Elaine do zrozumienia, że chciałbym ją dotknąć? Wprawdzie było to kłamstwo w dobrej wierze, lecz zarazem mogłem chcieć zmylić trop; niewykluczone, że targały mną obawy, iż Elaine podejrzewa mnie o homoseksualne ciągoty, które doktor Harlow i doktor Grau chcieli leczyć „agresywnie”.

Na początku mi nie uwierzyła.

– Słucham? – powiedziała. Tarzaliśmy się po jej łóżku, ale bez podtekstów. Nudziliśmy się, słuchając muzyki z radia i nasłuchiwalismy odgłosów zza okna. Powrót drużyny zapaśniczej niewiele nas obchodził, znaczył jednak, że Kittridge znów grasuje w pobliżu.

Na parapecie Elaine stała lampka do czytania z granatowym kloszem; szklanym i grubym jak butelka coli. Kittredge wiedział, że granatowe światło na piątym piętrze Bancrofta pochodzi z sypialni Elaine. Odkąd wystąpiliśmy razem w „Burzy”, „słał” niekiedy serenady pod jej adresem; widział jej okno z każdego miejsca na dziedzińcu – nawet z Tilley, internatu dla sportowców. W swojej podróży szlakiem starych roczników nie napotkałem jeszcze profesora Tilleya. Jeśli był profesorem honorowym, musiał uczyć niedawno, a nie w zamierzchłej przeszłości jak Bancroft.

Nie zdawałem sobie sprawy z wagi, jaką Elaine przywiązywała do tych sporadycznych

serenad Kittredge'a; oczywiście miały one wyraz szyderczy, rodzaj „szekspirowskiego zadęcia”, jak sama mawiała. Mimo to wiedziałem, że często zasypiała przy włączonym świetle, a gdy nie śpiewał, popadała w przygnębienie.

I w tej atmosferze beczynnego oczekiwania, przy dźwiękach rock and rolla z rozgłośni radiowej, w samotności granatowej sypialni Elaine, wyskoczyłem z moim pomysłem. Sęk w tym, że pomysł wcale nie był zły, a jedynie daleki od prawdy. Nic dziwnego, że Elaine początkowo okazała niedowierzenie.

– Co powiedziałeś? – spytała.

– Nie chcę mówić ani robić nic, co mogłoby zagrozić naszej przyjaźni.

– Chcesz się poprzytulać? – upewniła się.

– Tak... trochę.

– Bez... penetracji, to chciałeś powiedzieć?

– Nie... Tak, to chciałem powiedzieć. – Wiedziała, że słowo „penetracja” sprawia mi niejaką trudność; był to jeden z rzeczowników, które sprawiały mi problem, lecz niebawem miałem go pokonać.

– Powiedz to, Billy – ponagliła.

– Bez... pójścia na całość – wybrnąłem.

– Ale co dokładnie miałeś na myśli? – drażyła.

Położyłem się na brzuchu i zakryłem głowę poduszką, co musiało być dla niej nie do wytrzymania, bo usiadła mi okraciem na nerkach. Czułem na karku jej oddech; musnęła nosem moje ucho.

– Całowanie? – szepnęła. – Dotykanie?

– Tak – odparłem stłumionym głosem.

Zdjęła mi poduszkę z głowy.

– Dotykanie gdzie? – wymruczała.

– Nie wiem.

– Nie wszędzie – zaznaczyła.

– Ależ skąd! Jasne.

– Możesz dotykać moich piersi. I tak prawie ich nie mam.

– Owszem, masz – zapewniłem. Coś tam było; przyznaję, kuśiło mnie, by dotknąć jej piersi. (Mam ochotę dotykać wszystkich piersi, zwłaszcza małych).

Położyła się na łóżku obok mnie i przekręciłem się na bok, żeby na nią spojrzeć.

– Stań ci? – spytała.

– Tak – skłamałem.

– O Boże... ależ tutaj gorąco! – krzyknęła nagle, zrywając się jak oparzona. Im zimniej na zewnątrz, tym goręcej robiło się w budynkach starych internatów – temperatura rosła z każdym piętrem. Przed snem uczniowie zawsze uchylali okna, żeby wpuścić chłodne powietrze, lecz wiekowe kaloryfery buzowały niestrudzenie.

Elaine miała na sobie chłopięcą koszulę, białą, z zapinanym kołnierzykiem, który zawsze był rozchylony, a dwa górne guziki rozpięte. W owej chwili wyjęła koszulę ze spodni i uchwyciwszy ją kciukiem i palcem wskazującym, dla ochłody dmuchnęła sobie w kościsty dekolt.

– Teraz też ci stoi? – Uchyliła okno i z powrotem padła na łóżko.

– Nie... Chyba się denerwuję – wyznałem.

– Nie denerwuj się. Będziemy się tylko całować i dotykać, tak?

– Tak.

Poczułem lodowaty podmuch z uchylonego okna, gdy naraz przysunęła się i cmoknęła mnie w usta. Chyba też poczuła się zawiedziona, dorzuciła bowiem:

– Może być z języczkiem. Francuskie pocałunki są dozwolone.

Kolejny pocałunek był ciekawszy – języki sprawiają kolosalną różnicę. Pocałunki francuskie mają to do siebie, że nabierają rozpędu; Elaine i ja nie bardzo wiedzieliśmy, co z tym począć. Dla rozproszenia uwagi pomyślałem o matce, która widzi jak mój przewrotny ojciec całuje kogoś innego. Przyszło mi do głowy, pamiętam, że całowanie z języczkiem kryje w sobie pewną przewrotność. Elaine chyba też myślała o czymś innym, bo oderwała się ode mnie i rzuciła bez tchu:

– Tylko nie Everly Brothers! – Kompletnie nie zwracałem uwagi na muzykę, ale ona sięgnęła do nocnego stolika i wyłączyła radio. – Chcę słyszeć nasze oddechy. – Wtuliła się w moje ramiona.

Tak jest, pomyślałem, oddech się zmienia, gdy całujemy kogoś z języczkiem. Zapuściłem rękę pod koszulę Elaine i ostrożnie dotknąłem jej brzucha; poprowadziła ją wyżej, do piersi, a ściślej rzecz biorąc miseczki stanika, która była miękka, mała i bez trudu mieściła mi się w dłoni.

– Czy to... stanik treningowy? – spytałem.

– Usztywniany. O treningu nic nie wiem.

– Przyjemny. – Nie kłamałem; określenie „treningowy” podziało na mnie stymulująco, choć nie byłem pewien, co właściwie trzymam w dłoni. (Pierś, czy może stanik?).

Elaine chyba przeczuwała rodzaj naszych przyszłych relacji, jakby czytała mi w myślach, oznajmiła bowiem, jak zawsze głośno i wyraźnie:

– Więcej stanika niż piersi, jeśli chcesz znać prawdę, Billy. Czekaj, pokażę ci – dodała, po czym usiadła, rozpięła białą koszulę i zsunęła ją z ramion.

Stanik był ładny, raczej perłowoszary niż biały, a gdy sięgnęła do tyłu, aby go rozpiąć, jakby się rozrósł. Zanim włożyła z powrotem koszulę, dostrzegłem w przelocie jej biust; sutki miała większe niż chłopiec, a te ciemniejsze kręgi wokół – aureole, kolejna niewymawialna liczba mnoga! – pokrywały niemal całą powierzchnię piersi. Lecz gdy zapinała koszulę, moją uwagę przykuł jej stanik, leżący teraz na łóżku między nami. Podniosłem go: w jedwabistą tkaninę wszyto miękkie, usztywniane miseczki. Ku swemu zdumieniu, zapragnąłem go przymierzyć – dowiedzieć się, jakie to uczucie nosić stanik. Ale zachowałem tę pokusę dla siebie, wraz z pozostałymi, o których nie mówiłem mojej przyjaciółce.

Wystarczyło minimalne odstępstwo od normy, by nastąpił przełom w budzącej się między nami relacji: Elaine swoim zwyczajem nie zapięła dwóch górnych guzików, ale ten na samym dole też pozostawiła rozpięty. Tym łatwiej wsunąłem rękę i po chwili ująłem to, co bez trudu zmieściło się w mojej dłoni.

– Nie wiem, jak ty, Billy – powiedziała Elaine, gdy leżeliśmy twarzą w twarz na jednej poduszce – ale ja zawsze wyobrażałam sobie, że jest w tym więcej bałaganu.

– Bałaganu – powtórzyłem, siląc się na wykrętną odpowiedź.

Przypomniałem sobie coroczne pogadanki doktora Harlowa na temat naszych „uleczalnych przypadłości”; „niezdrowy pociąg seksualny do innych chłopców i mężczyzn” stanowił jedną z nich.

Chyba wyrzuciłem z pamięci prezentację doktora Graua – „Herr Doktora” Graua, jak nazywaliśmy szkolnego psychiatrę. Doktor Grau rok w rok karmił nas tą samą szaleńczą gadką – jak to jesteśmy w fazie zatrzymania rozwoju, „zamrożeni – mawiał – jak owady w bursztynie”. (Sądząc po wystraszonych minach, nie wszyscy z nas widzieli owady w bursztynie – lub chociaż o nich słyszeli). „Jesteście na etapie polimorficznej perwersyjności – zapewniał nas doktor Grau. – To naturalne, że wykazujecie infantylne tendencje seksualne, w których genitalia nie zostały jeszcze rozpoznane jako jedyne bądź główne organy płciowe”. (Ale jakim cudem mogliśmy nie wiedzieć rzeczy tak oczywistej o naszych genitaliach, myśleliśmy ze zgrozą). „Doświadczenie

pregenitalnych fiksacji libidynalnych”, zapewniał stary Grau, jakby chciał nam dodać otuchy. (Uczył też niemieckiego, w ten sam niezrozumiały sposób). „Musicie przyjść porozmawiać ze mną o tych fiksacjach”, uzupełniał stary Austriak. (Żaden ze znanych mi uczniów Akademii nie przyznał się do takowych fiksacji; o ile mi wiadomo, nikt nie rozmawiał z doktorem Grauem!).

Richard Abbott powiedział mi i pozostałym aktorom z „Burzy”, że płeć Ariela jest „polimorficzna i pozostaje raczej kwestią stroju niż czynników organicznych”. To doprowadziło go do konkluzji, że płeć mojego bohatera jest „ambiwalentna”, co dodatkowo zamąciło kwestię mojej (i Ariela) orientacji seksualnej.

A jednak gdy zapytałem Richarda, czy miał na myśli coś w rodzaju etapu polimorficznej perwersyjności „owadów w bursztynie”, o których gadał (w nieskończoność) doktor Grau, Richard stanowczo zaprzeczył istnieniu jakichkolwiek cech wspólnych.

– Nikt nie słucha starego Graua, Bill. Ty też ani mi się waz.

Słuszna rada, ale łatwo powiedzieć: wprawdzie nie musieliśmy przestrzegać zaleceń doktora Graua, jednak słuchać go musieliśmy. I gdy leżeliśmy obok siebie, ja z dłonią na jej piersi, spleceni językami w sposób zgoła niepozostawiający wątpliwości co do dalszych kroków, uświadomiłem sobie narastającą erekcję.

– Stałaś ci wreszcie? – wymamrotała Elaine, nie odrywając ust.

Owszem, odnotowałem też jej zniecierpliwienie, byłem jednak skołowany, prawdę powiedziawszy nie wiedziałem, co spowodowało wzwód.

Tak, pocałunki były ekscytujące i (do dzisiaj) nie pozostają obojętne na dotyk nagich piersi kobiety, ale skłaniałbym się ku teorii, że stanął mi na myśl o staniku Elaine. Czy nie manifestowałem „infantylnych tendencji”, przed którymi ostrzegał nas doktor Grau?

Ale wydusiłem tylko zduszone: „Tak!”.

Odsunęła się gwałtownie, aż przygryzła mi dolną wargę.

– Naprawdę ci stała? – zapytała z powagą.

– W rzeczy samej – przyznałem. Pomacałem dolną wargę, czy nie krwawi. (Rozglądałem się za stanikiem).

– Boże... Nie chcę na to patrzeć! – krzyknęła, zbijając mnie z tropu. Wcale jej nie proponowałem! Sam nie chciałem na to patrzeć. Prawdę mówiąc, spaliłbym się ze wstydu, gdyby to zobaczyła: pewnie rozczarowała się bądź wybuchnęła śmiechem (albo zwymiotowała).

– Może mogłabym go dotknąć – rzuciła w zamyśleniu. – Ale przez spodnie – dodała pośpiesznie.

– Pewnie... Czemu nie? – odpowiedziałem możliwie obojętnym tonem, choć (latami) miałem zastanawiać się, czy ktokolwiek prócz mnie przeszedł inicjację seksualną na zasadzie takich pertraktacji.

Chłopcy w Akademii Favorite River nie mogli nosić dzinsów; drelichy, jak je nazywaliśmy, zabronione były w klasach i stołówce, gdzie musieliśmy nosić krawaty i marynarki. Większość paradowała w płóciennych spodniach lub – zimą – we flanelowych albo sztruksach. Tamtego styczniowego, sobotniego wieczoru miałem na sobie workowate sztruksy. Na erekcję w sam raz, lecz pod nimi miałem slipki, a te z kolei stawały się niewygodne. Niewykluczone, iż był to jedyny rodzaj męskiej bielizny dostępny w Vermont w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku – białe slipki. (Sam nie wiem, mama jeszcze kupowała mi ciuchy).

Widziałem w szatni bieliznę Kittredge’a – błękitne bokserki z bawełny, w odcieniu eleganckiej męskiej koszuli. Może jego francuska matka kupiła je w Paryżu albo w Nowym Jorku. „Ta kobieta musi być jego matką – obstawała przy swoim Elaine.

– Gdyby nie piersi, wyglądałaby tak jak on: już ona wie, gdzie kupować takie bokserki”. Bokserki Kittredge’a były wyprasowane, bynajmniej nie za sprawą zachcianki Kittredge’a,

ponieważ szkolna pralnia prasowała wszystko – nie tylko spodnie i koszule, ale także bieliznę i głupie skarpetki. (Co wyszydzano tak samo jak porady doktora Harlowa i doktora Graua).

Bez względu na tę ciekawostkę, moja pierwsza erekcja zainspirowana Elaine Hadley (bądź jej stanikiem) sztywniała w dopasowanych slipkach, grożąc odcięciem dopływu krwi do „natchnionego” wzrodu. Elaine – z werwą, na którą nie byłem przygotowany – nagle położyła dłoń na genitaliach, których zdaniem doktora Grau „jeszcze nie zidentyfikowaliśmy” jako nasze cholerne organy płciowe! Nie miałem dylematu co do ich natury i umiejscowienia, więc podskoczyłem jak oparzony.

– O... mój... Boże! – wrzasnęła Elaine, aż chwilowo ogłuchłem na jedno ucho. – Nie wyobrażam sobie, co znaczy mieć coś takiego!

To również zbiło mnie z tropu. Nie wyobrażała sobie, co znaczy mieć go „w sobie”, czy może być chłopcem i go posiadać? Nie zapytałem. Szczęściem uwolniła moje jądra, łapiąc dla odmiany penisa, a ja dalej pieściłem jej piersi. Gdybyśmy wznowili całowanie na etapie, w którym je zarzuciliśmy, trudno powiedzieć, do czego doprowadziłyby „rozpęd”, ale tak się złożyło, że rozpoczęliśmy całą procedurę od nowa – najpierw nieśmiało, dotykając się tylko czubkami języków. Zobaczyłem, że Elaine przymyka oczy, i też zamknąłem.

Tym samym odkryłem, że można trzymać pierś Elaine Hadley, jednocześnie wyobrażając sobie, iż dotykam uległej panny Frost. (Intuicja podpowiadała mi, że piersi panny Frost byłyby tylko nieco większe od piersi Elaine). Z zamkniętymi oczami mogłem nawet wmówić sobie, że mała rączka Elaine na moim penisie to w istocie dużo większa dłoń panny Frost, mocno powściągliwej. I gdy całowanie nabrało rozpędu – oboje wkrótce straciliśmy dech – snułem wizję, że mam w ustach język panny Frost i leżymy spleceni na mosiężnym łóżku w jej piwnicznym schronie, w bibliotece publicznej w First Sister.

Gdy spaliny pierwszego powracającego autokaru sięgnęły uchylonego okna w położonym na piątym piętrze pokoju Elaine, wmówiłem sobie, że to zapach pieca olejowego w dawnym zsypie na węgiel. Otworzywszy oczy, niemal spodziewałem się znaleźć twarzą w twarz z panną Frost, ale zobaczyłem moją przyjaciółkę Elaine z mocno zaciśniętymi powiekami.

Podczas gdy ja wyobrażałem sobie pannę Frost, nie przyszło mi do głowy, że Elaine też błądzi myślami. Nic dziwnego zatem, że nazwisko, które wionęła mi w usta, brzmiało „Kittredge!” (Elaine bezbłędnie rozpoznała zapach zza okna; odgadła, że to autobus drużyny, bo całowała się w myślach wiadomo z kim).

Otworzyła szeroko oczy. Oboje musieliśmy mieć skruszone miny. Czułem, jak pulsuje mi penis; Elaine też musiała to czuć.

– Bije ci serce – powiedziała.

– To nie serce.

– Owszem: serce bije ci w penisie. Czy serca wszystkich chłopców tam biją?

– Nie mogę wypowiadać się za innych chłopców – odpowiedziałem. Puściła mnie i przetoczyła się na drugi bok.

Nadjechał kolejny autobus; w sali gimnastycznej wciąż migało światło projektora, a kretyńskie okrzyki sportowców rozniosły się echem na dziedzińcu – niewykluczone, że znajdowali się wśród nich zapaśnicy.

Elaine leżała na łóżku, prawie dotykając czołem parapetu, gdzie podmuch z uchylonego okna był najzimniejszy.

– Kiedy cię całowałam i dotykałam, a ty dotykałeś mnie, myślałam o Kittredge’u, tym draniu – wyznała.

– Wiem... nic nie szkodzi – odparłem w poczuciu, że mam dobrą i prawdopodobną przyjaciółkę, co bynajmniej nie skłoniło mnie, aby w rewanżu opowiedzieć jej o pannie Frost.

– Właśnie, że szkodzi – mruknęła Elaine; płakała.

Leżała na boku w nogach łóżka, twarzą do okna, a ja przytuliłem się do jej pleców; w ten sposób mogłem całować ją w kark oraz (jedną ręką) pieścić piersi pod wyciągniętą ze spodni koszulą. Serce dalej waliło mi w penisie. Miałem wątpliwości, czy Elaine wyczuwa to przez podwójną warstwę spodni, choć przywarłem do niej, a ona pośladkami wcisnęła się we mnie.

Miała chłopięcy tyłeczek i wąskie biodra, na sobie chłopięce dzinsy (do kompletu z koszulą). Nagle przyszło mi do głowy, kiedy całowałem jej kark i wilgotne włosy, że właściwie pachnie jak chłopiec. Nigdy się nie perfumowała, nie robiła makijażu, ani nawet nie używała pomadki. Teraz była spocona, a ja ocierałem się o jej chłopięcy tyłek.

– Wciąż ci stoi, co?

Potwierdziłem. Krępowало mnie, że nie mogę przestać się ocierać, ale ona poruszyła biodrami.

– Nie szkodzi – powiedziała.

– Owszem, szkodzi – mruknąłem, lecz brakowało mi pewności, którą przed chwilą słyszałem w jej głosie, gdy mówiła do mnie te same słowa. (W odpowiedzi na to, że wiem o Kittredge’u).

Panna Frost była postawną kobietą; miała szerokie barki i rozłożyste biodra. Jej pośladków nie sposób nazwać chłopięcymi, więc mimo najszczerzych chęci nie mógłbym myśleć o niej, ocierając się o Elaine Hadley, która płakała.

– Naprawdę nie szkodzi... podoba mi się – zaczęła, gdy naraz usłyszeliśmy z dołu głos Kittredge’a.

– Mój słodki Neapolu, czy to twoje niebieskie światło w górze płonie? – zawołał. Elaine zeszywniała. Na dziedzińcu rozbrzmiewały głosy wielu chłopców, lecz wyróżniał się tylko głos Kittredge’a.

– A nie mówiłam, że nie obejrzy do końca westernu, gnojek? – szepnęła.

– Ach, Neapolu, czy to mnie wzywasz? – krzyknął Kittredge. – Czy wciąż nosisz wianek, czy go zgubiłaś? – (Kiedyś miałem uświadomić sobie, że Kittredge był podróbką Szekspira – do szpiku kości).

Szlochając, Elaine zgasła lampę z granatowym kloszem. Kiedy wtuliła się z powrotem we mnie, szlochała jeszcze głośniejsze i na dodatek zaczęła pojękiwać, co przypominało odgłosy wydawane przez psa, gdy coś mu się śni.

– Nie przejmuj się, Elaine. To palant – szepnąłem jej do ucha.

– Ciii! Nie gadaj – dorzuciła, w przerwach między zduszonymi okrzykami.

– Czy to ty, Neapolu? – wrzasnął Kittredge. – Tak szybko gasisz światło? Znow sama do łóżka, niestety!

Koszula wylazła mi ze sztruksów, pewnie przez to ociera nie. Była niebieska, w odcieniu bokserek Kittredge’a. Elaine zaczęła jęczeć.

– Jeszcze! Mocniej! – zawodziła. – Tak! O tak! Boże, nie kończ! – krzyknęła głośno.

Widziałem parę z jej ust na lodowatej brzytwie powietrza z otwartego okna; ocierałem się o nią bez przerwy, aż złapałem się na tym, że pytam na cały głos: „Tak? Czy tak jest dobrze?”. (Gadać nie gadaliśmy, ale nasze głosy niosły się aż na dziedziniec, gdzie wciąż kłębili się sportowcy).

Projektor zgasł i sala gimnastyczna pogrzyła się w ciemności. Western dobiegł końca i dym z rewolwerów rozproszył się podobnie jak chłopcy, którzy rozeszli się do swoich internatów – wszyscy prócz Kittredge’a.

– Przystań, Neapolu! – krzyknął. – Ty też tam jesteś, Nimfo? – zawołał do mnie.

Z ust Elaine wyrwał się przeciągły krzyk rozkoszy. „Bardziej poród niż orgasm, jak sądzę”, powie później. „Ani myślę rodzić dzieci – widziałeś, jakie one mają główki?”, spyta.

Reakcja Kittredge'a była natychmiastowa. Nie skończyliśmy jeszcze poprawiać łóżka, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Boże, gdzie mój stanik? – Nie mogła znaleźć go wśród pościeli, lecz i tak nie zdążyłaby go włożyć. (Musiała otworzyć drzwi).

– To on – uprzedziłem.

– No jasne. – Kiwnęła głową. Przeszła do salonu i zanim otworzyła drzwi, przejrzała się w lustrze.

Znalazłem stanik na łóżku, zaplątany w pomiętą narzutę, i szybko wepchnąłem go do majtek. Po mojej erekcji nie było już śladu, więc miejsca zrobiło się aż nadto.

– Chciałem sprawdzić, czy wszystko gra – usłyszałem głos Kittredge'a. – Myślałem, że się pali, czy coś.

– Owszem, paliło się, ale już w porządku – zapewniła Elaine.

Wyszedłem z jej pokoju. Nie zaprosiła Kittredge'a do środka, stał w progu. Minęło go paru chłopców, ciekawie zaglądając ponad jego ramieniem.

– No proszę, kogo moje oczy widzą – odezwał się Kittredge.

Na policzku miał świeże otarcie od maty, lecz nie tracił animuszu.

– Domyślam się, że wygrałeś – powiedziałem.

– Zgadza się, Nimfo – mruknął, wpatrując się w Elaine, której sutki prześwitywały spod białej bluzki, a ciemniejsze obwódki wokół – niewymawialne aureole – wyglądały jak plamy od wina na skórze.

– Coś mi tu śmierdzi; Neapol? Gdzie twój stanik? – Nie spuszczał z niej wzroku.

Elaine uśmiechnęła się do mnie.

– Znalazłeś? – spytała.

– Nie szukałem dokładnie – skłamałem.

– Lepiej weź pod uwagę swoją reputację, Neapolu – wtrącił Kittredge. Przyjął nową taktykę; tego się nie spodziewaliśmy.

– Nic nie grozi mojej reputacji – odparła.

– Ty też powinieneś zadbać o jej reputację, Nimfo. – Nie omieszkał mnie pouczyć. – Łatwo ją stracić, rozumiesz.

– Nie wiedziałam, że taki jesteś pruderyjny – prychnęła Elaine, zauważyłem jednak, że słowo „reputacja” i aluzje Kittredge'a poruszyły w niej czułą strunę.

– Kto, ja? – Spoglądał na nią z uśmiechem, jakim obdarza się dziewczynę, będąc z nią na osobności. Pozwoliła mu na to.

– Ja tylko udawałam, Kittredge! – wrzasnęła. – My tylko oboje graliśmy! – wykrzyczała na cały regulator.

– Czy ja wiem... Niezupełnie – odparł. – Lepiej uważaj, kogo udajesz, Nimfo – przestrzegł mnie, lecz wciąż wpatrywał się w Elaine, jak gdyby byli sami.

– Wybacz, Kittredge, muszę znaleźć stanik i włożyć go przed powrotem rodziców... Na ciebie też już czas, Billy – dodała, ale patrzyła na niego. Oboje nie zwracali na mnie uwagi.

Nie było jeszcze jedenastej, gdy Kittredge i ja znaleźliśmy się w holu na piątym piętrze; inni chłopcy włóczyli się po korytarzu lub stali w drzwiach, zelektryzowani jego widokiem.

– Znowu wygrałeś? – spytał któryś. Tylko skinął głową.

– Słyszałem, że drużyna zapaśników dostała w skórę – wtrącił ktoś inny.

– Nie jestem drużyną – burknął Kittredge. – Mogę tylko wygrać w swojej wadze.

Zeszliśmy schodami na trzecie piętro, gdzie powiedziałem mu dobranoc. Wieczorny obchód w sobotni wieczór, nawet w ostatnich klasach, odbywał się o jedenastej.

– Rozumiem, że Richard i twoja mama wyszli z Hadleyami – rzucił jak gdyby nigdy nic.

– Tak, pojechali na zagraniczny film do Ezra Falls.

– Bzykanko po francusku, włosku lub szwedzku – odparł. Roześmiałem się, lecz nie silił się na żarty. – Wiesz co, Nimfo? Nie jesteś we Francji, Włoszech ani Szwecji. Powinieneś bardziej uważać, kogo bzykasz. Albo nie bzykasz.

Zastanawiałem się, czy rzeczywiście przemawia przez niego troska o „reputację” Elaine – nigdy nie było wiadomo, o co mu chodzi.

– Nie skrzywdziłbym Elaine – powiedziałem.

– Słuchaj, Nimfo. Można krzywdzić ludzi, uprawiając z nimi seks, jak i go nie uprawiając.

– Chyba masz rację – przyznałem ostrożnie.

– Twoja mama śpi nago czy w czymś? – zagadnął nagle z innej beczki.

– W czymś.

– Jak to mama – skwitował. – A przynajmniej większość mam.

– Dochodzi jedenasta – ostrzegłem. – Nie chcesz się spóźnić na obchód.

– A Elaine śpi nago? – spytał.

Oczywiście powinienem mu powiedzieć, że w trosce o Elaine nie zamierzam udzielać podobnych informacji takim jak on, lecz prawdę mówiąc nie znałem odpowiedzi na to pytanie. Dlatego postawiłem na tajemniczość.

– Elaine nie śpi, kiedy jest ze mną.

Kittredge prychnął.

– Takiś enigmatyczny, co? Ale kiedyś cię rozgryzę, zobaczysz.

– Spóźnisz się na obchód – przypomniałem.

– Idę do pielęgniarki, niech rzuci na to okiem. – Dotknął policzka. Moim zdaniem otarcie nie było duże, ale Kittredge dodał: – Dzisiaj ma dyżur ta ładna, potrzebny mi jakiś pretekst. W sobotni wieczór warto siedzieć u pielęgniarki.

I polazł, jak to on. Też nie mogłem go rozgryźć. Czy weekendowa pielęgniarka naprawdę istniała? Kittredge kręcił ze starszą kobietą? A może tylko grał, jak Elaine i ja? Udawał na całego?

Nie minęło parę minut, gdy wróciła mama z Richardem. Ledwo zdążyłem wyjąć z majtek stanik Elaine. (Elaine zadzwoniła w chwili, kiedy chowałem go pod poduszką).

– Masz mój stanik, prawda? – spytała.

– Co się stało z kaczką? – odpowiedziałem pytaniem, ale nie była w nastroju.

– Masz mój stanik, Billy?

– Tak. To był impuls.

– Nie szkodzi. Możesz go zatrzymać. – Nie powiedziałem jej, że Kittredge chciał wiedzieć, czy śpi nago.

Zapytałem mamę o film.

– Odrażający! – zawołała.

– Nie wiedziałem, że jesteś pruderyjna.

– Wolnego, Bill – wtrącił Richard.

– Nie jestem pruderyjna! – oburzyła się mama. Sprawiała wrażenie dziwnie podminowanej, a przecież tylko żartowałem. Elaine powiedziała to samo do Kittredge’a.

– Nie wiedziałem, o czym będzie ten film, Perelko – tłumaczył się Richard. – Nie gniewaj się.

– Jak ty wyglądasz! – zganiała mnie. – Jesteś bardziej pognieciony niż niepościelone łóżko. Porozmawiaj z nim, Richardzie.

Poszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

– O czym? – zwróciłem się do Richarda.

– Bądź ostrożny z Elaine, Bill. Jest młodsza od ciebie. Musisz ją chronić – powiedział z

naciskiem.

– Masz na myśli gumki? – spytałem. – Są dostępne tylko w Ezra Fallss, a ten palant aptekarz nie chce ich sprzedawać dzieciakom.

– Nie mówi się „palant”, Bill – upomniał mnie. – Przynajmniej nie przy mamie. Chcesz gumki? Kupię ci.

– Elaine jest bezpieczna.

– Czy widziałem, że Kittredge wychodzi z Bancrofta, kiedy wracaliśmy? – zapytał Richard.

– Nie wiem. A widziałeś?

– Jesteś, w decydującym wieku, Bill – uświadamiał mnie. – My tylko chcemy, żebyś uważał z Elaine.

– Uważam.

– I trzymaj ją z daleka od Kittredge’a – dodał.

– Niby jak mam to zrobić?

– No cóż, Bill... – Przerwał, kiedy mama wyszła z sypialni. Pomyślałem, że poczuje się rozczarowany jej widokiem: miała na sobie flanelową piżamę, zero fantazji.

– Dalej rozmawiacie o seksie, tak? – Była wściekła. – Wiem, że o tym rozmawialiście. Nie ma się z czego śmiać.

– Wcale się nie śmiejemy, Perelko... – zaczął Richard, ale nie dała mu skończyć.

– Pilnuj rozporzeka, Billy! – przykazała. – Bądź ostrożny z Elaine i każ jej uważać na Jacques’a Kittredge’a... Niech ma się na baczności! On nie tylko chce uwodzić kobiety: on chce je sobie podporządkować!

– Perelko, Perelko, daj spokój – łagodził Richard.

– Nie wiesz wszystkiego, Richardzie – poinformowała go matka.

– Zgadza się – przyznał.

– Znam takich jak Kittredge – uzupełniła mama, spoglądając na mnie, i poczerwieniała.

Pomyślałem, że złości się, bo coraz bardziej przypominam jej mojego ojca kobieciarza – również z wyglądu. (Jakbym miał na to wpływ!).

Pomyślałem o staniku Elaine, czekającym na mnie pod poduszką – „raczej kwestia stroju niż czynników organicznych”, jak ujął to Richard à propos płci Ariela. (No właśnie!).

– O czym był ten film? – zagadnąłem Richarda.

– Nie będziemy rozmawiać z tobą na takie tematy – oświadczyła matka. – Nie mów mi, Richardzie.

– Wybacz, Bill. – Richard się poddał.

– Szekspir nie powstydzilby się tego na pewno – zwróciłem się do Richarda, zerkając na mamę. Unikała mojego wzroku; wróciła do sypialni i zamknęła drzwi.

I co tu się dziwić, że nie byłem szczery z moją jedyną przyjaciółką Elaine? Że nie mogłem opowiedzieć Richardowi o pociągu do Kittredge’a, ani wyznać pannie Frost, że ją kocham. Wiadomo, po kim odziedziczyłem brak szczerości. (Po matce na pewno, niewykluczone, że po ojcu kobieciarzu też. Jeśli się zastanowić, możliwe, że po obojgu).

– Dobranoc, Richardzie. Kocham cię – powiedziałem ojczymowi. Cmoknął mnie w czoło.

– Dobranoc, Bill. Ja ciebie też – rzucił z przepraszającym uśmiechem. Naprawdę go kochałem, a przy tym walczyłem z rozczarowaniem jego osobą.

Poza tym byłem wykończony: to katorka mieć siedemnaście lat i nie wiedzieć, kim się jest. A stanik Elaine wzywał mnie do pokoju.

Rozdział 5

ROZSTANIE Z ESMERALDĄ

Być może trzeba, aby twój świat stanął do góry nogami, cały świat, żeby zrozumieć, po co ktoś pisałby epilog – o zasadności aktu piątego „Burzy” nie wspominając, i znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego epilog tej sztuki (wygłaszany przez Prospera) pasuje jak ulał. Gdy po szczeniacku skrytykowałem to w „Burzy”, mój świat jeszcze nie uległ zmianie.

„Teraz czarami już nie władam i własną tylko moc posiadam”, mówi na początku Prospero – jak zagałby Kittredge, na pozór niewinnie i bezceremonialnie.

Zimą tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku, gdy Elaine i ja ciągnęliśmy naszą maskaradę – doszło do tego, że trzymaliśmy się za ręce, patrząc jak Kittredge roznosi przeciwników na macie – Martha Hadley podjęła pierwsze oficjalne wysiłki w celu zbadania ewentualnej przyczyny (bądź przyczyn) moich zaburzeń mowy. Mówię „oficjalne”, bo umawiałem się do niej na wizyty i spotykaliśmy się w jej gabinecie, w muzycznym skrzydle Akademii.

Jako siedemnastolatek nie byłem jeszcze u psychiatry, a gdyby nasza mnie chęć na rozmowę z Herr Doktorem Grauem, mój kochany ojczym Richard Abbott z pewnością wybiłby mi to z głowy. Zresztą gdy sumiennie dreptałem na spotkania z panią Hadley, stary Grau umarł. Akademia Favorite River zastąpiła go młodszym (jeśli nie mniej nowoczesnym) psychiatrą, lecz dopiero pod koniec następnego roku szkolnego.

Co więcej, w trakcie sesji z panią Hadley nie potrzebowałem psychiatry: gdy zgłębiała miriady słów poza moim zasięgiem i dociekała przyczyny (bądź przyczyn) niemocy, pani Hadley, doświadczona nauczycielka głosu i śpiewu, bezbłędnie wcieliła się w jego rolę.

Bliższy z nią kontakt pozwolił mi głębiej wnikać w naturę pociągu, jaki do niej miałem – tak na marginesie swojskości. Swojskość Marthy Hadley wykazywała nieco męski charakter; miała wąskie wargi, ale szerokie usta i duże zęby, podbródek podobnie wydatny jak Kittredge, ale dla kontrastu długą, kobiecą szyję oraz rozłożyste ramiona i duże dłonie, jak panna Frost. Włosy, dłuższe od tej ostatniej, nosiła surowo upięte w kucyk. Jej płaska pierś niezmiennie przypominała mi przerośnięte sutki Elaine oraz ciemne obwódki dokoła – aureole, będące zapewne cechą dziedziczną. Jednak w przeciwieństwie do Elaine pani Hadley wyglądała na bardzo silną. I strasznie mi się to podobało.

Kiedy „aureola” i „aureole” dołączyły do mojej długiej listy kłopotliwych wyrazów, Martha Hadley zapytała:

– Czyżby trudność wynikała z tego, czym są?

– Możliwe – odpowiedziałem. – Na szczęście nie używam ich codziennie.

– Podczas gdy „biblioteka” i „biblioteki”, o „penisie” nie wspominając... – zaczęła pani Hadley.

– To bardziej kwestia liczby mnogiej – przypomniałem.

– Chyba nieczęsto znajdujesz użytek dla penisów... Mam na myśli liczbę mnogą, Billy.

Przytaknąłem. Owszem, rzadko używałem słowa „penisy”, ale często o penisach myślałem, i to właśnie miałem na myśli. Tak oto – być może dlatego, że nie powiedziałem Elaine, Richardowi czy dziadkowi i nie miałem odwagi powiedzieć pannie Frost – wyśpiewałem wszystko pani Hadley. (No, prawie wszystko!).

Zacząłem od pociągu do Kittredge’a. „Ty i Elaine!”, zawołała. (Elaine, jak widać, nie miała przed matką żadnych tajemnic!).

Opowiedziałem, że przed poznaniem Kittredge’a pociągali mnie inni zapaśnicy, a podczas namiętnego studiowania roczników w szkolnej bibliotece z największym upodobaniem oglądałem zdjęcia z rozgrywek, przedkładając je nad fotografie szkolnego klubu dramatycznego. („Rozumiem”, odpowiedziała pani Hadley).

Opowiedziałem nawet o gasnącym pociągu do Richarda Abbotta, który sięgnął zenitu, zanim został on moim ojczymem. („Ojej – to musiało być niezręczne!”), zawołała Martha Hadley).

Jednak gdy przyszło do wyznania miłości do panny Frost, urwałem i oczy wezbrały mi łzami.

– O co chodzi, Billy? Możesz mi powiedzieć – zachęciła pani Hadley. Ujęła moje ręce w swoje większe, silniejsze dłonie. Niewykluczone, że szyja stanowiła najładniejszą część jej ciała; mogłem tylko domniemywać, że małe piersi przypominały biust Elaine.

W gabinecie stał tylko fortepian z ławką, stara kanapa (na której zawsze siadaliśmy) oraz biurko z krzesłem o prostym oparciu. Z okna na trzecim piętrze rozciągał się mało zachęcający widok: pokręcone pnie dwóch starych klonów, kupki śniegu na horyzontalnych konarach drzew, niebo upstrzone biało-szarymi chmurami. Zdjęcie pana Hadleya (na biurku pani Hadley) też było niezbyt zachęcające.

Pan Hadley – zapomniałem, jak miał na imię, o ile kiedykolwiek wiedziałem – raczej nie pasował do rzeczywistości szkoły z internatem. Kudłaty, z kępkami zarostu, któregoś dnia miał zaistnieć na arenie Favorite River jako inicjator dyskusji (które doprowadziły do późniejszych protestów) o wojnie w Wietnamie. Bardziej jednak niż pan Hadley w pamięć zapadło mi moje wyznanie w gabinecie pani Hadley, kiedy całą uwagę skupiłem na jej łabędziej szyi. „Cokolwiek mi powiesz, Billy, zostanie w tych ścianach, przysięgam”, obiecała.

Gdzieś w skrzydle muzycznym ktoś bębnił na pianinie, z nikłą wprawą, jak mi się zdawało, może byli to dwaj uczniowie katujący dwa oddzielne instrumenty.

– Oglądam katalogi wysyłkowe mamy – wyznałem pani Hadley. – I wyobrażam sobie panią w staniku treningowym – dodałem. – Onanizuję się – przyznałem. Był to jeden z niewielu czasowników, które sprawiały mi pewną trudność, ale nie tym razem.

– Ależ Billy, to nie przestępstwo! – zapewniła wesoło pani Hadley. – Tylko dziwię się, że myślisz o mnie, bo urodą nie grzeszę... No i dziwi mnie, że „treningowy” wymawiasz z taką łatwością. Nie widzę tutaj żadnej prawidłowości – uzupełniła, wymachując listą moich pięt achillesowych.

– Nie wiem, czemu padło na panią – przyznałem uczciwie.

– A dziewczęta w twoim wieku? – spytała. Pokręciłem głową. – Elaine też nie? – drażyla. Zawahałem się, lecz oparła swoje silne dłonie na moich ramionach i siadła twarzą do mnie na kanapie. – W porządku, Billy: Elaine nie wierzy, że jesteś nią zainteresowany. Poza tym to sprawa między nami, pamiętasz? – Oczy znów wezbrały mi łzami i pani Hadley przyciągnęła moją głowę do twardej piersi. – Billy, Billy... nie zrobiłeś nic złego! – wykrzyknęła.

Ktokolwiek zapukał w tej chwili do drzwi, musiał usłyszeć ostatnie słowo.

– Proszę! – zagrzmiała pani Hadley i zrozumiałem, skąd pochodzi głos-jak-dzwon Elaine.

Był to Atkins – powszechnie znany frajer, ale nie wiedziałem, że uczy się śpiewu. Może miał kłopoty z głosem, a może też nie mógł wymówić pewnych wyrazów.

– Przyjdę później – powiedział do Marthy Hadley, ale nie mógł oderwać ode mnie wzroku lub też nie mógł patrzeć na nią – jedno z dwojga. Każdy głupi domyśliłby się, że płakałem.

– Wróc za pół godziny – poleciła mu pani Hadley.

– Dobrze, ale nie mam zegarka – odparł, wciąż gapiąc się na mnie.

– Weź mój. – Zdjęła zegarek i mu podała, a ja zrozumiałem, co mnie w niej pociąga. Martha Hadley nie tylko wyglądała jak facet – była po męsku dominująca, we wszystkim, co robiła. Wyobrażałem sobie, że w sferze seksualnej tak samo: narzuciłaby każdemu swoją wolę i nikt nie oparłby się temu, do czego chciałyby go skłonić. Tylko dlaczego tak mi się to podobało? (Oczywiście w swoim wybiórczym wyznaniu zataiłem przed nią tę refleksję).

Atkins stał i bez słowa gapił się na cyferblat. Czy jest aż takim frajerem i durniem, że nie zna się na zegarku?

– Za pół godziny – przypomniała mu Martha Hadley.
– To cyfry rzymskie – powiedział z rozpaczą Atkins.
– Patrz na dużą wskazówkę i odlicz trzydzieści minut, a potem wróć – przykazała. Polazł, wciąż nie odrywając oczu od zegarka; nie zamknął za sobą drzwi. Pani Hadley wstała z kanapy i zrobiła to za niego. – Billy, Billy – ponownie zwróciła się do mnie. – Masz prawo do tego, co czujesz... Wszystko w porządku.
– Myślałem, żeby pomówić o tym z Richardem.
– Świetny pomysł. Z Richardem możesz porozmawiać o wszystkim, na pewno.
– Ale nie z mamą – zaznaczyłem.
– Z mamą... Mary. Moją drogą przyjaciółką Mary... – zaczęła pani Hadley i urwała. – Nie, z mamą nie... Jeszcze jej nie mów – dodała.
– Dlaczego? – Zdawało mi się, że znam odpowiedź, ale chciałem to usłyszeć od pani Hadley.
– Bo jest nieco upośledzona? – spytałem. – Czy może dlatego, że zachowuje się, jakby była na mnie zła, choć sam nie wiem dlaczego?
– O upośledzeniu nic mi nie wiadomo – odparła Martha Hadley. – Przyczyny takiego zachowania też nie znam. Zauważyłam, że irytują ją pewne tematy, poruszane niekiedy w rozmowie.
– Jakie tematy?
– Dotyczące seksu; działają jej na nerwy, jest wtedy zupełnie rozstrojona – wyjaśniła pani Hadley. – Wiem, że nie grała z tobą w otwarte karty, Billy.
– Ach tak.
– Skrytość nie jest cechą Nowej Anglii, którą najbardziej cenię! – krzyknęła nagle pani Hadley; spojrzała na nadgarstek i roześmiała się ze swojego gapiostwa. – Ciekawe, jak Atkinsowi idzie z cyframi rzymskimi – dodała i oboje się zaśmialiśmy. – Elaine też możesz powiedzieć, wiesz? – oznajmiła. – O wszystkim. Poza tym ona już chyba wie.
Też mi się tak zdawało, ale zamilkłem. Myślałem o tym, że tak łatwo „rozstroić” moją matkę. Żałowałem, że nie zasięgnąłem rady doktora Graua, zanim zmarł – choćby w celu zapoznania się z jego teorią o „uleczalności” homoseksualizmu. (Może dzięki temu nie wściekałbym się tak w nadchodzących latach, gdy te bzdury atakowały mnie zewsząd).
– Bardzo mi pani pomogła – powiedziałem. Pani Hadley odsunęła się od drzwi, żeby mnie przepuścić. Bałem się, że położy mi dłonie na barkach, albo nie daj Bóg znów przyciągnie moją głowę do twardej piersi, gdyż w takim wypadku musiałbym ją objąć lub pocałować, chociaż wymagałoby to stania na palcach. Ale nie dotknęła mnie, tylko odsunęła się na bok.
– Nie masz żadnych dolegliwości głosowych, Billy. Z twoim językiem i podniebieniem też wszystko w porządku – oświadczyła. Zapomniałem, że podczas naszego pierwszego spotkania zaglądała mi do ust.
Poprosiła wtedy, bym dotknął językiem podniebienia, po czym przytrzymała mi go zwitkiem ligniny, aby drugim obmacać mi dolną część jamy ustnej, najpewniej w poszukiwaniu czegoś, czego tam nie było. (Mało się ze wstydu nie spaliłem, bo mi stanął – kolejny dowód na to, co stary Grau określał mianem „infantylnych tendencji seksualnych”).
– Nie wypada źle mówić o zmarłych – dodała pani Hadley, gdy wychodziłem – ale chyba zdajesz sobie sprawę, Billy, że świętej pamięci doktor Grau i ostatni pozostały przy życiu szkolny przedstawiciel nauk medycznych... mam na myśli doktora Harlowa... to debile.
– Richard jest tego samego zdania – odpowiedziałem.
– Słuchaj Richarda, to mądry człowiek.
Dopiero po latach na to wpadnę: w niedużej, mało znaczącej szkole z internatem istniały różne przejawy świata dorosłych – garstka wrażliwych, zacnych jednostek dokładała starań, by

uczynić ów świat bardziej zrozumiałym i znośnym, ale nie zabrakło i twardogłowych dinozaurów (takie Grausy i Harlowy) oraz zaciekłych homofobów, „godnych” przedstawicieli swojej generacji.

– Jak naprawdę umarł doktor Grau? – spytałem.

Według oficjalnej wersji, przedstawionej nam na porannym apelu przez doktora Harlowa, Grau potknął się i upadł na dziedzińcu pewnej zimowej nocy. Doktor Harlow zataił fakt, że Herr Doktor Grau tak naprawdę zamarł na śmierć – użył chyba określenia „wyziębienie”.

Ciało znaleźli rano chłopcy z ekipy kuchennej. Jeden z nich twierdził, że Grau miał twarz białą jak śnieg, drugi, że otwarte oczy, ale trzeci utrzymywał, że zamknięte. Wszyscy natomiast zgadzali się, że tyrolski kapelusz Graua (z zatłuszczonym bażancim piórkiem) leżał w pewnym oddaleniu od ciała.

– Grau był pijany – oznajmiła pani Hadley. – Kadra urządziła sobie zakrapianą kolację. Niewykluczone, że naprawdę potknął się i upadł; może walnął głową. Przeleżał całą noc nieprzytomny na śniegu! I zamarł.

Doktor Grau, podobnie jak chlubna większość kadry pedagogicznej w Akademii, zgłosił się do pracy z powodu pobliskiego stoku narciarskiego, lecz na nartach nie jeździł od lat. Był strasznie gruby; twierdził, że jeździ jak zawodowy narciarz, przyznawał jednak, że gdy upada, nie może wstać – najpierw musi zdjąć narty. (Kiedyś wyobrażałem sobie Graua powalonego na skarpie i szarpiącego wiązania z okrzykiem „infantylnie tendencje seksualne” po angielsku i po niemiecku).

Jako język obcy wybrałem niemiecki, gdyż zapewniono mnie, że uczy go jeszcze trzech innych nauczycieli; nigdy nie musiałem brać lekcji u Herr Doktora Graua. Inni nauczyciele też byli Austriakami – dwóch jeździło na nartach. Moja ulubienica, Fräulein Bauer, jako jedyna nie była zapaloną narciarką.

Wychodząc z gabinetu pani Hadley, nagle przypomniałem sobie, iż Fräulein Bauer twierdziła, że wymowę mam idealną. Popełniałem wiele błędów gramatycznych, szyk zdań doprowadzał mnie do białej gorączki, ale nie było niemieckiego słowa, które sprawiałoby mi trudności. Powiedziałem o tym pani Hadley, lecz okazała nikłe zainteresowanie – jeśli w ogóle.

– To siedzi w głowie, Billy. Możesz wymówić wszystko, bo jesteś do tego zdolny. Ale masz problem z niektórymi wyrazami albo z uwagi na skojarzenia...

– Mówi pani o świńskich skojarzeniach – wpadłem jej w słowo.

– Możliwe. – Wzruszyła ramionami. „Świńskość” moich skojarzeń nie wzbudziła jej zainteresowania, jakby erotyczne spekulacje (wszelkiego rodzaju) należały do kategorii też nie – ciekawej, jak moja bezbłędna wymowa w języku niemieckim. Oczywiście akcent miałem austriacki.

– Moim zdaniem jesteś tak samo zły na matkę, jak ona na ciebie – zakomunikowała Martha Hadley. – Czasem odnoszę wrażenie, że złość nie pozwala ci się wysłowić, Billy.

– Ach tak.

Usłyszałem szuranie kroków na schodach. To człapał Atkins, wciąż wpatrzony w zegarek pani Hadley; byłem zdziwiony, że się nie potknął.

– Jeszcze nie minęło pół godziny – zaraportował.

– Wychodzę, możesz wejść – powiedziałem, lecz on zamarł na schodach, jeden stopień od trzeciego piętra. Wyminąłem go i ruszyłem na dół.

Schody były szerokie; na parterze dobiegł mnie głos pani Hadley.

– Wejdz, proszę.

– Ale jeszcze nie minęło pół godziny. Jeszcze nie... – Atkins nie dokończył (może nie mógł dokończyć) myśli.

– Co nie?... – doleciał z góry głos pani Hadley. – Wiem, że potrafisz – dodała łagodnym tonem. – Na drzewach leżą czapy śniegu: umiesz wymówić pierwszą sylabę „czapy”, prawda?

– Jeszcze nie... cza... – wydusił Atkins.

– A teraz powiedz „sssss”, jak wąż.

– Nie mogę! – wybuchnął Atkins.

– Wejdz proszę – powtórzyła pani Hadley.

– Jeszcze nie cza...sssss! – wybełkotał Atkins.

– Dobrze, a w każdym razie lepiej. Teraz możesz już wejść – powiedziała Martha Hadley. Wyszedłem z budynku, gdzie zewsząd dobiegały urywki pieśni, dźwięki skrzypiec (na drugim piętrze) oraz (na parterze) kolejne plumkanie fortepianu. Lecz myślałem tylko o tym, jakim frajerem i durniem jest Atkins – nie umiał powiedzieć „czas”! Co za baran!

Znajdowałem się w połowie dziedzińca, gdzie wykorkował Grau, gdy naraz przyszło mi do głowy, że nienawiść do homoseksualistów bezbłędnie zgrała się z moim tokiem rozumowania. Nie umiałem wymówić słowa „penisy”, a gardziłem chłopcem, który miał problem ze słowem „czas”.

Uzmysłowiłem sobie wówczas, że przez resztę życia muszę rozglądać się za ludźmi pokroju Marthy Hadley i się nimi otaczać, ale zawsze znajdą się tacy, którzy będą nienawidzić mnie i obrażać – a nawet posuną się do przemocy. Ta myśl zmroziła mnie jak powietrze, które zabiło doktora Graua. Proszę, ile można wynieść z sesji z przemiłą nauczycielką emisji głosu – nie licząc dotkliwej świadomości dominującej natury pani Hadley oraz tego, jak na mnie działała. A może nie działała? (Dopiero wtedy wpadłem na to, że może chciałem być jak pani Hadley – w sensie seksualnym – a nie być z nią).

Może Martha Hadley była prekursorką ruchu hipisowskiego; określenie „hipis” w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku jeszcze nie funkcjonowało. W owym czasie nie napotykałem też określenia „gej”; nie było go jeszcze w słowniku Akademii. Możliwe, iż brzmiało zbyt swojsko – lub zbyt neutralnie jak dla tej bandy homofobów. Oczywiście nie wiedziałem, co znaczy – nie znajdowało się w powszechnym użytku w moich dość zawężonych kręgach – ale, w świetle mojego braku doświadczenia, określenia typu „uległość” i „dominacja” w kontekście seksu homoseksualnego też nie zaprzętały mi głowy.

Niewiele lat później, kiedy mieszkałem z Larrym – spośród wszystkich kobiet i mężczyzn, z którymi próbowałem mieszkać, on przetrwał najdłużej – lubił bawić towarzystwo opowiadaniem, jak to byłem „wstrząśnięty”, gdy poderwał mnie w gejowskiej kafeterii w Wiedniu.

Był to mój pierwszy rok za granicą. Dwa lata niemieckiego w college’u – nie wspominając o nauce języka w Akademii Favorite River – przygotowało mnie na rok w kraju niemieckojęzycznym. Te same dwa lata w nowojorskim college’u przygotowały mnie i nie przygotowały na to, jak niszowa okaże się gejowska kafeteria w Wiedniu na przełomie roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego i czwartego. W Nowym Jorku zamykano wówczas na wyścigi bary gejowskie: z uwagi na Targi Światowe w 1964 roku burmistrz postanowił oczyścić miasto na przyjazd turystów. Jeden z nowojorskich barów, Julius, ostał się przez cały czas – niewykluczone, że z paroma innymi – lecz nawet tam mężczyźni przy kontuarze nie mogli się dotykać.

Nie twierdzę, że Wiedeń był bardziej niszowy niż ówczesny Nowy Jork; sytuacja wyglądała podobnie. Lecz tam, gdzie poderwał mnie Larry, dotykanie wchodziło w grę – z pozwoleniem czy bez. Pamiętam tylko, że to Larry mnie zaszokował, nie Wiedeń.

– „Góra” czy „dół”, piękny Billy? – zapytał. (Byłem wstrząśnięty, ale nie pytaniem).

– „Góra” – odparłem bez zastanowienia.

– Doprawdy? – Zdziwił się lub udawał zdziwienie; w jego wypadku granica bywała płynna. – Na moje oko wyglądasz na „dół” – zawyrokował, a po chwili (długiej, jakby zaraz miał uderzyć do kogoś innego) dodał: – Wstawaj, Bill, wychodzimy.

Owszem, doznałem wstrząsu, ale tylko dlatego, że byłem studentem, a Larry moim profesorem. Poznaliśmy się w wiedeńskim Institut für Europäische Studien, zwanym przez podopiecznych das Institut. Wśród studentów znajdowali się Amerykanie ze wszystkich stron, ale nasza kadra stanowiła istny tygiel: paru Amerykanów (Larry był bez mała najślawniejszym z nich), jeden wspaniały i ekscentryczny Anglik oraz paru Austriaków z Uniwersytetu Wiedeńskiego.

W tamtych czasach Instytut Studiów Europejskich znajdował się na końcu Wollzeile w pobliżu Doktor-Karl-Lueger-Platz i Stubenring. Studenci narzekali, że leży daleko od uniwerku; wielu z nas (ci z lepszą znajomością niemieckiego) studiowało dodatkowe kierunki na Uniwersytecie Wiedeńskim. Nie ja; dodatkowe kierunki mnie nie interesowały. Poszedłem na studia w Nowym Jorku, bo chciałem być w Nowym Jorku; z tych samych przyczyn przyjechałem do Wiednia. Nie obchodziło mnie, jak blisko czy daleko leży uniwersytet.

Dzięki przyzwoitej znajomości niemieckiego dostałem pracę w świetnej restauracji na Weihburggasse, na drugim końcu Kärtnerstrasse od opery. Nazywała się Zufall (Przypadek) i dostałem tę robotę, ponieważ: a) kelnerowałem w Nowym Jorku, b) tuż po przyjeździe do Wiednia doszły mnie słuchy, że jedyny anglojęzyczny kelner w Zufall wyleciał.

Usłyszałem o tym w owej tajemniczej, gejowskiej kafeterii na Dorotheergasse, jednej z bocznych uliczek opodal Graben. Nazywała się Kaffee Käfig, czyli Kawowa Klatka. W ciągu dnia wyglądała na typową knajpę studencką, gdzie nie brakowało też dziewcząt – to właśnie od jednej z nich dowiedziałem się o wolnej posadzie w Zufall. Lecz po zmroku do Kaffee Käfig ciągnęli starsi mężczyźni, a dziewczęta ulatniały się jak kamfora, więc gdy Larry wyskoczył ze swoim pytaniem, był wieczór.

W tamtym pierwszym semestrze nie chodziłem na jego wykłady. Ich tematem były tragedie Sofoklesa. Larry był poetą, a ja pragnąłem zostać pisarzem – sądziłem, że z teatrem skończyłem raz na zawsze i ani myślałem pisać wierszy. Lecz wiedziałem, że Larry cieszy się estymą w świecie literackim i zapytałem, czy w zimowym semestrze w sześćdziesiątym czwartym roku nie zechciałby poprowadzić ćwiczeń z pisania.

– O Boże... tylko nie twórcze pisanie! – wykrzyknął. – Wiem... tylko mi nie mów. Kiedyś będą tego uczyć wszędzie!

– Po prostu chciałem pokazać innemu pisarzowi to, co piszę. Nie jestem poetą – przyznałem. – Prozaikiem. Naturalnie rozumiem, jeśli nie jest pan zainteresowany. – Odwróciłem się z rozmyślnie zboląłą miną, ale mnie powstrzymał.

– Zaraz, zaraz... Jak masz na imię, młody prozaiku? – spytał. – Czytam prozę – dodał tonem wyjaśnienia.

Powiedziałem „Bill”. „William” należał do panny Frost. (Książki miałem wydawać pod nazwiskiem William Abbott, ale nikt inny nie nazywał mnie „Williamem”).

– No cóż, Bill. Muszę się zastanowić – odparł Larry. Zrozumiałem, że jest gejem – i co mu chodzi po głowie – ale zostałem jego studentem dopiero w styczniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku, gdy w semestrze zimowym ogłosił nabór na kierunek twórczego pisania.

Larry był już uznanym poetą – Lawrence’em Uptonem dla współpracowników i studentów, ale gejowscy przyjaciele (i wianuszek wielbicielek płci żeńskiej) zwali go Larrym. Do tego czasu zaliczyłem już paru starszych mężczyzn – nie mieszkalem z żadnym, tylko byliśmy kochankami

– toteż kwestia „dołu” i „góry” nie stanowiła dla mnie tajemnicy.

Nie wstrząsnęła mną obcesowość pytania: nawet świeżo upieczeni studenci znali go jako snoba z niewyparzonym językiem. Lecz podrywał mnie wykładowca, znana postać w świecie literackim – doznałem szoku. Jednak Larry przedstawiał to zupełnie inaczej i nie było sensu z nim dyskutować.

Twierdził, że nie zapytał mnie, czy jestem „góram” czy „dołem”. „W latach sześćdziesiątych, mój drogi, nie stosowaliśmy takiej nomenklatury: mówiliśmy »miotacz« i »łapacz«, przy czym oczywiście wy z Vermontu mogliście być tak przewidujący bądź tak wyprzedzać innych, że pytaliście »plus czy minus?«, podczas gdy reszta obstawała przy żargonie baseballowym, który wkrótce miał ustąpić miejsca »górze« i »dołowi«. Ale nie w latach sześćdziesiątych, mój drogi. W Wiedniu na pewno obstawałem przy starej wersji”.

Następnie, odwracając się do naszych przyjaciół, a dokładniej swoich – w Wiedniu oraz później, po powrocie do Nowego Jorku, większość znajomych Larry’ego była starsza ode mnie – dodawał: „Bill jest prozaikiem, ale pisze w pierwszej osobie, a jego styl ma wymiar czysto osobisty. Rzekłbym, że jego proza przypomina pamiętniki”.

Następnie zwracał się do mnie – tylko do mnie, jakbyśmy byli sami: „Ale ty wciąż obstajesz przy anachronizmach, mój drogi. W latach sześćdziesiątych określenia »góram« i »dół« to skończone anachronizmy”.

Ot, cały Larry i jego styl – nieomylny jak zawsze. Nauczyłem się nie czepiać drobiazgów. Mówiłem „tak, panie profesorze”, gdyż w przeciwnym razie, gdybym upierał się przy swojej wersji zdarzeń, Larry zasunąłby kolejny żarcik na temat Vermont albo zaznaczył, że na przekór swoim deklaracjom od początku wyglądałem mu na łapacza. („No sami powiedzcie”, zwracał się do swoich znajomych).

Poeta Lawrence Upton wywodził się z pokolenia starszych gejów, którzy z grubsza wychodzili z założenia, że większość gejów to „doły”, choćby przekonywali inaczej – bo prędzej czy później i tak właśnie tam skończą. Ponieważ poznaliśmy się w Wiedniu, nasze wieczne nieporozumienie co do słów, które padły na pierwszej „randce” potwierdzało teorię wielu Europejczyków, że Amerykanie robią za dużo szumu wokół „góry” i „dołu”. Europejczycy zawsze wychodzili z założenia, że stosujemy zbyt sztywne kryteria, tak jakby każdy homoseksualista mógł być tylko jednym lub drugim – jak dowiaduję się dzisiaj od przemądrzałych wypierdków, którzy ledwo odrośli od ziemi.

Larry – był „dołem” w każdym calu – złościł się i ubolewał, że za takiego go nie uważano.

– Jestem bardziej uniwersalny niż ty! – wykrzyczał mi kiedyś we łzach. – Możesz sobie gadać, że lubisz kobiety, albo udajesz, że lubisz, lecz daleko ci do mojej elastyczności!

Pod koniec lat siedemdziesiątych w Nowym Jorku, kiedy wciąż się widywaliśmy, ale przestaliśmy razem mieszkać – Larry nazywał lata siedemdziesiąte „błogą epoką rozwiązłości” – „pozycja” w związku nie pozostawiała wątpliwości, zwłaszcza w najeżonych czarną skórą barach gejowskich, gdzie chustka w tylnej lewej kieszeni oznaczała, że jesteś „góram”, a w prawej – że „dołem”. Niebieska chustka oznaczała dymanko, czerwona – dymanko pięścią, ale cóż to ma dzisiaj za znaczenie? Istniał też wkurzający sygnał związany z miejscem przypięcia kluczy – na szlufce paska, na lewo lub prawo od klamry. W Nowym Jorku nie zwracałem uwagi, gdzie przypinam klucze; zawsze uderzał do mnie jakiś spostrzegawczy „góram”, a przecież ja byłem „góram”! (Bywało to denerwujące).

Nawet pod koniec lat siedemdziesiątych, prawie dekadę po rewolucji homoseksualnej, starsi geje, nie tylko starsi ode mnie, ale również od Larry’ego, narzekali na to obnaszanie się z rolą. („Po cóż odzierać wszystko z tajemnicy? Czy tajemnica to nie ekscytujący aspekt seksu?”).

Lubiłem wyglądać jak gej – przynajmniej na tyle, by dawać do myślenia innym gejom. Lecz

tęgo samego oczekiwałem od kobiet i dziewcząt – im też chciałem dawać do myślenia. Dlatego zależało mi, by na oko emanować czymś na wskroś męskim. („Chcesz dzisiaj wyglądać na »góre«?”, spytał kiedyś Larry. Owszem, pewnie chciałem).

Pamiętam, jak w czasie prób „Burzy” Richard nazwał pleć Ariela „ambivalentną”; mówił, że pleć aniołów też jest ambivalentna.

– Decyzja należy do reżysera? – zapytał Kittredge, à propos tej pierwszej.

Przypuszczam, że chciałem wyglądać ambivalentnie, uchwycić coś z niesprecyzowanej seksualności Ariela. Wiedziałem, że jestem niski, ale przystojny. W razie czego potrafiłem być też niewidzialny – podobnie jak Ariel, umiałem być „duchem zwiewnym”. Na wiele sposobów można wyglądać biseksualnie, i właśnie o to mi chodziło.

Larry naigrawał się z mojej tak zwanej utopijnej idei androgeniczności; zdaje się, iż dla jego pokolenia wyzwoleni geje nie powinni być „panienkami”. Wiem, że jego zdaniem wyglądałem (i ubierałem się) jak panienka – pewnie dlatego uchodziłem w jego oczach za „dół”, a nie „góre”.

Ale ja postrzegałem siebie za prawie zwykłego faceta; mówiąc „zwykłego”, mam na myśli, że nigdy nie kręciła mnie skóra ani kretyńskie sygnały. W Nowym Jorku – podobnie jak w większości miast w latach siedemdziesiątych – często szukało się okazji na ulicach. Wówczas, podobnie jak dzisiaj, ceniłem sobie androgeniczny wygląd – co ciekawe, wyraz ten i jego pochodne nigdy nie sprawiały mi najmniejszych trudności.

– Ładny z ciebie chłopak, Bill – mówił często Larry – ale nie myśl sobie, że zawsze będziesz chudzielcem. Niech ci się nie zdaje, że możesz wystroić się jak żyleta, czy nawet przebrać za babkę i mieć wpływ na kody macho, przeciw którym tak się buntujesz. Prawdziwych facetów nie zmienisz ani nie staniesz się jednym z nich!

– Tak, panie profesorze – odpowiadałem przeważnie.

W cudownych latach siedemdziesiątych, kiedy podrywałem faceta lub dawałem się poderwać, zawsze przychodził moment, gdy łapałem go za tyłek. Jeśli chciał, żebym go bzyknął, zaczynał jęczeć i się wyginać, aby dać mi do zrozumienia, że trafiłem w dziesiątkę. Jeśli okazywał się „góram”, godziliśmy się na superszybkie „69” i po sprawie; często było to super ostre „69”. („Kody macho”, jak nazywał je Larry, zwyciężały. Moja „utopijna idea androgeniczności” niekoniecznie).

Nie wytrzymałem jego zazdrości, no bo ileż można zastępować podziwem miłość, nawet będąc tak młody jak ja? Kiedy myślał, że z kimś byłem, usiłował pomacać mój odbył w poszukiwaniu śladów wilgoci. „Jestem »góram«, pamiętasz? – pytałem. – Lepiej obwąchaj mi fiuta”. Ale zazdrość Larry’ego była absurdalna; nawet znając mnie na wylot, dopuszczał możliwość, że mogłem być „dołem” z kimś innym.

Gdy poznałem Larry’ego w Wiedniu, chciał uchodzić za adepta miejscowej opery – zwabiła go tam w pierwszej kolejności. Wybrałem Wiedeń po części z tego samego powodu. Bądź co bądź, panna Frost rozkochała mnie w powieściach dziewiętnastowiecznych. Właśnie one stały się moją najukochańszą operą!

Lawrence Upton był uznanym poetą, ale zawsze chciał napisać libretto. („Co jak co, ale umiem rymować, Bill”). Marzył, by stworzyć operę gejowską. Wiele wymagał od siebie jako poety; zapewne uznał, że jako twórca libretta może pozwolić sobie na większy luz. Miał w zamyśle gejowską operę, jednak nigdy nie stworzył jawnie gejowskiego wiersza – co wkurzało mnie bardziej niż trochę.

W operze Larry’ego narratorem jest pewien cyniczny homoseksualista – wypisz wymaluj sam Larry. Śpiewa pieśń żalobną, rozmyślnie idiotyczną; rymów zapomniałem. „Zbyt wielu Indian, za mało wodzów – lamentuje narrator. – Zbyt wiele kurczęt, za mało kogutów”. O tak, pełny luz.

Nie zabrakło chóru „dołów” – bardzo licznych, zaznaczmy – oraz uboższego chóru „góram”, co

miało dawać efekt komiczny Gdyby Larry nie zarzucił pomysłu, możliwe, że dołączyłby średni chór niedźwiedzi, przy czym ruch ten powstał dopiero w połowie lat osiemdziesiątych z inicjatywy włochatych abnegatów, zbuntowanych przeciwko wypieszczonym gogusiom z ogolonymi jajami i ciałami prosto z siłowni. (Niedźwiedzie stanowiły początkowo miłą odmianę).

Chyba nie muszę dodawać, że z opery nic nie wyszło i projekt umarł śmiercią naturalną. Larry zapisał się w zbiorowej pamięci jedynie jako poeta, choć pamiętam jego zamysł – oraz wieczory w Staatsoper, wielkiej operze wiedeńskiej, kiedy jeszcze nie wkroczyłem w dorosłość.

Była to cenna lekcja dla młodego przyszłego pisarza: widok przegranej uznanego poety i wielkiego człowieka. Jeśli zbaczamy z raz obranej ścieżki, trzeba mieć się na baczności – gdy poznałem Larry’ego, jeszcze w pełni do mnie nie dotarło, że dotyczy to również pisania. Opera stanowi rozbuchaną formę opowieści, lecz jej autor też przestrzega pewnych reguł; dobre pisanie i „luz” niekoniecznie idą w parze.

Trzeba mu oddać, że pierwszy uświadomił sobie własną porażkę. To również stanowiło cenną naukę. „Gdy narażasz własne kryteria, Bill, nie wiń formy. Opera nic tutaj nie zawiniła. Nie jestem ofiarą, tylko sprawcą tej klęski”.

Od kochanków można się wiele dowiedzieć, jednak – przeważnie – przyjaciele są z nami dłużej i mogą nas nauczyć jeszcze więcej. (Tak przynajmniej było w moim wypadku). Rzekłbym nawet, że matka mojej przyjaciółki Elaine, Martha Hadley, wywarła na mnie większy wpływ niż Larry.

W Akademii Favorite River, gdzie zimą tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku byłem w trzeciej klasie – biorąc pod uwagę moją naiwność i zaplecze – nie znałem słów „góra” i „dół” w znaczeniu przytaczanym przez Larry’ego (a także innych moich przyjaciół i kochanków w przyszłości), lecz wiedziałem, że jestem „góram”, nim jeszcze zacząłem uprawiać seks.

W dzień mojej wybiórczej spowiedzi u Marthy Hadley, kiedy jej oczywista dominacja odcisnęła na mnie silne, oszałamiające piętno, zrozumiałem bez cienia wątpliwości, że marzę o seksie z innymi chłopcami i mężczyznami, lecz zawsze z penisem w ich tyłkach, nigdy odwrotnie. (Do buzi – owszem, od tyłu – nie).

Nawet gdy pragnąłem Kittredge’a, wiedziałem o sobie jedno: chciałem go bzyknąć i wziąć do ust, lecz nie chciałem, aby on bzyknął mnie. Znając Kittredge’a, zakrawało to na istne szaleństwo, bowiem z góry znałem jego pozycję w związku z mężczyzną. Wiedziałem, że Kittredge, gej w mojej wyobraźni, byłby „góram” do szpiku kości.

Niesamowicie, że przeskoczyłem do pierwszego roku na studiach w Wiedniu i zacząłem od Larry’ego. Pomyślałby ktoś, iż należałoby rozpocząć epizod wiedeński opowieścią o mojej pierwszej dziewczynie, Esmeraldzie Soler, gdyż poznałem ją tuż po przyjeździe do Wiednia (we wrześniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku) i mieszkaliśmy razem przez parę miesięcy, nim zostałem studentem Larry’ego – a krótko potem kochankiem.

Lecz chyba wiem, dlaczego zwlekałem. Zbyt często geje z mojego pokolenia wmawiają nam, o ileż łatwiej jest „ujawnić się” dzisiaj, będąc nastolatkiem. Powiem wam jedno: w tym wieku nigdy nie jest łatwo.

Co do mnie, wstydziłem się pociągu seksualnego do innych chłopców i mężczyzn; próbowałem go zwalczyć. Być może uznacie, że wyolbrzymiłem mój pociąg do panny Frost i pani Hadley w ramach desperackiego parcia ku „normalności”; może podejrzewacie, iż nigdy nie pociągały mnie kobiety. Pociągały – i trwa to do dzisiaj. Po prostu w Akademii, będącej, jakkolwiek na to spojrzeć, szkołą męską, musiałem tłumić pociąg do przedstawicieli własnej płci.

Po europejskiej wyprawie z Tomem, gdy skończyłem Akademię, i później w Nowym Jorku –

wreszcie mogłem pogodzić się z homoseksualną częścią mnie. (Owszem, na Toma przyjdzie kolej, ale to niełatwe). Po Tomie byłem w wielu związkach z mężczyznami. Kiedy miałem dziewiętnaście i dwadzieścia lat – skończyłem dwadzieścia jeden w marcu sześćdziesiątego trzeciego roku, tuż zanim dowiedziałem się o przyjęciu mnie do wiedeńskiego Instytutu Studiów Europejskich – żyłem już otwarcie. W chwili wyjazdu do Wiednia miałem już za sobą dwa lata gejowskiego życia w Nowym Jorku.

Nie żeby przestały mnie pociągać kobiety, bo pociągały. Jednak uleganie pokusie znaczyło dla mnie powrót do dawnej udręki z czasów, kiedy żyłem w ukryciu. Nie wspominając o tym, że zdaniem wszystkich moich kochanek i przyjaciół mężczyzna biseksualny to w gruncie rzeczy gej z jedną nogą w szafie. (Niewykluczone, że jako dziewiętnastolatek i dwudziestolatek też w to po części wierzyłem).

A jednak wiedziałem, że jestem biseksualny – tak jak wiedziałem, że (i dlatego) lecę na Kittredge'a. Lecz w tamtym okresie tłumilem swój pociąg do kobiet – podobnie jak kiedyś zapierałem się skłonności do chłopców i mężczyzn. Nawet w tak młodym wieku musiałem wyczuwać, że biseksualistom się nie ufa; trudno prorokować, jak będzie w przyszłości, ale wówczas nie ufało im się na pewno.

Nigdy nie wstydzilem się słabości do kobiet, jednak gdy zacząłem mieć kochanków – i coraz więcej przyjaciół gejų – szybko przekonałem się, że stanowi ona w branży źródło nieufności i podejrzliwości, a nawet strachu. Dlatego powstrzymywałem się i trzymałem gębę na kłódkę; lubiłem tylko patrzeć. (Tamtego lata tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku w Europie – gdy podróżowałem z Tomem – biedny Tom przyłapywał mnie na podglądaniu).

Tworzyliśmy niewielką grupę: mam na myśli amerykańskich studentów przyjętych do wiedeńskiego Institut für Europäische Studien na rok akademicki tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt trzy – sześćdziesiąt cztery. Wsiedliśmy na statek w Zatoce Nowojorskiej i przepłynęliśmy Atlantyk – jak Tom i ja przed dwoma laty. Szybko zrozumiałem, że wśród pozostałych studentów na roku nie ma gejų, przynajmniej ujawnionych – i żaden chłopiec nie zainteresował mnie w ten sposób.

Drogę przez Europę Zachodnią do Wiednia pokonaliśmy autobusem i w ciągu tych krótkich dwóch tygodni zwiedziliśmy więcej niż Tom i ja przez całe lato. Nie znałem wcześniej tych ludzi, na oko heteroseksualnej grupy. Parę dziewcząt wpadło mi w oko, ale jeszcze przed przyjazdem do Wiednia poszedłem po rozum do głowy: była nas garstka, postąpiłbym nierozsądnie, idąc do łóżka z koleżanką z roku. Poza tym ukułem bajeczkę, że chcę dochować wierności dziewczynie, która została w Stanach. Innymi słowy, zaistniałem jako heteryk o dość powściągliwym usposobieniu.

Posada jedyne go anglojęzycznego kelnera w Zufall na Weihburggasse dopełniła mojej alienacji – znajomi z roku nie jadali w drogich lokalach. Oprócz uczęszczania na wykłady na Doktor-Karl-Lueger-Platz mogłem dalej cieszyć się przygodą młodego pisarza na obczyźnie, a co za tym idzie, szukać niezbędnej do tego samotności.

Esmeraldę poznałem przypadkowo. Zwróciłem na nią uwagę w operze, zarówno z powodu jej gabarytów (pociągały mnie wysokie, postawne kobiety i dziewczęta), jak i tego, że robiła notatki. Stała w tyle Staatsoper, bazgrząc zawzięcie. Pierwszego wieczoru mylnie wziąłem ją za krytyka; była wprawdzie tylko trzy lata starsza ode mnie (jesienią tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku miała dwadzieścia cztery lata), ale wyglądała poważnie jak na swój wiek.

Kiedy sytuacja zaczęła się powtarzać – zawsze stała z tyłu – zrozumiałem, że krytyk przecież miałby miejsce siedzące. Tymczasem ona stała z tyłu, jak ja oraz inni studenci. W tamtych czasach studenci mogli stać z tyłu, te miejsca w operze nie kosztowały nic.

Staatsoper górowała nad skrzyżowaniem Kärntnerstrasse i Opernring, od Zufall dzieliło ją zaledwie dziesięć minut drogi spacerkiem. Kiedy wystawiano operę, kolacja w Zufall odbywała się na dwie tury: przed przedstawieniem serwowaliśmy pierwszą, a po – drugą, bardziej wystawną. Gdy obsługiwałem obydwie tury, a przeważnie tak było, wpadałem do opery po rozpoczęciu aktu pierwszego i wymykałem się przed końcem ostatniego.

Esmeralda zaczęła mnie kiedyś w czasie antraktu. Musiałem wyglądać na Amerykanina, co mnie bardzo rozczarowało, gdyż odezwała się po angielsku.

– Co z tobą? – zapytała. – Zawsze się spóźniasz i zawsze wychodzisz wcześniej! (Też była Amerykanką, jak się okazało, z Ohio).

– Pracuję... jestem kelnerem. A co z tobą? Czemu zawsze notujesz? Chcesz być pisarką? Bo ja tak – przyznałem.

– Jestem dublerką... próbuję zostać sopranistką – odpowiedziała. – Chcesz być pisarzem – powtórzyła z wolna. (Od razu mi się spodobała).

Któregoś wieczoru, gdy nie pracowałem na drugą zmianę, zostałem w operze aż do spuszczenia kurtyny i zaproponowałem, że odprowadzę Esmeraldę do domu.

– Ale ja nie chcę wracać „do domu”. Nie lubię tego miejsca. Spędzam tam mało czasu.

– Ach tak.

Ja też nie lubiłem mojej stacji i rzadko tam bywałem. Ale większość wieczorów spędzałem w restauracji na Weihburggasse i o nocnym życiu w Wiedniu na razie mało wiedziałem.

Zabrałem Esmeraldę do gejowskiej kafeterii na Dorotheergasse; znajdowała się w pobliżu opery, a ja bywałem tam tylko za dnia, gdy przesiadywali w niej głównie studenci, obojga płci. Jeszcze nie wiedziałem, że nocna klientela w Kaffee Käfig składała się wyłącznie z gejów.

Dopiero po chwili uzmysłowiliśmy sobie moją gafę.

– W ciągu dnia jest inaczej – zapewniłem, kiedy wychodziliśmy. (Na szczęście nie było Larry’ego, bo zdążyłem już zagadnąć go o kurs pisania; jeszcze nie dał mi odpowiedzi).

Esmeralda miała ubaw, że zabrałem ją do Kaffee Käfig. „Na pierwszą randkę!”, wykrzyknęła, kiedy podążaliśmy Graben w stronę Kohlmarkt. Na Kohlmarkt znajdowała się inna kawiarnia; jeszcze tam nie byłem, ale wyglądała na drogą.

– Znam jedną knajpę koło mnie – oznajmiła Esmeralda. – Możemy tam zajrzeć, a potem odprowadzisz mnie do domu.

Ku obopólnemu zdziwieniu mieszkaliśmy w tej samej okolicy: po drugiej stronie Ringstrasse, kawałek drogi od pierwszej dzielnicy, w pobliżu Karlskirche. Na rogu Argentinierstrasse i Schwindgasse była kawiarnia, podobna do wielu innych w tym mieście. Kawiarnia i bar; kiedy usiedliśmy, powiedziałem Esmeraldzie, że też tutaj bywam. (Często tam pisałem).

Opowiedzieliśmy sobie o naszych nie najlepszych warunkach mieszkaniowych. Okazało się, że oboje mieszkamy na Schwindgasse, w tym samym budynku. W porównaniu ze mną, Esmeralda była w lepszej sytuacji: miała sypialnię, własną łazienkę i małą kuchnię, ale korytarz dzieliła z gospodynią i prawie co wieczór po powrocie do „domu” musiała przechodzić przez jej duży pokój, w którym stara, niezadowolona kobieta gnieździła się na kanapie w towarzystwie małego, antypatycznego pieska. (Zawsze oglądali telewizję).

Szum telewizora dochodził do sypialni, gdzie Esmeralda słuchała oper (zwykle po niemiecku) na starym gramofonie. Miała przykazane, aby słuchać po cichu, chociaż „cicho” pasowało do opery jak pięść do nosa. Dźwięki z gramofonu skutecznie głużyły odgłos telewizora, więc Esmeralda słuchała w kółko, nucąc pod nosem – też po cichu. Musi szlifować akcent, twierdziła.

Ponieważ ja musiałem szlifować niemiecką gramatykę oraz szyk zdań – o słownictwie nie wspominając – szybko zrozumiałem, jak możemy sobie pomóc. Akcent stanowił jedyny aspekt mojej znajomości niemieckiego, w którym byłem lepszy od Esmeraldy.

Obsługa w Zufall próbowała mnie przygotować: wraz z końcem jesieni – gdy nadejdzie zima i wyjadą turyści – przyjdą wieczory, gdy w lokalu nie uświadczysz anglojęzycznego turysty. Przed zimą lepiej popracuj nad niemieckim, ostrzegali. Cudzoziemcy nie cieszą się w Austrii sympatią. Słowo *Ausländer* (cudzoziemiec) zawsze miało w Wiedniu negatywny wydźwięk.

W kawiarni przy Argentinierstrasse przystąpiłem do opisanego Esmeraldzie mojej sytuacji mieszkaniowej – po niemiecku. Postanowiliśmy, że będziemy ze sobą rozmawiać w tym języku.

Miała hiszpańskie imię – *esmeralda* znaczy po hiszpańsku „szmaragd” – lecz nie znała tego języka. Matka była Włoszką, więc Esmeralda mówiła (i śpiewała) w tym języku, jeśli jednak myślała o karierze operowej, musiała popracować nad niemieckim akcentem. Podobno żartowano z niej w Staatsoper, że jest sopranistką dublerką – sopranistką „w zawieszaniu”, jak mawiała. Szansę na występ miała tylko wtedy, gdyby pierwsza sopranistka pożegnała się z tym światem. (Lub w razie wystawienia włoskiej opery).

Kiedy opowiadała mi o tym w gramatycznie bezbłędnej niemczyźnie, w jej głosie pobrzmiwały silne echa Cleveland. Nauczycielka muzyki w tamtejszej szkole podstawowej odkryła, że Esmeralda ma talent; wysłano ją do Oberlind na stypendium. Pierwszy rok studiów spędziła w Mediolanie; odbyła staż w La Scali i zakochała się we włoskiej operze.

Mimo to twierdziła, że język jej staje kołkiem, gdy mówi po niemiecku. Ojciec uciekł od niej i matki; wyjechał do Argentyny, gdzie poznał inną kobietę, która zdaniem Esmeraldy musiała mieć nazistowskie korzenie.

– Czy inaczej miałabym taki kłopot z akcentem? – pytała. – Przecież kułam do upadłego!

Wciąż myślę o tym, co nas połączyło: oboje nie mieliśmy ojca, mieszkaliśmy w tym samym budynku na Schwindgasse i rozmawialiśmy o tym wszystkim w kawiarni na Argentinierstrasse – naszym kulawym niemieckim. *Unglaublich!* („Niewiarygodne!”).

Studenci Instytutu byli rozproszeni po całym Wiedniu. Własna sypialnia i wspólna łazienka stanowiły normę; wielu z nas miało gospodynie wdowy i zakaz wstępu do kuchni. Ja też miałem gospodynię wdowę oraz własną sypialnię, łazienkę zaś dzieliłem z rozwiedzioną córką wdowy i jej pięcioletnim synem Siegfriedem. W kuchni bez przerwy ktoś się kręcił, ale mogłem tam parzyć kawę i trzymałem piwo w lodówce.

Moja owdowiała gospodyni często lała łzy; dniem i nocą snuła się po domu w rozprutym szlafroku frotte. Rozwódka była piersiastą, władczą babką; to nie jej wina, że przypominała mi ciotkę Muriel. Pięcioletni Siegfried lubił świdrować mnie cwaniackim, demonicznym spojrzeniem i co rano pożerał na śniadanie jajko na miękko – wraz ze skorupką.

Widząc to pierwszy raz, natychmiast udałem się do swojej sypialni i zajrzałem do słownika. (Nie wiedziałem, jak jest po niemiecku „skorupka”). Kiedy powiedziałem matce Siegfrieda, że jej pociecha zjadła skorupkę, wruszywszy ramionami, stwierdziła, że zapewne przyniesie mu ona więcej pożytku niż jajko. Następnego ranka, gdy parzyłem kawę i patrzyłem, jak mały Siegfried pożera jajko na miękko, oczywiście ze skorupką, rozwódka jak zwykle miała na sobie rozchełstaną, męską piżamę – przypuszczalnie należącą do jej byłego męża. Zawsze miała niedopiętą górę, a do tego paskudnie się drapała.

Co ciekawe, w drzwiach łazienki, z której wspólnie korzystaliśmy, znajdował się wizjer, jaki często widuje się w hotelowych drzwiach, ale nie w drzwiach od łazienki. Przypuszczałem, iż zamontowano go po to, by osoba wychodząca z łazienki – na przykład półnago lub owinięta ręcznikiem – mogła sprawdzić, czy nikogo nie ma na korytarzu. Ale po co? Kto chciałby paradować na golasa, nawet jeśli przedpokój był pusty?

Zagadkowość sytuacji dodatkowo podsycił intrygujący fakt, że cylinder w wizjerze można było obracać. Każdy mógł zajrzeć z przedpokoju i zobaczyć jak na dłoni, kto znajduje się w środku i co robi! I to zdarzało się dość często.

Spróbuj wytłumaczyć to po niemiecku, a sprawdzisz, na ile znasz język, ale jakoś dokonałem tego na pierwszej randce z Esmeraldą.

– O kurczę! – wykrzyknęła w pewnej chwili, po angielsku. Jej skóra miała odcień kawy z mlekiem; dostrzegłem ledwie widoczne wąsiki nad górną wargą. Włosy nie różniły się barwą od smoły, a ciemnobrązowe oczy też zdawały się prawie czarne, dłonie były większe od moich, przewyższała mnie wzrostem, za to biust (ku mojej uldze) okazał się „normalny”, czyli (w moim rozumieniu) „znacznie mniejszy” niż cała reszta postaci.

Dobrze – powiem to otwarcie. Jeśli zwlekałem z posiadaniem pierwszej dziewczyny, po części działało się tak z powodu odkrycia, że lubię stosunki analne. (I to bardzo!). Niewątpliwie w duchu dręczyła mnie obawa przed penetracją w tradycyjnym tego słowa znaczeniu.

Tamtego lata w Europie z Tomem – gdy biedny Tom cierpiał męki zazdrości, bo przyglądałem się dziewczętom i kobietom – w pewnym momencie nie wytrzymałem.

– Na miłość boską, Tom: czy ty nie wiesz, że bardzo lubię seks analny? Jak twoim zdaniem wyobrażam sobie seks z pochwą? Chyba jak seks z aulą!

Oczywiście na dźwięk słowa „pochwa” biedny Tom wyrwał do łazienki i usłyszałem, jak rzyga nad sedesem. Wprawdzie tylko żartowałem, lecz nie mogłem uwolnić się od tej „auli”. Myślałem o niej bez przerwy. No bo jeśli to prawda i tradycyjna penetracja faktycznie przypomina seks z aulą? Lecz wciąż pociągały mnie duże kobiety.

Nasze niewesołe warunki mieszkaniowe nie stanowiły jedynej przeszkody pomiędzy mną i Esmeraldą. Ostrożnie zaczęliśmy się nawzajem odwiedzać.

– Wizjer w kiblu to pestka – powiedziała – ale dzieciak przyprawia mnie o ciarki. – Nazywała Siegfrieda „skorupkożercą”, jednak w miarę upływu czasu, kiedy nasza znajomość nabrała tempa, okazało się, że chodzi o coś więcej.

O wiele gorszy niż wizjer w łazience był dla Esmeraldy jej stosunek do dzieci. Podobnie jak wiele młodych kobiet w tamtym okresie, panicznie bała się ciąży – i miała ku temu ważne powody.

Ciąża oznaczałaby dla niej koniec marzeń o operze. „Nie jestem gotowa, aby zostać sopranistką przy garach”, jak to ujęła. Oboje wiedzieliśmy, że są w Europie kraje, gdzie można dokonać aborcji. (Nie w katolickiej Austrii). Na ogół jednak usunięcie ciąży było niemożliwe – albo niebezpieczne i niezgodne z prawem. O tym też wiedzieliśmy. Poza tym ze względu na włoską matkę, bardzo religijną, Esmeralda wzbraniałaby się przed zabiegiem, nawet gdyby był powszechnie dostępny, bezpieczny oraz legalny.

– Nie ma takiej siły, żebym nie wpadła – mówiła. – Jestem płodna do kwadratu.

– Skąd wiesz?

– Bo czuję się płodna, cały czas. Po prostu wiem.

– Ach tak.

Siedzieliśmy grzecznie na jej łóżku; lęk przed ciążą stanowił barierę nie do pokonania. Decyzję, gdzie mielibyśmy spróbować to zrobić, podjęto za nas: przyszło nam razem zamieszkać, wprowadziłem się do Esmeraldy. Płaczliwa wdowa wniosła skargę do Instytutu, jakoby przekreślał wizjer w łazience! *Das Institut* uwierzył w moją deklarację niewinności, lecz musiałem zwinąć manatki.

– Założę się, że to sprawka skorupkożercy – stwierdziła Esmeralda. Nie polemizowałem, ale mały Siegfried musiał by stanąć na taborecie lub krześle, aby osiągnąć głupiego wizjera. Stawiałem na rozwódkę w rozchełstanej koszuli.

Gospodyni Esmeraldy z ochotą podniosła czynsz; pewnie nawet jej się nie śniło, że tak ciasne mieszkanie z tycią kuchnią pomieści dwie osoby, ale nie gotowaliśmy w domu – zawsze stołowaliśmy się na mieście.

Esmeralda uważała, że moja obecność poprawiła humor gospodyni: jeśli nawet wcześniej kręciła nosem na nowego sublokatora, dodatkowe pieniądze chyba ją udobruchały. Nawet wredny piesek mnie polubił.

Tego samego wieczoru, gdy siedzieliśmy (grzecznie) na łóżku, starsza pani zaprosiła nas do swojego salonu. Mieliśmy zobaczyć, że ona i jej piesek oglądają amerykański film w telewizji. Wrażenie było piorunujące: Gary Cooper mówiący po niemiecku to niezapomniane przeżycie.

– „W samo południe” z dubbingiem? – nie dowierzałem.

Do pokoju Esmeraldy napływało buczenie telewizora. Tex Ritter śpiewał „Do not forsake me”.

– Przynajmniej nie zdubbingowali Texa Rittera – rzuciła na pocieszenie Esmeralda, gdy (zachowując szczególną ostrożność) dotknąłem jej idealnych piersi. – Słuchaj, Billy – zaczęła. (Czułem, że mówi to nie pierwszy raz; w przeszłości ów wstęp działał na chłopaków jak kubek zimnej wody. Nie tym razem).

Podawała mi prezerwatywę, jeszcze w błyszczącej folii.

– Masz to włożyć, Billy. Nawet jeśli cholerstwo pęknie, będzie czyściej.

– Dobrze. – Wziąłem prezerwatywę.

– Ale sęk w tym... przygotuj się, Billy... że mogę tylko analnie. Inny stosunek nie wchodzi w grę. Tylko analny – powtórzyła, tym razem zawstydzonym szeptem. – Wiem, że dużo wymagam, ale jest jak jest. Analnie lub wcale.

– Ach tak.

– Zrozumiem, jeśli to dla ciebie problem, Billy – dodała.

Czy ja wiem, pomyślałem. Też mi wymaganie: ja kochałem analnie! A co do „analnie lub wcale” będącego jak kubek zimnej wody – w moim wypadku było odwrotnie: poczułem ulgę. Dręcząca perspektywa „aui” odpłynęła w dal! Wiedziałem, że muszę uważać – entuzjazm nie był wskazany.

– Trochę się denerwuję... to mój pierwszy raz – odparłem tylko po części niezgodnie z prawdą. (Dobra, nie dodałem „z kobietą” – dobra, dobra!).

Esmeralda włączyła gramofon i nastawiła słynne nagranie „Lucia di Lammermoor” Donizettiego z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku – z Joan Sutherland jako szalonym sopranem. (Wtedy zrozumiałem, że tym razem nie chodzi o szlifowanie akcentu). Donizetti był z pewnością bardziej romantycznym podkładem niż Tex Ritter.

Oto jak wyglądał mój pierwszy stosunek z dziewczyną: na zasadzie „kompromisu”, że „analnie lub wcale”. Owo „lub wcale” też było naciągane, gdyż mieliśmy uprawiać mnóstwo seksu oralnego. Nie bałem się seksu oralnego, a Esmeralda go uwielbiała, bo „wrywał pieśń z jej ust”, jak to nazywała.

Tym sposobem zawarłem bliższą znajomość z pochwą, z jednym zastrzeżeniem: bez aui (lub nie-aui), na którą z powodzeniem, wręcz ochoczo, mogłem zaczekać. Dla kogoś, kto tak długo wzbraniał się przed tym doświadczeniem, był to wymarzony i pasjonujący wstęp. Kochałem uprawiać seks z Esmeraldą, podobnie jak ją samą.

Zdarzały się chwile „po”, gdy w półśnie lub zapomniawszy, że jestem z kobietą, dotykałem jej krocza i natychmiast cofałem rękę, jakby ze zdziwieniem. (Spodziewałem się czegoś innego).

– Biedny Billy. – Esmeralda mylnie odczytywała ów gest; myślała, że marzę, aby wejść do jej pochwy i cierpię na myśl o tym, czego mi odmawiano.

– Nie jestem „biedny Billy”, tylko „Billy szczęśliwy”... „Billy zaspokojony” – odpowiadałem niezmiennie.

– Równy z ciebie facet – kwitowała Esmeralda. Nie wie działa, że nie posiadam się ze szczęścia, a gdy wyciągałem rękę i dotykałem jej pochwy – czasami we śnie, zawsze bezwiednie

– nie miała pojęcia, że sięgam po coś, czego nie ma i czego musiało mi brakować.

Der Oberkellner (kierownik sali) w Zufall był zasepionym młodzianem o poważnym jak na swój wiek wyglądzie. Stracił jedno oko i nosił przepaskę; nie miał jeszcze trzydziestki, lecz przepaska i okoliczności, w jakich doszło do utraty oka, dodawały mu powagi człowieka dużo starszego. Miał na imię Karl i nigdy nie mówił, jak stracił oko, dowiedziałem się tego od innych kelnerów. Pod koniec drugiej wojny, kiedy miał dziesięć lat, zobaczył, jak sowieccy żołnierze gwałcą jego matkę, i spróbował im przeszkodzić. Jeden z nich zdzielił go karabinem i Karl przestał widzieć na jedno oko.

Późną jesienią mojego pierwszego roku za granicą – zbliżał się koniec listopada – Esmeralda wreszcie otrzymała szansę, by zaśpiewać partię pierwszego sopranu na scenie Opery Wiedeńskiej. Tak jak przewidywała, była to opera włoska – „Makbet” Verdiego – i Esmeralda, która cierpliwie czekała na swoją kolej (i prawdę mówiąc, traciła nadzieję, że się doczeka), przez większość jesieni (odkąd razem zamieszkaliśmy) była dublerką lady Makbet.

„Vieni, t’affretta!” śpiewała przez sen, kiedy lady Makbet czyta list od męża i dowiaduje się o pierwszym spotkaniu z wiedźmami.

Poprosiłem Karla o zgodę na wcześniejsze wyjście i późniejszy powrót, bo moja dziewczyna śpiewa w piątek lady Makbet.

– Masz dziewczynę... Ta dublerka jest naprawdę twoją dziewczyną, tak? – upewnił się.

– Zgadza się, Karl.

– Miło mi to słyszeć, Bill... bo krążyły różne pogłoski – ciągnął, świdrując mnie jednym okiem.

– Esmeralda jest moją dziewczyną i śpiewa w piątek partię lady Makbet – powtórzyłem, żeby nie było wątpliwości.

– To szansa jedyna w swoim rodzaju, Bill... Dopilnuj, żeby się nie zawałiła – uświadamiał mi wagę sprawy.

– Nie chcę przegapić początku... i chciałbym zostać do końca, Karl.

– Oczywiście, oczywiście. W piątek mamy niewielki ruch. Zimno się zrobiło. Turyści spadają jak liście. Niewykluczone, że to ostatni weekend, gdy będziesz potrzebny, ale damy sobie radę bez ciebie, Bill – zapewnił. Przy nim zawsze czułem się podle, nawet gdy był po mojej stronie. Budził skojarzenie z lady Makbet wzywającą siły piekielne.

„Or tutti sorgete”, śpiewała Esmeralda, co też było przejmujące, ale nie pomagało mi w niemieckim.

„Fatal mia donna!”, mówi lady Makbet do męża słabeusza; bierze sztylet, którym Makbet zabił Duncana, i maże krwią pogrążonych w śnie parobków. Nie mogłem się doczekać widoku Esmeraldy rozstawiającej po kątach Makbeta! I to wszystko jeszcze w pierwszym akcie. Nic dziwnego, że nie chciałem się spóźnić – nie chciałem przegapić ani minuty czarownic.

– Jestem z ciebie bardzo dumny, Bill. Znaczy, dlatego że masz dziewczynę... nie tylko wielką sopranistkę, ale w ogóle. To powinno uciąć plotki – dodał.

– A kto plotkuje?

– Paru kelnerów i jeden zastępca szefa kuchni. Wiesz, jak to ludzie gadają, Bill.

– Ach tak.

Prawdę mówiąc, jeśli ktokolwiek w Zufall potrzebował dowodu, że nie jestem gejem, był to najprawdopodobniej sam Karl, on też pewnie rozpuszczał plotki na mój temat.

Obserwowałem Esmeraldę, kiedy spała. Lady Makbet lunatykuje w akcie czwartym – jęczy, że wciąż ma na rękach krew – ale Esmeraldzie się to nie zdarzało. Spała jak kamień, leżąc spokojnie w łóżku, i w tej pozycji śpiewała (prawie co noc) „Una macchia”.

Pierwszy sopran, która w piątek brała wolne, miała polipa w okolicy strun głosowych. Wprawdzie było to dość częste zjawisko u śpiewaków operowych, ale mały polip Gerdy Mühle doczekał się uwagi szczególnej. (Spierano się, czy go usunąć, czy nie).

Esmeralda uwielbiała Gerdę Mühle, która miała niewymuszony, dźwięczny głos o imponującej skali i bez wysiłku przechodziła od wibrującego g po niebotyczne c. Jej sopran nadawał się do ciężkiego Wagnera, ale radził sobie też z wartkim rytmem i trylami dziewiętnastowiecznego stylu włoskiego. Esmeraldę irytowało, że Gerda Mühle reaguje histerycznie na swoją przypadłość.

– Polip zapanował nad jej życiem... nad naszym też – powiedziała, toteż miłość do Gerdy Mühle sopranu ustąpiła miejsca nienawiści do Gerdy Mühle kobiety: „Polipa”, jak ochrzciła ją Esmeralda.

W piątek Polip dawała odpocząć stronom głosowym. Esmeralda cieszyła się na swój „pierwszy debiut” w Staatsoper, lecz na polipa Gerdy Mühle machała ręką. Jeszcze w Cleveland przeszła operację zatok, ryzykowną dla przyszłej śpiewaczki. Jako nastolatka miała je bez przerwy zapchane; czasem zachodziła w głowę, czy problem z akcentem nie jest skutkiem tamtego zabiegu. I uważała, że Gerda Mühle przesadza.

Nauczyłem się ignorować kuchenne żarciki o tym, jak to jest mieć dziewczynę sopran. Wszyscy się ze mną droczyli, oprócz Karla – on nie żartował.

– Czasem musi być głośno – rzucił kiedyś szef kuchni, budząc tym powszechną wesołość.

Oczywiście nie mówiłem im, że Esmeralda szczytuje tylko gdy robię jej ustami. Sama twierdziła, że jej orgazmy są „dość spektakularne”, ale nic nie słyszałem, bo zatykała mi uszy udami.

– Jezu, chyba wyciągnęłam wysokie es... i przytrzymałam! – wyznała kiedyś po dłuższym orgazmie, ale ja miałem spocone uszy, tak mocno ścisnęła mi głowę udami.

Nie pamiętam, jaką mieliśmy pogodę w Wiedniu w tamten listopadowy piątek. Pamiętam tylko, że wychodząc z naszego mieszkania na Schwindgasse, Esmeralda miała na płaszczu przypinkę z kampanii wyborczej JFK. Na szczęście, powiedziała. Szczyciła się udziałem w kampanii Kennedy’ego w Ohio w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym; była strasznie wkurzona, gdy Ohio niewielką przewagą głosów zostało republikańskie. (Większość głosowała na Nixona).

W przeciwieństwie do Esmeraldy nie interesowałem się polityką. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku wierzyłem, że przeszkadza mi w tym chęć zostania pisarzem, byłem strasznie napuszony. Oznajmiłem Esmeraldzie, że nie mam zamiaru asekurować się na dwie strony – zaangażowanie w politykę było moim zdaniem dla młodych ludzi otwartą furtką, gdyby nie wypaliły ich plany i twórcze ambicje miały spełznąć na niczym.

– Uważasz, że ponieważ jestem bardziej zaangażowana niż ty, dlatego nie zależy mi na zostaniu śpiewaczką, tak jak tobie na byciu pisarzem? – spytała.

– Przecież nie miałem tego na myśli! – zaproponowałem.

Zabrakło mi odwagi, by wyznać, że jestem biseksualny, od tego powinienem był zacząć. To nie pisanie broniło mnie przed zaangażowaniem politycznym, po prostu w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku moja podwójna seksualność stanowiła jedyną politykę, jaką mogłem zdzierżyć. Wierście mi: gdy masz dwadzieścia jeden lat, seksualna „ambiwalencja” wymaga kupy politycznej strategii.

Tak czy inaczej, wkrótce miałem pożałować, że kiedykolwiek dałem Esmeraldzie do zrozumienia, jakoby asekurowała się na dwie strony i zostawiała sobie otwartą furtkę – dlatego że była politycznie zaangażowana.

Na pierwszą kolację w Zufall przyszło więcej Amerykanów, niż Karl i ja się spodziewaliśmy. Prócz nich nie było żadnych cudzoziemców – przynajmniej anglojęzycznych – tylko parę amerykańskich małżeństw (emeryci) oraz grupa dziesięciorga ginekologów i położników, od których dowiedziałem się, że przyjechali do Wiednia na konferencję.

Lekarze dali mi suty napiwek, bo powiedziałem im, że wybrali operę w sam raz dla swojej specjalizacji: otóż w akcie czwartym, gdy wiedźmy wyczarowują dziecko zbroczone krwią, Makbet dowiaduje się od niego, że nie skrzywdzi go nikt z tych, „których zrodziła kobieta”^[8]. (Oczywiście Makbet ma przechlapane. Macduff, który go zabija, oświadcza, iż został „wypruty z łona”).

– To zapewne jedyna opera, w której mowa o cięciu cesarskim – dodałem.

Karl rozpowiadał wszystkim, że moja dziewczyna śpiewa partię lady Makbet, więc cieszyłem się popularnością wśród wczesnej klienteli i zgodnie z obietnicą zdążyłem przed pierwszym aktem. Ale coś było nie tak.

Odnosiłem dziwne wrażenie, że publiczność się kręci, zwłaszcza nieokrzesani Amerykanie. Jedna para zdawała się na granicy rozwodu; kobieta szlochała, a mężczyzna za nic nie mógł jej uspokoić. Domyślam się, że wielu spośród was wie, co to był za piątkowy wieczór dnia dwudziestego drugiego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku. O godzinie dwunastej trzydzięci czasu centralnego doszło do zamachu na prezydenta Kennedy’ego. W Wiedniu byliśmy siedem godzin do przodu względem czasu teksańskiego i „Makbet” – ku mojemu zdziwieniu – rozpoczął się z opóźnieniem. Esmeralda mówiła, że Staatsoper zawsze rozpoczynała punktualnie, ale tamtego wieczoru było inaczej.

Nie mogłem tego wiedzieć, lecz za kulisami, jak na widowni, też panowała napięta atmosfera. Amerykańskie małżeństwo na skraju rozwodu wyszło, oboje niepokieszeni. Inni Amerykanie też mieli dziwne miny. Nagle zauważyłem puste miejsca. Biedna Esmeralda! To jej debiut, a publiczność nie dopisała! (JFK zmarł o pierwszej po południu w Dallas – o ósmej czasu wiedeńskiego).

Gdy kurtyna wciąż nie szła w górę, zacząłem martwić się o Esmeraldę. Czyżby dopadła ją trema? Straciła głos? Gerda Mühle zmieniła zdanie co do udziału w występie? (W programie była wkładka z informacją, że w piątek dwudziestego drugiego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku Esmeralda Soler wystąpi w roli lady Makbet. Postanowiłem oprawić tę kartkę i podarować ją Esmeraldzie na Gwiazdkę). Coraz więcej irytujących Amerykanów gadało na widowni – i coraz więcej wychodziło, niektórzy we łzach. Uznałem, że strasznie z nas niewychowani debile, a do tego banda filistrów!

Wreszcie podniesiono kurtynę i oczom widowni ukazały się wiedźmy. Na scenie zjawili się Makbet i Banko – ten drugi jeszcze w ludzkiej postaci – i pomyślałem, że Makbet jest za stary i za gruby na męża Esmeraldy (nawet w operze).

Wyobraźcie sobie moje zdziwienie, kiedy w następnej scenie w akcie pierwszym, „Vieni, t’affretta!”, nie zaśpiewała moja Esmeralda! Ktoś inny też wzywał na pomoc moce piekielne („Or tutti sorgete”). Na scenie znajdowała się Gerda Mühle (i jej polip). Mogłem się domyślać, jakiego wstrząsu doznała anglojęzyczna klientela z wczesnej kolacji w Zufall – w tym położne i ginekolodzy. Musieli sobie myśleć: jak to możliwe, że ten opasły sopran to dziewczyna naszego młodego, przystojnego kelnera?

Gdy lady Makbet wysmarowała krwią śpiących parobków, przyszło mi do głowy, że Esmeralda padła za kulisami ofiarą morderstwa – lub spotkało ją coś bardzo przykrego.

Zdawało się, że pod koniec aktu drugiego płacze już połowa widowni. Czy to wiadomość o śmierci Banka wzruszyła wszystkich do łez, czy może jego duch? Niewykluczone, że gdy po raz drugi ukazał się oczom Makbeta pod koniec aktu drugiego, byłem chyba jedyną osobą w operze

wiedeńskiej, która nie wiedziała o zamordowaniu prezydenta Kennedy'ego. Dowiedziałem się dopiero podczas antraktu.

Po przewie zostałem na wiedźmy – i potworne, zakrwawione dziecko, które mówi Makbetowi, że nikt zrodzony z kobiety nie zrobi mu krzywdy. Zostałem do połowy aktu czwartego, bo chciałem zobaczyć scenę lunatykowania – Gerdę Mühle (z polipem) śpiewającą „Una macchia” (o krwi, która wciąż plami jej ręce). Liczyłem, że Esmeralda wyjdzie zza kulisów i przyłączy się do mnie oraz innych studentów, wiernie tkwiących na tyłach Staatsoper, lecz w okolicach aktu czwartego było już tyle wolnych miejsc, że większość z nas usiadła.

Nie wiedziałem, że za kulisami stoi telewizor z wyłączonym głosem i Esmeralda siedzi przylepiona do ekranu; opowie mi później, że nie potrzebowała fonii, by zrozumieć, co spotkało prezydenta.

Nie czekałem do końca aktu czwartego. Nie musiałem patrzeć, jak „Las Birnamski zbliża się do murów Dunsinanu”, jak ujmuje to Szekspir, ani słuchać, jak Macduff opowiada Makbetowi o cesarce. Ruszyłem biegiem zatłoczoną Kärtnerstrasse w stronę Weihburggasse, mijając zapłakanych ludzi – w większości nie Amerykanów.

W kuchni w Zufall cała ekipa oglądała telewizję; mieliśmy mały, czarno biały odbiornik. Zobaczyłem kadry z zamachu w Dallas, które musiała widzieć Esmeralda.

– Co tak wcześnie? – zdziwił się Karl. – Twoja dziewczyna zawałiła?

– Nie było jej... Śpiewała Gerda Mühle.

– *Blöde Kuh!* – warknął Karl. „Głupia krowa!” (Wiedeńscy miłośnicy opery, którzy mieli dość Gerdy Mühle, nazwali ją głupią krową, na długo zanim Esmeralda wymyśliła Polipa).

– Esmeralda musiała się zdenerwować... Pewnie straciła głowę – powiedziałem.

– Czyli jednak zawałiła – stwierdził Karl. – Marny twój los, brachu.

Uprowadził mnie, że zjawili się paru anglojęzycznych klientów – jak widać nie byli w operze.

– Kolejni położnicy i ginekolodzy – rzucił z pogardą. (Uważał, że rodzi się za dużo dzieci. „Przeludnienie to problem numer jeden”, powtarzał). – Są też pedzie. Dopiero przyszli, ale już pijani. Na bank pedzie. Nie tak ich nazywacie?

– To jedno z określeń – odpowiedziałem jednookiemu kierownikowi sali.

Stolik ginekologów rzucał się w oczy; było ich dwanaścioro, ośmiu mężczyzn i cztery kobiety, sami lekarze. Z uwagi na śmierć prezydenta Kennedy'ego uznałem, że nie wypada łamać lodów opisem cesarki w „Makbecie”.

Co do stolika homoseksualistów – lub „pedziów”, jak nazwał ich Karl – przyszli we czterech, wszyscy narąbani. W tym towarzystwie był znany amerykański poeta wykładający w Instytucie, Lawrence Upton.

– Nie wiedziałem, że tutaj pracujesz, młody prozaiku – odezwał się Larry. – Bill, prawda?

– Zgadza się – odpowiedziałem.

– Jezu, Bill... wyglądasz strasznie. Chodzi o Kennedy'ego czy coś się stało? – zapytał.

– Widziałem dzisiaj „Makbeta”... – zacząłem.

– O, słyszałem, że śpiewa dublerka... i sobie darowałem – przerwał mi Larry.

– Owszem, miała śpiewać. Ale to Amerykanka, pewnie zdenerwowała się zamachem. Nie wyszła na scenę. Wystąpiła Gerda Mühle, jak zawsze.

– Jest boska – rozmarzył się Larry. – Musiało być cudnie.

– Nie dla mnie. Dublerka jest moją dziewczyną; miałem nadzieję zobaczyć ją w roli lady Makbet. Słuchałem, jak śpiewa przez sen – objaśniłem stolikowi pijanych pedziów. – Nazywa się Esmeralda Soler – dodałem. – Może jeszcze o niej usłyszycie.

– Masz dziewczynę – oznajmił Larry z tym samym cwany, niedowierzającym uśmiechem, z którym kiedyś przyjmie moją deklarację, że jestem „górá”.

- Esmeralda Soler – powtórzyłem. – Musiała bardzo się zmartwić.
- Biedulka. Domyślam się, że dublerzy nie mają lekko.
- Zapewne – zgodziłem się.
- Wciąż zastanawiam się nad tym kursem. – Larry zmienił temat. – Nie mówię nie, Bill.

Karl powiedział, że „marny mój los”, ale patrząc na Lawrence’a Uptona i jego kolegów, nagle zobaczyłem to nie tylko w kontekście Esmeraldy.

Niewielu anglojęzycznych miłośników opery zjawiało się w Zufall po piątkowym „Makbecie” Verdiego. Domyślam się, że zamach na JFK odebrał apetyt większości moich rodaków, którzy przebywali w Wiedniu w tamten listopadowy wieczór. Ginekolodzy siedzieli z nosami na kwintę; długo nie zabawili. Tylko Larry i pedzie zabalowali na całego.

Karl sugerował, żebyśmy poszedł do domu.

– Znajdź dziewczynę, dodasz jej otuchy – namawiał. Ale ja wiedziałem, że Esmeralda albo siedzi ze znajomymi z opery, albo wróciła do naszego mieszkania na Schwindgasse. Wiedziała, gdzie pracuje; gdyby chciała się ze mną zobaczyć, przyszlaby do restauracji.

– Pedzie siedzą i siedzą... Chyba postanowili tu umrzeć – marudził Karl. – Zdaje się, że znasz tego przystojnego gadułę.

Wyjaśniłem mu, kim jest Lawrence Upton i że uczy w Instytucie, ale nie mnie.

– Wracaj do dziewczyny, Bill – powtórzył Karl.

Ale ja nie miałem ochoty na dalsze maglowanie zamachu przed telewizorem w salonie gospodyni; perspektywa spotkania z wrednym pieskiem zatrzymała mnie w Zufall, gdzie mogłem śledzić sytuację na ekranie małego, czarno-białego odbiornika w kuchni.

– To śmierć kultury amerykańskiej – przekonywał pozo stałych trzech pedziów Larry. – Nie mówię o kulturze czy tania, bo to mit w Stanach, ale Kennedy dał nam nadzieję na kulturę pisarzy. Weźmy Frosta, wiersz inauguracyjny. Nie był zły; Kennedy przynajmniej miał gust. Kiedy doczekamy się następnego prezydenta, który ma gust?

Wiem, że przedstawiam Larry’ego w nie najlepszym świetle. Lecz cudowne w nim było to, iż mówił prawdę bez względu na kontekst cudzych „uczuc” w tamtej chwili.

Jego słowa mogły budzić sentyment za zmarłym prezydentem – poczucie bycia rozbitkiem na nieznanym lądzie, poniewieranym przed napierające fale patriotyzmu. Larry miał to gdzieś; jeśli w coś wierzył, mówił to na głos. I zaimponował mi swoją odwagą.

Ale gdzieś w połowie jego tyrady zjawiała się Esmeralda. Wspomniała mi, że nie może jeść przed występem, więc wiedziałem, że nie jadła, a do tego zdążyła się już napić białego wina – zły pomysł na pusty żołądek. Najpierw usiadła z płaczem przy kontuarze, po czym Karl szybko zaprowadził ją do kuchni, gdzie przycupnęła na stołku przed telewizorem. Nalał jej białego wina, jeszcze zanim dowiedziałem się, że przyszła; umknął mi ten moment, bo otwierałem dla Larry’ego i jego pedziów kolejną butelkę czerwonego wina.

– Przyszła twoja dziewczyna, Bill... Lepiej weź ją do domu – poradził Karl. – Jest w kuchni.

Larry znał niezłe niemiecki i zrozumiał słowa Karla.

– Twoja dublerka, Bill? – spytał. – Dawaj ją do nas, zaraz poprawimy dziewczynie humor! – (Miałem co do tego wątpliwości; byłem pewien, że rozmowa o śmierci amerykańskiej kultury nie pocieszy Esmeraldy).

Ale zauważył ją, kiedy wymykaliśmy się z lokalu.

– Pedziów zostaw mnie – powiedział Karl. – Podzielę się z tobą napiwkami. Bierz dziewczynę do domu.

– Jeszcze chwila przed telewizorem, a rzucę pawia – wymamrotała w kuchni Esmeralda. Ledwo trzymała się stołka. Wiedziałem, że i tak pewnie zwymiotuje, z powodu białego wina. Czekał nas dosyć chwiejny spacer przez Ringstrasse do Schwindgasse, ale miałem nadzieję, że

dobrze jej zrobi.

– Nadzwyczaj ładna lady Makbet – usłyszałem Larry’ego, holując Esmeraldę do wyjścia. – Wciąż zastanawiam się na tym kursem, młody prozaiku! – zawołał do mnie, kiedy wychodziliśmy.

– Zaraz zwymiotuję – odgrażała się Esmeralda.

Kiedy dotarliśmy na Schwindgasse, było późno; zwymiotowała, gdy szliśmy przez Karlsplatz, ale po powrocie do domu stwierdziła, że czuje się lepiej. Gospodyni i wredny piesek poszli spać; w mrocznym salonie panowała cisza – albo wszyscy wyzionęli ducha jak JFK, łącznie z telewizorem.

– Tylko nie Verdi – poprosiła Esmeralda, gdy niepewnie stanąłem przed gramofonem.

Włączyłem Joan Sutherland w jej popisowej roli; wiedziałem, jak Esmeralda przepada za „Łucją z Lammermooru”. Ściszyłem dźwięk.

– To twoja wielka noc, Billy... moja też. Jeszcze nigdy nie uprawiałam seksu waginalnego. Nieważne, czy zajdę w ciążę. Jeśli dublerka zaskoczy, to koniec... Już po wszystkim. – Westchnęła. Umyła zęby i twarz, ale chyba wciąż była na rauszu.

– Co ty gadasz? – odparłem. – Właśnie, że ważne. Jeszcze nie wszystko stracone, Esmeraldo.

– Słuchaj, chcesz spróbować czy nie? – Postawiła sprawę jasno. – Bo ja chcę, Billy. Proszę cię, na miłość boską! Chcę zobaczyć, jak to jest!

– Ach tak.

Oczywiście użyłem prezerwatywy; włożyłbym dwie, gdyby mi kazała. (Była jeszcze pijana – bez dwóch zdań).

I już. Nocą, kiedy zginął nasz prezydent, po raz pierwszy uprawiałem seks waginalny – i bardzo, bardzo mi się podobało. Chyba w scenie obłędu Łucji Esmeralda doznała bardzo głośnego orgazmu; szczerze mówiąc, nigdy się nie dowiem, czy to Joan Sutherland wyciągnęła es, czy może Esmeralda. Tym razem nie ścisła mi głowy udami; wprawdzie usłyszałem szczekanie wrednego pieska, ale zadzwoniło mi w uszach.

– O kurczę! – usłyszałem słowa Esmeraldy. – Ale bomba!

Mnie też ogarnęła euforia (i ulga): nie tylko bardzo, bardzo mi się podobało, po prostu wpadłem w zachwyty! Czy było tak samo dobrze (bądź lepiej) jak analnie? Cóż, na pewno inaczej. Z dyplomatycznych względów zawsze mówię – zapytany – że seks analny i waginalny lubię „po równo”. Moje wcześniejsze obawy co do pochwy okazały się bezpodstawne.

Lecz niestety, skupiony wyłącznie na swoich doznaniach, pominąłem „o kurczę!” i „ale bomba!” Esmeraldy milczeniem. I to był błąd.

– Billy? – zagadnęła. – I jak? Podobało ci się?

Wiecie, nie tylko pisarze mają ten problem, przy czym u nich występuje on do potęgi: myśli płyną strumieniem, i nie sposób nad nimi zapanować.

Otóż powiedziałem: „Na pewno nie aula”. To się nazywa puenta, prawda?

– Słucham? – zdumiała się Esmeralda.

– Ach, to takie wyrażenie z Vermont! – dodałem pospiesznie. – Kompletnie bez sensu. Sam nie wiem, co znaczy „nie aula”... Trudno to przetłumaczyć.

– Dlaczego mówisz coś negatywnego? – spytała. – „Nie” brzmi cokolwiek negatywnie. „Nie aula” to jakby megarozczarowanie, Billy.

– Ależ skąd, nie jestem rozczarowany. Cudownie oszołomiony! – zawołałem. Wredny piesek znów zaszczekał, a Łucja się powtarzała: wróciła do początku, kiedy była jeszcze ufną oblubienicą, którą łatwo rozstroić.

– Nie jestem „aula”, jakbym była „kuchnią”, „siłownią”... – zaczęła wyliczać. Wreszcie popłynęły łzy: nad prezydentem, zmarnowaną szansą na zostanie „pierwszym” sopranem,

niedocenianą pochwą – całe morze łez.

Nie sposób cofnąć czegoś takiego; po pierwszym seksie waginalnym to zakrawa na grzech ciężki. Oczywiście, nie mogłem również cofnąć tego, co powiedziałem o zaangażowaniu politycznym Esmeraldy, jej rzekomej nonszalancji w podejściu do własnej kariery.

Spędziliśmy razem Boże Narodzenie i początek Nowego Roku, ale tamten incydent wyrządził trwałe szkody i legł u podstaw braku zaufania, czego symptomy pojawiały się coraz częściej. Którejś nocy musiałem chlapać coś przez sen.

– Ten przystojny, starszy facet w Zufall – napomknęła rankiem Esmeralda. – No wiesz, wtedy. O co mu chodziło z tym kursem? Czemu nazwał cię „młodym prozaikiem”, Billy? Wy się znacie?

No cóż, niełatwo było odpowiedzieć na to pytanie. Wreszcie pewnego wieczoru po pracy – był styczeń tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku – przeciąłem Kärntnerstrasse i skręciłem Dorotheergasse do Kaffee Käfig. Doskonale wiedziałem, jaką klientelę zastanę tam o tej porze.

„Wszelki duch Pana Boga chwali”, powiedział może Larry lub spytał tylko: „Bill, prawda?”. (Przy okazji dowiedziałem się, że poprowadzi kurs, o który go pytałem; było to jeszcze, zanim zaczął mnie uczyć).

Tamtego wieczoru w Kaffee Käfig – na krótko zanim mnie poderwał – być może rzucił pytanie: „Dzisiaj bez dublerki? A gdzie to się nasza ślicznotka podziewa? Nie byle jaka lady Makbet, prawda Bill?”.

„Nie byle jaka”, wymamrotałem może. Tylko rozmawialiśmy, do niczego między nami nie doszło.

Później tego samego wieczoru, kiedy leżałem w łóżku z Esmeraldą, zadała mi istotne pytanie: – Twój niemiecki akcent jest tak niewiarygodnie austriacki, że szlag mnie trafia. Mówisz średnio, ale za to autentycznie. Skąd się wziął twój niemiecki, Billy? Nie wierzę, że nigdy cię o to nie pytałam!

Przed chwilą się kochaliśmy. Dobra, może nie było spektakularnie – pies gospodyni nie zaszczekał i nie zadzwoniło mi w uszach – ale uprawialiśmy seks waginalny i nam obojgu się podobało. „Koniec z analnym, Billy. Mam dość”, oznajmiła Esmeralda.

Oczywiście wiedziałem, że ja nie mam dość. Zrozumiałem też, iż ubóstwiałem nie tylko pochwę Esmeraldy, i pogodziłem się ze smutnym faktem, że pochwy też nigdy nie będę miał „dość”. Nie tylko pochwy Esmeraldy. To nie była jej wina, że nie miała penisa.

Pytanie „Skąd się wziął twój niemiecki?”, skłoniło mnie do rozważań nad tym, „skąd” biorą się nasze pragnienia; to ciemna, kręta droga. I tamtego wieczoru zrozumiałem, że zostawię Esmeraldę.

Rozdział 6

ZACHOWANE ZDJĘCIA ELAINE

Na trzecim roku Akademii Favorite River miałem trzeci stopień z niemieckiego. Po śmierci doktora Graua, na zajęciach Fräulein Bauer przybyło paru jego podopiecznych – w tym Kittredge. Reprezentowali słaby poziom; doktor Grau okazał się marnym nauczycielem. Żeby otrzymać dyplom, każdy student musiał mieć zaliczone trzy lata języka obcego; skoro Kittredge był w ostatniej klasie na trzecim stopniu, znaczyło, że w poprzedniej zawałił niemiecki. Albo zaczął od innego języka, po czym zmienił zdanie i wybrał niemiecki.

– Czy twoja mama nie jest Francuzką? – zapytałem. (Zakładałem, że w domu posługiwał się tym językiem).

– Mam dosyć robienia tego, co życzy sobie moja rzekoma matka – odpowiedział. – Tobie się to nie zdarzyło, Nimfo?

Biorąc pod uwagę jego błyskotliwość, dziwiłem się, że jest słaby z niemieckiego; mniej zdziwiło mnie jego lenistwo. Należał do osób, którym wszystko przychodzi łatwo, lecz nie starał się dowieść, że zasłużył na ten przywilej. Nauka języków obcych wymaga chęci zapamiętywania i wysokiej odporności na powtórzenia. Kittredge bez trudu zapamiętywał swoje kwestie, więc nie miałyby z tym problemu – na scenie imponował opanowaniem. Ale brakowało mu samodyscypliny do nauki języka – zwłaszcza niemieckiego. Rodzajniki („Cholerne *der, die, das, den, dem*, psiakrew!”, wykrzykiwał ze złością)... wykraczały poza granice jego cierpliwości.

Tamtego roku, kiedy miał skończyć szkołę, podciąłem gałąź, na której siedział, pomagając mi z pracą domową. A że zerznął ode mnie tłumaczenia, nie pomogło mu na egzaminie, gdy musiał się wykazać znajomością języka. Na pewno nie chciałem, żeby oblał trzeci stopień; przewidywałem, czym grozi jego repeta – przede wszystkim bylibyśmy w tej samej klasie. Lecz nie mogłem mu odmówić, gdy prosił o pomoc.

– Nie sposób mu odmówić i cześć – skwitowała później Elaine. Nie mogę sobie darować, że nie wiedziałem, co ich łączy.

W zimowym semestrze odbyły się przesłuchania do „wiosennego Szekspira”, jak mawiał Richard Abbott – dla odróżnienia od Szekspira, którego graliśmy jesienią. Zdarzało się, że Richard nie odpuszczał nam również zimą.

Z przykrością muszę stwierdzić, że wzrost popularności klubu dramatycznego zawdzięczaliśmy osobie Kittredge’a. Gdy Richard na porannym apelu odczytał listę obsady do „Wieczoru Trzech Króli” wywołało to poruszenie, a kiedy wywieszono ją na stołówce, uczniowie dosłownie stawali w kolejce, aby rzucić okiem na osoby dramatu.

Orsinem, księciem Ilirii, był nasz reżyser i mentor, Richard Abbott. Właśnie on, jako Książę, rozpoczyna „Wieczór Trzech Króli” tymi znanymi, rapsodycznymi wersami: „Jeżeli miłość żywi się pokarmem muzyki, grajcie”^[9] – śpiewająco, jak zawsze zresztą.

Na początku Orsino deklaruje miłość do hrabianki Oliwii, granej przez moją zrzedliwą ciotkę Muriel. Gdy dostaje kosza, czym prędzej zakochuje się w Wioli, pokazując, ile warte jest jego słowo. „Może bardziej zakochany jest w miłości, niż w którejkolwiek z dam”, podsumował Richard Abbott.

Ponieważ Oliwia odrzuca zaloty Orsina, zawsze myślałem, że Muriel z ochotą przyjęła rolę hrabianki. Richard wciąż był dla niej „zbyt pierwszoplanowy”; nigdy nie czuła się w swobodnie w towarzystwie przystojnego szwagra.

Elaine dostała rolę Wioli, która następnie przebiera się za Cesaria. Uznała, że przesądziło to o wyborze Richarda. „Wiola musi być płaska, bo przez większość sztuki jest facetem”, stwierdziła.

Trochę mi nie pasowało, że Orsino i Wiola zakochują się w sobie – Richard był dużo starszy – lecz Elaine chyba to nie przeszkadzało. „W tamtych czasach dziewczęta wcześniej wydawano

za mąż”, skwitowała. (Że też się nie połapałem, że Elaine ma już starszego kochanka!).

Ja zostałem Sebastianem, bratem bliźniakiem Wioli.

– Idealnie – oznajmił z wyższością Kittredge. – Wszyscy widzą, że jesteście jak brat i siostra. (Wówczas tego nie podchwyciłem: Elaine musiała mu powiedzieć, że nie jesteśmy sobą zainteresowani).

Byłem skołowany, przyznaję: Muriel, jako Oliwia, najpierw zakochuje się w Elaine (przebranej za Cesaria), a następnie we mnie, Sebastianie – to dopiero wymaga zawieszenia wspomnianej niewiary! Nie mieściło mi się w głowie, że zakochuję się w Muriel, dlatego z uporem wpatrywałem się w jej biust. „Ten” Sebastian ani razu nie spojrział w oczy „tamtej” Oliwii – nawet wołając: „Jeżeli to sen, chcę śnić dalej!”. Ani gdy Oliwia, która rozstawia ludzi po kątach jak Muriel, żąda: „Zrób, o co proszę!”. Na co ja, Sebastian, zagapiony na biust mojej ciotki (jak na ironię na wysokości mojego wzroku), odpowiadam jak zakochany sztubak: „Każde twoje zdanie przyjmę jak rozkaz”.

– Ty lepiej pamiętaj, Billy – radził dziadek Harry – że „Wieczór Trzech Króli” to na bank komedia.

Gdy byłem nieco wyższy i starszy, Muriel nie życzyła sobie, żebym patrzył na jej piersi. Ale tamta późniejsza sztuka nie była komedią i teraz myślę, że gdy obsadzono nas w rolach Oliwii i Sebastiana w „Wieczorze Trzech Króli”, pewnie nie widziała, że to robię, gdyż uniemożliwiały to piersi! (Biorąc pod uwagę mój ówczesny wzrost, raczej zasłaniały jej widok).

Mąż ciotki Muriel, kochany wujek Bob, w lot załapał aspekt komiczny „Wieczoru Trzech Króli”. Jego słabość do kieliszka stanowiła zmorę dla Muriel, zwłaszcza osadzenie go w roli sir Tobiasza Czkawki, krewnego Oliwii oraz – czym szczególnie zapada w pamięć – niepoprawnego pijaka. Lecz uczniowie Favorite River przepadali za nim tak samo jak ja, bowiem któż pobrażał im bardziej niż on? Bob nie widział w tym nic dziwnego. („Pewnie, że mnie lubią, Billy. Poznaliśmy się na rozmowie kwalifikacyjnej, a ja ich przyjąłem!”).

Uczył też grać w tenisa i squasha – stąd piłki. Boiska do squasha mieściły się pod salą gimnastyczną, podziemne i wilgotne. Gdy któreś cuchnęło piwem, chłopcy mówili, że pewnie grał trener Bob – wyciskał toksyny z poprzedniego wieczoru.

Ciotka Muriel i nana Victoria poskarżyły się dziadkowi Harry’emu, że obsadzenie Boba w roli sir Tobiasza Czkawki „zachęca” go do picia. I że Richard „bagatelizuje” katorgę, jaką przechodzi biedna Muriel, ilekroć Bob popija. Lecz choć wyżywały się za plecami Richarda, nie powiedziały mu nic prosto w oczy.

Bądź co bądź, Richard Abbott zjawiał się w samą porę, by ocalić moją skrzywdzoną matkę; mówiono o tym tak, jakby nikt inny nie mógł dać rady. Richard wziął ją „na siebie”, więc przestała ciążyć swojej matce i siostrze.

Tak przynajmniej dawały do zrozumienia – Richard nie był zdolny do złego, jeśli zaś uznały, że ma coś na sumieniu, męczyły dziadka, jakby obowiązek rozmowy z zięciem spoczywał na nim. Kuzynka Gerry i ja słyszałyśmy to wszystko, bo za plecami mamy i Richarda ciotka z babcią bezustannie mełły ozorami. Odnosiłem wrażenie, że wciąż traktowałyby ich jak nowożeńców, nawet gdyby byli z sobą dwadzieścia lat! Z wiekiem dochodziłem do wniosku, że wszyscy – nie tylko nana Victoria oraz ciotka Muriel, ale i dziadek Harry z Richardem – widzieli w mamie kapryśne maleństwo. (Chodzili wokół niej na paluszkach jak wokół dziecka, które niechcący może zrobić sobie kuku).

Dziadek Harry nie skrytykowałby Richarda Abbotta; mógł podzielać zdanie, że Richard uratował mamę, ale chyba zdawał sobie sprawę, że uratował ją przed ciotką i babcią raczej niż facetem, któremu w swojej łatwowierności mogłaby paść do stóp.

Jednak w wypadku owej nieszczęsnej produkcji „Wieczoru Trzech Króli”, nawet dziadek

Harry miał wątpliwości co do obsady. Dostał rolę Marii, damy do towarzystwa Oliwii. Obaj uważaliśmy Marię za dużo młodszą, ale dla dziadka największa trudność polegała na tym, że wychodzi za sir Tobiasza Czkawkę.

– Nie wierzę, że mam iść do ołtarza z moim znacznie młodszym zięciem – rzekł ze smutkiem, gdy pewnego zimowego, niedzielnego wieczoru jadłem kolację u dziadków.

– Lepiej pamiętaj, że „Wieczór Trzech Króli” to na bank komedia, dziadku – przypomniałem.

– Chwała Bogu, że tylko na scenie – przytaknął Harry.

– Ty i to twoje „tylko na scenie” – prychnęła babcia. – Czasem myślę, że żyjesz, by dziwaczyć, Haroldzie.

– Więcej zrozumienia, Vicky. – Dziadek mrugnął do mnie.

Może dlatego postanowiłem opowiedzieć mu to, z czego zwierzyłem się pani Hadley – o mojej z lekka wyblakłej słabości do Richarda, narastającym pociągu do Kittredge’a, a nawet modelkach z główką pani Hadley, przy których się onanizowałem, ale miłość do panny Frost (jeszcze) pomiąłem milczeniem.

– Kochany jesteś, Bill. Oczywiście chcę przez to powiedzieć, że myślisz ciepło o ludziach i szanujesz ich uczucia. To godne podziwu, naprawdę – powiedział. – Tyko uważaj, żebyś sam się nie sparzył. Niektóre zauroczenia bywają bezpieczniejsze od innych.

– Mówisz o zauroczeniach innymi chłopcami, tak? – spytałem.

– Niektórymi innymi chłopcami, Bill. Tak. To musi być chłopiec szczególny, przed którym będziesz mógł otworzyć serce. Inni mogliby cię zranić.

– Na przykład Kittredge – podsunąłem.

– No właśnie. – Westchnął. – Może nie tutaj, Bill... nie w tej szkole, nie teraz. Może ten pociąg do innych chłopców i mężczyzn musi zaczekać.

– Zaczekać do kiedy i gdzie?

– No cóż... – zaczął dziadek Harry i urwał. – Panna Frost ma rękę do książek – podjął po chwili. – Na pewno znajdzie coś dla ciebie na ten temat i podsunie odpowiedzi na twoje pytania. Sam nic takiego nie czytałem, Bill, lecz na pewno są odpowiednie książki i może panna Frost coś o nich wie.

O mało się nie wygadałem, że panna Frost to jeden z moich najdziwniejszych pociągów, ale coś mnie powstrzymało, może to, że pociąg do niej był najsilniejszy.

– Ale jak mam to powiedzieć pannie Frost? Jak zacząć... zanim przejdę do sedna?

– Myślę, że możesz jej powiedzieć to co mnie, Bill. Coś mi mówi, że okaże zrozumienie. – Pocałował mnie w czoło i przytulił, a na jego twarzy malowały się miłość i troska. Nagle ujrzałem go takim, jakim widywałem go często – na scenie, gdzie prawie zawsze był kobietą. Być może słowo „zrozumienie” wskrzesiło wspomnienie sprzed lat; niewykluczone, że coś sobie ubrdałem, ale stawiałbym na to pierwsze.

Trudno powiedzieć, ile miałem lat – góra dziesięć lub jedenaście. Działo się to na długo przed przybyciem Richarda; byłem Billy’em Deanem, a moja samotna mama nie cieszyła się zięciem. Ale Mary Marshall Dean od dawna już suflerowała w miejscowym teatrze, toteż bez względu na moją niewinność i wiek, za kulisami byłem mile widziany. Mogłem włączyć wszędzie – pod warunkiem że nie plątałem się aktorom pod nogami i siedziałem cicho. („Za kulisami się nie gada, Bill – upominała matka. – Tu się patrzy i słucha”).

Jeden z poetów angielskich – chyba Auden – powiedział, że zanim coś napiszesz, najpierw musisz coś zauważyć. (Prawdę mówiąc, słyszałem to od Lawrence’a Upton; stawiam na Audena, bo Larry wielce go sobie ceniał).

Nieważne, z czyich ust padły te słowa – nie sposób im zaprzeczyć. Zanim coś napiszesz, musisz coś zauważyć. Owa część mojego dzieciństwa – spędzona za kulisami amatorskiego

teatryku – to właśnie faza „zauważania” w procesie kształtowania się pisarstwa. Otóż jedną z rzeczy, na które zwróciłem uwagę, jeśli nie pierwszą, było, że nie wszyscy sprawiali wrażenie zachwyconych, iż mój dziadek wciela się na scenie w kobietę.

Uwielbiałem przesiadywać za kulisami, słuchać i patrzeć. Lubiłem chwilę, gdy aktorzy zaczynali mówić z pamięci i mama musiała podzierać im kwestie. Potem następowało magiczne interludium, nawet wśród amatorów, kiedy aktorzy wchodzili w role, i choćbym obejrzał dziesiątki prób, pamiętam tę ulotną chwilę, gdy sztuka stawiała się ciałem. I zawsze odkrywałem coś, co dotąd nie zwróciło mojej uwagi. Wreszcie, w dzień premiery, po raz pierwszy oglądałem spektakl z udziałem widzów, co niezmiennie dostarczało mi dreszczyku emocji.

Pamiętam, że nawet w dzieciństwie denerwowałem się nie mniej niż aktorzy, na których miałem dobry (aczkolwiek niepełny) widok zza kulis. Lepiej widziałem widownię, choć jedynie twarze w pierwszych dwóch lub trzech rzędach. (W zależności od tego, gdzie mama usadowiła się jako suflerka, był to widok na lewą lub prawą stronę od sceny).

Widzowie siedzieli niemal twarzą w twarz do mnie, zwróceniem ku scenie; ja patrzyłem na nich, ale nigdy odwrotnie. W pewnym sensie byłem podglądaczem – czułem, jakbym szpiegował publiczność, a przynajmniej pewien jej segment, skąpany w blasku świateł ze sceny. Oczywiście światła się zmieniały, wpływając tym samym na mój widok, ale prawie zawsze widziałem twarze ludzi i obserwowałem ich reakcję.

Poczucie, że „szpieguję” tych najbardziej widocznych teatromanów, pochodziło stąd, że gdy siedzisz na widowni wpatrzony w aktorów, nawet ci nie przyjdzie do głowy, że ktoś ogląda ciebie. Tymczasem ja miałem ich na muszce; w ich minach widziałem wszystko, co czuli i myśleli. Do premiery znałem sztukę na pamięć; bądź co bądź, widziałem większość prób. Teraz najbardziej ciekawiła mnie reakcja publiczności na to, co się dzieje na scenie.

Na każdej premierze – bez względu na to, w jaką kobietę wcielał się dziadek Harry – reakcje widzów były fascynujące.

Weźmy na przykład cudownego pana Poggio, naszego sklepikarza z sąsiedztwa. Był łysy jak dziadek Harry, lecz żałośnie krótkowzroczny – zawsze tkwił w pierwszym rzędzie i nawet tam mrużył oczy. W chwili kiedy dziadek wkraczał na scenę, pan Poggio skręcał się od tłumionego chichotu i łzy ciekły mu po twarzy, aż musiałem odwracać wzrok, bo inaczej sam wybuchnąłbym śmiechem.

Co ciekawe, pani Poggio natomiast bez łaskawości odnosiła się do aktorskich wyczynów dziadka Harry’ego; na jego widok marszczyła brwi i przygryzała dolną wargę. Nie podzielała też radosnego zachwytu męża.

Był też pan Ripton – Ralph Ripton, tracz. Obsługiwał główną piłę w tartaku i składzie drewna dziadka – to odpowiedzialne (i niebezpieczne) stanowisko. Ralph Ripton nie miał kciuka i dwóch pierwszych paliczków w palcu wskazującym lewej dłoni. Wielokrotnie słyszałem historię tego wypadku; dziadek Harry i jego wspólnik Nils Borkman uwielbiali tę krwawą opowieść.

Zawsze wierzyłem, że dziadek Harry i pan Ripton są przyjaciółmi – na pewno łączyło ich coś więcej niż praca. Mimo to Ralph nie pochwalał tego przeobrażania się w kobietę; ilekroć widział dziadka w roli żeńskiej, jego zacięta twarz wyrażała czyste potępienie. Żona pana Riptona – osoba całkowicie bez wyrazu – siedziała obok nastroszonego męża jakby sama myśl o dziadku w sukience czyniła spustoszenie w jej mózgu.

Ralph Ripton zrećnie nabijał fajkę, nie spuszczać przy tym ze sceny twardego spojrzenia. Najpierw myślałem, że robi to z myślą o antrakcie – zawsze ubijał tytoń kikutem palca wskazującego – ale później zauważyłem, że po przerwie nigdy nie wracał, podobnie jak jego małżonka. Przychodzili do teatru w jednym celu: oburzyć się na to, co zobaczą, i zwinąć manatki.

Dowiedziałem się od dziadka, że Ralph Ripton musi siadać jak najbliżej sceny, bowiem od

piły stracił słuch. Ale ja widziałem, że traczowi dolega coś więcej.

W pierwszych rzędach przewijały się te same twarze i choć większość osób znałem tylko z widzenia, bez problemu (nawet w dzieciństwie) dostrzegałem ich odrazę wobec transformacji dziadka Harry'ego. Dla ścisłości: kiedy Harry Marshall cało wał jako kobieta – to znaczy, gdy całował innego mężczyznę na scenie – większość widzów śmiała się lub wiwatowała. Ale zawsze znalazło się kilku o zaciętych twarzach, bezbłędnie ich wyłapywałem. Wzdrygali się lub gniewnie odwracali wzrok – ten widok budził w nich obrzydzenie.

Harry Marshall grał różne kobiety – bywał wariatką gryzącą własne palce, porzuconą przed ołtarzem panną młodą, seryjną morderczynią (fryzjerką) trującą swoich gachów i policjantką kuternogą.

Uwielbiał teatr, a ja uwielbiałem oglądać go w akcji, być może jednak w First Sister nie brakowało ludzi o ograniczonej wyobraźni, którzy znali Harry'ego Marshalla jako drwala i nie mogli go zaakceptować jako kobietę.

Tak, w twarzach ziomków dostrzegałem nie tylko odrazę i potępienie – nie tylko podłość i drwinę. Część z nich wyrażała nienawiść w najczystszej postaci.

Jedną z nich poznałem z nazwiska dopiero na pierwszym apelu w Akademii. Był to doktor Harlow, nasz szkolny lekarz, przymilny zawsze i łagodny. Na twarzy doktora malowała się pewność, że upodobanie Harry'ego Marshalla do ról kobiecych to przypadłość, a jego przebieranki są uleczalne. Dlatego bałem się i nienawidziłem doktora Harlowa, zanim jeszcze go poznałem.

Nawet jako dziecko za kulisami myślałem sobie: Ejże! Nie widzicie? Przecież to udawanie! Lecz uparte twarze na widowni mówiły coś innego: „Nie możesz udawać tego, nie możesz udawać tamtego”.

Przerażało mnie to, co w nich widziałem. Niektóre wbiły mi się w pamięć na zawsze. Kiedy w wieku siedemnastu lat opowiedziałem dziadkowi o moim pociągu do chłopców i mężczyzn oraz nielogicznym zauroczeniu Martha Hadley w roli młodocianej modelki, wspomnienie tamtych twarzy wciąż budziło moją trwogę.

Wspomniałem dziadkowi o tym, co widziałem w nich, gdy patrzyli na niego.

– Dla nich nie liczyło się, że to gra – powiedziałem. – Po prostu wiedzieli, że im się nie podoba. Nienawidzili cię: Ralph Ripton i jego żona, nawet pani Poggio, że nie wspomnę o doktorze Harlowie. Nienawidzili, że udajesz kobietę.

– A wiesz, co ja na to, Bill? Ja na to, że możesz udawać, co chcesz.

I o mało się nie rozplakałem, bo bałem się o siebie – tak jak przed laty o niego.

– Zwinąłem stanik Elaine Hadley, bo chciałem go przymierzyć! – rzuciłem z rozpaczą.

– No cóż, zdarza się, Bill. Nie zawracałbym sobie tym głowy – skwitował dziadek.

Jakąż ulgę sprawiła mi świadomość, że nie mogę go zgorszyć. Harry Marshall jedynie martwił się o moje bezpieczeństwo, tak jak przed laty ja o jego.

– Richard ci nie mówił? – zapytał nagle. – Bywali durnie, którzy zabraniali wystawiania „Wieczoru Trzech Króli”, wiele razy!

– Ale dlaczego? Przecież to wariactwo! Dlaczego zabraniać wystawiania komedii, w dodatku romantycznej komedii?! – zawołałem.

– Mogę się tylko domyślać – odparł. – Wiola, siostra bliźniaczka Sebastiana, jest bardzo podobna do brata, prawda? Dlatego ludzie biorą Sebastiana za Wiołę, po tym gdy przebrała się za mężczyznę i przemianowała na Cesaria. Nie rozumiesz, Bill? Wiola jest crossdresserką! Dlatego Szekspir miał przez nią kłopoty! Chyba zauważyłeś, że dla ludzi ciemnych i skostniałych przebieranki to nie żarty.

– Tak, zauważyłem.

Lecz najbardziej dręczyło mnie to, na co nie zwróciłem uwagi. Przez wszystkie lata spędzone za kulisami, gdy z perspektywy suflera lustrowałem twarze w pierwszych rzędach, umknęła mi sama suflerka. Ani razu nie widziałem miny mojej matki, gdy widziała i słyszała ojca w roli kobiety na scenie.

Pewnego zimowego, niedzielnego wieczoru, kiedy wracałem do Bancrofta po rozmowie z dziadkiem Harrym, obiecałem sobie, że naprawię to przy najbliższej okazji.

Wiedziałem, że się nadarzy – gdy na scenie zostaje Maria, po wyjściu Sebastiana – podejrzę zza kulis minę matki. Ogarnął mnie lęk przed tym, co zobaczę; raczej nie będzie się uśmiechać.

Od początku miałem złe przeczucia co do „Wieczoru Trzech Króli”. Kittredge wziął na przesłuchanie paru kolegów z drużyny zapaśniczej i Richard przydzielił im „mniejsze role”.

Ale Malvolio to rola niebagatelna: intendentem Oliwii, aroganckim pozerem, który daje się nabrać, że Oliwia go pragnie, został Madden, wiecznie niezadowolony zawodnik wagi ciężkiej. Muszę przyznać, że obsadzono go nieźle; Kittredge wspomniał mnie i Elaine, że Madden cierpi na „syndrom ostatniego”.

W tamtych czasach rozpoczynano zawody od wagi najlżejszej; waga ciężka czekała na sam koniec. Często liczyło się to, kto wygrał ostatnią walkę – Madden zwykle przegrywał i obnosił się z miną nieszczęśnika nabitego w butelkę. Malvolio adekwatnie pomstuje na swój los: „Nikogo na świecie nie spotkała tak krzycząca krzywda jak mnie”, jęczy głosem Maddena.

– Jeśli chcesz wczuć się w rolę, Madden – usłyszałem, jak Kittredge go instruuje – pomyśl, że niesprawiedliwie jest być w wadze ciężkiej.

– Bo niesprawiedliwie! – zaperzył się Madden.

– Będiesz świetnym Malvoliem, na pewno – zapewnił go z wyższością Kittredge.

Inny zapaśnik, jeden z „lekkich” zawodników, dbający obsesyjnie o utrzymanie wagi, dostał rolę sir Andrzeja Chudogęby, towarzysza hulanki sir Tobiasza. Chłopak, który nazywał się Delacorte, wyglądał jak cień. Bywał tak odwodniony, że często dokuczała mu suchość w gardle. Przepłukiwał usta wodą z papierowego kubka – i wypluwał ją do drugiego. „Nie pomył kubków, Delacorte”, mówił Kittredge. („Dwa Kubki”, tak go nazywał).

Nie zdziwilibyśmy się, gdyby Delacorte zemdlął z głodu; rzadko widywaliśmy go w stołówce. Bez przerwy przeczesywał palcami włosy, sprawdzając, czy nie wypadają. „Utrata włosów to oznaka zagłodzenia”, obwieszczał posępnie.

– Utrata zdrowego rozsądku również – powiedziała mu kiedyś Elaine, ale nie dotarło.

– Czemu Delacorte nie zmieni kategorii wagowej? – spytałem Kittredge’a.

– Bo dostałby łupnia.

– Ach tak.

Pozostali dwaj zapaśnicy zostali obsadzeni jako kapitanowie. Jeden się nie liczy – to kapitan rozbitego statku. Nie pamiętam imienia chłopaka, który go grał. Drugi kapitan, Antonio, jest przyjacielem Sebastiana. Obleciał mnie strach, że rola odważnego, zawadiackiego Antonia przypadnie Kittredge’owi. Z Sebastianem łączy go tak wielka zażyłość, że miałem obawy, co z tego wyjdzie na scenie – znaczy, gdyby Kittredge dostał tę rolę.

Lecz Richard albo wyczuł moje obiekcje, albo wiedział, że Kittredge marnowałby się w roli Antonia. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa od początku przewidział dla Kittredge’a coś lepszego.

Zapaśnikiem obsadzonym w roli Antonia był przystojniak o przezwisku Rusznica, który fanfaronadę Antonia oddał bezbłędnie.

– Rusznica nie mógłby oddać nic innego – zdradził mi Kittredge. Zdziwiłem się, że Kittredge traktuje z góry swoich kolegów z drużyny; myślałem, że dotyczy to jedynie osób takich jak Elaine czy ja. Nie doceniałem Kittredge’a: on czuł się lepszy od wszystkich.

Richard dał mu rolę Feste – bardzo mądrego i nieco okrutnego błazna. Podobnie jak w wypadku innych błaznów Szekspira, Feste jest inteligentny i pełen wyższości. (Szekspirowskie błazny często przewyższają rozumem panie i panów, z którymi dzielą scenę; tak jest i w „Wieczorze Trzech Króli”). W większości inscenizacji tej sztuki, które widziałem, Feste kradnie show pozostałym – Kittredge zrobił to samo. Jednak u schyłku zimy tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku Kittredge ukradł dużo więcej.

Idąc przez dziedziniec tamtego wieczoru po rozmowie z dziadkiem, powinienem wpaść na to, że niebieskie światło na piątym piętrze w pokoju Elaine – jak nazwał to Kittredge – „wzywało”. Miał rację: lampa z granatowym kloszem świeciła dla niego.

Kiedyś ubrałem sobie, że niebieskie światło w pokoju Elaine było ostatnim, jakie ujrzał stary Grau – choćby przez mgłę, gdy zamarzał na śniegu. (Zbyt daleko idące założenie, jak sądzę. Stary Grau uderzył się w głowę i zemdłał. Nie widział pewnie żadnych świateł, nawet przez mgłę).

Ale cóż takiego ujrzał w oknie Kittredge, co sprawiło, że poczuł ten „zew”? „Zachęciłam go, Billy”, powie później Elaine, ale wtedy mi nie powiedziała; nie wiedziałem, że z nim sypia.

Tymczasem mój poczciwy ojczym Richard Abbott mnie przynosił prezerwatywy. „Na wszelki wypadek, Bill”, mówił, wręczając mi kolejny tuzin. Nie miałem co z nimi począć, ale z dumą chowałem je do szuflady i czasem się w nich onanizowałem.

Oczywiście mogłem odstąpić tuzin (lub więcej) Elaine. Gdybym wiedział, zebrałbym się na odwagę i dał je Kittredge’owi!

Elaine nie powiedziała mi, że jest w ciąży. Nadszedł wio senny semestr i do premiery „Wieczoru Trzech Króli” zostało parę tygodni; od pewnego czasu ćwiczyliśmy bez pomocy tekstu i na próbach szło nam coraz lepiej. Wujek Bob (jako sir Tobiasz Czkałka) każdorazowo doprowadzał nas do konwulsji słowami: „Myślisz sobie, że jak ty jesteś cnotliwy, to już nikomu się nie należy piwko i pieczywko?”.

A Kittredge miał mocny głos; umiał śpiewać. Pieśń, którą błazen śpiewa sir Tobiaszowi i sir Andrzejowi – „Dokąd jedziesz, skarbie słodki?” – jest urocza, lecz melancholijna, a w środku padają słowa: „Nic nie zyskasz, jeśli zwlekasz”. Głos Kittredge’a wręcz chwycił za serce, na przekór lekkiej kpinie, właściwej nie tylko odgrywanej przezeń postaci. (Kiedy dowiedziałem się o ciąży Elaine, przypomniałem sobie fragment: „Cieszymy się młodości złotem”).

Nie ma wątpliwości, że Elaine i Kittredge „cieszyli się złotem” w jej pokoju na piątym piętrze. Państwo Hadley wciąż jeździli do kina w Ezra Falls z mamą i Richardem. Pamiętam, że niektóre filmy z napisami nie były stricte erotyczne. Wyświetlano na przykład film Jacques’a Tatiego – „Mój wujaszek”, a może wcześniejszy „Wakacje pana Hulot”? – na który pojechałem z nimi.

Elaine nie chciała jechać, została w domu.

– To nie jest erotyczny film, Elaine – przekonywała ją matka. – Francuski, ale to komedia... coś lekkiego.

– Nie czuję się lekko... i nie mam ochoty na komedię.

Wymiotowała już na próbach „Wieczoru Trzech Króli”, ale nikt jeszcze nie skapował, że to poranne mdłości.

Może wtedy, gdy oglądałem z jej rodzicami film Jacques’a Tatiego z napisami w Ezra Falls, powiedziała Kittredge’owi, że wpadła.

Gdy Elaine zrozumiała, że jest w ciąży, przyznała się matce, a pani lub pan Hadley powiedzieli mojej mamie i Richardowi. Leżałem w łóżku – ma się rozumieć, w staniku Elaine – kiedy matka wpadła do mojego pokoju jak huragan.

– Przestań, Perełko... tylko spokojnie – mitygował Richard, ale ona już z impetem zapaliła światło.

Siadłem na łóżku, trzymając stanik Elaine, jakby zasłaniał nieistniejące piersi.

– Jak ty wyglądasz! – wybuchła. – Elaine jest w ciąży!

– To nie ja – odparłem, na co dała mi w twarz.

– Jasne, że nie ty... Wiem, że nie ty, Billy! – krzyknęła. – Ale dlaczego nie ty... Dlaczego? – Wybiegła z głośnym szlochem i wszedł Richard.

– To na pewno Kittredge – stwierdziłem.

– Jasne, że tak. – Richard przysiadł na łóżku, ignorując stanik. – Nie gniewaj się na mamę, jest bardzo zdenerwowana.

Nie odpowiedziałem. Myślałem o tym, co mówiła mi pani Hadley o „pewnych kwestiach seksualnych”, które wyprowadzały z równowagi moją matkę. („Wiem, że nie grała z tobą w otwarte karty”, usłyszałem od Marthy Hadley).

– Sądzę, że Elaine będzie musiała wyjechać na jakiś czas – rzucił Richard.

– Dokąd? – spytałem, ale Richard albo nie wiedział, albo nie chciał mi powiedzieć i tylko potrząsnął głową.

– Przepraszam, Bill... przepraszam za wszystko – powiedział. Niedawno obchodziłem osiemnaste urodziny.

Wtedy zrozumiałem, że Richard już mnie nie pociąga, ani trochę. Kochałem go – wciąż kocham – lecz tamtego wieczoru odkryłem coś, co bardzo mi się nie spodobało. W pewnym sensie był słaby, pozwalał mamie sobą rządzić. I jeśli ona nie grała ze mną w otwarte karty, on robił to samo.

Tego doświadcza wielu nastolatków – przychodzi chwila, gdy ogarnia cię niechęć do dorosłych, których kiedyś kochałeś bezwarunkowo, i przestajesz darzyć ich zaufaniem. Niektórzy młodzi ludzie przeszli przez to wcześniej niż ja: kiedy wykluczyłem mamę i Richarda, byłem świeżo upieczonym osiemnastolatkiem. Wciąż ufałem dziadkowi Harry’emu i kochałem wujka Boba. Ale Richard Abbott i mama odpłynęli w niechlubne rejony okupowane przez ciotkę Muriel i nanę Victorię. Drugim nie mogłem darować uszczypliwości i obraźliwych komentarzy. Pierwszych dyskwalifikowała skrytość.

Co do państwa Hadley, „odesłali” Elaine etapami. Mogę się tylko domyślać, co zaszło między nimi a panią Kittredge – umowy zawierane przez dorosłych nieczęsto objaśniane są dzieciom – ale koniec końców państwo Hadley wyrazili zgodę, aby matka Kittredge’a zabrała Elaine do Europy. Nie mam wątpliwości, że Elaine chciała usunąć ciążę; Martha i pan Hadley chyba zgodzili się, że to najlepsze wyjście. Pani Kittredge na pewno zależało na tym samym. Zakładałam, że jako Francuzka wiedziała, dokąd należy się udać. Jako matka Kittredge’a być może robiła to nie pierwszy raz.

Zdawało mi się wówczas, że dla chłopaka pokroju Kittredge’a to nie pierwszozna – z pewnością nie brakowało mu ku temu okazji. Ale myślałem sobie też, że pani Kittredge również mogła kiedyś popaść w tarapaty i musiała się z nich wykaraskać – znaczy, w młodości. Trudno powiedzieć, co podsunęło mi tę myśl. Podśledzałem pewną rozmowę na próbie do „Wieczoru Trzech Króli” – Kittredge i jego kumpel Delacorte kłócili się o coś w garderobie. Odniosłem wrażenie, że „Dwa Kubki” boi się Kittredge’a, zresztą nie był w tym odosobniony.

– Nie o to chodziło: powiedziałem tylko, że jest najpiękniejszą z matek, jakie znam. Twoja mama jest najładniejsza, tylko to miałem na myśli – zapewnił nerwowo Delacorte, po czym wypluł usta i splunął.

– O ile jest czyjaś matką, chciałeś powiedzieć – burknął Kittredge. – Bo nie bije od niej

macierzyńskie ciepło, prawda? Wygląda na kogoś, kto szuka guza, nic więcej.

– Przecież mówiłem tylko – bronił się Delacorte – że jest najpiękniejsza. Najładniejsza mama ze wszystkich mam!

– Może nie wygląda na matkę, bo nią nie jest – uciał Kittredge. Delacorte zaniemówił ze strachu i tylko płukał usta, ściskając w rękach dwa papierowe kubki.

To Kittredge podsunął mi myśl, że jego matka wpadła kiedyś w tarapaty i musiała się z nich wykaraskać; bo czyż nie powiedział: „Wygląda na kogoś, kto szuka guza”?

Niewykluczone, że pani Kittredge chodziło o coś więcej niż wybawienie Elaine z kłopotu; dzięki ugodzie, którą zawarła z państwem Hadley, Kittredge mógł zapewne zostać w szkole. „Znieprawienie” stanowiło w Akademii podstawę do wydalenia. Zapłodnienie córki wykładowcy – pamiętajcie, Elaine nie miała jeszcze osiemnastu lat, w świetle prawa była nieletnia – z pewnością zaliczało się do tej kategorii, mimo to Kittredge został.

– Jedźcie razem... tylko we dwie? – spytałem Elaine.

– Jasne, że we dwie... A z kim miałybyśmy jechać?

– A dokąd w Europie?

Wzruszyła ramionami; nadal wymiotowała, ale rzadziej.

– Czy to ważne, Billy? Grunt, że Jacqueline wie.

– Mówisz do niej po imieniu?

– Bo tak mam do niej mówić. Nie „pani Kittredge”.

– Ach tak.

Rola Wioli przypadła Laurze Gordon, która w tym roku kończyła liceum w Ezra Falls. Jeśli wierzyć mojej kuzynce Gerry, Laura „puszczała się” – nie, żebym widział na własne oczy, ale Gerry sprawiała wrażenie dobrze poinformowanej w takich sprawach. (Obecnie studiowała na uniwersytecie, nareszcie z dala od Ezra Falls).

Jeśli piersi Laury Gordon dyskwalifikowały ją jako Jadwinę z „Dzikiej kaczki”, jako Wiolę powinny ją dyskwalifikować tym bardziej, zwłaszcza że ta musiała przebierać się za mężczyznę. (Musieli owijać Laurę bandażami, co niewiele dawało). Niemniej jednak Richard wiedział, że Laura błyskawicznie opanuje tekst; bez względu na to, że nie wyglądaliśmy na bliźnięta, nadawała się jak najbardziej. Kontynuowaliśmy przygotowania, choć Elaine miała prze gapić premierę: zamarudzi w Europie, jak mniemam, dochodząc do siebie.

„Wieczór Trzech Króli” kończy się pieśnią błazna. Feste zostaje sam na scenie. „Bo gdy leje deszcz, to zwykła rzecz”, zaśpiewał cztery razy Kittredge.

– Biedne dziecko – powiedział o Elaine. – Co za pech... Pierwszy raz i w ogóle.

Zabrakło mi języka w gębie, jak zawsze.

Nie zwróciłem uwagi, czy jego zadania z niemieckiego poprawiły się, czy wręcz przeciwnie. Nie przyuważyłem też miny matki, gdy widziała swojego ojca na scenie w roli kobiety. Byłem tak zmartwiony sytuacją Elaine, że zapomniałem o podglądaniu suflerki.

Mówiąc, że rodzice Elaine odesłali ją „etapami”, chcę powiedzieć, że podróż do Europy – nie wspominając o oczywistej przyczynie tejże – stanowiła dopiero początek.

Państwo Hadley uznali, że ich mieszkanie w internacie męskiej szkoły to nie najlepsze miejsce na dalszą edukację Elaine. Postanowili odesłać ją do żeńskiej szkoły z internatem, ale dopiero jesienią. Na razie, wiosną tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku wzięła wolne i miała powtórzyć drugą klasę.

Według oficjalnej wersji, Elaine „przeszła załamanie nerwowe”, ale w miasteczku tak małym jak First Sister w stanie Vermont nikt nie miał wątpliwości, czemu licealistka zmienia szkołę. W Akademii też wszyscy wiedzieli. Nawet Atkins rozumiał. Krótco po wyjeździe Elaine do Europy wyszedłem z gabinetu pani Hadley, którą rozstroiła łatwość, z jaką wypowiedziałem słowo

„aborcja”. Puściła mnie dwadzieścia minut wcześniej i między pierwszym a drugim piętnem natknąłem się na Atkinsa. Miał rozterkę wypisaną na czole – jeszcze nie był „czas” na jego sesję z panią Hadley, ale problem z tym słowem odebrał mu chęć do dyskusji.

– Jakie załamanie? – spytał za to. – Czym Elaine się zdenerwowała?

– Chyba wiesz – mruknąłem.

Tom Atkins miał dziki, niespokojny wyraz twarzy, a do tego niebieskie oczy i cerę gładką jak dziewczyna. Był w przedostatniej klasie, jak ja, ale wyglądał młodziej – jeszcze się nie golił.

– Jest w ciąży, prawda? To sprawka Kittredge’a. Wszyscy to mówią, a on nie zaprzecza – odparł. – Elaine zawsze była dla mnie miła... a przynajmniej zawsze miała coś miłego do powiedzenia – dodał.

– Elaine jest bardzo miła – powiedziałem.

– Ale co robi z matką Kittredge’a? Widziałeś jego matkę? Nie wygląda jak matka, tylko piękność z kreskówki, która zamienia się w czarownicę lub smoka!

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Tak piękna kobieta nigdy nie zaakceptuje... – Atkins urwał.

– Upływu czasu? – uzupełniłem.

– Właśnie! Kobiety pokroju pani Kittredge nienawidzą młodych dziewcząt. Wiem to od Kittredge’a. Jego tata zostawił mamę dla młodszej kobiety. Nie była ładniejsza, tylko młodsza.

– Ach tak.

– Nie wyobrażam sobie podróżowania z matką Kittredge’a! – wykrzyknął. – Elaine będzie miała własny pokój?

– Nie wiem. – Nie przyszło mi do głowy, że Elaine miałyby nocować w pokoju z panią Kittredge’a, na samą myśl ciarki przeszły mi po plecach. A co, jeśli nie była matką Kittredge’a ani niczyją matką? Lecz nie było innej możliwości: ci dwoje musieli być spokrewnieni.

Atkins wyminął mnie na schodach, a ja zszedłem dwa stopnie w dół; sądziłem, że to koniec rozmowy.

– Tutaj nie wszyscy rozumieją takich jak my – powiedział nagle. – Ale pani Hadley rozumie... i Elaine też.

– Tak – odmruknąłem, nie zatrzymując się na schodach. Woląłem nie wnikać, co miał na myśli przez „takich jak my”, z pewnością jednak nie chodziło mu tylko o nasze zaburzenia mowy. Czyżby się przystawiał? – zachodziłem w głowę, przecinając dziedziniec. Czyżby po raz pierwszy ktoś „taki jak ja” przystawiał się do mnie?

Niebo było jaśniejsze; popołudniami później zapadał zmrok, ale wiedziałem, że w Europie już nadszedł wieczór. Elaine niedługo pójdzie spać, w swoim pokoju lub nie. Zrobiło się też cieplej – wiosna rzadko zaglądała do Vermont – lecz na dziedzińcu w drodze na próbę zadrzałem. Powinienem myśleć o swoim tekście, o tym, co mówi Sebastian, jednakże w głowie kołatała mi tylko finałowa pieśń błazna. („Bo gdy leje deszcz, to zwykła rzecz”).

I gdy zaczęło padać, pomyślałem o tym, jak zmieniło się życie Elaine, kiedy ja jeszcze tylko grałem.

Zachowałem zdjęcia, które mi wysyłała, kolorowe i czarno-białe. Spoczywały na wielu biurkach – przez wiele lat i często w słońcu – bardzo więc wyblakły, lecz pamiętam historię każdego z nich.

Żałuję tylko, że Elaine nie przysłała mi żadnych zdjęć z podróży do Europy z panią Kittredge, ale któż miałby je zrobić? Nie mogę sobie wyobrazić Elaine pstrykającej zdjęcia zjawiskowej matce Kittredge’a, gdy ta robi... co? Myje zęby, czyta do poduszki, ubiera się lub rozbiera? I cóż musiałyby robić Elaine, aby wzbudzić w pani Kittredge zryw twórczy? Wymiotować na

klęczkach do sedesu? Siedzieć jak na szpilkach w recepcji, bo jej pokój – lub pokój, która miała dzielić z matką Kittredge’a – jeszcze nie był gotowy?

Wątpię, czy nadarzyło się wiele okazji, które pobudziły wyobraźnię pani Kittredge. Na pewno nie należała do nich wizyta w gabinecie lekarskim – albo klinice? – ani przebieg procedury sam w sobie. (Elaine była w pierwszym trymestrze. Jestem pewien, że skończyło się na zwykłym wyłyżeczkowaniu macicy – wiecie, tradycyjna skrobanka).

Później dowiem się od Elaine, że po usunięciu ciąży, kiedy jeszcze brała środki przeciwbólowe, a pani Kittredge oglądała jej podpaski, czy ma „normalne” krwawienie, sprawdzała, przykładając Elaine rękę do czoła, czy nie gorączkuje, i opowiadała te okropne historie.

Kiedyś sądziłem, że tabletki przeciwbólowe pomieszały Elaine w głowie. „Nie były takie silne, poza tym brałam je góra dzień lub dwa – powtarzała. – I wcale nie bolało tak strasznie”.

– Ale czy nie piłaś wina? Sama mówiłaś, że pani Kittredge ci pozwalała – przypominałem. – Nie należy mieszać prochów z alkoholem.

– Nigdy nie piłam więcej niż jeden lub dwa kieliszki czerwonego wina, Billy. Słyszałam każde słowo Jacqueline. Albo to prawda, albo mnie okłamywała – ale dlaczego czyjaś matka miałaby wymyślać takie rzeczy?

Szczerze mówiąc nie wiem, dlaczego „czyjaś matka” miałaby wymyślać historie o swoim jedynaku – zwłaszcza tego rodzaju – choć nie przypisywałbym Kittredge’owi ani jego matce szczególnych walorów moralnych. I bez względu na to, czy dawałem im wiarę, czy nie, Elaine wierzyła w każde słowo.

Pani Kittredge twierdziła, iż jej jedynak często w dzieciństwie chorował; nie miał za grosz wiary w siebie i dawał sobą pomiatać innym dzieciom, zwłaszcza chłopcom. Było to cokolwiek nieprawdopodobne, bardziej jeszcze niż opowieści, że w przeszłości panicznie bał się dziewcząt: był nieśmiały, jękał się w ich obecności, one zaś dokuczały mu lub nie zwracały na niego uwagi.

W siódmej klasie zaczął symulować choroby, aby zostawać w domu i nie chodzić do szkoły (gdzie „panowała rywalizacja”), a na początku ósmej przestał rozmawiać z rówieśnikami w klasie.

„Więc go uwiodłam, nie było innego wyjścia – powiedziała pani Kittredge Elaine. – Biedaczek, coś musiało go podbudować!”

„Zakładam, że podbudowało”, odparła Elaine, na co pani Kittredge tylko wzruszyła ramionami.

A wzruszała nonszalancko, jakby przyszła z tym na świat, albo – kiedy mąż zostawił ją dla młodszej, acz bezspornie brzydszej kobiety – stała się nieczuła na odprawę w każdej postaci.

Pani Kittredge rzeczowo poinformowała Elaine, że sypiała z synem, „kiedy chciał”, ale tylko gdy przejawiał brak wigoru lub koncentracji. „To nie jego wina, że ma słomiany zapał – mówiła. – Wierz mi, z nudów nie wziął tej pewności siebie”.

Czyżby szukała wymówki dla jego postępu? Pielęgnowała Elaine, ale usta jej się nie zamykały.

Nie ma żadnych zdjęć z ich wspólnego pobytu w Europie; zachowało się tylko to, co przez lata zdołałem wyciągnąć z Elaine; resztę dopowiedziałem sam. Skoro pani Kittredge uwiodła własnego syna, aby nabrał pewności siebie, czy dlatego odmawiał jej matczynych cech?

– Ile to trwało? – zapytałem Elaine.

– Całą ósmą klasę, kiedy miał trzynaście, czternaście lat. I może trzy lub cztery razy, kiedy poszedł do Favorite River. Do czasu, aż skończył piętnaście lat.

– A czemu przestali? – Wciąż nie mogłem uwierzyć!

Wzruszyła ramionami; możliwie, że podpatrzyła to u pani Kittredge.

– Znając go, pewnie się znudził.

Pakowała się przed wyjazdem do Northfield, gdzie w semestrze jesiennym tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku miała zacząć drugą klasę; siedzieliśmy w jej sypialni. Musiał być koniec sierpnia, panował skwar. Lampę z granatowym kloszem zastąpiła bezbarwna, jak w anonimowym biurze, a Elaine ścięła włosy na krótko, prawie jak chłopiec.

Chociaż kolejne „etapy” jej wyjazdu stały pod hasłem postępującej maskulinizacji wyglądu, Elaine twierdziła, że nigdy nie będzie w związku z kobietą. Przyznała jednak, że eksperymentowała. Czy z panią Kittredge? Jeśli Elaine interesowała się kobietami, nie miałem wątpliwości, co zrobiłaby pani Kittredge, ale moja przyjaciółka nie chciała o tym rozmawiać. Według mnie los skazał ją na pociąg do niewłaściwych mężczyzn, ale w tej kwestii też nie miała za wiele do powiedzenia. „Takich, którzy nie zagrzewają miejsca”, ucinała i nie dodawała nic więcej.

Co do zdjęć: zachowałem te, który wysyłała mi w ciągu trzech lat swojego pobytu w Northfield. Kolorowe lub czarno-białe, kompletnie amatorskie fotki, nie są jednak tak oczywiste, jak zdawałoby się na pierwszy rzut oka.

Zacznę od fotografii Elaine stojącej na ganku dwupiętrowego, drewnianego budynku; widać, że nie czuje się zbyt swobodnie, może tylko przyjechała z wizytą. Prócz nazwy budynku oraz daty jego powstania – „Moore Cottage, 1899” – jest też nadzieja wyrażona na odwrocie schludnym pismem Elaine: „Szkoda, że to nie mój internat”. (Nadzieja, dodajmy, która nigdy nie miała się spełnić).

Dolną część fasady Moore Cottage oszalowano na biało, pierwsze i drugie piętro pokryto zaś gontem w tym samym odcieniu, jakby na dowód nie tylko upływu czasu, ale i chronicznego niezdecydowania. Być może owa niepewność szła w parze z przeznaczeniem budynku: przez lata służył jako internat dla dziewcząt, po czym przekształcono go w pensjonat dla rodziców. Na oko znajdowało się w nim kilkanaście sypialni – ale mniej łazienek, zakładam – oraz duża kuchnia z sąsiadującym pokojem dla wszystkich.

Zwiększenie liczby łazienek uszczęśliwiłoby odwiedzających rodziców, ale uczennice (kiedy tutaj mieszkały) zdążyły przywyknąć. Ganek, na którym stała Elaine – z osobliwie nieswoją miną – budził pewne zdziwienie. Co uczniom po ganku? W dobrej szkole, jaką była Northfield, uczennice nie miały kiedy przesiadywać na gankach, bardziej odpowiednich dla ludzi mających więcej wolnego czasu – gości, na przykład.

Może, gdy pozowała do zdjęcia na ganku Moore Cottage – była to jedna z pierwszych fotografii, które mi przysłała – Elaine czuła się jak gość. Co ciekawe, w oknie pokoju na parterze widać postać kobiety w nieokreślonym wieku, wnosząc z ubrania i długości włosów – z twarzą ukrytą w cieniu lub zasłoniętą reflekssem odbitego światła.

Wśród pierwszych zdjęć z nowej szkoły, która w istocie była bardzo stara, znajdowała się fotografia miejsca narodzin Dwighta L. Moody’ego. „Miejsce urodzenia naszego założyciela, podobno nawiedzone”, napisała na odwrocie Elaine, przy czym postać w okienku na górze raczej nie jest duchem założyciela. To kobieca twarz z profilu – ani młoda, ani stara, ale atrakcyjna – o nieodgadnionym wyrazie. Uśmiechnięta Elaine stoi na pierwszym planie i wygląda, jakby wskazywała na okno. (Może dziewczyna była jej przyjaciółką, tak mi się zdawało).

Potem mamy zdjęcie opisane jako „Sala zebrań, 1894 – na lekkim wzniesieniu”. Domyślam się, że pisząc „lekkim” Elaine miała na uwadze vermonckie standardy. (Pamiętam, iż było to jedno z pierwszych zdjęć, gdzie tajemnicza kobieta zdaje się rozmyślnie upozowana; na kolejnych fotkach zacząłem jej wypatrywać). Sala zebrań była budynkiem z czerwonej cegły, z łukowymi oknami i wejściem oraz dwiema wieżami na miarę zamku warownego. Cień jednej

wieży padał na trawnik, gdzie stała Elaine, opodal pnia wielkiego drzewa, zza którego – w słońcu, a nie w cieniu wieży wystawała kształtna, damska noga. Na stopie skierowanej w stronę Elaine widniał trzewik w ciemnym kolorze; nad podciągniętą grzecznie podkolanówką było widać kawałek gołej nogi – długa, szara spódnica była uniesiona do połowy uda.

– Co to za dziewczyna albo kobieta? – spytałem.

– Nie wiem, o kogo ci chodzi – odparła Elaine. – Jaka dziewczyna albo kobieta?

– Na fotografiach. Oprócz ciebie zawsze ktoś jest na zdjęciu. Daj spokój, możesz mi powiedzieć. Kto to? Twoja przyjaciółka, nauczycielka?

Na zdjęciu East Hall twarz kobiety jest bardzo mała – i częściowo zasłonięta szalem – w oknie na piętrze. East Hall był zdaje się internatem, chociaż nie wiedziałem na pewno; świadczyło o tym wyjście pożarowe.

Na fotografii przedstawiającej Stone Hall widać wieżę zegarową w zielonkawomiedzianym kolorze i bardzo wysokie okna; podczas niewielu słonecznych dni w czasie roku szkolnego w zachodnim Massachusetts wnętrza musiały tonąć w ciepłym blasku. Elaine stoi trochę dziwnie na skraju kadru, twarzą do obiektywu, ale styka się plecami z inną osobą. U jej lewej ręki widać dwa lub trzy dodatkowe palce, a na prawym biodrze spoczywa trzecia dłoń.

Jest też zdjęcie szkolnej kaplicy – ogromnej katedry o drewnianych wrotach okutych żelazem. Nagie, kobiece ramię – bransoletka na nadgarstku, pierścionki na palcu małym i wskazującym – przytrzymuje drzwi Elaine, która minę ma obojętną, jakby na nikogo nie zwracała uwagi. Na kaplicy widać napis po łacinie: ANNO DOMINI MDCCCXVIII. Elaine przetłumaczyła go na odwrocie: „W roku Pańskim 1908”. (I dopisała: „Tu chcę wziąć ślub, jeśli mnie kiedyś przyciśnie – w razie czego wpakuj mi kulkę w łeb”).

Chyba najbardziej lubię zdjęcie Margaret Olivia Hall, muzycznego budynku Northfield, bo wiem, jak Elaine kochała śpiewać – miała głos stworzony do śpiewu. („Kocham śpiewać aż do łez, i jeszcze dłużej”, napisała mi kiedyś).

Pomiędzy oknami na górze wyryto nazwiska kompozytorów; znam je na pamięć. Palestrina, Bach, Hendel, Beethoven, Wagner, Gluck, Mozart, Rossini. W oknie ponad „u” w Gluck, które wygląda jak „v”, widać bezgłową kobietę – tylko jej tułów – w staniku. W przeciwieństwie do Elaine opartej o ścianę, bezgłowa w oknie ma dość obfity biust.

Jeśli jeszcze na to nie wpadliście, budynek muzyczny z nazwiskami kompozytorów to dobre świadectwo poziomemu Northfield, do której nie umywała się Favorite River, o Ezra Falls nie wspominając.

W większości szkół średnich w Nowej Anglii nie obowiązywała wówczas koedukacja. Wiele męskich szkół zapewniało córkom nauczycieli stypendium; zamiast iść do byle jakiej szkoły publicznej, mogły wybrać żeńską z internatem. (Dla ścisłości: nie wszystkie publiczne szkoły w Vermont miały tak niski poziom jak Ezra Falls).

Kiedy państwo Hadley wysłali Elaine do Northfield – najpierw na własny koszt – Favorite River stanęła na wysokości zadania i ufundowała stypendia dla córek wykładowców. Ależ ja się nasłuchałem od kuzynki Gerry – nie mogła odżalować, że sama się nie załapała, co uchroniłoby ją przed wiadomą placówką. Jak wspominałem, wiosną, gdy Elaine wyjechała do Europy z panią Kittredge, Gerry już uczyła się w college’u. „Było zaliczyć wpadkę parę lat temu, z synalkiem Francuzki”, tak to ujęła. (Muriel jako nastolatka pewnie mogłaby powiedzieć to samo – chociaż po „Wieczorze Trzech Króli” oko w oko z jej biustem myśl o Muriel jako nastolatce budziła we mnie panikę).

Mógłbym opisać inne fotografie z Northfield (zachowałem je wszystkie); tylko po co? Na każdym zdjęciu Elaine widniała niewyraźna postać innej kobiety na tle imponującego budynku.

– Kto to? Wiem, że wiesz, o kim mówię; ona zawsze tam jest, Elaine – wypytywałem. – Nie

bądź taka lakoniczna.

– Nie jestem lakoniczna, Billy. Zresztą przyganiał kociół garnkowi. Lakoniczna, dobre sobie – odpowiadała.

– Czyli mam zgadywać, tak? Odplącasz mi tą samą monetą? Ciepło? – Tak wyglądały nasze rozmowy.

Elaine i ja próbowaliśmy ze sobą mieszkać, ale dopiero wiele lat później, po tym gdy doznaliśmy w życiu bolesnych rozczarowań. Nic z tego nie wychodziło – na dłuższą metę – lecz za bardzo się przyjaźniliśmy, żeby nie spróbować. Poza tym życie nauczyło nas już, że przyjaciele są ważniejsi niż kochankowie – nie tylko dlatego, że przyjaźń trwa z reguły dłużej niż związek. (Lepiej nie uogólniać, lecz z pewnością dotyczyło to mnie i Elaine).

Mieszkaliśmy na ósmym piętrze na Post Street w San Francisco – między Taylor i Mason, niedaleko Union Square. Mieliśmy oddzielne pokoje do pisania. Nasza sypialnia była duża i wygodna: okno wychodziło na dachy Geary Street oraz pionowy neon hotelu Adagio. Wyraz HOTEL musiał się przepalić, bo świeciło tylko ADAGIO. Dręczony bezsennością wstawałem i gapiłem się na ten krwisty napis.

Którejś nocy po powrocie do łóżka nieopatrznie obudziłem Elaine i spytałem o „adagio”. Wiedziałem, że to po włosku; nie tylko słyszałem je od Esmeraldy, ale i widywałem w jej notatkach. Ze swoich wypraw w świat opery oraz innej muzyki – zarówno z Esmeraldą, jak i z Larrym, w Wiedniu – wiedziałem, że ma zastosowanie w muzyce. Wiedziałem też, że Elaine będzie je znała; podobnie jak matka, była bardzo muzykalna. (Pasowała do Northfield, gdzie przywiązywano do tego dużą wagę).

– Co to znaczy? – spytałem, gdy leżeliśmy w obskurnym mieszkaniu na Post Street.

– „Adagio” znaczy powoli, miękko, łagodnie.

– Ach tak.

To najlepsze określenie dla naszych prób seksu, bo i tego spróbowaliśmy – również z mizernym skutkiem, ale zawsze. „Adagio”, mówiliśmy, próbując się kochać, albo później, kiedy usiłowaliśmy zasnąć. I nadal mówimy: kiedy wyjeżdżaliśmy z San Francisco oraz na koniec listów i mejli. Chyba tyle znaczy dla nas miłość – jedynie adagio (powoli, miękko, łagodnie). Dla przyjaciół w sam raz.

– A więc kim naprawdę była ta osoba na zdjęciach? – Znów do tego wróciłem, kiedy nocą gadaliśmy w wygodnej sypialni z widokiem na uszkodzony neon hotelu.

– Wiesz, Billy, ona wciąż przy mnie jest. I zawsze będzie, sprawdzając, czy mam gorączkę i „normalne” krwawienie. Nawiasem mówiąc, zawsze było „normalne”, ale sprawdza mimo to. Abym wiedziała, że myśli o mnie cały czas – odpowiadała Elaine.

Leżałem, trawiąc to wszystko, w przyćmionej łunie Union Square i popsutego neonu zza okna. ADAGIO świeciło krwistą czerwienią, a HOTEL zgasł.

– Chcesz powiedzieć, że pani Kittredge nadal...

– Billy! – przerwała mi. – W życiu nie byłam z nikim tak blisko jak z tą wstrętną kobietą. I nigdy nie będę.

– A Kittredge? – zaryzykowałem pytanie, chociaż po tylu latach powinienem wiedzieć.

– Do diabła z nim! – krzyknęła. – To jego matka mnie naznaczyła! To jej nigdy nie zapomnę!

– Jak blisko? I jak to: naznaczyła? – wypytywałem, ale się rozplakała, więc uznałem, że lepiej ją objąć – powoli, miękko, łagodnie – a resztę zostawić, jak jest. Pytałem ją już o aborcję; nie chodziło o to. Po tej w Europie miała jeszcze następną.

– Nie było tak źle, biorąc pod uwagę alternatywę – skwitowała. Jakkolwiek „naznaczyła” ją pani Kittredge, rzecz dotyczyła czegoś innego. A jeśli Elaine „eksperymentowała” z byciem

lesbijką – znaczy, z panią Kittredge – nigdy nie uchyliła rąbka tajemnicy.

Zachowane zdjęcia Elaine dawały mi pojęcie o matce Kittredge'a oraz jej „bliskości” z Elaine. Cienie i urywki ciała kobiety (lub kobiet) na tych fotografiach są dla mnie żywsze aniżeli jedyne wspomnienie pani Kittredge – na rozgrywkach ujrzałem ją po raz pierwszy i ostatni. Znam „tę wstrętą kobietę” za sprawą wpływu, jaki wywarła na moją przyjaciółkę Elaine – tak jak najlepiej znam siebie dzięki słabości do niewłaściwych ludzi: temu, jak ukształtowała mnie tajemnica, którą ukrywałem przed bliskimi.

Rozdział 7

MOJE STRASZLIWE ANIOŁY

Jeśli niechciana ciąża stanowiła „otchłań”, w którą wpaść mogła nieustraszona dziewczyna – słowo „otchłań” pochodziło od mojej matki, choć założę się, że najpierw usłyszała je od cholernej Muriel – otchłanią dla takiego chłopca jak ja z pewnością było uleganie skłonnościom homoseksualnym. Miłość ta skrywała szaleństwo; odgrywając swoje najskrytsze fantazje, spocząłbym na dnie przepaści wszechświata pożądania. Tak przynajmniej wierzyłem jesienią ostatniego roku w Akademii Favorite River, raz jeszcze zapuszczając się do biblioteki publicznej – tym razem, jak sądziłem, żeby się ocalić. Miałem osiemnaście lat, ale grunt drżał mi pod nogami, a nienawiść do samego siebie nie znała granic.

W męskiej szkole z internatem u zarania lat sześćdziesiątych ktoś taki jak ja czuł się osamotniony – nikomu nie ufał, a już najmniej chłopcom w swoim wieku – i gardził samym sobą. Zawsze byłem odludkiem, lecz nienawiść do samego siebie jest gorsza od samotności.

Gdy Elaine odradzała się w Northfield, ja spędzałem coraz więcej czasu w szkolnej czytelnicy, w towarzystwie roczników. Kiedy mama lub Richard pytali, dokąd idę, odpowiadałem zawsze: „Do biblioteki.” Nie mówiłem im, do której. I bez Elaine, która mnie spowalniała – zawsze musiała mi pokazać przystojniaków z nowszych zdjęć – jak burza przerabiałem roczniki z coraz mniej odległej przeszłości. Zaliczyłem pierwszą wojnę, wyprzedzając „plan”, jaki sobie narzuciłem. W takim tempie miałem dogonić teraźniejszość jeszcze przed wiosną tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku, zanim sam stanę się absolwentem.

Prawdę powiedziawszy, znajdowałem się marne trzydzieści lat wstecz; wrześniowego wieczoru, gdy postanowiłem opuścić szkolną bibliotekę i złożyć wizytę pannie Frost, zająłem się materiałem archiwalnym dotyczącym tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku. Ale zdjęcie obłądnego chłopca z drużyny zapaśniczej sprawiło, że z hukiem zatrzasnąłem rocznik. Pomyślałem: nie mogę myśleć o Kittredge’u i takich jak on; nie mogę ulegać tym ciągłom, bo będę stracony.

Cóż takiego dokładnie chroniło mnie przed katastrofą? Improvizowana wizja Marthy Hadley w staniku przestała spełniać swoją funkcję i onanizowanie, patrząc na wymyślne konfiguracje jej swojskiego oblicza z młodocianym korpusikiem modelki, stanowiło nie lada wyzwanie. Z dala od Kittredge’a (i jemu podobnych) trzymałem się tylko dzięki fantazjom o pannie Frost.

Rocznik Akademii Favorite River nosił nazwę „Sowa”. („Ktokolwiek wiedział dlaczego, pewnie dawno już wykitował”, powiedział Richard Abbott, kiedy zapytałem o powód). Odsunąłem „Sowę” z tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku, po czym zebrałem zeszyty oraz materiały z niemieckiego i wepchnąłem wszystko prócz „Sowy” do szkolnej torby.

Przerabiałem czwarty poziom niemieckiego, co nie było wymagane. Dalej pomagałem Kittredge’owi z trzecim, który oblał, ale z konieczności zaliczał raz jeszcze. Odkąd przestaliśmy chodzić na te same zajęcia, było mi łatwiej: z grubsza rzecz ujmując, pomagałem mu zyskać na czasie. Największą trudność w poziomie trzecim stanowił wstęp do Rilkego i Goethego, o których więcej było w poziomie czwartym. Kiedy utknął na jakimś zwrocie, podrzucałem mu tłumaczenie, żeby było szybciej. Świadomość, że część tego samego materiału po raz drugi sprawia mu trudności, złościła go nie do opisania, lecz pobieżna forma naszych obecnych relacji była dla mnie łatwiejsza niż wcześniejsze rozmowy. Starąłem się jak najmniej przebywać w jego obecności.

Do tego stopnia, że zrezygnowałem z udziału w jesiennym spektaklu – ku wielkiemu rozczarowaniu Richarda, który obsadził Kittredge’a jako Edgara w „Królu Lirze”. Jakby tego było mało, ja zostałem królewskim błaznem. Kiedy powie działem pani Hadley, że nie chcę brać udziału w inscenizacji, bo Kittredge gra rolę „bohatera” – nie wspominając o tym, że Edgar

przebiera się później za Biednego Tomka, toteż Kittredge dostał rolę podwójną – Martha Hadley spytała, czy przyjrzałem się swoim kwestiom. Czyżbym w świetle narastających problemów osobistych przewidywał, że rola błazna okaże się „niewymawialna”? Jakby sugerowała, że mógłbym się wymigać.

– Do czego pani zmierza? – spytałem. – Sądzi pani, że nie poradzę sobie ze słowem „lichwiarz, „kurwa”, a może „kutas”, choćby dlatego, że służy na określenie wiadomo czego?

– Nie unosz się, Billy.

– A może połączenie słów „kurwa” i „wierutna” pani zdaniem sprawi mi problem? Albo „czapka błazeńska” w liczbie pojedynczej lub mnogiej?

– Uspokój się, Billy – łagodziła pani Hadley. – Oboje nie lubimy Kittredge’a.

– Kittredge miał ostatnie słowo w „Wieczorze Trzech Króli”! – krzyknąłem. – I teraz też ma, dzięki Richardowi! Musimy słuchać, jak mówi: „Dźwignąć musimy smutnych czasów brzemie, mówiąc bez fałszu to, co w sercu drzemie”^[10].

„Najstarszy przeżył najstraszliwsze chwile”, ciągnie Kittredge-jako-Edgar.

W opowieści o królu Lirze – zważywszy, co spotyka Lira, oślepieniu Gloucester’a nie wspominając (rola Richarda) – słowa te z pewnością znajdują odzwierciedlenie w rzeczywistości. Lecz gdy Edgar kończy sztukę, stwierdzając, że „młodym los nie da lat ni przeżyć tyle” – cóż, nie byłbym pewien, czy to taka znowu prawda „uniwersalna”.

Czy kwestionuję mądrość wieńczącą wielką sztukę, bo nie potrafię odróżnić Edgara od Kittredge’a? Czy ktokolwiek (łącznie z Szekspirem) wie, co wycierpią lub nie wycierpią przyszłe pokolenia?

– Richard chce jak najlepiej dla spektaklu, Billy – mitygowała Martha Hadley. – Nie nagradza Kittredge’a za uwiedzenie Elaine.

Lecz ja poniekąd miałem inne zdanie. Czemu Kittredge dostał świetną rolę Edgara, który później przebiera się za Biednego Tomka? Po tym, co się stało w „Wieczorze Trzech Króli”, czemu Richard w ogóle go wziął? Miałem tego dość – bycie lub niebycie błaznem nie grało tutaj żadnej roli.

– Powiedz Richardowi, że nie chcesz mieć z Kittredge’em do czynienia, Billy – zasugerowała pani Hadley. – Na pewno zrozumie.

Nie mogłem powiedzieć pani Hadley, że nie chcę mieć do czynienia również z Richardem. I po co mam oglądać minę matki na widok dziadka w roli kobiety na scenie? Grał Gonerylę, najstarszą córkę Lira; To wredna baba, więc dłaczegóż mama miałaby na nią patrzeć inaczej niż z obrzydzeniem? (Ciotka Muriel była Reganą, drugą wredną córką Lira; zakładałem, że jej też się dostanie).

Nie chciałem mieć do czynienia z „Królem Lirem” nie tylko z powodu Kittredge’a. Nie miałem serca patrzeć na porażkę sceniczną wuja Boba, gdyż to zacny Bob właśnie – Bob „Piłka do Squasha”, jak nazywał go Kittredge – dostał rolę tytułową. Jego brak smykałki tragicznej był oczywisty dla wszystkich prócz mojego ojczyma; być może Richard litował się nad Bobem i uważał go za tragika z uwagi na (tragiczny) ożenek z Muriel.

Nie zgadzało się ciało Boba – a może głowa? Ciało miał rosłe i atletyczne, głowa sprawiała wrażenie zbyt małej i nieprawdopodobnie wprost okrągłej – jak piłka do squasha, wciśnięta między rozłożyste ramiona. Wujek Bob miał zbyt dobroduszny wygląd i zbyt muskularną budowę na Lira.

Mniej więcej na początku sztuki (akt pierwszy, scena czwarta), Bob-jako-Lir ryczy: „Kto z was powiedzieć może mi, kim jestem?”.

Któż mógłby zapomnieć, co odpowiada mu błazen? Ja owszem; zapomniałem nawet, że to moja kolej.

- „Kto z was powiedziec może mi, kim jestem?”, Bill – ponaglił Richard Abbott.
- Twoja kolej, Nimfo – szepnął Kittredge. – Czułem, że będziesz miał z tym problem.

Wszyscy czekali, aż znajdzie swoją kwestię. Nie uświadomiłem sobie zagrożenia; nie odnotowałem dotąd kłopotów z tym słowem, podobnie jak pani Hadley. Ale Kittredge, jak się okazało, miał nosa.

- Słuchamy, słuchamy – zachęcił. – Dawaj, Nimfo.
- „Kto z was powiedziec może mi, kim jestem?”, pyta Lir.

„Cieniem Lira”, odpowiada błazen.

Odkąd to słowo „cień” stało się moją zmorą? Od czasu gdy Elaine wróciła z podróży z panią Kittredge, bezcielesna jak cień – przynajmniej w porównaniu z dawną sobą. Odkąd wróciła z Europy i na każdym kroku towarzyszył jej cień – widmowo, ale za to wyrafinowanie podobny do samej pani Kittredge. A gdy wyjechała ponownie, do Northfield, cień jął podążać za mną – złowieszczy, niepomszczony cień mojej nieobecnej przyjaciółki.

- Cie... – utknąłem.
- Ciele! – wykrzyknął triumfalnie Kittredge.
- Spróbuj jeszcze raz, Bill – zachęcił Richard.
- Nie mogę – odparłem.
- Może potrzebujemy nowego błazna – zasugerował Kittredge.
- Ja tutaj decyduję, Kittredge – zaznaczył Richard.
- Albo ja – wtrąciłem.
- No cóż... – zaczął dziadek Harry, ale wujek Bob mu przerwał.
- Moim zdaniem Billy mógłby powiedziec „odbicie Lira” albo nawet „duch Lira”... Coś, co pasowałoby do kontekstu.
- Wówczas to nie byłby Szekspir – zauważył Kittredge.
- W scenariuszu mamy „cień Lira”, Billy – odezwała się moja matka suflerka. – Mówisz albo nie.

– Perłko, błagam...

Nie dałem Richardowi skończyć.

– Lear powinien mieć porządnego błazna, który powie każde słowo – powiedziałem Richardowi. Wychodząc, wiedziałem, że to moja ostatnia próba i być może ostatnia sztuka Szekspira. (Jak się okaże, „Król Lir” był ostatnią sztuką Szekspira dla mnie jako aktora).

Dziewczyna wyznaczona do roli Kordelii była i jest mi kompletnie nieznana, więc nie pamiętam nawet jej imienia. „Niepozorne dziewczątko, ale z pamięcią jak słoń”, stwierdził dziadek Harry.

„Ani obecna, ani przyszła piękność”, podsumowała biedną Kordelię ciotka Muriel, dając do zrozumienia, że „ta” Kordelia nie znalazłaby amatora – nawet gdyby dane jej było przeżyć.

Błaznem został Delacorte, zapaśnik, więc pewnie dowie dział się od Kittredge’a, że rola jest wolna. Ten wspomniął mi później, że ponieważ przygotowania do spektaklu i premiera odbywały się przed początkiem sezonu zapaśniczego, dolegliwości towarzyszące trzymaniu wagi stały się dla Delacorte’a mniej uciążliwe. Nie był odwodniony, nadal cierpiał jednak na suchość w ustach – wciąż dbał o linię, nawet poza sezonem. Tak czy inaczej, bez przerwy płukał usta wodą z papierowego kubka i wypluwał ją do drugiego. Gdyby Delacorte żył dzisiaj, jestem pewien, że dalej przeczesywałby palcami włosy. Ale nie żyje, wraz z wieloma innymi. A ja w przyszłości miałem patrzeć, jak umiera.

Delacorte, jako błazen Lira, mówi roztropnie: „Miej więcej, niż okazałeś./Mów mniej, niżli rozumiałeś./Mniej pożyczaj, niż zyskałeś”. Dobra rada, ale błazna nie uratuje, tak jak nie uratowała Delacorte’a.

Kittredge zachowywał się przy nim bardzo dziwnie, czule, a zarazem ze zniecierpliwieniem. Jakby Delacorte był przyjacielem z dzieciństwa, który sprawił mu wielki zawód – jakby „wrosło” z niego coś wbrew oczekiwaniom i nadziejom Kittredge’a.

Kittredge zdradzał niezdrowe zainteresowanie płukaniem-i-pluciem kolegi, a nawet zasugerował Richardowi, by uczynić z tego atut błazna na scenie.

– Wówczas to nie byłby Szekspir – wtrącił dziadek Harry.

– Nie będę suflerować płukania i plucia, Richardzie – zaznaczyła mama.

– Delacorte, z łaski swojej płucz i wypluwaj dyskretnie – poradził zniekanemu zapaśnikowi reżyser.

– Tak mi tylko przyszło do głowy. – Kittredge wzruszył ramionami. – Przynajmniej mamy błazna, który umie powiedzieć „cień”.

W stosunku do mnie wykazał bardziej filozoficzne nastawienie.

– Spójrz na to tak, Nimfo: aktor z wybrakowanym słownictwem nie istnieje. Ale grunt to poznać swoje ograniczenia w młodym wieku. Istne zrzącenie losu, doprawdy: teraz już wiesz, że nigdy aktorem nie będziesz.

– To nie kwestia wyboru – odpowiedziałem, jak kiedyś panna Frost, gdy po raz pierwszy jej oznajmiłem, że chcę zostać pisarzem.

– Czy ja wiem, Nimfo. Grunt, że jesteś na z góry przegranej pozycji.

– Ach tak.

– Na twoim miejscu doprecyzowałbym też inny dylemat... zanim przejdiesz do wyboru ścieżki kariery – dodał Kittredge. Nie odpowiedziałem; czułem, że mnie podpuszcza. – Pozostaje kwestia twoich seksualnych skłonności – uzupełnił.

– Moje seksualne skłonności są jasne jak słońce – odparłem. Z lekkim zdziwieniem, ponieważ grałem, ale głos nie zawiódł mnie ani razu.

– Czy ja wiem, Nimfo – powiedział Kittredge i mięśnie na zapaśniczej szyi lekko mu zadrgały, być może bezwiednie. – Na moje oko, w tej kwestii jeszcze dużo przed tobą.

– Ach, to ty! – zawołała na mój widok panna Frost wesoło, ale jakby ze zdziwieniem. – Byłam prawie pewna, że to twój kolega. Dopiero co wyszedł. Myślałam, że to znowu on.

– Kto? – spytałem. (Przypuszczałem, że chodzi o Kittredge’a – choć nie nazwałbym go kolegą).

– Tom – powiedziała panna Frost. – Właśnie wyszedł. Nigdy nie wiem, po co właściwie przychodzi. Pyta o książkę, której ponoć nie może znaleźć w szkolnej bibliotece, a ja wiem dobrze, że tam jest. Tak czy siak, zawsze wychodzi z pustymi rękami. Może liczy, że cię spotka?

– Tom? – Nie przychodził mi do głowy nikt o tym imieniu.

– Atkins... chyba tak się nazywa – odparła. – Znam go jako Toma.

– A ja jako Atkinsa.

– Ach Williamie, kiedy wasza paskudna szkoła zerwie z tą wstrętną praktyką!

– Nie powinniśmy mówić cicho? – szepnąłem.

Bądź co bądź, przebywaliśmy w bibliotece. Zdziwiłem się grzmiącym tonem panny Frost, ale zelektryzowało mnie, że nazwała Akademię „paskudną szkołą”; w duchu podzielałem jej zdanie, lecz wiedziony lojalnością wobec Boba i Richarda Abbotta nigdy nie powiedziałbym tego głośno.

– Jesteśmy tylko my, Williamie. Możemy mówić tak głośno, jak nam się podoba.

– Ach tak.

– Przyszedłeś pisać, jak sądzę – podjęła donośnie panna Frost.

– Nie, potrzebuję pani rady w kwestii tego, co przeczytać – odparłem.

– Temat pociągu do niewłaściwych ludzi wciąż na tapecie, Williamie?

– Bardzo niewłaściwych – szepnąłem.

Nachyliła się bliżej; wciąż byłem dużo niższy i miałem wrażenie, jakbym wcale nie urósł.

– Możemy o tym poszeptać, jeśli chcesz – zaproponowała ściszym głosem.

– Czy pani zna Jacques’a Kittredge’a?

– Każdy go zna – odparła ogólnikowo; nie wiedziałem, co o nim myśli.

– Lecę na Kittredge’a, chociaż staram się zwalczyć pociąg – wyznałem. – Czy jest o tym powieść?

Panna Frost położyła dłonie na moich ramionach. Musiała poczuć, że drzę.

– Ach Williamie... Bywają rzeczy dużo gorsze, wiesz? Owszem, mam to, czego szukasz – wyszeptała.

– Ja wiem, po co Atkins tutaj przychodzi – wybuchłem. – Nie szuka mnie, tylko leci na panią!

– Na mnie? – zdziwiła się.

– A dlaczego nie? Chyba każdy chłopak mógłby na panią lecieć.

– Cóż, od dawna mnie to nie spotkało. Ale bardzo mi pochlebiasz. To miło z twojej strony, Williamie.

– Ja też na panią lecę. – Poszedłem na całego. – Zawsze leciałem, i to bardziej niż na Kittredge’a.

– Ależ mylisz się, drogi chłopcze! Czy nie mówiłam ci, że są gorsze rzeczy niż pociąg od Kittredge’a? Posłuchaj, Williamie: pociąg do Kittredge’a jest bezpieczniejszy!

– To niemożliwe! – krzyknąłem. Czuję, że znów zaczynam się trząść. Panna Frost przytuliła mnie do rozłożystej klatki. Zaszlochałem.

Byłem na siebie wściekły, ale nie mogłem zapanować nad łzami. Podczas innego z pożałowania godnych apeli doktor Harlow powiedział nam, że nadmierna skłonność do płaczu u chłopcu to homoseksualna tendencja, której winniśmy się strzec. (Oczywiście kretyń nie raczył dodać, jak się strzec przed tym, nad czym nie możemy zapanować!). Słyszałem też, że mama mówiła do Muriel: „Naprawdę nie wiem, co robić, kiedy Billy ryczy jak baba!”.

Oto znajdowałem się w publicznej bibliotece First Sister, rycząc jak baba w silnych ramionach panny Frost – po tym gdy wyznałem, że lecę na nią bardziej niż na wiadomo kogo. Ależ musiałem wyjść na mazgaja!

– Przecież ty mnie wcale nie znasz, mój drogi – mówiła panna Frost. – Nie wiesz, kim jestem... nie wiesz o mnie najważniejszej rzeczy. Nie wiesz, prawda?

– Czego? – wykrztusiłem. – Nie znam pani imienia – przyznałem, wciąż łkając. Też ją przytuliłem, ale nie tak mocno, jak ona mnie. Czuję, jaka jest silna – przy czym piersi miała zdumiewająco małe. Czuję ich miękkość – miękkie, drobne piersi panny Frost zgoła nie szły w parze z jej barczystą posturą i umięśnionymi ramionami.

– Nie to miałam na myśli, Williamie... Moje imię nie ma znaczenia. Mówię o tym, że nie znasz mnie.

– Ale jak ma pani na imię?

Westchnęła teatralnie i z wystudiowaną irytacją wypuściła mnie z objęć, prawie odpychając.

– Wiele ryzykuję, będąc „panną” Frost, Williamie. Ta „panna” nie przyplątała się przypadkowo.

Coś wiedziałem o niechęci do własnego miana, mnie też nie uśmiechało się być Williamem Francisem Deanem juniorem.

– Nie lubi pani swojego imienia?

– Od tego możemy zacząć – odparła z rozbawieniem. – Dałbyś dziewczynce na imię Alberta?

– Jak prowincja w Kanadzie? – zapytałem. Nie mogłem sobie wyobrazić panny Frost jako Alerty!

– Dla prowincji to lepsza nazwa. Wszyscy mówili na mnie Al.
– Al – powtórzyłem.
– Teraz widzisz, czemu wolę „pannę” – skwitowała ze śmiechem.
– Wszystko w pani kocham – oświadczyłem.
– Wolnego, Williamie. Jeśli w grę wchodzi pociąg do niewłaściwych ludzi, pośpiech jest niewskazany.

Oczywiście nie rozumiałem, czemu uważa siebie za „nie właściwą” osobę – i jak mogła zakładać, że mój pociąg do Kittredge’a jest „bezpieczniejszy”? Przyszło mi do głowy, że chodzi jej o różnicę wieku; być może uważała, że związek osiemnastoletniego chłopca z czterdziestolatką jest niemoralny. Myślałem sobie, że w świetle prawa jestem dorosły – chociaż ledwo ledwo – i jeśli panna Frost jest w wieku ciotki Muriel, musi mieć czterdzieści dwa lub trzy lata.

– Nie interesują mnie rówieśnice – zakomunikowałem. – Chyba wolę starsze kobiety.
– Drogi chłopcze – powtórzyła. – Mój wiek nie gra roli; liczy się to, czym jestem. Czy ty naprawdę nie rozumiesz, Williamie?

Jakby egzystencjalnego napięcia było mało, Atkins wybrał sobie tę chwilę, aby zmaterializować się w mrocznym foyer, gdzie stanął jak wryty z cokolwiek niepewną miną. (Później mi powiedział, że wystraszył się swojego odbicia w lustrze, wiszącego w foyer jak niemy wartownik).

– Ach, to ty, Tomku – powiedziała panna Frost bez zdziwienia.
– Widzi pani? A nie mówiłem? – zawołałem, a tymczasem Atkins wciąż z lękiem przeglądał się w lustrze.

– Bardzo się mylisz – zapewniła z uśmiechem panna Frost.
– Kittredge cię szuka, Bill – poinformował Atkins. – Byłem w archiwum, ale powiedziano mi, że dopiero wyszedłeś.

– W archiwum – powtórzyła panna Frost z lekkim zdumieniem. Spojrzałem na nią: na jej twarzy malował się wyraz nieznanego mi dotąd zaniepokojenia.

– Bill studiuje roczniki Akademii od przeszłości aż po czasy współczesne – wyjaśnił Atkins. – Wiem od Elaine – dorzucił.

– Na miłość boską, Atkins, czy ty mnie śledzisz? – Nie wytrzymałem.
– Kittredge ma do ciebie sprawę – odparł markotnie Atkins.
– Od kiedy to jesteś jego chłopcem na posyłki? – spytałem.
– Mam dosyć upokorzeń! – wykrzyknął dramatycznie, wznosząc szczupłe ręce. – Kittredge to jeszcze pół biedy, on wszystkim daje popalić. Ale po tobie tego się nie spodziewałem, Bill!

Chcąc z rozmachem opuścić bibliotekę, znów natknął się na złowrogie lustro i wypuścił ostatnią zatrutą strzałę.

– To nie ja jestem twoim cieniem, Bill, tylko Kittredge – rzucił.
I poszedł, nim dotarło do niego moje „Sram na Kittredge’a”.
– Wyrażaj się, Williamie – upomniała panna Frost, kładąc mi na ustach długie palce. – Jesteśmy w zasranej bibliotece.

Nie pasowało do niej to słowo – podobnie jak imię „Alberta” – ale gdy zerknąłem na nią, patrzyła na mnie z uśmiechem. Tylko się droczyła; długie palce musnęły moją twarz.

– Ciekawe nawiązanie do słowa „cień”, Williamie. Czyżbyś z jego powodu rzucił „Króla Lira”?

– Owszem. Słyszała pani. W takiej mieścinie wszyscy słyszą wszystko!
– Może niezupełnie wszyscy... i może nie wszystko, Williamie. Zdaje się, na przykład, że ty nie słyszałeś wszystkiego... o mnie.

Wiedziałem, że nana Victoria nie lubi panny Frost, lecz nie miałem pojęcia dlaczego. Wiedziałem też, że ciocia Muriel ma zastrzeżenia do staników bibliotekarki, ale jak mogłem podjąć ten temat, skoro właśnie zadeklarowałem miłość do wszystkiego, co z nią związane?

– Moja babcia – zacząłem – i ciocia Muriel...

Ale panna Frost znów musnęła mi usta długimi palcami.

– Sza, Williamie – wyszeptała. – Nie chcę wiedzieć, co sądzą o mnie te dwie panie. Bardziej mnie ciekawi, co knujesz w związku z archiwum.

– Och, właściwie nic. Oglądam tylko zdjęcia zapaśników... i fotosy z przedstawień klubu dramatycznego.

– Tak? – spytała z lekkim roztargnieniem. Czemu odnosiłem wrażenie, że gra – raz tak, raz nie? Jak to powiedziała Richardowi, w odpowiedzi na jego pytanie?

„Tylko w głowie – odrzekła niemal kokieteryjnie. – Kiedy byłam młodsza... cały czas”.

– A na czym stanąłeś, Williamie? Na którym roczniku?

– Trzydziestym pierwszym – odpowiedziałem. Palce panny Frost zawędrowały na mój kołnierz, jakby kosztowała nie wiedzieć czemu wzbudziła jej nostalgię.

– Blisko – zauważyła.

– Czego?

– Po prostu blisko – ucięła. – Mamy niewiele czasu.

– Czy to już pora zamykać bibliotekę? – zapytałem, lecz tylko się uśmiechnęła, po czym jakby w przypływie zastanowienia spojrzała na zegarek.

– Cóż, nie szkodzi, jeśli dzisiaj zamkniemy trochę wcześniej, prawda? – rzuciła nagle.

– Pewnie... Czemu nie? Nie ma nikogo prócz nas. Atkins już chyba nie wróci.

– Biedny Tomek – powiedziała. – On nie leci na mnie, Williamie, tylko na ciebie!

I nagle zrozumiałem, że to prawda. „Biedny Tomek” – bo tak miałem go odtąd nazywać – pewnie wyczuł mój pociąg do panny Frost i był zazdrosny.

– Biedny Tomek szpieguje nas oboje – dodała panna Frost. – Ciekawe, jaką to sprawę ma do ciebie Kittredge? – spytała nagle.

– Och, nic takiego. Pewnie chodzi o niemiecki. Pomagam mu.

– Tomek Atkins byłby dla ciebie bezpieczniejszy niż Kittredge, Williamie – stwierdziła. Tutaj też musiałem przyznać jej rację, choć Atkins wcale mi się nie podobał – może na zasadzie wielbiciela, który z biegiem czasu zaczyna się podobać troszkę. (Ale to się rzadko sprawdza, prawda?).

Jednak nim zdążyłem jej wyjaśnić, że Atkins nie jest w moim typie – że nie wszyscy chłopcy mi się podobają, a właściwie tylko paru – dla odmiany położyła mi na ustach swoje wargi. Po prostu mnie pocałowała. Był to dość zdecydowany i umiarkowanie agresywny pocałunek, i tylko raz wtargnęła do środka ciepłym językiem. Wiercie mi: niebawem skończę siedemdziesiąt lat i całowałem się całe życie, ale tamten pocałunek był bardziej stanowczy niż męski uścisk dłoni.

– Wiem, wiem – mruknęła. – Mamy niewiele czasu... Nie mówmy o biednym Tomku.

– Ach tak.

Podążyłem za nią do foyer, zachodząc w głowę, czy „czas” dotyczy tylko pory zamknięcia biblioteki, ale panna Frost powiedziała:

– Rozumiem, że ostatnia klasa wciąż melduje się o dziesiątej, tak? Z wyjątkiem sobót, gdzie wciąż obowiązuje jedenasta. W tej paskudnej szkole wszystko zostało jak dawniej, prawda?

Zdziwiłem się, że zna szkolne zwyczaje – w dodatku bezbłędnie.

Patrzyłem, jak zamyka drzwi i gasi lampę przed wejściem; zostawiła tylko małą lampkę w sieni i poszła zgasić resztę świateł. Kompletnie wyleciało mi z głowy, że przyszedłem prosić ją o radę – w kwestii powieści oraz pociągu do Kittredge’a i „pokonaniu” tej skłonności – gdy naraz

panna Frost wręczyła mi cienką książkę. Wydawała się co najmniej o czterdzieści parę stron grubsza od „Króla Lira” (czytałem ostatnio).

Była to powieść Jamesa Baldwina pod tytułem „Mój Giovanni” – ledwie odczytałem w półmroku. Paliła się tylko lampka w sieni, więc z trudem odszukaliśmy drzwi do piwnicy.

Na ciemnych schodach, gdzie docierało tylko mętne światło z foyer, nie licząc stłumionej poświaty na wprost, z wydzielonego z kotłowni pokoiku panny Frost – nagle przypomniałem sobie, że miałem spytać o jeszcze jedną powieść.

Miałem „Al” na końcu języka, lecz zabrakło mi odwagi.

– Panno Frost, czy opowie mi pani o „Pani Bovary”? – zapytałem. – Spodobałaby mi się, pani zdaniem?

– Kiedy będziesz starszy, Williamie, na pewno.

– To samo mówi Richard, i wujek Bob.

– Twój wujek Bob czytał „Panią Bovary”?... Chyba nie masz na myśli Boba Muriel?! – zawołała.

– Nie czytał, mówił tylko, o czym jest.

– Ktoś, kto nie czytał powieści, tak naprawdę nie wie, o czym ona jest, Williamie.

– Ach tak.

– Powinieneś zaczekać, Williamie. Najlepiej czytać „Panią Bovary”, kiedy człowiek straci już romantyczne nadzieje i pragnienia. Kiedy uwierzy, że przyszłe związki nie spełnią jego oczekiwań czy wręcz okażą się katastrofalne w skutkach.

– Poczekam więc – obiecałem.

Jej sypialnia i łazienka – dawna piwnica na węgiel – były oświetlone blaskiem lampki do czytania, przytwierdzonej do wezglowia staroświeckiego mosiężnego łóżka. Panna Frost zapaliła cynamonową świecę na stoliku nocnym, zgasiła lampkę i kazała mi się rozebrać.

– To bardzo ważne, Williamie. Nie zapomnij o skarpetkach.

Zrobiłem, jak mi kazała, odwrócony do niej plecami. Przeprosiwszy mnie na chwilę, skorzystała z toalety z drewnianą deską – chyba usłyszałem, jak siusia i spuszcza wodę – po czym odkręciła kran i umyła zęby nad umywalką.

Leżałem nagi na mosiężnym łóżku; w migoczącym blasku świecy przeczytałem, że „Mój Giovanni” ukazał się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku. Z karty biblioteczej wynioskowałem, iż książkę wypożyczyła dotąd tylko jedna osoba – w ciągu czterech lat – i przyszło mi do głowy, czy jedyną czytelniczką pana Baldwina nie była aby panna Frost.

– Nie czytaj teraz, Williamie – powiedziała, nim przebrnąłem przez dwa pierwsze akapity. – To bardzo smutna książka i na pewno cię zaniepokoi.

– Dlaczego? – spytałem. Usłyszałem, jak wieszka ubrania; myśl o jej nagości bardzo mnie rozproszyła, ale skupiłem się na lekturze.

– Nie ma czegoś takiego jak „próba” stłumienia pociągu do Kittredge’a, Williamie. „Próby” nie mają racji bytu.

Przedostatnie zdanie drugiego akapitu sprawiło, że prze stałem czytać i zamknąłem oczy.

– A nie mówiłam? – Pokiwała głową.

Zdanie rozpoczynało się: „Siedząca naprzeciwko dziewczyna będzie mocno rozczarowana, że z nią nie flirtuje...”^[11] – na tym stanąłem, niepewny, czy odważę się kontynuować.

– Lepiej, żeby twoja mama nie widziała tej książki. A jeśli nie dojrzałeś do rozmowy z Richardem o swoim pociągu do Kittredge’a... Cóż, jemu też bym nie mówiła. – Poczułem, że kładzie się za mną; musnęła moje plecy, ale była jeszcze częściowo ubrana. Delikatnie ujęła mój penis dużą dłonią.

– Robi się cie... – powiedziała.

– Cie...? – Penis mi twardniał.
– Cie...mno – uzupełniła. – Cie...nka granica oddziela noc od dnia.
– Cienka granica – powtórzyłem jak echo.
– Cie...nie snują się nad ziemią. Dwa cienie, jeden cień – ciągnęła panna Frost.
– Ach tak.
– Powiedz „cie-nie”, Williamie.
– „Cie-nie”.
– A teraz spróbuj powiedzieć „cień”.
– „Cień” – odparłem bez zastanowienia; jej dłoń, a w niej penis pochłaniały moją uwagę.
– Cień Lira, tak?
– Cień Lira – potwierdziłem. – I tak nie zagram – zaznaczyłem.
– Ale przynajmniej powiedziałaś „cień” – zauważyła.
– Cień.
– A co takiego trzymam w ręku, Williamie?
– Mój penif.
– Tego „penifa” nie zmieniałbym za nic w świecie, Williamie – odrzekła. – Możesz tak sobie mówić do upadłego.

To, co się potem zdarzyło, otworzyło mi drogę do gwiazd, gdyż panna Frost zrobiła rzecz jedyną w swoim rodzaju. Nagle przyciągnęła mnie do siebie – leżałem płasko na plecach – i pocałowała w usta. Miała na sobie stanik – nie usztywniany, jak Elaine, tylko przezroczysty, z nieco większymi miseczkami niż się spodziewałem. Materiał był cienki i bardziej jedwabisty niż miękka bawełna stanika Elaine, a do tego – w porównaniu z praktyczną bielizną z katalogów wysyłkowych matki – nie należał do kategorii treningowych, gdyż był seksowny, nawet wyrafinowany. Panna Frost miała też na sobie śliską halkę w rodzaju tych, jakie kobiety noszą pod spódnicami – w beżowym odcieniu – a gdy usiadła na mnie okrakiem, zadarła ją do połowy uda. Przygniotła mnie tak, że nie mogłem się ruszyć.

Ująłem drobną, miękką pierś jedną ręką, drugą spróbowałem wsunąć pod halkę, ale mnie powstrzymała.

– Nie, Williamie. Proszę nie dotykaj mnie tam. – Chwyciła moją zabłąkaną dłoń i przycisnęła ją do drugiej piersi.

Pod halkę poprowadziła za to mój penis. Jeszcze nigdy nie współżyłem, więc gdy poczułem to cudowne tarcie, naturalnie odniosłem wrażenie, jakbym w nią wszedł. Wśliznąłem się jak po maśle – w ogóle nie bolało, a przy tym nigdy nie byłem tak mocno ściśnięty – i gdy doszedłem, krzyknąłem prosto w jej drobne, miękkie piersi. Zdziwiłem się, że leżę z twarzą wciśniętą w jedwabisty stanik, bo umknął mi moment, gdy przestała mnie całować. (Powiedziała: „Nie, Williamie. Proszę nie dotykaj mnie tam”). Oczywiście nie mogła mnie całować i mówić zarazem).

Tyle chciałem jej powiedzieć, tyle nasuwało się pytań, ale panna Frost nie była w nastroju do rozmowy. Może znów poczuła presję czasu, tak przynajmniej sobie wmawiałem.

Przygotowała mi kąpiel; miałem nadzieję, że zdejmie resztę odzieży i wykapiemy się razem, ale niestety. Uklękła przy wannie na lwich łapach, z lwimi główkami kurków, i umyła mnie delikatnie, ze szczególną delikatnością postępując z penisem. (Nawet przemawiała do niego czule i nazwała „penifem”, aż oboje się zaśmialiśmy).

Ale bez przerwy patrzyła na zegarek.

– Spóźnienie oznacza szlaban, Williamie. A szlaban to konieczność wcześniejszych powrotów. Czyli żadnych odwiedzin w bibliotece poza godzinami. Nie chcielibyśmy tego, prawda?

Zerknąłem na jej zegarek; nie było jeszcze nawet wpół do dziesiątej. Od domu dzieliło mnie

parę minut drogi, o czym przypomniałem pannie Frost.

– Może wpadniesz na Kittredge’a i omówicie niemiecki, nigdy nic nie wiadomo, Williamie – skwitowała.

Przed wejściem do wanny dotknąłem mojego penisa: był wilgotny i jedwabisty, a na palcach został mi zapach jakby perfum. Może panna Frost użyła lubrykanta – co przypomniało mi się po latach, kiedy po raz pierwszy powąchałem mydła w płynie z oleju awokado i migdałowego. Lecz cokolwiek to było, w kąpieli zmyło się bez śladu.

– Tylko żadnego zaglądnania do archiwum, Williamie. Nie dzisiaj – zaznaczyła. Pomogła mi się ubrać, jak dziecku pierwszego dnia szkoły. Nałożyła sobie na palec kleks pasty do zębów i wepchnęła mi do ust.

– Wypłucz buzię nad umywalką – przykazała. – Chyba trafisz do drzwi; zamknę, gdy będę wychodzić. – I pocałowała mnie, długo i namiętnie, aż oparłem jej ręce na biodrach.

Przechwyciła moje dłonie, zdejmując je ze śliskiej halki do kolan i przeniosła na piersi, gdzie (jak odniosłem nieodparte wrażenie) jej zdaniem winny się znajdować. Lub uznała, że nie powinny znajdować się poniżej pasa – że „tam” nie mogę lub nie wolno mi jej dotykać.

Kiedy wchodziłem po schodach ku mętnemu światłu prześwietlającemu z foyer, przypomniałem sobie kretyńską przestrożę z dawnego apelu, jedną z bezcennych rad doktora Harlowa przy okazji sobotniej potańcówki z uczennicami żeńskiej szkoły. „Nie dotykajcie dziewcząt poniżej pasa, a wyjdzie to wam na zdrowie!”

Przecież to nie może być prawda, pomyślałem, gdy panna Frost zawołała z dołu:

– Tylko prosto do domu, Williamie. I przyjdź niedługo!

„Mamy tak niewiele czasu!”, o mało nie odkrzyknąłem – co później mi się przypomniało i co zapamiętam na zawsze, choć nawiązywałem wówczas tylko do tego, co powiedziałaaby panna Frost. To ona bowiem z jakiegoś powodu martwiła się o czas.

Po wyjściu naszła mnie przelotna myśl o biednym Atkinsie – biednym Tomku. Poczulem się głupio, że traktowałem go opryskliwie, ale chciało mi się śmiać ze swoich wcześniejszych domysłów, jakoby leciał na pannę Frost. To dopiero byłaby para jak z samowara – Atkins niezdolny do wydukania słowa „czas” i panna Frost powtarzająca je w kółko!

Minąłem lustro w ciemnym foyer, ledwie rzuciwszy na nie okiem, jednakże w świetle rozgwieżdżonej, wrześnie nocy wydało mi się, iż wyglądam doroślej (niż przed spotkaniem z panną Frost, ma się rozumieć). Lecz idąc River Street do internatu, uzmysłowiłem sobie, że z mojego odbicia nie wynikało, iż po raz pierwszy uprawiałem seks.

Za tą myślą podążyła następna, która przeszła mnie dreszczem trwogi – a może wcale go nie uprawiałem? (Znaczący, nie naprawdę, czyli bez penetracji). Następnie pomyślałem: Co też mi strzela do głowy w najprzyjemniejszy wieczór mojego żywota?

Jeszcze nie wiedziałem, że można nie uprawiać seksu (czytaj: uprawiać bez penetracji), a mimo to doświadczać niewysłowionej rozkoszy – niezrównanej do dzisiaj.

Ale co ja wiedziałem? Miałem dopiero osiemnaście lat; tamtego wieczoru z Jamesem Baldwinem w torbie mój pociąg do niewłaściwych ludzi dopiero się budził.

Świetlica w Bancroft Hall, podobnie jak inne świetlice, nosiła miano „wędzarni”; uczniowie najstarszych klas, którzy palili papierosy, mogli przesiadywać tam nad książkami. Niepalący też nie chcieli przepuścić takiej okazji, więc kisili się w smrodzie.

W tych nieustraszonych czasach nikt nie mówił o biernym paleniu – a już najmniej nasz szkolny lekarz imbecyl. Nie przypominam sobie apelu, na którym poruszono by temat „przypadłości” palenia! Doktor Harlow poświęcił swój czas i energię leczeniu nadmiernej płaczliwości u chłopców – z uporem utrzymywał, że homoseksualizm można wykorzystać w

młodym wieku.

Zdażyłem na kwadrans przed obchodem; tuż za progiem zadymionej świetlicy dopadł mnie Kittredge. Nie wiem, jaki chwyt zastosował. Później próbowałem opisać to Delacorte'owi – który *nota bene* jako błazen wypadł ponoć śpiewająco. „Wygląda mi na dźwignię – odparł między jednym a drugim płukaniem ust. – Dźwignia Kittredge'a wymiata”.

Bez względu na nazwę, nie zabolalo. Zrozumiałem tylko, że się nie wyrwę, więc nawet nie próbowałem. Tak intymny kontakt z Kittredge'em po uściskach panny Frost o mało nie zwałił mnie z nóg.

– Cześć, Nimfo. Gdzie się podziewałeś?

– W bibliotece.

– Podobno dawno wyszedłeś.

– Poszedłem do drugiej biblioteki – zaznaczyłem. – Mówiłem o miejskiej.

– Jedna biblioteka to za mało dla takiej pracowitej pszczołki jak ty, co? Herr Steiner zapowiedział nam na jutro test; stawiam bardziej na Rilkego niż Goethego, ale co ty myślisz?

Do Herr Steinera, jednego z austriackich narciarzy, chodziłem w drugiej klasie. Nie nazwałbym go złym nauczycielem ani złym człowiekiem, ale był dość przewidywalny. Kittredge nie mylił się w swoich przypuszczeniach co do Rilkego; Steiner go lubił, ale któż nie lubił tego poety? Kittredge miał problem z niemieckim, bo zawsze robił zakłady. W języku obcym nie ma miejsca na domysły, zwłaszcza w tak precyzyjnym jak niemiecki. Wiesz albo nie wiesz, i już.

– Powinieneś znać parę cytatów z Goethego, Kittredge. Na teście nie będzie tylko Rilke – ostrzegłem.

– Steiner lubi same tasiemce – poskarżył się Kittredge. – Trudno je zapamiętać.

– Krótkie zdania też są. Wszyscy je lubią, nie tylko Steiner – zauważyłem. – *Musik: Atem der Statuen*.

– Cholera! – wrzasnął Kittredge. – Ja to znam... Gadaj!

– „Muzyko: oddechu posągów”^[12] – przetłumaczyłem, ale myślałem o dźwigni, jeśli to była ona; pragnąłem trwać tak do końca świata. – I jeszcze jedno: *Du, fast noch Kind...* Znasz?

– Znowu tu zasrane dzieciństwo! – krzyknął. – Ten Rilke miał jakiś kompleks, czy co?

– „Jeszcze niemal dziecko”. Gwarantuję, że to będzie na teście, Kittredge.

– I *reine Übersteigerung!* Cholerna „czysta transcendencja”! – Ścisnął mnie mocniej. – To też!

– Co do Rilkego, dzieciństwo masz jak w banku.

– *Lange Nachmittage der Kindheit* – zaśpiewał mi do ucha Kittredge. – „Długie popołudnia dzieciństwa”. Nie dziwisz się, że to znam, Nimfo?

– Jeśli martwią cię długie zdania, nie zapomnij o tym: *Weder Kindheit noch Zukunft werben weniger*, „ani dzieciństwo, ani przyszłość się nie zmniejsza”. Pamiętasz? – spytałem.

– Kurwa! Myślałem, że to Goethe!

– To o dzieciństwie, prawda? Rilke – zakomunikowałem. *Dass ich dich fassen möcht*, objąć bym cię chciał, pomyślałem. (To był Goethe). Ale rzuciłem tylko: – *Schöpfungskraft*.

– Ożeż! – Kittredge się wściekł. – Wiem, że to Goethe.

– I nie znaczy „ożeż” – powiedziałem. Nie wiem, co zrobił z dźwignią, bo zabolalo. – Znaczą „moc twórcza”, czy coś w tym rodzaju – dodałem i ból minął, a już prawie mi się podobało. – Założę się, że nie znasz *Stossgebet*; ominęło cię w zeszłym roku.

– Ale jesteś dzisiaj śmiały, Nimfo. Co dwie biblioteki, to nie jedna, prawda? – rzucił Kittredge.

– Jak tam Delacorte i „cień Lira”, o całej reszcie nie wspominając? – spytałem.

Rozluźnił chwyt; teraz trzymał mnie prawie z czułością.

– Co to jest zasrane *Stossgebet*, Nimfo?

– Modlitwa ejakulacyjna – oznajmiłem.

– Skurwysyn – stwierdził z nietypową rezygnacją Kittredge. – Zastrany Goethe.

– W zeszłym roku miałeś też problem z *überschlechter*; mówię ku przestrodze, na wypadek gdyby Steiner chciał dorzucić przymiotnik. Chcę tylko pomóc – dodałem.

Kittredge mnie puścił.

– Chyba to znam... Znaczący „naprawdę zły”? – (Zrozumcie: przez cały czas trwania naszej niezupełnie szarpaniny i nie do końca rozmowy, byliśmy obiektem żywego zainteresowania całej sali. Kittredge niezawodnie przyciągał wzrok – a ja stałem z nim spleciony).

– Tylko nie daj się nabrać na *Demut*, dobra? – powiedziałem. – Krótkie, bo krótkie, ale to nie Goethe.

– Wiem, Nimfo – Kittredge uśmiechnął się. – *Demut* znaczący „pokora”, prawda?

– Owszem. – Zdziwiłem się, że w ogóle zna to słowo, nawet po angielsku. – Tylko pamiętaj: jeśli coś brzmi jak przysłowie lub kazanie, to raczej Goethe.

– „Starość dobre maniere zna” i inne takie bzdury, tak? – Ku mojemu zdumieniu znał to nawet po niemiecku i nie omieszkał wyrecytować: – *Das Alter ist ein höflich Mann*.

– Jest jeszcze jedno, które brzmi jak Rilke, ale to Goethe – ostrzegłem.

– To o pieprzonym pocałunku – odparł Kittredge. – Powiedz to po niemiecku, Nimfo – zażądał.

– *Der Kuss, der letzte, grausam süß* – wyrecytowałem, myśląc o szczerych pocałunkach panny Frost. Mimowolnie wyobraziłem sobie pocałunki Kittredge’a i znowu zadrzałem.

– „Pocałunek, ten ostatni, słodki okrutnie” – przetłumaczył.

– Zgadza się. Mógłbyś też powiedzieć „ostatni pocałunek ze wszystkich”, jeśli chcesz. *Die Leidenschaft bringt Leiden!* – dodałem, biorąc każde słowo do serca.

– Zastrany Goethe! – bluznął Kittredge. Wiedziałem, że tego nie zna; zgadnąć też nie mógł.

– „Namiętność przynosi cierpienie” – przetłumaczyłem.

– Uhm, mnóstwo cierpienia – potwierdził.

– Chłopaki – wtrącił jakiś palacz. – Zaraz obchód.

– W mordę kopane – odparł Kittredge. Wiedziałem, jak szybko biega lub – w razie spóźnienia – jak gładko umie się wyłgać.

– *Ein jeder Engel ist schrecklich* – rzuciłem, gdy wychodził z wędzarni.

– Rilke, tak? – spytał.

– Zgadza się. Bardzo znany – zaznaczyłem. – „Straszliwy jest każdy anioł”.

Kittredge stanął w drzwiach. Posłał mi ostatnie spojrzenie, aż struchlałem, bo zdawało mi się, że widzę olśnienie i wzgardę na jego przystojnej twarzy. Jakby nagle poznał o mnie całą prawdę: nie tylko, kim jestem i co ukrywam, ale wszystko, co czekało mnie w przyszłości. (Moją groźną *Zukunft*, jak nazwałby to Rilke).

– Ciekawy z ciebie chłopiec, prawda? – powiedział, ale puścił się biegiem, nie czekając na odpowiedź. – Załóż się, że każdy z twoich zastranych aniołów jest straszliwy! – krzyknął na odchodne.

Wiem, że poecie chodziło o coś innego, lecz moimi straszliwymi aniołami byli Kittredge, panna Frost i może biedny Tomek Atkins – któż wie, kto jeszcze do nich dołączy?

Czyż panna Frost nie przestrzegała mnie, prosząc, abym wstrzymał się z lekturą „Pani Bovary”? Co, jeśli moje straszliwe anioły, począwszy od niej samej i Jacques’a Kittredge’a („przyszłe związki”, tak to ujęła), co do jednego „nie spełnią moich oczekiwań i okażą się katastrofalne w skutkach”?

– Co się stało, Bill? – zapytał Richard Abbott, gdy wróciłem do domu. (Mama poszła już spać, a przynajmniej siedziała za zamkniętymi drzwiami sypialni, jak to często bywało). –

Wyglądasz jakbyś zobaczył ducha!

– Ducha nie – odparłem. – Ale może swoją przyszłość. – Zabiłem mu ćwieka. Poszedłem do pokoju i zamknąłem za sobą drzwi.

Usztywniany stanik Elaine jak zawsze czekał na mnie pod poduszką. Położyłem się i spoglądałem na niego długo, na próżno dopatrując się śladu straszliwych aniołów i mojej przyszłości.

Rozdział 8

DUŻY AL

Najbardziej nie znoszę okrucieństwa Kittredge'a", napisałem do Elaine tamtej jesieni.

„Ma je we krwi”, odpisała. Oczywiście nie mogłem kwestionować jej znajomości z panią Kittredge. Bliska zażyłość z tą „wstrętną kobietą” dała Elaine niezłe pojęcie o dziedziczności niektórych cech. „Kittredge może się jej wypierać, ale mówię ci, Billy, karmiła tego gnoja piersią, póki nie zaczął się golić!”.

„Niech ci będzie – odpisałem. – Lecz na jakiej podstawie sądzisz, że okrucieństwo przechodzi z pokolenia na pokolenie?”.

„A całowanie? – zapytywała w liście Elaine. – Oni całują identycznie, Billy. To też cecha dziedziczna”.

W tym samym liście napisała, że chce być pisarką; nawet w kwestii najskrytszych ambicji była wobec mnie bardziej szczerą niż ja wobec niej. Rozpoczywałem wymarzoną przygodę z panną Frost i wciąż nie powiedziałem Elaine ani słowa!

Nikommu zresztą, rzecz jasna. Zwlekałem też z dalszą lekturą Baldwina, aż uświadomiłem sobie, że znów chcę zobaczyć pannę Frost – jak najszybciej – i nie wypadało pokazać się w bibliotece nieprzygotowanym do dyskusji. Zatem czytałem dalej, ale nie zabrnąłem daleko, bo przeszkodziło mi kolejne zdanie, zaraz na początku drugiego rozdziału, po którym nie mogłem zmusić się do lektury przez cały dzień.

„Dziś rozumiem, że lekceważenie, które w stosunku do niego odczuwałem, wiązało się ściśle z lekceważeniem siebie samego”, przeczytałem. Natychmiast pomyślałem o Kittredge’u – o tym, jak moja niechęć do niego wiązała się z niechęcią do siebie za to, że mnie pociąga. Uznałem, że proza Jamesa Baldwina jest dla mnie nieco zbyt prawdziwa, ale następnego wieczoru podjąłem kolejną próbę.

Jest opis, też w drugim rozdziale, „chudych chłopaczków w opiętych dzinsach”, który wzbudził mój wewnętrzny opór; wkrótce miałem upodobnić się do nich i zabiegać o ich towarzystwo. A jednak myśl, że zagoszczą w mojej przyszłości, budziła niewypowiedzianą zgrozę.

Potem, mimo strachu, nagle znalazłem się w połowie książki i nie mogłem się oderwać. Nawet od fragmentu, że nienawiść narratora do kochanka równa jest miłości do niego i „wyrasta z tych samych korzeni”, lub że Giovanni zawsze budzi pożądanie, ale jego oddech „przyprawia o mdłości” – nie cierpiałem tych urywków, dlatego, że tak samo nienawidziłem i bałem się tych uczuć w sobie.

Pociąg do chłopców i mężczyzn również budził we mnie strach przed tym, co Baldwin nazywa „batem publicznej moralności”, lecz bardziej przeraził mnie fragment opisujący reakcję narratora na seks z kobietą – „jej piersi wprawiały mnie w wielkie przerażenie, a kiedy w nią wnikałem, myślałem, że już nigdy nie wydostanę się żywy”.

Czemu to nie przydarzyło się mnie? Tylko dlatego, że panna Frost miała małe piersi? A gdyby miała duże, czułbym strach zamiast podniecenia? I znów pojawiła się nieproszona myśl: czy naprawdę w nią wnikałem? Jeśli nie, a stanie się to następnym razem, czy poczuję wstręt zamiast rozkoszy?

Musicie zrozumieć: zanim przeczytałem „Giovanniego”, jeszcze nigdy żadna powieść mną nie wstrząsnęła, chociaż (w wieku osiemnastu lat) sięgałem po wiele książek, w większości świetnych. James Baldwin też stworzył znakomitą rzecz, a zarazem mną wstrząsnął – zwłaszcza gdy Giovanni krzyczy do kochanka: „Chcesz opuścić Giovanniego, bo ci śmierdzi. Gardzisz Giovannim, bo nie obawia się smrodu miłości”. Ten zwrot, „smród miłości”, wstrząsnął mną do głębi, aż poczułem się potwornie naiwny. Bo co ja sobie myślałem, że jak pachnie seks z

mężczyzną lub chłopcem? Czy Baldwin rzeczywiście miał na myśli smród gówna, bo czyż nie tym jedzie fiut, kiedy przetrzniesz faceta?

Zelektryzowały mnie te słowa; miałem ochotę z kimś o tym porozmawiać, i już chciałem obudzić Richarda.

Ale przypomniałem sobie, co powiedziała panna Frost. Nie byłem gotów, by porozmawiać z Richardem Abbottem o pociągu do Kittredge'a. Dlatego zostałem w łóżku; jak zwykle miałem na sobie stanik Elaine i czytałem do późna.

Przypomniałem sobie zapach na palcach, zanim wszedłem do wanny napełnionej przez pannę Frost; był to aromat awokado i migdałów, wcale nie przypominał gówna. Ale przecież panna Frost była kobietą, a jeśli w nią wszedłem, na pewno nie wszedłem w nią tam!

Moje postępy zrobiły wrażenie na pani Hadley, a że nie mogłem (lub nie chciałem) opowiedzieć jej o panie Frost, trochę zaplątałem się w wyjaśnieniach, jak opanowałem wyraz, z którym miałem problem.

– Co spowodowało przełom, Billy?

– No cóż... – zacząłem i urwałem, na modłę dziadka Harry'ego.

Oboje nie mieliśmy bladego pojęcia, jak zastosować ów „przełom” w praktyce.

Oczywiście po wyjściu od pani Hadley – znów na schodach – wpadłem na Atkinsa.

– Ach to ty, Tomku – rzuciłem zdawkowo.

– Teraz nagle „Tomku”, tak? – burknął Atkins.

– Mam dość zwyczajów tej paskudnej szkoły; a ty? – spytałem.

– Skoro o tym mówisz... – bąknął; widziałem, że jeszcze się dąsa po naszym spotkaniu w bibliotece.

– Słuchaj, przepraszam za tamto – powiedziałem. – Nie chciałem cię dobijać tym „chłopcem na posyłki”. Wybacz.

Atkins często wyglądał, jakby zaraz miał się rozsłochać. Gdyby doktor Harlow szukał chodzącego przykładu na to, co rozumiał przez „nadmierną skłonność do płaczu”, wystarczyło pstryknąć palcami i poprosić Toma Atkinsa, by rozryczał się na szkolnym apelu.

– Odniosłem wrażenie, że przeszkodziłem tobie i panie Frost... – Zawiesił znacząco głos.

– Panna Frost i ja dużo rozmawiamy o pisaniu – odparłem. – Poleca mi różne książki. Mówię, co mnie interesuje, a ona znajduje mi coś w sam raz.

– Co wypożyczyłeś ostatnio? – zapytał Tomek. – Co cię interesuje, Bill?

– Pociąg do niewłaściwych osób – odpowiedziałem. Zdziwiałem, ile odwagi dodał mi pierwszy seks. Czułem się skłonny – wręcz zmuszony – mówić rzeczy, przed którymi mi dotąd się wzbraniałem, nie tylko w obecności nieśmiałej duszyczki pokroju Tomka Atkinsa, ale i potężnej nemezis oraz zakazanej miłości w osobie Jacques'a Kittredge'a.

Fakt, z tym drugim byłem odważniejszy po niemiecku. Nie czułem się wystarczająco „ośmielony”, aby mu wyznać swoje prawdziwe myśli i uczucia; nie odważyłbym się wspomnieć przy nim o „pociągu do niewłaściwych ludzi”, nawet po niemiecku. (Co najwyżej podszyłbym się pod Goethego lub Rilkego).

Widziałem, że Atkins chce coś powiedzieć; może chodziło o „czas” w tej lub innej konfiguracji. Ale byłem w błędzie: nie mógł wykrztusić słowa „pociąg”.

– Obciąż do niewłaściwych ludzi, to coś dla mnie!

– Powiedziałem „pociąg”, Tomku.

– Nie dam rady – wyznał. – Ale bardzo mnie interesuje, naprawdę. Chętnie wypożyczyłbym tę książkę, kiedy ją przeczytasz. Bo wiesz, ja lubię książki.

– To powieść Jamesa Baldwina – odpowiedziałem.

– O miłości do Murzyna? – spytał Atkins.

– Nie. Skąd ta myśl, Tomku?

– Przecież Baldwin jest czarny, nie? Chyba że pomyliłem go z innym Baldwinem.

Oczywiście, że James Baldwin był czarny, ale wówczas o tym nie wiedziałem. Nie czytałem innych powieści tego autora, nigdy wcześniej o nim nie słyszałem. „Mój Giovanni” – egzemplarz biblioteczny – dostałem bez obwoluty, toteż nie miałem pojęcia, jak wygląda James Baldwin.

– To powieść o mężczyźnie zakochanym w innym mężczyźnie – rzuciłem ściszym tonem.

– Aha – odszepnął Atkins. – Domyśliłem się, kiedy wspomniałeś o „niewłaściwych osobach”.

– Kiedy skończę, dam ci przeczytać – obiecałem. Rzecz jasna, już skończyłem, ale chciałem przeczytać jeszcze raz i porozmawiać z panną Frost, zanim dam ją Atkinsowi; wiedziałem, że nie ma tam żadnej wzmianki, jakoby narrator był Murzynem, a biedny Giovanni jest Włochem.

Pamiętałem nawet fragment pod koniec, gdy narrator przegląda się w lustrze: „Moje ciało jest białe, kościste i suche”. Chciałem jeszcze wrócić do „Giovanniego”, wciąż pozostawałem pod wrażeniem. To pierwsza powieść od czasu „Wielkich nadziei”, którą miałem ochotę przeczytać kolejny raz.

Teraz, kiedy mam prawie siedemdziesiąt lat, śmiało mogę rzec, iż ponowna lektura niewielu powieści wzbudziła we mnie taki entuzjazm, jak za pierwszym razem – lecz ostatnio powróciłem do „Mojego Giovanniego” oraz „Wielkich nadziei”, i wciąż zachwycają mnie nie mniej niż kiedyś.

Hm, jasne, u Dickensa zdarzają się dłużyzny, ale co z tego? I kim były paryskie *les folles* w czasach pana Baldwina – raczej nie zasługiwały na miano wiarygodnych transwestytów. Na pewno nie podobały się narratorowi. „Nie potrafiłem sobie zupełnie wyobrazić, że znajdował się ktoś, kto szedł z nimi do łóżka, bo jeśli mężczyzna pragnie kobiety, to bierze sobie na pewno tę prawdziwą, a jeśli mężczyzny – to z pewnością nie ich ma na uwadze”, napisał Baldwin.

Niech będzie, domyślam się, że pan Baldwin nie miał okazji poznać dzisiejszych transseksualistów. Nie znał żadnej Donny z biustem i bez śladu zarostu, która z powodzeniem mogła uchodzić za babkę. Transseksualiści, o których mówię, nie mają w sobie śladu męskości, z wyjątkiem sprawnego penisa między nogami!

Domyślam się też, że pan Baldwin nie życzył sobie kochanki z piersiami i przyrodzeniem. Ale wiercie mi, nie mam mu za złe, że tamci mu się nie podobali – bądź co bądź, nazywał ich „wariatkami”.

Powiem tak: zostawmy *les folles* w spokoju, niech sobie będą, jakie chcą. Nie oceniajmy. Nie jesteś od nich lepszy – więc nie kpij.

Czytając niedawno „Giovanniego” po raz kolejny, nie tylko uznałem książkę za doskonałą, jak przedtem. Otóż odkryłem coś, co przeoczyłem jako osiemnastolatek. Mam na myśli fragment, gdzie Baldwin pisze: „Niestety, ludzie nie mogą wymyślać sobie przystani, kochanków i przyjaciół, tak jak nie przysługuje im prawo wymyślenia własnych rodziców”.

Owszem, to prawda. Oczywiście gdy miałem osiemnaście lat „wymyślałem” siebie non stop, nie tylko w sensie seksualnym. I nie wiedziałem, że potrzebuję „przystani” – nie wspominając o tym, jak wielu bym potrzebował i kim miałyby być.

Biedny Tomek Atkins potrzebował przystani, i to jak. Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy rozmawialiśmy, a dokładniej próbowaliśmy rozmawiać o pociągach (lub obciągach!) do niewłaściwych ludzi. Przez chwilę zdawało się, że utkniemy na schodach muzycznego skrzydła, tak jak utknieliśmy w tym, co nazwiemy umownie „wymianą zdań”.

– Czy nastąpił jakiś zwrot w twoich zaburzeniach mowy, Bill? – zagaił niezdarnie Atkins.

– Jeden. Zdaje się, że zwalczyłem problem z „cieniem”.

– Gratuluję – odparł szczerze. – Ja nie zwalczyłem żadnego... przynajmniej od pewnego

czasu.

– Przykro mi to słyszeć, Tomku – odpowiedziałem. – Musi być trudno użerać się ze słowami, które występują bez prze rwy. Właśnie takimi jak „czas”, na przykład.

– No. A ty z czym masz największy problem?

– Ze słowem na określenie pałki-zapałki – odparłem. – No wiesz, siusiaka, pistoletu, drağa, klabutonga, dziabąga, lufy, fujarki i fletu – dodałem tonem wyjaśnienia.

– Nie umiesz powiedzieć „penis”? – wyszeptał Atkins.

– Mówię „penif”.

– Przynajmniej wiadomo, o co chodzi – rzucił na pocieszenie.

– A ty, masz jakieś gorsze niż „czas”? – zapytałem.

– Żeński odpowiednik twojego „penisa”. Nawet nie próbuję, to mnie wykańcza.

– Masz na myśli „pochwę”, Tomku?

Kiwnął głową energicznie; myślałem, że zaraz wybuchnie płaczem, ale uchroniła go przed tym pani Hadley, przynajmniej chwilowo.

– Tom Atkins! – zawołała, wychylając się przez poręcz. – Słyszę cię! Jesteś spóźniony! Ja czekam!

Bez namysłu ruszył pędem w jej stronę. Na odchodne rzucił mi przyjazne, acz nieco zafasowane spojrzenie przez ramię. Usłyszałem, jak woła do pani Hadley, biegnąc po schodach.

– Przepraszam, już lecę! Straciłem poczucie czasu! – Oboje słyszeliśmy go wyraźnie.

– To mi wygląda na zwrot, Tomku! – wrzasnąłem za nim.

– Co powiedziałaś, Tomku Atkinsie? Powtórz! – zawołała pani Hadley.

– Czas! Czas! Czas! – wydarł się Atkins, ale zaraz się rozszlochał i stracił dech.

– Och, nie płacz, głuptasie! – mówiła pani Hadley. – Tomku, przestań, powinieneś się cieszyć! – Ale Atkins beczał, bo gdy raz popłynęły łzy, nie było rady. (Znałem to).

– Posłuchaj, Tom! – krzyknąłem. – Dajesz, stary! Teraz pora na „pochwę”. Wiem, że ci się uda! Jeśli pokonałeś „czas”, z „pochwą” pójdzie łatwo, zobaczysz! No dalej, Tomku! Pochwa! Pochwa! Pochwa!

– Wyrażaj się, Billy – skarciła mnie pani Hadley. Dalej kibicowałbym Atkinsowi, nie chciałem jednak, aby Martha Hadley lub inny nauczyciel w skrzydle muzycznym wlepili mi szlaban.

Miałem randkę – cholerną randkę! – z panną Frost, więc sobie darowałem i zszedłem po schodach. Płacz Atkinsa towarzyszył mi przez całą drogę do wyjścia.

Z perspektywy czasu nietrudno zgadnąć, jak się zdradziłem; bądź co bądź, nigdy nie miałem w zwyczaju kapać się i golić przed wyjściem do biblioteki. Wprawdzie rzadko mówiłem Richardowi i mamie, do której biblioteki się wybieram, mogłem jednak wziąć ze sobą Baldwina. Zostawiłem książkę pod poduszką (ze stanikiem Elaine) bo nie miałem zamiaru jej oddawać. Zamierzałem pożyczyć ją Atkinsowi, lecz najpierw chciałem spytać o zdanie pannę Frost.

– Ładnie wyglądasz, Billy – zauważyła mama, gdy wychodziłem. Prawie nigdy nie chwaliła mojego wyglądu; dawniej często mawiała, że „będę” przystojny, ale nie powtarzała tego od paru lat. Pewnie uważała, że jestem już „zbyt” przystojny, gdyż owo „ładnie” brzmiało umiarkowanie zachęcająco.

– Idziesz do biblioteki, Bill? – spytał Richard.

– Zgadza się. – Głupotą było nie wziąć ze sobą książek do niemieckiego; z powodu Kittredge’a prawie się z nimi nie rozstawałem. Lecz tamtego wieczoru do torby włożyłem tylko jeden zeszyt, to wszystko.

– Za ładnie, jak na bibliotekę – podjęła mama.

– Nie mogę wечно paradować jak cień Lira, prawda? – odparłem wyzywająco.

Popisywałem się, ale patrząc wstecz, manifestowanie świeżo nabytej pewności siebie nie było najrozsądniejszym posunięciem.

Nieco później tego samego wieczoru – dam głowę, że jeszcze siedziałem w czytelnicy – Kittredge zapukał do naszego mieszkania; byłem mu potrzebny. Matka otworzyła drzwi, lecz widząc takiego gościa, raczej nie zaprosiła go do środka.

– Richardzie! – zawołała na pewno. – Przyszedł Jacques Kittredge!

– Liczyłem na słówko z naszym ekspertem od niemieckiego. – Nie wątpię, że głos Kittredge brzmiał czarująco.

– Richardzie! – zawołała drugi raz mama.

– Idę, Perełko! – Zameldował na pewno Richard. Mieszkanie było niewielkie; matka nie miała ochoty na rozmowę z Kittredge'em, lecz z pewnością nie uroniła ani słowa z jego pogawędki z mężem.

– Jeśli szukasz eksperta od niemieckiego, Jacques, obawiam się, że poszedł do biblioteki – poinformował Richard.

– Której? – zapytał Kittredge. – Nasz ekspert działa na dwa fronty. Ostatnio przesiadywał w miejskiej. No wie pan, publicznej.

– Co Billy ma do roboty w bibliotece publicznej, Richardzie? – Niewykluczone, że spytała mama. (A przynajmniej pomyślała; z pytaniem wstrzymałaby się raczej do wyjścia Kittredge'a).

– Pewnie panna Frost dalej podsuwa mu książki do czytania – odpowiedział może Richard Abbott, wówczas lub później.

– To ja już pójdę – oznajmił przypuszczalnie Kittredge. – Prosiłbym o przekazanie ekspertowi, że test poszedł mi nieźle; jak nigdy. Z tym „namiętność przynosi cierpienie” trafił w dziesiątkę. Miał nawet rację co do „straszliwych aniołów”. Poszło cacy – zapewnił Richarda Kittredge.

– Przekażę – obiecał Richard. – Trafił w dziesiątkę i poszło cacy. Zapamiętam.

Przypuszczam, że matka znalazła już pewnie książkę w mojej sypialni. Wiedziała, że poduszka trzymam stanik Elaine; założyę się, że tam zajrzała w pierwszej kolejności.

Richard Abbott był dobrze poinformowanym facetem; całkiem możliwe, że miał pewne pojęcie, o czym jest „Mój Giovanni”. Naturalnie książki do niemieckiego – wszechobecni Goethe i Rilke – też rzucały się w oczy. Cokolwiek pochłaniało mnie w którejś bibliotece, raczej nie było to zadanie z niemieckiego. Między stronicami zaś wybornej powieści pana Baldwina tkwiły moje notatki – w tym cytaty z „Giovanniego”, ma się rozumieć. Wśród nich znalazł się na pewno „smród miłości” oraz zdanie, które przychodziło mi do głowy, ilekroć myślałem o Kittredge'u: „Wszystko we mnie krzychało »Nie!«, ale moje prawdziwe ja westchnęło »Tak«”.

Kittredge był już daleko, kiedy mama i Richard wyciągnęli odpowiednie wnioski i wezwali posiłki. Może nie panią Hadley – to znaczy, nie najpierw – ale na pewno wścibską ciotkę Muriel i znękanego wuja Boba oraz naturalnie babcię Victorię z najsławniejszym odtwórcą ról żeńskich w dziejach First Sister, dziadkiem Harrym. Kiedy wychodziłem z czytelnicy, mieli zapewne jasny obraz sytuacji i może nawet zarys planu działania, a gdy kierowałem się w stronę biblioteki publicznej, odliczanie już się rozpoczęło.

Rozmyślałem o panie Frost – zwłaszcza po przejrzaniu „Sowy” z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego. Starłem się nie zamarudzić nad ślicznym chłopcem z drużyny zapaśniczej w materiałach z tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku, a w roczniku z trzydziestego drugiego nie zwrócił mojej uwagi nikt z zapaśników. Na fotosach klubu dramatycznego z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego i trzydziestego czwartego niektórzy chłopcy-jakodziewczęta mieli przekonująco niewieści wygląd, przynajmniej na scenie, ale nie poświęciłem im

szczególnej uwagi i przegapiłem pannę Frost w ostatnim rzędzie na zdjęciach drużyny zapaśniczej z tych samych roczników.

Wstrząs czekał mnie dopiero w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym – panna Frost musiała być w ostatniej klasie. Nie było wątpliwości. Siedziała pośrodku pierwszego rzędu, ponieważ „A. Frost” był wówczas kapitanem drużyny; samo „A” widniało pod zdjęciem w cudzysłowie. Nawet w pozycji siedzącej przerastała o głowę resztę zawodników w pierwszym rzędzie; zauważyłem jej szerokie ramiona i duże dłonie tak samo, jak zauważyłbym je, gdyby była w sukience.

Jej ładna, pociągła twarz nie zmieniła się ani na jotę, ale gęste włosy były kiedyś krótko przycięte. Przeskoczyłem do portretów absolwentów. Ku mojemu zdziwieniu, Albert Frost pochodził z miasteczka First Sister w stanie Vermont – znaczy że nie mieszkał w internacie – i choć pod nazwą uczelni widniał znak zapytania, wybór ścieżki zawodowej mówił naprawdę wiele. „Proza” – w sam raz dla przyszłej bibliotekarki i przystojniaka, który miał stać się wiarygodną (choć płąską) kobietą.

Domyśliłem się, że ciotka Muriel musiała pamiętać Alberta Frosta, przystojnego kapitana drużyny zapaśniczej – w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym – i że to chłopca miała na myśli, mówiąc, że panna Frost „była” bardzo przystojna. (Albert na pewno).

W czasie krótkiego spaceru z czytelnii do miejskiej biblioteki publicznej uzmysłowiłem sobie, że wszyscy w mojej rodzinie – do której od paru lat zaliczał się Richard Abbott – musieli wiedzieć, że panna Frost przyszła na świat jako mężczyzna i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nadal nim jest. Oczywiście nikt nie raczył mnie o tym poinformować; brak otwartości stanowił u nas istną zmołę.

Kiedy stałem, patrząc na swoją przerażoną twarz w lustrze ciemnej sieni biblioteki, gdzie Tom Atkins tak niedawno mało nie dostał ataku serca, przyszło mi do głowy, że wiedzieli o tym wszyscy okoliczni mieszkańcy w pewnym wieku, a już na pewno ci powyżej czterdziestki, którzy oglądali pannę Frost w amatorskiej inscenizacji Ibsena.

Obejrzałem również zdjęcia z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego i trzydziestego czwartego, gdzie A. Frost nie była jeszcze aż tak rozłożysta i rosła. Gwoli ścisłości, nie pewnie trzymała się z tyłu; nic dziwnego, że w pierwszej chwili ją przeoczyłem.

Przeoczyłem ją też na fotosach klubu dramatycznego. Zawsze grała kobietę; obsadzano ją w różnych rolach, nosiła jednak tak niedorzeczne peruki i nieproporcjonalny biust, że jej nie poznałem. Ale chłopcy musieli mieć ubaw, widząc jak Duży Al, kapitan drużyny zapaśniczej, bryluje na scenie jako dziewczyna! A jednak, zapytana przez Richarda, czy grała, odpowiedziała: „Tylko w głowie”.

Co za stek kłamstw, myślałem roztrzęsiony, patrząc na swoje odbicie.

– Kto tam? – usłyszałem wołanie panny Frost. – To ty, Williamie? – Z jej podniesionego głosu wynikało, że jesteście sami.

– Tak, to ja, Duży Alu – odpowiedziałem.

– O matko – odparła z przesadnym westchnieniem. – Mówiłam, że mamy niewiele czasu.

– Ale sporo rzeczy nie powiedziałaś! – wykrzyknąłem.

Zobaczyłem, że w oczekiwaniu na moje przybycie zdążyła już pogasić lampy. Blask napływający z piwnicy – drzwi były otwarte – otaczał pannę Frost korzystną, miękką poświatą. Siedziała przy biurku z dłońmi splecionymi na kolanach. (Nazwałem poświatę „korzystną”, bo panna Frost wyglądała młodziej; możliwe, że sugerowałem się też zdjęciami z roczników).

– Pocałuj mnie, Williamie. Przecież nic nie stoi na przeszkodzie, prawda?

– Jesteś mężczyzną, tak? – zapytałem.

– Na litość boską, a cóż znaczy nim być? Czy Kittredge nie jest mężczyzną? Jego chcesz

pocałować. Nie chcesz już mnie całować, Williamie?

Pragnąłem zrobić z nią wszystko, ale byłem rozszalony i wściekły, a do tego czułem, że zaraz się rozplacę, co byłoby niewskazane.

– Jesteś transseksualistą! – krzyknąłem.

– Drogi chłopcze – rzuciła ostro. – Bądź łaskaw nie przypinać mi etykiety. Nie rób ze mnie kategorii, zanim mnie nie poznasz!

Gdy wstała zza biurka, zdawała się nade mną wznosić, a gdy wyciągnęła ręce, nie wahałem się ani chwili – podbiegłem i ją pocałowałem. Odwzajemniła pocałunek, bardzo mocno. Nie mogłem płakać, bo zabrakło mi tchu.

– Ojej, ojej, widzę, że nie próżnowałeś, Williamie – powiedziała, prowadząc mnie do piwnicy. – Przeczytałeś Baldwina, prawda?

– Dwa razy – wykrztusiłem.

– Już dwa! I jeszcze starczyło ci czasu na roczniki, co? Wiedziałam, że się szybko uwiniesz. Domyślam się, że chodzi o zbiorowe zdjęcie z tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku, tak? Ono zwróciło twoją uwagę, Williamie?

– Tak! – potwierdziłem nie bez wysiłku. Panna Frost zapaliła cyfrową świecę, następnie zgasiła lampkę przymocowaną do wezgłowia mosiężnego łóżka ze zdjętą narzutą.

– Nie mogłam temu zapobiec, Williamie – ciągnęła. – Nie jestem mile widziana w archiwum. A gdybyś nie zobaczył tamtego zdjęcia, ktoś oświeciłby cię prędzej czy później. Niewiarygodne, że jeszcze ci nie powiedzieli.

– Moja rodzina niewiele mi mówi – odparłem. W pośpiechu ściągałem odzież, a panna Frost zdjęła już spódnicę i rozpięła bluzkę. Korzystając z toalety, tym razem zrobiła to otwarcie.

– Tak, znam ja tę twoją rodzinę! – Roześmiała się. Zadarła halkę, po czym uniosła drewnianą deskę sedesu i wysikała się na stojąco, ale plecami do mnie. Nie widziałem jej penisa, jednak lała wartkim strumieniem, więc nie było wątpliwości.

Leżąc nago na łóżku patrzyłem jak nad umywalką myje ręce i twarz, a potem zęby. Mrugnęła do mnie w lustrze.

– Musiałaś być niezłym zapaśnikiem – powiedziałem – skoro zrobili cię kapitanem drużyny.

– Nie prosiłam się o to. Po prostu wygrywałam. Wygrywałam ze wszystkimi, więc zrobili mnie kapitanem. Czegoś takiego się nie odmawia.

– Ach tak.

– Poza tym zapasy zamykały im usta. – Panna Frost powiesiła spódnicę i bluzkę do szafy, tym razem zdjęła również stanik. – Gdy jesteś zapaśnikiem, przestają kwestionować cię... seksualnie. W pewnym sensie pomaga to zmylić trop. Jeśli wiesz, co mam na myśli, Williamie.

– Chyba tak – odpowiedziałem. Pomyślałem sobie, że ma cudne piersi: drobne, z idealnie zarysowanymi sutkami, a zarazem większe niż biust biednej Elaine. Panna Frost miała biust czternastolatki, tylko jej postura optycznie czyniła go mniejszym niż w rzeczywistości. – Kocham twoje piersi – dodałem.

– Dziękuję, Williamie. Większe nie będą, ale to cud, co potrafią zdziałać hormony. Poza tym większe chyba nie byłyby mi potrzebne – uzupełniła z uśmiechem.

– Są idealne – zapewniłem.

– Mogę cię zapewnić, że nie miałam ich jako kapitan drużyny... Byłyby nie na miejscu – dorzuciła. – Zapasy pomogły mi uniknąć zbędnych pytań również na studiach – podjęła. – Żadnych piersi, żadnego bycia kobietą, Williamie... Dopiero po studiach.

– Gdzie studiowałaś?

– Gdzieś w Pensylwanii. Na pewno nie słyzałeś o tym mieście.

– Byłaś tak dobra jak Kittredge? – zagadnąłem. Położyła się obok mnie na łóżku, lecz gdy

ujęła mój penis, patrzyłem prosto na nią.

– Kittredge nie jest taki dobry. Po prostu nie ma konkurencji. Jeśli chodzi o zapasy, Nowa Anglia nie dorasta Pensylwanii do pięt.

– Ach tak.

Dotknąłem jej halki w okolicach krocza; pozwoliła na to. Nie próbowałem wsunąć ręki pod spód, musnąłem tylko przez śliski materiał, perłowoszary, prawie w odcieniu stanika Elaine. Wspomnienie stanika nasunęło mi wizję książki pod tą samą poduszką.

„Mój Giovanni” był powieścią tak nieznośnie smutną, że nagle odechciało mi się rozmawiać o niej z panną Frost, więc zapytałem tylko:

– Chyba niełatwo być zapaśnikiem, gdy pociągają cię inni chłopcy?

– Nie było tak trudno, gdy wygrywałam. Lubię górować. Kiedy wygrywasz w zapasach, jesteś górą. W Pensylwanii gorzej mi szło, nie wygrywałam cały czas. Schodziłam do parteru częściej, niżbym chciała. Ale wtedy byłam starsza, umiałam przełknąć gorycz porażki. Za to nienawidziłam przypięcia, ale zdarzyło mi się to jedynie dwa razy... z tym samym cholernym gościem. Zapasy stanowiły moją przykrywkę, Williamie. Tacy jak my potrzebowali wówczas przykrywki. Czy z Elaine nie było tak samo? Dla mnie wyglądała na twoją przykrywkę. A może dzisiaj jest pod tym względem inaczej?

– Nie jest – szepnąłem.

– Oho, i znowu szepczemy! – odszepnęła. – Zdaje się, że szept również stanowi rodzaj przykrywki.

– Ale coś przecież studiowałaś w tej Pensylwanii, nie tylko uprawiałaś zapasy – powiedziałem. – W rubryce „zawód” napisałaś „proza”. Interesująca ścieżka kariery, prawda?

(Chyba plotłem, co mi ślina na język przyniesie, żeby nie myśleć o jej penisie).

– Studiowałam bibliotekarstwo – mówiła panna Frost, gdy dotykaliśmy się nawzajem. Nie była tak twarda jak ja, przynajmniej na razie. Mimo to jej penis wydał mi się większy od mojego, ale czasem trudno oszacować wielkość, zwłaszcza na podstawie samego dotyku i gdy nie ma się wprawy. – Uznałam, że biblioteka to dość bezpieczne i neutralne miejsce dla faceta, który chce stać się kobietą – ciągnęła. – Wiedziałam nawet, w której bibliotece chciałabym pracować: w tej samej, gdzie znajdują się roczniki, Williamie. Myślałam sobie: ależ przyjmą mnie tam z otwartymi ramionami. Byłam dobrym uczniem i bardzo dobrym zapaśnikiem, w Pensylwanii może mniej, ale w Nowej Anglii jak najbardziej. Oczywiście gdy wróciłam do First Sister jako kobieta, Akademia nie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Wara od niewiniątek! Każdy ma jakieś mrzonki, Williamie, ja też miałam. Wiedziałam, że dawna szkoła lubiła mnie jako Dużego Ala, ale nie powstało mi w głowie, że nie polubi mnie jako pannę Frost. Na odczepnego dali mi pracę tylko dlatego, że twój dziadek Harry zasiadał w radzie miasta i się za mną wstawił. W tej zapyziałej książnicy, mimo takich kwalifikacji!

– Ale dlaczego chciałaś zostać w First Sister... i pracować w Akademii, którą sama nazwałaś „paskudną szkołą”?

Miałem dopiero osiemnaście lat, lecz ani mi się śniło zostać w tej dziurze. Nie mogłem się doczekać, aż się stąd wyrwę i wyjadę gdzieś – gdziekolwiek – gdzie będę mógł uprawiać seks, z kim zechcę, z dala od krytycznych spojrzeń tych, którzy myślą, że mnie znają!

– Mam chorą matkę, Williamie. Ojciec zmarł, kiedy poszłam na Akademię; gdyby nie to, zabiłaby go pewnie moja decyzja. Ale matka niedomaga od jakiegoś czasu, z tego powodu ledwo skończyłam studia. Choruje od tak dawna, że gdyby kiedykolwiek wyzdrowiała, pewnie nie zwróciłaby na to uwagi. Jest chora w głowie, Williamie; nie widzi nawet, że jestem kobietą, albo nie pamięta, że jej synek był kiedykolwiek mężczyzną. Pewnie nawet nie pamięta, że miała synka.

– Ach tak.

– Tata pracował u twojego dziadka. Harry wiedział, że zajmuję się matką. To jedyny powód, dla którego musiałam wrócić do First Sister, bez względu na to, czy dostanę pracę w Akademii.

– Tak mi przykro – powiedziałem.

– Och, wcale nie jest źle – odparła teatralnie. – Małe miasteczka mogą cię opluwać, ale nie odwrócą się do ciebie plecami. I poznałam ciebie, Williamie. Kto wie? Może zapamiętają mnie jako stukniętą bibliotekarkę w przebraniu, dzięki której zacząłeś pisać. Bo zacząłeś, prawda?

Historia życia panny Frost bardzo mnie poruszyła. Dotykając ją przez halkę, pomyślałem o „Giovannim”, zawiniętym w stanik Elaine pod moją poduszką.

– Zachwyciła mnie powieść Baldwina. Chciałbym ją pożyczyć Tomkowi Atkinsowi. Rozmawialiśmy o tym; myślę, że mu się spodoba. Myślisz, że mogę?

– Masz ją przy sobie, Williamie? – spytała nagle. – Gdzie jest?

– W domu – odpowiedziałem. Bałem się powiedzieć, że pod poduszką – nie wspominając o tym, że w staniku Elaine.

– Nie wolno ci zostawiać w domu tej książki – ostrzegła. – Oczywiście, możesz pożyczyć ją Tomkowi. Tylko niech nie pokazuje jej współlokatorowi.

– Nie wiem, z kim mieszka w pokoju.

– Nieważne, z kim mieszka. Grunt, żeby nie pokazywał. Już mówiłam, to samo dotyczy Richarda i twojej matki. Na twoim miejscu nie mówiłbym o niej nawet dziadkowi Harry’emu.

– Dziadek wie, że lecę na Kittredge’a. Ale tylko ty wiesz, że lecę na ciebie – dodałem.

– Obyś miał rację, Williamie – szepnęła. Pochyliła się i wzięła mnie do ust, szybciej niż trwało napisanie tego zda nia. Ale powstrzymała mnie, gdy sięgnąłem pod halkę.

– Nie. Tego nie robimy.

– Chcę robić wszystko.

– Oczywiście, Williamie, ale zrobisz to z kimś innym. Nie wypada, aby chłopiec w twoim wieku robił wszystko z kimś w moim. Nie biorę odpowiedzialności za twój pierwszy raz na całego.

To powiedziawszy, znów wzięła mnie do ust i przez chwilę nie mówiliśmy nic. Ja się odezwałem:

– Nie wydaje mi się, żebyśmy ostatnio uprawiali prawdziwy seks... Mam na myśli penetrację. Robiliśmy coś innego, prawda?

– Uparłeś się na rozmowę, tak? – Położyła się obok mnie i z westchnieniem dała za wygraną.

– Ale „coś innego” chyba ci się podobało, co?

– Bardzo! – zawołałem. – Tylko zastanawiałem się nad penetracją.

– Możesz się zastanawiać do woli, Williamie, ale wybij to sobie z głowy. Nie ze mną. Nie rozumiesz? Próbuję uchronić cię przed „prawdziwym seksem”. Przynajmniej trochę. – Uśmiechnęła się.

– Ale ja nie chcę!

– Nie będę miała na sumieniu „prawdziwego seksu” z osiemnastolatkiem, Williamie. Podejrzewam, że i tak miałam na ciebie za duży wpływ! – stwierdziła. Miała rację, choć zakładałam, że przypisywała tym słowom wymowę bardziej teatralną niż proroczą – jeszcze nie wiedziałem, jakim „wpływem” (na całe moje życie) okaże się panna Frost!

Tym razem pokazała mi krem, którego użyła – dała mi powąchać swoje palce. Pachniał migdałami. Nie usiadła na mnie okrakiem; leżeliśmy twarzami do siebie, dotykając się penisami. Wciąż nie widziałem jej penisa, ale ocierała się o mnie. Potem przewróciła się na drugi bok, wzięła między uda mój członek i wcisnęła mi pośladki w brzuch. Halkę zadarła do pasa; jedną ręką ująłem jej nagą pierś, a drugą penis. Poruszała się rytmicznie, aż wytrysnąłem w jej dłoń.

Leżeliśmy potem objęci, zdawałoby się, iż trwamy tak nieskończenie długo, lecz w istocie naprawdę mieliśmy mało czasu. Lubiłem jej słuchać i kochałem dźwięk głosu, więc chyba dlatego zdawał się płynąć wolniej.

Przygotowała mi kąpiel jak za pierwszym razem, ale nie chciała się rozebrać, a gdy zaproponowałem, by wykąpała się ze mną, odparła ze śmiechem:

– Mam cię chronić, pamiętasz? Życie ci nie miłe, Williamie?

Zadowolilem się widokiem jej piersi oraz tym, że pozwoliła mi się trzymać za penisa, którego wciąż nie widziałem. Stwardniała mi w dłoni, jednak odnosiłem wrażenie, że nawet jej penis się powstrzymywał – trochę. Trudno mi to wytłumaczyć, ale byłem pewien, że panna Frost nie pozwala mu na więcej; niewykluczone, że chciała mnie chronić również i w ten sposób.

– Czy to się jakoś nazywa... to, co robiliśmy? – spytałem.

– Owszem, Williamie. Stosunek udowy. Powtórzysz?

– Udowy – odparłem bez wahania.

– Czytałam, że cieszył się popularnością wśród homoseksualistów w starożytnej Grecji – wyjaśniła. – Wprawdzie to nie moja dziedzina, ale w bibliotece mam dużo czasu na czytanie!

– A co im się w tym podobało?

– Czytałam o tym dawno temu, nie pamiętam wszystkich powodów. Może to, że jest od tyłu.

– Ale my nie mieszkamy w starożytnej Grecji – przypomniałem.

– Wierz mi, Williamie: można odbyć stosunek udowy bez dokładnego naśladowania Greków. Nie trzeba zawsze robić tego od tyłu. Można bokiem lub w innych pozycjach, nawet w misjonarskiej.

– W jakiej?

– Spróbujemy następnym razem, Williamie – obiecała szeptem. Chyba wtedy usłyszałem pierwsze skrzypnięcie na schodach do piwnicy. Panna Frost też je usłyszała albo przypadkowo wybrała właśnie ten moment, by spojrzeć na zegarek.

– Powiedziałaś Richardowi, że grałaś tylko „w głowie”. Ale widziałem zdjęcia klubu dramatycznego... Grałaś również na scenie.

– Licencja poetycka, Williamie. – Westchnęła teatralnie. – Zresztą to nie było granie, tylko przebieranki; nie nazwałabym tego teatrem! Ot, wyglupy na scenie! W tamtych czasach w Akademii jeszcze się nie pojawił Richard Abbott. Nad klubem dramatycznym nie czuwał nikt, kto wiedziałby połowę tego, co wie Nils, a Nils Borkman jest dramaturgicznym pedantem!

Schody znów skrzypnęły, co oboje usłyszeliśmy, ale, zdumiewające, ona wcale nie okazała zdziwienia.

– Czy w pośpiechu nie zapomnieliśmy przypadkiem zamknąć drzwi, Williamie? – szepnęła do mnie. – O raju... chyba zapomnieliśmy...

Mieliśmy bardzo mało czasu – o czym panna Frost dobrze wiedziała.

Gdy owego pamiętnego wieczoru w niezamkniętej bibliotece schody zaskrzypiały trzeci raz, panna Frost wstała i zawołała dźwięcznym głosem, który doceniłaby moja przyjaciółka Elaine i jej matka, pani Hadley:

– Czy to ty, Harry? Tak myślałam, że te tchórze cię przysła. To ty, prawda?

– No cóż... tak, to ja – usłyszałem potulny głos dziadka. Panna Frost stała wyprostowana jak struna, z odgiętymi w tył ramionami i małymi, ale sterczącymi piersiami wycelowanymi w drzwi. Miała dosyć długie sutki, a niewymawialne aureole dokoła onieśmiały rozmiarem srebrnych dolarówek.

Gdy mój dziadek wszedł z wahaniem do piwnicy, w niczym nie przypominał śmiałej postaci, jaką często widywałem na scenie; nie był hardą kobietą, tylko facetem – małym i łysym. I raczej nie zgłosił się na ochotnika, aby przyjść mnie ratować.

– Jestem zawiedziona, że Richard nie zebrał się sam na odwagę – oznajmiła panna Frost.

– Chciał, ale Mary mu nie pozwoliła – zaznaczył dziadek.

– Richard to skończony pantoflarz, tak jak wy wszyscy – powiedziała panna Frost. Dziadek uciekał spojrzeniem od jej nagich piersi, lecz stała jak na złość i ani myślała się ubrać. Będąc tylko w perłowej halce, stała z miną jak gdyby miała na sobie co najmniej suknię balową.

– Rozumiem, że Bob też nie mógł przyjść – ciągnęła. Dziadek Harry tylko pokijał głową. – Bobby jest kochany, ale zawsze był mięczakiem, jeszcze zanim został pantoflarzem. – Nigdy nie słyszałem, aby ktoś nazwał wujka „Bobbym”, lecz wiedziałem teraz, że Robert Fremont był szkolnym kolegą Alberta Frosta, a szkolne przezwiska rzadko wytrzymują próbę czasu. (Już nikt nie nazywa mnie Nimfą, na przykład).

Próbowałem chyłkiem wyjść z wanny, gdy panna Frost podała mi ręcznik. Co bynajmniej nie ułatwiło mi zadania.

– Powiem ci coś o ciotce Muriel, Williamie – podjęła, zasłaniając mnie własnym ciałem. – Zanim spiknęła się ze swoją „pierwszą i jedyną miłością”, wujem Bobem, gwoli ścisłości leciała na mnie. Gdybym skorzystała... Tylko sobie wyobraź! – uzupełniła na ibsenowską modłę.

– Daj spokój, Al – wtrącił dziadek Harry. – Bądź co bądź, mówisz o mojej córce.

– Muriel to zawzięta suka, Harry. Gdyby mnie bliżej poznała, może byłoby inaczej – skwitowała panna Frost. – Mną nikt nie będzie rządził, Williamie – dodała, patrząc, jak (nieporadnie) próbuję się odziać.

– No ba! – zawołał dziadek Harry. – Nikt a nikt!

– Twój dziadek to poczciwy facet, Williamie – mówiła panna Frost. – Zbudował dla mnie ten pokój. Gdy wróciłam do miasta, mama sądziła, że wciąż jestem mężczyzną. Potrzebowałam miejsca, żeby się przebrać, codziennie przed wyjściem do pracy i powrotem do domu. Można by rzec, że to dar od losu. Mnie przynajmniej jest łatwiej... że biedna mama nie zważa już na to, kim jestem lub powinnam być.

– Przydałoby się tutaj wykończyć, Al – powiedział dziadek Harry. – Kto to widział, bez ścian przy sedesie!

– Za mało miejsca na ściany – zawyrokowała panna Frost. Korzystając z toalety, tym razem nie stanęła do nas plecami. Nie miała erekcji, ale penis był imponującej wielkości – jak cała reszta postaci, prócz biustu.

– Daj spokój, Al. Wiesz, co to przyzwoitość – mitygował dziadek. – Ale to już przesada. Mam na myśli ciebie i Billa.

– Chroniła mnie! – wybuchłem. – Nie uprawialiśmy seksu. Z penetracją – dodałem.

– Jezus, Bill... nie chcę słuchać o tym, jak to robiliście! – Dziadek Harry zatkał sobie uszy.

– My tego nie robiliśmy – przypomniałem.

– Pamiętasz wieczór, Williamie, gdy Richard po raz pierwszy przyprowadził cię do biblioteki po kartę, i zaproponował mi udział w sztuce Ibsena? – spytała panna Frost.

– Oczywiście, że pamiętam!

– Myślał, że proponuje role Nory i Heddy kobiecie. Po powrocie do domu musiał porozmawiać z twoją mamą, która z pewnością wspomniała o tym siostrze, i powiedziały mu o mnie. Lecz mimo to nadal chciał mnie obsadzić! Musiały mnie zaakceptować, przynajmniej na scenie, tak jak musiały akceptować ciebie, Harry, gdy tylko grałeś. Zgadza się?

– No cóż... na scenie to co innego, prawda? – rzucił wymijająco dziadek Harry.

– Też jesteś mięczakiem, Harry – stwierdziła panna Frost.

– Dobrze ci z tym?

– Pospiesz się, Bill – ponaglił dziadek. – Musimy iść.

– Zawsze cię szanowałam, Harry.

– Ja ciebie też, Al! – odparł dziadek.

– Wiem... dlatego te cholerne sepy cię przysłały – skwitowała. – Podejdz tutaj, Williamie – rozkazała niespodziewanie. Gdy posłuchałem, przycisnęła moją głowę do nagich piersi i tak stała; na pewno czuła, jak się trzęsę. – Jeśli chce ci się płakać, zrób to w swoim pokoju, byle nie słyszeli – powiedziała. – Zamknij drzwi i zasłoń głowę poduszką. Płacz przy swojej przyjaciółce Elaine, jeśli chcesz, byle nie przy nich. Obiecuj!

– Obiecuję!

– Na razie, Harry... Chroniłam go, wiesz?

– Wierzę. A ja ciebie! – zawołał dziadek.

– Wiem o tym. – Pokiwała głową. – Ale teraz będzie ci trudniej, więc nie próbuj za wszelką cenę – dodała.

– Postaram się, Al.

– Wiem, Harry. Żegnaj, Williamie. Jak to mówią, do następnego.

Trząśnięciem się jak galareta, ale nie płakałem. Dziadek Harry wziął mnie za rękę i wyszliśmy razem z piwnicy.

– To musiała być niezła książka, Bill... ta, którą dostałeś od panny Frost – zagadnął, kiedy podążaliśmy River Street w stronę internatu.

– Owszem.

– Może sam ją przeczytam... jeśli Al mi pozwoli – dorzucił dziadek.

– Obiecałem pożyczyć ją koledze – odparłem. – Ale potem dam tobie.

– Chyba lepiej wezmę ją od panny Frost, Bill... żebyś nie miał przez to kłopotów! I tak wpadłeś po uszy, tyle ci powiem – szepnął.

– Rozumiem. – Wciąż trzymałem go za rękę. Ale nie rozumiałem, tylko błądziłem w mgle. „Rozumienie” było dopiero przede mną.

Gdy wróciliśmy do Bancroft, chłopcy z internatu nie kryli rozczarowania naszym widokiem. Pewnie spodziewali się, że przyjdę z uwielbianym Kittredge'em, a tymczasem zjawiłem się z dziadkiem – małym i łysym, w roboczym kombinezonie. Nie wyglądał na nauczyciela i nie był absolwentem Akademii: uczęszczał do Ezra Falls i nie poszedł do college'u. Nie wzbudziliśmy zainteresowania, ale dziadek miał to w nosie. Zresztą jak miałby go poznać? Ci, którzy kiedykolwiek oglądali Harry'ego Marshalla na scenie, widzieli go jako kobietę.

– Nie musisz iść ze mną na trzecie piętro – powiedziałem.

– Jeśli nie wejdziesz, będziesz musiał tłumaczyć się sam – odparł dziadek. – Miałeś dosyć wrażeń na dzisiaj, więc może zrobię to za ciebie?

– Kocham cię... – zacząłem, ale mi przerwał.

– Ja ciebie też – rzucił. – Chyba wiesz, że powiem, co trzeba, nie?

– Jasne, że wiem. – Ufałem mu i padałem z nóg; marzyłem, żeby się położyć. Chciałem wtulić twarz w stanik Elaine i płakać, tak żeby mnie nie usłyszeli.

Ale gdy weszliśmy do mieszkania, rodzinne zgromadzenie – ze wsparciem w osobie pani Hadley – już się rozeszło. Matka siedziała w sypialni za znacząco zamkniętymi drzwiami; istniała nadzieja, że „suflerować” już dzisiaj nie będzie. Powitał nas tylko Richard Abbott z miną zbitego psa.

Bez słowa (miałem gadać z tym mięczakiem?) pomaszerowałem prosto do siebie, gdzie „Mój Giovanni” czekał na mnie... na poduszce. Nie mieli prawa grzebać w pokoju, ruszać moich rzeczy, myślałem. Potem zajrzałem pod poduszkę. Perłowszary stanik Elaine Hadley zniknął.

Wróciłem do dużego pokoju, gdzie dziadek Harry jeszcze nie skończył się „tłumaczyć”, jak to nazwał.

– Gdzie się podział stanik Elaine, Richardzie? – spytałem ojczyma. – Czy mama go zabrała?

– Nie była sobą, Bill – odpowiedział Richard. – Zniszczyła stanik. Przykro mi to mówić, ale pocięła go na kawałeczki.

– Jezu.. – zaczął dziadek Harry, ale mu przerwałem.

– Nie, Richardzie – odparłem. – Właśnie, że była sobą, prawda? Nikim innym. Bo ona taka jest.

– No cóż... Bill – wtrącił dziadek. – Poduszka to słaba kryjówka. Mówię to z doświadczenia.

– Jesteście obrzydliwi – powiedziałem do Richarda, nie patrząc na dziadka; wiedział, że nie miałem jego na myśli.

– Wszyscy jesteście, Bill – odezwał się dziadek. – Zmykasz do łóżka, a ja będę cię tłumaczył, tak?

Na odchodne usłyszałem płacz mamy; wszyscy ją słyszeliśmy. Naturalnie o to chodziło – i żeby Richard przybiegł do sypialni pocieszyć, czego nie omieszkał zrobić. Porządek musiał być.

– Znam moją Mary – szepnął do mnie dziadek. – Nie chce uronić ani słowa.

– Ja też ją znam – odpowiedziałem, ale miałem dowiedzieć się dużo więcej; więcej, niż wiedziałem.

Pocałowałem dziadka w czubek łysej głowy i zrozumiałem, jak bardzo go przerosłem. Wróciłem do pokoju i zamknąłem za sobą drzwi. Nadal słyszałem szloch mamy. Wtedy podjąłem postanowienie, że nigdy nie usłyszą mojego płaczu, jak obiecałem pannie Frost.

Na poduszce leżała biblia wiedzy o homoseksualnej miłości, lecz byłem zbyt zły i zmęczony na ponowne konsultacje z Baldwinem.

Byłbym lepiej poinformowany, gdybym wrócił do fragmentu pod koniec tej cienkiej powieści, tego o „sercu stygnącym wraz z zanikiem uczucia”. Baldwin pisze: „Zastanawiająca przemiana. Znacznie straszniejsza niż wszystko, o czym kiedykolwiek czytałem, straszniejsza niż to, co potrafiłbym ująć w słowa”.

Gdybym raz jeszcze przeczytał to owego straszego wieczoru, może uświadomiłbym sobie, że panna Frost zegnała się ze mną na zawsze, a jej „do następnego” znaczyło, że jako kochankowie widzimy się po raz ostatni.

Może i dobrze się stało, że nie wróciłem wówczas do książki i o tym wszystkim nie wiedziałem. I tak miałem o czym myśleć, słysząc zza ściany wyrachowany płacz matki.

Słyszałem też nienaturalnie piskliwy głos dziadka, ale nie wiem, co mówił. Wiedziałem tylko, że zaczął mnie „tłumaczyć”, co wzbudziło we mnie emocje, jakich dotąd nie znałem.

Od tej pory, pomyślałem – w wieku osiemnastu lat, gdy leżałem w łóżku, gotując się ze złości – sam chcę odpowiadać za siebie, już nikt nie będzie tłumaczyć się za mnie!

Rozdział 9

PRZEGWIZDANE

Jak wspominałem, Elaine Hadley odsyłano „etapami”, z uwagi na pewne niejasności pomiędzy opinią publiczną miasteczka a radą szkoły. Jednakże w sprawie panny Frost obydwie strony wykazały zaskakującą jednogłośnie i została wyrzucona z dnia na dzień.

Dziadek Harry nie zasiadał już w radzie miasta, zresztą i tak pewnie niewiele by wskórał. W wypadku transseksualnej bibliotekarki, władze szkoły podzielały zdanie mieszkańców: nie doceniła łaskawości, jaką jej okazano. „Posunęła się za daleko” i „przebrała miarę”.

Wstrząs moralny i święte oburzenie nie są wyłącznie domeną zacofanych szkół oraz małych miasteczek, i panna Frost znalazła wąskie grono obrońców. Należał do nich Richard Abbott, bez względu na ciche dni, które z tej okazji zafundowała mu moja matka. Argumentował, że w obliczu młodzieńczej fascynacji tego kalibru, panna Frost uchroniła mnie przed pełnym wachlarzem ekscesów seksualnych.

Dziadek Harry, ku niewysłowionej pogardzie babci, też stanął po stronie panny Frost. Powiedział, że wykazała podziwu godną wrażliwość i opanowanie, będąc przy tym niewyczerpanym źródłem inspiracji dla miejscowych czytelników.

Nawet wujek Bob, choć naraził się na represje ze strony wzburzonej ciotki Muriel, nawoływał do pozostawienia Dużego Ala w spokoju. Martha Hadley, do której nie prze stałem chodzić, stwierdziła, że bibliotekarka podreperowała moją chronicznie nadwątloną pewność siebie. Pomogła mi nawet przewyciężyć zaburzenia mowy, spowodowane, zdaniem pani Hadley, kompleksami natury psychologicznej i seksualnej.

Gdyby ktoś chciał słuchać Toma Atkinsa, biedak pewnie też posłałby słówko za panną Frost, lecz naprawdę był o nią zazdrosny, więc po wybuchu nagonki pozostał wierny swojej naturze i nie puścił pary z ust.

Po przeczytaniu Baldwina wyznał mi jednak, że powieść wstrząsnęła nim do głębi, przy czym dowiedziałem się później, że nabawił się przez nią paru dodatkowych problemów fonetycznych. (Wśród których, nota bene, prym wiódł „smród”).

Najbardziej wygadany pośród obrońców panny Frost był pewien znany cudzoziemiec ekscentryk, co być może przyniosło odwrotny skutek od zamierzonego. Ponury leśnik, obłąkany drwal, norweski dramaturg z samobójczą żyłką – Nils Borkman we własnej osobie – wystąpił na zebraniu rady miasteczka First Sister jako „największy wielbiciel” panny Frost. (Niewykluczone, że nabruździł sobie biciem robotników, którym nie podobały się występy dziadka Harry’ego w roli kobiety – a zwłaszcza całowanie na scenie).

Zdaniem Borkmana, panna Frost to nie tylko kobieta Ibsena, czyli najlepsza i najbardziej skomplikowana pod słońcem; nawiedzony Norweg posunął się do stwierdzenia, że jest również bardziej kobieca aniżeli jakakolwiek inna napotkana przez niego mieszkanka Vermont. Bardzo możliwe, że to oburzające stwierdzenie nie dotyczyło jedynej niewiasty, pani Borkman, którą Nils poznał w Norwegii.

Rzadko widywano panią Borkman, jeszcze rzadziej zaś słyszano, co miała do powiedzenia. Prawie nikt w First Sister nie pamiętał, jak wygląda ani nawet czy – podobnie jak jej mąż – mówi z norweskim akcentem.

Tak czy inaczej, wypowiedź Norwega dokonała nieodwracalnej szkody. Mieszkańcy byli nieugięci i panna Frost napotkała twardy opór z uwagi na swoją rzekomą „kobiecość”.

– Niedobrze, Nils, niedobrze – mruzczał dziadek Harry.

– Ale co się stało, to się nie odstanie.

Dobroduszny zabijaka jest wciąż zabijaką, lecz Nils Borkman nie cieszył się sympatią

również z innych względów. Jako były biathlonista, przywiózł do południowego Vermont swoją miłość do tej dyscypliny – biegów przełajowych na nartach i strzelania, zanim to na dobre zakorzeniło się w północnowschodnich stanach. W Vermont działała już grupka zapaleńców, ale żadna spośród znanych mi osób nie biegała na nartach z naładowanym karabinem na plecach.

Nils zaszczerpił bakcyła swojemu wspólnikowi Harry'emu Marshallowi i razem zaczęli polować na nartach na jelenie. Wywiązał się swoisty myśliwski biatlon: Nils i Harry cichcem szusowali i tropili jelenie. Było to całkowicie legalne, przy czym miejscowy strażnik leśny – człek bez krzty wyobraźni – nie omieszkiał wnieść skargi.

W istocie powinien zająć się czymś, co stanowiło zasadniczą przyczynę jego frustracji. Nazywał się Chuck Beebe i prowadził punkt skupu zwierzyny – tak zwany punkt sanitarny, gdzie określał wiek jeleni i dokonywał stosownych pomiarów.

W pierwszą sobotę sezonu na jelenie, punkt skupu pękał w szwach od pań, a wiele – w razie ładnej pogody – miało na nogach buty z odkrytymi palcami. Były też inne dowody na to, że damy nie polowały na jelenie – chociażby pomalowane usta czy bluzki na ramiączkach – niemniej jednak każda zjawiała się z martwym zwierzem. Wszystkie miały uprawnienia i pozwolenie na odstrzał, ale to nie one – o czym Chuck dobrze wiedział – ubiły zwierzęta. Zrobili to ich ojcowie, bracia bądź narzeczeni, którzy właśnie polowali na kolejne. (W świetle prawa, na łebka przypadał jeden jelen).

– Gdzie strzeliłaś tego byka? – wypytywał je kolejno Chuck.

Kobiety odpowiadały mu „w górach”. Albo „w lesie”. Lub też „na polu”.

Dziadek Harry wysyłał Muriel i Mary, by zaświadczyły, że to one upolowały jego dwa pierwsze jelenie w sezonie. (Nana Victoria postawiła stanowcze weto). Wuj Bob posyłał Gerry – dopóki się nie zbuntowała. Czasem wyświadczałem tę przysługę Nilsowi Borkmanowi, podobnie jak nieuchwytna pani Borkman.

Chuck Beebe długo przymykał oko na tę bujdcę, jednakże fakt, że Nils Borkman i Harry Marshall polowali na jelenie na nartach, uderzał go jako skrajna niesprawiedliwość.

W Vermont obowiązywały dość prymitywne przepisy łowieckie – obowiązują do tej pory. Strzelanie do zwierzyny z pojazdu zmotoryzowanego jest zabronione, poza tym panuje pełna samowolka. Mamy sezon polowania z łuku, karabinu, broni czarnoprochowej. „A nóż?”, dopytywał Nils Borkman na wcześniejszym, słynnym zebraniu rady miasteczka. „A katapulta? Jest za dużo jeleni? Jest. Powinniśmy wytłuc ich więcej? Powinniśmy”.

Mamy dzisiaj za mało myśliwych; ich liczba zmniejsza się z każdym rokiem. Przez lata wynajdywano rozmaite sposoby na rozwiązanie problemu jeleni, zawsze jednak bezskutecznie. Tak czy siak, w First Sister do dzisiaj żyją ludzie pamiętający czubka, który proponował zasadzać się na jelenie z nożem bądź katapultą – chociaż Nils oczywiście żartował.

Pamiętam czasy, gdy obowiązywała zasada jednego byka na głowę, następnie byka i łani, potem byka i tylko jednej łani – na specjalne pozwolenie i pod warunkiem, że byk nie był „szpicakiem”.

– A polowanie bez ograniczeń na okazy spoza rejonu? – zaproponował kiedyś Nils Borkman. (Polowanie na okazy spoza rejonu przyjęłoby się u nas z pewnością, lecz Nils w tym wypadku też żartował).

– Nils ma europejskie poczucie humoru – podsumował dziadek Harry w obronie starego przyjaciela.

– Europejskie! – wykrzyknęła babcia z pogardą, a właściwie czymś więcej. Europejskość Borkmana znaczyła dla niej tyle samo, co chodzenie z łajnem na butach. Chociaż to i tak nic w porównaniu z jadem w słowie „panna” w kontekście bibliotekarki.

Można powiedzieć, że w wyniku nie uprawiania ze mną seksu, panna Frost została wygnana z

First Sister w stanie Vermont; podobnie jak Elaine, „odesłano” ją etapami, pierwszy to wyrzuceniu z pracy.

Już nie było jej stać na utrzymywanie chorej matki w domu rodzinnym: dom miał zostać sprzedany, co jednak nie nastąpiło od razu, więc panna Frost musiała umieścić matkę w domu opieki, zbudowanym dla miasta przez dziadka i Nilsa Borkmana.

Wygląda, że dziadek Harry i Nils dobili z nią targu, przy czym nie była to umowa na miarę tej między Akademią a panią Kittredge, na mocy której Kittredge mógł zostać w szkole pomimo tego, co zrobił. Na taką umowę panna Frost nie miała szansy.

Ilekoć spotykałem ciotkę Muriel, witała mnie na swój zwykły obłudny sposób:

– Ach cześć, Billy! Co słyszeć? Mam nadzieję, że normalne zainteresowania chłopców w twoim wieku są dla ciebie satysfakcjonujące!

Na co odpowiadałem niezmiennie:

– Nie było penetracji. Innymi słowy, tego, co większość ludzi nazywa seksem. Z mojego punktu widzenia wciąż jestem prawiczkim, ciociu.

I Muriel pewnie biegła naskarżyć matce na moje karygodne zachowanie.

Co do mamy, skazała Richarda i mnie na „ciche dni”, kompletnie nieświadoma tego, że i tak nie miałem przyjemności z nią rozmawiać. Prawdę powiedziawszy, po stokroć wolałem jej milczenie niż chroniczną dezaprobatę, poza tym zawsze mogłem zagadnąć pierwszy.

– Ach cześć, mammo! Co słyszeć? Chciałbym zaznaczyć, że panna Frost mnie nie gwałciła, tylko chroniła: ile razy mam powtarzać, że nie doszło do penetracji?

Przeważnie na tym kończyłem, bo biegła do sypialni i zamykała drzwi. „Richard!”, krzyczała, chociaż nie gadała z nim, bo wstawił się za bibliotekarką.

– Większość ludzi nie nazywa tego seksem, mammo, mówię ci – przekonywałem zza drzwi. – Panna Frost uprawiała ze mną swoistą masturbację. To ma swoją nazwę i w ogóle, ale pewnie cię to nie interesuje!

– Przestań, Billy! Przestań, przestań, przestań! – wołała. (Chyba zapominała, że ze mną też nie gada).

– Wolnego, Bill – ostrzegał Richard. – Mama jest ostatnio bardzo przewrażliwiona.

– Bardzo przewrażliwiona – powtarzałem, patrząc mu prosto w oczy, dopóki nie odwrócił wzroku.

„Uwierz mi, Williamie”, powiedziała panna Frost, gdy trzymaliśmy się za penisy. „Zaczniesz raz powtarzać, co do ciebie mówią, a przepadłeś z kretesem”.

Ale mnie było wszystko jedno, poza tym robiłem to z sentymentu.

– Nie oceniam cię, Billy – usłyszałem kiedyś od pani Hadley. – Widzę, że incydent z panną Frost pod wieloma względami wpłynął na ciebie pozytywnie.

– Pod wieloma względami – powtórzyłem. – Pozytywnie.

– Jednakże moim obowiązkiem jest poinformować cię, że w dwuznacznych sytuacjach tego rodzaju wielu dorosłych formuluje pewne oczekiwania. – Martha Hadley urwała, ja też. Miałem zamiar powtórzyć „w dwuznacznych sytuacjach tego rodzaju”, ale pani Hadley nieoczekiwanie wznowiła swój mozolny wywód. – Wielu dorosłych liczy, że okażesz to, czego jeszcze nie okazałeś, Billy.

– Liczy, że okażę co?

– Skruchę.

– Skruchę – powtórzyłem, patrząc jej prosto w oczy, dopóki nie odwróciła wzroku.

– Te powtórzenia są denerwujące, Billy.

– Prawda?

– Przykro mi, że każą ci chodzić do doktora Harlowa – dodała.
– Myśli pani, że on też liczy na moją skruchę?
– Tak sądzę, Billy.
– Dziękuję za informację.
Znów spotkałem na schodach Atkinsa.
– Tragedia – stwierdził. – Zwymiotowałem wczoraj na samą myśl.
– O czym?
– Giovannim! – wykrzyknął; przerobiliśmy ten temat, ale biedny Tomek chyba jeszcze nie skończył. – Fragment o zapachu miłości...
– Smrodzie – uściśliłem.
– Odorze. – Atkins się udławił.
– Chodzi o „smród”, Tomku.
– Fetor... – wykrztusił, wymiotując na schody.
– Jezu, Tom...
– I ta straszna kobieta z cipką jak grota! – krzyknął Atkins.
– Z czym?
– Dziewczyna... wiesz, o kim mówię, Bill.
– Chyba o to chodzi, Tomku. Ktoś, kogo kiedyś pożądał, teraz budzi jego wstręt – odpowiedziałem.
– One zalatują rybą, wiesz? – rzucił Atkins.
– Kto, kobiety?
Znowu się udławił, ale oprzytomniał.
– Ich, no wiesz.
– Pochwy, tak?
– Nie wymawiaj tego słowa! – Znowu zebrało mu się na wymioty.
– Na mnie już czas, Tomku – odpowiedziałem. – Muszę przygotować się na wizytę u doktora Harlowa.
– Pogadaj z Kittredge’em, Bill. Też każą mu tam chodzić. On umie sobie radzić z Harlowem – poinformował Atkins. Wierzyłem mu, lecz nie miałem ochoty na pogawędkę z Kittredge’em.
Ale on rzecz jasna słyszał o pannie Frost. Nie umykało mu nic, co wiązało się z seksem. Gdy któryś z uczniów dostawał szlaban, Kittredge nie tylko wiedział, co przeskrobał, ale i znał dokładny wymiar kary.
Miałem nie tylko całkowity zakaz wstępu do biblioteki miejskiej, ale i kazano mi zerwać znajomość z panną Frost – zresztą nie wiedziałem, gdzie jest, i nie znałem jej adresu. Poza tym dom wystawiono na sprzedaż; mogła już dawno się wyprowadzić.
Odrabiałem lekcje – i pisałem, jeśli cokolwiek mogłem z siebie wykrzesać – w szkolnej czytelnicy. Potem, tuż przed ciszą nocną, chyłkiem przemykałem przez wędzarnię, gdzie zarówno palacze, jak i niepalący sprawiali wrażenie dziwnie zaniepokojonych moim widokiem. Nie wiedzieli, co sądzić o mojej reputacji; chyba nie zgadzała im się z szufladką, którą mi przypisali.
Jeśli dawniej uważali mnie za żalosego pedzia, rzekoma zażyłość z Kittredge’em zabiła im ówieka. Do tego jeszcze ta historia z transseksualną bibliotekarką. Dobra, może i była facetem w przebraniu; ale, mimo że nieprawdziwa kobieta, chodziła w sukience. A może zyskałem aurę tajemniczości, choćby tylko w oczach bywalców wędzarni. Nie zapominajcie: panna Frost miała swoje lata, a dla nastolatków to nie byle co – członek stanowił rzecz drugorzędną!
Miejcie na uwadze jeszcze jedno: plotki nie interesuje zwyczajność, plotka nie dba o fakty. A to, że seksu nie uprawiałem, jest faktem – nie doszło do penetracji! Ale chłopcy z wędzarni o tym nie wiedzieli i nie daliby temu wiary. W oczach szkolnych kolegów, panna Frost i ja robiliśmy

wszystko.

Wbiegłem po schodach na drugie piętro, gdy naraz Kittredge chwycił mnie w ramiona i z rozpędu wniósł na trzecie. Urzeczeni chłopcy gapili się na nas z progów; czułem ich smutną zawiść, znajomą i żalną tęsknotę.

– Cholerka, Nimfo... jesteś mistrzem dymanka! – szepnął mi do ucha. – Kosiarzem nad kosiarzami! Dajesz, Nimfo! Czapki z głów normalnie... Mój nowy idol. Słuchajcie! – krzyknął do oniemiałych chłopców na trzecim piętrze. – Kiedy wy onaniści walicie gruchę i marzycie, żeby zaliczyć, on robi to naprawdę. Hej, ty tam – rzucił nagle pod adresem skamieniałego ze strachu młodzika o krągłym licu, trzymającego przed sobą szczoteczkę do zębów (z kleksem pasty) jakby to była czarodziejska różdżka.

– Nazywam się Trowbridge – wydukał oszołomiony chłopiec.

– Dokąd się wybierasz, Trowbridge? – spytał Kittredge.

– Idę umyć zęby – odparł tamten drżącym głosem.

– A potem, Trowbridge? – drażył Kittredge. – Będiesz łoś konika i śnił o wielkich cychach. – Ale wnosząc z przerażonej miny, Trowbridge raczej nie onanizował się w pokoju: na pewno miał współlokatora, więc unikał tego jak ognia.

– Podczas gdy ten oto młody człowiek, mój Trowbridge'u – ciągnął Kittredge, nie wypuszczając mnie z żelaznego uścisku – ten młody człowiek nie tylko wzniósł się ponad wyznaczone role. Ten oto mistrz dymanka, kosiarz nad kosiarzami – krzyczał Kittredge, potrząsając mną jak workiem kartofli – ten kogut puknął transseksualistę! Ty masz pojęcie, Trowbridge, co to znaczy?

– Nie – odparł chłopiec cichutko.

Nie wypuszczając mnie z objęć, Kittredge nonszalancko wzruszył ramionami; był to popisowy numer jego matki, który podłapała również Elaine.

– Drogi Nimfo – szepnął, niosąc mnie dalej. – Czapki z głów! – powtórzył. – Prawdziwego transseksualistę, i to w Vermont! Widywałem ich oczywiście, ale w Paryżu i w Nowym Jorku. Transwestyci w Paryżu trzymają się razem; to barwna zgraja, ale kiszą się we własnym sosie. Żałuję, że nigdy nie spróbowałem – dorzucił. – Ale coś mi mówi, że chodzą stadami. Pewnie różnica jest zasadnicza!

– Masz na myśli *les folles*? – zapytałem.

Nie mogłem przestać myśleć o *les folles*; „skrzeczając jak papugi opowiadali sobie szczegóły ostatnich afer miłosnych”, tak opisuje to Baldwin. Ale Kittredge albo nie słyszał pytania, albo zdruzgotany moim francuskim akcentem puścił je mimo uszu.

– Naturalnie transseksualiści w Nowym Jorku to zupełnie inna historia – podjął. – Ci z kolei są samotnikami, a wiele z nich to dziwki, jak sądzę. Pamiętam jedną z Siódmej Alei; dziwka, na bank. A jaka wysoka! Ponoć mają swój klub, ale nie wiem gdzie. W pojedynkę pewno lepiej się nie zapuszczać. Gdybym miał to zrobić, wybrałbym Paryż. Ale ty, Nimfo... Ty już to zrobiłeś! Jak było? – spytał niby szczerze, ale miałem się na baczości. Nigdy nie wiadomo, co mu chodzi po głowie.

– Fantastycznie – odparłem. – I nie sądzę, żeby coś mogło to pobić.

– Doprawdy – rzucił beznamiętnie Kittredge. Staliśmy przed drzwiami mieszkania mamy i Richarda, ale nie wyglądał na zmęczonego i nic nie wskazywało, że rychło mnie puści. – Domyślam się, że miała penisa – dodał. – A ty go widziałeś, dotykałeś i robiłeś z nim wszystko to, co się robi z penisem, tak?

Głos mu się zmienił, co trochę mnie zaniepokoiło.

– Prawdę mówiąc, dałem się ponieść i nie pamiętam szczegółów.

– Czyżby? – spytał cicho, ale bez emocji. Jakby z góry znał odpowiedzi na wszystkie pytania

i nudziły go one śmiertelnie. Nagle chyba zdziwił się, że mnie trzyma, albo poczuł wstręt, bo odstał mnie gwałtownie. – Wiesz, że wysłał cię na pogawędkę z Harlowem, prawda?

– Owszem. I zastanawiam się, co mu powiedzieć.

– Dobrze, że mi mówisz. Umiem się z nim obchodzić – zaczął. W jego głosie zabrzmiała dziwnie kojąca i (zarazem) obojętna nuta; wyglądało, że zamieniliśmy się rolami – dotąd ja udzielałem wskazówek, teraz on uczył mnie.

Zgodnie z obyczajem panującym w Akademii Favorite River, delikwentów przyłapanych na akcie cielesnym odsyła no do doktora Harlowa. Kittredge, który (jak mniemałem) miał bogatą przeszłość w tym względzie, umiał sobie radzić z Harlowem jak mało kto.

Uważnie słuchałem jego rad; spijałem (jak to mówią) każde słowo. Chwilami było ciężko, ponieważ uparł się wyłuszczyć mi wszystkie szczegóły niefortunnego romansu z Elaine. „Wybacz, Nimfo, jednak wolę przytoczyć konkretną sytuację”, powiedziaławszy to, przystąpił do opowieści i dowiedziałem się, że głośny orgazm Elaine doprowadził go do chwilowej utraty słuchu.

– Musisz się pokajać, Nimfo. Harlow oczekuje, że padniesz na kolana. Ale ty masz mu rzucać smaczne kąski. Spróbuj wzbudzić w tobie poczucie winy – ciągnął Kittredge. – Ale nie daj się na to złapać, tylko udawaj, że przytaczasz fragmenty powieści pornograficznej.

– Aha. Żadnej skruchy, tak?

– Właśnie. Zważ... – dodał dziwnie zmienionym tonem, którego się obawiałem. – Zważ, że twój postępek budzi moje obrzydzenie. Ale szanuję cię za odwagę: moim zdaniem miałaś do tego absolutne prawo!

Po czym, tak nagle jak chwycił mnie w ramiona na schodach, ulotnił się jak kamfora, uciekł pędem, odprowadzany tęsknym wzrokiem chłopców z trzeciego piętra. Cały on. Mogłeś mieć się na baczności, ale to za mało: tylko Kittredge decydował, kiedy zakończyć rozmowę. Często zachowywał się tak, jakby z góry wiedział, na czym stanie.

Nagle drzwi naszego mieszkania otworzyły się i ujrzałem w progu matkę z Richardem. Zapewne tkwili tam od dłuższego czasu.

– Słyszeliśmy głosy, Bill – odezwał się Richard.

– Słyszałam głos Kittredge’a... Wszędzie go poznam – dodała matka.

Rozejrzałem się po opustoszałym korytarzu.

– Macie zwidy – odpowiedziałem.

– Ja też słyszałem głos Kittredge’a, Bill – potwierdził gorączkowo Richard.

– Idźcie do lekarza... zbadajcie sobie słuch, czy coś – odparłem. Wyminąłem ich i wszedłem do dużego pokoju.

– Wiem, że jutro masz być u doktora Harlowa – podjął Richard. – Może powinniśmy o tym porozmawiać.

– Wiem, co mu robić, Richardzie. Mam to przed oczami – zapewniłem.

– Uważaj, co powiesz doktorowi Harlowowi, Billy! – krzyknęła matka.

– Na co mam uważać? Nie mam nic do ukrycia. Już nie.

– Wolnego, Bill... – Richard, jak zwykle od tego rozpoczął, ale nie pozwoliłem mu się rozgadać.

– Nie wywalili Kittredge’a za to, że uprawiał seks, prawda? Boisz się, że mnie wywalą, bo go nie uprawiałem? – zwróciłem się do matki.

– Nie bądź niemądry... – zaczęła mama, lecz jej też przerwałem.

– W czym rzecz? – zapytałem. – Kiedyś będę uprawiał seks, ile chcę... i jak chcę. Tego się boisz?

Nie odpowiedziała, ale widziałem, że ta wizja nappełniła ją trwogą. Tym razem Richard się nie

wtrącił, nie pomógł jej wybrnąć. Gdy poszedłem do pokoju i zamknąłem za sobą drzwi, przyszło mi do głowy, że być może wie o czymś, czego ja byłem nieświadomy.

Leżałem na łóżku, próbując wyobrazić sobie wszystko, czego mogłem nie wiedzieć. Pewnie chodziło o coś, co ukrywała przede mną matka, być może ku niezadowoleniu Richarda. Tłumaczyłoby to, dlaczego nie pospieszył jej na pomoc, gdy zapędziła się w kozi róg. (I nie wyjechał znowu z tym swoim „Wolnego, Bill”!).

Potem, próbując zasnąć, pomyślałem, że jeśli kiedykolwiek będę miał dzieci, powiem im wszystko. Z kolei „wszystko” nasunęło mi wspomnienie incydentu z panną Frost, którego szczegóły miałem podać na tacy Harlowowi. Szczegóły zaś podsunęły mi wizję seksu, którego nie uprawiałem. Mając tyle na głowie, oczywiście do późna nie mogłem zasnąć.

Kittredge tak dobrze przygotował mnie na spotkanie z doktorem Harlowem, że wręcz sprawiło mi zawód. Po prostu wyznałem prawdę, wykładając karty na stół. Wspomniałem nawet, że początkowo nie wiedziałem, czy uprawiałem z panną Frost rzecz powszechnie uznawaną za seks – czy w ogóle doszło do penetracji. Ostatnie słowo tak dalece zawładnęło uwagą doktora Harlowa, że przestał notować i zniecierpliwiony zapytał prosto z mostu:

– Doszło czy nie?

– Po kolei, panie doktorze. Zacznijmy od początku.

– Chcę usłyszeć wszystkie szczegóły, Bill! – zawołał.

– Oczywiście! – odparłem z ożywieniem. – Niewiedza to jeden z nich.

– Niewiedza mnie nie interesuje! – Doktor Harlow celował we mnie ołówkiem. Ale nie dałem się popędzać. Im dłużej mówiłem, tym dłużej łysy sowejebca musiał mnie słuchać.

Wszystkich nielubianych członków kadry określaliśmy w szkole mianem „łysych sowejbców”. Nie bardzo wiadomo, dlaczego tak się działo. Domyślam się, że w wypadku roczników zwanych sowami chodziło o nawiązanie do rzekomej mądrości tych ptaków – nie bez kozery mówimy bowiem „mądry jak sowa” bądź „mądra, stara sowa”, też cholera wie czemu. (Nasze kretyńskie drużyny sportowe nazywały się Łyse Orły – ku powszechnej konsternacji, no bo gdzie orłom do sów?).

– „Łysy” to zapewne analogia do obrzezanego penisa – stwierdził kiedyś pan Hadley podczas jednej z naszych wspólnych kolacji.

– Skąd ta myśl? – zdziwiła się jego żona. Pamiętam, że byliśmy z Elaine zachwyceni tą wymianą zdań, a szczególną frajdę sprawiło nam oczywiste zakłopotanie mojej mamy.

– Widzisz Martho, określenie „sowejebca” dowodzi homofobii panującej w szkołach męskich – podjął gawędziarskim tonem pan Hadley. – Chłopcy nazywają znienawidzonych nauczycieli „łysymi sowejbcami” zakładając, że najgorsi z nas to pederasty żądni igraszek z młodzieżą.

Elaine i ja zawyliśmy ze śmiechu; ależ to było zabawne! Nigdy nawet nie podejrzewaliśmy, że ta obelga może cokolwiek znaczyć!

Lecz nagle odezwała się moja mama:

– Chłopcy mówią takie świństwa, bo to dla nich chleb powszedni. Inaczej nie potrafią – powiedziała z rozgoryczeniem.

– Ale to coś znaczy, Mary – upierał się pan Hadley. – I nie wzięło się znikąd – zaznaczył.

W czasie szczegółowej pogawędki z doktorem Harlowem, śmiałem się w duchu, przypomniawszy sobie historyczne dywagacje pana Hadleya. Doktor Harlow z pewnością zasługiwał na to miano, ja zaś – celowo odwołując się do stosunku udowego – zapożyczyłem kilka spośród trafnych określeń Baldwina.

– Nie doszło do penetracji – tłumaczyłem, gdy przyszło co do czego – więc nie było „smrodu miłości”, chociaż tak chciałem!

– Smrodu miłości! – powtórzył doktor Harlow; notował zawzięcie, ale minę miał niewyraźną.
– Pewnie w życiu nie zaznam lepszego orgazmu – oznajmiłem – lecz nadal chcę robić wszystko... czyli te rzeczy, przed którymi chroniła mnie panna Frost. Przez nią chcę jeszcze bardziej, wręcz nie mogę się doczekać!

– Masz na myśli rzeczy homoseksualne, Bill? – spytał. Zobaczyłem, że poci się pod rzadkimi włosami.

– Oczywiście, ale nie tylko... Z mężczyznami i kobietami!

– Z jednymi i drugimi? – upewnił się.

– Czemu nie? Panna Frost spodobała mi się, kiedy brałem ją za kobietę. I wciąż mi się podoba, chociaż wiem, że nią nie jest.

– Czy w naszej szkole, w naszym mieście są ludzie... obojga płci... którzy też ci się podobają, Bill?

– Jasne. Czemu nie? – powtórzyłem. Doktor Harlow przestał pisać, jakby nagle go to przerosło.

– Uczniowie, Bill? – drążył.

– Jasne – odpowiedziałem. Przymknąłem oczy, żeby zrobić na nim wrażenie, lecz takiego efektu się nie spodziewałem – nagle zobaczyłem siebie w potężnym uścisku Kittredge'a; założył mi dźwignię, ale kontekst był szerszy.

– Żony nauczycieli? – podsunął niezbyt spontanicznie doktor Harlow.

Wystarczyło, że przypomniałem sobie swojskie rysy pani Hadley ponad stanikami z katalogów wysyłkowych.

– Czemu nie? – powiedziałem po raz trzeci. – Konkretnie jedna – uzupełniłem.

– Tylko jedna? – zdziwił się oględnie doktor Harlow, ale widziałem, że język go świerzbi.

Nagle doznałem olśnienia, jak zareagowałby Kittredge. Po pierwsze, zrobiłem znudzoną minę z cyklu „mam dużo do powiedzenia, ale mi się nie chce”.

Moja kariera aktorska prawie dobiegła końca. (Jeszcze tego nie wiedziałem, ale została mi tylko jedna mała rólka). Mimo to bezbłędnie oddałem wzruszenie ramion Kittredge'a i wymijające sztuczki dziadka Harry'ego.

– No cóż... – Urwałem. Zamiast mówić, nonszalancko wzruszyłem ramionami, co Kittredge odziedziczył po matce, a Elaine podpatrzyła.

– Rozumiem, Bill – rzekł doktor Harlow.

– Wątpię – odpowiedziałem.

Stary homofob zeszywniał.

– Wątpisz! – zawołał z urazą i rzucił się do spisywania tego, co usłyszał.

– Proszę mi wierzyć, doktorze Harlow – odparłem, starannie dobierając słowa. – Zacznie pan raz powtarzać, co do niego mówią, a przepadł pan z kretesem.

Tak wyglądało moje spotkanie z doktorem Harlowem, który posłał liścik mamie i Richardowi ze zwięzłą informacją o „marnych widokach na rehabilitację”. Nie sprecyzował, w czym rzecz, ograniczając się do stwierdzenia, że moje problemy seksualne to „bardziej kwestia postawy aniżeli czynów”.

A ja ograniczyłem się do stwierdzenia, że nasza rozmowa zakończyła się powodzeniem.

Biedny, dobroduszny Richard Abbott usiłował wyciągnąć ze mnie coś więcej.

– Co doktor Harlow miał na myśli, mówiąc o twojej „postawie”, Bill?

– No cóż... – Wzruszyłem ramionami. – Sądzę, że chodziło mu o widoczny brak skruchy.

– Widoczny brak skruchy – powtórzył Richard.

– Wierz mi, Richardzie – odparłem, siłąc się na władcą intonację panny Frost. – Zacznie pan raz powtarzać, co do ciebie mówią, a przepadłeś z kretesem.

Widziałem pannę Frost jeszcze tylko dwa razy i przy obu okazjach byłem na to kompletnie nieprzygotowany.

Wydarzenia, które doprowadziły do skończenia Akademii Favorite River oraz mojego wyjazdu z miasteczka, rozegrały się błyskawicznie.

Klub dramatyczny wystawił „Króla Lira” przed Świętem Dziękczynienia. Na tydzień lub dwa Richard Abbott poszedł za przykładem matki i też przestał się do mnie odzywać; chyba zraniłem jego uczucia, nie idąc na przedstawienie. Dziadek Harry spodobałby mi się jako Goneryla – na pewno bardziej niż Kittredge w podwójnej roli Edgara i Biednego Tomka.

Drugi „biedny Tomek” – Atkins – opowiadał mi, że Kittredge wywiązał się z obu ról z wyrafinowaną obojętnością, a dziadek Harry brylował jako najstarsza, wredna córki Lira.

– Jak tam Delacorte? – spytałem Atkinsa.

– Przyprawia mnie o ciarki – odparł.

– Pytam, jak wypadł w roli błazna, Tom.

– Nie był zły. Tylko naprawdę nie wiem, czemu zawsze ma minę, jakby chciał splunąć!

– Bo chce – odpowiedziałem.

Było po Święcie Dziękczynienia – drużyny dyscyplin zimowych rozpoczęły pierwsze treningi – kiedy wpadłem na Delacorte’a, który właśnie zmierzał do sali gimnastycznej. Miał rozogniony policzek i głęboko rozciągniętą dolną wargę, a w rękę dzierżył słynny kubek. (Tylko jeden; miałem nadzieję, że nie służy mu do obu celów).

– Czemu nie przyszedłeś na spektakl? – spytał. – Wiem od Kittredge’a.

– Bardzo żałuję. Ale dużo się działo.

– No, tak. Kittredge mi wspomniał. – Upił z kubka, przepłukał usta i wypluł w brudną zaspę śniegu spiętrzoną wzdłuż chodnika.

– Podobno byłeś świetnym błaznem – powiedziałem.

– Serio? – Zdziwił się. – Skąd wiesz?

– Wszyscy to mówią – skłamałem.

– Próbowałem grać, jakbym konał – rzucił z powagą. – Każda scena błazna to powolne umieranie.

– Ciekawe. Żałuję, że tego nie widziałem – powtórzyłem.

– Nie szkodzi... pewnie wypadłbyś lepiej – zapewnił Delacorte; raz jeszcze pociągnął z kubka i splunął w śnieg. – Ładna była? – spytał nagle. – Mam na myśli transseksualną bibliotekarkę.

– Tak, bardzo.

– Trudno mi to sobie wyobrazić – przyznał zmartwiony Delacorte i pobiegł na trening.

Po latach, kiedy dowiedziałem się, że umiera, często myślałem o tym, jak nazwał swą interpretację błazna. I naprawdę żałuję, że tego nie widziałem. Jak źle cię oceniłem, Delacorte – byłeś powolnym umieraniem bardziej, niż to sobie wyobrażałem!

W grudniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku dowiedziałem się od Toma Atkinsa, że Kittredge rozpowiada wszystkim, jakobym był jego „seksualnym idolem”.

– Tak ci powiedział, Tomku? – spytałem.

– Wszystkim to mówi – odparł.

– Któż wie, co naprawdę mu chodzi po głowie – skwitowałem. (Jeszcze nie przebolełem tego, jak wyjechał ze słowem „obrzydzenie” w najmniej spodziewanej chwili).

W grudniu tamtego roku zapaśnicy nie mieli u siebie żadnych rozgrywek – jeździli na zawody do innych szkół – lecz Atkins wyraził chęć pójścia ze mną na mecz. Chwilowo miałem dość – po części dlatego, że brakowało Elaine, z którą oglądałbym zapasy, a po części mydliłem sobie oczy,

że bojkotuję Kittredge'a. Atkins jednak się uwziął, dzięki czemu znów nabrałem ochoty.

Potem, w Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku przyjechała Elaine; internaty opustoszały na święta i mieliśmy prawie cały kampus dla siebie. Opowiedziałem jej o pannie Frost; miałem wprawę po sesji u doktora Harlowa i postanowiłem nadrobić lata, gdy nie byłem z przyjaciółką do końca szczerzy. Potrafiła słuchać i oszczędziła mi wyrzutów, że nie powiedziałem jej wcześniej.

Rozmawialiśmy też o Kittredge'u; wyznałem także, że leciałem kiedyś na jej matkę. (Fascynacja panią Hadley minęła, więc z tym poszło najłatwiej).

Elaine w swojej dobroci zaoferowała mi pomoc, w razie gdyby nasza mnie chęć zaaranżowania spotkania z panną Frost. Naturalnie myślałem o tym bez przerwy, jednakże panna Frost jasno dała mi do zrozumienia, iż żegnamy się raz na zawsze, a jej „do następnego” brzmiało dość oficjalnie. Nie sądziłem, by jej słowa skrywały głębszy sens i dawały nadzieję na przyszłość.

Doceniałem dobrą wolę Elaine, ale nie łudziłem się ani przez chwilę, że panna Frost da mi kolejną szansę.

- Zrozum – powiedziałem do przyjaciółki – ona naprawdę chce mnie chronić.
- Jak na twój pierwszy raz, Billy, rzeczywiście miałaś szczęście – zawyrokowała.
- Nie licząc interwencji mojej popapranej rodziny! – prychnąłem.
- Dziwne. Przecież oni nie boją się panny Frost. Chyba nie wierzyli, że mogła cię skrzywdzić.
- Co masz na myśli?
- Oni boją się czegoś, co wiąże się z tobą, Billy – stwierdziła.
- Że jestem homo lub bi, tak? Chyba na to już wpadli, a przynajmniej podejrzewają.
- Boją się czegoś, o czym jeszcze nie wiesz, Billy – oznajmiła Elaine.
- Czemu wszyscy uwzięli się i chcą mnie chronić?! – krzyknąłem.
- Panna Frost owszem – przyznała Elaine. – Co do twojej popapranej rodziny, nie byłabym taka pewna.

Moja nieokrzęsana kuzynka Gerry też przyjechała do domu na święta. Mówię „nieokrzęsana”, ale to pieszczotliwe określenie. Nie skreślajcie Gerry jako wojującej lesbijki, która nienawidziła rodziców i wszystkich heteryków; owszem, zawsze gardziła chłopcami, ale łudziłem się, że po aferze z panną Frost spojrzy na mnie łaskawszym okiem. Pech chciał, iż jeszcze parę kolejnych lat nie znosiła chłopców bez względu na orientację.

Obecnie słyszę ze wszystkich stron, że nasze społeczeństwo bardziej toleruje lesbijki i kobiety biseksualne niż gejów i biseksualistów. W naszej rodzinie, orientacja Gerry przeszła bez echa, przynajmniej na tle szumu, jaki wybuchł po incydencie z panną Frost – nie wspominając o tym, na kogo „wyrastałem” w oczach matki. Owszem, rzeczywiście kobiety traktowane są inaczej niż mężczyźni w analogicznych sytuacjach, jednakże nasza rodzina nie tyle zaakceptowała Gerry, ile po prostu machnęła na nią ręką.

Wuj Bob kochał córkę, ale był tchórzem; po części kochał ją dlatego, że miała więcej odwagi niż on. Moim zdaniem Gerry gorszyła celowo, nie żeby odgradzić się od ludzi: stała się agresywna i „nieokrzęsana”, by tym zwrócić na siebie uwagę bliskich.

Zawsze ją lubiłem, lecz zachowywałem tę sympatię dla siebie. Żałuję, że jej tego nie powiedziałem – wcześniej, zanim na to wpadłem.

W przyszłości nasze stosunki się ocieplą; dzisiaj jesteśmy zaprzyjaźnieni. Bardzo lubię Gerry – na swój sposób – lecz kiedyś nie budziła w nikim sympatii. Zabiegała wręcz o to, aby wzbudzać odrazę. Elaine jej nie znosiła, i to się miało nigdy nie zmienić – ani na jotę.

W tamte święta wróciliśmy z Elaine do starych roczników w szkolnej czytelni. Biblioteka była czynna w czasie ferii, z wyjątkiem pierwszego dnia świąt. Wielu nauczycieli lubiło tam pracować, przyjeżdżało też mnóstwo potencjalnych uczniów z rodzicami. Od trzech lat pracowałem latem jako przewodnik i oprowadzałem ich po mojej wstretnej szkole. W czasie świąt też, podobnie jak inni synowie nauczycieli. Podlegaliśmy wujowi Bobowi, odpowiedzialnemu za rozmowy kwalifikacyjne.

Gerry wpadła do czytelni, gdzie siedzieliśmy z Elaine.

– Słyszałam, że jesteś homo – rzuciła pod moim adresem, ignorując Elaine.

– Podobno – odparłem. – Ale na kobiety też lecę.

– A co mi do tego? – burknęła. – Nikt nie będzie mi wsadzał do tyłka, ani gdzie indziej.

– Nie mów hop – wtrąciła Elaine. – Mogłoby ci się spodobać, Gerry.

– Widzę, że nie jesteś w ciąży – odparowała Gerry. – Chyba że jesteś, tylko jeszcze nie widać.

– Masz dziewczynę? – spytała Elaine.

– Dałaby ci wycisk – prychnęła Gerry. – Tobie też – dodała, spojrzawszy na mnie znacząco.

Przymykałem na nią oko: córka Muriel nie miała lekko, zwłaszcza w kontekście swojej orientacji. Nie podobał mi się jej stosunek do ojca, bo zawsze lubiłem wuja Boba. Za to Elaine nie miała dla niej litości. Musiało dojść między nimi do spięcia; być może Gerry smaliła do niej cholewki lub powiedziała bądź napisała coś przykrego, gdy Elaine zaszła z Kittredge'em w ciążę.

– Mój tata cię szuka, Billy – oznajmiła Gerry. – Masz oprowadzić jakąś rodzinę. Ich dzieciak wygląda mi na takiego, co się moczy w łóżku, ale może to pedzio i będziecie mogli sobie nawzajem obciągnąć w którymś z wolnych pokoi.

– Boże, jesteś ohydna! – Elaine z niesmakiem pokręciła głową. – Myślałam, że w college'u wyjdiesz na ludzi, ale widzę, że zostałam na poziomie Ezra Falls.

– Rozumiem, że twój poziom nie przeszkodził ci rozłożyć nóg – warknęła Gerry. – Może przy okazji poproś mojego tatę o klucz uniwersalny do Tilley? – powiedziała do mnie. – Mógłbyś zakraść się do pokoju Kittredge'a i zwalić gruchę na jego łóżku. Żeby pokazać komuś pokój w internacie, musisz mieć klucz uniwersalny, nie? Weź klucz do Tilley. – I poszła, zostawiając nas w czytelni. Podobnie jak Muriel, Gerry bywała gruboskórną jędzą, lecz w przeciwieństwie do matki z pewnością niekonwencjonalną. (Może imponowała mi swoim gniewem).

– Cała popaprana rodzina gada o tobie, Billy – stwierdziła Elaine. – Tylko z tobą nie chce.

– Na to wygląda – odpowiedziałem, lecz doszedłem do wniosku, że największą winę ponoszą moja matka i Muriel – przynajmniej w kwestii rozmawiania o mnie, a nie ze mną.

– Chcesz zobaczyć pokój Kittredge'a? – spytała Elaine.

– Jeśli ty chcesz – odparłem. Jasne, że chciałem – Elaine też.

W następstwie odkrycia, że panna Frost była kapitanem drużyny zapaśniczej w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym, zatraciłem nieco zainteresowanie starymi rocznikami Akademii. Można by rzec, że utknąłem w miejscu, podobnie jak Elaine.

Moja przyjaciółka utknęła na rocznikach współczesnych; szczególnie pasjonowała ją – jak mawiała – „epoka Kittredge'a”. Namiętnie wynajdywała jego zdjęcia, młodszego, o bardziej niewinnym niż dzisiaj wyglądzie, czyli z początkowych lat jego szkolnej kariery, która po pięciu latach dobiegała wreszcie końca. Owszem, wyglądał wtedy młodziej, ale jego niewinność stała pod dużym znakiem zapytania.

Jeśli wierzyć pani Kittredge (rzekomo uwiodła go przed laty), Kittredge nie był niewinny od bardzo dawna, a już na pewno nie, kiedy wstępował na Akademię. Nawet w pierwszej klasie, gdy po raz pierwszy zjawił się w First Sister w stanie Vermont. (Nie mieściło mi się w głowie, że kiedykolwiek był niewinny). Jednakże Elaine nie ustawała w poszukiwaniach.

Nie pamiętam chłopca, który zdaniem Gerry rzekomo miał moczyć się w łóżku. Najprawdopodobniej był smarkiem o niesprecyzowanej jeszcze orientacji – ale „bi” mu nie groziło, tak mi się wydaje. Nie pamiętam też jego rodziców. Bardziej zapadła mi w pamięć rozmowa z wujem Bobem na temat klucza uniwersalnego do Tilley.

– Jasne, chcesz pokazać im Tilley... Czemu nie? – Od razu połknął haczyk. – Tylko nie pokazuj pokoju Kittredge’a. Jest nietypowy.

– Nietypowy – powtórzyłem.

– Sam zobaczysz, Billy. Pokaż im inny – poprosił.

Nie pamiętam, czyj pokój pokazałem smarkowi i jego rodzicom; była to typowa dwójka, ze wszystkimi sprzętami razy dwa – dwoma łózkami, dwoma biurkami, dwiema komodami.

– Każdy ma współlokatora? – Mama smarka też zadała to pytanie; zwykle podczas zwiedzania zadawała je większość matek.

– Tak, bez wyjątku – potwierdziłem; zgodnie z przepisami.

– Co „nietypowego” jest w pokoju Kittredge’a? – zapytała Elaine, gdy rodzina zakończyła zwiedzanie.

– Zaraz się przekonamy – odparłem. – Wuj mi nie powiedział.

– Jezu, w tej rodzinie nikt ci nic nie mówi, Billy! – wykrzyknęła Elaine.

Podzielałem jej zdanie. W czytelni miałem się zająć rokiem tysiąc dziewięćset czterdziestym. Zostało mi dwadzieścia lat i właśnie odkryłem brak materiałów z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego. Przeskoczyłem z „Sowy” z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego na rok tysiąc dziewięćset czterdziesty pierwszy i czterdziesty drugi.

Poszedłem z tym do bibliotekarza.

– Nikt nie wypożyczył „Sowy” z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego – oświadczyłem. – Musiała zostać skradziona.

Nasz bibliotekarz należał do grona zrędliwych starych kawalerów, których nazywano wówczas „niepraktykującymi homoseksualistami”. Któż mógł wiedzieć, czy „praktykowali” i czy w ogóle byli homoseksualistami? Wiedzieliśmy tylko, że mieszkają sami, ubierają się, wysławiają i jedzą ze szczególną starannością oraz mają swoje fochy, więc uważaliśmy ich za nienaturalnie zniewieściałych.

– Uczniowie nie mogą wypożyczać roczników, Billy... Kadra owszem – zaznaczył bibliotekarz; nazywał się pan Lockley.

– Kadra owszem – powtórzyłem.

– Naturalnie. – Pan Lockley przeglądał kartotekę. – Pan Fremont wypożyczył „Sowę” tysiąc dziewięćset czterdziesty rok, Billy.

– Ach tak.

Pan Fremont – Robert Fremont, rocznik tysiąc dziewięć set trzydziesty piąty, kolega z klasy panny Frost – czyli mój wujek Bob we własnej osobie. Lecz gdy zapytałem go, czy skończył z rocznikiem, bo chciałem rzucić na niego okiem, dobroduszny zwykle wuj stanął okoniem.

– Jestem pewien, że oddałem go do biblioteki – zapewnił; był poczciwym facetem, ale nie umiał kłamać. Zwykle szczerzy i prostolinijny, z niejasnych powodów zaczął kręcić.

– Pan Lockley twierdzi co innego, wujku.

– Hm, rozejrzę się, Billy, ale przysięgam, że oddałem go do biblioteki – powtórzył.

– Po co ci był potrzebny?

– Niedawno zmarł jeden z ówczesnych absolwentów. Chciałem napisać coś miłego rodzinie i szukałem inspiracji.

– Ach tak.

Wiedziałem, że biedny wuj Bob nie zostanie pisarzem: nie umiał wymyślić nic na

poczekaniu, nawet w celu ratowania własnej skóry.

– Jak się nazywał? – spytałem.

– Kto? – odparł zduszonym głosem.

– Ten zmarły, wujku.

– A wiesz, że zapomniałem!

– Ach tak.

– Znowu chachmęcą – skwitowała Elaine, gdy jej o tym powiedziałem. – Poproś Gerry, niech znajdzie rocznik i ci da. Nienawidzi swoich rodziców, nie odmówi na pewno.

– Mnie też nienawidzi – przypomniałem.

– Ale ich bardziej – stwierdziła.

Znaleźliśmy w Tilley pokój Kittredge'a i za pomocą klucza uniwersalnego od wuja Boba dostaliśmy się do środka. Pierwsze, co rzuciło się w oczy, to panujący tam ład, ale spodziewaliśmy się, że Kittredge jest schludny.

Na jedynej półce stało niewiele książek; zmieściłoby się dużo więcej. Jedyne biurko świeciło pustką, a na jedynym krześle nie zalegała odzież. Na jedynej komodzie stało tylko kilka zdjęć w ramkach, w szafie zaś – tradycyjnie bez drzwi, ani nawet zasłonki – wisiały znajome (i na oko drogie) ubrania Kittredge'a. Jedyne łóżko było starannie zaścielone: kołdra leżała równiutko, a na poduszce nie widniała ani jedna fałdka.

Pokój był jednoosobowy – Kittredge nie miał współlokatora – i na tym polegała jego „nietykowość”. Być może stanowiło to część umowy zawartej ze szkołą przez panią Kittredge, po tym gdy zaoferowała się wziąć Elaine do Europy na bezpieczną aborcję. Możliwe też, że Kittredge był uciążliwym, wrednym współlokatorem, więc nikt nie chciał z nim mieszkać, oboje uznaliśmy to jednak za mało prawdopodobne. Wielu dałoby się pokroić za ten przywilej, choćby pociągał za sobą dotkliwe represje. Nie, osobny pokój w połączeniu z ewidentnie kompulsywnym zamiłowaniem do porządku pachniał immunitetem. Kittredge dbał o swoją nietykalność, jakby (już w łonie matki) wiedział, co mu się słusznie należy.

Elaine zdenerwowała się, że w pokoju nie widniał żaden ślad ich znajomości; może spodziewała się ujrzeć swoje zdjęcie. (Przyznała, że kilka mu podarowała). Nie pytałem, czy dała Kittredge'owi jakiś swój stanik, ale tylko dlatego, że miałem nadzieję poprosić ją o następny.

Zobaczyliśmy kilka zdjęć ze szkolnej gazety oraz rocznika, przedstawiających Kittredge'a na macie. Żadnych zdjęć dziewczyn (byłych lub obecnych) ani z dzieciństwa; jeśli Kittredge miał psa, też nie pozostał po nim żaden ślad. Nie widzieliśmy też zdjęć nikogo, kto mógł być jego ojcem, a jedyna fotografia pani Kittredge pochodziła z jej przyjazdu na szkolne zawody. Najprawdopodobniej zrobiono ją po meczu – byliśmy na nim z Elaine – był to jedyny raz, gdy widziałem panią Kittredge na własne oczy. Nie przypominaliśmy sobie, aby ktoś pstrykał wówczas zdjęcia Kittredge'owi i jego mamie, ale widać musiał.

Jednocześnie zdaliśmy sobie sprawę, że czyjaś niewidzialna dłoń – zapewne Kittredge'a – wycięła twarz pani Kittredge i przykleiła ją do odzianego w trykot zapaśniczy ciała Kittredge'a, którego twarz wieńczyła zgrabne, wytworne ciało matki. Wyglądało to dość zabawnie, lecz nie było nam do śmiechu.

Sę w tym, że twarz Kittredge'a pasowała do ciała i stroju kobiety, a oblicze jego matki szło w parze z męskim ciałem (w trykocie).

– Możliwe, że to pani Kittredge zamieniła twarze na zdjęciu – powiedziałem do Elaine. (Chociaż byłem innego zdania).

– Nie – odparła stanowczo. – Tylko Kittredge mógł to zrobić. Ta kobieta nie ma krzty wyobraźni i poczucia humoru.

– Skoro tak twierdzisz – skwitowałem. (Jak już wspomniałem, nie kwestionowałem

autorytetu Elaine w kwestii pani Kittredge. No bo jak bym mógł?).

– Masz urobić Gerry i wydebić rocznik, Billy – przykazała Elaine.

Stało się to podczas świątecznego obiadu, kiedy cała rodzina spotkała się w domu dziadków na River Street. Nana Victoria przywiązywała wielką wagę do „staroświeckiej” tradycji bożonarodzeniowych obiadów.

Jak zawsze zjawili się państwo Borkman; był to jeden z nielicznych dni w roku, kiedy widywałem żonę Nilsa. Pod presją babci nazywaliśmy ją „panią” Borkman; nigdy nie poznałem jej imienia. O dziwo wszyscy zwracali się do niej w ten sposób, łącznie z mamą i ciotką Muriel – nawet wuj Bob i Richard Abbott nie mówili inaczej do „kobiety Ibsena”, którą poślubił Nils. (Nie rzuciła Nilsa, ani nie strzeliła sobie w skroń, zakładaliśmy jednak, że tylko z taką ożeniłby się Nils. Nie zdziwilibyśmy się zatem na wieść, że ma na sumieniu jakieś grzeszki).

Państwo Borkman nie mieli dzieci, więc ciotka z babcią uznały, że jest z nimi coś nie w porządku.

– Ludzie kochani – skomentowała Gerry w tamto Boże Narodzenie w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym. – A może depresja nie pozwala im mieć dzieci? Mnie rozpacz ogarnia na samą myśl, a nie jestem Norweżką i nie mam samobójczych skłonności!

Zachęcony jej szczerym wyznaniem postanowiłem zagadnąć o rocznik, który zdaniem pana Lockleya nigdy nie wrócił do biblioteki.

– Nie wiem, na co jest potrzebny twojemu tacie – powiedziałem – ale bardzo mi na nim zależy.

– Co w nim jest? – spytała.

– Pewni członkowie naszej znakomitej rodziny nie chcą, żebym go zobaczył.

– Spokojnie. Znajdę ten zaszran rocznik. Sama jestem ciekawa – zapewniła Gerry.

– Przypuszczam, że to coś delikatnej natury – dodałem.

– Ha! – krzyknęła Gerry. – Już ja to dorwę!

Powtórzyłem tę naszą rozmowę Elaine.

– Na samą myśl o seksie z Gerry robi mi się niedobrze – odparła.

Omam nie przyznałem jej racji, jednak powiedziałem coś innego. Moje prognozy seksualne skrywała mgła, a przyszłość rysowała się w cokolwiek niepewnych barwach.

– Żądza to dość konkretna sprawa. I na ogół ukierunkowana, nie sądzisz Elaine?

– Chyba tak – uznała. – Ale o co ci chodzi?

– O to, że w przeszłości moje żądze miały konkretny charakter, a pociąg do danej osoby był bardzo ukierunkowany. Ale to się zmienia. Weźmy na przykład twoje piersi: kocham je konkretnie, bo są twoje, nie chodzi tylko o ich wielkość. Te ciemne obwódki...

– Aureole – podsunęła.

– Właśnie... są boskie. I całowanie... Uwielbiam cię całować.

– Jezu, teraz mi to mówisz, Billy! – warknęła Elaine.

– Teraz to wiem. Ja się zmieniam, Elaine, choć nie do końca wiem jak. A propos, dałabyś mi drugi stanik? Matka pocięła tamten.

– Pocięła? – zdziwiła się Elaine.

– Może taki, z którego wyrosłaś, albo który ci się znudził.

– Moje głupie piersi urosły tylko trochę, nawet gdy byłam w ciąży. Chyba już nie rosną. Weź sobie tyle staników, ile chcesz, Billy.

Ktoregoś wieczoru po świętach siedzieliśmy w moim pokoju – przy otwartych drzwiach, oczywiście. Nasi rodzice pojechali na film do Ezra Falls; zaproponowali, byśmy im towarzyszyli, ale nie mieliśmy ochoty. Elaine właśnie zaczęła mnie całować, a ja pieściłem jej piersi –

zdołałem wydobyć jedną ze stanika – gdy naraz ktoś załomotał do drzwi.

– Otwieraj, Billy! – wrzeszczała Gerry. – Wiem, że twoi rodzice są w kinie z Hadleyami; moi cholerni starzy pojechali z nimi!

– Jezu, to ta straszna dziewczyna! – szepnęła Elaine. – Założę się, że ma rocznik.

Odszukanie „Sowy” nie zajęło Gerry dużo czasu. Może Bob wypożyczył ją z biblioteki, leżała jednak pod łóżkiem od strony Muriel. Ukrycie przede mną rocznika było zapewne pomysłem ciotki, ewentualnie wymyśliła to wspólnie z moją matką. Wuj Bob tylko wykonywał polecenia; panna Frost nie bez kozery nazwała go mięczakiem.

– I o co tyle hałasu? – Gerry podała mi rocznik. – Dotyczy twojego ojca... I co z tego?

– Mój tata chodził do Favorite River? – Nie mogłem uwierzyć. Wiedziałem, że w wieku piętnastu lat poszedł na Harvard, jednakże nikt nie wspomniał o Akademii. – Musiał poznać matkę tutaj, w First Sister!

– I co z tego? – powtórzyła Gerry. – Kogo obchodzi, gdzie się poznali?

Ale mama była starsza od ojca, a zatem gdy się poznali, musiał być jeszcze młodszy, niż myślałem. Jeśli skończył Favorite River w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym, a jesienią tego samego roku w wieku piętnastu lat poszedł na Harvard – w chwili jej poznania mógł mieć zaledwie dwanaście, trzynaście lat i jeszcze nie wszedł w okres dojrzewania.

– I co z tego? – powtarzała w kółko Gerry. Jak widać nie przejrzała rocznika dokładnie, ani nie widziała dokumentacji z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego, trzydziestego ósmego i trzydziestego dziewiątego, gdzie mogły znajdować się fotografie Williama Francisca Deana w wieku dwunastu, trzynastu i czternastu lat. Jak mogłem go przeoczyć? Skoro skończył szkołę w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym, po przepisowych czterech latach nauki, rozpoczął ją zapewne jesienią tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, jako jedenastolatek!

Co, jeśli mama już wówczas go znała? Ich „romans” mógł potoczyć się zupełnie inaczej, niż przypuszczałem.

– Dostrzegłaś w nim rzekomego kobieciarza? – spytałem Gerry, gdy pochylił się nad zdjęciami absolwentów.

– A kto twierdzi, że nim był? – odpowiedziała pytaniem.

– Zdawało mi się, że ty. Ale może usłyszałaś to od swojej matki.

– Nie przypominam sobie – odburknęła. – Słyszałam tylko, że był pedziem.

– Pedziem – powtórzyłem.

– Jezu, skończ z tym powtarzaniem, Billy – wtrąciła Elaine.

– Nie był pedziem – sprostowałem z urazą. – Był kobieciarzem... Mama przyłapała go na całowaniu kogoś innego!

– Uhm, może innego faceta – odparowała kuzynka. – Przynajmniej tak słyszałam, zresztą wygląda mi na ciotę.

– Na ciotę! – wykrzyknąłem.

– Według mojego taty, był pedziem jak ta lala – dodała.

– Jak ta lala – powtórzyłem.

– Błagam cię, przestań! – jęknęła Elaine.

Znaleźliśmy zdjęcie. W życiu nie widziałem tak ładnego chłopca: William Francis Dean mógł uchodzić za dziewczynę i kosztowałoby go to mniej trudu niż pannę Frost. Zrozumiałem, czemu przegapiłem go we wcześniejszych rocznikach. William Francis Dean wyglądał jak ja; miał tak znajome rysy, że musiałem prześliznąć się po nich wzrokiem, nie zwracając uwagi na jego osobę. Jako przyszlą uczelnię wskazał Harvard. Powołanie: „scena”.

– Scena – powtórzyłem. (Było to, zanim obejrzelismy inne zdjęcia; na razie, widzieliśmy

tylko ten portret).

Przezwisko Williama Francisa Deana brzmiało „Franny”.

– Franny – powiedziałem.

– Słuchaj, Billy... myślałam, że wiesz – odezwała się Gerry. – Mój tata zawsze mówił, że miałeś przegwizdane.

– Jak to?

– Istniało dużo prawdopodobieństwo, że będziesz homo – oświeciła mnie. – Po stronie matki miałeś homo geny dziadka Harry’ego, a po stronie ojca... Do cholery, spójrz tylko na niego! – Wskazała na fotografię ładnego chłopca w roczniku tysiąc dziewięćset czterdziestym. – A po stronie ojca słodkiego Franny’ego Deana! Przegwizdane, ot co – skwitowała. – Nic dziwnego, że dziadek go uwielbiał.

– Słodki Franny – powtórzyłem.

Przeczytałem skrócony życiorys Williama Francisa Deana i obejrzałem zdjęcia. W klubie dramatycznym, nie miałem wątpliwości, grał tylko role żeńskie, jako menedżer drużyny zapaśniczej – oczywiście nie walczył – sprawował pieczę nad zawodnikami, podawał im wodę, pomarańcze i spluwaczki oraz roznosił ręczniki.

– Z punktu widzenia genetyki, miałeś to jak w banku – stwierdziła Gerry. – Mój tata nie grzeszy rozumem, ale w tym wypadku przyznaję mu rację.

– Wystarczy, Gerry – wtrąciła Elaine. – Mogłabyś już iść?

– Myślisz, że nie wiem, co robiliście? – prychnęła Gerry. – Masz takie małe cycki... jeden ci wypadł, a ty nawet nie zauważyłaś.

– Odczep się od jej piersi, Gerry – warknąłem. – Dzięki, że mi powiedziałaś.

– Myślałam, że wiesz, kretynie! – krzyknęła. – W mordę, jak mogłeś nie wiedzieć, Billy? Przecież to oczywiste! Jak można być takim pedałem i nie wiedzieć?

– To niesprawiedliwe, Gerry! – wrzasnęła Elaine, ale kuzynka już poszła. Drzwi została otwarte na oścież, wyszliśmy zaraz po niej. Chcieliśmy zdążyć do biblioteki przed zamknięciem, bardzo mi zależało, by obejrzeć zdjęcia Williama Francisa Deana w pozostałych rocznikach.

Teraz wiedziałem, gdzie szukać: Franny Dean był najładniejszą dziewczyną na zdjęciach klubu dramatycznego w „Sowach” z tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego, trzydziestego ósmego oraz trzydziestego dziewiątego roku i najdelikatniejszym chłopcem na fotografiach drużyny zapaśniczej, na których nie występował z gołą klatą i w trykotach. (Nosił krawat i marynarkę, jak na menedżera drużyny przystało).

Przed pójściem do biblioteki zanieśliśmy „Sowę” z tysiąc dziewięćset czterdziestego roku na piąte piętro Bancroft Hall i schowaliśmy ją w pokoju Elaine – twierdziła, że rodzice nie ruszają jej rzeczy. Kiedyś ich przyłapała, po powrocie z Europy; chyba próbowali ustalić, czy uprawia seks z kimś innym.

Po tym incydencie porozkładała w pokoju prezerwatywy. Oczywiście dostała je od pani Kittredge. Być może państwo Hadley wzięli to za znak, że uprawia seks z całym tabunem chłopców, sądziłem jednak, że pani Hadley jest na to zbyt inteligentna. Chyba zrozumiała, że ma się trzymać z dala od pokoju córki. (I tak się stało).

Rocznik tysiąc dziewięćset czterdzieści był zatem bezpieczny. Mogliśmy z Elaine do woli sycić oczy zdjęciami słodkie go Franny’ego, ale najpierw chcieliśmy zobaczyć młodszego Williama Francisa Deana. I reszta ferii upłynęła nam na zbieraniu informacji.

Podczas tego samego świątecznego obiadu Nils Borkman wykorzystał chwilę, gdy znaleźliśmy się sam na sam, aby mi się zwierzyć.

– Twoja przyjaciółka z biblioteki, Bill... Oni ją skończą! – powiedział cicho ochryplym

głosem.

– Wykończą, tak. – Pokiwałem głową.
– Co za stereo sekstypy! – Pienił się ze złości.
– Seksualne stereotypy? – upewniłem się.
– No przecież mówię! – Odburknął. – Jaka szkoda... A miałem dla was świetne role – dorzucił szeptem. – Ale teraz panna Frost nie zagra... Te purytańskie sekstypy ukamienowałyby ją, czy coś!

– Role w czym? – spytałem.
– To amerykański Ibsen! Nowy Ibsen z waszego zacofanego Południa!
– Ale kto?
– Tennessee Williams, najważniejszy dramatopisarz od czasów Ibsena – oznajmił z nabożeństwem.

– Jaka to sztuka?
– „Lato i dym” – odparł ze wzburzeniem. – W skrytej bohaterce płonie druga kobieta.
– Rozumiem. Zagrałaby ją panna Frost, tak?
– Panna Frost byłaby doskonałą Almą! – wykrzyknął.
– Ale teraz...

Borkman wpadł mi w słowo:
– Teraz nie mam wyboru. Almę zagra pani Fremont albo nikt – mruknął posepnie. Znałem „panią Fremont” jako ciotkę Muriel.

– Muriel zagra skrytą jak nikt – rzuciłem na pocieszenie.
– Ale nie płonie, Bill – szepnął Nils.
– Rzeczywiście – przyznałem. – A ja, kogo miałem zagrać? – spytałem.
– Wciąż możesz, jeśli chcesz. To niewielka rola, nie prze szkodzi ci w domoniach zadowych.
– Zadaniach domowych – poprawiłem.
– No przecież mówię! Grasz młodego komiwojażera i w ostatniej scenie przystawiasz się do Almy.

– Czyli cioci Muriel.
– Ale nie na scenie, spokojnie! Bara-bara jest wyimaginowane, pojemny stosunek płciowy odbywa się za kulisami.

Byłem pewien, że Nils nie miał na myśl „pojemnych” stosunków, nawet za kulisami.
– Potajemny? – upewniłem się na wszelki wypadek.
– Tak, ale żadnego bara-bara z ciocią na scenie! – zapewnił z ożywieniem. – Ależ byłoby to symboliczne, gdyby Almę zagrała panna Frost!

– Sugestywne, tak?
– Sugestywne i symboliczne! – wykrzyknął. – Ale z Muriel zostanmy przy sugestywnym. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Może najpierw przeczytam sztukę... Nie wiem nawet, jak nazywa się mój bohater.
– Mam dla ciebie egzemplarz – szepnął Nils. Książka przedstawiała opłakany widok, jakby nadpobudliwy reżyser zaczytał ją na śmierć. – Nazywasz się Archie Kramer, Bill – poinformował. – Komiwojazer nosi melonik, ale w twoim wypadku możemy zbyć się po melonika!

– Pozbyć się melonika – powtórzyłem. – A co sprzedaje?
– Buty – odparł dobitnie Nils. – Na koniec bierzesz Almę do kasyna... i wypowiadasz ostatnią kwestię, Bill!

– Jaką?
– Taxi! – krzyknął Nils.

Nagle zaludniło się wokół i wszyscy zdębieli, że Borkmanowi zachciało się taksówki. Mama i Richard Abbott wpatrywali się w wysłużony egzemplarz sztuki, pewnie w obawie, że to druga część „Giovanniego”.

– Wezwać ci taksówkę, Nils? – spytał dziadek Harry. – Nie przyjechałeś samochodem?

– Nic się nie stało, Harry. Bill i ja tylko sobie gawędzimy – wyjaśnił Nils.

– „Gawędzimy”, Nils – poprawił dziadek.

– A kogo zagra dziadek Harry? – spytałem.

– Nie zaproponowałeś mi żadnej roli, Nils – Dziadek się ocknął.

– Właśnie miałem! – krzyknął Borkman. – Twój dziadek będzie świetną panią Winemiller, matką Almy – odpowiedział przebiegły reżyser.

– Jeśli ty zagrasz, to ja też – powiedziałem do dziadka. Będzie to wiosenna produkcja amatorskiej trupy, premiera poważnego dramatu, a zarazem mój ostatni występ na scenie przed wyjazdem do Europy z Tomem Atkinsem. Mój łabędzi śpiew nie zabrzmiał dla Richarda Abbotta i klubu dramatycznego, tylko dla Nilsa Borkmana i jego trupy, a matka po raz ostatni podrzuci mi kwestię.

Pomysł bardzo mi się spodobał, jeszcze przed przeczytaniem sztuki. Wystarczyło, że zerknąłem na stronę tytułową, na której Tennessee Williams zamieścił epigraf z Rilkego. Rilke stanowił argument sam w sobie. „Kto, gdybym krzyczał, usłyszałby mnie wśród zastępów anielskich?”. Zdawało się, że gdziekolwiek spojrzę, tam widzę jego straszliwe anioły. Zastanawiałem się, czy Kittredge zna ten tekst.

– W porządku, Bill. Jeśli ty zagrasz, to ja też – oznajmił dziadek Harry, i na tym stanęło.

Potem spytałem Nilsa na boku, czy ciotka Muriel i Richard Abbott zagrają Almę i Johna.

– Spokojnie, Bill. Już ich urobiłem – odparł zapalony biathlonista.

Tamtego wieczoru, gdy bieглиśmy z Elaine do biblioteki – aby jak najszybciej dostać się do czytelnicy – natknęliśmy się na ślady nart biegowych. (Obrzeża kampusu i boiska sportowe stanowiły pod nieobecność uczniów wymarzony teren łąwiecki).

Z uwagi na ferie świąteczne nie spodziewałem się zastać pana Lockleya, a jednak tam był, jak w zwykły dzień; może „niepraktykujący homoseksualista” (jak nazywano go za plecami) po prostu nie miał nic innego do roboty.

– I co, wujek Bob znalazł wypożyczony rocznik? – zapytałem.

– Pan Fremont twierdzi, że go zwrócił, ale tego nie zrobił, o ile mi wiadomo – rzekł sztywno pan Lockley.

– Przypomnę mu – obiecałem.

– Nie omieszkać – zaznaczył pan Lockley. – Pan Fremont rzadko zagląda do biblioteki.

– Nie wątpię – odparłem z uśmiechem.

Pan Lockley się nie uśmiechnął – a już na pewno nie do Elaine. Należał do grona starszych, samotnych mężczyzn i kolejne dwie dekady – gdy większość (jeśli nie wszystkie) męskie szkoły w Nowej Anglii przejdą na koedukację – okazał się dla niego ciężką próbą.

Moim zdaniem koedukacja wpłynie na uczłowieczenie szkół z internatem; oboje z Elaine mogliśmy zaświadczyć, że chłopcy traktują się lepiej nawzajem w obecności dziewcząt, i na odwrót.

Wiem, wiem – znajdują się i tacy, którzy utrzymują, że dawny system nauczania był bardziej rygorystyczny i nie powodował rozproszenia uwagi, a koedukację wprowadzono za cenę utraty „czystości”, jak powiedzą ludzie pokroju pana Lockleya. (Na ogół chodziło o czystość „akademicką”).

Tamtego świątecznego wieczoru pan Lockley ledwie skinął Elaine głową, jakby chciał powiedzieć „Dobry wieczór, niedoszła nieletnia matko. Jak leci, śmierdząca, mała ladacznico?”.

Ale nie zwróciliśmy na niego uwagi. Byliśmy sami w czytelnicy; prócz nas biblioteka świeciła pustkami. Wzywały nas stare roczniki i niebawem mieliśmy odkryć na ich kartach fascynujące rzeczy.

W „Sowie” z tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku William Francis Dean był uśmiechniętym dwunastolatkiem. W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym i trzydziestym siódmym rozbrajającym menedżerem drużyny zapaśniczej, a ponadto najładniejszą dziewczynką w klubie dramatycznym z odległej przeszłości – marne pięć lat przed moim urodzeniem.

Jeśli Franny Dean poznał starszą Mary Marshall w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym, w ówczesnej „Sowie” nie ma o tym żadnej wzmianki – podobnie jak w rocznikach z lat tysiąc dziewięćset trzydzieści osiem – trzydzieści dziewięć, gdzie menedżer wprawdzie podrośł niewiele, lecz zdecydowanie nabrał pewności siebie.

Na scenie – którą nazwał swoim „powołaniem” – przeistoczył się w porywającą femme fatale, będąc przy tym zwiewny jak rusałka.

– Przystojny, nie? – zapytał Elaine.

– Wygląda jak ty, Billy. Przystojny, ale inaczej – odparła.

– Pewnie już spotykał się z mamą – powiedziałem, gdy uporaliśmy się z ostatnią „Sową” i pędziliśmy z powrotem do Bancroft Hall. (Kiedy tata miał piętnaście lat, ona miała dziewiętnaście!).

– O ile „spotykał” to właściwe słowo – zauważyła Elaine.

– Jak to?

– Porozmawiaj z dziadkiem. Najlepiej na osobności – poradziła.

– Może najpierw spróbuję z wujem Bobem. On tak łatwo się nie wykręci – postanowiłem.

– Mam lepszy pomysł, Billy. Najpierw pogadaj z wujkiem, ale powiedz mu, że już rozmawiałeś z dziadkiem, a on wyśpiewał ci wszystko, co wie.

– Bob nie jest taki głupi – odparłem.

– Owszem, jest – zapewniła Elaine.

Zostało nam około godziny, nim państwo Hadley wrócą do mieszkania na piątym piętrze. Uznaliśmy, że z uwagi na święta wstąpią gdzieś na drinka w drodze powrotnej.

Mieliśmy wystarczająco czasu, by obejrzeć wszystkie zdjęcia słodkiego Franny’ego Deana, najładniejszego chłopca w roczniku. William Francis Dean był laską na fotosach klubu dramatycznego, a na końcu, na fotografiach z balu maturalnego, znaleźliśmy wreszcie to, czego szukaliśmy: Franny’ego w czułym uścisku z Mary Marshall, tańczących wolny kawałek. Z boku stała starsza siostra Muriel, obserwująca ich z widoczną dezaprobatą. Ach, te Winthropówny, „kobiety Winthropów”, jak nazwała je panna Frost, nadając im panięskie nazwisko nany Victorii. (Wiadomo, kto u Marshallów miał jaja).

Szybko nadarzyła się okazja, by przycisnąć wuja Boba. Zaraz następnego dnia zjawił się potencjalny uczeń z rodzicami i Bob zadzwonił z pytaniem, czy nie zabawię się w przewodnika.

Po skończonym zwiedzaniu zastałem wuja w gabinecie; był sam, sekretarki często brały wolne na czas ferii.

– Co tam, Billy? – zapytał.

– Chyba zapomniałeś, że oddałeś jednak „Sowę” z tysiąc dziewięćset czterdziestego roku do biblioteki – zacząłem.

– Zapomniałem? – zdziwił się. Widziałem, że główkuje, jak wybrnąć z tego przed Muriel.

– Rocznik sam nie wrócił do czytelnicy – odpowiedziałem. – Poza tym dziadek Harry opowiedział mi o „słodkim Frannym” Deanie, jakim to był ładnym chłopcem. Nie rozumiem tylko, jakim cudem spiknął się z mamą, a dokładniej, kiedy i dlaczego. Jak to się zaczęło?

– Franny był w porządku, Billy – odparł pospiesznie wuj Bob. – Tylko homo-nie-wiadomo, jeśli wiesz, o czym mówię.

Słyszałem już to wyrażenie – oczywiście od Kittredge’a – ale powiedziałem tylko:

– Mama się w nim zakochała?

– Był bardzo młody, kiedy się poznali; ona była cztery lata starsza, a w tym wieku to spora różnica, Billy. Zobaczyła go na przedstawieniu, jako dziewczynę, rzecz jasna. Potem on pochwalił jej strój.

– Jej strój – powtórzyłem jak echo.

– Chyba lubił dziewczęce łażki... lubił je przymierzać, Billy – dodał.

– Ach tak.

– Babcia przyłapała ich kiedyś w pokoju twojej mamy; przymierzali jej ciuchy. To była dziecinada, ale wiem od twojej cioci Muriel, że Franny przymierzał również jej rzeczy. Mary ani się obejrzała, jak wpadła po uszy, ale Franny musiał już wiedzieć, że woli chłopców. Naprawdę lubił twoją mamę, Billy, lecz najbardziej lubił jej ubrania.

– Jakoś zaszła w ciążę – zauważyłem. – Nie da się zapłodnić dziewczyny, bzykając jej ciuchy!

– Zastanów się, Billy... przebieranki, rozbieranki – rzucił Bob. – Spodziewam się, że często paradowali w bieliźnie... no wiesz...

– Trudno mi to sobie wyobrazić – przyznałem.

– Twój dziadek uwielbiał Franny’ego Deana... Chyba wierzył, że może się udać – dodał Bob.

– Nie zapominaj, że twoja matka zawsze była trochę niedojrzała...

– Trochę naiwna, tak? – przerwałem.

– Kiedy Franny był młodym chłopcem, umiała sobie z nim radzić, rozstawiała go po kątach, Billy.

– Ale potem Franny dorósł – uzupełniłem.

– Był jeszcze tamten facet, którego Franny poznał na wojnie, a potem znów się spotkali – zaczął Bob.

– Ty opowiedziałeś mi tę historię, prawda? – spytałem. – No wiesz, o tym jak wypadła mu „Pani Bovary” i przeleciał po sedesach na drugi koniec statku. Potem spotkali się w metrze; tamten wsiadł na stacji Kendall Square i wysiadł na Central Square. Powiedział do taty: „Cześć, jestem Bovary. Pamiętasz mnie?”. Jego mam na myśli. To ty opowiedziałeś mi tę historię, prawda, wujku?

– Nie, Billy. Słyszałeś ją od swojego taty, a tamten facet nie wysiadł na stacji Central Square, tylko pojechał dalej. Twój tata i on zostali parą. Może nawet dalej są. Myślałem, że wiesz to wszystko od dziadka – dodał podejrzliwie.

– Widać nie powiedział mi wszystkiego – odparłem.

Wujek ze smutkiem wbił wzrok w posadzkę.

– Jak poszło oprowadzanie, Billy? – zagadnął z lekkim roztargnieniem. – Myślisz, że chłopak się nadaje?

Oczywiście nie pamiętałem ani chłopaka, ani jego rodziców.

– Dzięki za wszystko, wujku. – Naprawdę lubiłem człowieka i zrobiło mi się go żal. – Jesteś w porządku! – zawołałem, wybiegając z gabinetu.

Wiedziałem, gdzie szukać dziadka; był dzień powszedni, więc nie siedział w domu pod pantoflem babci Victorii. Harry Marshall nie miał ferii świątecznych, pracował w tartaku i tam go znalazłem.

Powiedziałem mu, że widziałem tatę w rocznikach Akademii i że wuj Bob wyśpiewał wszystko o słodkim Frannym, który lubił przymierzać ubrania mamy – a podobno nawet cioci

Muriel!

Ale o co chodziło z tą jego wizytą – kiedy byłem chory na szkarlatynę? Jak to możliwe, że właśnie on opowiedział mi historię o żołnierzu, którego poznał na statku w czasie sztormu na Atlantyku? Transportowiec właśnie wypłynął na pełne morze – zmierzał do Włoch z Hampton Roads w stanie Wirginia – kiedy tata zawarł pamiętną znajomość na sedesie z wielbicielem „Pani Bovary”.

– Co to był za jeden? – spytałem dziadka Harry’ego.

– Mowa o „kimś innym”, kogo całował twój tata – odpowiedział dziadek. – Miałeś szkarlatynę, Bill. Tata dowiedział się, że jesteś chory i chciał cię zobaczyć. Przy czym, jak go znam, postanowił rzucić też okiem na Richarda – dodał. – Pewnie chciał sprawdzić, czy jesteś w dobrych rękach. Franny nie był złym facetem, Bill... On po prostu tak naprawdę nie był facetem!

– I nikt mi nie powiedział – odparłem.

– No cóż... raczej nie jesteśmy z tego dumni, Bill! – Dziadek pokiwał głową. – Po prostu tak wyszło. To był wielki cios dla twojej mamy. Biedna Mary nie rozumiała sensu przebieranek. Chyba myślała, że Franny z tego wyrośnie.

– A Bovary? – zapytałem.

– No cóż... spotykasz wiele osób, Bill – rzekł dziadek Harry. – O niektóre ocierasz się tylko, nic więcej, ale czasem staje przed tobą miłość twojego życia. I wtedy jest inaczej.

Jeszcze tylko dwa razy spotkam pannę Frost. Jeszcze nie wiedziałem o długofalowych skutkach konfrontacji z „miłością swojego życia” – ale to się miało wkrótce zmienić.

Rozdział 10

JEDEN CHWYT

Moje przedostatnie spotkanie z panną Frost odbyło się na meczu zapaśniczym – na zawodach międzyszkolnych w Akademii Favorite River w styczniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku. Było to pierwsze spotkanie u nas w tym sezonie – poszedłem z Tomem Atkinsem. Sala zapaśnicza – dawniej jedyna sala gimnastyczna na terenie Akademii – mieściła się w starym, ceglanym budynku złączonym z nowocześniejszą, większą salą krytym, ale nieogrzewanym betonowym przejściem.

Salę otaczała zawieszona nad podłogą drewniana bieżnia; uczniowie, by obejrzyć zapasy siadali na deskach, przytrzymując się środkowego pręta żelaznej barierki. Tamtej soboty Tom Atkins i ja też obserwowaliśmy widocznych w dole zapaśników.

Mata, stół prowadzącego zapis oraz ławki obu drużyn zajmowały większość sali. Na jednym końcu pomieszczenia stały ukośne trybuny z kilkunastoma tylko rzędami krzesel. Uczniowie nazywali je miejscami dla „staruchów”. Siadali tam nauczyciele, rodzice przyjeżdżający z wizytą oraz mieszkańcy First Sister, którzy regularnie oglądali zapasy. Siedziała tam również pani Kittredge, kiedy Elaine i ja obserwowaliśmy ją z wysokości bieżni.

Wspominałem ów dzień, gdy naraz Tom Atkins i ja zobaczyliśmy pannę Frost. Siedziała w pierwszym rzędzie, jak najbliżej maty. (Pani Kittredge usiadła w ostatnim, jakby dla zaznaczenia swojej rezerwy wobec prozy ludzkich zmagania).

– Patrz, kto przyszedł, Bill... w pierwszym rzędzie. Widzisz ją? – spytał Atkins.

– Wiem, Tom. Widzę – odpowiedziałem. Od razu zadałem sobie pytanie, czy panna Frost często (może zawsze?) bywa na rozgrywkach. Jeśli tak, to jak to możliwe, że Elaine i ja nie zwróciliśmy na nią uwagi? Była nie tylko wysoka i barczysta; w postaci kobiety przykuwała wzrok nie tylko postura. Jeśli często zasiadała w pierwszym rzędzie, każdy musiał zwrócić na nią uwagę.

Obok maty, gdzie rozgrzewali się zawodnicy, panna Frost czuła się jak ryba w wodzie. Nie lubiłem się, że zauważyła Toma Atkinsa i mnie, bo ani razu nie podniosła oczu – nawet podczas rozgrzewki. A gdy rozpoczęły się zawody, wszyscy siedzieli zagapieni w matę.

Będąc zawodnikiem wagi lekkiej, Delacorte wystąpił jako jeden z pierwszych. Jeśli postać błazna była dla niego powolnym umieraniem, to samo dotyczyło jego walki; widok był makabryczny. Delacorte wręcz dogorywał na macie: od ciągłego odchudzania kości sterczały mu pod wiotką skórą i wyglądał, jakby umierał z głodu.

Przewyższał wzrostem większość przeciwników; w pierwszej rundzie zwykle dawał im łupnia. Pod koniec drugiej mimo prowadzenia opadał z sił, a w trzeciej żałował, że tak schudł.

Końcówka każdego meczu upływała mu na desperackich próbach utrzymania prowadzenia. Robił uniki, uciekał z maty, ugiął się pod ciężarem rąk przeciwnika. Głowa mu wisiała, podobnie jak język w kąciu otwartych ust. Zdaniem Kittredge'a, Delacorte w trzeciej rundzie tracił parę i mecz zawsze okazywał się dla niego o kilka minut za długi.

– Wytrzymaj, Delacorte! – krzyczał jakiś uczeń.

– Wytrzymaj! Wytrzymaj! Wytrzymaj! – podchwytywała reszta.

Na tym etapie Elaine i ja nauczyliśmy się przenosić wzrok na trenera – starego twardziela z kalafiorowatymi uszami i krzywym nosem. Prawie wszyscy zwracali się do trenera Hoyta po imieniu, czyli Herm.

Kiedy Delacorte konał w trzeciej rundzie, Herm Hoyt swoim zwyczajem sięgał po ręcznik ze stojaka na końcu ławki zapaśników i siadał jak najbliżej stołu osoby prowadzącej zapis.

W chwili gdy Delacorte usiłował jeszcze „wytrzymać”, Herm rozkładał ręcznik; podobnie jak większość starych zapaśników miał krzywe nogi, i gdy podnosił się z ławki, wyglądało jakby

chciał udusić konającego Delacorte'a ręcznikiem, który jednak zakładał sobie na głowę. Wyglądając spod niego jak spod kaptura, patrzył na ostatnie chwile Delacorte'a, na zegar i na sędziego (który na tym etapie przeważnie dawał Delacorte'owi ostrzeżenie, po czym wlepił mu karę za unikanie walki).

Podczas gdy Delacorte umierał, wołałem patrzeć na Herma Hoyta, który dogorywał pod ręcznikiem ze współczucia i gniewu. Naturalnie radziłem Atkinsowi, żeby też patrzył na trenera, zamiast obserwować ostatnie podrygi Delacorte'a, bo nikt (łącznie z Delacorte'em) prócz Hoyta nie wiedział, czy Delacorte wytrzyma i wygra, czy też zaraz wyzionie ducha.

Tamtej soboty Delacorte otarł się o śmierć, ale wytrzymał. Zszedł z maty i padł w ramiona trenera. Herm postąpił jak zawsze w wypadku Delacorte'a, bez względu na wygraną czy porażkę: zasłonił mu głowę ręcznikiem i chłopak zatoczył się na ławkę, zaczął dyszeć i szlochać.

– Chociaż raz nie pluje i nie płucze ust – zauważył złośliwie Atkins, ale ja patrzyłem na pannę Frost, która nagle spojrzała na mnie z uśmiechem.

Towarzyszył temu spontaniczny gest powitania: uniosła rękę, przebierając lekko palcami. Natychmiast zrozumiałem, iż wie, że tutaj jestem, i tego się spodziewała.

Z wrażenia omal nie zemdląłem i nie runąłem z bieżni; oczami wyobraźni ujrzałem, jak spadam na matę. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przeżyłbym upadek, nie znajdowałem się wysoko. Po prostu najadłbym się wstydu, lądując na macie lub zapasnikach.

– Żle się czuję, Tomku – powiedziałem. – Kręci mi się w głowie.

– Jestem przy tobie. – Otoczył mnie ramieniem. – Tylko nie patrz w dół.

Spoglądałem na drugi koniec sali, gdzie znajdowały się krzesła, ale panna Frost z powrotem skupiła uwagę na zapasach: rozpoczęła się kolejna rozgrywka, tymczasem Delacorte wciąż dyszał i szlochał, a głowa podskakiwała mu pod ręcznikiem.

Trener Herm Hoyt znów zajął miejsce obok stojaka z czystymi ręcznikami. Zobaczyłem Kittredge'a, który zaczął się rozciągać; podrygiwał w miejscu i obracał głowę z boku na bok. Rozciągał kark, ani na chwilę nie odrywając oczu od panny Frost.

– Przeszło mi, Tomku – zapewniłem, ale dłoń spoczywała na moim karku jeszcze przez parę sekund; policzyłem do pięciu, nim Atkins cofnął rękę. – Musimy zastanowić się nad wspólnym wyjazdem do Europy – dodałem, obserwując Kittredge'a, który skakał na skakance. Wciąż wpatrywał się w pannę Frost, ani na chwilę nie tracąc rytmu.

– Spójrz, jak się na nią gapi – zauważył z irytacją Atkins.

– Wiem, Tom... widzę – odpowiedziałem. (Wizja Kittredge'a z panną Frost wzbudziła we mnie wachlarz uczuć dość sprzecznej natury).

– Teraz mielibyśmy jechać, Bill... W lecie? – zapytał Atkins.

– Czemu nie? – odparłem możliwie obojętnym tonem; wciąż obserwowałem Kittredge'a.

– Jeśli nasi rodzice się zgodzą... Moglibyśmy ich poprosić, prawda? – ciągnął Atkins.

– To nasza decyzja, Tomku. Muszą zrozumieć, jakie to dla nas istotne.

– Patrzy na ciebie, Bill! – rzucił bez tchu Atkins.

Kiedy zerknąłem (staralem się panować nad emocjami) na pannę Frost, znów się do mnie uśmiechała. Uniosła dwa palce do ust i przesłała mi pocałunek. Nim zdążyłem jej odpowiedzieć, przeniosła wzrok na matę.

– A to się dziwił! – rzucił z ożywieniem Tom. Wciąż spoglądałem na pannę Frost, ale nie musiał mi mówić, że Kittredge teraz gapi się na mnie.

– Bill, Kittredge się na.

– Wiem, Tomku. – Jeszcze chwilę wpatrywałem się w pannę Frost, po czym – niby przypadkiem – omiotłem spojrzeniem Kittredge'a. Przestał skakać i wybałuszył na mnie oczy. Posłałem mu zdawkowy uśmiech i znów zaczął skakać, stopniowo – świadomie lub nie –

nabierając tempa, lecz ponownie utkwiał wzrok w pannie Frost. Zastanawiałem się, czy weryfikuje swoje „obrzydzenie”. Może „wszystko”, co robiłem jego zdaniem z panną Frost, przestało budzić jego wstręt, a może tylko się łudziłem?

Atmosfera w sali zmieniła się raptownie, gdy wszedł na matę. Obie drużyny obserwowały jatkę z – nie przymierzając – klinicznym podziwem. Kittredge zwykle rzucał przeciwnika na łopatkę, ale najpierw dawał mu solidny wycisk. Laik jak ja nie mógł czasem rozróżnić pomiędzy jego biegłością techniczną, zwinnością i zwierzęcą siłą płynącą z jego przewagi fizycznej; wręcz roznosił przeciwnika na kawałki. W trzeciej, ostatniej rundzie zawsze następował moment, gdy zerkał na zegarek, a sala zaczynała skandować: „Kończ! Kończ! Kończ!”. Mogłem sobie tylko wyobrazić, że jego przeciwnik miał już tak dosyć męczarni, że pragnął znaleźć się na macie, więc Kittredge łaskawie podcinał mu nogi i sędzia ogłaszał koniec walki. Nigdy nie widziałem, by przegrał; jego przeciwnicy odpadali w przedbiegach.

Nie pamiętam pozostałych meczów, i czy nasi wygrali drużynowo. Dalsza część rozgrywek kryje się za mgłą spojrzeń Kittredge’a: gapił się na pannę Frost, pobieżnie (i z rzadka) tylko zerkając na mnie.

Ja, rzecz jasna, na przemian wpatrywałem się w oboje: po raz pierwszy widziałem ich obok siebie i muszę przyznać, że wizja panny Frost odwzajemniającej jego natarczywe spojrzenie nie dawała mi spokoju. Nie odwzajemniła – ani razu. Dalej śledziła zapasy, czasem tylko uśmiechając się do mnie, a Tom Atkins wypytywał bez przerwy:

– Chcesz wyjść, Bill? Możemy wyjść, jeśli czujesz się niezręcznie... Oczywiście pójdę z tobą.

– Nic się nie stało, Tom. Chcę zostać.

– Do Europy... Nigdy nie sądziłem, że zobaczę Europę! – wykrzyknął w którymś momencie.

– Zastanawiam się, co zwiędzimy i jakimi środkami transportu. Pewnie pociągiem... lub autobusem. Jak się ubrać?

– Będzie lato, Tom. W letnie rzeczy.

– No tak, ale oficjalnie czy na luzie, o to mi chodziło, Bill. No i ile musimy mieć pieniędzy? Naprawdę nie mam pojęcia! – dodał prawie w panice.

– Zapytamy kogoś o radę – uciałem. – Mnóstwo ludzi było w Europie.

– Tylko nie pytaj Kittredge’a, Bill – wywodził w tym samym duchu Atkins. – Na pewno mieszkał w drogich hotelach. Poza tym nie chcemy, żeby wiedział o naszym wspólnym wyjeździe, prawda?

– Nie marudź, Tom – odpowiedziałem. Zobaczyłem, że Delacorte wylał spod ręcznika; oddychał normalnie, z papierowym kubkiem w dłoni. Kittredge coś mu powiedział i Delacorte zagapił się na pannę Frost.

– Delacorte przyprawia mnie o... – zaczął Atkins.

– Wiem! – burknąłem.

Zrozumiałem, że menedżerem był usłużny, zalękniony okularnik; wcześniej nie zwróciłem na niego uwagi. Podał Kittredge’owi pomarańczę, podzieloną na części; tamten wziął ją bez słowa i nawet na niego nie spojrział. (Menedżer nazywał się Merryweather; domyślcie się, że z takim nazwiskiem nikt nie mówił do niego po imieniu).

Merryweather podał Delacorte’owi czysty kubek, zabierając brudny, który wyrzucił do spluwaczki. Kittredge jadł pomarańczę i obaj z Delacorte’em wpatrywali się w pannę Frost. Obserwowałem Merryweathera, gdy zbierał porzucone ręczniki; próbowałem wyobrazić sobie na jego miejscu moją tatę, Franny’ego Deana.

– Muszę przyznać, Bill, że jesteś dość oschły jak na kogoś, kto właśnie zaproponował mi wspólne wakacje w Europie – oznajmił łzawo Tom.

– Dość oschły – powtórzyłem. Zaczynałem żałować swojej propozycji; jego bezradność działała mi na nerwy. Lecz oto nagle zawody dobiegły końca i młodociani widzowie zaczęli na wyścigi zbiegać po schodach. Rodzice i nauczyciele wraz z resztą dorosłych widzów wylegli na matę, gdzie zapaśników już otoczyli koledzy i krewni.

– Nie będziesz z nią rozmawiał, prawda? Myślałem, że ci nie wolno – dąsał się Atkins.

Zapewne chciałem sprawdzić, co by było, jeśli przypadkowo wpadłbym na pannę Frost, przywitał się lub coś w tym rodzaju. (Elaine i ja często snuliśmy się po macie w nadziei – i obawie – że „przypadkowo” wpadniemy na Kittredge’a).

Panna Frost, wysoka i wyprostowana, wyróżniała się w tłumie. Atkins zaś nadawał mi do ucha jak papuga: „Jest... jest! Tam! Widzisz ją?”.

– Widzę, Tom.

– Nie widzę Kittredge’a – zaniepokoił się.

Czułem, że to jedynie kwestia czasu. Skierowałem się w stronę panny Frost (stała, jakżeby inaczej, na samym środku maty) i w chwili gdy stanąłem na wprost niej, Kittredge zmaterializował się obok mnie. Panna Frost musiała zauważyć, że zaniemówiłem, podobnie jak Atkins, który urwał w pół słowa, obezwładniony powagą sytuacji.

Uśmiechając się do panny Frost, Kittredge – nigdy nie tracił języka w gębie – zwrócił się do mnie:

– Nie przedstawiśz mi swojej przyjaciółce, Nimfo?

Panna Frost wciąż uśmiechała się do mnie, nie zaszczycając go spojrzeniem.

– Znam pana ze sceny, panie Kittredge... Tej również. – Wskazała długim palcem na matę. (Paznokcie miała pomalowane na nieznanym mi kolor – coś w rodzaju fuksji, bardziej fioletowy niż czerwony). – Ale musi nas przedstawić Tomek Atkins. William i ja – uzupełniła, nie odrywając ode mnie wzroku – nie możemy ze sobą rozmawiać ani kontaktować się w inny sposób.

– Przepraszam, nie... – zaczął Kittredge, ale mu przerwano.

– Panno Frost, to Jacques Kittredge... Jacques, to panna Frost! – wypalił Atkins. – Panna Frost jest zapaloną... czytelniczką! – dodał, tocząc błędnym wzrokiem.

Wyciągnęła rękę, ale wciąż patrzyła na mnie i Kittredge nie był pewien, komu chce ją podać.

– Kittredge to nasz najlepszy zapaśnik – brnął Atkins, jakby panna Frost nie wiedziała, z kim ma do czynienia. – Niepokonany od trzech sezonów... na razie – zaznaczył. – To będzie rekord szkoły: trzy sezony z rzędu! Prawda? – Spojrzał na Kittredge’a niepewnie.

– Właściwie – Kittredge uśmiechnął się do panny Frost – nie będę pierwszy. Udało się to jednemu łebkowi w latach trzydziestych – dorzucił. – Oczywiście nie mieli wtedy mistrzostw Nowej Anglii i nie było takiej konkurencji...

Panna Frost nie dała mu skończyć.

– Była. – Rozbrajająco wzruszyła ramionami; zrobiła to kubek w kubek jak on i zrozumiałem, jak długo (i bacznie) musiała go obserwować.

– Jaki łebek? Czyj to rekord? – spytał Atkins.

Jasne, że Kittredge nie wiedział, z kim ma do czynienia.

– Niejaki Al Frost – odpowiedział lekceważąco. Przestraszyłem się, że Atkins wybuchnie płaczem, zwymiotuje lub wpadnie w obłęd, ale tylko stanął jak kolek, podrygując nerwowo.

– Co słyhać, Al? – zawołał trener Hoyt; sięgał wyklepaną głową do jej obojczyków. Panna Frost pieszczotliwie przyciągnęła go za kark, wciskając jego twarz w swoje małe, acz nader widoczne piersi.

(Delacorte wyjaśni mi później, że w żargonie zapaśniczym ów chwyt nosi nazwę „kołnierza”).

– Jak się masz, Herm? – zwróciła się czule do swojego dawnego trenera.

– Jakoś leci, Al – odparł Herm Hoyt. Z bocznej kieszeni zmiętej marynarki wystawał mu ręcznik; miał przekrzywiony krawat i rozchełstaną koszulę pod szyją. (Z takim karkiem nigdy nie mógł dopiąć górnego guzika).

– Rozmawialiśmy o Alu Froście i szkolnym rekordzie – wyjaśnił trenerowi Kittredge, dalej uśmiechając się do panny Frost. – Trener Hoyt mówi tylko, że Frost był „dość dobry”... oczywiście mówi tak o wszystkich, którzy są bardzo dobrzy lub tacy sobie – dorzucił tonem wyjaśnienia. – Rozumiem, że pani nie widziała nigdy Frosta w akcji?

Nie wydaje mi się, by sprawiło to nagle i oczywiste zakłopotanie trenera Hoyta; Kittredge chyba uświadomił sobie wpadkę ułamek sekundy po tym, gdy zadał to pytanie. W tej samej chwili zauważył jej dłonie: dam głowę, że nie patrzył na lakier.

– Al... Al Frost – powiedziała panna Frost. Tym razem nie było wątpliwości, do kogo wyciąga rękę, po raz pierwszy też przeniosła na niego wzrok. Znałem to spojrzenie: tak samo badawczo patrzyła kiedyś na mnie – gdy miałem pięć naście lat i chciałem znów przeczytać „Wielkie nadzieje”. Obaj z Atkinsem zwróciliśmy uwagę, że rączka Kittredge’a zatonała w uścisku jej wielkiej dłoni.

– Duży Al ważył osiemdziesiąt kilo – opowiadał Kittredge’owi Herm Hoyt. – Trochę mało na wagę ciężką, ale parę razy – spojrzał na pannę Frost, kiwając głową – wystawiłem cię z cięższymi zawodnikami, bo mnie o to prosiłeś, Al.

– Byłam dość dobra... i tyle – powiedziała panna Frost. – Przynajmniej nie uważano mnie za bardzo dobrą... a już na pewno nie w Pensylwanii.

Widzieliśmy z Atkinsem, że Kittredge zaniemówił. Powitanie dobiegło końca, lecz albo nie mógł wypuścić dłoni panny Frost, albo ona zakleszczyła w uścisku jego dłoni.

Przez lata straciła sporo masy mięśniowej, ale biorąc pod uwagę hormony, które przyjmowała, biodra miała na pewno szersze, niż gdy ważyła osiemdziesiąt kilo. Mając lat czterdzieści kilka, na oko ważyła około osiemdziesięciu pięciu kilo, ale miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu – na obcasach pięć centymetrów więcej – i prezentowała się świetnie. Nie wyglądała na swoją wagę.

Jacques Kittredge ważył sześćdziesiąt sześć kilo – podejrzewam, że nieco ponad siedemdziesiąt poza sezonem. Miał metr osiemdziesiąt (z kawałkiem).

Trener musiał zwrócić uwagę na jego zmieszanie – nie wspominając o przydługim uścisku dłoni, który wprawił go w osłupienie.

Herm zaczął pleść trzy po trzy; jego spontaniczny wykład na temat historii zapasów wypełnił lukę (w naszej rozmowie) osobliwą mieszanką wzburzenia i nostalgii.

– Za twoich czasów, Al, nosiliście tylko rajtuzy i nic poza tym. Każdy paradował z gołą klatą, pamiętasz?

– Pamiętam, Herm – odparła panna Frost. Puściła rękę Kittredge’a i długimi palcami poprawiła rozpinany sweterek, pod którym miała dopasowaną bluzkę: określenie „goła kłata” musiało zwrócić uwagę Kittredge’a na jej dziewczęce piersi.

Tom Atkins zaczął świszcząć; nie wiedziałem, że prócz zaburzeń mowy cierpi dodatkowo na astmę. Może zwyczajnie się zapowietrzył, zamiast wybuchnąć płaczem.

– W pięćdziesiątym ósmym przeszliśmy na rajtuzy i trykot... Pamiętasz, Jacques? – dodał Herm Hoyt, ale Kittredge jeszcze nie odzyskał mowy i tylko niemrawo kiwnął głową.

– Rajtuzy i trykot to bezsens – stwierdziła panna Frost; spojrzała z niezadowolaniem na swoje paznokcie, jakby ktoś inny wybrał za nią kolor. – Albo trykot, albo rajtuzy i goła kłata. Osobiście – dodała konspiracyjnie pod adresem Kittredge’a – stawiam na klatę.

– Kiedyś będzie sam trykot, bez rajtuzów, wspomnicie moje słowa – zapowiedział proroczco

Herm. – Goła klata będzie zabroniona.

– Szkoda. – Panna Frost westchnęła teatralnie.

Atkins wydał zdławiony odgłos; zauważył nadętego doktora Harlowa jakieś pół sekundy przede mną. Doktor nie wyglądał mi na wielbiciela zapasów, a przynajmniej nigdy go tutaj nie widziałem. (Ale czy Elaine i ja zwrócilibyśmy kiedyś na niego uwagę?).

– Dostałeś surowy zakaz, Bill... Wy dwoje nie możecie się kontaktować – oznajmił, nie patrząc na pannę Frost. „Wy dwoje” stanowiło szczyt jego możliwości, jej nazwisko nie przeszłoby mu przez usta.

– Panna Frost i ja nie odezwaliliśmy się do siebie ani słowem – zaznaczyłem.

– Powiedziałem, żadnych kontaktów – wypluł doktor Harlow, wciąż omijając ją spojrzeniem.

– Jakich kontaktów? – spytała ostro panna Frost; wielką dłonią chwyciła lekarza za ramię, aż odskoczył. – Miałam kontakt jedynie z tym oto młodym Kittredge’em – dodała, kładąc ręce na barkach Kittredge’a. – Spójrz na mnie – rozkazała, a gdy podniósł na nią wzrok, raptem stał się potulny jak baranek. (Elaine nareszcie odnalazłaby w nim niewinność, której bezskutecznie szukała na fotografiach sprzed lat). – Życzę ci powodzenia. Mam nadzieję, że wyrównasz ten rekord – dodała.

– Dziękuję – wymamrotał.

– Na razie, Herm. – Skinęła trenerowi głową.

– Trzymaj się, Al – odparł.

– Do zobaczenia, Nimfo. – Kittredge nie patrzył na mnie, ani na pannę Frost. Zbiegł z maty, doganiając jednego z kolegów.

– Rozmawialiśmy o zapasach, doktorze – zwrócił się do lekarza Herm Hoyt.

– Jaki rekord? – spytał go doktor Harlow.

– Mój – zakomunikowała panna Frost. Gdy odchodziła, z gardła Atkinsa dobiegło rżenie; dłużej nie mógł się powstrzymać, a zniknięcie Kittredge’a dodało mu odwagi.

– Panna Frost! – wypalił. – W lecie jadę z Billem do Europy!

Posłała mi serdeczny uśmiech, a następnie zwróciła się do Atkinsa.

– To wspaniale, Tomku – powiedziała. – Na pewno będziecie się dobrze bawić. – Odeszła parę kroków, po czym znów odwróciła się do nas, lecz nie ulegało wątpliwości, że patrzy na doktora Harlowa. – Mam nadzieję, że zrobicie razem wszystko – dodała.

I poszli, panna Frost i doktor Harlow. (Ten drugi skrętnie omijając mnie wzrokiem). Tom Atkins i ja zostaliśmy z trenerem Hoytem.

– Na mnie już czas, chłopcy – oznajmił. – Zawodnicy czekają...

– Trenerze – zagadnąłem. – Jestem ciekaw, kto byłby lepszy, Kittredge czy panna Frost. Oczywiście, będąc w tym samym wieku i w tej samej klasie wagowej. No wie trener: gdyby mieli równe szanse.

Herm Hoyt potoczył dokoła wzrokiem, może chciał sprawdzić, czy nie podsłucha go żaden zapaśnik. W sali został tylko Delacorte, ale sterczał przy drzwiach, jakby na kogoś czekał. Nie mógł nas słyszeć z takiej odległości.

– Słuchajcie, chłopcy – mruknął. – Nikomu ani słowa, ale Duży Al rozniósłby Kittredge’a. Bez względu na wiek i kategorię wagową, Al nie dałby mu szans.

Nie będę udawał, że te słowa nie sprawiły mi satysfakcji, przy czym wolałbym usłyszeć je na osobności, bez Atkinsa.

– Masz pojęcie, Bill... – zaczął Atkins, gdy trener skierował się do szatni.

Nie dopuściłem go do słowa.

– Owszem, mam – uciąłem.

Przy wyjściu zatrzymał nas Delacorte. Jak się okazało, czekał na mnie.

– Widziałem ją... jest piękna! Zaczepiła mnie przy drzwiach, mówiła, że byłem „wspaniały” w roli błazna. – Przeplukał i wypluł; trzymał dwa papierowe kubki i nie wyglądał na konającego. – Powiedziała mi też, że powinienem zmienić klasę wagową, ale dziwnie to ujęła. „Może przegrasz więcej meczów, lecz przestaniesz się męczyć”. Ona była Alem Frostem – oświadczył. – Trenowała zapasy!

– Wiemy, Delacorte! – wtrącił ze złością Tom Atkins.

– Nie mówiłem do ciebie, Atkins. – Delacorte przeplukał i wypluł. – Przerwał nam doktor Harlow – dorzucił. – Coś do niej powiedział, że niby jej obecność jest „niestosowna”! Ale ona dalej zwracała się do mnie, jakby nie on istniał. Powiedziała: „Jak to Kent mówi do Lira w scenie pierwszej aktu pierwszego, gdy król gada na Kordelię? Czekaj, jak to szło? Przecież dopiero to oglądałam, z tobą w jednej z ról!”. Ale nie wiedziałem, o co jej chodzi; byłem błaznem, nie Kentem, a doktor Harlow stał obok. Nagle wykrzyknęła: „Mam! Kent mówi: »Zabij lekarza«, nie mogłam sobie przypomnieć”. Na co Harlow: „Bardzo śmieszne... ale się uśmiełem”. Ona odwróciła się do niego i patrzyła mu prosto w twarz. „Śmieszne? To pan jest śmieszny, doktorze Harlow”. Polazł jak niepyszny. Po prostu uciekł! Twoja przyjaciółka jest boska! – zawołał Delacorte.

Nagle ktoś go popchnął. Próbując utrzymać równowagę, upuścił obydwie kubki, po czym runął w ich rozlaną zawartość. To Kittredge go pchnął; stał z ręcznikiem na biodrach i mokrymi włosami.

– Mamy zebranie, a ty się nawet nie wykapałeś. Grzebiesz się jak mucha w smole – warknął.

Delacorte wstał i pobiegł betonowym korytarzem do nowej sali gimnastycznej, gdzie znajdowały się prysznice.

Tom Atkins wtapiał się w ścianę; bał się, że też oberwie.

– Jak mogłeś nie wiedzieć, że to facet, Nimfo? – spytał nagle Kittredge. – Nie zauważyłeś grdyki? Nie widziałeś, jaka jest wielka... oprócz cycków. Jezus Maria! Jak mogłeś nie wiedzieć, że to facet?

– Może wiedziałem – odparłem. (Wymknęło mi się, jak to czasem bywa z prawdą).

– Jezu, Nimfo – mruknął Kittredge. Zadygotał; z korytarza prowadzącego do nowej sali powiało chłodem, a on miał na sobie tylko ręcznik. Rzadko widywaliśmy Kittredge’a bezbronnego, ale był półgoły i trząśnięty z zimna. Atkins nie grzeszył odwagą, lecz nawet on musiał wyczuć bezbronność Kittredge’a i na chwilę zapomniał o strachu.

– A jak ty mogłeś nie wiedzieć, że trenowała zapasy? – odezwał się w przypływie odwagi. Kittredge zrobił krok w jego stronę i Atkins – znów przerażony – zatoczył się do tyłu i mało nie upadł. – Nie widziałeś jej ramion, karku i dłoni? – krzyknął.

– Muszę lecieć – burknął Kittredge. Rzucił to do mnie, nie zniżył się do odpowiedzi. Nawet Atkins widział, że opuściła go pewność siebie.

Patrzyliśmy za nim, gdy biegł korytarzem, przytrzymując ręcznik. Ręcznik był mały i opinał mu biodra niczym spódniczka, przez co Kittredge biegł jak dziewczyna.

– Nie sądzisz, że on przegra w tym sezonie, co? – spytał Atkins.

Ja też mu nie odpowiedziałem. No bo jak mógłby przegrać w Nowej Anglii? Prócz wielu innych pytań, chętnie zadałbym pannie Frost również i takie.

Chwila, gdy masz dość dojrzewania i tego, że cię traktują jak dziecko – ten nagle otwarty i szybko zatrzaśnięty korytarz, gdy pragniesz dorosnąć raz na zawsze – to etap bardzo niebezpieczny. W jednej z (wczesnych) powieści napiszę: „Ambicja okrada cię z dzieciństwa. W momencie gdy chcesz stać się dorosły, umiera w tobie coś z dziecka”. (Niewykluczone, że myślałem o pragnieniu zostania pisarzem i uprawiania seksu z panną Frost, niekoniecznie w ten

kolejności).

W późniejszej powieści podejść do tematu nieco inaczej – chyba ostrożniej. „I tak po kawałku jesteśmy ograbiani z dzieciństwa – nie za jednym zamachem, tylko za sprawą serii drobnych kradzieży, które zmierzają do tego samego celu”. Mogłem chyba napisać „zdrad” zamiast „kradzieży”; w wypadku mojej rodziny z powodzeniem mógłbym użyć słowa „podstępny”, przytaczając setki niedopowiedzeń i kłamstw, jakich wysłuchiwałem na każdym kroku. Lecz niech zostanie, jak jest; to wystarczy.

W innej powieści, prawie na samym początku, napisałem: „Pamięć jest potworem; ty zapominasz – ona bynajmniej. Odkłada wszystkie sprawy na półkę; przechowuje je dla ciebie lub je przed tobą ukrywa. I wydobywa na światło dzienne, gdy zechce. Wyobrażasz sobie, że masz pamięć, ale to ona ma ciebie!”. (Tutaj też nie zmienię zdania).

Był koniec lutego bądź początek marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku, gdy w Akademii gruchnęła wieść o porażce Kittredge’a; gwoli ścisłości, przegrał dwa razy. Międzyszkolne mistrzostwa Nowej Anglii w zapasach odbyły się w East Providence w stanie Rhode Island; Kittredge poległ w półfinałach. „Z kretesem”, wybełkotał Delacorte. (Zdołałem rozróżnić tylko samogłoski, ponieważ mówił z sześcioma szwami na języku).

Kittredge przegrał również walkę o trzecie miejsce – tym razem z chłopakiem, któremu wcześniej dał łupnia.

– Po pierwszej przegranej stracił ducha... jakby przestało go obchodzić, czy skończy trzeci czy czwarty – wyseplenił Delacorte. W jego kubku do płucia ujrzałem krew; przegryzł sobie język, stąd te sześć szwów.

– Kittredge był czwarty – powiedziałem Atkinsowi.

Dla dwukrotnego mistrza z rzędu musiał to być druzgocący cios. Tradycja międzyszkolnych mistrzostw w zapasach rozpoczęła się w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym, czternaście lat po trzecim z rzędu zwycięskim sezonie Ala Frosta, jednakże w szkolnej gazecie zabrakło wzmianki o jego rekordzie – bądź o tym, że Kittredge nie zdołał go wyrównać. W ciągu następujących trzynastu lat uzbiera się osiemnastu dwukrotnych zdobywców tytułu mistrzowskiego Nowej Anglii – w tym Kittredge. Gdyby wygrał tamte trzecie mistrzostwa, byłby pierwszy. „Pierwszy i ostatni”, powiedział trener Hoyt w wywiadzie dla szkolnej gazety. Niebawem miało się okazać, że rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty pierwszy był ostatnim, gdy w mistrzostwach brały udział wszystkie męskie szkoły Nowej Anglii – począwszy od roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego wprowadzono odrębne turnieje dla szkół publicznych i prywatnych.

Pewnego wiosennego dnia spytałem o to trenera Hoyta, gdy spotkałem go na dziedzińcu szkolnym.

– To już nie to samo, nie będzie takiej konkurencji – odparł.

Ciekawiło mnie też z czego wynikały tamte dwie porażki Kittredge’a.

– On miał gdzieś walkę o trzecie miejsce – odpowiedział Herm. – Jeśli nie mógł stanąć na najwyższym podium, różnica między trzecim i czwartym wisiała mu koło nosa.

– A pierwsza przegrana?

– Powtarzałem mu, że zawsze znajdzie się ktoś lepszy – mówił stary trener. – Lepszego pobijesz, jeśli będziesz twardszy. Tamten okazał się lepszy, ale Kittredge był za miękki.

I tyle. Atkins i ja uznaliśmy przegraną Kittredge’a za nieadekwatną.

– Jak u Szekspira, Bill – skomentował Richard Abbott, gdy mu o tym powiedziałem. – Mnóstwo ważnych rzeczy dzieje się za kulisami, docierają do nas tylko sygnały.

– Jak u Szekspira. – Pokiwałem głową.

– Nieadekwatna i już – powtórzył Atkins, gdy przekazałem mu słowa Richarda.

Co do Kittredge’a, lekko tylko spuścił z tonu, ale przegrana jakby po nim spłynęła. Poza tym

nadeszła chwila oczekiwania na wiadomość o przyjęciu na studia. Sezon zapaśniczy dobiegł końca.

Favorite River nie należała do grona najlepszych szkół, toteż niewielu z nas zabiegało o miejsca na najlepszych uczelniach. Większość szła do małych college'ów promujących wykształcenie liberalne, jednak Atkins wymyślił sobie uniwersytet stanowy: posmakował małego i marzył o większym – „gdzie można zginać w tłumie”, mawiał tęsknie.

Nie zależało mi na tym tak bardzo jak jemu. Zależało mi na wydziale literatury angielskiej, gdzie dalej mógłbym czytać pisarzy, których poznałem dzięki pannie Frost. Zależało mi na Nowym Jorku.

„Gdzie studiowałaś?”, spytałem pannę Frost.

„Gdzieś w Pensylwanii – odpowiedziała. – Na pewno nie słyszałeś o tym mieście”. (Miało to swój urok, ale Nowy Jork przyciągał mnie jak magnes).

Złożyłem papiery na każdym uniwersytecie i college'u w rejonie Nowego Jorku – takim, o którym wcześniej słyszałem lub nie. Rozmawiałem też z ludźmi z wydziałów germanistyki. Za każdym razem obiecywano mi pomoc w znalezieniu miejsca na uczelni w niemieckojęzycznym kraju.

Coś mi mówiło, że europejskie lato z Tomem Atkinsem podsyci tylko żądzę, aby znaleźć się jak najdalej od First Sister w stanie Vermont. Wydawało mi się, że właśnie tak winien postąpić przysły pisarz – przenieść się do innego kraju, gdzie mówi się w obcym języku, a zarazem podjąć pierwsze próby pisania we własnym, jakbym to ja miał wytyczyć szlaki moim następcom.

Tom Atkins wylądował na uniwersytecie Massachusetts w Amherst; szkoła była wielka i rzeczywiście zginał w tłumie – może nawet bardziej niż chciał lub zamierzał.

To, że starałem się o miejsce na uniwersytecie New Hampshire, musiało wzbudzić w domu pewne podejrzenia. Krążyły plotki, że panna Frost przenosi się do New Hampshire. Ciotka Muriel nie darowała sobie uwagi, iż życzyłyby ją sobie dalej od Vermont na co wyraziłem nadzieję, że też znajdę się jak najdalej stąd. (Zabiłem jej ćwieka; wiedziała, że złożyłem papiery w New Hampshire).

Lecz nadeszła wiosna i pogłoski o rzekomej przeprowadzce panny Frost do New Hampshire nie znalazły potwierdzenia – nikt nie wiedział też, gdzie miałyby się przenieść. Prawdę powiedziawszy, moje zgłoszenie na tamtejszy uniwersytet nie miało nic wspólnego z przyszłym miejscem zamieszkania panny Frost. (Chciałem tylko zagrać na nosie rodzinie – nie miałem zamiaru tam studiować).

Największą zagadkę – głównie dla Atkina i dla mnie – stanowiło, że Kittredge idzie do Yale. Z naszymi ocenami nie mogliśmy nawet marzyć o Yale – tudzież innej uczelni z Ligi Bluszczowej. Jednakże miałem lepsze wyniki od Kittredge'a, który – jakkolwiek by na to spojrzeć – musiał powtórzyć ostatnią klasę. (Tom Atkins miewał wzloty i upadki, lecz Akademię ukończył o czasie). Wiedzieliśmy, że świetnie wypadł na egzaminie, lecz komisja kwalifikacyjna w Yale musiała kierować się innymi względami; to też było jasne.

Atkins stawiał na zapasy, ale chyba wiem, co powiedziałyby na to panna Frost: Zapasy nie wchodzi w rachubę. (Zresztą jak się okazało, na studiach przestał trenować). Wyniki egzaminów na pewno zrobiły swoje, jednak ojciec Kittredge'a, z którym ten nie utrzymywał kontaktu, również studiował w Yale.

– Wierz mi – powiedziałem do Atkina – Kittredge'owi nie pomógł na pewno jego niemiecki.

– Co cię to obchodzi, gdzie Kittredge idzie na studia, Billy? – spytała pani Hadley. (Miałem kłopot ze słowem „Yale”, stąd ten temat).

– Nie chodzi o zazdrość – odpowiedziałem. – Zapewniam panią, że nie chciałbym tam studiować... Nie umiem nawet wymówić nazwy!

Jak się okazało, to, gdzie poszliśmy na studia, nie miało żadnego znaczenia, ale wówczas byłem wściekły, że go przyjęli.

– niesprawiedliwość niesprawiedliwością – powiedziałem do Marthy Hadley – ale czy nie liczy się wartość człowieka? – Było to pytanie na miarę osiemnastolatka, choć (w marcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku) skończyłem dziewiętnaście lat; oczywiście z czasem przeboleję, gdzie Kittredge poszedł na studia. Tamtej wiosny Atkinsa i mnie bardziej pochłaniała nasza podróż do Europy niż oczywista niesprawiedliwość tego, gdzie przyjęto naszego kolegę.

Przyznaję: co z oczu, to z serca – widywałem teraz Kittredge'a rzadziej. Albo nie potrzebował mojej pomocy w niemieckim, albo przestał o nią prosić. Indeks miał w kieszeni, a więc przestał się przejmować oceną z niemieckiego – musiał tylko skończyć szkołę.

– Bądź łaskawy pamiętać – oznajmił sztywno Atkins – że w zeszłym roku planował to samo.

Ale w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym Kittredge skończył szkołę, jak my wszyscy. Właściwie to przeszło bez echa. Obyło się bez fajerwerków, ale czegoż mogliśmy się spodziewać? Pani Kittredge jak widać nie miała oczekiwań i nie raczyła przybyć na zakończenie roku. Elaine też nie przyjechała, ale to rozumiałe.

Dlaczego pani Kittredge nie zjawiała się u jedynaka? („Czy tak postąpiłaby matka?”, skwitował, nie dziwiąc się zbytnio). Samo zakończenie również nie wywarło na nim wrażenia. Zachowywał się tak, jakbyśmy nie sięgali mu do pięt.

– Student się znalazł – zauważył Atkins. – Pomyślałby kto, że już jest w Yale.

Na zakończeniu roku poznałem rodziców Toma. Jego ojciec spojrział na mnie z rozpaczą i nie podał mi ręki; nie nazwał mnie „pedałem”, ale wyczytałem to z jego oczu.

– Mój tata jest bardzo... niewyszukany – wyznał Atkins.

– Powinien poznać moją mamę – skwitowałem. – Jedziemy razem do Europy, Tomku. Nie liczy się nic więcej.

– Nie liczy się nic więcej – powtórzył. Nie zazdrościłem mu ostatnich dni w domu przed naszym wyjazdem; było jasne, że ojciec nie daje mu żyć. Atkins mieszkał w New Jersey. Zważywszy, jacy ludzie przyjeżdżali stamtąd do Vermont na narty, tego też mu nie zazdrościłem.

Delacorte przedstawił mnie swojej mamie.

– To on miał być błaznem Lira – oznajmił.

Kiedy ładna kobietka w słomkowym kapeluszu i sukience bez rękawów też nie podała mi ręki, rozumiałem, że widzi we mnie kochanka transseksualnej bibliotekarki.

– Przykro mi z powodu twoich zmartwień – powiedziała pani Delacorte. Wówczas przypomniałem sobie, że nie wiem, gdzie Delacorte idzie na studia. Nie żyje, a ja żałuję, że go nie zapytałem. Może było to dla niego istotne – tak jak to, gdzie ja szedłem, nie było istotne dla mnie.

Próby sztuki Tennessee Williama nie zabierały mi dużo czasu; grałem niewielką rolę. Występowałem tylko w ostatniej scenie, rozgrywającej się wokół Almy, kobiety zamkniętej w sobie, którą zdaniem Nilsa Borkmana tak świetnie zagrałaby panna Frost. Almą została ciotka Muriel, skryta jak mało kto, ale ja ożywiłem nieco moją postać „młodzieńca”, wyobrażając sobie, że gram z panną Frost.

Zważywszy na oczarowanie młodzieńca Almą, uznałem, iż dobrym chwytem będzie zagapić się na biust ciotki, chociaż był wielki w porównaniu z biustem panny Frost (i napawał mnie wstrętem).

– Musisz gapić się na mój biust, Billy? – zapytała Muriel podczas pewnej pamiętnej próby.

– Mam być tobą oczarowany – odparłem.

– Całą mną, jak sędzę – odparowała.

– Myślę, że wypada, by młodzieniec gapił się na biust Almy – wtrącił nasz reżyser, Nils Borkman. – Przecież do sprzedawcy butów to pasuje; jest mało wyszukanie.

– To niezdrowe, by siostrzeniec tak na mnie patrzył! – zaprotestowała ciotka Muriel.

– Biusty pani Fremont przyciągają chyba wiele spojrzeń! – podlizzał się nieudolnie Borkman. (Na chwilę zapomniałem, że Muriel nie miała obiekcji, gdy patrzyłem na jej piersi w „Wieczorze Trzech Króli”. Fakt, byłem wtedy niższy i stałem w cieniu).

Mama westchnęła. Dziadek Harry – który jako matka Almy dźwigał biust sporej wielkości – zauważył, że to „naturalne”, „każdy” młody mężczyzna patrzy na „piersiastą” kobietę.

– Mnie nazywasz „piersiastą”... własną córkę? Nie do wiary! – wrzasnęła Muriel.

Mama znów westchnęła.

– Wszyscy gapią się na twoje piersi, Muriel – oznajmiła.

– Kiedyś bardzo ci na tym zależało.

– Tylko nie zaczynaj, Mary... bo ci przypomnę, na czym tobie zależało – ostrzegła Muriel.

– Dziewczynki, dziewczynki – mitygował dziadek Harry.

– Siedz cicho, stary pajacu! – warknęła matka.

– Mógłbym patrzeć na jedną pierś – zaproponowałem.

– I tak masz je gdzieś, Billy! – krzyknęła mama.

Tamtej wiosny słyszałem z jej strony mnóstwo westchnień i krzyków; kiedy oznajmiłem, że lato spędzę z Atkinsem w Europie, otrzymałem jedno i drugie. (Najpierw oczywiście westchnienie, które zaraz ustąpiło miejsca: „Z Atkinsem – tą ciotką!”).

– Drogie panie – wtrącił Nils Borkman. – Mówimy o bezpośrednim młodym człowieku, panu Archiem Kramerze, który pyta Almę: „Co tu jest do roboty po zmroku?”. Bardzo bezpośrednio, prawda?

– Tak jest – włączył się dziadek Harry. – I nie zapominajmy o didaskaliach: „Alma zdaje sobie sprawę z jego braku ogłady”. I jeszcze: „Odsuwa się i patrzy na niego spod wpeł przymkniętych powiek, być może znacząco”. Moim zdaniem Alma zachęca młodzieńca, by patrzył na jej piersi!

– Kto tu jest reżyserem, tatusiu? – spytała mama.

– Żadnych „znaczących” spojrzeń. Nie zachęcam nikogo do patrzenia na moje piersi – oświadczyła ze wzburzeniem Muriel.

– Łżesz, Muriel – wtrąciła mama.

Jednym z rekwizytów w ostatniej scenie jest fontanna: Alma daje młodzieńcowi tabletkę nasenną, a on popija ją wodą z fontanny. Pierwotnie były też ławki, ale nie spodobały się Nilsowi. (Stałem zagapiony na jej piersi, więc Muriel nie mogła wysiedzieć w miejscu).

Czułem, że z ławkami będzie problem. Gdy młodzieniec słyszy o kasynie, gdzie (według Almy) czeka „wiele mrocznych rozrywek”, mówi do Almy: „To na cholerę tu siedzimy?”. Ale ławek nie było, więc nie mogliśmy siedzieć.

– Nie powinienem mówić „To na cholerę tu siedzimy?” – zwróciłem się do Nilsa. – Alma i ja nie siedzimy, bo nie ma na czym.

– Ty nie piszesz tej sztuki, Billy... Już ją napisano – przypomniła moja matka (suflerka).

– Przynieście ławki z powrotem – polecił z rezygnacją Nils. – Masz siedzieć spokojnie, Muriel. Przed chwilą wchłonęłaś tabletkę nasenną, pamiętasz?

– „Wchłonęłam”! – wykrzyknęła. – Powinam „wchłonąć” całą fiolkę tabletek nasennych! Jak mam spokojnie siedzieć, kiedy Billy gapi się na moje piersi?

– Jego nie interesują piersi, Muriel! – wrzasnęła matka. (Pozwolę sobie zauważyć, że to nieprawda, jak sami wiecie – nie interesowały mnie tylko piersi Muriel).

– Ja tylko gram, pamiętacie? – oznajmiłem mamie i ciotce.

Na końcu schodzę ze sceny i wzywam taksówkę. Zostaje tylko Alma, która „powoli odwraca się do publiczności z ręką wciąż uniesioną w geście nieodwracalności i osłupienia, po czym... znika za spuszczoną kurtyną”.

Nie miałem pojęcia, jak Muriel uda się zagrać osłupienie. Nieodwracalność umiała oddać bezbłędnie.

– Raz spróbujemy jeszcze – poprosił Nils Borkman. (W chwilach znużenia mieszał mu się szyk).

– Spróbujemy jeszcze raz – podsunął uczynnie dziadek Harry, chociaż pani Winemiller nie występuje w ostatniej scenie. (W parku zapada zmierzch; widzimy tylko Almę i młodego komiwojażera).

– Zachowuj się, Billy – przykazała mama.

– Ostatni raz – odpowiedziałem, uśmiechając się słodko do obu pań.

– „Woda... jest... chłodna” – zaczęła Muriel.

– „Mówiłaś coś?” – zapytałem jedną z jej piersi, w myśl przykazań reżysera, żarliwie.

Premiera sztuki „Lato i dym” odbyła się jakiś tydzień przed moim zakończeniem roku. Uczniowie nie chodzili na przedstawienia miejscowego teatryku, więc nie miało znaczenia, że przyjezdni – w tym Kittredge i Atkins – wyjechali z First Sister.

Całe przedstawienie spędzałem za kulisami, aż do dwunastej, ostatniej sceny. Dezaprobata mamy wobec dziadka Harry’ego w roli kobiety przestała mnie obchodzić; wiedziałem już wszystko, co musiałem wiedzieć. W opisie sztuki pani Winemiller przedstawiona jest jako „zepsuta i samolubna osoba, która unika odpowiedzialności, popadając w stan przewrotnego dzieciinnienia. Znana jako »dopust« pana Winemillera”.

Mama i ja nie mieliśmy wątpliwości, że dziadek wzorował postać pani Winemiller na babci Victorii, która była jego „dopustem” bożym. (Babcia też nie miała wątpliwości; siedziała w pierwszym rzędzie jak ogłuszona, podczas gdy dziadek szalał na scenie).

Matka napociła się z dwójką małych aktorów, którzy prawie położyli prolog. Ale w scenie pierwszej – a dokładniej, kiedy pani Winemiller krzyczy po raz trzeci „Gdzie jest lodziarz?” – publiczność tarzała się ze śmiechu, podobnie jak pod koniec piątej sceny, gdy pociągała swoim mężem pantoflarzem. „Sam jesteś dopustem, stary gaduło...”, skrzeczał dziadek Harry, gdy spuszczano kurtynę.

Nils Borkman jak zawsze odwalił kawał dobrej roboty. Muszę przyznać, że ciotka Muriel była świetną Almą; nikt nie zamknąłby się tak w sobie, nawet panna Frost.

Nie licząc prologu, matka nie miała nic do roboty; nikt nie pomylił ani linijki. Może to i lepiej, gdyż prawie na samym początku ujrzeliśmy w pierwszym rzędzie pannę Frost. (Niewykluczone, iż był to drugi powód niezadowolenia babci Victorii – nie dość, że mąż ośmieszył ją na scenie, to jeszcze siedziała dwa miejsca od transseksualnej zapaśniczki!).

Matka straciła wątek. Oczywiście panna Frost starannie wybrała sobie miejsce. Wiedziała, gdzie siedzi suflerka, i że ja siedzę obok niej. Jeżeli my ją widzieliśmy, ona widziała nas. Przez cały spektakl nie zwracała uwagi na aktorów na scenie, tylko uśmiechała się do mnie, a mama coraz bardziej upodabiała się do ogłuszonej babci Victorii.

Ilekcroć Muriel-jako-Alma wchodziła na scenę, panna Frost wyjmowała puderniczkę z torebki. Gdy Alma zamykała się w sobie, panna Frost podziwiała w lusterku swoją szminkę bądź pudrowała czoło i nos.

Tuż przed końcem, gdy zbiegłem ze sceny, z zamiarem wezwania taksówki – pozostawiając Muriel w geście nieodwracalności – wpadłem na matkę. Wiedziała, którą schodzę i mnie tam

zdybała.

– Nie będziesz rozmawiał z tą kreaturą, Billy – zakazała twardo.

Spodziewałem się sceny; wielokrotnie ćwiczyłem w myślach, co powiem matce, nie sądziłem jednak, że da mi ku temu tak wymarzoną okazję. Richard Abbott, który grał Johna, chyba siedział w toalecie i nie przybiegł jej na pomoc. Spektakl zaraz dobiegnie końca i rozlegną się ogłuszające oklaski.

– Właśnie, że porozmawiam, mam – zacząłem, ale dziadek Harry nie dał mi skończyć. Pani Winemiller miała przekrzywioną perukę i ściśnięty biust, lecz teraz nie prosiła o lody. Nie była niczym dopustem – przynajmniej w tej scenie – i dziadek Harry nie potrzebował suflera.

– Uspokój się, Mary. – Starał się łagodzić wzburzenie mamy. – Zapomnij o Frannym i chociaż raz w życiu przestań się nad sobą użalać. Mimo wszystko wyszłaś za porządnego faceta, na miłość boską! O co tak się wściekasz?

– Rozmawiam z moim synem, tatusiu. – Próbowaliśmy się bronić, ale jakoś bez przekonania.

– Więc traktuj go jak syna – burknął dziadek. – Szanuj Billa za to, jaki jest, Mary. Co zrobisz, zmienisz mu geny, czy co?

– Ta kreatura – powtórzyła matka, mając na myśli pannę Frost, ale w tym momencie Muriel zeszła ze sceny. Rozległy się burzliwe oklaski. Piers jej falowała; Kto wie, czy sprawiła to nieodwracalność, czy może gest uniesienia? – Przyszła ta kreatura... siedzi na widowni! – krzyknęła do niej mama.

– Wiem, Mary... Myślisz, że go nie widziałam? – odparła Muriel.

– Jej – poprawiłem.

– Jej! – odfuknęła z pogardą.

– Nie nazywaj jej kreaturą, mam.

– Chroniła go, Mary – wtrącił dziadek (jako pani Winemiller). – Nie chciała go skrzywdzić.

– Drogie panie... – wtrącił się Nils Borkman. Chciał, aby Muriel i dziadek Harry wrócili na scenę. Był tyranem, ale mnie się upiekło; wiedział, że ważniejszą rolę mam do odegrania za kulisami.

– Proszę, nie rozmawiaj z tą... kobietą, Billy – błagała matka. Przyszedł Richard, też gotów iść się uklonić, i matka rzuciła się w jego ramiona. – Widziałeś, kto przyszedł? Ona! Billy chce z nią porozmawiać! Ja tego nie zniosę!

– Niech porozmawia, Perelko – odpowiedział i wybiegł na scenę.

Publiczność klaskała jak szalona, gdy naraz, tuż po wyjściu Richarda, za kulisami zjawiała się panna Frost.

– Kittredge przegrał – poinformowałem ją. Od miesiący wyobrażałem sobie naszą rozmowę, ale nic więcej z siebie nie wykrzesalem.

– Dwa razy – odparła. – Wiem od Herma.

– Myślałam, że wyjechałeś do New Hampshire. – Mama nie kryła oburzenia. – Nie powinno cię tutaj być.

– Wiem, Mary. Nie powinnam się tutaj urodzić.

Wrócił Richard z pozostałymi.

– Chodźmy, Perelko... Zostawmy ich na chwilę samych – dodał. Panna Frost i ja już nigdy nie będziemy „sami”; to akurat było jasne.

Ku zdumieniu wszystkich panna Frost zwróciła się do Muriel.

– Dobra robota – pochwaliła moją wyniosłą ciotkę. – Jest Bob? Chciałabym zamienić słówko z Rakietą.

– Jestem tutaj, Al – odezwał się niepewnie wuj Bob.

– Masz klucze do wszystkiego, Bob – powiedziała panna Frost. – Chciałabym pokazać coś

Williamowi, zanim wyjadę z First Sister – dodała bez cienia dramatyzmu w głosie. – Chcę pokazać mu coś w sali zapaśniczej. Mogłam poprosić Herma, ale nie chciałam, żeby miał kłopoty.

– W sali zapaśniczej! – wykrzyknęła Muriel.

– Ty i Billy, w sali zapaśniczej – wysylabizował wuj Bob, jakby nie mógł sobie tego wyobrazić.

– Możesz z nami zostać, Bob – odparła, ale patrzyła na moją mamę. – Ty i Muriel też możecie iść. Mary... Nie mam nic przeciwko temu, jeśli twoim zdaniem William potrzebuje więcej niż jednej przyzwoitki.

Myślałam, że cała moja popaprana rodzina padnie trupem na sam dźwięk ostatniego słowa, lecz znów wykazał się dziadek Harry.

– Daj klucze, Bob. Ja ich przypilnuję.

– Ty? – krzyknęła nana Victoria. (Nikt nie zauważył jej przybycia). – Spójrz na siebie, Haroldzie! Jesteś seksualnym pajacem! I ty chciałbyś pilnować kogokolwiek?

– No cóż. – Dziadek Harry stracił wątek. Drapiąc się pod jedną ze sztucznych piersi, powachlował peruką łusą głowę. Za kulisami było strasznie gorąco.

Tak wyglądał początek mojego ostatniego spotkania z panną Frost. Bob poszedł do gabinetu po klucze do sali; postanowił nam towarzyszyć, bo tylko on i Herm Hoyt wiedzieli, gdzie zapala się światła w nowej sali. (Należało wejść przez nową salę, a następnie betonowym korytarzem przejść do starej).

– Za moich czasów nie było nowej sali, Williamie – mówiła panna Frost, kiedy podążaliśmy przez pograżony w mroku kampus Akademii z wujem Bobem i dziadkiem Harrym – nie z panią Winemiller, niestety, bo Harry ponownie wdział swój drwaliński rynsztunek. Nils Borkman też postanowił pójść z nami.

– Chcę zobaczyć wygibnicze zakwasy! – oznajmił.

– Zapaśnicze wygibasas – poprawił dziadek.

– Wy pływasz na szerokie wody, Williamie – stwierdziła rzeczowo panna Frost. – Ale w każdym porcie napotkasz bandę homofobów.

– Fomohobów? – zdziwił się Nils.

– Homofobów – pospieszył z pomocą dziadek Harry.

– Jeszcze nigdy nie wpuszczałem nikogo do sali nocą – powiedział Bob ni w pięć, ni w dziewięć. Ktoś dogonił nas w mroku. Był to Richard Abbott.

– Coraz więcej chętnych na oglądanie zapaśniczych wygibasów, Bill – rzucił dziadek.

– Nie planowałam publicznego pokazu, Williamie... Skup się. Mamy niewiele czasu – przykazała panna Frost. W tej samej chwili pstryknęło światło i zobaczyłem, że ona się do mnie uśmiecha: „Niewiele czasu” stanowiło nasz znak rozpoznawczy.

Wbrew obawom panny Frost i na przekór obecności wuja Boba, dziadka Harry’ego, Richarda Abbotta i Nilsa Borkmana wyszło jednak dość kameralnie. Punktowe oświetlenie rozpraszało mrok, ukazując brudne maty i sterty ręczników porzuconych przy ławach; od końca sezonu tysiąc dziewięć set sześćdziesiątego pierwszego roku nikt nie zaglądał tutaj ze ścierką. Bob, Harry, Richard i Nils usiedli na ławce drużyny gospodarzy; tak kazała im panna Frost, a oni posłuchali bez szemrania. (Na swój sposób i z różnych względów wszyscy czterej byli jej wielkimi wielbicielami).

– Zdejmij buty, Williamie – zakomenderowała panna Frost; zobaczyłem, że ona już zdjęła. Paznokcie u stóp pomalowała lakierem o zielonkawoniebieskim odcieniu.

Był ciepły, czerwcowy wieczór: panna Frost miała na sobie biały podkoszulek na ramiączkach i rybaczki pod kolor paznokci u stóp, nieco zbyt obcisłe na zapaśnicze zmagania, ja

nosiłem workowate bermudy i t-shirt.

– Cześć – zabrzmiał nagle głos Elaine. Nie zauważyłem jej w teatrze. Przyszła za nami do sali – na pewno w bezpiecznej odległości – a teraz obserwowała nas z drewnianej bieżni w górze.

– Znowu zapasy – rzuciłem oględnie tonem wyjaśnienia, ale ucieszyłem się na jej widok.

– Spróbują cię zastraszyć, Williamie... – Panna Frost chwyciła mnie za kark, zastosowała chwyt, który Delacorte nazwał „krawatem”. – Żeby pokazać ci twoje miejsce, do tego dojdzie prędzej czy później.

– Spodziewam się – odpowiedziałem.

– Im bardziej rosły i agresywny przeciwnik, tym bliżej musisz go podejść – mówiła. Czulem jej zapach, oddech owiał mi twarz. – Niech oprze się o ciebie, jak najbliżej, o tak. A następnie podduszysz go jego własnym ramieniem. – Gdy zademonstrowała jak, straciłem oddech. – Ma cię odepchnąć... Chcesz, żeby podniósł rękę – tłumaczyła.

Gdy spróbowałem ją odepchnąć – kiedy uniosłem rękę, aby uwolnić szyję – panna Frost wśliznęła mi się pod pachę. W ułamku sekundy znalazła się za moimi plecami i całym cię żarem rzuciła mnie bokiem na ciepłą, miękką matę. Strzyknęło mi w karku i upadłem pod nienaturalnym kątem, nadwerężając bark i okolice obojczyka.

– Wyobraź sobie, że leżysz na asfaltowym chodniku lub drewnianej podłodze – powiedziała.

– Nie byłoby to przyjemne, prawda?

– Nie. – Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem wszystkie gwiazdy.

– Jeszcze raz – poleciła. – Przećwiczę to parę razy na tobie, a potem ty na mnie.

– Dobrze. – I przećwiczylimy.

– To się nazywa nurek pod rękę – wyjaśniła. – Zrobisz to każdemu, tylko musi cię pchać. Każdemu, kto zachowuje się agresywnie.

– Rozumiem.

– Nie, Williamie: dopiero zaczynasz pojmować.

Trenowaliśmy od godziny.

– Łatwiej to zrobić, jeśli przeciwnik jest wyższy od ciebie. Im jest wyższy, tym bardziej musi się ku tobie nachylić i mocniej wyrznie głową w matę, o chodnik, posadzkę lub ziemię. Rozumiesz?

– Zaczynam – odpowiedziałem.

Nie zapomnę dotyku naszych ciał, kiedy mnie uczyła; podobnie jak w innych sytuacjach, w chwili gdy zaczynasz robić coś poprawnie, w twoje ruchy wkłada się rytm. Ociekaliśmy potem, i panna Frost oznajmiła:

– Jeszcze dziesięć razy bezbłędnie i możesz iść do domu, Williamie.

– Nie chcę iść do domu... Chcę to robić – szepnąłem.

– Nie żałuję, że cię poznałam... za nic w świecie! – odszepnęła panna Frost.

– Kocham cię! – powiedziałem.

– Nie teraz, Williamie – ucięła, przechodząc do dalszych instrukcji. – Jeśli nie zdołasz wepchnąć mu łokcia w szyję, wepchnij mu w usta.

– W usta – powtórzyłem.

– Nie pozabijajcie się! – krzyknął dziadek Harry.

– Co się tu dzieje? – usłyszałem głos trenera Hoyta. Zauważył zapalone światła; traktował starą salę jak świątynię.

– Al pokazuje Billy’emu nurka pod rękę... – objaśnił wujek Bob.

– Al uczył się ode mnie – odparł Herm. – Raczej wie, o co chodzi. – Usiadł na ławce drużyny gospodarzy, jak najbliżej stołu z zapisem.

– Nigdy cię nie zapomnę! – szepnąłem do panny Frost.

– Chyba masz już dosyć, Williamie... skoro nie możesz się skupić. – Pokręciła głową.

– Dobrze, skupię się... jeszcze dziesięć razy! – Uśmiechnęła się tylko i zwichrzyła mi mokre włosy. Nie robiła tego od czasu, kiedy miałem trzynaście, może piętnaście lat. W każdym razie bardzo długo.

– Wystarczy, Williamie. Herm pokaże ci resztę – oznajmiła panna Frost. Nagle zobaczyłem, że jest zmęczona; widziałem to po raz pierwszy. – Obejmij mnie, ale nie całuj, Williamie. Trzymajmy się zasad, a wszyscy będą zadowoleni – szepnęła.

Objąłem ją z całej siły, ale nie odwzajemniła uścisku, na pewno nie na miarę swoich możliwości.

– Szczęśliwej drogi, Al – powiedział wujek Bob.

– Dzięki, Bob.

– Muszę lecieć, zanim Muriel wyśle na poszukiwania policję i strażaków – dodał wujek.

– Ja pozamykam, Bob – odezwał się trener Hoyt. – Billy i ja jeszcze trochę poćwiczymy.

– Jeszcze trochę – powtórzyłem.

– Aż zobaczę, że łapiasz – uzupełnił trener. – Zabierajcie się wszyscy – dodał. – Ty też, Richardzie... i ty, Harry. – Chyba nie poznał Nilsa Borkmana, a jeśli poznał Elaine Hadley, pewnie była dla niego niefortunna córką nauczyciela, która zaszła w ciążę z Kittredge'em.

– Na razie, Richardzie... Kocham cię, Elaine! – zawołałem, gdy wychodzili.

– Ja ciebie też, Billy! – odkrzyknęła Elaine.

– Do zobaczenia w domu, zostawię zapalone światło, Bill – usłyszałem Richarda.

– Trzymaj się, Al – powiedział do panny Frost dziadek Harry.

– Będę za tobą tęsknić, Harry – odparła.

– A ja za tobą!

Zrozumiałem, że nie powinienem odprowadzać jej wzrokiem, więc tego nie zrobiłem. Czasami wiesz, że więcej kogoś nie zobaczysz.

– Rzecz w tym, Billy, żeby facet zrobił to sobie sam... ot, cała tajemnica – mówił Herm. Kiedy zwarliśmy się w krawacie, czułem jakbym chwycił za pień: Hoyt miał taki gruby kark, że było to prawie niemożliwe. – Masz wtłoczyć przeciwnikowi rękę, żeby poczuł, Billy – objaśniał. – W gardło, do ust... albo do nosa, jeśli zdołasz. Grunt, żeby zareagował. Ma ostro zareagować, o nic innego nie chodzi.

Przećwiczył to na mnie dwadzieścia razy; poszło gładko, ale strasznie rozbolał mnie kark.

– Dobra, teraz twoja kolej. Pokaż, na co cię stać.

– Dwadzieścia razy? – spytałem. (Widział, że płacze).

– Zaczniemy odliczanie, gdy przestaniesz beczeć, Billy. Czyli po jakimś czterdziestym razie – odpowiedział.

Spędziliśmy w starej sali kolejne dwie godziny, może nawet trzy. Przestałem liczyć, lecz stopniowo ogarniało mnie poczucie, że zrobiłbym to przez sen, albo będąc pijany. (Co ciekawe, jeszcze nigdy nie byłem. Na wszystko jest pierwszy raz, a mnie czekało ich całe mnóstwo).

– Chyba zrobiłbym to po omacku – rzuciłem w pewnej chwili niebacznie.

– Czyżby? – Herm uniósł brwi. – Stój tam, gdzie jesteś. Nie schodź z maty. – Polazł gdzieś; słyszałem, że idzie korytarzem, ale go nie widziałem. Potem zgasty światła i znalazłem się w nieprzeniknionych ciemnościach. – Spokojnie... Nie ruszaj się! – zawołał. – Znajdę cię, Billy.

Rzeczywiście, po chwili złapał mnie za kark i zwarliśmy się w mroku.

– Jeśli mnie czujesz, nie musisz mnie widzieć – oznajmił Herm. – Zlokalizujesz resztę, łapiąc za kark, tak?

– Tak jest, trenerze.

– Przestań się guzdrać, Billy – przykazał. Lecz okazał się szybszy i znów gruchnąłem o matę.

– Chyba twoja kolej, Billy... tylko się pośpiesz – dodał.

– Wie pan, dokąd jedzie? – zapytałem później. Leżeliśmy w ciemnościach na macie i odpoczywaliśmy.

– Mam ci nie mówić, Billy.

– Rozumiem.

– Zawsze wiedziałem, że Al chce być dziewczyną – napłynął z mroku głos starego trenera. – Ale nie sądziłem, że ma jaja, aby to zrobić, Billy.

– Oj, ma – odpowiedziałem.

– Jeszcze jak! – Herm Hoyt zarechotał.

Za oknami nad bieżnią szarzał świt.

– Posłuchaj, Billy. Nauczyłeś się jednego chwytu. To dobry chwyt, ale tylko jeden. Dzięki niemu możesz kogoś powalić... może lekko uszkodzić. Ale znajdzie się taki, który wstanie i nie odpuści. Jeden chwyt nie czyni z ciebie zapaśnika, Billy.

– Rozumiem.

– Więc nie czekaj, tylko w trudnej sytuacji bierz nogi za pas, gdziekolwiek jesteś, Billy. Słyszysz, co do ciebie mówię?

– Tylko jeden chwyt. Atak i odwrót, tak?

– Atak i odwrót... Umiesz biegać, prawda?

– Co się z nią stanie? – spytałem nagle.

– Tego ci nie powiem, Billy. – Herm westchnął.

– Zna więcej chwytów, prawda?

– Owszem, ale latka lecą – odpowiedział. – Zmiataj do domu, Billy. Robi się jasno.

Podziękowałem mu i ruszyłem przez opustoszały kampus. Chciałem zobaczyć Elaine, uścisnąć ją i pocałować, ale czułem, że pisane jest nam coś innego. Czekąco mnie lato odkrywania „wszystkiego” z Tomem Atkinsem, lecz lubiłem chłopców i dziewczęta; wiedziałem, że Atkins to za mało.

Czy zakładałem, że panna Frost wiedziała to o mnie? Wierzyłem, iż pierwsza zrozumiała, że nikt nie zapewni mi wszystkiego?

Bardzo możliwe. Bądź co bądź, miałem dopiero dziewiętnaście lat i byłem biseksualnym chłopcem z niezłą znajomością nurka pod rękę. Jeden chwyt nie robił ze mnie zapaśnika, lecz grunt to dobry nauczyciel.

Rozdział 11

ESPAÑA

Panna Frost stwierdziła kiedyś, że „najlepiej czytać »Panią Bovary«, kiedy człowiek straci już romantyczne nadzieje i pragnienia. Kiedy uwierzy, że przyszłe związki nie spełnią jego oczekiwań, a wręcz okażą się katastrofalne w skutkach”. Dlatego lepiej, żebym poczekał zanim sięgnę po tę książkę.

Obiecałem, że poczekam.

Czy zdziwicie się więc, że latem tysiąc dziewięćset sześć dziesiątego pierwszego roku wziąłem ze sobą powieść, na wyjazd z Tomem?

– Kim ona jest? – spytał Atkins, ledwo zacząłem czytać. Sądząc po głosie i nerwowym przygryzaniu wargi zrozumiałem, że jest zazdrosny o Emmę Bovary, chociaż jeszcze jej nie poznałem! (Czytałem o tej łajzie, Karolu).

Odczytałem nawet Atkinsowi fragment o tym, jak ojciec uczy Karola „pić rum wielkimi łykami i wyśmiewać się z procesji”^[13]. (Obiecujące metody, uznałem niesłusznie). Lecz dopiero przy zdaniu, że „namiętne pragnienie buntowało się w nim przeciw tej uległości”, stwierdziłem, że dla biednego Tomka to cios prosto w serce. Nie po raz pierwszy zbagatelizowałem jego kompleks niższości. Po tym incydencie otrzymałem zakaz samodzielnej lektury „Pani Bovary”: mogłem czytać ją wyłącznie na głos.

Uwaga na marginesie: „Pani Bovary” nie zaraża wszystkich nowych czytelników nieufnością (na granicy nienawiści) wobec monogamii, jednakże moja wzdarda dla tejże zrodziła się latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku. Gwoli ścisłości, największą odrazą napawało mnie zamiłowanie biednego Tomka do monogamii.

Fatalnie czyta się tę wspianą powieść na głos osobie, która drży przed zdradą u zarania pierwszej seksualnej przygody w swoim młodym życiu! Obrzydzenie Atkinsa do cudzołóstwa Emmy powodowało odruch wymiotny tak samo, jak słowo „pochwa”, lecz jeszcze zanim to się stało, znienawidził jej „atłasowe pantofelki o podeszwie poślódkowej od wosku posadzki”.

– Kogo obchodzą stopy tej wstrętnej kobiety?! – krzyknął.

Naturalnie Flaubert odsłaniał raczej jej serce, które „otarłszy się o bogactwo, powlekło się czymś, co nie miało się już nigdy zetrzeć”.

– Jak wosk na pantofelkach, nie widzisz? – spytałem.

– Mdl mi. – Skrzywił się. A mnie wkrótce mdliło na myśl, że jedynym remedium na „męki”, jakich dostarczał mu tekst, był seks ze mną.

– Mogę czytać sam! – przekonywałem. Jednak w takim wypadku naraziłbym się na zarzut zaniedbania – lub co gorsza faworyzowałbym Emmę!

Dlatego czytałem mu na głos: „Pełna była żądz, wściekłości i nienawiści”, a on wił się, jakbym go torturował.

Gdy doszedłem do fragmentu, gdzie Emma cieszy się perspektywą posiadania kochanka – „lubując się tą myślą jak powtórny dojrzeniem” – myślałem, że Atkins puści pawia na nasze łóżko. (Flaubert zapewne doceniłby to, że jak na ironię przebywaliśmy we Francji, a w naszym pokoju zamiast sedesu znajdował się bidet).

Podczas gdy Atkins wymiotował do bidetu, ja zrozumiałem, że zdrada, której tak się obawiał – czyli moja – budzi we mnie ekstatyczny dreszcz. Z przypadkową pomocą pani Bovary dodałem monogamię do listy obrzydliwości, które kojarzyłem z życiem na wskroś heteroseksualnym, lecz największą za to winę ponosił Tom. Oto znajdowaliśmy się w Europie – doświadczając seksualnego „wszystkiego”, przed czym tak usilnie chroniła mnie panna Frost – a on przeżywał, że go zostawię (być może, choć niekoniecznie, dla kogoś innego).

Kiedy Atkins rzygał do bidetu, ja dalej czytałem mu głośno o Emmie Bovary: „Przypomniały

się jej wówczas heroiny przeczytanych romansów i liryczny chór wiarołomnych kobiet zaśpiewał w pamięci, czarując siostrzanymi głosami”. (Czy to nie wspaniałe?).

Dobra, okrucieństwem było podnieść głos na „wiarołomnych kobietach” – ale Atkins hałasował i chciałem przekrzywić szum wody w bidecie.

Gdy Emma otruła się i umarła, byliśmy we Włoszech. (Mniej więcej w tym samym czasie przyglądałem się prostytutce z cieniem wąsika nad górną wargą i biedny Tomek mnie na tym przyłapał).

– „Niebawem zaczęła wymiotować krwią” – czytałem na głos. Wówczas rozumiałem chyba to, czego nie akceptował Atkins – choć przyciągało mnie jak magnes – nie przewidziałem jednak rozmachu jego dezaprobaty. Gdy koniec był bliski i Emma wymiotowała krwią, zaczął wiwatować.

– Czy ja dobrze rozumiem, Tomku. – Przerwałem lekturę tuż przed tym, gdy Emma zaczyna krzyczeć. – Chcesz powiedzieć, że Emma dostała to, na co zasłużyła, tak?

– No jasne, że zasłużyła, Bill. Patrz, co narobiła! Jak się zachowywała! – krzyknął.

– Poślubiła najnudniejszego faceta we Francji, ale się szlaja, więc niech zdycha w męczarniach... To chciałeś powiedzieć? Emmie Bovary się nudziło, Tomku. Gdyby nudziła się dalej, miałyby prawo spokojnie umrzeć we śnie, tak?

– Ty się nudzisz, prawda? Znudziłem ci się, tak? – spytał żałośnie.

– Nie wszystko kręci się wokół nas, Tomku – odpowiedziałem.

Miałem pożałować tej rozmowy. Po latach, gdy Tom Atkins umierał – w czasie kiedy wiele świątobliwych duszy czek wychodziło z założenia, że on i jemu podobni zasłużyli na śmierć – żałowałem, że go zawstydziłem i że kiedykolwiek sprawiłem mu przykrość.

Był dobrym człowiekiem, po prostu brakowało mu pewności siebie i potrafił zameczyć swoją obecnością. Należał do chłopców, którzy wiecznie czuli się niekochani i wyjechał ze mną w podróż z głową pełną nierealistycznych oczekiwań. Bywał zaborczy i uciekał się do manipulacji, lecz wynikało to jedynie z nadziei, że zostanie miłością jego życia. Obawiał się chyba, że zawsze będzie niekochany; wyobrażał sobie, że jedna wspólna podróż załatwi wszystko.

Co do mnie, latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku stanowiłem całkowite przeciwieństwo Toma Atkinsa: ja dopiero rozwijałem skrzydła!

Parę stron dalej Emma umiera przy wtórze postukiwania kija i ochryplego śpiewu ślepego. Odchodzi na tamten świat, mając przed oczami „ohydłą twarz nędzarza, która wychynęła z piekielnych czeluści jak upiór”.

Atkins trząsał się ze zgrozy i poczucia winy.

– Nie życzyłbym tego nikomu, Bill! Wcale nie myślałem, że na to zasłużyła... Ja nie mówiłem serio!

Przytuliłem go, kiedy płakał. „Pani Bovary” nie jest horrorem, Atkins uznał jednak, że wręcz przeciwnie. Miał bardzo jasną cerę i piegowatą klatkę piersiową oraz plecy; kiedy tracił panowanie nad sobą i wybuchał płaczem, różowiał, jakby dostał w twarz, a jego piegi stawały w ogniu.

Gdy dotarłem do fragmentu, gdy Karol znajduje list Rudolfa do Emmy (i w swojej głupocie wierzy, iż niewierna żona i Rudolf kochali się „platonicznie”), Atkins wzdrygał się, jakby z bólu.

– „Zresztą Karol nie był z tych, co wnikają w sedno rzeczy” – ciągnąłem, a biedny Tomek jęczał.

– Ach, Bill... Nie, nie, nie! Błagam, powiedz mi, że nie jestem taki jak Karol! Ja wnikam w sedno rzeczy – krzyknął. – Ach, Bill! Ja naprawdę wnikam! – I znów się rozplakał, jak w chwili swojej śmierci, gdy naprawdę wniknął w sedno rzeczy. (Takiego sedna nie spodziewał się żaden z nas).

– Czy piekielne czeluście naprawdę istnieją, Bill? – spyta któregoś dnia. – I czeka w nich twarz upiora?

– Ależ nie, Tom – spróbuję go uspokoić. – Będzie to po prostu czeluść, żadnych upiorów i nic z tych rzeczy... lub bardzo jasne, cudowne światło i mnóstwo pięknych rzeczy do obejrzenia.

– Ale bez upiorów... tak? – upewni się biedny Tom.

– Zgadza się, Tomku... bez upiorów.

Latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku, gdy kończyłem czytać „Panią Bovary”, jeszcze przebywaliśmy we Włoszech; Atkins był w takiej rozsypce, że musiałem zakradać się do ubikacji i czytać po kryjomu. Kiedy nadeszła chwila czytania na głos, opuściłem kawałek o sekcji Karola – gdy otwierają go i nie znajdują nic. Wołałem nie myśleć o reakcji Toma na dźwięk tego słowa. („Jak to nic, Bill?!”, słyszałem w myślach).

Być może zawinił opuszczony akapit, w każdym razie zakończenie „Pani Bovary” sprawiło Atkinsowi zawód.

– Nie czuję się usatysfakcjonowany – narzekał.

– Co powiesz na obciążanie, Tom? – spytałem. – Pokażę ci satysfakcję.

– Mówiłem poważnie, Bill – Atkins się nadał.

– Ja też, Tom... ja też – odpowiedziałem.

Nic dziwnego, że po powrocie nasze ścieżki rozeszły się na zawsze. Łatwiej było przez jakiś czas utrzymać sporadyczną, acz serdeczną korespondencję, niż spotykać się na gruncie towarzyskim. Na studiach zamilkł na parę lat; spodziewałem się, że próbuje z dziewczyną, ale ktoś powie dział mi, że bierze i w brutalny sposób został zdemaskowany. (W Amherst, Massachusetts!). Na początku lat sześćdziesiątych słowo „homoseksualizm” pobrzmiwało jeszcze z lekka klinicznie; homoseksualiści nie mieli oczywiście żadnych „praw”, nie byliśmy nawet „grupą”. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku mieszkałem jeszcze w Nowym Jorku i nawet tam nie istniało nic w rodzaju gejowskiej „społeczności”, ani „społeczności” w ogóle. (Człowiek szukał okazji i tyle).

Częstotliwość, z jaką wpadaliśmy na siebie u lekarza, dowodziła społeczności innego rodzaju; żartuję, ale odnosiłem wrażenie, że tryper to nasz chleb powszedni. I dowiedziałem się od mojego lekarza geja, że biseksualiści powinni stosować prezerwatywy.

Nie pamiętam, czym to uzasadnił i czy zapytałem go o przyczynę; pewnie wziąłem ów przejaw braku życzliwości za kolejny dowód niechęci wobec biseksualistów lub przypomniał mi doktora Harlowa w wersji homo. (W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku znałem wielu gejów; ich lekarze nie wspominali im o kondomach).

Pamiętam ten incydent, bo właśnie przymierzałem się do wydania pierwszej powieści i spodobała mi się pewna kobieta; oczywiście nadal spotykałem się z mężczyznami. Zacząłem stosować prezerwatywy nie tylko z powodu lekarza (nie lubił biseksualistów); po części była to zasługa Esmeraldy, za którą bardzo tęskniłem – naprawdę.

Tak czy siak, kolejną wiadomość od Toma Atkinsa otrzymałem jako użytkownik prezerwatyw, a biedny Tomek miał żonę i dzieci. Jakby tego było mało, nasza korespondencja ograniczyła się do kartek świątecznych! Dowiedziałem się z załączonego zdjęcia, że Tom Atkins ma dzieci – chłopca i młodszą dziewczynkę. (Chyba nie muszę dodawać, że nie zaproszono mnie na ślub).

Zimą tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku oficjalnie zostałem pisarzem. Za namową kobiety, którą poznałem w Nowym Jorku, w czasie gdy zacząłem stosować kondomy, wyjechałem do Los Angeles; miała na imię Alice i była scenarzystką. W pewnym sensie odetchnąłem z ulgą, gdy oznajmiła mi, że nie jest zainteresowana „adaptacją” mojej powieści.

– Dam sobie spokój – oznajmiła. – Nasz związek jest dla mnie ważniejszy niż praca.

Powtórzyłem jej słowa Larry'emu w nadziei, że się do niej przekona. (Widział ją tylko raz i nie przypadła mu do gustu).

– Zastanów się nad jej słowami, Bill – odparł. – A co jeśli rozpuściła wici po wszystkich studiach i nikt nie był zainteresowany?

Cóż, mój kumpel Larry pierwszy powiedział mi, że moja powieść nie zostanie sfilmowana; powiedział też, że nie spodoba mi się w L.A., przy czym chodziło mu raczej (lub miał nadzieję), że nie spodoba mi się życie z Alice. „To nie twoja dublerka, Bill”, oznajmił.

Ale spodobało mi się życie z Alice. Mieszkałem już wcześniej z kobietami, lecz tylko ona wiedziała o moim biseksualizmie. Twierdziła, że to nieważne. (Też była biseksualna).

To także pierwsza kobieta, z którą rozmawiałem o dziecku – lecz podobnie jak we mnie, monogamia nie budziła w niej entuzjazmu. Pojechaliśmy do Los Angeles z szumną wiarą w trwałą wyższość przyjaźni; byliśmy przyjaciółmi i oboje wychodziliśmy z założenia, że pojęcie „pary” idzie do lamusa. Dopuszczaliśmy kochanków, choć z pewnymi ograniczeniami – to znaczy, Alice nie oponowała, kiedy spotykałem się z mężczyznami, a ja nie miałem nic przeciwko, gdy widywała kobiety.

„Oho, powiedziała Elaine, nie sądzę, aby taki układ się sprawdził”.

Nie uważałbym jej wówczas za autorytet w kwestii „układów”, poza tym w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku przebąkiwała jeszcze, byśmy zamieszkali razem. Trwała jednak w uporze na temat posiadania dzieci; nie zmieniała zdania co do rozmiaru ich główek.

Alice i ja wierzyliśmy też naiwnie w trwałą wyższość pisarzy. Naturalnie nie postrzegaliśmy się jako rywali; ona była scenarzystką, a ja pisarzem. Co mogło nie wypalić? („Oho”, jak powiedziała Elaine).

Zapomniałem, że moja pierwsza rozmowa z Alice dotyczyła komisji poborowej. Gdy wezwano mnie na badania lekarskie – nie pamiętam dokładnie, kiedy to było ani wielu innych szczegółów, bo miałem tego dnia strasznego kaca – zazaczyłem rubrykę, w której była mowa o „skłonnościach homoseksualnych” – co wyszeptalem pod nosem z austriackim akcentem, jak gdyby Herr Doktor Grau żył i ze mną rozmawiał.

Wojskowy psychiatra, nadęty porucznik (jego pamiętam) przesłuchiwał mnie przy otwartych drzwiach – na użytek oczekujących rekrutów – ale ja miałem już za sobą chrzest bojowy. (Vide Kittredge).

– I co? – spytała Alice, gdy jej o tym opowiadałem. Była świetnym słuchaczem; zawsze sprawiała wrażenie, jakby nie mogła się doczekać dalszego ciągu. Jednakże tym razem zniecierpliwił ją wymijający charakter anegdoty.

– Nie lubisz dziewcząt? – spytał porucznik.

– Ależ lubię... lubię dziewczęta – odpowiedziałem.

– To o co chodzi z tymi „skłonnościami homoseksualnymi”?

– Bo facetów też lubię.

– Tak? Wolisz facetów niż dziewczęta? – Mówił donośnym głosem, rekruci musieli słyszeć.

– Och, trudno się zdecydować – odparłem z lekka bez tchu. – Tak naprawdę wszystkich lubię jednakowo!

– Aha. I myślisz, że ta tendencja się utrzyma?

– No, mam nadzieję! – Zabrzmiało entuzjastycznie. (Alice uwielbiała tę historię, a przynajmniej tak twierdziła. Jej zdaniem byłaby to zabawna scena w filmie).

– Słowo „zabawna” powinno ci zapalić światelko, Bill – powie mi kiedyś Larry, gdy wrócę do Nowego Jorku. – Albo „film”.

Mogłem się zaniepokoić, że Alice w czasie naszych rozmów robi notatki.

– Kto zapisuje rozmowy? – spytał retorycznie Larry, dodając mimochodem: – I komu z was

odpowiada, że ona nie goli się pod pachami?

Jakieś dwa tygodnie po tym, gdy zaznaczyłem rubrykę ze „skłonnościami seksualnymi”, czy jakoś tak, otrzymałem pismo z komisji poborowej z informacją o mojej klasyfikacji – bądź reklasyfikacji. Zdaje się, że dostałem kategorię 4-F; uznano mnie „niezdolnym” do służby wojskowej w oparciu o „przyjęte normy fizyczne, psychiczne i moralne”.

– Co dokładnie było w tym piśmie? – Alice się zirytowała.

– Nie może ci się „zdawać”, że dostałeś kategorię 4-F.

– Nie pamiętam... wszystko jedno – odpowiedziałem.

– Musisz być taki wymijający? – spytała. To też powinno mnie zaniepokoić.

Niebawem dostałem kolejny list, chyba z komisji poborowej, a może nie, z poleceniem, abym udał się do psychiatry.

Napisałem do dziadka Harry’ego; on i Nils znali prawnika, który załatwiał ich sprawy. Prawnik stwierdził, że nie mam obowiązku iść do psychiatry, toteż nie poszedłem i dali mi spokój. Traf chciał, że wspomniałem o tym – co prawda przelotnie – w swojej pierwszej powieści. Nie podejrzewałem, że to właśnie moja powieść najbardziej interesuje Alice; sądziłem, że ciekawi ją każdy najmniejszy szczegół dotyczący mojej osoby.

„Większość miejsc, które opuszczamy w dzieciństwie, bardziej traci, niż zyskuje na atrakcyjności”, napisałem. (Alice powiedziała mi, że uwielbia to zdanie). Narrator jest ujawnionym gejem zakochanym w głównym bohaterze, który odmawia zakreślenia rubryki o „skłonnościach”; ukrywając prawdę o sobie, zginie w Wietnamie. W pewnym sensie to opowieść, jak nieujawnienie się może doprowadzić do śmierci.

Któregoś dnia zauważyłem, że Alice jest dziwnie pobudzona. Robiła wiele rzeczy naraz i nigdy nie wiedziałem, nad którym scenariuszem pracuje. Uznałem, że przeżywa jakiś, lecz wyznała mi, iż jeden z producentów „nęka” ją o mnie i moją pierwszą powieść.

Często mówiła o nim lekceważąco. Czasem nazywała go „pan Marker”, a ostatnio „pan Kredka”. Wyobrażałem sobie wymuskanego elegancika w stroju do golfa, oczywiście kolorowym. (Stąd „kredka”).

Alice przyznała, że pan Kredka poprosił ją o „udział” w zrobieniu filmu na podstawie mojej powieści – jeśli w ogóle zostanie nakręcony. Musiał wiedzieć, że ona ze mną mieszka; pytał, czy wyraziłbym zgodę na wprowadzenie „pewnych” zmian.

– Takich tam drobiazgów, jak to w scenariuszu – dodała wykrętnie. – Ten facet zadaje mnóstwo pytań.

– Na przykład jakich? – dociekałem.

Producent pytał Alice, w którym momencie wypływa kwestia „służby ojczyźnie”. Zdziwiło mnie pytanie; uważałem swoją powieść za manifest przeciwko wojnie w Wietnamie.

Jednakże zdaniem pana Kredki mój nieujawniony bohater nie zaznacza rubryki o „skłonnościach” powodowany poczuciem obowiązku wobec kraju, a nie strachem – woli zginąć w niesprawiedliwej wojnie niż się ujawnić.

Producent uznał, iż „nasz głos zza kadru” (czyli mój narrator) przyznaje się do homoseksualizmu z tchórzostwa; powiedział nawet „musimy dać do zrozumienia, że udaje”. „Udawaniem” chciał zastąpić moją koncepcję z powieści – w myśl której ujawnienie się dowodzi jego odwagi!

– Co to za jeden? – zapytałem Alice. Nikt nie przyszedł do mnie w sprawie praw do sfilmowania powieści, wciąż należały do mnie. – Wygląda, że ktoś pisze scenariusz – stwierdziłem.

Alice stała do mnie tyłem.

– Nie ma żadnego scenariusza – wymamrotała. – Ciekawi go, jaki jesteś.

– Nie znam go. A jaki on jest, Alice?

– Próbowałam oszczędzić ci tego spotkania, Bill – ucięła. Mieszkaliśmy w Santa Monica; Alice zawsze prowadziła, więc oszczędzała mi też jeżdżenia. Siedziałem w domu i pisałem. Mogłem się przejść na Ocean Avenue i popatrzeć na bezdomnych – lub pobiegać po plaży.

Jak to ujął Herm Hoyt? „Atak i odwrót... Umiesz biegać, prawda?”

Zacząłem biegać w Santa Monica w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym. Niedługo miałem skończyć dwadzieścia siedem lat, pisałem już drugą powieść. Minęło osiem lat, odkąd panna Frost i trener pokazali mi „chwyt”; pewnie trochę zardzewiałem. Bieganie spadło mi jak z nieba.

Alice zawiozła mnie na spotkanie. Wokół jajowatego stołu w szklanym, nasłonecznionym budynku w Beverly Hills zebrało się czterech lub pięciu producentów, ale mówił tylko pan Marker.

– Przedstawiam wam Williama Abbotta, pisarza – oznajmił; pewnie byłem skrepowany, lecz odniosłem wrażenie, że na dźwięk słowa „pisarz” tamci zrobili niewyraźne miny. Ku mojemu zdziwieniu pan Kredka okazał się abnegatem. Przezwisko „Marker” nawiązywało do wodoodpornego pióra, które obracał w dłoni. Nie cierpię tych pisaków. Jak w ogóle nimi pisać – przebijają na drugą stronę i robi się bałagan. Według mnie nadają się jedynie do zwizganych uwag na marginesach scenariuszy – wiecie, dosadnych sformułowań w stylu „Ale chłam!” lub „Do dupy z tym!”

Za to pochodzenie „Kredki” stanowiło dla mnie zagadkę, bo gość był niechlujem w czerni. Należał do producentów, którzy kreują się na artystów niesprecyzowanego rodzaju: miał na sobie czarny podkoszulek, czarny dres z plamami od potu i czarne adidas. Był wysportowany; dopiero zacząłem biegać, więc od razu widziałem, że biega częściej. W golfa nie grał, wymagał od sportu więcej pary.

– Może pan Abbott podzieli się z nami swoimi przemyśleniami – powiedział, kręcąc markerem.

– Powiem wam, gdy wezmę na poważnie służbę ojczyźnie – zacząłem. – Stanie się to, kiedy zniosą prawo lokalne, stanowe i federalne, które potępia dobrowolne akty homoseksualne wśród ludzi dorosłych; gdy psychiatrzy przestaną robić ze mnie i moich przyjaciół klinicznie anormalnych, medycznie niedorozwiniętych dziwolągów, którzy wymagają „leczenia”; kiedy media przestaną przedstawiać nas jako zniewieściałych pedofilów i zbrojców! Właściwie to kiedyś chciałbym mieć dzieci. – Spojrzałem na Alice, lecz siedziała ze spuszczoną głową i podpartym czołem, zasłaniając oczy. Była w dzinsach i męskiej koszuli z podwiniętymi rękawami, zawsze tak się ubierała. W słońcu połyskiwały jej owłosione ramiona.

– Krótko mówiąc – podjąłem – rozważę służbę ojczyźnie, gdy ta pokaże, że nie ma mnie w nosie! (Przećwiczyłem tę tyradę, biegając po plaży – z przystani Santa Monica do miejsca, gdzie Chautauqua Boulevard kończy się przy autostradzie Pacific Coast, i z powrotem – ale nie przewidziałem, że włochata przyszła matka moich dzieci i producent z własną wizją mojej powieści są w zmowie).

– Wiecie, co mi się podoba? – wtrącił pan Kredka. – Ten głos narratora opowiadającego o dzieciństwie. Jak to szło, Alice? – spytał. Wtedy zrozumiałem, że z nią sypia; zdradził go sposób, w jaki zadał pytanie. A skoro była mowa o głosie, ktoś pisał scenariusz.

Alice zrozumiała, że już po niej. Z ręką na czole, wciąż zasłaniając oczy, wyrecytowała z rezygnacją:

– „Większość miejsc, które opuszczamy w dzieciństwie, bardziej traci, niż zyskuje na atrakcyjności”.

– Właśnie! – krzyknął producent. – Tak mi się podoba, że wrzucimy to na początek i na

koniec. Może być, nie? – zwrócił się do mnie, ale nie czekał na odpowiedź. – Liczy się ton, co nie, Alice?

– Wiesz, że uwielbiam to zdanie, Bill – wybąkała Alice, nie podnosząc głowy. Może pan Kredka miał kolorową bieliznę, pomyślałem. Lub pościel.

Nie mogłem tak po prostu wstać i wyjść. Nie wiedziałem, jak dojechać do Santa Monica z Beverly Hills; w naszej niedosłej rodzinie to Alice siedziała za kółkiem.

– Spójrz na to tak, drogi Billu – powiedział Larry, kiedy jesienią tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku wróciłem do Nowego Jorku. – Gdybyś z tą podstępną małpą spłodził dzieci, miałyby owłosione pachy. Kobiety, które chcą mieć dzieci, są zdolne do wszystkiego!

Ale ja chyba chciałem mieć dzieci – dobrą, może z kimkolwiek – tak samo jak Alice. Od pomysłu z czasem odstąpię, lecz z chęcią nie pójdzie mi tak łatwo.

– Myślisz, że byłabym dobrą matką, Williamie? – spytała kiedyś panna Frost.

– Ty? Fantastyczną! – odpowiedziałem.

– Oczywiście nigdy się tego nie dowiem – dodała.

– Myślę, że byłabyś cudowną matką. – Naprawdę tak uważałem.

Wtedy nie rozumiałem, czemu tak obstaje przy „nigdy”, ale teraz już wiem. Porzuciła myśl o posiadaniu dzieci, jednak pragnienie pozostało.

W tej głupiej sprawie z Alice i filmem najbardziej wkurzyło mnie, że gdy w czerwcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku policja zrobiła nalot na Stonewall Inn, gejowski bar w Greenwich Village, ja mieszkalem w Los Angeles. Przegapiłem Stonewall! Wiem, że zaczęło się od ulicznych zamieszek z udziałem drag queens, lecz późniejsze demonstracje na Sheridan Square – dzień po nalocie – wyznaczyły pewien początek. Nie byłem zachwycony, że tkwię w Santa Monica i biegam po plaży w oczekiwaniu na świeżą porcję wieści z Nowego Jorku. Larry nie był ze mną w Stonewall – ani razu – i wątpię, czy tamtego czerwcowego wieczoru znajdował się wśród gości, którzy postawili się policjantom. Ale z jego tyrad wynikało, że to on przecierał szlaki na Greenwich Avenue oraz Christopher Street i był stałym bywalcem Stonewall – a nawet trafił za kratki, choć, jak się później dowiedziałem, przebywał ze znajomymi w Hamptons lub z młodym wielbicielem poezji z Wall Street (o imieniu Russell), którego bzykał na Fire Island.

I dopiero po powrocie do Nowego Jorku Elaine wyznała, że gdy odwiedziła nas w Santa Monica, Alice próbowała ją poderwać.

– Czemu mi nie powiedziałaś? – spytałem.

– Billy, Billy – zaczęła dokładnie w stylu swojej matki. – Nie wiesz, że zakompleksiony kochanek zawsze stara się zdyskredytować przyjaciół?

Oczywiście, że wiedziałem, a przynajmniej powinienem. Dowiedziałem się od Larry’ego – o Atkinsie nie wspominając.

Mniej więcej w tym samym czasie przyszedł kolejny list od biednego Tomka. Na rodzinnej fotografii dołączonej do kartki na święta Bożego Narodzenia w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku przybył pies (labrador retriever); uderzyło mnie, że pociechy Toma chyba jeszcze są za małe na szkołę, ale po rozstaniu z Alice zwracałem na dzieci mniejszą uwagę. Już miałem wyrzucić kopertę, gdy wyfrunęła z niej niezauważona kartka: była to mozolna próba napisania recenzji mojej pierwszej powieści – jak się okazało, niezwykle łaskawa (koślawą będąc). Czas pokaże, iż wszystkie recenzje Toma zwieńczy to samo skandaliczne zdanie. „Jest lepsza niż »Pani Bovary«, Bill – nie wierzysz mi, ale naprawdę!”. Jedno wiedziałem na pewno – dla Atkinsa wszystko byłoby lepsze niż „Pani Bovary”!

Przyjęcie z okazji sześćdziesiątych urodzin Larry'ego odbyło się w mroźny, sobotni wieczór w lutym tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku. Nie byliśmy już kochankami – nawet okazjonalnie – ale nadal się przyjaźniliśmy. Niebawem miała się ukazać moja trzecia powieść – w okolicach moich urodzin, w marcu tego samego roku – i Larry już czytał szrotki. Uznał ją za moje największe osiągnięcie, czym trochę mnie przestraszył, nie słysząc bowiem z tajenia swoich zastrzeżeń.

Poznałem go w Wiedniu, gdy miał czterdzieści pięć lat; przez piętnaście lat przywykłem do wysłuchiwania jego złośliwości, w tym ciętych uwag na temat mojej osoby i dokonań.

Tymczasem mimo hucznej uroczystości – w eleganckim domu Russella, swojego wielbiciela z Wall Street – Larry wyróżnił mnie toastem za moje zdrowie. Zbliżały się moje trzydzieste szóste urodziny – nie byłem przygotowany na toast, zwłaszcza wśród jego w większości starszych i ach-jakże-ważnych znajomych.

– Chciałbym podziękować większości z was za to, że sprawiacie, iż czuję się młodszy... szczególnie kochanemu Billowi – zaczął Larry. (Dobra, może był nieco cięty na Russella).

Przyszło tylu starych przyków, że nie liczyłem na długą zabawę, ale nie spodziewałem się tak miłej uroczystości. Z nikim wówczas nie mieszkalem, miałem paru „dochodzących” – w większości moich rówieśników – i bardzo lubiłem młodą autorkę, która wykładała pisanie na uniwersytecie Columbia. Rachel była parę lat młodsza ode mnie, skończyła trzydziestkę. Wydała dwie powieści i pracowała nad zbiorem opowiadań; kiedyś poszedłem na jej zajęcia, bo studenci czytali moją powieść. Sypialiśmy ze sobą od paru miesięcy, ale nie braliśmy pod uwagę życia pod jednym dachem. Rachel miała mieszkanie na Upper West Side, a ja mieszkalem na skrzyżowaniu Third Avenue i East Sixty-fourth. Dzielił nas Central Park, i tak było dobrze. Rachel miała za sobą klaustrofobiczny związek z fanatycznym „amatorem obrączki”, ja miałem swoich „dochodzących”.

Na urodziny Larry'ego poszedłem z Elaine. Oboje bardzo się lubili; prawdę mówiąc, odnosiłem wrażenie, że do czasu mojej trzeciej powieści, tak wychwalanej przez Larry'ego, woli jednak jej twórczość. Nie przeszkadzało mi to: ja też wołałem, choć pisała w żółwym tempie. Wydała tylko jedną powieść i jeden mały zbiór opowiadań, ale pisała bez przerwy.

Wspomniałem, że wieczór był mroźny, gdyż pamiętam, że dlatego postanowiła prznocować u mnie; mieszkała w śródmieściu, gdzie od zaprzyjaźnionego malarza wynajmowała poddasze na Spring Street i było tam strasznie zimno. Nietrudno zgadnąć, jaki ziąb panował w tym samym czasie w Vermont.

Siedziałem w łazience, szykując się do snu, kiedy zadzwonił telefon. Przyjęcie nie trwało długo, lecz telefon o tej porze, mimo soboty, trochę mnie zdziwił.

– Odbierz, dobrze? – zawołałem do Elaine.

– A jeśli to Rachel? – odchrząknęła.

– Rachel cię zna... wie, że tego nie robimy, Elaine!

– Ale będzie dziwnie, mówię ci. – Podniosła jednak słuchawkę. – Halo, tu przyjaciółka Billy'ego, Elaine – usłyszałem. – Nie uprawiamy seksu, tylko nie chciałam marznąć u siebie – dodała.

Umylem zęby, a gdy wyszedłem z łazienki, Elaine milczała. Dzwoniący odwiesił słuchawkę lub postanowił jej nagadać – może jednak dzwoniła Rachel i Elaine niepotrzebnie odebrała, pomyślałem.

Wtedy zobaczyłem Elaine w moim łóżku; ubrana do spania w mój czysty podkoszulek leżała pod kołdrą ze słuchawką przyciśniętą do ucha i łyzy kapąły jej z oczu.

– Tak, powiem mu, mam – wyszeptwała.

Nie wyobrażałem sobie, w jakich okolicznościach pani Hadley chciałaby do mnie zadzwonić; skąd w ogóle miała numer. Dla Larry'ego była to ważna noc, więc uznałem, że może to nie koniec fajerwerków.

Kto umarł? Błyskawicznie rozważyłem krąg podejrzanych. Na pewno nie nana Victoria, ją spotkało to wcześniej. „Odeszła” po siedemdziesiątce – dziadek mówił o tym z nutą nostalgii, jakby jej zazdrościł. Może zazdrościł, sam miał już osiemdziesiąt cztery lata. Lubił spędzać wieczory w domu przy River Street, najczęściej w ubraniu żony.

Jeszcze nie popadł w demencję, która (niebawem) skłoni Richarda i mnie do umieszczenia go w domu opieki – wybudował go dla miasta z Nilsem Borkmanem. Wiem, że opowiadałem wam już tę historię – o tym jak mieszkańcy domu opieki (zwanym przez miejscową starszyznę „ośrodkiem”) skarżyli się, że Harry „zaskakuje” ich w przebraniu. Zastanawiałem się wówczas, czy po paru incydentach wciąż mieli prawo czuć się „zaskoczeni”. Ale natychmiast przenieśliśmy go z powrotem do domu i wynajęliśmy pielęgniarkę do całodobowej opieki. (To wszystko – i znacznie więcej – czekało mnie w niezbyt odległej przyszłości).

O nie, pomyślałem, gdy Elaine odkładała słuchawkę. Tylko nie dziadek Harry!

Błędnie przyjąłem, że Elaine czyta mi w myślach.

– Twoja mama, Billy. Twoja mama i Muriel zginęły w wypadku samochodowym... Nie chodzi o pannę Frost – rzuciła pospiesznie.

– Nie chodzi o pannę Frost – powtórzyłem, myśląc sobie, jak mogłem nie napisać do niej tyle lat? Nawet nie spróbowałem! Czemu nigdy jej nie odnalazłem? Miałaby sześćdziesiąt jeden lat. Nagle zdumiało mnie, że nie widziałem jej od siedemnastu lat i nie miałem o niej żadnych wieści. Nawet nie zapytałem trenera, czy coś wie.

Tamtej mroźnej nowojorskiej nocy w lutym tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku, mając prawie trzydzieści sześć lat, wiedziałem już, że z uwagi na mój biseksualizm skreślił mnie większość kobiet, a dla gejów nigdy nie będę w pełni godny zaufania.

Jakie zdanie miałyby o mnie panna Frost? Nie jako o pisarzu. Co pomyślałaby o moich związkach z kobietami i mężczyznami? Czy kiedykolwiek kogoś „chroniłem”? Dla kogo byłem naprawdę ważny? Jak mogłem dobijać czterdziestki i nikogo nie kochać tak szczerze, jak kochałem Elaine? Czemu nie sprostałem nadziejom, jakie musiała pokładać we mnie panna Frost? Chroniła mnie, ale z jakiego powodu? Czyżby tylko odroczyła moją rozwiązłość? To słowo zawsze miało negatywny wydźwięk, skoro bowiem geje byli bardziej – i z premedytacją – rozwiązli niż heterocy, biseksualistów oskarżano o największą rozwiązłość ze wszystkich!

Gdyby panna Frost spotkała mnie dzisiaj, kogo bym jej przypominał? (Nie mam na myśli wyborów, jakich dokonywałem, lecz liczbę – o „głębi” nie wspominając – moich związków).

– Kittredge – powiedziałem głośno. Ależ stosowałem wybiegi, by nie myśleć o matce! Nie żyła, ale ja nie mogłem lub nie chciałem o niej myśleć.

– Ach Billy, Billy... chodź tu do mnie. Tylko nie zaczynaj – powiedziała Elaine i wyciągnęła rękę.

Samochód prowadzony przez ciotkę Muriel zderzył się czołowo z pojazdem pijanego kierowcy, który zjechał na przeciwległe pasmo na trasie 30 w Vermont. Matka i Muriel wracały z cotygodniowych sobotnich zakupów w Bostonie; pewnie gadały jak nakręcone – o wszystkim i niczym – gdy samochód z grupą podchmielonych narciarzy nadjechał od strony Stratton Mountain i skręcił na południowy wschód na trasę 30. Mama i Muriel zmierzały na północny zachód; do zderzenia doszło gdzieś między Bondville i Rawsonville. Śniegu dla narciarzy nie brakowało, ale droga była sucha jak pieprz i posypana solą; przy dwunastu stopniach poniżej zera było za zimno na opady.

Policja stanowa stwierdziła, że moja matka i Muriel zginęły na miejscu; ciotka niedawno skończyła sześćdziesiąt lat, mama skończyłaby pięćdziesiąt osiem w kwietniu. Richard Abbott miał dopiero czterdzieści osiem. „Za młody na wdowca”, podsumował dziadek Harry. Wuj Bob też nie był stary – miał sześćdziesiąt jeden, jak panna Frost.

Elaine i ja wynajęliśmy samochód i razem pojechaliśmy do Vermont. Całą drogę klóciliśmy się o to, co „widzę” w Rachel, trzydziestoletniej pisarce, która wykładała na Columbii.

– Schlebia ci, kiedy młodym pisarzom podobają się twoje książki... albo nie widzisz, że się podlizują – zaczęła Elaine.

– Dzięki Larry’emu przynajmniej masz się na baczności przed starymi.

– Pewnie nie widzę... to znaczy tego, że Rachel mi się podlizuje. Ale Larry nigdy mi nie schlebiał – odpowiedziałem. (Elaine prowadziła; była agresywnym kierowcą, a za kółkiem stała się agresywna również pod innymi względami).

– Rachel ci się podlizuje, a ty tego nie widzisz – stwierdziła. Milczałem, więc dodała: – Jeśli chcesz znać moje zdanie, mam większe cycki.

– Większe niż...

– Rachel!

– Ach tak.

Elaine nigdy nie była „seksualnie” zazdrosna o moich kochanków, ale nie lubiła, gdy trzymałem z pisarzem młodszym od niej – bez względu na płeć.

– Rachel pisze w czasie terażniejszym: „idę, mówię, idzie, myślę”, i takie tam – oświadczyła.

– No tak...

– To całe „myślenie, wzdychanie, dumanie”... i takie tam! – krzyknęła.

– Tak, wiem... – zacząłem.

– Nie jestem wcale pewna, czy nie werbalizuje orgazmów: „Billy, dochodzę!”... i takie tam – burknęła.

– Hm, nie... nie przypominam sobie – odparłem.

– Przypuszczam, że to jedna z tych młodych pisarek, które rozpieszczają swoich studentów – uzupełniła.

Elaine uczyła więcej niż ja; nigdy nie kwestionowałem jej zdania na temat nauczania bądź pani Kittredge. Dziadek Harry miał gest i co roku odpalał mi co nieco na Boże Narodzenie. Łapałem okazjonalne fuchy, przeważnie na pół etatu, dawałem wykłady – zwykle nie dłużej niż jeden semestr. Nie to, że nie lubiłem uczenia, ale kolidowało z czasem, który poświęcałem na pisanie – lecz w wypadku wielu moich kolegów po piórze, w tym Elaine, było inaczej.

– Informuję cię, że lubię w Rachel nie tylko piersi – powiedziałem.

– Mam nadzieję, Billy.

– Jesteś z kimś? – spytałem.

– Znasz faceta, za którego prawie wyszła Rachel? – Elaine uśmiechnęła się, że nie słyszy.

– Z widzenia.

– Podrywał mnie – oznajmiła.

– Ach tak.

– Mówił, że Rachel kiedyś nasrała do łóżka... Tak mi powiedział, naprawdę – ciągnęła.

Pokręciłem głową.

– Jak dotąd nic takiego się nie zdarzyło. Ale przyrzekam, że będę czujny.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Gdy opuściliśmy stan Nowy Jork i wjechaliśmy do Vermont, nieco na zachód od Bennington, na poboczach zaroilo się od martwych zwierząt. Większe zepchnięto na pobocze, ale nadal je widzieliśmy. Pamiętam dwa spore jelenie oraz niemalą kolekcję szopów i jeżozwierzy. W północnej Nowej Anglii ginie na drogach mnóstwo

zwierzyny.

– Mam poprowadzić? – spytałem.

– Jasne... bardzo cię proszę – odparła cicho Elaine. Stała na poboczu i zamieniliśmy się miejscami. Tuż przed Bennington znowu skręciliśmy na północ; zwiększyła się ilość śniegu w lasach, podobnie jak liczba zabitej zwierzyny.

– Ten facet wcale mnie nie podrywał, Billy – odezwała się Elaine, gdy od Nowego Jorku dzielił nas już szmat drogi. – Wymyśliłam też historię ze sraniem do łóżka.

– W porządku. – Wzruszyłem ramionami. – Jesteśmy pisarzami. Wymyślamy różne rzeczy.

– Ale wpadłam na kogoś, z kim studiowałeś. Daję słowo.

– Na kogo? Studiowałem gdzie?

– W Instytucie, w Wiedniu. Spotkałam twoją koleżankę. Kiedy cię poznała, powiedziałaś jej, że próbujesz dochować wierności dziewczynie w Stanach.

– Zgadza się, mówiłem tak niektórym dziewczętom.

– Powiedziałaś jej, że to ja byłam dziewczyną, którą zostawiłeś w Stanach.

Uśmieśliśmy się, po czym Elaine zapytała z powagą:

– A wiesz, co mi na to odpowiedziała?

– Nie. Co?

– Odpowiedziała „Biedactwo!”. To szczerza prawda, Billy – zapewniła.

Nie miałem co do tego wątpliwości. *Das Institut* był bardzo mały; wszyscy wiedzieli, że bzykam dublerkę – a potem sławnego amerykańskiego poetę.

– Gdybyś była moją dziewczyną, tobie byłbym wierny... Przynajmniej bym się starał. – Odczekałem, aż wypłacze się na fotelu pasażera.

– Gdybyś był moim chłopakiem, też bym się starała, Billy – wykrztusiła wreszcie.

Jechaliśmy na północny wschód, a potem na zachód od Ezra Falls, obok Favorite River na północ od szosy. Mimo mrozu rzeka nie była całkowicie skuta lodem. Oczywiście brałem pod uwagę dzieci z Elaine, lecz nie mówiłem o tym: nie zmieniła zdania na temat wielkości dziecięcych główek – w jej mniemaniu ogromnych.

Gdy jechaliśmy River Street, obok budynku, gdzie dawniej mieściła się biblioteka – a teraz siedziba towarzystwa historycznego – Elaine powiedziała:

– Przed stu laty ćwiczyliśmy nasze kwestie z „Burzy” na mosiężnym łóżku.

– Prawie dwadzieścia lat temu, tak. – Nie myślałem o „Burzy” ani kwestiach; łóżko obudziło inne wspomnienia. Marne siedemnaście lat po tym, gdy bibliotekarka w niesławie opuściła miasto, przyszło mi do głowy, że w piwnicznej sypialni mogła chronić (lub nie) także innych młodych chłopców.

Tylko jakich? Nagle przypomniałem sobie, że nigdy nie widywałem tam dzieci. Co do nastolatków, zdarzały się dziewczęta, pokutnice z liceum w Ezra Falls. W miejskiej bibliotece nigdy nie spotkałem nastoletnich chłopców – nie licząc wieczoru, kiedy pojawił się tam Tom Atkins.

Chłopców zniechęcano do wizyt w bibliotece. Przecież żaden odpowiedzialny rodzic z First Sister nie naraziłby podrostrka na kontakt z transseksualnym zapaśnikiem, który tam rządził!

Nagle zrozumiałem, czemu tak późno dostałem kartę biblioteczną: nikt z mojej rodziny nie przedstawiłby mnie pannie Frost. Stało się to z inicjatywy Richarda Abbotta, któremu nie śmiano odmówić – ani storpedować jego dobro – dusznej i spontanicznej decyzji. Poznałem pannę Frost, bo Richardowi wydało się dziwne, że trzynastolatek nie jest zapisany do biblioteki.

– Dwadzieścia lat to niemal wieczność, Billy – mówiła Elaine.

Chciałem zaoponować, lecz słowa nie przeszły mi przez gardło. „Czuję, jakby to było wczoraj!”, chciałem krzyknąć, ale język stanął mi kołkiem.

Widząc, że płaczę, Elaine położyła mi rękę na udzie.

– Wybacz, że wspomniałam o mosiężnym łóżku, Billy. (Znała mnie na wylot; wiedziała, że nie płaczę nad matką).

Biorąc pod uwagę sekrety, nad którymi moja rodzina trzymała pieczę – ciche zмовы w miejsce czegoś na choćby mgliste podobieństwo szczerości – dziwne, że nie wychowano mnie w wierze, lecz kobiety Winthropów nie były religijne. Oszczędziły tej obłudy dziadkowi i mnie. Co do wuja Boba i Richarda Abbotta – wiedziałem, iż życie z Muriel i moją mamą musiało czasem przypominać obrządek i pociągać za sobą bezwzględne oddanie, jakiego wymaga post i droga krzyżowa razem wzięte.

– O co chodzi z tym czuwaniem? – spytał dziadek Harry. Najpierw pojechaliśmy do niego, na River Street; myślałem, że powita nas jako kobieta, a przynajmniej w ciuchach babci Victorii, ale wyglądał jak drwal: dzinsy, flanelowa koszula, nieogolony. – Czemu żywi mieliby czuwać nad ciałami zmarłych, nim zostaną pochowane? Mamy pilnować trupów? Bo sobie pójdą? – dodał.

Był luty w Vermont; pogrzeb przełożono na kwiecień, aż odtaje grunt. Pewnie dom pogrzebowy zaproponował uroczystość, więc dziadek się nakreślił.

– Jezu, będziemy czuwać nad nimi do wiosny! – wrzasnął.

Zaplanowano świecą uroczystość. Dziadek Harry miał duży dom; przyjdą krewni i znajomi na poczęstunek. Dopuszczano słowo „żałoba”, ale zwrotu „msza żałobna” już nie; Elaine i ja nie słyszeliśmy go ani razu. Harry był skołowany i roztargniony. Uznaliśmy, że nie wygląda na kogoś, kto właśnie stracił jedyne dzieci, obie córki; zachowywał się jak osiemdziesięcioczerolatek, który zgubił okulary – dziwnie łatwo tracił wątek. Zostawiliśmy go, żeby przygotował się na „przyjęcie”. Nie przesłyszeliśmy się – użył właśnie tego słowa.

– Oho – mruknęła Elaine, kiedy stamtąd wyjeżdżaliśmy.

Odkąd wyjechałem z First Sister, po raz pierwszy byłem w domu – czyli służbowym mieszkaniu Richarda w Bancroft Hall – w trakcie semestru. Ale to Elaine nie mogła się pogodzić z młodym wyglądem uczniów.

– Nie widzę nikogo, z kim mogłabym uprawiać seks – powiedziała.

Przynajmniej Bancroft wciąż był internatem chłopięcym; widok dziewcząt na terenie Akademii stanowił szok sam w sobie. Podobnie jak większość szkół z internatem w regionie, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku Favorite River przeszła na koedukację. Wujek Bob nie zasiadał już w komisji rekrutacyjnej, przeszedł do działu do spraw absolwentów. Mogłem sobie wyobrazić, jak zabiega o dobrą wolę (i datki) sentymentalnych absolwentów. Zamieszczał swoje apele w gazecie „The River Bulletin”, a jego pasją stało się tropienie tych, którzy stracili kontakt ze szkołą. (Nazywał te apele „Wołaniem o pomoc z działu »Gdzie jesteś?«”).

Gerry uprzedzała mnie, że zmiana stanowiska zaostrzyła jego pociąg do kieliszka, ale uważałem moją kuzynkę za ostatnią żyjącą kobietę Winthropów – rozwodnicą, lesbijską wersję nieubłaganie krytycznego genu. (Pamiętajcie, że zawsze bagatelizowałem rzekomy alkoholizm Boba).

Zmieniając temat: po powrocie do Bancroft Hall odkryliśmy, że Richard Abbott zapadł w milczenie, a państwo Hadley nie rozmawiają ze sobą. Ów brak komunikacji między Martha Hadley i jej małżonkiem nie zdziwił mnie; Elaine od dawna twierdziła, że rozwód jest im pisany. („Zrobią to bez hałasu, Billy – mają się gdzieś”). A Richard Abbott mi wyznał – jeszcze przed śmiercią matki, gdy mówił – że on i mama przestali spotykać się z Hadleyami.

Elaine i ja snuliśmy domysły nad przyczyną. Naturalnie pasowało to do dwudziestoletniej teorii Elaine, że jej matka kocha się w Richardzie. Swego czasu szalałem za obojgiem, więc cóż

mogłem dodać?

Zawsze uważałem, że matka nie zasługuje na Richarda Abbotta, a pan Hadley na Marthę. Nie tylko nie pamiętałem jego imienia, jeśli w ogóle je miał; krótki romans ze sławą – po protestach przeciwko wojnie w Wietnamie – kompletnie mi do niego nie pasował. Nigdy nie był zżyty z rodziną – córkę odsunął, nie miał wspólnego języka z żoną – a sprawa, która go pochłonęła (antywojenna kruczata na czele studentów), pogłębiła ów rozdźwięk i do reszty stracił kontakt ze światem dorosłych.

Tak to bywa w szkołach z internatem: czasem zdarza się nauczyciel niezadowolony z dorosłego życia i próbuje się odmłodzić. W wypadku pana Hadleya – w wersji Elaine – niefortunne pragnienie bycia uczniem po pięćdziesiątce zbiegło się z decyzją szkoły o przyjmowaniu dziewcząt. Było to dwa lata przed końcem wojny w Wietnamie.

– Oho – powiedziała jak zawsze Elaine, ale tym razem chciała coś dodać. – Jaką kruczatę poprowadzi po wojnie? Czym zajmie panienki?

Nie widzieliśmy wuja Boba do czasu „przyjęcia”. Właśnie przeczytałem jego tekst w ostatnim numerze gazetki; przy wzmiance na temat (mojego) rocznika – tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty pierwszy – zamieszczono płaczący apel w rubryce „Gdzie jesteś?”.

„Co się z tobą dzieje, Jacques’u Kittredge’u?” napisał wujek Bob. Po studiach licencjackich w Yale (tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty piąty rok), Kittredge ukończył trzyletnią szkołę dramatyczną z tytułem magistra. Od tamtej pory słuch po nim zaginął.

– Magistra czego? – zapytała Elaine ponad dziesięć lat temu, gdy nadeszła ostatnia wiadomość o Kittredge’u (lub od niego). Mógł to być wydział aktorski, reżyserski, operatorski, dźwięku lub montażu, może filmoznawstwo praktyczne i fotografia – a nawet wydział dramaturgii i krytyki. – Założę się, że jest zasranym krytykiem – stwierdziła.

Powiedziałem jej, że mam to w nosie i nie chcę wiedzieć.

Pokręciła głową.

– Owszem, chcesz. Nie nabierzesz mnie, Billy.

Rakieta siedział na tapczanie, a w zasadzie tonął w nim w salonie dziadka Harry’ego, bo tylko drużyna zapaśników dźwignęłaby wujka na nogi.

– Przykro mi z powodu cioci Muriel – powiedziałem. Wuj Bob wyciągnął do mnie rękę, rozlewając piwo.

– Cholera, Billy. Znikają ludzie, których nigdy byś o to nie podejrzewał.

– Znikają – powtórzyłem czujnie.

– Weźmy twojego kumpla z rocznika. Kto by pomyślał, że Kittredge przepadnie jak kamień w wodę?

– Nie myślisz, że nie żyje, co? – zapytałem.

– Myślę, że gdzieś się zaszył – odparł wujek. Tak przeciągał sylaby, że ostatnie słowo miało ze cztery i zrozumiałem, że po cichu, acz spektakularnie się zalał, chociaż goście dopiero przybywali.

Pod nogami miał puste butelki po piwie; upuszczając tę, z której skończył pić (i wylewać), zręcznie wkopał pod tapczan wszystkie prócz jednej – nawet na nie nie patrząc.

Zastanawiałem się kiedyś, czy Kittredge pojechał do Wietnamu; myślę, że stać go było na taki zryw. Znałem dwóch innych miejscowych zapaśników, którzy zginęli na wojnie. (Pamiętacie Rusznicę? Ja pamiętałem go jak przez mgłę; bezbłędnie oddał fanfaronadę Antonia, przyjaciela Sebastiana w „Wieczorze Trzech Króli”. A Maddena, wiecznie rozżalonego zawodnika wagi ciężkiej, który grał Malvolia w tym samym przedstawieniu? Madden zawsze uważał się za „wieczną” ofiarę, tyle zapamiętałem na jego temat).

Ale mimo stanu upojenia wuj Bob chyba czytał mi w myślach, bo rzekł nagle:

– Znając Kittredge, na pewno wykpił się od wojny.

– Na pewno – zgodziłem się.

– Bez urazy, Billy – dodał Rakietą, biorąc kolejną butelkę od jednej z kobiet, które przyszły do pomocy – rudowłosej, w wieku mamy lub Muriel. Kogoś mi przypominała, może pracowała z wujem dawniej lub dzisiaj.

– Zalał się, zanim tu przyszedł – oznajmiła Gerry, gdy stanęliśmy w kolejce do bufetu. Znałem jej dziewczynę; czasem występowała jako komik w klubie, do którego chodziłem w Village. Miała twarz pokerzysty i zawsze nosiła czarny, męski garnitur lub smoking z luźną, białą koszulą.

– Bez stanika – zauważyła kiedyś Elaine. – Ale koszula jest za duża i nie prześwituje. Ona nie chce pokazać, że ma piersi... ani jak wyglądają.

– Ach tak.

– Przykro mi z powodu twojej mamy, Billy – dodała Gerry. – Wiem, że była kompletnie dysfunkcyjna, ale to twoja matka.

– Przykro mi z powodu twojej – odpowiedziałem. Dziewczyna Gerry prychnęła jak koń.

„Mniej pokerowo niż zwykle”, stwierdzi później Elaine.

– Niech ktoś zabierze mojemu cholernemu ojcu kluczyki – powiedziała Gerry.

Miałem oko na dziadka. Bałem się, że zwieje z przyjęcia i objawi się jako reinkarnacja babci Victorii. Nils Borkman też czujnie wodził za nim wzrokiem. (Jeśli była tam pani Borkman, nie widziałem jej lub nie poznałem).

– Trzymam rękę na pulsie, Bill – zapewnił Nils. – Zacznie brykać, to go zwiniemy.

– Brykać?

Lecz nagle odezwał się dziadek Harry:

– Dziewczynki zawsze się spóźniają. Nie wiem, gdzie są, ale na pewno przyjdą. Częstujcie się, jest mnóstwo jedzenia. Dla dziewczynek wystarczy.

W pokoju ucichło jak makiem zasiał.

– Mówiłem mu, że nie przyjdą, Bill. On wie, że nie żyją, tylko ma pamięć jak góra – szepnął Nils.

– Jak kura – poprawiłem odruchowo. Stary Norweg był dwa lata starszy od dziadka, wydawało się jednak, że nie tylko pod względem pamięci radzi sobie lepiej.

Zapytałem Marthę Hadley, czy Richard już coś powiedział. Nic, zamilkł, odkąd dowiedział się o wypadku. Często mnie przytulał, a ja jego, lecz obywaliliśmy się bez słów.

Pan Hadley tonął w myślach – co mu się często zdarzało. Nie pamiętałem, kiedy rozmawialiśmy o czymś innym niż wojna w Wietnamie; jego ulubionym tematem byli polegli tam uczniowie Akademii. Rzucił mi wyczekujące spojrzenie.

– Przygotuj się – szepnęła Elaine. – Nadciąga kolejna śmierć, o której nie wiedziałeś.

Obyło się bez wstępu, jak zawsze z panem Hadleyem. Był nauczycielem historii, on tylko oznajmiał.

– Pamiętasz Merryweathera? – spytał.

Tylko nie Merryweather, pomyślałem. Owszem, pamiętałem go: kiedy kończyłem szkołę, był w przedostatniej klasie. Menedżer drużyny zapaśniczej – rozdawał pomarańcze podzielone na cząstki, zbierał rozrzucone ręczniki.

– Tylko nie Merryweather... nie w Wietnamie!

– Niestety – odparł pośepnie pan Hadley. – I Trowbridge... Pamiętasz Trowbridge'a, Billy.

– Tylko nie Trowbridge! – krzyknąłem; nie mogłem w to uwierzyć! Ostatni raz widziałem Trowbridge'a w piżamie! Kittredge przydybał go w drodze do łazienki, kiedy szedł umyć zęby. Dobiła mnie ta informacja.

– Niestety, Trowbridge też, Billy – ciągnął napsuszonym tonem pan Hadley. – Taki młody... Zobaczyłem, że dziadek Harry zniknął – w sensie innym niż użyty przez Boba.

– Mam nadzieję, że nie poszedł się przebrać – szepnął mi do ucha Nils Borkman.

Dopiero wtedy zobaczyłem pana Poggio, który tak lubił oglądać dziadka na scenie, jako kobietę. Gwoli ścisłości, zjawił się z żoną. Pamiętałem, że z kolei pani Poggio nie przepadała za scenicznymi wcieleniami Harry’ego. Odruchowo rozejrzałem się za Riptonami, zawsze tak pełnymi dezaprobaty – traczem Ralphem Riptonem oraz jego równie surową małżonką. Jeśli jednak przyszli złożyć hołd zmarłym, wymknęli się wcześniej – jak to zwykle robili w teatrze.

Zajrzałem do wuja Boba; na podłodze przybyło parę pustych butelek, których nie mógł już zlokalizować nogami i wkopać pod tapczan, więc go wyręczyłem.

– Nie masz zamiaru siadać za kierownicą, prawda? – zagadnąłem.

– Właśnie dlatego wrzuciłem ci do kieszeni kluczyki.

Sprzedałem kieszenie, ale odkryłem w nich tylko piłkę do squasha.

– To nie kluczyki, wujku. – Pokazałem mu piłkę.

– Komuś je wrzuciłem – upierał się.

– Jakież wieści z twojego rocznika? – spytałem. Był pijany; uznałem, że wezmę go z zaskoczenia. – Coś wiadomo o roczniku tysiąc dziewięćset trzydzieści pięć? – dodałem możliwie obojętnym tonem.

– Nic o dużym Alu, Billy. Powiedziałbym ci, wierz mi – odparł.

Dziadek Harry krążył wśród gości jako kobieta; przynajmniej miał świadomość, że jego córki nie żyją – i nie spóźnią się na przyjęcie, wbrew temu, co mówił wcześniej. Nils Borkman podążał za współnikami jakby szusowali razem na nartach, z karabinami przytroczonymi do pleców. Bob upuścił kolejną pustą butelkę, a ja wturlałem ją pod tapczan. Nikt nie zauważył butelek: dziadek – jako nie-dziadek – skutecznie pochłoniął uwagę wszystkich.

– Przykro mi z powodu twojej straty, Harry... twojej i mojej – wybełkotał wujek do dziadka, który miał na sobie spłowiałą, fioletową sukienkę, jedną z ulubionych babci. Niebieskoszara peruka przynajmniej była stosowna do wieku, powie Richard Abbott – kiedy znów zaczniesz mówić, czyli nieprędko. Dowiedziałem się od Nilsa Borkmana, że biust musiał pochodzić ze sklepu z kostiumami przy amatorskim teatrze, a może dziadek zwędził go z garderoby klubu dramatycznego.

Sucha, artretyczna dłoń, która podsunęła wujkowi nową butelkę, nie należała do rudowłosej kobiety, tylko Herma Hoyta – był tylko rok starszy od dziadka, lecz bardziej sponiewierany.

Gdy trenował Kittredge’a w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku, miał sześćdziesiąt osiem lat i wyglądał na gotowego do emerytury. Obecnie, w wieku osiemdziesięciu pięciu, był na emeryturze od piętnastu lat.

– Dzięki, Herm – mruknął Rakieta, podnosząc butelkę do ust. – Billy pyta o naszego starego znajomego, Ala.

– Jak tam twój nurek, Billy? – spytał trener Hoyt.

– Rozumiem, że nie miałeś od niej żadnych wieści, Herm – odpowiedziałem.

– Mam nadzieję, że ćwiczyłeś, Billy – ciągnął stary trener.

Opowiedziałem mu długą i zawiłą historię o pewnym biegaczu, którego poznałem w Central Parku.

Był w moim wieku; sądząc po kalafiorowatych uszach oraz pewnej sztywności w ramionach i karku, kiedy biegł, wywnioskowałem, że to zapaśnik. Gdy mu o tym powiedziałem, przyznał, że pomyślał to samo o mnie. „Ależ skąd, jedyny chwyt, jaki znam tylko z grubsza, to nurek pod rękę – zaprotestowałem. – Żaden ze mnie zapaśnik”. Jednakże Arthur – tak miał na imię – źle mnie zrozumiał. Uznał, że kiedyś trenowałem zapasy i przemawia przeze mnie skromność lub się

kryguję. Uczępił się tematu (jak to zapaśnik) i namawiał mnie, żebym znów spróbował. „Nauczysz się innych chwytów, jeszcze nie jest za późno!”, powtarzał. Należał do klubu w Central Park South, gdzie trenowało wielu facetów „w naszym wieku”. Twierdził, że bez trudu znajdzie partnera w swojej klasie wagowej. Nie dawał mi spokoju, bo miałem lat trzydzieści z kawałkiem i nie startowałem w żadnej drużynie. „Nigdy nie byłem w drużynie!”, przekonywałem. „Słuchaj, znam facetów, którzy nigdy nie brali udziału w rozgrywkach. A trenują do tej pory”. Doprowadzony do ostateczności jego nieustannym nagabywaniem, wreszcie wyznałem prawdę: „Jestem gejem – lub, ściśle rzecz biorąc, biseksem; byłem zapaśnik, z którym miałem romans, nauczył mnie paru chwytów – głównie dla samoobrony. Otrzymałem kilka wskazówek od jego byłego trenera”. „Chcesz powiedzieć, że nurek pod rękę to wszystko?”, spytał Arthur, a ja potwierdziłem.

– Jezu, Billy... – Trener Hoyt pokręcił głową.

– I to byłoby na tyle – podsumowałem. – A zatem nie ćwiczyłem nurka.

– Znam tylko jeden klub zapaśniczy w Central Park South – oznajmił Hoyt. – Całkiem niezły.

– Dowiedziawszy się prawdy, Arthur zarzucił temat moich treningów w klubie – uzupełniłem.

– Możliwe, że to nie byłby najlepszy pomysł – przyznał Herm. – Nie znam już tych chłopaków.

– Zakładam, że geje rzadko przychodzą tam uczyć się samoobrony, jak myślisz?

– Ten Arthur czytał twoje książki? – powiedział trener.

– A ty? – spytałem ze zdziwieniem.

– Jezu... pewnie, że czytałem. Tylko nie pytaj mnie, o czym są, Billy!

– A panna Frost? – rzuciłem. – Czy ona czytała moje książki?

– Uparty, nie? – wtrącił wuj Bob.

– Wie, że jesteś pisarzem, Billy... Wiedzą o tym wszyscy, którzy cię znają – skwitował trener.

– Mnie też nie pytaj, o czym piszesz, Billy – dodał wuj Bob. Upuścił pustą butelkę, a ja wkopałem ją pod tapczan. Rudowłosa przyniosła kolejne piwo dla Rakiety. Przypomniałem sobie, skąd ją znam – wydawała obiady w stołówce Akademii Favorite River. Ostatnio widziałem ją, gdy miała po czterdzieście; pochodziła z przeszłości, która zawsze miała mi towarzyszyć.

– Ten klub to Nowojorski Klub Sportowy; na pewno mają tam inne dyscypliny, lecz zapasy stały na wysokim poziomie, Billy. Mógłbyś poćwiczyć – oznajmił Herm. – Spytaj tego Arthura. Po tylu latach przerwy przydałoby ci się nieco praktyki.

– A jeśli zapaśnicy dadzą mi łupnia, Herm? Czy nie wzięłyby w łeb motywy twoje i panny Frost?

– Bob śpi i się złał – zauważył nagle trener.

– Wujku... – zacząłem, ale Herm złapał Rakieta za ramiona i nim potrząsnął.

– Przestań lać, Bob! – krzyknął.

Bob zamrugnął zdezorientowany.

– Espana – powiedział na mój widok.

– Jezu, uważaj co mówisz, Bob – burknął trener.

– Espana – powtórzyłem.

– Tam jest... mówi, że nigdy nie wróci, Billy – bełkotał wuj.

– Kto? – zapytałem.

Jak pamiętacie, nasza jedyna rozmowa dotyczyła Kittredge'a; nie mogłem sobie wyobrazić, że mówi po hiszpańsku. Wiedziałem, że Rakieta nie ma na myśli Dużego Ala – to nie panna Frost przebywała w Hiszpanii z zamiarem pozostania tam na stałe.

– Bob... – Chciałem więcej od niego wyciągnąć, ale Rakieta znowu odpłynął. Widzieliśmy, że wciąż leje. – Herm... – zagadnąłem.

– Franny Dean, dawny menedżer drużyny, Billy: to on jest w Hiszpanii. Twój ojciec jest w Hiszpanii i dobrze mu tam... Wiem tylko tyle.

– Gdzie w Hiszpanii?

– España. – Wzruszył ramionami. – Gdzieś w Hiszpanii, Billy, tyle ci mogę powiedzieć. Grunt, że jest mu dobrze. Jest szczęśliwy i mieszka w Hiszpanii. Twoja mama nie była szczęśliwa, Billy.

Wiedziałem, że ma rację. Rozejrzałem się za Elaine; chciałem jej powiedzieć, że mój ojciec jest w Hiszpanii. Matka nie żyła, lecz ojciec – którego nie znałem – żył i miał się dobrze.

Lecz nim zdążyłem otworzyć usta, Elaine odezwała się pierwsza.

– Śpimy dzisiaj u ciebie, nie u mnie – uprzedziła.

– Dobrze...

– Bo jeśli Richard się obudzi i postanowi coś powiedzieć, musimy być przy nim.

– Jasne, ale wiesz, właśnie czegoś się dowiedziałem – zacząłem, ale nie słuchała.

– Obciągnę ci, Billy, w ramach skruchy – oznajmiła. Uznałem, że jest pijana, albo się przesłyszałem.

– Co ty gadasz? – Oslupiałem.

– Przepraszam za to, co powiedziałam o Rachel. Dlatego ci obciągnę – wyjaśniła. Wnioskując z liczby przeciąganych głosek, zdrowo się upiła.

– Nie musisz, Elaine.

– Nie chcesz obciążania, Billy? – „Obciążanie” miało z dziesięć sylab.

– Nie powiedziałem, że nie chcę. España – dodałem nagle, gdyż o tym chciałem rozmawiać.

– España? – powtórzyła. – Czy to hiszpańska metoda obciążania, Billy? – Potykała się lekko, gdy zaprowadziłem ją do dziadka Harry’ego.

– Spokojna głowa, Bill – odezwał się nagle Nils Borkman. – Rozładowuję karabiny! Chowam naboje!

– España – powtórzyła znów Elaine. – To coś gejowskiego, Billy? – szepnęła.

– Nie.

– Pokażesz mi, tak? – Język jej się plątał. Zrozumiałem, że pewnie zaśnie mi po drodze do Bancroft Hall.

– Kocham cię! – Podeszedłem do dziadka i objąłem go.

– Ja ciebie też, Bill! – odparł Harry, odwzajemniając uścisk. (Jego sztuczny biust miał rozmiar biustu ciotki Muriel, ale tego mu nie powiedziałem).

– Nie musisz za nic przepraszać, Elaine – zapewniłem, gdy wychodziliśmy.

– Nie żegnaj się z moimi rodzicami, Billy... Nie podchodź do mojego taty – poprosiła. – Chyba że chcesz posłuchać, kto padł.

Po Trowbridge’u, szczerze mówiąc, miałem dość. Nie pożegnałem się nawet z panią Hadley, bo widziałem, że jej mąż krąży w pobliżu.

– España – mruknąłem do siebie, wlokąc Elaine na trzecie piętro Bancroft Hall; dobrze, że nie szliśmy do niej, na cholerne pięte.

Gdy sunęliśmy korytarzem, znów musiało mi się wymknąć, bo Elaine podchwyciła.

– Trochę martwi mnie ta pozycja, Billy. Będzie mocno perwersyjnie?

Natknęliśmy się na chłopca w piżamie, w ręku trzymał szczoteczkę do zębów. Sądząc po jego przerażonej minie nie wiedział, kim jesteśmy, i niechący usłyszał słowa Elaine.

– Tylko się wygłupiamy – wyjaśniłem. – Nie będzie żadnych perwersji. Ani pozycji! – zakomunikowałem Elaine i chłopcu. (Z tą szczoteczką przypominał mi Trowbridge’a).

– Trowbridge nie żyje. Znałaś go? Zginął w Wietnamie – poinformowałem Elaine.

– Nie znałam żadnego Trowbridge’a – odparła. Podobnie jak ja, nie mogła oderwać wzroku

od chłopca w piżamie. – Ty płaczesz, Billy... Nie płacz, proszę cię. – Stanęliśmy wsparci o siebie i otworzyłem drzwi do cichego mieszkania Richarda. – Nie martw się, jego mama umarła. Nic mu nie będzie – powiedziała Elaine do chłopca ze szczoteczką. Ale ja widziałem Trowbridge’a i być może nie tylko jego; możliwe, że przed oczami stanęła mi lista ofiar z niedalekiej przyszłości.

– Billy, Billy... błagam cię, przestań płakać – prosiła Elaine. – O co ci chodziło? Jak to „nie będzie”? Myślisz, że ściemniam, Billy? Przecież mnie znasz; przestałam ściemniać. Już nie ściemniam, Billy – bełkotała.

– Mój ojciec żyje. Mieszka w Hiszpanii i jest szczęśliwy. To wszystko, co wiem, Elaine – odpowiedziałem. – Mój tata, Franny Dean, mieszka w Hiszpanii... España. – Ale nie dodałem nic więcej.

Zaraz za drzwiami zdarła z siebie płaszcz; w moim pokoju zdjęła buty i spódnicę, a teraz szarpała się z guzikami bluzki. Naraz półprzytomnie namierzyła łóżko i rzuciła się tam na oślep, jakimś cudem nie lądując na podłodze.

Ukląkłem obok niej na łóżku i zobaczyłem, że śpi; leżała jak kłoda, kiedy zdejmowałem jej bluzkę i łańcuszek. Zostawiłem ją w bieliźnie, po czym umościłem się obok.

– España – szepnąłem w mroku.

– Pokażesz mi, tak? – zapytała przez sen.

Zasnąłem, rozmyślając o tym, dlaczego nigdy nie szukałem ojca. Po części wychodziłem z założenia, że jeśli go interesuję, sam mnie znajdzie. Lecz tak naprawdę miałem wspaniałego ojca: Richard Abbott spadł mi jak z nieba. (Mama narzekała na swój los, ale jej też Richard spadł jak z nieba; nie wierzę, że nie była z nim szczęśliwa). Może nie szukałem Franny’ego Deana, bo chciałem być lojalny wobec ojczyma.

„Co się z tobą dzieje, Jacques’u Kittredge’u?”, napisał Rakietą; ta myśl również towarzyszyła mi przed snem.

Rozdział 12

ŚWIAT EPILOGÓW

Czy plagi obwieszczają swoje przybycie, czy na ogół zjawiają się niezapowiedziane? Dostałem dwa ostrzeżenia; swego czasu wydawały się przypadkowe, więc nie zwróciłem na nie uwagi.

Minęło parę tygodni od śmierci mamy, zanim Richard znów zaczął mówić. Dalej uczył w szkole – z rozpędu nawet wyreżyserował sztukę – ale nie miał nic osobistego do powiedzenia tym z nas, którzy go kochali.

Był kwiecień tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku, kiedy dowiedziałem się od Elaine, że rozmawiał z jej matką. Natychmiast zatelefonowałem do pani Hadley.

– Richard do ciebie zadzwoni, Billy – powiedziała. – Tylko nie spodziewaj się, że będzie taki jak dawniej.

– Jak się czuje? – spytałem.

– Mówię to z pewnym wahaniem – odparła Martha Hadley. – Nie chcę obwiniać Szekspira, ale nadmiar wisielczego humoru bywa męczący... jeśli chcesz znać moje zdanie.

Nie wiedziałem, co miała na myśli, więc czekałem na telefon od Richarda. Zadzwonił chyba w maju i od razu przeszedł do rzeczy, jakbyśmy w ogóle nie stracili z sobą kontaktu.

Biorąc pod uwagę żalobę, zakładałem, że nie zna mojej trzeciej powieści, lecz okazało się, że ją przeczytał.

– Te same tematy, ale w lepszym wydaniu; apel o tolerancję jest wciąż aktualny, Bill. Oczywiście każdy nie toleruje czegoś lub kogoś... Wiesz, czego ty nie tolerujesz, Bill?

– No?

– Nie tolerujesz nietolerancji... Zgadza się?

– To źle?

– I jesteś dumny ze swojej nietolerancji! – krzyknął Richard. – Kipisz uzasadnionym gniewem... a szczególnie wkurza cię nietolerancja wobec odmienności seksualnych. Bóg wie, że masz do tego prawo, Bill.

– Bóg wie – powtórzyłem ostrożnie. Nie byłem pewien, do czego zmierza.

– Różnice seksualne to dla ciebie rzecz święta... I słusznie!... Lecz nie zawsze jesteś tak wyrozumiały, co? – ciągnął.

– No cóż... – Urwałem. A więc do tego pił; już to słyszałem. Zdaniem Richarda „nie byłem na miejscu matki” w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku, kiedy się urodziłem; dlatego nie mam prawa jej oceniać. Ubolewał, że mam do niej żal, i dlatego robił mi wyrzuty.

– „Do miłosierdzia nie można przymusić^[14]”, jak mówi Porcja w scenie pierwszej aktu czwartego... ale wiem, że to nie twój ulubiony Szekspir, Bill – przypomniał Richard.

Owszem, klóciliśmy się o „Kupca weneckiego” na lekcjach, osiemnaście lat temu. Była to jedna z niewielu przerabianych przez nas sztuk Szekspira, których Richard nie wystawił na scenie. „To komedia, romantyczna komedia... z niemiłym akcentem”, mówił. Miał na myśli Shylocka, będącego uosobieniem szekspirowskiej niechęci do Żydów.

Wziąłem stronę Shylocka. Przemowa o „miłosierdziu” stanowiła mdły przejaw chrześcijańskiej hipokryzji; było to chrześcijaństwo w najbardziej zadufanym i ckliwym wydaniu. Tymczasem Shylock miał rację: to nienawiść do niego nauczyła go nienawiści. I słusznie!

„Bo jestem Żydem – mówi Shylock w scenie pierwszej aktu trzeciego. – Czy Żyd nie ma oczu? Czy Żyd nie ma rąk, twarzy, narządów, zmysłów, uczuć, namiętności?”. Ależ uwielbiam ten fragment! Ale Richard nie chciał, aby mu przypomniano, że zawsze brałem stronę Shylocka.

– Twoja mama nie żyje, Bill. Nie masz dla niej litości?

– Litości – powtórzyłem. Przypomniałem sobie jej nienawiść do homoseksualistów – odrzuciła mnie nie tylko z uwagi na podobieństwo do ojca, ale jego dziwną (i niepożądaną) orientację seksualną. – Jak to mówi Shylock? – spytałem. (Doskonale pamiętałem, a Richard wiedział, że się z tym identyfikuję).

„Ukłujcie nas – czyż nie będziemy krwawić? – pyta Shylock. – Połaskoczcicie – czyż nie będziemy chichotać? Otrujcie – czyż nie umrzemy?”.

– W porządku, Bill. Wiem, wiem. Jesteś tym w każdym calu.

– „A gdy nas skrzywdzicie – podjąłem, cytując Shylocka – czyż nie będziemy szukać pomsty? Skoro we wszystkim innym jesteśmy jak wy, to i w tym jesteśmy do was podobni”. I co zrobili Shylockowi, Richardzie? – spytałem. – Kazali mu przyjąć zasrany chrzest!

– To trudna sztuka, Bill... dlatego jej nie wystawiłem. Nie jestem pewien, czy nadaje się dla licealistów.

– Tak w ogóle co słyhać, Richardzie? – Miałem nadzieję na zmianę tematu.

– Pamiętam chłopca, który chciał poprawiać Szekspira... który najchętniej wyrzuciłby epilog z „Burzy” – odpowiedział.

– Też go pamiętam – odparłem. – Myliłem się co do tego epilogu.

– Jeśli żyjesz wystarczająco długo, Bill, epilog to twoja rzeczywistość – stwierdził.

To pierwsze ostrzeżenie, na które nie zwróciłem uwagi. Richard był tylko dwanaście lat starszy ode mnie; niewielka różnica, zwłaszcza teraz. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku byliśmy niemalże rówieśnikami. Miałem tylko trzynaście lat, kiedy zabrał mnie do biblioteki po pierwszą kartę – i obaj poznaliśmy pannę Frost. Gdy miałem lat dwadzieścia pięć Richard Abbott zdawał mi się zadziwiająco dobroduszny – stał się dla mnie wzorem.

Mając trzydzieści sześć lat, nie uznawałem żadnych autorytetów – nawet Larry’ego, już nie. Dziadek Harry, mimo swojej dobroci, budził we mnie coraz większą rezerwę; nawet ja (uosobienie tolerancji, tak siebie postrzegałem) wolałem jego dziwactwa na scenie. Podupadł nawet dawny autorytet pani Hadley, i choć słuchałem mojej przyjaciółki Elaine, coraz częściej przyjmowałem jej rady z przymrużeniem oka. (W sferze uczuciowej nie była lepsza ode mnie). Gdybym miał kontakt z panną Frost – nawet uwzględniając mój „bagaż” – pewnie nadal byłaby dla mnie autorytetem, ale nie miałem.

Z pewną ostrożnością posłuchałem rady trenera Hoyta: podczas następnego spotkania z Arthurem – moim rówieśnikiem, który ćwiczył zapasy i też biegał w Central Parku – zapytałem, czy wciąż mogę potrenować w Nowojorskim Klubie Sportowym (skoro już wiedział, że bardziej chodzi mi o samoobronę aniżeli sam sport).

Biedny Arthur. Należał do tych pocziwych heteryków, którym nawet się śniło być okrutnym lub choćby niegrzecznym dla gejów. Liberalny, tolerancyjny nowojorczyk, zawsze nie tylko chciał być fair – i był – ale przywiązywał wielką wagę do tego co „słuszne”. Na pewno „niesłusznie” byłoby odmówić mi wstępu do klubu tylko z powodu mojej orientacji.

Znajomi geje traktowali mój biseksualizm z rezerwą: czasem nie wierzyli, że naprawdę lubię kobiety, czasem też podejrzewali mnie o nieuczciwość (albo zostawianie sobie otwartej furtki). Dla wielu heteryków – nawet tych z najwyższej półki, jak Arthur – biseksualista był po prostu gejem. „Bi” równało się „gej”, i już. Stąd napotkał pewien opór, rozmawiając o mnie z kolegami w klubie.

Był koniec rozpasanych lat siedemdziesiątych; tolerancja dla odmienności seksualnych niekoniecznie uchodziła za normę, lecz Nowy Jork stanowił wyjątek – zwłaszcza w kręgach liberalnych. Ale czułem się winny wobec Arthura, który stanął przed poważnym wyzwaniem, Nowojorski Klub Sportowy stanowił bowiem wówczas istny bastion męskości.

Nie wiem, jak wydebił dla mnie karnet.

– Zwariowałeś, Billy? – spytała Elaine. – Życie ci niemiłe? Oni są anty-wszystko. Nie lubią Żydów i czarnych.

– Serio? Skąd wiesz?

– Kobiet też nie lubią... Bo wiem! – warknęła. – To irlandzki, katolicki klub sportowy, Billy; samo słowo „katolicki” powinno ci wystarczyć.

– Polubiłabyś Arthura. To miły facet, naprawdę.

– Pewnie żonaty. – Westchnęła.

Zdaje się, że nosił obrączkę na palcu. Nigdy nie kręciłem z żonatymi facetami – z mężatkami owszem, lecz tylko z nimi. Byłem biseksualny, ale moje dylematy należały do przeszłości. Nie cierpiałem dylematów żonatych mężczyzn – mówię o tych, którzy interesowali się gejami. Poza tym zdaniem Larry’ego, wszyscy żonaci faceci byli beznadziejnymi kochankami.

– Dlaczego? – spytałem kiedyś.

– Mają fioła na punkcie delikatności; pewnie żony dały im szkołę. Nie wiedzą, jaka to nuda.

– Nie zawsze – zaoponowałem.

– Wybacz, drogi Billu – odparł, protekcyjnie wywijając dłonią. – Zapomniałem, że jesteś „górami”.

Coraz bardziej lubiłem Larry’ego, jako przyjaciela. Polubiłem nawet jego złośliwości. Czytaliśmy wspomnienia cenionego aktora – „cenionego bi”, jak nazywał go Larry.

Ów aktor twierdził, że przez całe życie „lgnął” do starszych kobiet i młodszych mężczyzn. „Kiedy byłem młodszy, pisał, miałem wokół siebie wiele starszych kobiet, jednakże w miarę upływu lat zastąpili ich młodszy mężczyźni”.

– Jakie to wszystko poukładane – zauważyłem. – Nie sądzę, że kiedykolwiek będzie tak łatwo.

– Drogi Billu – zaczął swoim zwyczajem Larry, jak gdyby pisał ważny list. – Ten człowiek jest aktorem... to nie żaden bi, tylko gej. Nic dziwnego, że teraz ma wokół siebie młodszych facetów! Starsze kobiety były jedynymi, przy których czuł się bezpieczny!

– To nie mój profil, Larry.

– Przecież jesteś młody! – krzyknął. – Jeszcze zobaczymy, Bill... Wspomnisz moje słowa.

Gdy wstąpiłem do NKS, oczywiście kpinom i przestrogom nie było końca, zarówno ze strony kobiet, z którymi się spotykałem, jak i znajomych gejów. Nie wierzyli, że nie lecę na klubowych kolegów, lecz pociąg tego rodzaju bezpowrotnie minął chyba wraz z dojrzewaniem. (Dobra, czy bezpowrotnie – nie wiem). Heterocy rzadko mnie pociągali, a przynajmniej nie bardzo, a że wyczuwali to, podobnie jak Arthur, łatwiej mi było nawiązywać z nimi przyjaźnie.

Larry utrzymywał jednak uparcie, że uprawiam podryw ekstremalny, a Donna – ukochana, ale obraźliwa transseksualna przyjaciółka – określała moją „fiksację nurkiem” mianem samobójczej. (Krótco po tym oświadczeniu Donna znikła z Nowego Jorku – podobno widziano ją w Toronto).

Co do zapaśników z Nowojorskiego Klubu Sportowego, stanowili zróżnicowaną gromadkę – pod każdym względem, nie tylko w kontekście stosunku do mojej osoby. Przyjaciółki – w tym Elaine – uważały, że wreszcie kiedyś dostanę za swoje, ale nikt nigdy mi nie groził (ani celowo nie uszkodził) w NKS.

Starsi faceci na ogół traktowali mnie jak powietrze; raz, gdy przedstawiono mnie jednemu z nich, odparł: „Ach, ty jesteś tym gejem, tak?”. Ale podał mi rękę i klepnął mnie w plecy, a potem zawsze uśmiechał się i zagadywał. Byliśmy w różnych kategoriach wagowych. Jeśli nawet unikał ze mną kontaktu – na macie, rzecz jasna – nie byłem w stanie tego stwierdzić.

Zdarzały się masowe ewakuacje, gdy po treningu szedłem do sauny. Rozmawiałem o tym z

Arthurem.

– Może nie powinienem tam chodzić, jak myślisz?

– Jak uważasz, Billy... To ich problem, nie twój – odparł. (Wszyscy zapaśnicy mówili na mnie „Billy”).

Pomimo zapewnień Arthura postanowiłem unikać sauny. Treningi w klubie odbywały się o siódmej wieczorem; czułem się tam prawie jak ryba w wodzie. Nigdy nie nazwano mnie „gejem” wprost, z wyjątkiem tamtego jednego razu. Przeważnie mówiono „pisarz”; większość zapaśników nie czytała moich seksualnie dosadnych powieści – tych „apeli o tolerancję”, jak nazywał je Richard Abbott – ale Arthur przeczytał wszystkie. I podobnie jak wielu mężczyzn oznajmił, że moją największą wielbicielek jest jego żona.

Mężczyźni zawsze opowiadali mi o kobietach ze swojego życia – ich żony, dziewczyny, siostry, nawet matki zaliczały się do grona moich największych fanów. Kobiety częściej sięgają po prozę niż mężczyźni, jak sędzę.

Poznałem żonę Arthura. Była bardzo miła; czytała mnóstwo książek i nasze gusta na ogół się pokrywały – co do lektur, oczywiście. Ellen, energiczna blondynka z włosami na pazia miała niedorzecznie małe usteczka z wąskimi wargami. Sterczące piersi zgoła nie licowały z dość androgeniczną resztą postaci – w ogóle nie była w moim typie! Ale traktowała mnie życzliwie, pocziwy Arthur zaś był „bardzo żonaty”. Przedstawienie go Elaine odpadało.

Nie licząc okazjonalnego piwa z Arthurem w klubowym barze, nie utrzymywałem z zapaśnikami kontaktu na stopie towarzyskiej. Sala do zapasów znajdowała się wówczas na czwartym piętrze, po przeciwnej stronie korytarza niż sala do boksu. Jednym z moich częstych partnerów na macie był Jim Jakiśtam (nazwisko wyleciało mi z głowy), który również ćwiczył boks. Wszyscy zapaśnicy wiedzieli, że nie chcę się z nim mierzyć – chodziło mi wyłącznie o samoobronę. Kropka. Chcąc mi się przysłużyć, Jim w sali bokserskiej próbował mnie nauczyć, jak obronić się przed ciosem.

Ciekawostka: nigdy nie umiałem się bić, ale Jim nauczył mnie, jak się osłaniać – żeby nie oberwać za mocno. Zdarzało się, że przyłożył mi trochę mocniej, niż chciał; zawsze przeproszał.

W sali zapasów też dochodziło do sporadycznych (ale przypadkowych) urazów – pęknięta warga, rozkwaszony nos, przytrzaśnięty palec lub kciuk. Ponieważ skupiałem się na swoim chwycie, kontuzje były na porządku dziennym, jak to w krawacie. Arthur raz niechcący palnął mnie z główki i skończyło się na paru szwach w okolicy prawej brwi.

Szkoda, że nie słyszeliście Larry’ego, Elaine – i pozostałych.

„Macho”, nazywał mnie potem Larry.

– Twierdzisz, że wszyscy są dla ciebie mili – powiedziała Elaine. – Zdzielił cię z sympatii, tak?

Lecz bez względu na kpiny szło mi coraz lepiej. Nurka też miałem niezłego.

Na początku mojej zapaśniczej kariery Arthur nazywał mnie „królem jednego przeboju”, z czasem jednak nauczyłem się paru innych chwytów. Musiałem być zmorą dla partnerów, ale nie narzekali.

Ku mojemu zdziwieniu, trzech lub czterech starych wyjadaczy udzieliło mi paru wskazówek. (Może z wdzięczności, że unikałem sauny). W klubie trenowało sporo zapaśników po czterdzieście i kilku twardzieli po pięćdziesiątce, nabierały umiejętności dzieciaki zaraz po studiach, „olimpijskie nadzieje” spotykały się z dawnymi olimpijczykami. Do klubu należało paru uciekinierów ze Związku Sowieckiego (i jeden z Kuby), wielu emigrantów z Europy Wschodniej, ale tylko dwóch Irańczyków. Byli tam przedstawiciele stylu wolnego, klasycznego oraz folkstyle’u – zwłaszcza wśród młodzików i starych wyjadaczy.

Ed pokazał mi ćwiczenia mające usprawnić nurka. Pisałem o swoich postępach Hermowi.

Obaj wiedzieliśmy, że nigdy nie zostanę zapaśnikiem w tym wieku, lecz jak na naukę samoobrony, ciągle rozwijałem swoje umiejętności. I treningi na dobre wrosły w mój codzienny harmonogram.

– Zaczynasz wyglądać jak gladiator! – stwierdził kiedyś Larry; chociaż raz się nie nabijał.

Elaine też zauważyła, że się zmieniłem.

– Wyglądasz inaczej, Billy... Wiesz o tym, prawda? Nie mówię, że należysz do tych mięśniaków z obsesją na punkcie swojego ciała... Jasne, że kierują tobą inne względy... ale zaczynasz wyglądać trochę przerażająco.

Wiedziałem, że nie jestem „przerażający” – dla nikogo. Jednakże wraz z końcem starej dekady i początkiem lat osiemdziesiątych poczułem, że dawne, głęboko zakorzenione lęki usuwają się w cień.

Zważcie, że Nowy Jork nie był w latach osiemdziesiątych bezpiecznym miastem, zwłaszcza w porównaniu ze stanem dzisiejszym. Lecz ja czułem się bezpieczniejszy – może po prostu nabrałem pewności siebie – niż kiedykolwiek przedtem. Przyszło mi nawet do głowy, że obawy panny Frost o mnie były nieuzasadnione, może za długo mieszkała w Vermont i miała rację co do mojego tam bezpieczeństwa, ale nie w Nowym Jorku.

Bywały chwile, gdy nie miałem ochoty na trening, lecz pamiętałem, ile zawdzięczam Arthurowi i pozostałym. Nie chciałem ich zawieść, jednak coraz częściej pojawiała się myśl: Na co mi samoobrona? I przed czym?

Wszczęto procedurę przydzielenia mi oficjalnego członkostwa w Nowojorskim Klubie Sportowym; nie pamiętam szczegółów, ale była dość skomplikowana i czasochłonna.

– Najlepszym rozwiązaniem będzie członkostwo dożywotnie; chyba nie planujesz wyjeżdżać z Nowego Jorku, Billy? – spytał Arthur; to on wystąpił z wnioskiem o przyznanie mi legitymacji. Nie nazwałbym się wówczas sławnym pisarzem, ale – mając na widoku czwartą powieść – byłem dosyć znany.

Pieniądze też nie miały znaczenia. Dziadek Harry cieszył się, że trenuję – zakładał, że rozmawiał z trenerem Hoytem. Oświadczył, że z radością opłaci za mnie składkę.

– Nie rób sobie kłopotu, Arthurze – prosiłem. – Dużo ci zawdzięczam, ale nie chciałbym, żebyś przeze mnie tracił przyjaciół i zrażał do siebie ludzi.

– Nie marudź, Billy. Bycie homo to nic wielkiego.

– Jestem bi... – zacząłem.

– No właśnie. To nic wielkiego, Billy – powtórzył. – Nie to co kiedyś.

– Tak, chyba masz rację – odpowiedziałem. Tak przynajmniej się zdawało, nadchodził rok tysiąc dziewięćset osiem dziesiąty pierwszy.

Jedna dekada niepostrzeżenie ustąpiła miejsca kolejnej, przy czym okres ten stanął pod znakiem śmierci Nilsa Borkmana i samobójstwa jego żony.

– To były dwa samobójstwa, Bill – szepnął do słuchawki dziadek Harry, jakby ktoś nas podsłuchiwał.

Nils miał osiemdziesiąt osiem lat, gdyby dożył roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego, miałby osiemdziesiąt dziewięć. Był sezon na jelenia z użyciem broni tradycyjnej – tuż przed Gwiazdką osiemdziesiątego roku – gdy odstrzelił sobie karabinkiem tył głowy, grzejąc na nartach przez boiska sportowe Akademii. Uczniowie wyjechali na ferie, a Nils zadzwonił do Chucka Beebe – strażnika leśnego, który od lat sprzeciwiał się robieniu z polowania biathlonu.

– Kłusownicy, Chuck! Widziałem ich na własne oczy koło szkoły. Jadę za nimi! – krzyknął do telefonu Nils.

– Co? Czeka! – odkrzyknął Chuck. – Toż to normalka... Mają karabiny maszynowe, czy co? Nils? – Ale Nils już się rozłączył. Chuck stwierdził na podstawie obrażeń, że broń musiała

wypalić, kiedy Nils wyciągał ją zza pleców. Chuck był skłonny uznać to za wypadek; od dawna uważał, że dziadek i Nils igrają z ogniem.

Nils doskonale wiedział, co robi. Zwykle na jelenia używał broni kaliber .30-06. Lżejszy karabinek .30-30 nazywany był przez dziadka „bronią na lisa”. (Harry jeździł z nim na jelenie, zaliczając je do tej samej kategorii, co lisy). Karabinek miał krótszą lufę; dziadek wiedział, że dzięki temu Nils mógł łatwiej wycelować.

– Ale dlaczego się zabił? – spytałem.

– Cóż, Nils był Norwegiem – zaczął Harry, by po dłuższej chwili sobie przypomnieć, że nie wspomniał mi o jego zaawansowanym nowotworze.

– Ach tak.

– Pani Borkman będzie następna, Bill – oznajmił dramatycznie dziadek. Ibsenowskie ciągoty pani Borkman zawsze stanowiły przedmiot żartów, lecz traf chciał, że zastrzeliła się tego samego dnia. „Jak Hedda, z pistoletu w skroń!”, rzekł z podziwem dziadek przy okazji naszej niewiele późniejszej rozmowy.

Nie miałem wątpliwości, że utrata współnika i przyjaciela przyspieszy koniec Harry’go, który naturalnie stracił już żonę i jedyne dzieci. Dlatego wraz z Richardem niebawem umieściliśmy go w „ośrodku”, gdzie jego tekstylne ekscesy wystawiły cierpliwość wszystkich na wielką próbę. W rezultacie jeszcze na początku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku, jeśli dobrze pamiętam, przenieśliśmy go z Richardem do domu przy River Street, zapewniając mu całodobową opiekę pielęgniarki. Miała na imię Elmira i nie tylko wspominała z rozrzewnieniem jego role żeńskie (z czasów gdy była małą dziewczynką), ale pomagała mu wybierać kreacje ze stosu babcinej odzieży.

Mniej więcej w tym samym czasie pan Hadley rzucił żonę; jak się okazało, uciekł ze świeżo upieczoną absolwentką Akademii. Dziewczyna była na pierwszym roku college’u – nie pamiętam, którego. Rzuciła studia, by zamieszkać z panem Hadleyem, liczącym sobie sześćdziesiąt jeden lat – tyle ile jego żona. Martha Hadley była w wieku mojej matki, czyli miała bite dziesięć lat więcej niż Richard Abbott, lecz Elaine chyba nie myliła się w swoich podejrzeniach, że kochała się w nim od zawsze. (Elaine przeważnie miała rację).

– Co za melodramat – stwierdziła z rezygnacją, kiedy w lecie tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku pani Hadley i Richard zamieszkali razem. Jak na starą hipiszkę przystało, Martha Hadley ani myślała o kolejnym małżeństwie, a Richardowi (na pewno) wystarczała jej krzepiąca obecność. Drugi ślub nie był mu do niczego potrzebny.

Oboje wiedzieli, że jeśli ślubu nie wezmą, będą zmuszeni opuścić Bancroft Hall. Był co prawda początek lat osiemdziesiątych, mieszkali jednak w małym miasteczku, a szkoły z internatem na ogół rządzą się swoimi prawami. Para żyjąca ze sobą bez ślubu w służbowym mieszkaniu... Cóż, to nie mieściło się w głowie. Elaine i ja nie mieliśmy wątpliwości, że oboje mają już dość męskiego internatu. Uznali przypuszczalnie, że drugi ślub byłby szaleństwem, a życie w grzechu stanowiło dobry pretekst, by zmienić otoczenie!

Mieli całe lato na znalezienie nowego lokum w mieście, a przynajmniej w pobliżu First Sister – czegoś skromnego, na miarę możliwości dwojga nauczycieli z liceum. Znaleziony przez nich domek stał przy River Street, zaledwie parę drzwi dalej od dawnej biblioteki publicznej – obecnie siedziby towarzystwa historycznego. W ostatnich latach parokrotnie zmieniał właścicieli; Richard z wahaniem poinformował mnie przez telefon, że konieczny będzie mały remont.

Wyczułem jego wahanie; gdyby potrzebował pieniędzy, chętnie bym się dołożył, zdziwiłem się jednak, że nie poprosił najpierw dziadka Harry’ego. Harry uwielbiał Richarda, wie działem też, że pobłogosławił jego związek z Martha Hadley.

– Mieszkalibyśmy niespełna dziesięć minut drogi od dziadka, Bill – dodał Richard.

Czułem, że jest rozdarty.

– O co chodzi, Richardzie? – spytałem.

– To dawny dom Frostów, Bill – odpowiedział. Obaj wiedzieliśmy, że częste zmiany właścicieli musiały zatrzeć wszelki ślad po panie Frost. Panna Frost odeszła, to oczywiste. Lecz „dom Frostów” oznaczał wgląd w ciemność – ciemność czasu przeszłego, jak mi się wówczas zdawało. Zapowiedzi mroku przyszłego jeszcze nie dostrzegałem.

Co do drugiego ostrzeżenia przed plagą, zwyczajnie je przegapiłem. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku nie dostałem od Atkinsa kartki na święta. Przyszła z dużym opóźnieniem i napisem „Świąteczne życzenia” – zdziwiłem się, pamiętam, że Tom nie załączył recenzji mojej czwartej powieści. (Jeszcze się nie ukazała, ale wysłałem mu szczotki; tak oddany wielbiciel zasługiwał na fory. Bądź co bądź, nikt inny nie posądzał mnie o wyższość nad Flaubertem!).

Jednakże do kartki – nadeszła dopiero w lutym – nie dołączono nic. Zauważyłem, że dzieci i pies wyglądają dojrzałe. Zdumiało mnie jednak, że biedny Tom tak staro wygląda – zupełnie jakby między świętami posunął się o parę lat.

Domyślałem się, że zdjęcie zrobiono podczas rodzinnej wyprawy na narty – wszyscy mieli na sobie stroje narciarskie, a Tom nawet narciarską czapkę. I wzięli ze sobą psa!

Dzieci były opalone, żona także. Tom zawsze miał jasną cerę, więc z pewnością uważał na słońce; brak jego opalenizny nie zwrócił mojej uwagi. (Znając Atkinsa, zapewne wziął sobie do serca pierwsze ostrzeżenia na temat raka skóry i konieczności smarowania się kremem z filtrem – zawsze brał wszystko na poważnie).

Dostrzegłem jednak, że jego skóra ma wręcz srebrzystą poświatę – właściwie niewiele widziałem, bo głupia czapka zasłaniała mu brwi. Ale częściowy widok jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że schudł – i to bardzo. Był jednak grubo ubrany, więc nie wiedziałem na pewno. Może zawsze miał zapadnięte policzki.

Długo wpatrywałem się w tę spóźnioną kartkę świąteczną. Twarz żony Toma przybrała wyraz, którego nie widziałem wcześniej. Jak to możliwe, by wyrażała lęk przed nieznanym, a zarazem tym, co oczywiste?

Mina pani Atkins przypominała mi zdanie z „Pani Bovary”, to z końca rozdziału szóstego. (Które godzi jak strzała w tarczę lub prosto w serce: „A teraz nie mogła sobie wyobrazić, żeby jej obecne, spokojne życie miało być tym wymarzonym szczęściem”). Twarz żony Toma nie emanowała lękiem, lecz zgrozą! Tylko co mogło ją przerazić?

I gdzie podział się uśmiech Atkinsa, którego znałem? Zawsze szczerzył się, ciamajda, pokazując zęby i jęzor. Tym razem usta miał zaciśnięte, jak dziecko, które chowa przed nauczycielem gumę do żucia – lub ktoś, kto ma nieświeży oddech.

Z jakichś powodów pokazałem to zdjęcie Elaine.

– Pamiętasz Atkinsa – powiedziałem, wręczając jej świąteczną kartkę.

– Biedny Tomek – rzuciła odruchowo; roześmialiśmy się, lecz spojrzęła na zdjęcie i spoważniała. – Co mu jest? Co on ma w ustach?

– Nie wiem.

– On ma coś w ustach, Billy. Nie chce, żeby ktoś zobaczył. I co jest grane z tymi dziećmi?

– Z dziećmi? – spytałem. Dzieci nie zwróciły mojej uwagi.

– Wyglądają, jakby płakały. Jezu... jakby płakały bez przerwy!

– Pokaż. – Sięgnąłem po zdjęcie. Według mnie dzieci wyglądały normalnie. – Atkins kiedyś ciągle płakał – przypomniałem. – Był beksą, może mają to po nim.

– Nie pleć, Billy. Coś tu nie gra. Coś nie gra z nimi wszystkimi – zawyrokowała Elaine.

– Pies wygląda normalnie – stwierdziłem. (Tylko się wygłupiałem).

– Nie mówię o psie, Billy.

Jeśli w latach administracji Ronalda Reagana (od roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego do osiemdziesiątego dziewiątego) nikt z waszych bliskich nie umarł na AIDS, pamiętacie je (i Reagana) inaczej niż ja. Cóż to była za dekada, gdy przewodził nami ten mierny aktor z westernów! (Przez siedem z ośmiu lat swojej kadencji Reagan nie wymówił słowa „AIDS”). Wspomnienia z tamtego okresu zatarły się z czasem, zapomniane lub wyparte z pamięci. Niektóre dekady odpływają w niebyt, inne zdają się trwać wiecznie – lata osiemdziesiąte zatrzymały się w czasie, bo moi kochankowie i przyjaciele umierali dalej, jeszcze w latach dziewięćdziesiątych i później. Do roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego – w samym Nowym Jorku – więcej Amerykanów umarło na AIDS niż zginęło w Wietnamie.

Parę miesięcy po naszej lutowej rozmowie zachorował Russell, młody kochanek Larry’ego. (Głupio, że nazywałem go „krawacikiem” i „wielbicielem poezji”).

Okazałem się snobem: kręciłem nosem na sponsorów, którymi ze wszystkich stron otaczał się Larry. Ale on był poetą, poeci nie zarabiają. Dlaczego poeci oraz inni artyści nie mogą mieć sponsorów?

Najczęściej zabijało PCP, czyli pneumocytoza (*Pneumocystis carinii*). W przypadku młodego Russella, jak to często bywało, zapalenie płuc stanowiło pierwszy symptom AIDS – młody i na oko zdrowy facet zaczynał mieć kaszel (lub duszności) oraz gorączkę. Problem wychodził na prześwietleniu, w postaci – jak nazywali to radiolodzy i lekarze – obrazu matowej szyby. Nikt nie podejrzewał jednak ciężkiej choroby – po prostu antybiotyk nie działał, a wynik biopsji dowodził ciężkiej postaci PCP. Zwykle przepisywano bactrim; Russell też to brał. Był pierwszym chorym na AIDS, który umierał na moich oczach – a nie zapominajcie, że Russell miał pieniądze i Larry’ego.

Wielu pisarzy, którzy znali Larry’ego, uważali go za roz pieszczonego egoistę czy wręcz bufona. Niestety, podzielałem ich zdanie. Należał jednak do grona osób, które stoją na wysokości zadania w trudnej sytuacji.

– To powinienem być ja, Bill – powiedział, gdy po raz pierwszy odwiedziłem Russella. – Ja swoje przeżyłem... On dopiero zaczyna.

Russell leżał w swoim pięknym domu, miał własną pielęgniarkę. Dopiero po tej wizycie tak naprawdę nabrałem pojęcia o AIDS, objawach choroby i leczeniu. Nie chciał, by podłączono go do respiratora, więc nie musiał być leczony klinicznie. (Intubacja w warunkach domowych jest problematyczna, łatwiej podłączyć pacjenta do maszyny w szpitalu). Później widziałem kleks ksylokainy na końcu rurki dotchawiczej i na zawsze utkwiał mi on w pamięci, lecz nie w przypadku Russella; on nie był intubowany, nie w domu.

Pamiętam, jak Larry karmił Russella. Widziałem serowate placki w ustach Russella, jego obłożony język – zmiany wywołane grzybem *Candida albicans*.

Russell był pięknym, młodym mężczyzną; mięsak Kaposiego zniekształcił mu twarz. Na brwi zawisała fioletowa narośl przypominająca mięsistą małżowinę uszną, druga znajdowała się na nosie. (Była tak widoczna, że zaczął potem zakrywać ją apaszką). Wiedziałem od Larry’ego, że Russell mówi na siebie „indyk”, właśnie z powodu tych zmian.

– Czemu oni są tacy młodzi, Bill? – pytał w kółko Larry, gdy „oni” – rzesze młodych mężczyzn, którzy umierali w Nowym Jorku – uświadomili nam, że Russell to dopiero początek.

Russell zestarzał się w ciągu paru miesięcy – wyłysiał, skóra mu zszarzała i często była pokryta zimnym, lepkiem potem, a gorączka nie mijała mu ani na chwilę. *Candida* zaatakowała mu gardło i przełyk; miał kłopoty z przełykaniem, a na popękanych ustach pojawił się biały nalot. Na szyi powiększyły się węzły chłonne. Ledwo mógł oddychać, ale wciąż uparcie bronił

się przed respiratorem (i szpitalem); na końcu tylko udawał, że bierze bactrim – Larry znalazł potem tabletki w łóżku.

Russell umarł w ramionach Larry'ego; Larry na pewno żałował, że nie odwrotnie. („Był lekki jak piórko”, powiedział potem). Odwiedzaliśmy już wówczas przyjaciół w Szpitalu Świętego Wincentego. Zgodnie z przewidywaniami Larry'ego wkrótce zapanuje tam taki tłok, że odwiedzając kolegę lub byłego kochanka, człowiek zawsze wpadnie na kogoś znajomego, kogoś, o kim nie wiedział, że jest chory; podobno Larry spotkał tam kiedyś faceta, o którym nawet nie wiedział, że jest gejem!

Kobiety odkrywały, że ich mężowie spotykają się z mężczyznami, kiedy mężowie umierali. Rodzice dowiadawali się, że ich młodzi synowie umierają, zanim docierała do nich prawda o ich orientacji.

Zarażono się tylko kilka moich koleżanek – w sumie nie wiele. Bałem się o Elaine; spała z paroma facetami, o których wiedziałem, że są biseksualni. Jednakże dwie aborcje przekonały ją do prezerwatyw; uważała, że nic innego nie uchroni jej przed zajściem w ciążę.

Rozmawialiśmy o tym wcześniej – zaraz po wybuchu epidemii Elaine spytała mnie:

– Wciąż stosujesz prezerwatywy... prawda, Billy? („Od sześćdziesiątego ósmego roku”, powiedziałem).

– Powiniennem już nie żyć – oznajmił Larry. Nie chorował, wyglądał świetnie. Ja też byłem zdrowy. Trzymaliśmy kciuki.

Był jeszcze rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty pierwszy, a dokładniej jego końcówka, kiedy w Nowojorskim Klubie Sportowym doszło do incydentu z krwią. Nie jestem pewien, czy wszyscy zapaśnicy wiedzieli, że wirus AIDS przenosi się głównie przez spermę i krew, gdyż swego czasu personel szpitala obawiał się zakażenia w wyniku kichnięcia lub kaszlu. Jednakże tego dnia, gdy z nosa poleciała mi krew na matę, byli uświadomieni na tyle, że ze strachu mało nie nasrali w gacie.

W zapasach to normalka: nie wiesz, że krwawisz, dopóki krew nie kapnie na przeciwnika. Ćwiczyłem z Sonnym; odsunąłem się na widok czerwonej plamy na jego barku.

– Krwawisz... – zacząłem, ale jego mina zabiła mnie z tropu. Patrzył na mój rozkwaszony nos. Podniosłem rękę do twarzy i zobaczyłem krew: na mojej dłoni, na piersi, na macie. – Ach, to ja – dodałem, lecz Sonny już wybiegł z sali. Szatnia była na innym piętrze.

– Idź po instruktora, Billy. Musi wiedzieć, że mamy tutaj krew – powiedział Arthur. Inni przestali się mocować; stanęli w bezpiecznej odległości od plamy. Zwykle rozwalony nos to nic wielkiego: wycierasz ręcznikiem i po sprawie. Krew w sali zapaśniczej kiedyś nie miała znaczenia.

Sonny powiadomił instruktora, który zjawił w gumowych rękawiczkach i z ręcznikami nasączonymi alkoholem. Po chwili zauważyłem Sonny'ego pod prysznicem w szatni – wszedł pod strumień wody – jak stał, nawet w butach. Chcąc dać mu czas, poszedłem opróżnić szafkę. Na pewno nie powiedział instruktorowi, że krwawi „ten pisarz”; dałbym głowę, że padło słowo „gej”. Na jego miejscu powiedziałbym to samo.

Wpadłem na Arthura, wychodząc z szatni; umyłem się i ubrałem, a do nosa wepchnąłem watę, więc nie było ani śladu krwi, niosłem tylko zielony worek do śmieci z całą zawartością mojej szafki. Dał mi go facet z obsługi; ależ cieszył się, że wychodzę!

– Wszystko w porządku, Billy? – spytał Arthur. Przez kolejne czternaście, piętnaście lat często będę słyszał to pytanie.

– Nie gniewaj się, ale chcę wycofać podanie o członkostwo w klubie – oświadczyłem. – Wkurzają mnie tutejsze zasady co do ubioru. Pisząc, nie siedzę w marynarce i krawacie. A tutaj muszę się wystroić, żeby wejść, choć i tak wszystko zaraz zdejmuję w szatni.

– Rozumiem, Billy. Mam tylko nadzieję, że wszystko będzie dobrze – odpowiedział.

– Nie mogę należeć do klubu z takimi zasadami. To nie pasuje do pisarza – dodałem.

Do szatni zaczęli napływać pozostali – między innymi Ed, Wolfie i Jim, moi dawni partnerzy z maty. Wszyscy widzieli, że trzymam worek; nie musiałem im mówić, że był to mój ostatni trening.

Wyszedłem tylnymi drzwiami. Głupio się wygląda na Central Park South z workiem na śmieci. Dlatego wyszedłem z klubu na West Fiftyeighth Street, gdzie nie brakowało wąskich alejek dostawczych, prowadzących do okolicznych hoteli. Wiedziałem, że gdzieś znajdę śmietnik na mój worek wraz z tym, co składało się na życie początkującego zapaśnika u zarania kryzysu AIDS.

Krótko po tym, gdy niechlubny krwotok z nosa położył kres mojej zapaśniczej karierze, jadłem z Larrym kolację w mieście. Mówił, że słyszał, jakoby „dół” był bardziej narażony na zachorowanie niż „góra”. Wśród chorych faktycznie przeważali ci pierwsi, Larry miał rację. Nie wiedziałem, gdzie zasłyszał te wszystkie rewelacje, jednak przeważnie słuch go nie zawodził.

– Obciążanie nie stwarza wielkiego zagrożenia, tak dla twojej informacji, Bill. – Larry powiedział mi to pierwszy. Oczywiście wiedział (lub zakładał), że istotna jest liczba partnerów seksualnych. Jak na ironię, nigdy nie słyszałem od niego o prezerwatywach.

Jego reakcją na śmierć Russella była chęć niesienia pomocy umierającym; odwiedzał chorych w szpitalu i hospicjum, wykazując przy tym więcej samozaparcia niż ja. Czułem, że się odsuwam, tak jak ludzie odsuwali się ode mnie – nie tylko zapaśnicy.

Rachel błyskawicznie zwinęła manatki.

– Pewnie myślała, że zarazi się od twoich książek, Billy – skomentowała Elaine.

Elaine i ja braliśmy pod uwagę wyprowadzkę z Nowego Jorku, lecz każdy, kto został tam choćby na trochę, nie może sobie wyobrazić życia gdzieś indziej.

Gdy coraz więcej naszych przyjaciół zapadało na AIDS, Elaine i ja zaczęliśmy mieć urojone objawy. Elaine pociła się w nocy. Ja budziłem się z poczuciem, że mam w ustach biały nalot. (Przyznałem się Elaine, że często chodzę do lustra i świecę sobie do ust latarką!). Było też łojotokowe zapalenie skóry; pojawiało się głównie na brwiach, skórze głowy i po bokach nosa. Na ustach wyskakiwały opryszczki; pęcherze nie chciały się goić. Do tego dochodziły zmiany mięczakowe; przypominały ospę i bywało, że całkowicie pokrywały twarz.

Przepecone i splaszczone poduszką włosy wydzielają specyficzną woń. Ale to jeszcze nie koniec: sól zasycha i twardnieje na czole od ciągłej gorączki i potu, a błony śluzowe są pełne drożdży. Zapach jest zgniły, a przy tym słodki: tak pachnie zsiadłe mleko i pleśń, albo psie uszy, kiedy są mokre.

Nie bałem się umierania; bałem się poczucia winy, bo wciąż trwałem przy życiu. Nie mogłem pogodzić się z tym, że uniknę choroby z przyczyny tak przypadkowej jak rada lekarza, który mnie nie lubił, bądź faktu, że jestem „góram”. Nie wstydziałem się swojego życia erotycznego; wstydziałem się, że nie ma mnie dla tych, którzy odchodzą.

– Ja nie jestem w tym dobry, ty owszem – powiedziałem Larry’emu; miałem na myśli coś więcej niż trzymanie za rękę i krzepiące rozmowy.

Zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych było spowodowane grzybem; wykrywało się je poprzez nakłucie łądźwiowe – objawiało się gorączką, bólem głowy i ogólnym rozbitością. Często dochodziło też do zwyrodnienia szyjnego odcinka kręgosłupa, powodującego stopniowe osłabienie – nogi odmawiały posłuszeństwa, puszczały zwieracze. I nic nie można było na to poradzić. Określano je mianem mielopatii szyjnej.

Patrzyłem, jak Larry opróżnia basen naszego przyjaciela, który miał to świństwo; nie mogłem wyjść z podziwu – Larry stał się świętym – gdy naraz zrozumiałem, że bez trudu mogę wymówić

słowo „mielopatia” oraz inne związane z chorobą. (Na przykład pneumocytoza. Mięsak Kaposiego też nie stanowił problemu, a „zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych” szło mi tak gładko, jakby nie chodziło o nic więcej, tylko zwykły katar. Bez wahania mówiłem nawet „cytomegalowirus” (główny sprawca utraty wzroku u chorych na AIDS).

– Powiniennem zadzwonić do twojej matki – oznajmiłem Elaine. – To chyba przełom.

– Bo dystansujesz się do choroby, Billy – odparła. – Jesteś taki jak ja: wyobrażasz sobie, że stoisz z boku i zaglądasz do środka.

– Powiniennem zadzwonić do twojej matki – powtórzyłem, wiedziałem jednak, że Elaine ma rację.

– Powiedz „penis”, Billy.

– To nie fair, Elaine... To zupełnie coś innego.

– Mów – rozkazała.

Ale ja wiedziałem, jak to zabrzmie. „Penis” był, jest i na zawsze zostanie „penifem”, więc nawet nie próbowałem.

– Fiut – odpowiedziałem.

I nie zadzwoniłem do pani Hadley. Dystansowałem się do wirusa, choć epidemia dopiero nabierała tempa. I czułem się winny, że go nie mam.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku kartka od Atkinsa przysłała na czas. Żadnych tam „życzeń świątecznych” z ponad miesięcznym opóźnieniem, tylko zwyczajne „Wesołych świąt” w grudniu.

– Oho – powiedziała Elaine, gdy pokazałem jej zdjęcie. – A gdzie Tom?

Na fotografii brakowało Atkinsa. Małą czcionką wydrukowano imiona członków rodziny: „Tom, Sue, Peter, Emily & Jacques Atkins”. (Jacques był labradorem; Atkins, jak widać pamiętał o Kittredge’u!) Ale Toma nie było.

– Może nie czuł się fotogenicznie – zasugerowałem.

– W zeszłym roku też nie wyglądał najlepiej, co? Strasznie schudł – odpowiedziała Elaine.

– Czapka przykrywała mu włosy i brwi – dodałem. (Ponownie odnotowałem brak recenzji, ale nie sądziłem, by Atkins zmienił zdanie o „Pani Bovary”).

– Cholera, Billy. A co myślisz o tym?

Wiadomość napisana odręcznie na odwrocie pochodziła od żony. Mówiła niewiele i była niezbyt świąteczna.

Tom mówił o Panu. Chciałby się z Panem zobaczyć.

Sue Atkins

– On chyba umiera... tak mi się zdaje – powiedziałem.

– Pojadę z tobą, Billy. Tom zawsze mnie lubił – odparła.

Miała rację – biedny Tomek ją uwielbiał (podobnie jak panią Hadley), poza tym – jak dawniej – jej obecność dodała mi odwagi. Jeśli Atkins umierał na AIDS, jego żona z pewnością wiedziała wszystko o leczeniu sprzed dwudziestu lat, kiedy byliśmy razem w Europie.

Tamtego wieczoru zadzwoniłem do Sue Atkins. Okazało się, że Tom leży w domu w Short Hills w stanie New Jersey. Nie wiedziałem, czym się zajmował, ale jego żona powiedziała mi, że był prezesem w firmie ubezpieczeniowej; od ponad dziesięciu lat przez pięć dni w tygodniu pracował w Nowym Jorku. Domyślałem się, że nigdy nie miał ochoty się ze mną spotkać, ale ku mojemu zdziwieniu Sue Atkins myślała inaczej: widać zdarzało się, że nie wracał do domu na kolację.

– Nie widywał się ze mną – odpowiedziałem. Wspomniałem, że Elaine też chciałaby

przyjechać; oczywiście nie chcemy się „narzucać”, tak to ująłem.

Sue Atkins wiedziała, o kim mowa.

– Nie ma sprawy, słyszałam o Elaine wszystko. (Wolałem nie wnikać, czego nasłuchiwała się o mnie).

Wyjaśniłem przez telefon, że Elaine jest trochę zajęta wystawianiem ocen. Moglibyśmy przyjechać w sobotę; powinno być luźniej w pociągu.

– Dzieci będą w domu, ale to nie szkodzi – uprzedziła Sue. – Peter na pewno wie, kim pan jest. Tamta podróż do Europy... – Urwała. – Peter wie, co się dzieje, i bardzo kocha ojca. Ale Emily... Cóż, jest młodsza. Nie mamy pewności, ile tak naprawdę wie. Trudno walczyć z tym, co dzieci słyszą w szkole... zwłaszcza jeśli nie chcą o tym rozmawiać.

– Bardzo mi przykro – powiedziałem.

– Czułam, że tak będzie. Tom nie ukrywał prawdy o przeszłości. Nie wiedziałam, że do tego wróci. I ta straszna choroba... – Znowu nie dokończyła.

Kiedy rozmawialiśmy, patrzyłem na zdjęcie. Trudno mi ocenić wiek dziewczynki. Nie byłem pewien, ile Emily ma lat. Peter Atkins na oko miał czternaście lub piętnaście – mniej więcej tyle samo ile biedny Tomek, kiedy się poznaliśmy; drażniło mnie jego frajerstwo, bo nie umiał powiedzieć „czas”. Mówił do mnie „Bill” zamiast „Billy”, jak Richard Abbott, ponieważ wszyscy widzieli, że bardzo kocham Richarda.

Wyznał mi też, iż podsłuchiwał okrzyk pani Hadley, kiedy ja byłem w środku, a on czekał na swoją kolej. „Billy, Billy... nie zrobiłeś nic złego!”, krzyknęła pani Hadley, a Tom usłyszał to zza drzwi. (Opowiadałem jej o moim pociągu do chłopców i mężczyzn, czasie fascynacji Richardem i niszczącym oczarowaniu Kittredge'em).

Biedny Tomek myślał, że mam romans z panią Hadley!

– „Sądziłem, że miałeś wytrysk, czy coś, a ona chciała cię pocieszyć, Bill”, wyznał Atkins.

Nazwałem go wtedy durniem, i teraz było mi głupio.

Zapytałem żonę Toma, jak on się czuje – miałem na myśli dolegliwości, o których już co nieco wiedziałem, i leki, które brał. Kiedy powiedziała, że po bactrimie nabawił się wysypki, wiedziałem, że ma pneumocytozę. Jeśli leżał w domu, niepodłączony do respiratora, jego oddech był urywany i chrapliwy – o tym też wiedziałem.

Sue Atkins wspomniała, że Tom ma trudności z jedzeniem.

– Nie może przełykać – dodała. (Mówiąc to, stłumiła kaszel albo się zakrztusiła; nagle zabrakło jej tchu).

– Przez *Candidę*? – spytałem.

– Tak, kandydozę przełyku – określiła fachowo. – Do tego niedawno doszedł cewnik Hickmana.

– Kiedy? – zapytałem.

– Och, dopiero w zeszłym miesiącu.

Karmili go przez cewnik, więc był niedożywiony. (W przypadku *Candidy* trudności w przełykaniu zwykle ustępowały po flukonazolu lub amfoterycynie b – chyba że grzyb się uodpornił).

– Jeśli karmią cię przez Hickmana, Bill, najprawdopodobniej umierasz z głodu – mówił Larry.

Wciąż myślałem o chłopcu, Peterze; na zdjęciu przypominał Toma Atkinsa, którego znałem. Wyobrażałem sobie, że jest – jak to kiedyś ujął Tom – „taki jak my”. „Nie wszyscy rozumieją takich jak my”, powiedział przed laty, a ja myślałem, że mnie podrywa. (Byłby to mój „pierwszy raz”).

– Bill! – rzuciła ostro Sue Atkins.

Płakałem.

– Przepraszam. – Gardło miałem ściśnięte.

– Ani mi się waż tutaj płakać – powiedziała. – Wyplakaliśmy już wszystkie łzy.

– Nie pozwól mi płakać – poprosiłem Elaine tuż przed Bożym Narodzeniem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku. Amatorzy zakupów zmierzali w przeciwną stronę, do Nowego Jorku. W tamtą grudniową sobotę pociąg do Short Hills w stanie New Jersey był prawie pusty.

– Jak mam cię powstrzymać, Billy? Nie mam broni, nie mogę cię zastrzelić – odparła Elaine.

Słowo „broń” trafiło w czułą strunę. Elmira, pielęgniarka zatrudniona do opieki nad dziadkiem Harrym, wciąż skarżyła się Richardowi na „broń”. Był to mossberg .30-30 – ten sam typ karabinka z krótką lufą, którym zastrzelił się Nils. (Nie pamiętam, ale zdaje się, że Nils miał winchestera lub savage’a bez „lewarka”; kaliber się zgadzał).

Elmira narzekała, że dziadek „wciąż czyści cholernego mossberga”; podobno robił to w ubraniach babci Victorii i wiele sukienek upačkał smarem. Elmira miała dość zanoszenia ich do pralni. „Przestał chodzić na polowania i ganiać za jeleniem na nartach, ale czyści i czyści cholernego mossberga!”, utyskiwała.

Richard spytał o to dziadka.

– A na co mi spluwa, jeśli ma być brudna – odparł Harry.

– Może jednak robiłbyś to w swoich ciuchach? – zaproponował Richard. – No wiesz, w dzinsach, starej koszuli... żeby Elmira nie musiała biegać do pralni.

Harry nie odpowiedział – nie Richardowi. Lecz Elmirze kazał się nie martwić.

– Jeśli się zastrzelę, Elmiro, masz moje słowo, że nie zostawię ci cholernego prania.

Teraz oczywiście i Richard, i Elmira martwili się o dziadka, a ja myślałem o wypolerowanym mossbergu. Owszem, też martwiłem się o dziadka, ale – szczerze mówiąc – ucieszyło mnie, że mossberg jest gotów do czynu. Nie będę owijał w bawełnę – bardziej niż o dziadka martwiłem się o siebie. Wiedziałem, co zrobię, gdybym zachorował. Pochodziłem z Vermont, nie wahałbym się ani chwili. Pojechałbym do First Sister, do domu dziadka na River Street. Wiedziałem, gdzie trzymał karabinek i amunicję. „Pukawka na lisy” była dla mnie w sam raz.

W tym duchu – i z gorącym postanowieniem, że się nie rozplączę – przyjechałem do Short Hills w stanie New Jersey z wizytą do konającego przyjaciela, Toma Atkinsa, którego nie widziałem od dwudziestu lat, czyli prawie połowę życia.

Nie pomyślałem, że drzwi otworzy jego syn Peter. Mogłem się spodziewać, że powita mnie szokująca podobizna Toma Atkinsa sprzed lat – ale oniemiałem.

– To jego syn, Billy... powiedz coś! – szepnęła mi do ucha Elaine. (Już przetykałem łzy). – Cześć, jestem Elaine, a to Billy – przedstawiła nas chłopcu o marchewkowych włosach. – Ty na pewno jesteś Peter. Przyjaźniliśmy się z twoim tatą.

– Tak, czekamy na was... wejdźcie, proszę – odpowiedział uprzejmie. (Skończył piętnaście lat; niedawno złożył papiery do Lawrenceville School i czekał na informację, czy go przyjęli). – Nie byliśmy pewni, o której przyjedziecie, ale jesteście na czas – powiedział, prowadząc nas do środka. Chciałem go wyściskać: powiedział „czas” i się nie zająknął, lecz zważywszy na okoliczności wolałem go nie dotykać.

Po jednej stronie przestronnego korytarza znajdowała się oficjalna jadalnia, gdzie raczej nikt nie jadał. Chłopiec oznajmił, że Charles właśnie wyszedł.

– On jest pielęgniarzem taty – wyjaśnił. – Zajmuje się cewnikiem: trzeba go przepłukiwać, bo się zatyka.

– Zatyka – powtórzyłem. Było to pierwsze słowo, jakie wypowiedziałem w domu Atkinsa. Elaine trąciła mnie łokciem w żebra.

– Mama odpoczywa, ale zaraz przyjdzie – poinformował. – Nie wiem, gdzie jest siostra.

Przystanęliśmy przy zamkniętych drzwiach.

– To dawny gabinet taty – mówił Peter; widziałem, że zwleka z otwarciem drzwi. – Sypialnie są na górze, ale tata nie może wchodzić po schodach – uzupełnił. – Być może jest z nim moja siostra, nie zdziwcie się, jeśli wrzaśnie. Ma dopiero trzynaście lat, niedługo skończy czternaście. – Wciąż stał jak słup, z ręką na klamce. – Ważę prawie sześćdziesiąt kilo – dorzucił, siłąc się na rzeczowy ton. – Tata trochę schudł, odkąd go widzieliście... waży może czterdzieści pięć lub trochę mniej. – I otworzył drzwi.

„Mało mi serce nie pękło – wyznała mi później Elaine. – On chciał nas przygotować”. Lecz dopiero odkrywałem prawdę o tej strasznej chorobie, więc nie sposób było się przygotować na to, co zobaczyliśmy.

– O, jest... moja siostra Emily – oznajmił Peter Atkins, kiedy weszliśmy.

Pies Jacques był czekoladowym labradorem z posiwiałym pyskiem – miał swoje lata. Widziałem, jak powoli i chwiejnie wylazł spod szpitalnego łóżka, żeby nas powitać. Tylina łapa odjechała mu po podłodze i tylko lekko machnęła ogonem, jakby bolały go biodra.

– Jacques ma prawie trzynaście lat – opowiadał Peter. – Ale to dużo na psa... i ma artretyzm. – Pies mokrym, zimnym nosem dotknął naszych rąk, po czym z hukiem zwałił się z powrotem pod łóżko.

Emily leżała zwinięta w kłębek w nogach łóżka; grzała ojcu stopy. Atkins oddychał z trudem; wiedziałem, że ma niewydolność krążenia.

Reakcja Emily nastąpiła z pewnym opóźnieniem. Usiadła i krzyknęła na nasz widok, a książka wyfrunęła jej z rąk; wrzask zagłuszył szeleszczące kartki. W zagraconym pokoju stał zbiornik z tlenem. Dawny gabinet Toma zamienił się w hospicjum.

Krzyk córki nie wywarł na nim wrażenia – prawie się nie poruszył. Chyba nie miał siły odwrócić głowy; skurczone ciało tkwiło nieruchomo, unosiła się tylko naga pierś. Z prawej strony pod obojczykiem wisiał cewnik; wnikał w skórę kilkanaście centymetrów nad sutkiem, wbity w żyłę podobojczykową.

– To szkolni znajomi taty, Emily – powiedział Peter z rozdrażnieniem. – Wiedziałaś o ich przyjeździe.

Dziewczynka poszła po książkę, po czym odwróciła się i zmierzyła nas wrogim spojrzeniem. Mnie na pewno; niewykluczone, że brata i Elaine też. Kiedy się odezwała, byłem pewien, że mówi tylko do mnie, choć Elaine przekonywała później w pociągu, że zwracała się do nas obojga. (Nie sądzę).

– Też HIV? – spytała.

– Nie... bardzo mi przykro – odpowiedziałem, a ona wymaszerowała z pokoju.

– Powiedz mamie, że już są, Emily. Słyszysz? – krzyknął za nią Peter.

– Słyszę! – odwarknęła.

– Czy to ty, Bill? – odezwał się Tom; zobaczyłem, że próbuje ruszyć głową, i podszedłem do łóżka. – Bill Abbott... czy to ty? – Z trudem dobywał głos. Bulgotało mu w płucach. Zbiornik z tlenem zapewne przynosił mu sporadycznie chwilową ulgę – maski nie widziałem – miał zastępować respirator. Potem przyjdzie czas na morfinę.

– Tak, to ja, Bill... i Elaine jest ze mną. – Dotknąłem jego ręki. Była zimna i lepka. Widziałem z bliska twarz. Skóra odchodziła mu płatami z brwi, głowy i po bokach nosa.

– Elaine! – wykrztusił. – Elaine i Bill! U ciebie wszystko w porządku, Bill?

– W porządku. – Jeszcze nigdy tak się tego nie wstydzilem.

Na stoliku nocnym stała tacka z lekami i groźnie wyglądającymi przyborami. (Nie wiedzieć czemu zapamiętałem roztwór heparyny, służący do płukania cewnika). W kącikach ust Toma były serowate złogi *Candidy*.

„Nie poznałam go, Billy”, mówiła później Elaine, gdy wracaliśmy do Nowego Jorku. Ale jak poznać dorosłego mężczyznę ważącego niewiele ponad czterdzieści kilo?

Tom Atkins i ja mieliśmy po trzydzieści dziewięć lat, ale on przypominał faceta po sześćdziesiątce; prawie wyłysiał, a resztkę włosów posiwiała mu doszczętnie. Oczy miał zapadnięte, podobnie skronie i policzki; nozdrza ściśnięte, jakby czuł smród własnych zwłok, a zarumieniona niegdyś twarz powlekła się odcieniem popiołu.

Ta przedśmiertna twarz nosi nazwę „oblicze Hipokratesa” – wielu spośród moich przyjaciół i kochanków, którzy zmarli na AIDS, przywdziało tę maskę. Była to czaszka obciążona skórą napiętą do granic wytrzymałości, jakby zaraz miała pęknąć.

Trzymałem jedną zimną dłoń Toma, a Elaine drugą – widziałem, że odwraca wzrok od cewnika w piersi Atkinsa – gdy naraz usłyszeliśmy suchy kaszel. Przemknęło mi przez myśl, że Atkins zmarł, a jego kaszel dryfuje gdzieś w powietrzu. Ale podchwyciłem spojrzenie chłopca: Peter znał ten dźwięk i wiedział, skąd pochodzi. Odwrócił się do otwartych drzwi i matki, kaszłającej w progu. Kaszel nie brzmiał groźnie, ale Sue Atkins nie mogła przestać. Elaine i ja już go słyszeliśmy; początkowe stadium pneumocytozy miewa niewinną postać. Kaszel bywał mniej uciążliwy niż duszności i gorączka.

– Tak, ja też. – Sue pokiwała głową; panowała nad kaszlem, lecz nie mogła go powstrzymać.
– U mnie to dopiero początek. – Było jasne, że ma duszności.

– Zaraziłem ją, Bill... tak to wygląda...

Peter, dotąd opanowany, usiłował chyłkiem wymknąć się z pokoju.

– Nie, zostaniesz tutaj i wysłuchasz, co tata ma do powiedzenia Billowi – przykazała Sue Atkins synowi. Chłopiec płakał, ale wrócił do pokoju, zerkając na drzwi zagrodzone przez matkę.

– Nie chcę zostać, nie chcę słyszeć... – zaczął; potrząsał głową, jakby to miało powstrzymać łzy.

– Masz zostać i posłuchać, Peter – odezwał się Tom. – To z jego powodu, Bill, chciałem cię widzieć. – Bill zachował resztki odpowiedzialności moralnej... prawda, Elaine? – spytał niespodziewanie. – Tak wynika z jego książek, prawda? Właściwie to już niezbyt go znam. (Co trzy, cztery słowa robił przerwę na oddech).

– Odpowiedzialności moralnej – powtórzyłem.

– Owszem, zachował... tak mi się zdaje – potwierdziła Elaine. – Nie mam na myśli tylko twoich książek, Billy – dodała.

– Nic tu po mnie, już to słyszałam – powiedziała nagle Sue Atkins. – Ty też nie musisz zostać, Elaine. Chodź, porozmawiamy z Emily. To niełatwe, lecz ona z zasady lepiej dogaduje się z kobietami. Nienawidzi mężczyzn.

– Wrzeszczy na ich widok prawie za każdym razem – wtrącił Peter; przestał płakać.

– Dobrze, pójdę. – Elaine pokiwała głową. – Ja też nie szaleję na punkcie mężczyzn, po prostu zwykle nie przepadam za kobietami.

– A to ciekawe – stwierdziła Sue.

– Przyjdę się pożegnać – zawołała Elaine do Toma, ale zignorował wzmiankę o pożegnaniu.

– Niesamowite, jak łatwy jest czas, gdy zaczyna go brakować, Bill – powiedział.

– Gdzie Charles? Powinien tu być, prawda? – zapytał ojca Peter. – Jak tu wygląda? Po co ten stary zbiornik z tlenem? Tlen już mu nie pomaga – poinformował mnie. – Pożytek z tlenu jest przy sprawnych płucach. Na co tlen, gdy nie można oddychać? Tak mówi Charles.

– Przestań, Peter – odezwał się Tom. – Poprosiłem Charlesa, żeby nas zostawił. Niedługo wróci.

– Za dużo mówisz, tatusiu. Wiesz, czym to grozi.

– Chcę porozmawiać z Billem o tobie.

– I po co? To kompletnie bez sensu!

Tom Atkins zebrał resztki tchu i zwrócił się do mnie:

– Chciałbym, żebyś na niego uważał, kiedy mnie zabraknie, Bill – poprosił. – Zwłaszcza jeśli Peter będzie taki „jak my”, ale nie tylko wtedy.

– Dlaczego ja, Tom?

– Nie masz dzieci, prawda? Proszę tylko, żebyś zajął się jednym chłopcem. Nie wiem, co począć z Emily... chyba nie byłbyś dla niej odpowiedni.

– O nie, nie, nie – powiedział nagle chłopiec. – Emily zostaje ze mną... Nigdzie się bez niej nie ruszę.

– Musisz ją namówić, Peter; wiesz, jaka jest uparta – ciągnął z coraz większym trudem Atkins. – Kiedy umrę... i gdy umrze twoja mama... z tym człowiekiem masz rozmawiać. Nie z twoim dziadkiem.

Poznałem rodziców Toma w dzień zakończenia szkoły. Ojciec spojrział na mnie z rozpaczą i nie podał mi ręki. Był dziadkiem Petera; nie nazwał mnie „pedałem”, ale wyczytałem to w jego oczach.

„Mój ojciec jest bardzo... niewyszukany”. Takiego określenia użył wówczas Tom. „Powinien poznać moją mamę”, skwitowałem.

A teraz chciał, żebym służył radą jego synowi. (Atkins nigdy nie był realistą).

– Nie z dziadkiem – powtórzył.

– Nie, nie, nie. – Chłopiec znów zaczął płakać.

– Tom, ja nie potrafię być ojcem... nie mam doświadczenia. Poza tym też mogę zachorować.

– Właśnie! – krzyknął Peter. – Co jeśli Bill, Billy czy jak mu tam, też zachoruje, tato?

– Potrzebuję tlenu, Bill... Peter wie, jak to zrobić. Prawda, Peter?

– Tak... oczywiście, że wiem. – Natychmiast przestał płakać. – To Charles powinien ci podać tlen, tato... Zresztą i tak nie podziła! Myślisz, że dociera ci do płuc, ale to nieprawda.

Zobaczyłem maskę tlenową – Peter wiedział, gdzie jest – i gdy zajął się butlą, Tom uśmiechnął się do mnie z dumą.

– To wspaniały chłopiec. – Mówiąc to, nie czuł się na siłach, żeby spojrzeć na syna. Trzymał się, patrząc na mnie.

Ja z kolei, kiedy się odzywał, mogłem patrzeć tylko na piętnastolatka. Poza tym, jak powiem później Elaine, Peter bardziej przypominał Toma Atkinsa niż Atkins siebie.

– Nie byłeś taki asertywny, kiedy cię znałem, Tom – odparłem, patrząc na Petera, który ostrożnie umieszczał maskę na zmienionej twarzy ojca.

– Co znaczy „asertywny”? – spytał, a Tom się zaśmiał. Tchu mu zabrakło, ale to był na pewno śmiech.

– „Asertywny”, to ktoś, kto bierze sprawy w swoje ręce: nie brakuje mu pewności siebie w sytuacjach, kiedy inni ją tracą – wyjaśniłem. (Nie wierzyłem, że mówię to o Atkinsie, ale to była prawda).

– Lepiej? – spytał Peter, gdy ojciec usiłował zaczerpnąć tchu; zdawało się, że goni resztką sił, ale skinął głową, wpatrzony we mnie jak zaczarowany. – Chyba nie pomaga – stwierdził chłopiec; czułem, że też bacznie mi się przygląda. Dłoń Atkinsa przesunęła się o milimetr; trącił nią syna. – Więc... – zaczął chłopiec, jakby to wyszło od niego, jakby nie usłyszał od ojca: „Kiedy zjawi się mój dawny przyjaciel, spytaj go o nasze lato w Europie”, czy coś w tym stylu. – Więc... – zaczął jeszcze raz. – Rozumiem, że pan i mój tata pojechaliście razem do Europy, więc... jak było?

Wiedziałem, że wybuchnę płaczem, jeśli tylko spojrzę na Toma, który znowu się śmiał, kaszlał i dyszał, toteż patrząc na jego rudą podobiznę, Petera, odpowiedziałem, jakbym czytał ze

scenariusza:

– Przede wszystkim próbowałem czytać, ale twój tata mi nie pozwalał, więc musiałem czytać mu na głos.

– Całą książkę!? – wykrzyknął z niedowierzaniem.

– Owszem, mieliśmy po dziewiętnaście lat. Twój tata nienawidził tej książki; był zazdrosny o jedną z postaci, więc nie mogłem ani przez chwilę być z nią sam – wyjaśniłem. Chłopiec był zachwycony. (Wiedziałem, co robię – czytałem rolę).

Tlen chyba jednak działał – przynajmniej w głowie Toma, który z uśmiechem przymknął oczy. Był to niemal ten sam głupkowaty uśmiech, który pamiętałem, plus *Candida*.

– Jak można być zazdrosnym o kobietę z książki? – zdumiał się Peter. – Przecież to wymyślona postać, prawda?

– Prawda – odpowiedziałem. – To bardzo nieszczęśliwa osoba. Jest niezadowolona z życia, zażywa truciznę i umiera. Twój tata nie znosił nawet jej stóp!

– Stóp! – Chłopiec roześmiał się.

– Peter! – usłyszeliśmy wołanie matki. – Chodź tutaj, ojciec musi odpocząć!

Moja opowieść była z góry przesądzona.

„To było ukartowane, dobrze wszystko przeciwicyli. Wiesz o tym, prawda?”, powiedziała Elaine w pociągu. „Teraz już wiem”, odparłem. (Wtedy nie wiedziałem).

Peter wyszedł, gdy dopiero zaczynałem! Miałem mu tyle do powiedzenia o naszym lecie w Europie, a on wyszedł. Myślałem, że biedny Tomek śpi, lecz on zdjął maskę i nie otwierając oczu, odszukał zimną dłonią mój nadgarstek. (W pierwszej chwili pomyślałem, że to psi nos). Przesłał się uśmiechać; chyba wiedział, że zostaliśmy sami. Wiedział też, że tlen przestał działać i tak już zostanie. Miał twarz mokrą od łez.

– Piekielne czeluście naprawdę istnieją, Bill? – spytał. – I czeka w nich twarz upiora?

– Ależ nie, Tom – próbowałem go uspokoić. – Będzie to po prostu czeluść, żadnych upiorów i nic takiego. Lub bardzo jasne, cudowne światło i mnóstwo pięknych rzeczy do obejrzenia.

– Na pewno bez upiorów... tak? – upewnił się biedny Tom.

– Zgadza się, Tomku... Bez upiorów.

Czułem, że ktoś stoi za mną w drzwiach. Był to Peter; nie wiem, jak długo tam stał, ani co usłyszał.

– Twarz upiora też była w tej książce? – zwrócił się do mnie. – Też jest zmyślona?

– Ha! – zawołał Atkins. – Dobrze pytanie! Co powiesz na to, Bill? – Wstrząsnął nim atak kaszlu i znów nie mógł oddychać; chłopiec podbiegł i spróbował włożyć mu maskę, co na niewiele się zdało. Płuca odmawiały posłuszeństwa i Atkins nie mógł zaczerpnąć powietrza.

– Sprawdzasz mnie, Tom? – zapytałem starego przyjaciela. – Czego ode mnie chcesz?

Peter Atkins stał i na nas patrzył. Pomógł tacie odsunąć maskę od ust.

– Kiedy umierasz, wszystko jest próbą, Bill. Zobaczysz – odparł. Z pomocą syna sięgnął po maskę, po czym znów odsunął.

– To nieprawdziwa historia, Peterze – powiedziałem chłopcu. – O nieszczęśliwej kobiecie, która się zabija. Nawet jej stopy są zmyślone. Twarz upiora też. Wszystko jest na niby – dodałem.

– Ale to nie jest – odpowiedział. – Mama i tata umierają naprawdę.

– Tak – odparłem. – Zawsze możesz na mnie liczyć – rzuciłem nagle. – Pomogę ci, daję słowo.

– No proszę! – Peter mówił nie do mnie, tylko do swojego taty. – Powiedział to! Jesteś zadowolony? Bo ja nie!

– Peter! – zawołała matka. – Niech tata odpocznie! Peter?

– Idę! – odkrzyknął i wybiegł z pokoju.

Tom Atkins znów przymknął oczy.

– Powiedz, kiedy będziemy sami – szepnął. Trzymał maskę z dala od twarzy, ale jej nie puszczał.

– Jesteśmy sami – odpowiedziałem.

– Widziałem go – wychrypiał. – Jest zupełnie inny, niż myśleliśmy, bardziej jak my, inny niż nam się zdawało. Jest piękny, Bill!

– Kto? O kim ty mówisz, Tom? – Właściwie nie musiałem pytać, znałem odpowiedź. Istniała tylko jedna osoba, o której rozmawialiśmy w tajemnicy, z nienawiścią i miłością.

– Wiesz, o kim mówię, Bill... widziałem go...

– Kittredge'a? – odszepnąłem.

Atkins zasłonił maską usta i nos. Z trudem kiwnął głową, każdy oddech dużo go kosztował.

– Kittredge jest gejem? – spytałem, co spowodowało atak wzmożonego kaszlu, na przemian kręcił i kiwał głową. Pomogłem mu na chwilę zdjąć maskę.

– Wygląda zupełnie jak matka! – wyrzeźił i włożył maskę, z hałasem zaciągając się tlenem. Umilkłem, chcąc oszczędzić mu wzruszeń, na które naraziła go moja obecność. Przymknął oczy i jego twarz stężała w grymasie, kiedy usłyszałem wołanie Elaine.

Zastałem ją w kuchni z panią Atkins i dziećmi.

– Nie powinien być sam, kiedy ma maskę... a przynajmniej nie długo – oznajmiła na mój widok Sue Atkins.

– Nie, mam. Charles twierdzi inaczej – uściślił Peter. – Grunt, żebyśmy sprawdzali zbiornik.

– Na miłość boską, przestań mnie krytykować, Peter! – krzyknęła pani Atkins i zabrakło jej tchu. – Ten stary rupiec jest pewnie pusty! Tlen jest do niczego! – Zaniósła się kaszlem.

– Charles nie powinien dopuścić, żeby zbiornik był pusty! – odparł z urazą Peter. – Tatuś nie wie, że tlen mu nie pomaga. Czasem myśli, że pomaga.

– Nienawidzę Charlesa – odezwała się Emily.

– Nie mów tak, Emily. Potrzebujemy go – upomniała córkę Sue, próbując złapać oddech.

Spojrzałem bezradnie na Elaine. Zdziwiłem się, że siedzi naprzeciw wyłączzonego telewizora, obejmując ramieniem Emily, która skuliła się obok.

– Tom wierzy w twój charakter, Bill – stwierdziła pani Atkins (jakby nieraz o nim dyskutowano). – Nie widzieliście się dwadzieścia lat, ale wierzy, że może go ocenić na podstawie twoich powieści.

– Które są zmyślane, prawda? – wtrącił Peter.

– Przestań – poprosiła ze znużeniem Sue Atkins, tłumiąc kaszel.

– Owszem, Peterze – odpowiedziałem.

– Cały czas myślałam, że Tom widuje się z nim – zwróciła się do Elaine Sue, wskazując na mnie. – Ale musiał się widywać z tamtym... na którego punkcie wszyscy mieliście bzika.

– Nie sędzę – odparłem. – Tom wspomniał, że go „widział”, nie „widywał”. To pewna różnica.

– Cóż, co ja mogę wiedzieć? Jestem tylko żoną – skwitowała.

– Masz na myśli Kittredge'a, Billy? O nim mówicie? – spytała Elaine.

– Właśnie, tak się nazywa. Kittredge. Tom chyba był w nim zakochany. Zdaje się, że wszyscy byliście – powiedziała pani Atkins. Miała lekką gorączkę, może z powodu leków. Widziałem, że Tom ma po bactrimie wysypkę. Miałem tylko mgliste pojęcie co do innych skutków ubocznych. Sue Atkins przechodziła zapalenie płuc, więc pewnie brała bactrim, stąd podwyższona temperatura.

Sprawiła wrażenie otępiełej, jakby zapomniiała o obecności dzieci.

– Hej, to tylko ja! – zabrzmiał w korytarzu męski głos. Emily krzyknęła, nie odsuwając się od

Elaine.

– Przyszedł Charles, Emily – uspokoił ją brat.

– Wiem, ale go nie cierpię – burknęła.

– Przestańcie, oboje – jęknęła matka.

– Kim jest Kittredge? – zapytał Peter.

– Chciałabym to wiedzieć – odpowiedziała matka. – Darem niebios dla kobiet i mężczyzn, jak mniemam.

– Co Tom mówił o Kittredge’u, Billy? – spytała Elaine. Miałem nadzieję, że porozmawiamy o tym w pociągu – lub nigdy.

– Mówił, że go widział, to wszystko – odparłem. Ale czułem, że to nie wszystko. Nie wiedziałem, o co mu chodziło – że Kittredge jest zupełnie inny, niż myśleliśmy, bardziej jak my; inny, niż nam się zdawało.

Biedny Tom nazwał go „pięknym” – w to akurat wierzyłem – przy czym dał do zrozumienia, że Kittredge jest, a zarazem nie jest gejem; podobno wyglądał zupełnie jak matka! (Tego nie zamierzałem powiedzieć Elaine!). Ciekawe, jak to możliwe?

Emily krzyknęła. Myślałem, że pojawił się pielęgniarz Charles, ale nie, to labrador przyczłapał do kuchni.

– To tylko Jacques, Emily. Pies, nie facet – rzucił Peter z pogardą, ale ona wciąż krzyczała.

– Daj jej spokój. Jacques jest psem rodzaju męskiego, może to dlatego – wykoncypowała pani Atkins. Lecz gdy Emily nie przestawała krzyczeć, Sue dodała: – On rzadko wychodzi z pokoju Toma. Odkąd Tom zachorował, pies nie odstępował go na krok. Musimy go wyciągać na siku!

– I wabić przekąską do kuchni, żeby coś zjadł – dorzucił Peter, przekrzykując siostrę.

– Zmuszać labradora do jedzenia, tylko pomyślcie! – uzupełniła Sue Atkins. Nagle spojrzała na psa i też zaczęła krzyczeć. Teraz wrzeszczały obie.

– To pewnie Tom, Bill... Coś się stało – powiedziała Elaine. Peter Atkins może ją usłyszał, a może sam na to wpadł; był mądrym piętnastolatkiem.

– Tata! – krzyknął, ale matka złapała go i przycisnęła do siebie.

– Zaczekaj na Charlesa, Peter... Charles jest z nim – wykrztusiła, bo duszności przybrały na sile. Jacques (labrador) siedział i zipał.

Elaine i ja nie czekaliśmy w kuchni na Charlesa. Popędziliśmy w stronę otwartych drzwi dawnego gabinetu. (Jacques, który w pierwszym odruchu ruszył za nami, postanowił jednak zostać. Chyba wiedział, że jego pan odszedł).

Weszliśmy do odmienionego pokoju, gdzie Charles pochylał się nad szpitalnym łóżkiem, które podniósł, by ułatwić sobie zadanie. Stał ze spuszczoną głową; nie spojrzał na nas, chociaż musiał zauważyć, że przyszliśmy.

Przypominał mi kogoś, kogo widziałem parę razy w Mineshaft, klubie sado maso na Washington Street – w Little West Twelfth, w dzielnicy Meatpacking. (Larry wspominał, że klub został zamknięty przez miejski departament zdrowia, lecz dopiero w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym, cztery lata po wybuchu epidemii – gdy Elaine i ja próbowaliśmy mieszkać razem w San Francisco). W Mineshaft działy się różne rzeczy: był pas zawieszony u sufitu do fistingu, cała ściana z dziurami, pokój z wanną, gdzie jeden na drugiego sikał.

Charles do złudzenia przypominał mi wytatuowanego kulturystę o skórze jak alabaster, który miał głowę ogoloną na łyso i wąski pasek zarostu na brodzie, a w uszach dwa diamentowe kolczyki; nosił skórzaną kamizelkę i slipki oraz wypolerowane buty na motor; w Mineshaft był ochroniarzem i robił porządek z tymi, którzy bardzo się o to prosili. Nazywano go „Mefistofeles”; w wolne wieczory bywał w gejowskim barze o nazwie Keller, znajdującym się chyba na West Street, na rogu Barrow opodal przystani na Christopher Street, ale nigdy tam nie

byłem – podobnie jak wszyscy znani mi biali mężczyźni. (W Mineshaft krążyły pogłoski, że chodził do Keller podrywać czarnych lub wszczynać z nimi bójki; nie sprawiało mu to większej różnicy. Dupczenie i bijatyka były dlań niemal tym samym, i dlatego tak pasował do swojego miejsca pracy).

Ale pielęgniarz pochylony nad zmarłym nie był tym samym Mefistofešem, a jego troskliwe zabiegi nie wykazywały żadnych odchyłeń od normy. Akurat biedził się z cewnikiem.

– Biedny Tommy... Nie będę wyciągał hickmana – wyjaśnił mnie i Elaine. – Zrobią to w domu pogrzebowym. Widzicie, tu jest mankiet... coś jak rzep wkoło rurki, w miejscu gdzie wchodzi pod skórę. Tkanka Toma zrosła się z rzepem, przez co cewnik nie wypadnie i się nie połuzni. Wystarczy mocniej szarpnąć i po wszystkim – dodał. Elaine odwróciła wzrok.

– Może źle się stało, że go zostawiłem. – Poczulem wyrzuty sumienia.

– Wielu ludzi chce umierać samotnie – odparł. – Wiedziałem, że Tommy chciał się z tobą zobaczyć, miał coś do powiedzenia. I chyba zdążył, nie? – Popatrzył na mnie i się uśmiechnął. Był silnym, przystojnym mężczyzną o krótko przyciętych włosach; w górnej części lewego ucha lśnił srebrny kolczyk. Był gładko ogolony, a gdy się uśmiechał, wcale nie przypominał Mefistofelesa, za którego go wziąłem.

– Tak, powiedział, co miał do powiedzenia – potwierdziłem. – Mam pilnować Petera.

– Ha, powodzenia. Ciekawe, co on na to? – rzucił Charles. (Moja pomyłka była jednak uzasadniona; Mefistofeles też bywał bezpośredni).

– Nie, nie, nie! – słyszeliśmy zawodzącego w kuchni Petera. Dziewczynka przestała krzyżeć, podobnie jak jej mama.

Charles był ubrany nietypowo jak na grudzień; w czarną, obcisłą koszulkę, odsłaniającą jego tatuaże i bicepsy.

– Tlen chyba nie działał – zwróciłem się do niego.

– Trochę działał. PCP atakuje oba płuca i ogranicza zdolność do pobierania tlenu przez naczynia krwionośne, a co za tym idzie, do ciała – wyjaśnił.

– Miał takie zimne ręce – wtrąciła Elaine.

– Nie chciał korzystać z respiratora. – Charles chyba skończył z cewnikiem i zmywał przyschnięty nalot z ust Atkinsa. – Umyję go, zanim przyjdą – dodał.

– Pani Atkins... ten kaszel. Jest coraz gorzej, prawda? – spytałem.

– Ma suchy kaszel... czasem nie kaszle w ogóle. Ludzie przywiązują za dużą wagę do kaszlu, bardziej martwiłbym się o duszności – odparł pielęgniarz. – Tommy tracił dech.

– Chcemy go zobaczyć, Charles – zawołała Sue Atkins.

– Nie, nie, nie. – Peter płakał.

– Nienawidzę cię, Charles! – wrzasnęła Emily.

– Wiem, skarbie! – odkrzyknął. – Dajcie mi jeszcze chwilę!

Pochyliłem się nad Atkinsem i ucałowałem go w lepkie czoło.

– Nie doceniałem go – powiedziałem do Elaine.

– Tylko nie płacz, Billy. – Spojrzała na mnie surowo.

Nagle zeszytniałem, bo wydawało mi się, że Charles chce mnie objąć lub pocałować – a może odepchnąć od uniesionego łóżka – ale on podawał mi tylko swoją wizytówkę.

– Zadzwoń, Williamie Abbott... żebym wiedział, czy Peter może się z tobą skontaktować, jeśli zechce.

– Jeśli zechce – powtórzyłem, biorąc wizytówkę.

Gdy ktoś zwracał się do mnie per „William Abbott”, na ogół miałem do czynienia z czytelnikiem bądź kimś, kto wie, że jestem „tym pisarzem”. Wiedziałem, że Charles jest gejem, ale co do „czytelnika” nie miałem pewności.

– Charles! – zawołała Sue Atkins bez tchu.

Elaine, Charles i ja wpatrywaliśmy się w biednego Tomka. Nie wiem, czy wyglądał „spokojnie”, lecz przynajmniej nie męczył się z oddychaniem.

– Nie, nie, nie – brzmiały coraz cichsze krzyki chłopca.

Elaine i ja zobaczyliśmy, że Charles nagle podniósł wzrok na drzwi.

– Ach, to ty, Jacques – rzucił. – W porządku, możesz wejść. No, chodź.

Wzdrygnęliśmy się mimowolnie. Nie było wątpliwości, o którym „Jacques’u” pomyśleliśmy, jednakże w progu nie stał ten „Żak”. Czy to możliwe, że po dwudziestu latach spodziewaliśmy się widoku Kittredge’a?

W drzwiach stał na artretycznych nogach stary labrador.

– Chodź, piesku – zachęcił Charles i Jacques wkuśtykał do dawnego gabinetu pana. Charles ujął zimną dłoń Toma i pies przytknął do niej zimny nos.

Za nim pojawili się inni, więc Elaine i ja cofnęliśmy się od łóżka. Sue posłała mi blady uśmiech, mówiąc:

– Miło, że cię wreszcie poznałam. Odezwij się czasem. – I podobnie jak ojciec Toma przed dwudziestu laty, nie podała mi ręki na pożegnanie.

Peter nawet na mnie nie spojrział, tylko podbiegł do wynędzniałego ciała i je przytulił. Emily zerknęła (prze lotnie) na Elaine, po czym spojrzała na Charlesa i wrzasnęła. Stary pies tylko siedział apatycznie, jak przedtem w kuchni.

Przez całą drogę do wyjścia z tego dotkniętego smutkiem domu (w holu zobaczyłem nieudekorowaną choinkę) nie docierały do mnie słowa Elaine. Na podjeździe stał taksówkarz z dworca, który miał na nas czekać. (Ku mojemu zdumieniu byliśmy u Atkinsa jedynie czterdzieści pięć minut lub godzinę; mieliśmy poczucie, że spędziliśmy tam pół życia).

– Nie słyszę, co mówisz – powiedziałem do Elaine, gdy wsiedliśmy do taksówki.

– Co się stało z kaczką, Billy? – powtórzyła głośniejsze.

A więc mamy kolejny epilog, pomyślałem sobie.

„Jesteśmy tym, z czego rodzą się sny; a niewielkie to życie nasze sen spowija wokół”, mówi Prospero w scenie pierwszej aktu czwartego. Kiedyś myślałem, że tak powinny brzmieć ostatnie słowa „Burzy”.

Próbowałem sobie przypomnieć początek epilogu. Mogłem spytać Richarda Abbotta, lecz nie chciałem do niego dzwonić nawet po powrocie do Nowego Jorku. (Nie czułem się na siłach, by powiedzieć pani Hadley o Tomie).

– Pierwszy wers epilogu z „Burzy” – rzuciłem możliwie zdawkowym tonem, gdy jechaliśmy z Elaine żałobną taksówką. – Wiesz, to co na końcu mówi Prospero. Jak się zaczyna?

– „Teraz czarami już nie władam i własną tylko moc posiadam, bardzo niewielką” – wyrecytowała Elaine. – O ten kawałek ci chodzi?

– Tak. – Właśnie tak się czułem – jakby opuściły mnie wszystkie siły.

– Już dobrze. – Elaine mnie objęła. – Teraz możesz płakać, oboje możemy. Już dobrze.

Próbowałem nie myśleć o zdaniu z „Pani Bovary”, którego nie znosił Atkins. Wicie, po tym gdy Emma oddaje się niegodnemu Rudolfowi – gdy czuje, jak jej serce bije, a „krew krąży po ciele jak mleczna rzeka”. Ależ ta wizja zniesmaczyła Toma Atkinsa!

A jednak, chociaż trudno mi to było sobie wyobrazić, po tym, co zobaczyłem – Tom i Sue Atkins musieli tak się czuć, chociaż raz albo dwa razy.

– Chcesz powiedzieć, że według Toma Atkinsa Kittredge jest gejem? Nie mówisz mi tego, prawda? – upewniła się Elaine w pociągu, tak jak przewidywałem.

– Bynajmniej. Na słowo „gej” Tom pokiwał, a zarazem pokręcił głową. Nie wyraził się jasno.

Nie mówił, kim jest lub był Kittredge, wspominał tylko, że go „widział” i że Kittredge jest „piękny”. I jeszcze coś: podobno jest inny, niż myśleliśmy. Nic więcej nie wiem.

– Aha. Spytaj Larry’ego, czy coś o nim słyszał. Ja sprawdzę w hospicjach, a ty u Świętego Wincentego.

– Tom nie twierdził, że Kittredge jest chory.

– Jeśli go widział, Kittredge może być chory, Billy. Kto wie, gdzie włóczył się Tom? Prawdopodobnie Kittredge też tam bywał.

– Dobrze, spytam Larry’ego. I sprawdzę w szpitalu – obiecałem. Oczekałem chwilę, gdy za oknem przetaczało się New Jersey. – Czegoś mi nie mówisz, Elaine – powiedziałem. – Na jakiej podstawie myślisz, że Kittredge może być chory? Czego nie wiem o pani Kittredge?

– Kittredge lubił eksperymentować, prawda? Właśnie o to mi chodzi. Bzyknąłby każdego, żeby zobaczyć, jak to jest.

Ale ja dobrze znałem Elaine; wiedziałem, że kłamie – lub coś ukrywa – i czułem, że muszę uzbroić się w cierpliwość, tak jak ona (latami) miała cierpliwość do mnie. Elaine nie spieszyła się z rozwojem akcji.

– Nie wiem, kim lub czym jest Kittredge – uzupełniła. (Chyba zgodnie z prawdą).

– Ja też nie – odparłem.

No proszę: umarł Tom Atkins, a my wciąż myśleliśmy o Kittredge’u.

Rozdział 13

Z PRZYCZYNN NIENATURALNYCH

Nadal dziwię się na wspomnienie nadziei, jakie Tom Atkins pokładał w naszym młodzieńczym romansie sprzed lat. Na łożu śmierci był równie naiwny, łudząc się, że zastąpię ojca Peterowi, który – podobnie jak ja – wiedział, że nic z tego.

Utrzymywałem kontakt z Charlesem tylko przez jakieś pięć, sześć lat, nie dłużej. Napisał mi, że Peter Atkins dostał się do Lawrenceville, która do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego – rok lub dwa po tym, gdy Peter ją skończył – była wyłącznie męską szkołą. W porównaniu z wieloma placówkami w Nowej Anglii – w tym Akademią Favorite River – Lawrenceville późno przeszła na koedukację.

Ależ trzymałem kciuki, aby Peter Atkins nie okazał się – używając określenia biednego Tomka – taki „jak my”.

Peter poszedł do Princeton, leżącego niespełna dziesięć kilometrów od Lawrenceville. Po zakończeniu niefortunnego rozdziału w San Francisco, Elaine i ja wróciliśmy do Nowego Jorku. Wykładała w Princeton w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym i osiemdziesiątym ósmym, kiedy Peter był tam studentem. Wiosną tysiąc dziewięćset osiem dziesiątego ósmego roku, mając tuż po dwudziestce, przyszedł na jej zajęcia. Odniosła wrażenie, że chłopak robi specjalizację z ekonomii, ale nigdy nie przywiązywała wagi do tego, w czym specjalizują się jej studenci.

– Nie zapowiadał się na pisarza – stwierdziła w rozmowie ze mną. – Ale raczej nie miał złudzeń.

Wszystkie opowiadania Petera dotyczyły samobójstwa – w wieku siedemnastu czy osiemnastu lat – jego młodszej siostry Emily.

Dowiedziałem się o tym tuż po fakcie od Charlesa; zawsze była „pokręcona”, napisał. Co do żony Toma, Sue, zmarła długie półtora roku temu po nim; zwolniła Charlesa prawie natychmiast po śmierci męża.

„Nie chciała mieć opiekuna geja, to jasne”, podsumował w liście Charles.

Zapytałem Elaine, czy jej zdaniem Peter jest gejem. Odparła zdecydowanie, że nie. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych – już po największej fali zachorowań – miałem odczyt w Nowym Jorku i gdy przyszła pora na autografy, podszedł do mnie ryży, rumiany młody człowiek. Peter Atkins musiał mieć niewiele po trzydziestce, ale bez trudu go rozpoznałem. Wciąż wyglądał jak Tom.

– Specjalnie wzięliśmy opiekunkę, co rzadko nam się zdarza – powiedziała z uśmiechem jego żona.

– Jak się masz, Peterze? – spytałem.

– Czytałem wszystkie pana książki – oznajmił. – Były dla mnie swoistym *loco parentis* – wymówił powoli. – No wie pan, „zamiast rodzica”... coś w tym rodzaju.

Wymieniliśmy uśmiechy; cóż było dodać? Dobrze powiedziane, stwierdziłem. Ojciec ucieszyłby się na jego widok – na miarę swoich możliwości. Tom Atkins i ja dorastaliśmy w nienawiści do własnej odmienności, bo wbijano nam do głowy, że to coś złego. Z perspektywy czasu wstydę się, iż zakładałem, że Peter będzie „inny” niż Tom – lub ja. Może w przypadku jego pokolenia powinienem był wyrazić nadzieję, że będzie taki „jak my” – i przyjmie to z radością. Lecz zważywszy na los jego rodziców – porzestaśmy na tym, że wycierpiał aż nadto.

Winny jestem nekrologu amatorskiej trupie z First Sister. Otóż po śmierci Nilsa Borkmana i równie gwałtownym zgonie suflerki (mojej matki, Mary Marshall Abbott) – nie wspominając o świętej pamięci mojej ciotce, Muriel Marshall Fremont, która olśniewała nasze miasteczko

plejadą śmiałych i piersiastych ról – trupa powoli odeszła w niepamięć. W latach osiemdziesiątych nawet w małych miastach zamieniano teatry w sale kinowe. Ludzie woleli oglądać filmy.

– A jeszcze więcej siedzi w domach i gapi się w telewizor – skomentował dziadek Harry. On też „siedział w domu”; lata jego triumfów na scenie dawno minęły.

Richard zadzwonił do mnie po tym, gdy Elmira znalazła jego ciało.

„Koniec z czyszczeniem chemicznym, Elmiro”, rzekł do niej Harry, widząc, że rozwiesza w szafie czyste rzeczy babci.

– Chyba go nie zrozumiałam – tłumaczyła potem Richardowi. – Zdawało mi się, że powiedział: „Tylko nie czyszczenie chemiczne, Elmiro”. Myślałam, że się ze mną droczy. Ale teraz wiem na pewno, że mówił „Koniec z czyszczeniem chemicznym”. Jakby wiedział, co robi.

Przez wzgląd na opiekunkę, dziadek Harry przebrał się za starego drwala, którym był – w dzinsy, flanelową koszulę, „ot, łachy”, jak określiła to Elmira – i skuliwszy się w wannie jak dziecko do snu, strzelił sobie w skroń z mossberga .30-30, dzięki czemu większość krwi nie wypłynęła na zewnątrz. To, co chlapanęło naokoło, bez trudu dało się zmyć.

Wiadomość, jaką w przeddzień zostawił mi na sekretarce, nie odbiegała od innych. „Nie musisz oddzwaniać, Bill. Idę wcześniej spać. Sprawdzalem tylko, czy wszystko gra”.

Wiadomość na sekretarce Richarda Abbotta – był listopad tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku, tuż przed Świętem Dziękczynienia – brzmiała podobnie, przynajmniej w kwestii „wczesnego pójścia spać”. Richard zabrał Marthę Hadley do kina, w budynku dawnej siedziby teatru. Lecz koniec wiadomości był inny. „Tęsknię za dziewczynkami, Richardzie”, powiedział dziadek Harry. (Po czym ułożył się w wannie i pociągnął za spust). Miał pięćdziesiąt lat, wkrótce miał skończyć pięćdziesiąt jeden – oszczędził trochę za „wcześnie”, niż należało.

Richard Abbott i wujek Bob postanowili zamienić Święto Dziękczynienia w swoisty hołd jego pamięci, ale rówieśnicy dziadka – ci, którzy jeszcze żyli – przebywali w Ośrodku. (I nie mogli zasiąść z nami do stołu na River Street).

Elaine i ja przyjechaliśmy razem z Nowego Jorku; poprosiliśmy Larry’ego, żeby się przyłączył. Miał sześćdziesiąt sześć lat; akurat był sam i trochę się o niego martwiliśmy. Nie chorował, ale strasznie zmizerniał; często o tym rozmawialiśmy. Elaine stwierdziła nawet, że wirus AIDS zabijał Larry’ego „inaczej”.

Ucieszyłem się, że z nami pojechał, oszczędziło mi to bowiem opowieści Elaine na temat osoby, z którą się akurat spotykałem. I nikt nie stanął pod fałszywym zarzutem srania w łóżku.

Richard zaprosił na obiad paru zagranicznych uczniów Akademii; mieli za daleko do domu, by skorzystać z krótkiej przerwy, więc zjedliśmy w towarzystwie dwóch młodych Koreanek i wyalienowanego chłopca z Japonii. Reszta towarzystwa znała się – nie licząc Larry’ego, który po raz pierwszy bawił w Vermont.

Mimo iż dom dziadka Harry’ego przy River Street znajdował się w centrum miasteczka – i w pobliżu Akademii – Larry ochrzcił First Sister mianem „głuszy”. Bóg jeden wie, co myślał o okolicznych polach i lasach; sezon łowiecki trwał w najlepsze i kule niemalże świstały nam koło głowy. („Barbarzyńska głusza”, jak mawiał Larry o Vermont).

Pani Hadley i Richard zajęli się kuchnią, z pomocą Gerry i Heleny, jej nowej dziewczyny – żwawej, rozgadanej kobiety, która właśnie rzuciła męża i ujawniła się jako lesbijka, chociaż była w wieku Gerry (czterdzieści pięć) i miała dwójkę dorosłych dzieci – spędzały święto z jej byłym mężem.

Wujek Bob i Larry o dziwo z miejsca przypadli sobie do gustu – może dlatego, że Larry byłby w wieku Muriel, gdyby nie zginęła tragicznie zrazem z moją mamą. Larry uwielbiał też

rozmawiać z Richardem o Szekspirze. Lubilem ich słuchać; powracałem myślą do czasów dojrzewania w klubie dramatycznym, jakbym miał przed oczami mijającą fazę dzieciństwa.

Ponieważ Akademia przyjmuje dziewczęta, tłumaczył Larry'emu Richard Abbott, dobór obsady musiał się zmienić. Nie cierpiał obsadzać chłopców w rolach żeńskich; wyjątek stanowił dziadek Harry, który był wspaniały jako kobieta (podobnie jak Elaine oraz parę innych dziewcząt). Mając teraz do wyboru chłopców i dziewczęta, Richard ubolewał nad tym, co często słyszę dzisiaj od wielu szkolnych reżyserów, nawet w collegach. Teatr to domena dziewcząt i zawsze jest ich więcej. Nie wystarcza chłopców do obsadzania ról męskich; trzeba wybierać sztuki z przewagą ról żeńskich dla dziewcząt, bo w większości przypadków tych pierwszych jest mniej niż drugich.

– Szekspir bardzo lubił zamianę płci, Richardzie – rzucił prowokująco Larry. – Czemu nie powiesz uczniom, że w sztukach z przewagą męskich ról obsadzisz w nich dziewczęta, a chłopcom każesz grać kobiety? Myślę, że Szekspir byłby wniebowzięty! (Podobnie jak Larry, który na wszystko patrzył przez pryzmat płci, Szekspira nie wyłączając).

– Ciekawa myśl, Larry – odparł Richard Abbott. – Ale wystawiamy „Romea i Julię”. (Domyślałem się, że to kolejne przedsięwzięcie Richarda; gdy omawiali plan zajęć, na chwilę wyłączyłem się z rozmowy). Są tam jedynie cztery role żeńskie, w tym tylko dwie ważne – dodał.

– Tak, tak, wiem. – Larry był w swoim żywiole. – Pani Montecchi i pani Capuletti są nieważne, jak mówisz. Liczy się tylko Julia i jej piastunka, do których dochodzi dwudziestu lub więcej mężczyzn!

– Kusi mnie obsadzić chłopców jako kobiety i na odwrót – przyznał Richard. – Ale to nastolatki, Larry. Gdzie znajdę chłopca z jajami, który zagra Julię?

– Ach... – zaczął Larry i urwał. (Nawet on nie znał odpowiedzi). Pomyślałem sobie, że to nie był i nigdy nie będzie mój problem. Niech Richard się tym zajmie, uznałem, ja miałem inne sprawy na głowie.

Dziadek Harry zostawił mi dom przy River Street. Po co mi pięć sypialni i sześć łazienek w Vermont?

Richard radził, żebym go nie sprzedawał.

– Później bardziej ci się to opłaci, Bill – argumentował. (Dziadek zostawił mi też trochę grosza; nie musiałem sprzedawać domu, przynajmniej na razie).

Martha Hadley obiecała zorganizować aukcję niepotrzebnych mebli. Harry zostawił też pieniądze wujkowi i Richardowi, ale najwyższa kwota przypadła Gerry, zamiast jej części domu.

W tym domu się urodziłem i dorastałem, dopóki mama nie wyszła za mąż. „Dom powinien przypaść Billowi”, powiedział Richardowi dziadek. „Pisarz może mieszkać z duchami... Mogą mu się przydać, nie?”.

Nie wiedziałem, co to za duchy ani czy mogę mieć z nich pożytek. I nie miałem wówczas pojęcia, jakież to okoliczności mogą skłonić mnie do zamieszkania w First Sister. Lecz nie chciałem działać pochopnie i postanowiłem dom zatrzymać.

Naszej pierwszej nocy na River Street duchy przygnały Elaine do mojego łóżka. Leżałem w swoim dawnym pokoju, kiedy wpadła do środka i położyła się obok mnie.

– Nie wiem, za kogo uważają się te kobiety – oznajmiła. – Ale wiem, że są martwe i strasznie je to wkurza.

– Nie ma sprawy – odpowiedziałem. Lubilem spać z Elaine, ale następnej nocy przenieśliśmy się do sypialni z większym łóżkiem. Nie nękały mnie wówczas żadne duchy – gwoli ścisłości, w tym domu nie widziałem ich nigdy.

Umieściłem Larry'ego w największej sypialni – należała do dziadka Harry'ego – z szafą

pełną ciuchów babci Victorii. (Pani Hadley obiecała zrobić z nimi porządek przy okazji sprzedaży mebli). Ale Larry nie widział duchów, miał tylko zastrzeżenia do wanny w łazience.

– Uhm, Bill, czy to ta, w której twój dziadek...

– Tak. A w czym rzecz?

Larry przeszukał łazienkę w poszukiwaniu plam krwi, lecz kafelki i wanna były nieskazitelnie czyste. (Elmira musiała szorować na klęczkach!). A jednak znalazł coś, co chciał mi pokazać – odprysk na dnie wanny.

– Zawsze tam był? – spytał.

– Tak, zawsze... odkąd byłem mały – skłamałem.

– Skoro tak twierdzisz, Bill... Skoro tak twierdzisz – odparł Larry podejrzliwie.

Obaj wiedzieliśmy, skąd się wziął. Kiedy dziadek leżał na boku w wannie, nabój musiał przeszyć mu czaszkę i naruszył dno.

– Pozbywając się mebli – powiedziałem Richardowi – wyrzucicie z łaski swojej także wannę.

Nie musiałem dodawać, o którą wannę chodzi.

– Nigdy nie będziesz mieszkał w tej dziurze, Billy. Chyba zwariowałeś, że w ogóle o tym myślisz – oświadczyła Elaine. Nie mogliśmy zasnąć po świątecznym obiedzie; może za dużo zjedliśmy, a może nasłuchiwaliliśmy duchów.

– Kiedy tutaj mieszkaliśmy i występowaliśmy w sztukach Szekspira, czy w Favorite River znalazłby się chłopiec z jajami, który zagrałby Julię? – spytałem. Czułem, że myśli o tym samym, co ja.

– Tylko jeden, Billy – odpowiedziała. – Ale nie nadawałby się do tej roli.

– Dlaczego? – spytałem. Wiem, że miała na myśli Kittredge: posiadał odpowiednią prezencję – o jajach nie wspominając.

– Julia musi być szczerą. Kittredge oczywiście pasowałby wizualnie, lecz położyłby rolę. On nie znał się na szczeroci, Billy.

Miała rację. Kittredge mógł być każdym, świetnie wypadłby w każdej roli. Ale nie był szczerą: zawsze nosił maskę – i tylko grał.

Podczas tamtego świątecznego obiadu było trochę niezręcznie i trochę komediowo. Na przykład dwie Koreanki w mówiły młodemu Japończykowi, że je pawia. (Nie mam pojęcia, jak zdołały tego dokonać, ani czemu Fumi – chłopiec – tak się spłoszył).

– Nie, nie. To indyk – wyartykułowała pani Hadley, jakby Fumi miał problem z tym słowem.

Znalazłem encyklopedię i pokazałem mu indyka.

– Nie paw – powiedziałem. Koreanki, Su Min i Dong Hee, szeptały w swoim języku i chichotały.

Później, po dość zakrapianej kolacji, żwawa, rozgadana matka dwojga dzieci – obecnie dziewczyna Gerry – wzniosła toast na cześć naszej rodziny, że przyjęliśmy ją na łono w tak „intymne” święto. Niewątpliwie wino w połączeniu z „łonom” skłoniło ją do wygłoszenia spontanicznego peanu na cześć wszystkich oraz – własnej pochwy.

– Dziękuję za waszą gościnność – zaczęła Helena, po czym nagła myśl zniosła ją z kursu. – Dawniej byłem kimś, kto nienawidził swojej pochwy, ale teraz ją kocham – oznajmiła. Zdaje się, że prawie natychmiast poszła po rozum do głowy, bo dodała pospiesznie: – Oczywiście kocham też pochwę Gerry... to chyba oczywiste! Ale za sprawą Gerry pokochałam również swoją, a kiedyś jej nienawidziłam. – Stała nieco chwiejnie, ze wzniesionym kieliszkiem. – Dziękuję za waszą gościnność – powtórzyła, siadając.

Spodziewam się, że z racji urzędu wuj Bob wysłuchał w życiu wielu toastów wznoszonych przez podpitych absolwentów – ale toast Heleny jawnie odebrał mu mowę.

Zerknąłem na Larry'ego, którego aż język świerzbil; był w swoim żywiole.

– Nie – szepnąłem przez stół, bo zawsze umiałem poznać, że walczy ze sobą; miał wielkie oczy i rozdymał nozdrza jak koń.

Jakby tego było mało, teraz Koreanki były w kropce.

– O czym mowa? – spytała Dong Hee.

– Nienawidziła, a teraz kocha co? – dopytywała Su Min.

Fumi wyszczerzył zęby; „pawia” przełknął, a temat pochwy miał opanowany jak nikt.

– No wiecie, pochwę – wyjaśniła ściszym głosem Elaine, ale Su Min i Dong Hee nigdy nie słyszały tego słowa, a nikt przy stole nie wiedział, jak to leci po koreańsku.

– Jezu, stamtąd się biorą dzieci – włączyła się pani Hadley i zmartwiała (może na wspomnienie skrobanki Elaine).

– Tam się wszystko dzieje... no wiecie, na dole – dodała Elaine, lecz mówiąc o „dole” nie wykonała żadnego gestu, nie pokazała, ani nic.

– Nie wszystko... za pozwoleniem – wtrącił z uśmiechem Larry; dopiero się rozkręcał.

– Och, tak mi przykro! Za dużo wypłam i zapomniałam, że mamy tutaj młodzież! – usprawiedliwiała się Helena.

– Nie przejmuj się, kochana – uspokoił wujek Bob; widziałem, że lubi Helenę, która wcale nie przypominała poprzednich dziewczyn Gerry. – Te dzieciaki są z innego kraju, z innej kultury; w Korei rozmawia się na inne tematy – tłumaczył niezdarne Rakietę.

– W mordę! – krzyknęła Gerry. – Nazwijcie to inaczej! – Zwróciła się do Su Min i Dong Hee, które dalej nie łąpały, o co chodzi. – Dziurka, myszka, piczka, szparka... pipa, na miłość boską! – na co Elaine podskoczyła (Larry też).

– Już rozumiem, Gerry... błagam cię – mitygował wuj Bob.

Koreanki zbladły jak papier; Japończyk jeszcze się trzymał, chociaż „myszka” i „piczka” trochę go zdziwiły.

– Poszukaj w encyklopedii, Bill – zachęcił Larry podstępnie.

– Póki pamiętam, Bill – wtrącił Richard Abbott; widziałem, że chce zmienić temat. – Co z mossbergiem?

– Z czym? – spytał przerażony Fumi; „myszkę” zdzierzył, ale o „mossbergu” nie słyszał.

– Wystawić go z meblami, Bill? Chyba nie chcesz zatrzymać tego karabinka.

– Owszem, Richardzie. Naboje też. Jeśli tutaj zamieszkać, broń na lisy może się przydać.

– Jesteśmy w mieście, Billy – przypomniał Bob. – W mieście nie wolno strzelać, nawet do lisów.

– Dziadek bardzo go lubił – odpowiedziałem.

– Ciuchy swojej żony też – przygadała Elaine. – Je też chcesz zatrzymać?

– Żaden z ciebie myśliwy, Bill – dodał Richard Abbott. – Nawet jeśli postanowisz tutaj zamieszkać.

Ale ja chciałem mossberga – i wszyscy to widzieli.

– Na co ci broń, Bill? – spytał Larry.

– Może starasz się być tajemniczy, Billy – dorzuciła Elaine. – Ale słabo ci idzie.

Niewiele spraw trzymała przede mną w tajemnicy, lecz umiała jej dochować; ze mną było na odwrót.

Czułem, że wie, dlaczego nie chcę się rozstać z mossbergiem .30-30. Larry też wiedział i patrzył na mnie ze zbolaną miną, jakby chciał powiedzieć (bez słów): „Jak możesz nie chcieć, żebym się tobą zajął – czemu nie chcesz umrzeć w moich ramionach, gdy przyjdzie co do czego? Jak możesz choćby myśleć, że wymkniesz się tutaj i zastrzelisz, jeżeli zachorujesz?”. (Tak brzmiał niemy wyrzut Larry'ego).

Elaine również posłała mi zbolące spojrzenie.

– Jak chcesz, Bill – odparł Richard. Też był dotknięty – nawet pani Hadley wydawała się rozczarowana.

Tylko Gerry i Helena przestały śledzić rozmowę; dotykały się pod stołem. Rozmowa o pochwie odciągnęła ich uwagę od obiadu. Koreanki znów szeptały po koreańsku, a wyalienowany Fumi zapisywał coś w notesie nie większym niż jego dłoń. (Na przykład słowo „mossberg”, aby nim błysnąć wśród kolegów. „Chciałbym się dobrać do jej mossberga” czy coś w tym rodzaju).

– Nie – szepnął Larry przez stół, jak wcześniej ja do niego.

– Powinieneś odwiedzić Herma Hoyta, zanim wyjedziesz, Billy – odezwał się wujek Bob w ramach pożądanej zmiany tematu, jak mi się najpierw zdawało. – Wiem, że chciałby z tobą pogadać.

– O czym? – spytałem ze źle maskowaną obojętnością, ale Rakieta już nalewał sobie kolejne piwo.

Robert Fremont, czyli wuj Bob, miał sześćdziesiąt siedem lat. W przyszłym roku planował emeryturę, ale wyznał, że chce dalej pracować dla szkoły, ze szczególnym uwzględnieniem „River Bulletin”. Cokolwiek sądzić o jego rubryce, wytrwałością w tropieniu byłych absolwentów zaskarbił sobie sympatię.

– O czym chce ze mną porozmawiać trener Hoyt? – ponowiłem pytanie.

– Musisz sam go spytać, Billy – odparł jak zawsze jowialnie Rakieta. – Znasz Herma: bywa skryty w temacie swoich zapaśników.

– Ach tak.

Zmiana tematu okazała się mniej pożądana, niż przypuszczałem.

W innym miejscu i czasie ośrodek „dla potrzebujących” zyskałby miano „Pod sosną” albo (w Vermont) „Pod klonem”. Pamiętajcie jednak, że miejsce to powstało z inicjatywy Harry’ego Marshalla i Nilsa Borkmana; jak na ironię, nie umarł tam żaden z nich.

W tamten świąteczny weekend, gdy poszedłem w odwiedziny do trenera Hoyta, ktoś jednak zmarł. Ujrzałem na łóżku przykryte zwłoki, których starsza pielęgniarka o surowej minie pilnowała na parkingu.

– Nie ciebie się spodziewałam. – Pokręciła głową.

– Przepraszam – odpowiedziałem.

– Zaraz sygnie śnieg – oznajmiła. – I będę musiała go zawieźć z powrotem.

Próbowałem skierować rozmowę na powód mojej wizyty, ale – jak to w małym miasteczku – pielęgniarka już go znała.

– Trener czeka na ciebie – oznajmiła. Wskazawszy mi drogę do jego sali, dodała: – Nie wyglądasz na zapaśnika. – A gdy się przedstawiłem, powiedziała: – O, znałam twoją matkę i ciotkę... i dziadka, naturalnie.

– Naturalnie – odparłem.

– Ten pisarz – mruknęła, zezując na rozżarzony koniec papierosa. Zrozumiałem, że wyjechała z ciałem na zewnątrz, bo chciała zapalić.

Miałem czterdzieści dwa lata; pielęgniarka była na oko w wieku Muriel, czyli dobijała siedemdziesiątki. Przyznałem, że jestem „tym pisarzem”, ale nim zostawiłem ją na parkingu, upewniła się jeszcze:

– Chodziłeś do Favorite River, prawda?

– Tak, ukończyłem w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym – odpowiedziałem.

Patrzyła na mnie otwarcie; na pewno słyszała o sprawie z panną Frost, jak wszyscy w

pewnym wieku.

– To pewnie go znalazłaś. – Wskazała gestem ciała. – Zdaje się, że czeka nie tylko tutaj! – dodała, wydmuchując potężny kłąb dymu. Miała na sobie narciarską kurtkę i czapkę, ale była bez rękawiczek; przeszkadzałyby jej w trzymaniu papierosa. Zaczął prószyć śnieg – padały pojedyncze płatki, za mało, by osiąść na zwłokach. – Czekaj na tego głupka z domu pogrzebowego i czekaj w jak-mutam! – zawołała.

– W czyścicu? – podsunąłem.

– Owszem, a co to w ogóle jest? – spytała. – Pisarz musi wiedzieć.

– Nie wierzę w czyścicie i nic innego – zastrzegłem.

– Wierzyć ci nie każę. Tylko pytam, co to jest!

– Stan zawieszenia po śmierci... – zacząłem, ale nie dopuściła mnie do głosu.

– Gdy Wszechmogący nie może się zdecydować, gdzie go posłać, tak?

– W pewnym sensie – odpowiedziałem. Miałem mgliste pojęcie, czemu służy czyścicie – chyba oczyszczeniu duszy, jeśli dobrze pamiętałem. Dusza po śmierci ma odpokutować za grzechy, tak mi się przynajmniej zdawało. – Co to za jeden? – spytałem, wskazując ciało.

Pielęgniarka zmrużyła oczy, może z powodu dymu.

– Doktor Harlow, pamiętasz go, prawda? Coś mi mówi, że Wszechmogący nie będzie długo się zastanawiał!

Uśmiechnąłem się tylko i odszedłem. Nie sądziłem, aby Harlow mógł kiedykolwiek odpokutować za grzechy; pewnie był już w piekle, gdzie jego miejsce. Miałem nadzieję, że raj wypiął się na niego, tak jak on kiedyś potępił moją „przypadłość”.

Dowiedziałem się od Herma Hoyta, że po przejściu na emeryturę doktor Harlow wyjechał na Florydę. Ale gdy zachorował – miał raka prostaty, z przerzutami do kości, jak to często bywało – postanowił wrócić do First Sister. Chciał dokonać żywota w ośrodku.

– Cholera wie czemu, Billy – powiedział trener. – Nikt go tutaj nie lubił. (Doktor Harlow zmarł w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat; ostatnio widziałem gnoja, gdy był po pięćdziesiątce).

Ale Herm chciał mnie widzieć nie z powodu Harlowa.

– Domyślałam się, że miałeś wiadomość od panny Frost – powiedziałem. – U niej wszystko w porządku?

– Ciekawe... Pytała o to samo, Billy.

– Możesz jej powiedzieć, że tak – zapewnilem.

– Nie pytałem jej o pikantne szczegóły... prawdę mówiąc, wolałbym ich nie znać, Billy, ale wspomniała, że powinnaś o czymś wiedzieć... żebyś się o nią nie martwił.

– Niech pan jej powie, że jestem „górami” – odpowiedziałem. – I od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku stosuję prezerwatywy. Może to ją uspokoi – dodałem.

– Jezu... jestem na to za stary, Billy. Daj mi skończyć! – poprosił. Herm miał dziewięćdziesiąt jeden lat, był niecały rok starszy od dziadka, ale miał parkinsona. Wiedziałem od Boba, że nie służy mu któryś z leków, chyba na serce. (To z powodu parkinsona trafił do ośrodka). – Nie będę udawał, że wiem, o co chodzi Billy, ale kazał... kazała ci to przekazać. Ona nie uprawia seksu – oznajmił. – Z nikim, Billy. Nie robi tego. Kosztowało ją dużo, aby zostać kobietą, ale nie uprawia seksu, ani z mężczyznami, ani z kobietami. Nigdy, powtarzam. Wybrała sposób grecki... mówiła, że wiesz, w czym rzecz.

– Udowy.

– Właśnie tak to nazwała! Ocieranie się między udami... tylko ocieranie, tak?

– Jestem prawie pewien, że nie można się w ten sposób zarazić – uznałem.

– Ale zawsze taka była, Billy. Masz o tym wiedzieć – dodał Herm. – Stała się kobietą, ale

nigdy nie poszła na całość.

– Na całość – powtórzyłem. Dwadzieścia trzy lata żyłem w przeświadczeniu, że panna Frost chroniła mnie i nigdy nie przyszło mi do głowy, że – bez względu na motyw, świadomie lub nie – chroniła również siebie.

– Bez penetracji, tylko ocieranie – powtórzył Hoyt. – Powiedział... powiedziała... wybacz, Billy... „Nie posunę się dalej, Herm. Robię tylko tyle, i tak już zostanie. Mogę pasować wizualnie, ale nie pójde na całość”. Miałem ci to przekazać, Billy.

– Zatem jest bezpieczna. Cała i zdrowa i nic jej nie grozi.

– Ma sześćdziesiąt siedem lat, Billy. Jak to „bezpieczna”? „Nic jej nie grozi”? Co ty mówisz? Starość nie jest „bezpieczna”! – wykrzyknął Herm. – Mówię ci tylko, że nie ma AIDS. Żebyś się nie martwił, że zachoruje, Billy.

– Ach tak.

– Al Frost... wybacz, dla ciebie panna Frost... nigdy nie robiła nic „bezpiecznie”. Cholera! – nie wytrzymał stary trener. – Może wygląda jak kobieta... opanowała to do perfekcji... ale wciąż myśli, jeśli można to tak nazwać, jak zapaśnik. Niebezpiecznie wyglądać i zachowywać się jak kobieta, kiedy masz w sobie ducha walki, Billy. Bardzo niebezpiecznie.

Cholerni zapaśnicy, pomyślałem. Są tacy jak Herm: gdy wreszcie zaczynają mówić o czymś innym, rozmowa schodzi na pieprzone zapasy, zawsze! Myśl o kolegach z NKS wcale nie nastroiła mnie sentymentalnie. Ale panna Frost nie przypominała innych zapaśników: dla niej epoka maty dobiegła końca, tak mi się przynajmniej zdawało.

– Co ty sugerujesz, Herm? Panna Frost miałaby komuś przyłożyć? Miałaby wszcząć bójkę?

– Niektórym facetom nie wystarczy ocieranie, prawda? Ona nie wszczyna bójek, Billy, ale znam Alę. Nie cofnie się przed bójką, jeśli ktoś zechce wymusić na niej więcej.

Wolałem tego nie roztrząsać. Jedno mnie cieszyło – że nie grozi jej AIDS. Miałem o czym myśleć aż nadto.

Tak, przyszło mi do głowy, czy jest szczęśliwa. A może była sobą rozczarowana? „Lubię pasować do roli”, powiedziała Hermowi. Czy to nie brzmiało teatralnie, jakby chciała tylko rozwiać jego lęk? I czy z jej słów nie było zadowolenie seksem w takiej, a nie innej postaci? Od rozważań pękała mi głowa.

– Jak tam twój nurek, Billy? – spytał Hoyt.

– Ćwiczę – odparłem wymijająco. Herm Hoyt wyglądał niewyraźnie i się trząsł; może wynikało to z parkinsona bądź jednego z leków, które brał – chyba na serce, jeśli wuj Bob miał rację.

Uścisnęliśmy się na pożegnanie; więcej go nie widziałem. Umrze na atak serca w ośrodku, o czym dowiem się od Boba. „Trener odszedł, Billy. Zostałeś sam”. (Minie trochę czasu; jeśli dobrze pamiętam, miał dziewięćdziesiąt pięć lat).

Kiedy wyszedłem z Ośrodka, stara pielęgniarka wciąż stała i paliła, a ciało doktora Harlowa tkwiło pod prześcieradłem.

– Czekam – zaraportowała na mój widok. Zwłoki były oprószone śniegiem. – Nie wjeżdżam z nim do środka – dodała. – I tak nie czuje, że pada.

– Powiem pani coś o nim: Nic się nie zmienił; dalej jest sztywny, jakby połknął kij.

Zaciągnęła się głęboko i wydmuchała na niego dym.

– Skoro tak twierdzisz. Ty jesteś pisarzem, nie ja.

Pewnego grudniowego, śnieżnego dnia po tamtym Świącie Dziękczynienia stałem na Seventh Avenue w West Village przed Szpitalem Świętego Wincentego, próbując się zmusić, aby wejść do środka. W miejscu gdzie Seventh Avenue łączyła się z Central Parkiem – dokładnie na tym

skrzyżowaniu – wznosił się wymuskany bastion testosteronu w postaci NKS, ale go nie widziałem.

Nogi wrosły mi w ziemię. Nie dotarłbym na West Twelfth Street ani West Eleventh; nie ruszyłbym się nawet, gdybym znalazł się na wprost rozpędzonego pociągu.

Padający śnieg sprawił, że zateśkniłem za Vermont, choć paraliżowała mnie myśl o powrocie „do domu” – Elaine zaproponowała, byśmy zamieszkali razem, ale nie w Nowym Jorku. Paraliżowała mnie też myśl o zamieszkaniu z Elaine gdziekolwiek; niby chciałem spróbować, ale się bałem. (Podejrzewałem niestety, że chce mnie w ten sposób zniechęcić do seksu z mężczyznami, a tym samym uchronić przed AIDS, ale ja wiedziałem, że ani jedna osoba nie uratuje mnie od chęci uprawiania seksu – z kimkolwiek).

Jakby tego było mało, wrosłem w chodnik na Seventh Avenue, bo było mi wstyd. Nie szedłem w odwiedziny do umierającego przyjaciela lub dawnego kochanka, lecz o zgrozo szukałem Kittredge’a.

Zbliżało się Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku, a my wciąż przeczesywaliśmy szpitale i hospicja w poszukiwaniu okrutnego chłopca, który dał nam kiedyś popalić.

Elaine i ja szukaliśmy Kittredge’a od trzech lat.

– Dajcie już spokój – radził nam Larry. – Oszczędzicie sobie rozczarowania... lub bólu. Oboje macie po czterdzieści: po co rozgrzebywać stare sprawy? Już nie jesteście podlotkami. (Ostatnie słowo tchnęło jadem).

Mój paraliż na Seventh Avenue w West Village w ów grudniowy wieczór wynikał zatem z wielu czynników, ale płacz wynikał z faktu, że Elaine i ja zachowywaliśmy się jak podlotki – gdy chodziło o Kittredge’a. (Jako nastolatek często płakałem). Stałem więc przed szpitalem, roniąc łzy, gdy nagle podeszła do mnie ubrana w futro starsza pani. Była to wytworna kobietka po sześćdziesiątce, ale bardzo ładna; poznałbym ją, gdyby miała na sobie sukienkę bez rękawów i słomkowy kapelusz jak w czasie naszego pierwszego spotkania, gdy nie podała mi ręki. „To on miał być blaznem Lira”, powiedział Delacorte, przedstawiając mnie swojej mamie.

Na pewno znała też historię mojej przygody z panną Frost, co skłoniło ją do słów: „Przykro mi z powodu twoich zmartwień”, które powtórzyła na Seventh Avenue.

Straciłem mowę. Wiedziałem, że ją znam, lecz minęły dwadzieścia trzy lata i nie pamiętałem skąd. Tym razem nie miała oporów, aby mnie dotknąć.

– Wiem, że trudno tam wejść – ścisła moje ręce – ale to dla nich takie ważne. Pójdę z panem, pomogę panu, jeżeli pan pomoże mnie. Mnie też jest ciężko, umiera mój syn i żałuję, że nie jestem na jego miejscu. Chcę, żeby to on żył. Nie chcę żyć bez niego! – krzyknęła.

– Pani Delacorte? – odgadłem, gdyż widok udręczonej twarzy nasunął mi wspomnienie agonalnych min Delacorte’a na macie.

– Ach, to pan! – zawołała. – Jest pan teraz pisarzem, Carlton mówił o panu. Chodziliście razem do szkoły. Przyszedł pan do Carltona, prawda? Bardzo się ucieszy... Ależ musi pan wejść!

I tak znalazłem się przy łożu śmierci Delacorte’a, w szpitalu, gdzie rzesze młodych mężczyzn żegnały się z tym światem.

– Carlton! Patrz, kto do ciebie przyszedł! – oznajmiła w drzwiach, jednych z tak wielu. Nie znałem nawet imienia Delacorte’a; w Favorite River nikt nie nazywał go Carlton. (Kittredge nadał mu przydomek Dwa Kubki z powodu kubków, z którymi się nie rozstawał – przez ciągłe odchudzanie ciągle płucał i pluł, z czego na krótko zasłynął).

Pamiętałem go z czasów, gdy wyglądał na bliskiego śmierci głodowej – dzisiaj działo się to naprawdę. (Wystarczy wspomnieć o cewniku Hickmana w chudej klatce piersiowej). Pani Delacorte wspomniała po drodze, że był podłączony do respiratora, ale już nie jest. Podawano mu

morfinę na różne sposoby; tak czy inaczej, już ją brał.

– Na tym etapie ważne jest odsysanie, aby usunąć wydzielinę – powiedziała.

– Na tym etapie, tak – odparłem bezmyślnie. Byłem otepiały i nogi miałem jak z waty, jak gdybym dalej, sparaliżowany, tkwił na chodniku.

– To on miał być błaznem Lira, mamó – wykrztusił Delacorte.

– Tak, tak. Wiem, kochanie.

– Przyniosłaś kubki? – spytał. Zauważyłem, że on ściska w dłoniach dwa kubki, puste, jak dowiedziałem się później od jego matki. Przynosiła mu kolejne, choć nie płukał i nie pluł; gdy podawano mu morfinę pod język, żadna z tych czynności nie była wskazana. Po prostu uparł się je trzymać.

Miał też zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych: cierpiał na zaburzenia mózgu – dokuczały mu majaki i bóle głowy.

– Był Arielem w „Burzy” – mówił matce w czasie mojej pierwszej wizyty, i każdej kolejnej. – I Sebastianem w „Wieczorze Trzech Króli” – powtarzał. – Nie mógł powiedzieć „cień”, więc zostałem błaznem Lira zamiast niego – bredził.

Później, gdy odwiedzałem go z Elaine, przedstawił jej historię moich występów w teatrze.

– Nie przyszedł, gdy umierałem jako błazen, nic dziwnego – oznajmił żarliwie. – Przyszedł teraz, co mnie bardzo cieszy... Oboje przyszlście i jestem wam za to bardzo wdzięczny!

Nigdy nie zwrócił się do mnie po imieniu; nie pamiętam, by kiedykolwiek nazwał mnie „Bill” lub „Billy”, gdy chodziliśmy do szkoły. Ale czy to ważne? Przecież ja też dowiedziałem się jego imienia przypadkiem! W roli Błazna go nie widziałem; bardziej wrył mi się w pamięć jako sir Andrzej Chudogęba, mówiący sir Tobiaszowi Czkaŵce (wujowi Bobowi): „Czemuż nie zadbałem o swą głowę, czemuż jej nie kształciłem?”.

Delacorte zmarł po paru dniach niemalże całkowitego milczenia, z dwoma czystymi, papierowymi kubkami w rozdygotanych dłoniach. Byliśmy tam we czworo, Elaine, pani Delacorte i ja oraz – tak się złożyło – Larry. Dostrzegł nas, przechodząc korytarzem, i zajrzał do środka.

– Znaleźliście? – spytał.

Elaine i ja pokręciliśmy głowami. Zmęczona pani Delacorte drzemała. Nie było sensu przedstawiać Larry’emu Delacorte’a, który stał na granicy życia ze śmiercią, coraz bardziej przechylony na drugą stronę – i nie chcieliśmy budzić pani Delacorte. (Biedaczka dawno nie zmrużyła oka).

Larry spojrział okiem znawcy.

– Nie zostało mu dużo czasu – szepnął do nas i poszedł. Elaine zaprowadziła panią Delacorte do łazienki; była tak wykończona, że ledwo trzymała się na nogach.

Delacorte i ja na chwilę zostaliśmy sami. Tak przywykłem do jego milczenia, że w pierwszej chwili nie rozpoznałem głosu.

– Widziałeś go? – zabrzmiał ledwie słyszalny szept. – To do niego podobne, nigdy nie chciał tylko pasować!

– Kto? – szepnąłem do ucha umierającego, ale z góry znałem odpowiedź. Bo o kimże mógł myśleć Delacorte o krok od śmierci? Zmarł parę minut potem, z drobnymi dłońmi matki na wynędzniałej twarzy. Pani Delacorte poprosiła, byśmy na chwilę zostawili ją z ciałem syna; oczywiście wyszliśmy.

Larry powiedział nam później, że była to najgorsza rzecz, jaką mogliśmy zrobić.

– Samotna matka, tak? Nie miała więcej dzieci? – spytał. – Nie zostawiałbym nikogo sam na sam z cewnikiem, Bill.

– Nie wiedziałem, Larry... Nigdy nie słyszałem o czymś takim!

– Jasne, że nie słyszałeś, Bill. Ciebie to nie dotyczy! Jak mógłbyś słyszeć? Jesteś taka sama jak on, Elaine – dodał. – Trzymacie się z daleka od tej choroby; jesteście tylko widzami!

– Tylko bez kazań, Larry – odparła Elaine.

– Larry zawsze prawi kazania – wtrąciłem.

– Wiesz co, jesteś nie tylko biseksualny, Bill. Ty jesteś bi-wszystko!

– Co to ma znaczyć? – spytałem.

– Latasz solo, co? Nie potrzebujesz drugiego pilota – odpowiedział Larry. (Nadal nie wiem, o co mu chodziło).

– Powiedziałaam, bez kazań, panie Florence Zastrana Nightingale – warknęła Elaine.

Staliśmy z Elaine na korytarzu przed salą Delacorte’a, gdy zaczepiła nas pielęgniarka.

– Czy Carlton... – zaczęła.

– Tak, odszedł. Jest z nim matka – odpowiedziała Elaine.

– O rany... – Szybko weszła do sali, ale nie zdążyła. Pani Delacorte osiągnęła swój cel – pewnie miała to zaplanowane, odkąd dowiedziała się, że syn umrze. Musiała nosić w torebce igłę i strzykawkę. Wbiła igłę w koniec cewnika i nabrała zawartość do strzykawki, a następnie wylała ją do śmietnika. Zawierała głównie heparynę. Pani Delacorte wiedziała, że dopiero w drugiej znajdzie się skażona krew Carltona. Potem wbiła sobie igłę w pośladek i wstrzyknęła pięć mililitrów krwi syna. (Zmarła na AIDS w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku w swoim nowojorskim mieszkaniu).

Na prośbę Elaine odwiozłem panią Delacorte do domu taksówką. Mieszkała na dziesiątym piętrze jednego z pięknych budynków z widokiem na Park Avenue i East Seventy-lub Eighty-z-kawałkiem.

– Nie wiem jak pan, ale ja muszę się napić – powiedziała. – Proszę, niech pan wejdzie.

Wszedłem.

Trudno pojąć, czemu Delacorte umarł w szpitalu, skoro matka mogła mu zapewnić lepsze warunki u siebie w domu.

– Carlton zawsze odmawiał przywilejów – wyjaśniła. – Chciał umrzeć jak każdy, tak powiedział. Nie pozwolił umieścić się tutaj, choć w szpitalu pewnie przydałby się wolny pokój, co podkreślałam przy każdej okazji.

Miała rację co do wolnej sali w szpitalu. (Niektórzy czekali na miejsce na korytarzu).

– Chciałby pan zobaczyć jego pokój? – spytała, gdy oboje trzymaliśmy szklanki. Z alkoholu piję tylko piwo; z panią Delacorte napiłem się whisky, a może to był bourbon? Zgadzałem się na wszystko. Poszedłem nawet do pokoju Delacorte’a.

Znalazłem się w muzeum uprzywilejowanego życia Carltona, z czasów nim „odesłano” go do Favorite River. Jak to często bywa, jego wyjazd zbiegł się z rozwodem rodziców, czego nie kryła pani Delacorte.

Co mnie bardzo zaskoczyło, nie kryła też przyczyn separacji i rozwodu z ojcem młodego Carltona; był ponoć zagorzałym homofobem. Nazywał syna pedałkiem i ciotą; wymyślał żonie, że pozwala chłopcu mierzyć swoją odzież i malować usta szminką.

– Oczywiście, że wiedziałam... Pewnie na długo przed Carltonem. – Dokuczał jej prawy pośladek; tak głęboki zastrzyk domięśniowy musiał boleć. – Matki wiedzą takie rzeczy – mówiła, utykając lekko. – Nie można zmusić dzieci, aby były, kim nie są. I zabronić chłopcu zabawy lalkami.

– To prawda – odpowiedziałem; oglądałem zdjęcia w pokoju – z czasów gdy był sobą, a ja go nie znałem; małym chłopcem, który lubił się przebierać za dziewczynkę.

– Ach, niech pan zobaczy – zawołała nagle pani Delacorte. Lód zagrzechotał w prawie pustej szklance, kiedy zdejmowała zdjęcie z tablicy korkowej. – Jaki był szczęśliwy! – dodała, podając

mi fotografię.

Miał jedenaście, może dwanaście lat; bez trudu rozpoznałem łobuzerską minę. Szminka sprawiała, że uśmiechnięte usta rzucały się w oczy. Miał na głowie idiotyczną, fioletową perukę z różowym pasemkiem – można kupić taką za grosze w sklepach z kostiumami na Halloween. Naturalnie suknia pani Delacorte była na niego za duża, ale efekt bawił i chwytał za serce – choć może pan Delacorte miał inne zdanie. Obok stała wyższa, na oko starsza dziewczynka – bardzo ładna, ale z krótkimi włosami (jak chłopiec) i nieco kpiącym grymasem zaciśniętych ust.

– Źle się to skończyło. Mąż wrócił do domu i dostał szału, widząc Carltona w przebraniu – powiedziała pani Delacorte, studiując fotografię. – Chłopcy tak się świetnie bawili, a ten tyran wszystko zepsuł!

– Chłopcy – powtórzyłem. Ładna dziewczynka na zdjęciu nazywała się Jacques Kittredge.

– Ach, zna go pan, na pewno! – zapewniła pani Delacorte, wskazując na Kittredge'a w przebraniu. Miał większą wprawę w malowaniu ust, a piękna, choć staromodna sukienka pani Delacorte pasowała na niego jak ulał. – Mały Kittredge. – Pokiwała głową. – Chodził do Favorite River, też ćwiczył zapasy. Carlton zawsze podziwiał tego diabła wcielonego. Chłopiec był czarujący, ale wiedziałam swoje.

Patrzyłem na nią ze zdziwieniem, nie rozumiejąc w czym rzecz.

– Kradł mi ubrania – wyjaśniła. – Och, dawałam mu stare, niepotrzebne rzeczy; zawsze mnie o nie prosił! „Proszę, pani Delacorte – mówił. – Ubrania mamy są wielkie i nie pozwala mi ich przymierzać; mówi, że pobrudzę!”. I tak w kółko. Potem zaczęła mi ginać odzież... mówię o rzeczach, z którymi bym się nie rozstała.

– Ach tak.

– Nie wiem jak pan – rzuciła – ale ja pójdę sobie dolać. – I zostawiła mnie w pokoju.

Obejrzałem pozostałe zdjęcia na tablicy korkowej. Kittredge widniał na trzech lub czterech – zawsze jako dziewczynka. Gdy pani Delacorte wróciła, wciąż trzymałem zdjęcie, które mi podała.

– Niech pan je zatrzyma – poprosiła. – Nie lubię wspominać zakończenia tamtego dnia.

– Dobrze – powiedziałem. Nadal mam to zdjęcie, choć dzień śmierci Delacorte'a też wymazałbym najchętniej z pamięci, od początku do końca.

Czy powiedziałem Elaine o Kittredge'u i ubraniach pani Delacorte? Czy pokazałem jej zdjęcie Kittredge'a jako dziewczyny? Jasne, że nie – ona też nie grała ze mną w otwarte karty, prawda?

Pewien jej znajomy dostał stypendium Guggenheima; też był pisarzem i powiedział Elaine, że jego nora na ósmym piętrze na Post Street świetnie nadaje się dla naszej dwójki.

– Na Post Street, czyli gdzie? – spytałem.

– W okolicy Union Square. W San Francisco, Billy.

Nie znałem San Francisco; wiedziałem tylko, że jest tam sporo homoseksualistów. Wielu chorowało, lecz nie miałem tam bliskich przyjaciół czy byłych kochanków, więc nie musiałbym wysłuchiwać kazań Larry'ego na temat mojego „stania z boku”. Poza tym wreszcie zarzucilibyśmy poszukiwania Kittredge'a, gdyż uznaliśmy, że na pewno nie ma go w San Francisco.

– Dokąd jedzie twój znajomy? – zagadnąłem.

– Do Europy.

– Może zrobmy to samo – zaproponowałem.

– Mamy wolne mieszkanie w San Francisco, Billy – przypomniała. – A do tego tanie jak barszcz.

Gdy wyrzeliśmy z okna na ósmym piętrze, skąd roztaczał się widok na dachy Geary Street i krwisty neon hotelu Adagio (napis HOTEL przepalił się przed naszym przyjazdem), zrozumieliśmy powód niskiej ceny wynajmu mieszkania. Powinno być za darmo!

Jeśli śmierć Atkinsów nami wstrząsnęła, czyn pani Delacorte był niewyobrażalny, nigdy też nie słyszałem, aby bliscy zmarłych wybierali taką drogę, zwłaszcza (jak ze znawstwem oświecił nas Larry) w przypadku samotnych matek, które traciły jedyne dzieci. Ale – jak też nie omieszkał stwierdzić Larry – jak mogłem słyszeć? (Rzeczywiście, stałem na uboczu).

– Zamieszkacie razem w San Francisco – mówił Larry jak do upośledzonych dzieci. – Ojej, trochę za późno na miłosne gniazdko, prawda? (Myślałem, że Elaine go zdzieli). Zdradźcie mi, czemu akurat tam? Czyżby doszły was słuchy, że tam nie umierają homoseksualiści? Może wszyscy powinniśmy się przenieść do San Francisco!

– Odwal się, Larry – syknęła Elaine.

– Drogi Billu – ciągnął Larry, nie zwracając na nią uwagi – nie uciekniesz przed zarazą, jeśli to twoja zaraza. Tylko mi nie mów, że AIDS to dla ciebie przesada! Spójrz na to, co piszesz – szarża to twoja specjalność!

– Wiele mnie nauczyłeś – odpowiedziałem. – Nie przestałem cię kochać, Larry, bo nie jesteśmy razem. Kocham cię nadal.

– Szarża, mój drogi – zaznaczył Larry; nawet nie spojrzął na Elaine, a wiedziałem, jak za nią przepada – za jej twórczością też.

„W życiu nie byłem z nikim tak blisko jak z tą wstrętną kobietą – powiedziała o pani Kittredge. – I nigdy nie będę”. „Jak blisko?”, dociekałem. Nie odpowiedziała. „To jego matka mnie naznaczyła! – krzyknęła. – To jej nigdy nie zapomnę!”. „Naznaczyła, jak?”, zapytałem, ale rozplakała się i zrobiliśmy nasze *adagio*; objęliśmy się bez słowa – powoli, miękko, łagodnie. Oto, jak mieszkaliśmy w San Francisco przez prawie cały rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty.

W czasie apogeum AIDS dużo ludzi zmieniło miejsce zamieszkania; wielu z nas przenieśli się gdzie indziej, w nadziei, że będzie lepiej – ale nie było. Nie zaszkodziło spróbować; Elaine i ja wyszliśmy z tego bez szwanku, po prostu nie sprawdziliśmy się jako kochankowie.

– Gdyby to miało wypalić – stwierdziła Martha Hadley, ale dopiero po zakończeniu naszego eksperymentu – zaiskrzyłoby, kiedy byliście młodszy... Nie po czterdziestce.

Jak zwykle miała rację, ale nie był to dla nas rok stracony. Używałem zdjęcie Kittredge'a i Delacorte'a w sukienkach jako zakładki, ilekroć coś czytałem; zostawiałem książki na nocnym stoliku, w kuchni obok ekspresu, w małej, zagraconej łazience, zawsze na widoku. Elaine miała naprawdę kiepski wzrok.

Zobaczyła zdjęcie dopiero po roku; wyszła na golasa z łazienki, trzymając je w dłoni; w drugiej trzymała książkę. I rzuciła ją we mnie.

– Czemu mi nie pokazałeś, Billy? Od dawna wiem, że to Delacorte – oznajmiła. – Myślałam, że drugie to dziewczyna!

– Qui pro quo – odparłem. – Też masz mi coś do powiedzenia, prawda?

Widać z perspektywy czasu, o ileż lepiej układałoby się nam w San Francisco, gdybyśmy od razu wyłożyli karty na stół, ale człowiek żyje chwilą i czasem brakuje mu perspektywy.

Wbrew opisowi pani Kittredge, jej syn (jako dziewczynka) nie wyglądał na zdjęciu na „chorowitego chłopczyka” i nic nie wskazywało, aby nie miał „za grosz” wiary w siebie, jak rzekomo twierdziła. Ktoś taki nie mógł dawać sobą pomiatać innym dzieciom, „zwłaszcza chłopcom”.

– Tak powiedziała? – spytałem.

– Niezupełnie – odmruknęła Elaine.

Jeszcze trudniej było mi uwierzyć, że „panicznie bał się dziewcząt”, nie wspominając o tym, że pani Kittredge go uwiodła, bo nie było innego wyjścia. Zawsze miałem co do tego wątpliwości, o czym nie omieszkiałem przypomnieć.

– Tak było, Billy – powiedziała cicho Elaine. – Tylko zmieniłam motyw.

Opowiedziałem jej, że Kittredge kradł rzeczy pani Delacorte i przytoczyłem przedśmiertne słowa jej syna. Na pewno miał na myśli Kittredge’a – który nie chciał „tylko pasować!”.

– Nie chciałam, żebyś go lubił albo mu wybaczył, Billy – wyznała Elaine. – Nienawidziłam go za to, jak przekazał mnie matce; nie miałaś się nad nim użalać ani mu współczuć. Chciałam, żebyś go nienawidził jak ja.

– Nienawidzę go, Elaine.

– Tak, ale czujesz coś więcej... ja wiem – dodała.

Pani Kittredge uwiodła syna, lecz powodem nie była jego rzekoma nieśmiałość. Zawsze wiedział, czego chce – a najbardziej chciał być dziewczyną. Pani Kittredge sięgnęła po argument stary jak świat, choć przez matki niekoniecznie stosowany w praktyce. Uwierzyła, że wyleczy go seks z kobietą!

Ilu z nas, gejów lub bi, słyszało te teorie od ludzi, dla których seks – ten „normalny” – miał być rozwiązaniem problemu? Szast-prast, i odechce nam się facetów!

– Mogłaś mi powiedzieć, Elaine.

– Mogłeś pokazać mi zdjęcie.

– Mogłem... Oboje „mogliśmy”.

Tom Atkins i Carlton Delacorte widzieli Kittredge’a, ale kiedy to było – i gdzie? Na pewno widzieli go jako kobietę.

– Ładną, zakładam – zaznaczyła Elaine. Atkins użył słowa „piękny”.

Czy nie mieliśmy dość problemów? W świetle sprawy Kittredge’a dalszy pobyt w San Francisco stanął pod wielkim znakiem zapytania.

– Tylko nie dzwoń do Larry’ego... na razie – prosiła Elaine.

Ale zadzwoniłem, brakowało mi jego głosu. Zresztą Larry wiedział wszystko i o wszystkich, więc na pewno miał najświeższe informacje z rynku nieruchomości.

– Znajdę ci mieszkanie w Nowym Jorku – zapowiedziałem Elaine. – Jeżeli nie będzie drugiego, pomieszkam w Vermont... No wiesz, tak na próbę.

– Nie masz mebli – przypomniała.

– No cóż...

I zadzwoniłem do Larry’ego.

– Przeziębilem się... Nic poważnego, Bill – zapewnił, ale słyszałem kaszel, którego nie mógł stłumić. To nie był kaszel jak przy zapaleniu opłucnej, nie miał co odkrztusić. Najgorsze w pneumocytocie są duszności i gorączka.

– Jaki masz poziom limfocytów T? – spytałem. – Kiedy chciałeś mi powiedzieć? I nie wciskaj mi kitu, Larry!

– Wracajcie do domu, Bill. Bardzo was proszę – odpowiedział. (Tylko tyle – brakowało mu tchu).

Larry mieszkał, i miał umrzeć, w ładnej, wysadzonej drzewami części West Tenth Street – jedną przecnicę na północ od Christopher Street, kawałek od Hudson Street i Sheridan Square. Był to wąski, trzypiętrowy budynek, raczej nie na miarę możliwości poety i większości pisarzy, w tym Elaine i mnie. Ale traf chciał, iż jedna z zamożnych patronek Larry’ego zostawiła mu go w spadku, on zaś zostawił go Elaine i mnie. (Dla nas za drogi w utrzymaniu i będziemy zmuszeni go sprzedać).

Kiedy się wprowadziliśmy – żeby pomóc pielęgniarzowi zatrudnionemu do całodobowej

opieki – to „wspólne” mieszkanie różniło się od naszych dotychczasowych eksperymentów. Było tam pięć sypialni; mieliśmy z Elaine osobne pokoje i własne łazienki. Na zmianę czuwaliśmy w nocy, aby pielęgniarz mógł się zdrzemnąć; miał na imię Edie i zajmował się Larrym cały dzień, byśmy mogli pracować. Ale w ciągu wielu miesięcy choroby Larry’ego napisaliśmy niewiele, jakoś nam nie szło.

Larry był dobrym pacjentem, może dlatego, że świetnie zajmował się innymi, zanim poszedł w ich ślady. Mój mentor, stary przyjaciel i były kochanek (umierając) stał się tym samym człowiekiem, którego poznałem w Wiedniu przed ponad dwudziestu laty. Ominęła go kandydoza przełyku, więc mógł obejść się bez cewnika. Nie chciał słyszeć o respiratorze. Cierpiał za to na mielopatię szyjną: stopniowo tracił siły, nie mógł chodzić ani nawet stać czy utrzymać moczu – czym był na początku bardzo skrępowany. (Szybko mu przeszło).

– Mój penis... znowu to samo, Bill – mawiał, ilekroć to się zdarzało.

– Poproś Billy’ego o liczbę mnogą, Larry – wtrącała natychmiast Elaine.

– Słyszałaś kiedyś coś takiego? – wołał Larry. – No dawaj, Bill. Prosimy o liczbę mnogą! Robiłem to dla Larry’ego – cóż, dla Elaine też. Uwielbiali ten cholerny rzeczownik.

– Penify – mówiłem, na początku cicho.

– Że co? Nie słyszę – odpowiadał Larry.

– Głośniej, Billy – zachęcała Elaine.

– Penify! – wrzeszczałem, a oni się włączali i krzyczeliśmy na całego. – Penify!

Kiedyś nasze wrzaski obudziły biednego Ediego, który próbował spać.

– Co się dzieje? – spytał. (Przybiegł w piżamie).

– Mówimy „penisy” w obcym języku – tłumaczył Larry. – Bill nas uczy. – Ale to Larry nauczył mnie.

– Chcę, byś wiedziała, kim byli moi nauczyciele, ci najważniejsi – powiedziałem kiedyś Elaine. – Oczywiście Larry i Richard Abbott, ale chyba najważniejsza ze wszystkich... w najważniejszym czasie... była twoja matka.

Lawrence Upton zmarł w grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku, miał sześćdziesiąt osiem lat. (Trudno uwierzyć, lecz był prawie w tym samym wieku, co ja teraz!). Przez rok znajdował się pod naszą opieką w swoim domu na West Tenth Street. Zmarł podczas zmiany Elaine, ale przyszła mnie obudzić; tak się umówiliśmy. Jak to Larry powiedział o Russellu, gdy ten zmarł mu w ramionach? „Był lekki jak piórko”.

Gdy umierał, położyliśmy się obok i trzymaliśmy go w ramionach. Morfina płatała mu figle; kto wie, na ile świadomie dobierał słowa.

– Znowu mój penis – odezwał się w pewnej chwili. – I tak w kółko. Wszystko kręci się wokół niego, prawda?

Elaine zaśpiewała mu pieśń; umarł, zanim skończyła.

– Piękna – powiedziałem. – Jaki ma tytuł? Kto ją napisał?

– Felix Mendelssohn. Mniejsza o tytuł. Jeśli kiedyś umrzesz mi w ramionach, Billy, usłyszysz ją znowu. Wtedy ci powiem.

Przez parę lat tłukliśmy się po pięknym domu, który zostawił nam Larry. Elaine miała nijakiego faceta, którego nie lubiłem, tylko dlatego że był dla niej za mało konkretny. Miał na imię Raymond i zwykle co rano przypalał tosty, uruchamiając cholerny wykrywacz dymu.

Elaine miała do mnie pretensje, bo spotykałem się z transseksualistką, według której powinna się ubierać bardziej seksownie. Nie była do tego skłonna.

– Elwood ma większe cycki niż ja... wszyscy mają – powiedziała. Specjalnie nazywała ją Elwoodem lub Woodym, podczas gdy on mówił o sobie „El”. Niebawem wszyscy zaczęli

używać określenia „transgenderyzm”; słyszałem od przyjaciół, że też powinienem – nie wspominając o chorobliwie poprawnej młodzieży, która mordowała mnie wzrokiem, ilekroć mówiłem „transseksualizm”.

Niesamowite, jak niektórzy lubią poprawiać pisarzy w kwestii doboru słów. Gdy z ust tych samych ludzi słyszę „impakt”, zbiera mi się na wymioty!

Powiedzmy, że schyłek lat osiemdziesiątych był dla Elaine i mnie czasem zmiany, choć niektórzy nie mieli do roboty nic lepszego niż aktualizowanie słownika. Były to dwa trudne lata i wysiłek, jaki włożyliśmy w utrzymanie domu na West Tenth Street – o zabójczych podatkach nie wspominając – nadwerżył nieco nasze stosunki.

Któregoś wieczoru Elaine powiedziała mi, że w Szpitalu Świętego Wincentego chyba widziała Charlesa, opiekuna biednego Tomka. (Dawno nie miałem od niego wiadomości). Zajrzała do środka – szukała kogoś innego – i zobaczyła skurczone ciało dawnego kulturyisty i zniekształcone tatuaże na niegdyś umięśnionych ramionach.

– Charles? – rzuciła, ale na nią ryknął, jak zwierzę; bała się wejść do środka.

Chyba wiedziałem, o kogo chodzi, ale poszedłem sprawdzić. Była zima roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego, nie zaglądałem tam od czasu śmierci Delacorte’a. Poszedłem raz jeszcze, aby się upewnić, że to nie jest Charles.

Oczywiście był to straszny ochroniarz z Mineshaft, którego zwano Mefistofešem. Na mnie też ryknął. Moja noga więcej tam nie pozostała. (Cześć, Charles, jeśli tam jesteś. Jeżeli nie, bardzo mi przykro).

Tej samej zimy, podczas randki El opowiedziała mi inną historię.

– Właśnie dowiedziałam się o tej dziewczynie. No wiesz, takiej jak ja, tylko starszej – oznajmiła.

– Oho.

– Chyba ją znałeś. Wyjechała do Toronto.

– A, masz na myśli Donnę.

– Właśnie.

– Co u niej?

– Podobno kiepsko. Tak słyszałam.

– Ach tak.

– Nie powiedziałaś, że jest chora – uściśliła El. – Po prostu kiepsko, cokolwiek to znaczy. Była dla ciebie ważna, co? To też słyszałam.

Nic nie zrobiłem z tą informacją, jeśli można to tak nazwać. Ale wieczorem zadzwonił wuj Bob z wieścią, że Herm Hoyt zmarł w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat. „Trener odszedł, Billy. Zostałeś sam”.

Siłą rzeczy zapomniałem o Donnie. Następnego ranka musieliśmy z Elaine wywietrzyć po kolejnym spalonym toście Raymonda.

– Jadę do Vermont – oświadczyłem. – Mam tam dom i spróbuję w nim pomieszkać.

– Jasne, Billy. Rozumiem. Zresztą to dla nas za duży dom, powinniśmy go sprzedać.

Ten pajac Raymond siedział i żarł spalonego tosta. (Jak powie mi później Elaine, pewnie zachodził w głowę, gdzie zamieszka; chyba wyczuł, że nie z nią).

Pożegnałem się z El, tego samego dnia lub następnego. Nie wykazała zrozumienia.

Zadzwoniłem do Richarda Abbotta i odebrała Martha Hadley.

– Proszę przekazać Richardowi, że spróbuję pomieszkać u siebie – powiedziałem.

– Trzymam za ciebie kciuki, Billy. Bylibyśmy zachwyceni!

I dlatego rankiem gdy zadzwonił do mnie z biura wuj Bob, przebywałem w domu dziadka Harry’ego na River Street.

– Chodzi o Dużego Ala, Billy – oznajmił. – Prosiłbym, abyś rzucił okiem na ten nekrolog, zanim go puszcze.

Był luty tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, zimniejszy niż cycek czarownicy, jak mawiamy w Vermont.

Panna Frost była w wieku Rakiety, zmarła w wyniku obrażeń odniesionych w barowej bijatyce – miała siedemdziesiąt trzy lata. Doznała głównie obrażeń głowy, mówił wuj Bob. Wdała się w bójkę z grupą pilotów z bazy lotniczej Pease w Newington w stanie New Hampshire. Bar znajdował się w Dover, a może w Portsmouth – Bob nie znał szczegółów.

– Jak to „grupą”? Ilu ich tam było? – spytałem.

– Czterech. Zakładam, że młodych, skoro jeszcze służyli. Ale nie jestem pewien.

Panna Frost musiała odnieść obrażenia głowy, kiedy tamci zdołali ją wreszcie powalić na ziemię; pewnie dwóch lub trzech ją trzymało, a czwarty kopał w głowę.

Dowiedziałem się od Boba, że wszyscy czterej wylądowali w szpitalu; obrażenia dwóch z nich określono jako „poważne”. Żadnemu jednak nie postawiono zarzutów; Pease była jeszcze bazą DSP Zdaniem wuja Boba, Dowództwo Sił Powietrznych samo „dyscyplinowało” podwładnych, przyznał jednak, że nie bardzo rozumie, na jakiej zasadzie. Nie podano nazwisk tamtych czterech lotników i nie udzielono informacji, dlaczego pobili siedemdziesięcioletnią kobietę, której płeć mogła wzbudzić ich wątpliwość.

Przypuszczaliśmy z Bobem, że coś łączyło pannę Frost z jednym z nich – choćby jedno spotkanie w przeszłości. Być może, jak powiedział kiedyś Herm Hoyt, miał zastrzeżenia do seksu; kto wie, czy nie liczył na więcej. Zważywszy na młody wiek napastników, mogli też znać pannę Frost „ze słyszenia”; może się wściekli, że nie jest prawdziwą kobietą – może poszło tylko o to. (Lub byli tylko zasranymi homofobami).

Bez względu na motyw, potwierdziły się słowa trenera – Duży Al nie cofnął się przed walką.

– Przykro mi, Bill – powiedział wuj Bob.

Dobrze, że Herm nie dożył tej wiadomości, stwierdziliśmy później obaj. Wieczorem zadzwoniłem do Elaine. Kupiła mieszkanie w Chelsea, kawałek na północny zachód od West Village i na północ od Mięsnej Dzielnicy. Opowiedziałem jej o pannie Frost i poprosiłem, żeby zaśpiewała mi tę pieśń Mendelssohna, którą śpiewała Larry’emu i „trzymała” dla mnie.

– Obiecuję, że nie umrę na twojej zmianie, Elaine. Nie będziesz musiała mi jej śpiewać. Poza tym chciałbym usłyszeć ją teraz – dodałem.

Wyjaśniła, że to fragment „Eliasa”, najdłuższego dzieła Mendelssohna. Brzmi na końcu oratorium, gdy zjawia się Bóg (pod postacią głosu dziecka) i aniołowie błogosławią śpiewem Eliasa, który wykonuje swoją ostatnią arię. Jej alt brzmiał jak dzwon nawet przez telefon, i pożegnałem się z panną Frost przy wtórze pieśni towarzyszącej ostatnim chwilom Larry’ego. Panna Frost znikła z mojego życia przed ponad trzydziestu laty, lecz tamtej nocy zrozumiałem, że odeszła na zawsze i cokolwiek napisze o niej wuj Bob, pozostawi niedosyt.

Smutna wiadomość dla rocznika ’35! Al Frost, urodzony w First Sister w stanie Vermont w 1917, kapitan drużyny zapaśniczej (niepokonany), absolwent 1935, zmarł w Dover lub Portsmouth, New Hampshire, 1990.

– I tyle? – zapytałem wuja Boba.

– Cholera, Billy... a cóż więcej mógłbym napisać w szkolnej gazecie? – odparł Rakieta.

Wyrzedając stare meble z domu dziadka Harry’ego, Richard i Martha znaleźli pod tapczanem w salonie trzynaście butelek po piwie – wszystkie wuja Boba. (Założę się, że wszystkie pochodziły z wiadomego przyjęcia ku pamięci mamy i ciotki Muriel).

– Dajesz, Bob! – powiedziałem do Marthy i Richarda. Wiedziałem, że Rakieta ma rację. Co

można napisać w cholernej szkolnej gazecie o transseksualnym zapaśniku, który zginął w barowej bijatyce? Niewiele.

Parę lat później – powoli przyzwyczajałem się do życia w Vermont – któregoś późnego wieczoru zadzwoniła El. Dopiero po chwili rozpoznałem jej głos, chyba była pijana.

– Kojarzysz tę twoją znajomą... taką jak ja, tylko starszą? – spytała.

– Donnę – odparłem po chwili namysłu.

– Właśnie. Cóż, teraz jest chora... Tak słyszałam.

– Dziękuję za informację – mówiłem, gdy odkładała słuchawkę. Było za późno na telefon do Toronto, więc postanowiłem poczekać do rana. Był chyba rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi lub dziewięćdziesiąty trzeci, może nawet początek następnego. (Po przeprowadzce do Vermont przestałem przywiązywać wagę do upływu czasu).

Miałem w Toronto paru znajomych, więc zasięgnąłem języka. Powiedziano mi o świetnym hospicjum – wszyscy zgodnie twierdzili, że to fantastyczne miejsce, zważywszy na okoliczności. Nazywało się Casey House; niedawno dowiedziałem się, że nadal istnieje.

Dyrektorem był wówczas wspaniały człowiek; miał na imię John, jeśli dobrze pamiętam, i chyba irlandzkie nazwisko. Odkąd przenieśliem się do First Sister, zapamiętywanie nazwisk sprawiało mi pewne problemy. Zresztą dowiedziałem się o chorobie Donny, mając już po pięćdziesiątce. (Umykały mi nie tylko nazwiska!).

John poinformował mnie, że Donna trafiła do hospicjum parę miesięcy temu. Ale teraz ma na imię Don.

– Estrogen ma skutki uboczne, może między innymi uszkodzić wątrobę – wyjaśniał – a także spowodować jej zapalenie, co prowadzi do zastoju i kumulacji żółci. – Twierdził, że świąd skóry doprowadzał Dona do szału, a zmiana imienia była decyzją jej samej; po odstawieniu hormonu znów miała zarost.

Uderzyła mnie niesprawiedliwość sytuacji – Donna, która tak ciężko harowała na swoją kobiecość, nie tylko umierała na AIDS, lecz zmuszona była powrócić do dawnej, męskiej postaci.

Miała też cytomegalowirusa.

– W tym wypadku utrata wzroku może być błogosławieństwem – powiedział John. Chodziło mu o to, że Donna nie musi oglądać zarostu – ale go czuła, choć pielęgniarki goliły ją codziennie. – Muszę pana uprzedzić – dodał. – Niech pan uważa na słowa. Proszę nie nazywać go „Donną”, żeby pan się nie zapomniał. – Podczas naszych rozmów telefonicznych zwróciłem uwagę, że mówiąc o „Donie” zawsze używa zaimków „jego” i „on”. Ani razu nie powiedział „ona”, „jej” czy „Donna”.

Tak przygotowany, pojechałem na Huntley Street w centrum Toronto – małą, mieszkalną uliczkę, jak mi się zdawało (pomiędzy Church Street i Sherbourne Street, jeśli znacie miasto). Sam Casey House przypominał bardzo duży dom wielorodzinny; panowała w nim miła, przyjazna atmosfera – na przekór odleżynom i zanikowi mięśni oraz wszechobecnej woni biegunki, której nijak nie dawało się zamaskować. W pokoju Donny dryfował niemal przyjemny aromat lawendy. (Odświeżacz do łazienki lub perfumowany środek odkażający – nie w moim guście). Chyba wstrzymałem oddech.

– Czy to ty, Billy? – spytała; miała bielmo na oczach, lecz słuch jej nie zawodził. Dam głowę, że słyszała, jak wstrzymałem oddech. Oczywiście uprzedzono ją o mojej wizycie i niedawno została ogolona przez pielęgniarkę; nie nawykłem do zapachu kremu do golenia, a może to była woda kolońska. Mimo to miała lekko kłujący policzek – co nie zdarzyło się ani razu, kiedy się kochaliśmy – a na jej gładko ogolonej twarzy widniał cień zarostu. Brała coumadin, przy łóżku zobaczyłem tabletki.

Byłem pod wrażeniem kompetencji pielęgniarek w Casey House; dokładały wszelkich starań, aby Donna czuła się tam jak najlepiej i jak najmniej cierpiała. John tłumaczył mi drobne różnice pomiędzy morfiną a plastrami fentanylu, ale nie słuchałem uważnie. Dowiedziałem się też, że Don stosuje specjalny krem na swędzenie, który ma, niestety, „mnóstwo sterydów”.

Tak czy inaczej, znajdowała się pod dobrą opieką – choć była ślepa i umierała jako facet. Zostałem u niej dwie koleżanki z Toronto – bardzo wiarygodne transseksualistki, bardzo oddane swej życiowej drodze. Kiedy Donna nas przedstawiła, odniosłem wrażenie, że uprzedziła je o moim przyjeździe; kto wie, może nawet poprosiła, by zjawily się specjalnie na tę okazję. Może chciała mi pokazać, że znajduje się wśród „swoich” i jest w Toronto szczęśliwa.

Obie transseksualistki były dla mnie bardzo miłe – jedna flirtowała, ale tylko na pokaz.

– Ach, ty jesteś tym pisarzem... Wszystko o tobie wiemy! – oznajmiła bardziej wygadana, ale nieflirtująca.

– O, to ten bi, nie? – dorzuciła ta, która się przystawiała. (Nie robiła tego na poważnie, lecz wyłącznie na użytek Donny – ta zawsze uwielbiała flirtować).

– Uważaj na nią, Billy – ostrzegła Donna i wszystkie trzy się zaśmiały. Biorąc pod uwagę Atkinsa, Delacorte’a, Larry’ego – nie wspominając o lotnikach, którzy zabili pannę Frost – nie była to zbyt bolesna wizyta. W pewnej chwili Donna zagadnęła nawet flirtującą koleżankę: – Wiesz co, Lorna, Billy nigdy nie narzekał, że mam za dużego. Lubieś mojego fiuta, prawda Billy? – spytała.

– Z całą pewnością – odpowiedziałem, uważając, aby nie dodać „Donno”.

– No tak, ale mówiłaś, że Billy jest „góram” – odparła Lorna; transseksualistka o imieniu Lilly zachichotała. – Ciekawe, co powiedziałby, gdyby było na odwrót!

– Widzisz, Billy? – Donna westchnęła. – Mówiłam, żebyś uważał na Lornę. Powiedziała ci już, że jest „dołem” i woli małe fiuty.

Wszystkie trzy wybuchnęły śmiechem, ja też musiałem. Kiedy nadszedł czas pożegnania stwierdziłem, że koleżanki Donny i ja ani razu nie zwróciliśmy się do niej po imieniu – Donna lub Don. Poczekały, aż pożegnają się z Johnem – nie chciałem pracować na jego miejscu.

Poszedłem z Lorną i Lilly na stację Sherbourne, miały wrócić metrem do domu. Sądząc po tym, jak powiedziały „dom”, i jak trzymały się za ręce, zrozumiałem, że razem mieszkają. Gdy spytałem, gdzie złapię taksówkę, żeby wrócić do hotelu, Lilly powiedziała:

– Dobrze, że wspomniałeś, gdzie mieszkasz. Powiem Donnie, że spiknąłeś się z Lorną.

– To samo powiem o tobie i Lilly. – Lorna zaśmiała się. – Donna uwielbia, gdy mówię, że Lilly lubi wszystkie. Mały czy duży, to dla niej bez różnicy. Strasznie ją to bawi.

Znowu się roześmieliśmy, ale flirt dobiegł końca. Był tylko na użytek Donny. Ucałowałem je, żegnając się z nimi na stacji; miały idealnie gładkie policzki – nic a nic nie kłuło i nie było widać cienia zarostu. Do dzisiaj mi się śnią.

Przypomniałem sobie słowa pani Kittredge z czasów jej podróży z Elaine do Europy. (Prawdziwą wypowiedź, nie tę zmyśloną przez Elaine).

„Nie wiem, czego Jacques chce – powiedziała do niej Elaine. – Ale czegoś na pewno”. „Powiem ci, czego chce, jeszcze bardziej niż nas przerznąć – odpowiedziała pani Kittredge. – Chce być jedną z nas, Elaine. Nie chce być chłopcem ani mężczyzną; nieważne, że wreszcie jest w tym dobry. Nie chciał tego nigdy!”.

Lecz jeśli Kittredge był teraz kobietą – jak niegdyś Donna lub jej bardzo „wiarygodne” koleżanki – i jeśli miał AIDS i gdzieś umierał, co jeżeli przestano podawać mu estrogeny? Miał bardzo mocny zarost; pamiętałem to nawet po trzydziestu latach. Długo i często wyobrażałem sobie, jak mnie nim drapie.

Pamiętacie, co mi powiedział o transseksualistkach? „Żałuję, że nigdy nie spróbowałem. Ale

coś mi mówi, że chodzą stadami”. (Mówił o transwestytach, których widział w Paryżu). „Gdybym miał to zrobić, wybrałbym Paryż – dodał. Ale ty, Nimfo... ty już to zrobiłeś!”.

Elaine i ja widzieliśmy jego pokój w internacie oraz zdjęcie Kittredge’a z matką, zrobione po zawodach. Natychmiast zwróciliśmy uwagę, że niewidzialna dłoń wycięła twarz pani Kittredge i przykleiła ją do ciała Kittredge’a. Kobieta miała na sobie trykot, a jej ciało wieńczyła przystojna twarz syna. Sęk w tym, że pasowała jak ulał.

Elaine przekonywała, że to Kittredge zamienił twarze na fotografii, nie mogła tego zrobić jego matka. „Ta kobieta nie ma krzty wyobraźni i poczucia humoru”, stwierdziła ze znawstwem.

Pożegnawszy się z Donna, wróciłem do domu. Lawenda straciła urok i możecie sobie wyobrazić, że wiadomość o śmierci następnego kolegi z rocznika nie wstrząsnęła mną tak, jak zapewne wstrząsnęłaby kiedyś.

– Straciłeś kolejnego kumpla, Billy... Jeśli dobrze pamiętam, niezbyt za nim przepadałeś – oznajmił Rakieta. Co do daty informacji o Donnie, mam wątpliwości, ale za to wiem dokładnie, kiedy dowiedziałem się o Kittredge’u.

Niedawno obchodziłem pięćdziesiąte trzecie urodziny. Był marzec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku; w First Sister wciąż leżał śnieg i czekały mnie tylko roztopy.

Elaine i ja planowaliśmy wspólną podróż do Meksyku; szukała domu do wynajęcia w Playa del Carmen. Chętnie pojechałbym z nią, lecz wystąpił pewien problem: nie życzył sobie tego jej facet.

- Nie powiedziałaś mu, że tego nie robimy? – spytałem.
- Owszem, ale wspomniałam też, że robiliśmy... lub próbowaliśmy robić – sprecyzowała.
- Dlaczego rozmawiałaś z nim o nas?
- Bo stawiam na szczerłość. Przestałam zmyślać, a przynajmniej się staram.
- A jak ci idzie pisanie, w świetle tego nowego postanowienia? – chciałem wiedzieć.
- Nie pojedę z tobą do Meksyku, Billy. Nie teraz – ucieła.

Sam też miałem ostatnio przeboje z chłopakiem, lecz gdy go rzuciłem, dość szybko wynikł problem z dziewczyną. Uczyła angielskiego, od niedawna pracowała w Favorite River. Poznaliśmy się przez Richarda i panią Hadley; zaprosili mnie na obiad i poznałem Amandę. Wyglądała tak młodo, że w pierwszej chwili wziąłem ją za jedną z uczennic Richarda, lecz okazała się stroskaną kobietą pod trzydziestkę.

„Mam prawie trzydzieści lat”, powtarzała przy każdej okazji, jakby martwił ją ten młody wygląd; mówiąc o „trzydziestce” próbowała dodać sobie powagi.

Gdy przyszło co do czego, pojawił się problem, gdzie mamy ze sobą sypiać. Miała służbowe mieszkanie w internacie dziewcząt i kiedy tam nocowałem, wszystkie zaraz o tym wiedziały. Z uwagi na nocne dyżury nie mogła nocować u mnie, więc sypialiśmy ze sobą rzadko, co też stanowiło pewien problem. Do tego dochodziła oczywiście kwestia biseksualności: czytała wszystkie moje książki i ponoć jej się podobały, ale moje „bi” bardzo ją niepokoiło.

– Nie wierzę, że masz pięćdziesiąt trzy lata! – mawiała. Nie wiedziałem, jak to rozumieć – czy chodziło o mój młody wygląd, czy robiła sobie wyrzuty, że spotyka się ze starym biseksualistą.

Martha Hadley, która miała lat siedemdziesiąt pięć, przeszła już na emeryturę, ale wciąż udzielała porad uczniom, którzy mieli „specjalne potrzeby”, w tym zaburzenia mowy. Wspomniała, że Amanda również ma tego rodzaju problemy.

– Ale nie dlatego nas poznaliście, co? – spytałem.

– To nie był mój pomysł, Billy. Richard wymyślił, żeby cię poznać z Amandą, bo jest fanką twojej twórczości. Od początku miałam wątpliwości: jest dla ciebie za młoda i wszystkim się przejmuję. Myślę, że twój biseksualizm spędza jej sen z oczu. Ona nie umie wymówić tego

słowa!

– Ach tak.

Właśnie to działo się w moim życiu, gdy wuj Bob zadzwonił w sprawie Kittredge’a. I dlatego na wpół żartobliwie powiedziałem, że „czekały mnie tylko roztopy” – prócz pisania, oczywiście. (Przeprowadzka do Vermont wyszła na dobre mojej twórczości).

Informacja o śmierci Kittredge’a pochodziła od pani Kittredge.

– Matki czy żony? – spytałem wuja Boba.

– Kittredge miał żonę, Billy, ale mówię o jego matce.

– Jezu, ile ona ma lat?

– Dopiero siedemdziesiąt dwa. – Sam miał siedemdziesiąt osiem i chyba poczuł się urażony moim pytaniem. Wiedziałem od Elaine, że pani Kittredge urodziła syna w wieku osiemnastu lat.

Według Boba – a dokładnie pani Kittredge – mój dawny idol i oprawca umarł w Zurychu w Szwajcarii, „z przyczyn naturalnych”.

– Bez kitu, Bob – powiedziałem. – Był tylko rok starszy ode mnie, miał pięćdziesiąt cztery lata. Jakie „naturalne przyczyny” mogą człowieka zabić w tym wieku?

– Jestem tego samego zdania, Billy... ale tak twierdzi jego matka.

Pokręciłem głową.

– Z tego, co słyszałem, na pewno zmarł na AIDS.

– Sądziś, że matka z pokolenia pani Kittredge powiedziała by szkole coś takiego? – zapytał. (Sue Atkins poinformowała tylko, że Tom zmarł „po długiej chorobie”).

– Wspomniałeś, że Kittredge miał żonę.

– Zostawił żonę i syna jedynaka... i matkę, oczywiście – mówił Rakietka. – Chłopak ma imię po nim, kolejny Jacques. Imię żony brzmi z niemiecka. Uczyłeś się niemieckiego, prawda? Co to za imię „Irmgarda”?

– Brzmi, jak niemieckie – przytaknałem.

Jeśli Kittredge zmarł w Zurychu – nawet jeśli umarł w Szwajcarii z „przyczyn naturalnych” – możliwe, że była Szwajcarką, choć „Irmgarda” to niemieckie imię. Takie staroświeckie imię to nie przelewki! Musiało ciążyć właścicielce kamieniem na barkach. Moim zdaniem pasowało do podstarzałej, surowej nauczycielki.

Domyślałem się, że syn przyszedł na świat na początku lat siedemdziesiątych; Kittredge świetnie się zapowiadał i z dyplomem Yale w kieszeni stał u progu obiecującej kariery w świecie dramatu. Pewnie uznał to za dobry moment na znalezienie sobie żony. A potem co? Jak sprawy dalej się potoczyły?

– Co za gnój... A niech go diabli! – krzyknęła Elaine na wieść o jego śmierci. Była wściekła – jakby mu się w pewnym sensie upiekło. Nie mogła rozmawiać o „przyczynach naturalnych”, ani tym bardziej o żonie. – Nie ujdzie mu to na sucho! – wrzasnęła.

– Elaine... on umarł. O czym ty mówisz? – spytałem, ale wybuchnęła płaczem.

Pech chciał, że była to jedna z niewielu nocy, gdy Amanda nie miała dyżuru. Siedziała u mnie na River Street, więc nie obyło się bez nawiązania do Kittredge’a, Elaine i całej reszty.

Niewątpliwie ta opowieść była z natury bardziej bi – oraz gejowska i transgenderowa – niż Amanda mogła zdzierżyć, mimo wielokrotnych zapewnień, że kocha moją twórczość, gdzie „odmienności” seksualnej (jak powiedziałby Richard) było na pęczki.

Wyrzucam sobie, że nie powiedziałem jej o cholernych duchach w domu na River Street; widzieli je tylko inni, mnie nigdy się nie ukazywały! Lecz Amanda wstała do łazienki – był środek nocy – i zbudził mnie jej krzyk. Chodziło o nową wannę – nie tę, w której dziadek Harry pociągnął za spust – lecz gdy Amanda wykrztusiła wreszcie, co zaszło (gdy siedziała na sedesie), nie było wątpliwości, kogo w niej zobaczyła.

– Leżał jak mały chłopiec... Uśmiechnął się do mnie, gdy siusiałam! – Zanosila się szlochem.
– Tak mi przykro – powiedziałem.
– Ale nie był małym chłopcem! – zawodziła histerycznie.
– Nie, to mój dziadek – tłumaczyłem spokojnie. Ach, ten Harry, kochał nową publiczność, nawet jako duch! (Nawet jako mężczyzna!).

– Nie widziałam karabinu... ale chciał mi go pokazać, Billy. Pokazał mi broń, a potem strzelił sobie w głowę. Rozprysnęła się po całej łazience! – zawyla.

Naturalnie przysłała pora na opowieść o dziadku Harrym. Nie spaliśmy całą noc. Rankiem Amanda nie chciała pójść sama do łazienki – nawet innej, co jej zaproponowałem. Nie zdziwiłem się; byłem naprawdę pełen zrozumienia. W życiu nie widziałem cholernego ducha; musiał być straszny.

Kropla przelała czarę, gdy tłumaczyłem potem pani Hadley i Richardowi, kiedy roztrzęsiona Amanda – bądź co bądź, biedaczka całą noc nie zmrużyła oka – chcąc wyjść na korytarz, otworzyła drzwi do szafy. Jej oczom ukazał się mossberg .30-30; trzymam go w szafie, gdzie stoi oparty o ścianę.

Amanda zaczęła krzyczeć – Boże, ależ się darła.

– Zachowałeś tę broń... i trzymasz ją w szafie?! Broń, z której zabił się twój dziadek? – wrzasnęła.

– Co do broni ma rację – zauważył Richard, dowiedziawszy się o naszym rozstaniu.

– Nikt nie chce, żebyś ją miał, Billy – dodała Martha Hadley.

– Może duchy znikną razem ze spluwą, Billy – powiedziała Elaine.

Ale duchy nigdy mi się nie ukazywały; może trzeba być na to podatnym, a ja nie jestem. Zresztą mam własne duchy – moje „straszliwe anioły”, jak o nich (często) myślałem – lecz one nie mieszkają w domu na River Street w First Sister w stanie Vermont.

W czasie roztopów w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku pojechałem do Meksyku. Wynająłem dom, znaleziony przez Elaine w Playa del Carmen. Piłem mnóstwo piwa i poderwałem przystojnego fanfarona z wąsikami jak ołówek i ciemnymi bokobrodami – wyglądał jak z filmu o Zorro, jednego z tych czarno-białych. Bawiliśmy się świetnie, *cerveza* lała się strumieniami, a gdy wróciłem do Vermont, nadeszła wiosna.

Niewiele się działo – przez piętnaście lat – prócz tego, że zostałem nauczycielem. Szkoły prywatne – dziś noszą nazwę „niezależnych”, ale co tam – nie przywiązują wielkiej wagi do wieku emerytalnego. Richard Abbott poszedł na emeryturę dopiero po siedemdziesiątce i nawet wtedy chodził na wszystkie spektakle klubu dramatycznego.

Nie był zachwycony swoimi następcami – cóż, w zasadzie nikt nie był. Wszystkim brakowało wyczucia Richarda do Szekspira i żaden nie znał się na teatrze. Martha Hadley i Richard prosili, bym zaangażował się w życie Akademii.

– Dzieciaki czytają twoje książki, Bill – powtarzał mi Richard.

– Zwłaszcza te, wiesz, odmienne seksualnie – dodawała pani Hadley; nadal prowadziła indywidualne „przypadki” (jak je nazywała), chociaż była po osiemdziesiątce.

Dowiedziałem się od Elaine, że na terenie szkół powstają grupy lesbijskie, gejowskie i transgenderowe. Richard Abbott z kolei powiedział mi, że mamy taką grupę w Akademii. Istnienie zorganizowanych i uznawanych grup tego rodzaju nie mieściło mi się w głowie. (Stały się tak powszechne, że nazywano je skrótami. Aż nie mogłem w to uwierzyć).

Gdy Elaine wykladała na NYU, zaprosiła mnie na wieczór poświęcony mojej nowej powieści, zorganizowany dla grupy LGBT. (Minęło parę dni, nim nauczyłem się tych liter we właściwej kolejności).

Była zdaje się jesień roku dwa tysiące siódmego, gdy dowiedziałem się od pani Hadley, że

chęcią z Richardem przedstawić mi kogoś szczególnego. Od razu pomyślałem, że chodzi o nowego nauczyciela lub nauczycielkę angielskiego, zatrudnionego lub zatrudnioną w celu ratowania podupadającego klubu dramatycznego.

Na wspomnienie Amandy uznałem, iż właśnie do tego zmierzają ich wysiłki. Ale nie, nie w moim wieku. Jesienią roku dwa tysiące siódmego miałem lat sześćdziesiąt pięć. Pani Hadley i Richard chyba nie chcieli mnie z nikim swatać. Martha była żwąwą osiemdziesięciosiedmiolatką, ale jeden poślizg na śniegu – jeden nieszczęśliwy upadek i złamane biodro – i trafiłaby do ośrodka. (Zresztą i tak trafi tam niebawem). Richard Abbott stracił blask głównego bohatera: w wieku lat siedemdziesięciu siedmiu wrócił na Akademię uczyć o Szekspirze, ale nie miał odwagi już go wystawiać, więc czytał Szekspira z uczniami pierwszej klasy. (Rocznik dwa tysiące jedenaście! Lata lecą!).

– Chcemy ci przedstawić kogoś z uczniów, Bill – oznajmił Richard, lekko wstrząśnięty moim podejrzeniem, że miałby mnie swatać.

– Z pierwszej klasy, Billy... to ktoś bardzo szczególny – zaznaczyła Martha.

– Ma problemy z wymową, tak? – spytałem.

– Nie chcemy cię umówić z nauczycielem, Bill. Ty powinieneś nim być – uzupełnił Richard.

– To osoba z nowej grupy LGBT, Billy – zakomunikowała pani Hadley.

– Jasne, czemu nie? Nie znam się na „byciu nauczycielem”, ale mogę poznać. Chłopiec czy dziewczyna? – spytałem. Martha Hadley i Richard wymienili spojrzenia.

– No cóż... – zaczął Richard, ale pani Hadley mu przerwała.

Ujęła mnie za rękę i je ścisnęła.

– Chłopiec czy dziewczyna, Billy – powiedziała. – To jest pytanie. Właśnie dlatego chcemy, żebyś jego lub ją poznał.

– Ach tak – odparłem. Oto jak i dlaczego zostałem nauczycielem.

Rakieta trafił do ośrodka w wieku lat dziewięćdziesięciu; było to po dwóch operacjach biodra i upadku ze schodów, gdy dochodził do siebie po drugiej operacji.

– Zaczynam czuć się staro, Billy – wyznał, gdy jesienią dwa tysiące siódmego roku poszedłem go odwiedzić. Było to w tym samym czasie, gdy pani Hadley i Richard przedstawili mi dzieciaka, który miał odmienić moje życie.

Wuj Bob przeszedł zapalenie płuc, ale czuł się coraz lepiej. Po AIDS zachowałem żywe wspomnienia innego zapalenia płuc, po którym wielu nigdy nie wyzdrowiało. Cieszyłem się, widząc Boba na nogach, ale postanowił zostać w ośrodku.

– Niech się mną zajmą, Billy – zdecydował. Wiedziałem, jak się czuł: Muriel odeszła przed prawie trzydziestu laty, a sześćdziesięcioośmioletnia Gerry zamieszkała właśnie w Kaliforni z nową dziewczyną.

„Lady Pochwa” (tak nazywała Helenę Elaine) odeszła dawno temu. Nie zaliśmy nowej dziewczyny, ale Gerry mi o niej pisała. Poinformowała – jakby chodziło o niepełnoletnią – że przyjaciółka jest „dopiero” w moim wieku.

– Nawet się nie obejrzysz, Billy – prorokował Bob – a złączą legalizować związki homoseksualne i Gerry hajtnie się z następną. Jeśli zostanę w ośrodku, ślub ma się odbyć w Vermont! – wykrzyknął, jakby nie mieściło mu się w głowie, że może być inaczej.

Po wizycie u wuja Boba udałem się do Noah Adams Hall, gdzie znajdował się wydział anglistyki i języków obcych Akademii Favorite River. Spotkanie ze „szczególnym” uczniem wyznaczono w położonym na parterze gabinecie Richarda, sąsiadującym z jego klasą. Pani Hadley też zapowiedziała przybycie.

Ku mojej zgrozie, gabinet Richarda nie zmienił się ani o jotę: pozostał paskudny. Stała tam

kanapa ze skaju, cuchnąca gorzej niż psie legowisko, oraz trzy lub cztery krzesła z prostym oparciem i minibiurkiem do pisania. Biurko Richarda jak zwykle było zawalone otwartymi książkami i papierami, które zajmowały całą wolną przestrzeń. Miał fotel na kółkach i mógł śmigać po gabinecie w pozycji siedzącej – z czego nie omieszkał korzystać, ku powszechnej uciechu uczniów.

Zmiana, która zaszła w szkole, wynikała nie tylko z obecności dziewcząt – zmienił się styl ubierania. Jeśli istniały jakiegokolwiek zasady, trudno powiedzieć, na czym polegały w roku dwa tysiące siódmym; marynarki i krawaty dawno odeszły w niepamięć. Obowiązywał pewien niejasny zakaz co do „podartych” dzinsów, czyli stylizowanych na stare. Nie wolno było przyjść do stołówki w piżamie, a dziewczęta nie mogły odsłaniać brzucha – kwestia, „ile” mogły go odsłonić, podlegała nieustającej debacie. Za obraźliwe uważano tak zwane przedziałki, powstałe w wyniku zbyt niskiego opuszczenia spodni; rzecz dotyczyła głównie chłopców. Gołe brzuchy dziewcząt i „przedziałki” chłopców poddawano ciągłej weryfikacji, na wszelkie możliwe sposoby. Młodzież twierdziła, iż zakazy te są przejawem płciowej dyskryminacji, bo dlaczego brzuchy i „przedziałki” miały uchodzić za coś nieprzyzwoitego?

Spodziewałem się widoku skrajnego hermafrodyty w rodzaju ponętne-dla-wszystkich melanżu organów reprodukcyjnych, powabnego na miarę skrzyżowania nimfy z satyrem z filmu Felliniego – tymczasem moim oczom ukazał się rozwalony na cuchnącej kanapie pulchnawy chłopiec z okazałym pryszczem na szyi i szczenięcym meszkiem zarostu. Pryszcz wyglądał niemal tak wyzywająco jak sam chłopiec, który na mój widok zmrużył oczy – z niechęcią lub próbował mi się przyjrzeć.

- Cześć, nazywam się Bill Abbott – powiedziałem.
- A to jest George... – zaczęła pani Hadley.
- Georgia. – Chłopiec szybko ją poprawił. – Nazywam się Georgia Montgomery, koleżdy mówią na mnie Gee.
- Gee – powtórzyłem.
- Na razie wystarczy – rzucił. – Ale będę Georgią. To nie moje ciało – dodał ze złością. – Nie jestem tym, kogo widzicie. Staję się kimś innym.
- W porządku – odparłem.
- Przyjechałam do tej szkoły z pańskiego powodu – poinformował.
- Gee chodziła do szkoły w Kaliforni – wtrącił Richard.
- Myślałam, że zastanę tutaj inne transgenderki – ciągnął Gee. – Ale ich nie ma. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.
- Jego rodzice... – zaczęła pani Hadley.
- Jej rodzice – poprawił Gee.
- Rodzice Gee są liberalni – mówiła pani Hadley. – Wspierają cię, prawda? – spytała chłopca – albo dziewczyny, jeśli nią był/była.
- Owszem, są liberalni i mnie wspierają – potwierdziła Gee – ale się mnie boją. Zgadzą się na wszystko, na przykład przyjazd do Vermont.
- Rozumiem. – Kiwnąłem głową.
- Czytałam wszystkie pana powieści – dodał Gee. – Jest pan wściekły, prawda? I straszny z pana pesymista. Nie widzi pan końca nietolerancji, co?
- Piszę książki – przypomniałem. – W życiu niekoniecznie jestem takim pesymistą, jak wówczas gdy wymyślam fabułę.
- Ale jest pan wściekły – upierał się chłopiec.
- Zostawmy ich, Richardzie – zdecydowała Martha Hadley.
- Tak, tak... idziemy, Bill – odparł Richard, klepiąc mnie po plecach. – Poproś Billa, żeby

opowiedział ci o znajomej transseksualistce – powiedział na odchodne do dziewczyny-w-toku.

– Transgenderce – poprawił Gee.

– Nie dla mnie – oświadczyłem. – Wiem, że język się zmienia, wiem też, że jestem stary i zacofany. Lecz osoba, którą znałem, dla mnie była transseksualistką. Była transseksualistką, więc tak ją nazywam. Jeśli chcesz o niej posłuchać, będziesz musiała to przełknąć, więc mnie nie poprawiaj – przykazałem chłopcu. Siedział na śmierdzącej kanapie i wytrzeszczał na mnie oczy. – Ja też jestem liberalny – dodałem. – Ale nie zgadzam się na wszystko.

– Czytaliśmy z Richardem „Burzę” – oznajmił, bez związku, jak mi się zdawało. – Szkoda, że nie możemy jej wystawić – dorzucił. – Ale Richard kazał nam czytać z podziałem na role. Jestem Kalibanem. Potworem, naturalnie.

– Kiedyś byłem Arielem – odpowiedziałem. – Mój dziadek grał Kalibana; zagrał jako kobieta.

– Serio? – zapytał; uśmiechnął się po raz pierwszy, i nagle to zobaczyłem. Miał uśmiech ładnej dziewczyny; skrywał go w niewykształconej chłopięcej twarzy i niezdarnej sylwetce, ale ujrzałem w nim ją. – Proszę opowiedzieć mi o tej trans genderce – poprosił.

– Transseksualistce.

– W porządku. Proszę mi o niej opowiedzieć.

– To długa historia, Gee. Byłem w niej zakochany.

– Świadomie użyłem rodzaju żeńskiego.

– W porządku – powtórzyła.

Potem poszliśmy razem do stołówki. Miała dopiero czternaście lat i wilczy apetyt.

– Widzi pan tego osiłka? – spytała. Nie wiedziałem, którego miała na myśli, siedział ich cały stół – na oko futbolistów. Kiwnąłem głową.

– Mówi na mnie Tampon, a czasem po prostu George, nie Gee. I oczywiście nigdy Georgia – powiedziała z uśmiechem.

– Tampon brzmi okropnie – skwitowałem.

– Szczerze mówiąc wolę to niż „George” – odparła Gee. – Panie A., przecież pan mógłby wyreżyserować „Burzę”, prawda? Gdyby pan chciał? Dzięki temu moglibyśmy wystawić Szekspira.

Nikt nie mówił do mnie nigdy „panie A.”, chyba mi się spodobało. Zdążyłem już dojść do wniosku, że skoro Gee tak bardzo chce być dziewczyną, nie ma innego wyjścia. Ja też chciałem wyreżyserować „Burzę”.

– Hej, Tampon! – zawołał ktoś od stołu.

– Pogadajmy z nimi – rzuciłem. Podeszliśmy do futbolistów, którzy znieruchomieli. Zobaczyli niedoszlą, żalną transgenderkę i mnie, sześćdziesięcioletniego faceta, być może nauczyciela (którym wkrótce będę). Byłem za stary na ojca Gee.

– To jest Gee, tak ma na imię. Zapamiętajcie – nakazałem. Milczeli. – Który powiedział „Tampon”? – Panowała głucha cisza. (Zasrani chuligani; większość z nich to tchórze). – Jeśli ktoś pomyli cię z tamponem, Gee, czyja to wina, jeśli nie sprostujesz? – zwróciłem się do dziewczyny, która wciąż wyglądała jak chłopiec.

– Pewnie moja – przyznała.

– Jak ma na imię? – spytałem futbolistów.

Wszyscy prócz jednego odpowiedzieli: „Gee!”. Ten jeden, największy, znowu jadł; kiedy się odezwał, nie patrzył na mnie, tylko w talerz.

– Jak ma na imię? – powtórzyłem; wskazał na swoje usta, właśnie przeżuwał. – Poczekam – rzuciłem.

– On nie jest nauczycielem – poinformował kolegów, gdy przełknął. – To pisarz, który mieszka w First Sister. Stary gej, chodził tutaj do szkoły. Nie może nam rozkazywać, nie jest

nauczycielem.

– Jak ma na imię? – powtórzyłem kolejny raz.

– Palant? – spytał tamten; uśmiechał się, podobnie jak jego koledzy.

– Teraz widzisz, czemu jestem wściekły, Gee? – spytałem czternastolatkę. – To on nazywa cię „Tampon”?

– Tak.

Futbolista, który mnie znał, wstał od stołu; był zwalisty, jakieś dziesięć centymetrów wyższy ode mnie i z dziesięć kilo cięższy.

– Spadaj, pedale – wypluł. Żałowałem, że nie zwrócił się do Gee. Wtedy miałbym go na widelcu; pewne zasady w szkole może się rozluźniły, lecz pojawiły się inne, których nie było za moich czasów. Nie można wyrzucić kogoś za nazwanie kolegi „tamponem” czy „palantem”, ale „pedał” to grubsza sprawa. (Podobnie jak „czarnuch” i „żydziak”, „pedał” mógł narazić na kłopoty).

– Zastrani futboliści – usłyszałem Gee. Herm Hoyt też tak mawiał. (Zapaśnicy nie mają o futbolistach wysokiego mniemania). Młoda transgenderka w toku chyba czytała mi w myślach!

– Co powiedziałeś, pedału? – spytał tamten. Zamachnął się i wierzchem dłoni dał Gee na odlew w twarz. Pewnie zabolalo, ale widziałem, że Gee nie odpuści. Gdy stanąłem między nimi, krew poleciała jej z nosa.

– Dosyć tego – powiedziałem do futbolisty, ale natarł na mnie klątą. Zobaczyłem nadszarpnięty prawy sierpowy i lewym przedramieniem odparłem cios, jak zademonstrował mi Jim Jakiś-tam, na czwartym piętrze w sali do boksu w NKS. Futbolista trochę się zdziwił, gdy chwyciłem go za kark „w krawacie”. Odepchnął mnie z całej siły; dużo ważył, naparł na mnie jak taran. Nie mogłem sobie wymarzyć lepszej sytuacji.

Podłoga w stołówce była twardsza od maty i chłopak gruchnął jak kłoda, całym ciężarem (i większością mojego) na jednym barku. Na pewno wybił sobie ten bark lub złamał obojczyk – bądź jedno i drugie. Leżał na podłodze, próbując nie ruszać ręką.

– Zastrani futboliści – powtórzyła Gee, tym razem pod adresem całego stołu. Miała silny krwotok z nosa.

– Pytam po raz czwarty, jak ma na imię? – zapytałem leżącego na podłodze.

– Gee – odparł. Okazało się, że był dziesięcioletnim absolwentem, przyjętym do szkolnej drużyny; wybitny bark lub złamany obojczyk wykluczą go z rozgrywek na resztę sezonu. Akademia nie wyrzuciła go za słowo „pedał”, ale został zawieszony. (Gee i ja mieliśmy nadzieję, że złamał jej nos, ale niestety). Wyleci wiosną, za nazwanie „lesbą” dziewczyny, która nie chciała się z nim przespać.

Zgodziłem się na pół etatu w Akademii tylko pod warunkiem, że szkoła podejmie wysiłek wyedukowania nowych podopiecznych (zwłaszcza starszych absolwentów) w dziedzinie kultury liberalnej – naturalnie w odniesieniu do różnorodności seksualnej.

Ale tamtego dnia w stołówce, we wrześniu dwa tysiące siódmego roku, nie miałem futbolistom do powiedzenia już nic pouczającego.

W przeciwieństwie do mojej nowej protegowanej Gee.

– Będę dziewczyną – oznajmiła śmiało. – Któregoś dnia będę Georgią. Ale na razie jestem Gee i możecie mnie oglądać jako Kalibana.

– Może wystawimy „Burzę” zimą – dodałem pod adresem futbolistów, bez większej nadziei, że przyjdą. Uznałem, że przygotowanie aktorów zajmie trochę czasu; wszyscy uczniowie z szekspirowskiej grupy Richarda chodzili do pierwszej klasy. Zamierzałem ogłosić casting w całej szkole, lecz miałem obawy, że zgłoszą się tylko ci ostatni.

– Jeszcze jedno – dodała Gee. Krew leciała jej z nosa, ale nie zwracała na to uwagi. – Pan A.

to nie stary gej, tylko stary bi. Zrozumiano?

Ku mojemu zdumieniu futboliści pokiwali głowami. Dobra, może prócz powalonego, który dalej tkwił nieruchomo na podłodze. Żałowałem tylko, że panna Frost i trener Hoyt mnie nie widzieli. Muszę przyznać, że to był świetny chwyt – prawdziwy gwóźdź programu.

Rozdział 14

NAUCZYCIEL

Tak było trzy lata temu, gdy Gee chodziła do pierwszej klasy. Szkoda, że jej nie widzieliście na początku ostatniego roku, w jesiennym semestrze dwa tysiące dziesiątego roku – była zabójczą siedemnastolatką. W ostatniej klasie skończy osiemnaście lat; szkołę skończy o czasie, z rocznikiem dwa tysiące jedenaście. Mówię wam, szkoda, że jej wtedy nie widzieliście. Pani Hadley i Richard mieli rację – Gee była jedyna w swoim rodzaju.

Jesienią dwa tysiące dziesiątego roku odbywaliśmy próby do – jak mawiał Richard – „Szekspira jesiennego”. Premierę „Romea i Julii” zaplanowaliśmy na bardzo trudny czas, między Świętem Dziękczynienia a przerwą gwiazdkową.

Jako nauczyciel mogę wam powiedzieć, że to fatalny okres: dzieciaki są rozkojarzone, mają egzaminy i zaległe prace – jakby tego było mało, jesienne rozgrywki sportowe zastąpiono zimowymi. Wprowadzono wiele innowacji, ale jedno pozostało bez zmian: wszyscy kaszlą i mają zszargane nerwy.

Klub dramatyczny ostatnio wystawił „Romea i Julię” zimą roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego, dwadzieścia pięć lat temu. Nadal pamiętam, co Larry powiedział Richardowi o obsadzeniu chłopca w roli Julii. (Uważał, że Szekspir byłby zachwycony!). Ale Richard spytał: „Gdzie znajdę chłopca z jajami, który zagra Julię?”. Nawet Lawrence Upton nie znał odpowiedzi.

Obecnie znam chłopca z jajami do roli Julii. Miałem Gee, a Gee – jako dziewczyna – była doskonała, a do tego w wieku siedemnastu lat wciąż miała jaja. Rozpoczęła testy psychologiczne, chodziła na psychoterapię, konieczną w przypadku młodych ludzi poważnie myślących o zmianie płci. Chyba jeszcze nie usuwano jej zarostu za pomocą elektrolizy; może była za młoda, ale nie jestem pewien. Wiem za to, że za zgodą rodziców i lekarza brała zastrzyki z żeńskich hormonów; jeżeli wytrwa w swoim postanowieniu, będzie przyjmować hormony do końca życia. (Nie miałem wątpliwości, że Gee, wkrótce Georgia Montgomery, wytrwa).

Jak to ujęła Elaine, kiedy rozmawialiśmy o obsadzeniu Kittredge’a w roli Julii? Podzielaliśmy zdanie, że byłby to kiepski pomysł. „Julia musi być szczerą”.

Ależ miałem szczerą Julię! Gee zawsze miała jaja, ale teraz miała również piersi – małe, ale bardzo ładne – a jej włosy zyskały nowy blask. A jak urosły jej rzęsy! Skóra Gee stała się miększa, a trądzik zniknął bez śladu; biodra jej urosły, choć sporo schudła od pierwszej klasy – i zyskała kobiece kształty.

Co najważniejsze, wszyscy w Akademii Favorite River wiedzieli, kim (i czym) jest Gee Montgomery. Jasne, znalazłoby się paru mięśniaków niechętnych pewnym innowacjom. Ale troglodyci zawsze się znajdują.

Uważałem, że Larry byłby ze mnie dumny. Pewnie zdziwiłby się, jak bardzo jestem zaangażowany. Aktywizm polityczny nie przychodził mi naturalnie, ale byłem trochę aktywny. Jeździłem do różnych szkół w naszym stanie. Rozmawiałem z grupami LGBT w Middlebury College i na uniwersytecie Vermont. Poparłem ustawę o małżeństwach homoseksualnych, którą zatwierdził nasz senat – mimo sprzeciwu repu blickiego gubernatora, troglodyty.

Larry śmiałby się, że popieram ideę małżeństw homoseksualnych, bo znał moje zdanie na temat instytucji małżeństwa. „Stary pan Monogamia”, nazwałby mnie zapewne. Ale dzieciakom na tym zależy, więc nie widzę powodu, dla którego miałbym być przeciw.

„Widzę w tobie przyszłego bohatera!”, mówił mi dziadek Harry. Nie przesadzajmy, ale mam nadzieję, że panna Frost byłaby ze mnie zadowolona. Na swój sposób kogoś chronilem – chronilem Gee. Byłem ważną osobą w jej życiu. Może panna Frost doceniłaby mój wysiłek.

Tak wyglądało moje życie w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat. Miałem kawałek etatu w swojej

dawnej szkole, Akademii Favorite River i prowadziłem klub dramatyczny. Byłem pisarzem i sporadycznym aktywistą politycznym – z ramienia grup LGBT. Ach, przepraszam; wciąż zapominam, że język się zmienia.

Bardzo młody nauczyciel poinformował mnie, że nie mówi się już LGBT, tylko LGBTK.

– A to „K” to niby co? – spytałem. – Może „Kłótlivi”?

– Nie, Bill – odparł. – „Kontestujący”.

– Ach tak.

– Pamiętam, gdy ty byłeś „kontestujący”, Billy – powie – działa Martha Hadley. No cóż, ja też pamiętałem ten etap. Nie mam nic przeciwko LGBTK, po prostu to cholerne „K” wylatuje mi z głowy!

Pani Hadley mieszka w ośrodku. Ma dziewięćdziesiąt lat i Richard odwiedza ją codziennie. Ja odwiedzam Marthę dwa razy w tygodniu, przy okazji wizyt u wuja Boba. W wieku lat dziewięćdziesięciu trzech Rakietka trzyma się bombowo, przynajmniej fizycznie. Tylko pamięć go zawodzi, ale co zrobić? Czasem zapomina nawet, że Gerry i jej kalifornijska dziewczyna – ta w moim wieku – pobrały się w tym roku w Vermont.

Ślub odbył się w czerwcu dwa tysiące dziesiątego roku, w moim domu na River Street. Zjawili się pani Hadley i wuj Bob – ona na wózku inwalidzkim, a on go pchał.

– Pomóc ci pchać ten wózek, Bob? – pytaliśmy z Richardem i Elaine.

– A skąd wiecie, że go pcham? Ja się tylko opieram!

Tak czy inaczej, gdy wuj Bob pyta mnie o ślub Gerry, przypominam mu, że już go wzięła.

Przez jego roztargnienie mało nie ominęło mnie coś ważnego – może i drobiazg, ale dla mnie istotny.

– Co poczniesz z Senorem Bovary, Billy? – zapytał, gdy wiozłem go z wesela Gerry z powrotem do ośrodka.

– Jakim Senorem? – Oślupiałem.

– Cholera, Billy... Wybacz. Mam kurzą pamięć, usłyszę coś i zaraz wylatuje mi z głowy!

Chodziło o wiadomość, którą przysłano do redakcji jego gazetki.

*Uprasza się o przekazanie listu młodemu Williamowi,
głosił nagłówek maszynopisu.*

Jego ojciec, William Francis Dean, chciałby wiedzieć, jak miewa się jego syn – oczywiście stary gwiazdor nie napisze i sam nie pyta. AIDS zebrała żniwo, ale wnosząc z książek, rozumiemy, że przeżył. Czy dopisuje mu zdrowie. Proszę go zapytać Cómo esta? – jak mawiamy tu w Hiszpanii. A jeśli chce się spotkać, zanim umrzemy, niech złoży nam wizytę!

Autorem listu był długoletni kochanek mojego ojca – miłośnik czytania na sedesie, który potem spotkał tatę w metrze i nie wysiadł na następnej stacji.

Niżej wydrukowano, zamiast odręcznego podpisu:

Señor Bovary

Niedawno pojechałem w lecie na paradę miłości do Amsterdamu, w towarzystwie nieco cynicznego, holenderskiego kolegi. Od dawna byłem zdania, że to miasto niesie nadzieję, i się nie zawiodłem. Widziałem rzesze roztańczonych mężczyzn – facetów w skórze w odcieniach różu i fioleto, chłopaków w slipkach w panterkę, całujących się facetów w jockstrapach, kobietę w zielonych piórach, z czarnym penisem przytroczonym do krocza. Wspomniałem koledze, że w wielu miastach mówiło się o tolerancji, lecz Amsterdam naprawdę ją praktykował – ba, wręcz się z nią obnosił. Gdy wypowiadałem te słowa, obok przepłynęła kanałem długa barka; na pokładzie grał żeński zespół rockowy. Kobiety miały przezroczystą bieliznę i machały do zgromadzonych. Dildami, zaznaczam.

Ale mój cyniczny holenderski przyjaciel obrzucił mnie zmęczonym (i niezbyt tolerancyjnym) spojrzeniem; sprawiał wrażenie tak samo obojętnego paradzie jak prostytutki w oknach i drzwiach de Wallen, amsterdamskiej dzielnicy czerwonych latarni.

– Amsterdam się skończył – oznajmił. – Europejskim ośrodkiem homoseksualnym jest teraz Madryt.

– Madryt – powtórzyłem, jak to ja. Byłem starym bi po sześćdziesiątce, mieszkającym w Vermont. Cóż mogłem wiedzieć o nowym ośrodku homoseksualnym w Europie? (Cóż mogłem wiedzieć o jakimkolwiek cholernym ośrodku?).

Señor Bovary radził, abym zatrzymał się w madryckim Santo Mauro; był to ładny, cichy hotelik na Zurbano – wąskiej, obsadzonej drzewami ulicy (w nudnej dzielnicy mieszkalnej), skąd „blisko na piechotę” do Chueca, „gejowskiej dzielnicy”, jak dowiedziałem się z mejla (odległość okazała się dość spora). Wydrukowany list, który trafił w ręce wuja Boba, nie zawierał zwrotnego adresu – tylko adres mejlowy i numer komórki Senora Bovary.

Początkowy kontakt listowny i będąca jego następstwem komunikacja elektroniczna z partnerem ojca wskazywały na osobliwe połączenie współczesności z obyczajami starej daty.

– Zdaje się, że Bovary jest w wieku twojego taty, Billy – przestrzegł mnie wuj Bob. Wiedziałem z „Sowy”, że William Francis Dean urodził się w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym, co znaczyło, że obaj mieli po osiemdziesiąt sześć lat. (Z tej samej „Sowy” dowiedziałem się, że Franny Dean marzył o „scenie”; tylko gdzie?).

Z wiadomości Bovary’ego wywnioskowałem, że ojciec nie wiedział o moim przyjeździe; był to plan Bovary’ego i miałem się go trzymać. „Po przyjeździe przejdź się po Chueca. Pierwszego dnia wcześniej idź spać. Spotkamy się drugiego dnia na kolacji. Pójdziemy na spacer, wrócimy do Chueca i zaprowadzę cię do klubu. Lepiej, żeby ojciec nie wiedział o twoim przyjeździe, byłby skrepowany”.

Byłem ciekaw, co to za klub.

„Franny był w porządku, Billy – powiedział mi kiedyś wuj Bob. – Homo – niewiadomo, jeśli wiesz, o czym mówię”. Może chodziło o taki klub. Czyli właściwie jaki? (Nawet stary bi z Vermont wie, że istnieją różne rodzaje gejowskich klubów).

Późnym popołudniem w Chueca większość sklepów była zamknięta na sjęstę; mimo upału klimat stanowił miłą odmianę po wilgotnym Vermont. Coś mi podpowiadało, że na Calle de Hortaleza kwitnie seks za pieniądze; wyczuwało się tam atmosferę seksturystyki, nawet w czasie sjęsty. Lesbijek było niewiele, przynajmniej na oko, lecz dopiero poznawałem okolicę.

W pobliżu Calle de Augusto Figueroa znajdował się nocny klub o nazwie A Noite on Hortaleza, ale człowiek za dnia nie zwraca na to uwagi. Mój wzrok przykuła portugalska nazwa – „noite” to noc po portugalsku – i sfatygowane afisze z reklamami występów, w tym drag queens.

Ulice pomiędzy Gran Vía oraz stacją metra na Plaza de Chueca były zatłoczone barami, sexshopami i ubrania z gejowską odzieżą. Taglia, sklep z perukami na Calle de Hortaleza, mieścił się naprzeciw siłowni. Królowały koszulki z Tintinem, a w witrynie sklepu na rogu Calle de Hernan Cortés stały męskie manekiny w stringach. (Spośród rzeczy, na które jestem za stary, cieszy mnie jedna: stringi).

Walcząc ze zmęczeniem po podróży, chciałem tylko doczekać wieczoru i przed spaniem zjeść w hotelu wczesną kolację. Znużenie nie pozwalało mi docenić muskularnych kelnerów w t-shirtach w kawiarni Mama Inés na Hortalezie; siedzieli tam głównie mężczyźni w parach i jedna samotna kobieta. Była w japonkach i bluzce wiązanej na karku, miała kanciastą twarz i bardzo smutną minę, kiedy tak siedziała z podpartą brodą. Prawie spróbowałem ją poderwać. Zastanawiałem się, pamiętam, jak to jest, że Hiszpanki najpierw są bardzo szczupłe, a potem strasznie tyją. Ponadto wyróżniał się pewien typ mężczyzn-chudzielców w podkoszulkach, z

dziwnie wydatną piłką brzucha.

O piątej wypilem *café con leche*, czego nie miałem w zwyczaju, ale nie chciałem zasnąć na siedząco. Potem znalazłem księgarnię na Calle de Gravina – chyba nazywała się „Libros”. (Nie żartuję, księgarnia nazywała się „Książki”). Był tam spory wybór angielskich powieści w oryginale, ale nic współczesnego, nawet z dwudziestego wieku. Chwilę poszperałem w dziale z beletrystyką. Na ukos od księgarni, po drugiej stronie ulicy na rogu San Gregorio mieścił się chyba dość popularny bar – „Angel Sierra”. Sjesta skończyła się chyba, gdy byłem w księgarni, gdyż powoli zaczął się zapełniać.

Minąłem kafejkę, też na Calle de Gravino, gdzie przy stoliku pod oknem siedziały starsze, eleganckie lesbijki – o ile się zorientowałem, jedyne lesbijki w Chueca i niemalże jedyne kobiety w dzielnicy. Ale godzina była młoda, a życie w Hiszpanii rozkręca się wieczorem. (Wcześniej bywałem w Barcelonie, mieści się tam siedziba mojego hiszpańskiego wydawcy).

Gdy opuszczałem Chueca – udając się w długą drogę powrotną do Santo Mauro – zajrzałem do baru niedźwiedzi na Calle de las Infantas. Nazywał się Hot i był obłożony przez facetów (ściśniętych jak sardynki) głównie ze starszego pokolenia. Wiecie, jacy są niedźwiedzie – zwyczajni faceci z brzuszkami, brodami i zamiłowaniem do kufla. Większość paliła, jak to w Hiszpanii. Długo tam nie zabawiłem, ale było miło. Młodzi barmani bez koszul obniżali średnią wieku – i pasowali do nazwy.

Elegancki człowieczek, który następnego wieczoru czekał na mnie na Plaza Mayor, nie budził natychmiastowego skojarzenia z młodym żołnierzem w spodniach opuszczonych do kostek, pograżonym w lekturze „Pani Bovary” na statku targanym sztormem.

Włosy Senora Bovary’ego były schludnie przycięte i białe, podobnie jak jego wąsik. Miał na sobie starannie doprasowaną białą koszulę bez rękawów, z dwiema kieszeniami na piersi – jedną do okularów, drugą z długopisami. Spodnie khaki zaprasowane w kant, a jedynym współczesnym akcentem jego staroświeckiej postaci były sandały, na solidnej podeszwie niezbędnej do pokonywania rwących rzek i wezbranych strumieni, z paskami nie do zdarcia.

– Bovary – oznajmił, podając mi dłoń skierowaną wierzchem w górę, toteż nie wiedziałem, czy mam ją uścisnąć, czy pocałować. (Postawiłem na pierwszą opcję).

– Jak to dobrze, że napisałeś – powiedziałem.

– Nie wiem, na co czekał twój ojciec, skoro matka – *una mujer difícil*, „trudna kobieta” – nie żyje od ponad trzydziestu lat. Trzydziestu dwóch, czyż nie? – upewnił się człowieczek.

Potwierdziłem.

– Mów, czy nie jesteś chory, przekażę twojemu ojcu – dodał. – Umiera z ciekawości, ale ja go znam, nie spyta za żadne skarby. Będzie się zamartwiał po twoim wyjeździe. Jest niemożliwie opieszwały! – wykrzyknął czule, posyłając mi rozbrajający uśmiech.

Odparłem, że wciąż „jestem na minusie”, nic mi nie dolega.

– Czyli nie musisz się truć, brawo! – zawołał Señor Bovary. – My też jesteśmy zdrowi, jeśli cię to ciekawi. Przyznaję, że uprawiałem seks jedynie z twoim ojcem, a on – nie licząc katastrofalnego epizodu z twoją matką – tylko ze mną. Nuda, co? – rzekł, nadal się uśmiechając. – Czytałem wszystkie twoje powieści... Naturalnie on też. Biorąc pod uwagę tematykę, nic dziwnego, że się o ciebie zamartwia! Jeśli masz na koncie połowę tego, o czym piszesz, chyba uprawiałeś seks z każdym!

– Z mężczyznami i kobietami, owszem... ale nie z każdym. – Odwzajemniłem uśmiech.

– Pytam, bo on tego nie robi. Zobaczysz, że niektóre twoje wywiady były bardziej osobiste, niż to, o co cię spyta, czy nawet powie – przestrzegł Señor Bovary. – Nie myśl, że jesteś mu obojętny; bez przesady powie, że martwi się o ciebie bez przerwy, ale szanuje twoją prywatność.

Jest bardzo skrytym człowiekiem. Otwarcie mówi tylko o jednym.

– Mianowicie?

– Nie chcę ci psuć zabawy. Zresztą musimy już iść. – Señor Bovary popatrzył na zegarek.

– Jakiej zabawy?

– Słuchaj, ja nie występuję, tylko zarządzam kasą – odparł. – W tej rodzinie ty jesteś pisarzem, ale twój ojciec wie, jak opowiadać historię, choćby jedną i tę samą.

Ruszyliśmy dość szybkim krokiem z Plaza Mayor na Puerta del Sol. Bovary wybrał te sandały, gdyż był piechurzem; założę się, że wszędzie chodził na piechotę. Dbał o linię: niewiele zjadł na kolację i pił tylko wodę mineralną.

Była pewnie dziewiąta lub dziesiąta wieczorem, ale na ulicach kłębiły się tłumy. Idąc Montero minęliśmy prostytutki – „profesjonalistki”, jak nazwał je Bovary.

Usłyszałem *guapo* z ust jednej z nich.

– Mówi, że jesteś przystojny – przetłumaczył.

– Może miała na myśli ciebie – odparłem; moim zdaniem wyglądał świetnie.

– Na pewno nie, ona mnie zna – skwitował. Zachowywał się bardzo służbiście; Pan Księgowy, pomyślałem.

Potem przecięliśmy Gran Vía, kierując się w stronę Chueca, obok tego strzelistego budynku – Telefónica.

– Mamy jeszcze trochę czasu – oznajmił, znów spoglądając na zegarek, jakby brał pod uwagę (a potem zmienił zdanie) okreśną drogę. – W pobliżu jest bar niedźwiedzi – dodał, stając na skrzyżowaniu Hortalezy i Calle de las Infantas.

– Wiem, Hot. Byłem tam wczoraj.

– Niedźwiedzie są w porządku, jeśli lubisz brzuchy – odparł.

– Nie mam nic przeciwko niedźwiedzim, po prostu lubię piwo – stwierdziłem. – Innego alkoholu nie piję.

– Ja piję tylko *agua congas* – rzucił z tym swoim uśmiechem Señor Bovary.

– Mineralną z bąbelkami, tak?

– Zdaje się, że obaj lubimy bąbelki, prawda? – uciał, idąc dalej. Nie rozglądałem się dookoła, ale rozpoznałem nocny klub z portugalskim słowem w nazwie – A Noite.

– To tutaj? – spytałem, kiedy wprowadził mnie do środka.

– Nie, chwała Bogu. Wpadliśmy na chwilę. Tutaj występ zaczyna się bardzo późno i trafiłbyś sam. W tym klubie lepiej poprzestać na drinku. – Przy barze kręcili się chudzi geje. – Gdybyś przyszedł sam, opadliby cię jak muchy – uprzedził.

Kontuar był marmurowy, lub z polerowanego granitu. Dla zabicia czasu wypilem piwo, a Señor Bovary swoją wodę mineralną.

W A Noite mieli podświetlany na niebiesko parkiet taneczny oraz proscenium; zza kulis leciały piosenki Sinatry. Gdy określiłem klub mianem „retro”, Bovary skwitował: „Nadmiar uprzejmości”. Bez przerwy zerkał na zegarek.

Kiedy znów wyszliśmy na Hortalezę, dochodziła jedenasta; w życiu nie widziałem tylu ludzi na ulicy, a gdy wprowadził mnie do klubu, zrozumiałem, że mijałem go już co najmniej dwa razy. Był to niewielki klub, do którego prowadziła długa kolejka – na Hortalezie, między Calle de las Infantas i San Marcos. Dopiero zobaczyłem jego nazwę. SENOR BOVARY.

– O – powiedziałem, gdy omijaliśmy kolejkę.

– Obejrzymy show Franny’ego, a potem go poznasz – instruował człowieczek. – Przy odrobinie szczęścia nie zobaczy cię do końca numeru... lub prawie do końca.

Podobnie jak w A Noite, bar był obleżony przez młodych gejów, ale zrobili nam miejsce. Na scenie wyginała się transseksualna tancerka, bardzo wiarygodna – nie było w niej nic retro.

– Chwył pod publiczke, na uzytek heterykow – szepnal mi do ucha Bovary. – No i takich jak ty. Jest w twoim typie?

– Tak, zdecydowanie – odpowiedzialem. (Pulsujace swiatla stroboskopow wydawaly sie troche tandetne).

W zasadzie tancerka nie robila striptizu; miala implanty i byla z nich bardzo dumna, ale nie zdjela stringow. Publicznosc zgotowala jej huczna owacje, kiedy zesla ze sceny, idac przez widownie, a potem bar – wciaz w stringach, z narzczem ciuchow pod pachą. Bovary rzucil cos do niej po hiszpańsku, na co sie usmiechnela.

– Powiedzialem, ze jesteś bardzo waznym gościem i ze jest zdecydowanie w twoim typie. – Mrugnäl figlarnie. Chcialem odpowiedziec, lecz podniösl palec do ust i szepnal: – Będe twoim tłumaczem.

Najpierw wzialem to za zart; myslalem, ze chce tłumaczyc, kiedy pózniej znajde sie sam na sam z tancerką – ale chodzilo mu o to, ze przetlumaczy slowa taty.

– Franny! Franny! Franny! – rozlegly sie okrzyki na widowni.

Kiedy Franny Dean stanäl na scenie, rozlegly sie ochy i achy; nie chodzilo tylko o brokat i zabójczy dekollet sukienki, ale sposob, w jaki ja nosil; nic dziwnego, ze dziadek Harry mial do niego slabosc. Peruka byla kruczoczarna ze srebrnymi iskierkami, pasowala do sukni. Piersi umiarkowane – nieduze, jak cala reszta – a daleki od ostentacji naszyjnik z perel odbijal efektownie pudrowobלקitną poświacie sceny. Wszystko, co biale, przybieralo w tej poświacie odcien perlowej szarosci, nawet koszula Sefiora Bovary'ego.

– Opowiem wam pewną historie – zaczal po hiszpańsku tata. – Będzie niezbyt dluga – dodal z usmiechem; starcze, chude palce musnely naszyjnik z perel. – Moze juz ja znacie? – spytal, a Bovary tłumaczyl szeptem.

– *Si!* – wykrzyknela chorem publiczność.

– Wybaczcie – odpowiedzial mój ojciec. – Ale znam tylko te jedna opowieść. To opowieść o moim zyciu i jedynej miłości.

Znalem te historie. Opowiedzial mi, gdy bylem chory na szkarlatyne – po prostu nie zapamietalem wszystkich szczegolow.

– Poznac miłość swojego zycia na sedesie! – wykrzyknäl Franny Dean. – Siedzieliśmy w latrynie w deszczu slonej wody, a poklad splywal rzygowina!

– *Vómito!* – wrzasnal tłum.

Niesamowite, ilu znalo te opowieść; znali ja na pamiec. Na widowni siedzialo wielu starszych ludzi obojga płci, byli tez mlodsi, glownie chłopcy.

– Nie ma to jak dzwiek czterech liter na desce klozetowej; klap, klap, klap, gdy miłość twojego zycia zdaza w twoja strone – podjal ojciec, po czym urwal i zaczerpnäl tchu, a wielu mlodych chlopcow na widowni opuścilo spodnie do kostek (razem z majtkami) i zaczęlo klepac sie po golych pośladkach.

Ojciec odetchnäl na scenie i powiedzial z dezaprobatą:

– Alez nie tak. To bylo inne kłapanie, bardziej wyrafinowane. – Znów zamarl w migotliwej sukni z dekoltem, a skarceni chłopcy naciagneli z powrotem spodnie i publiczność ucichla. – Możecie wyobrazic sobie czytanie w czasie sztormu? Trzeba miec zamiłowanie do ksiazek, prawda? Od dziecka kochalem ksiazki; wiedzialem, ze z miłością mojego zycia będzie tak samo. Ale, och... czy mialem ja poznać tak, zadkiem w zadek? – dodal, wypinajac jedno chude biodro i klepiac sie w tyłek.

– Zadkiem w zadek! – zawyla publiczność, jakkolwiek brzmialo to po hiszpańsku. (Nie pamietam). Spotkali sie na sedesie, zadkiem w zadek: czy to nie piekne?

Wystep byl krutki. Gdy opowieść dobiegla konca, wielu starszych ludzi wymknelo sie

pospiesznie, podobnie jak prawie wszystkie kobiety; dopiero później stwierdziłem, że zostały same transseksualistki i transwestyci. (Chłopcy zostali; gdy wychodziłem, wielu ich przybyło – podobnie jak starszych mężczyzn, którzy zjawili się w jednym celu).

Señor Bovary zaprowadził mnie do garderoby.

– Tylko się nie rozczaruj – szeptał, jak gdyby wciąż tłumaczył.

Ojciec stał już rozebrany do pasa – i bez peruki. William Francis Dean miał przyszytych na krótko śnieżnobiałe włosy i chude, muskularne ciało dżokeja lub zapaśnika wagi lekkiej. Małe piersi i stanik nie większy od stanika Elaine – tego, który niegdyś wkładałem do snu – leżały na toalecie wraz z naszyjnikiem. Suknię rozpiął do pasa i zsunął z ramion.

– Mam rozpiąć do końca, Franny? – zapytał Señor Bovary. Ojciec stanął do niego plecami, po czym wyszedł z sukni tylko w czarnym pasie do pończoch, które zdążył już zrolować do szczupłych kostek. Następnie usiadł przy toalecie, zerwał pończochy z małych stóp i rzucił nimi w Bovary'ego. (Wszystko to zanim przystąpił do zmywania makijażu, począwszy od kreski na powiekach; sztuczne rzęsy już odkleił).

– Dobrze się stało, że zobaczyłem, jak szepczesz do młodego Williama prawie pod koniec części bostońskiej – wycedził z irytacją.

– Dobrze się stało, że ktoś zaprosił młodego Williama, zanim wykitujesz, Franny – odparował Señor Bovary.

– Pan Bovary przesadza, Williamie. Sam widzisz, że daleko mi do grobu.

– Zostawię was samych – wtrącił zbolalym tonem pan Bovary.

– Ani mi się waż – zapowiedział ojciec.

– Nie ważę się. – Bovary westchnął ciężko. Posłał mi cierpiętnicze spojrzenie pod tytułem „widzisz, co ja znoszę?”

– Na co komu miłość życia, jeśli zawsze nie może być z tobą? – spytał mnie ojciec.

Nie wiedziałem, co powiedzieć; zabrakło mi słów.

– Bądź miły, Franny – upomniął Señor Bovary.

– Tak właśnie robią kobiety, Williamie... przynajmniej małomiasteczkowe – ciągnął ojciec. – Znajdują w tobie coś do kochania, choćby jeden rozczulający drobiazg. Twoja matka, na przykład, lubiła mnie przebierać. Ja też to lubiłem.

– Może później, Franny... kiedy się lepiej poznacie – perswadował pan Bovary.

– Na to już za późno. Odmówiono nam tej możliwości. Wiemy, kim jesteśmy... prawda, Williamie? – spytał ojciec. Język znów stanął mi kołkiem.

– Spróbuj być miłszy, Franny – poprosił Bovary.

– Tak robią kobiety, jak wspomniałem – podjął ojciec. – Co do rzeczy, których w tobie nie kochają... których nawet nie lubią... co z nimi robią? Myślą, że mogą je zmienić, otóż to! Myślą, że mogą zmienić ciebie – powiedział z naciskiem.

– Znałeś jedną dziewczynę, Franny, *una mujer difícil*... – zaczął pan Bovary.

– I kto tu jest niemiły? – przerwał mu ojciec.

– Znałem mężczyzn, którzy próbowali mnie zmienić. – Wreszcie się odezwałem.

– Nie mogę konkurować ze wszystkimi, których znasz, Williamie... Brak mi twojego doświadczenia – odparł. Zdziwiła mnie jego drobiazgowość.

– Kiedyś chciałem wiedzieć, dlaczego jestem, jaki jestem – powiedziałem. – Dużo było rzeczy, których w sobie nie rozumiałem... które kontestowałem. Wiesz, co mam na myśli. Ile z tego, co nosiłem w sobie, pochodziło od matki? Chyba niewiele. A ile od ciebie? Często się nad tym zastanawiałem.

– Słyszeliśmy, że pobiłeś chłopca.

– Później, Franny – mitygował go pan Bovary.

– Pobiłeś chłopca w szkole... chyba niedawno, co? – ciągnął. – Wiem od Boba. Rakieta był z ciebie dumny, ale ja się zdenerwowałem. Skłonności do przemocy nie masz po mnie, agresji też. Zastanawiam się, czy to nie sprawka kobiet Winthropów – dodał.

– Ten chłopak był potężny – odpowiedziałem na swoją obronę. – Dziewiętnaście lat, futbolista... kawał drania.

Ale ojciec i Señor Bovary mieli miny, jakby się za mnie wstydzieli. Chciałem im opowiedzieć o Gee – że miała tylko czternaście lat, z chłopca stawała się dziewczyną, a dziewiętnastoletni chuligan uderzył ją w twarz i rozkwaśił nos – lecz nagle pomyślałem, że nie muszę się przed nimi tłumaczyć. Ten futbolista wcale mnie nie obchodził.

– Nazwał mnie pedałem – dorzuciłem w nadziei, że zmiękną.

– Ach, słyszałeś? – zwrócił się do Bovary’ego tata. – Tylko nie pedałem! Nic dziwnego, że spuściłeś mu baty!

– Milszy... spróbuj być milszy, Franny – powtórzył Bovary, ale widziałem, że się uśmiecha. Byli uroczy, ale strasznie afektowani – dobrali się w korcu maku.

Tata wstał i zatknął kciuki za pas do pończoch.

– Panowie wybaczą – oznajmił. – Ta kretyńska bielizna mnie wykańcza.

Bovary i ja wróciliśmy do baru, lecz nie było szans na dalszą rozmowę; młodzi geje się rozmnożyli, pewnie z uwagi na obecność samotnych starszych mężczyzn przy kontuarze. W różowym świetle stroboskopów grał boys-band, faceci tańczyli na parkiecie, dziewczęta też, z chłopcami lub ze sobą.

Ojciec przyszedł do nas kompletnie odmieniony. Oprócz sportowych sandałów (które skądś znałem) miał na sobie beżową kurtkę sportową z ciemnobrązową chustką w kieszeni na piersi. „Franny!”, zabrzmiał szmer, kiedy wychodziliśmy.

Na Hortalezie, tuż za Plaza de Chueca, rozpoznała go grupa młodych mężczyzn; nawet jako facet Franny cieszył się w dzielnicy sławą.

– *Vómito!* – powitał go serdecznie jeden z nich.

– *Vómito!* – odkrzyknął wesoło tata; widziałem, że jest zadowolony.

Zdziwiło mnie, że ulicami Chueca spacerowało mnóstwo ludzi, mimo że dawno minęła północ. Ale dowiedziałem się od Bovary’ego, że w wyniku zakazu palenia na ulicach zagęści się nocą jeszcze bardziej.

– Będą stać przed klubami i barami, w tych wąskich uliczkach – pić, palić i wrzeszczeć, żeby ich słyszano – oznajmił.

– Pomyślcie o tych wszystkich niedźwiedziach! – wtrącił ojciec, marszcząc nos.

– William nie ma nic przeciwko niedźwiedzim, Franny – odparł Bovary łagodnie. Szli, trzymając się za ręce.

Odprowadzili mnie aż do Santo Mauro, mojego hoteliku na Zurbano.

– Musisz przyznać, Franny, że jesteś trochę dumny z syna... Mówię o pobiciu tego chuligana – powiedział Bovary przed wejściem.

– Miło wiedzieć, że mam syna, który umie komuś dołożyć – skwitował tata.

– Wcale mu nie dołożyłem, to był tylko jeden chwyt. Po prostu upadł na posadzkę – próbowałem wyjaśnić.

– Rakieta twierdził coś innego – oświadczył tata. – Dał mi do zrozumienia, że wytarłeś gnojem podłogę.

– Poczciwy Bob. – Pokiwałem głową.

Zaproponowałem, że wezwę taksówkę; nie wiedziałem, że mieszkają w okolicy.

– Niedaleko od Santo Mauro – wyjaśnił Bovary. Kiedy podał mi rękę wierzchem do góry, tym razem ją ucałowałem.

– Dziękuję – powiedziałem. Ojciec podszedł i uściśnił mnie nagle, a następnie cmoknął w oba policzki – bardzo po europejsku.

– Może przy następnej okazji, jeśli będę w Barcelonie, przyjadę znowu, albo wy do mnie – dodałem.

Zrobił niewyraźną minę.

– Może – uciał.

– Wrócimy do tej rozmowy – uzupełnił pan Bovary.

– Mój menedżer. – Tata wskazał z uśmiechem na Señora Bovary’ego.

– I miłość twojego życia! – zawołał wesoło Bovary. – Nie zapominaj, Franny!

– Jakże bym śmiał? – odparł ojciec. – Przecież mówię o tym bez przerwy, prawda?

Poczułem, że to pożegnanie, i że chyba więcej ich nie zobaczę. (Jak powiedział ojciec: „Jesteśmy, kim jesteśmy, prawda?”).

Ale słowo „żegnajcie” byłoby zbyt radykalne, nie mogłem się na nie zdobyć.

– *Adiós*, młody Williamie – powiedział Señor Bovary.

– *Adiós* – odpowiedziałem. Odchodzili trzymając się oczywiście za ręce, gdy zawołałem za ojcem: – *Adiós*, tato!

– Nazwał mnie „tata”, czy ja dobrze słyszałem? – spytał pana Bovary’ego.

– Owszem, w rzeczy samej – potwierdził Bovary.

– *Adiós*, synu! – odkrzyknął tata.

– *Adiós!* – wołałem do taty i miłości jego życia, dopóki nie straciłem ich z oczu.

Teatr eksperymentalny w Centrum Sztuk Sceniczných Akademii Favorite River nie był główną sceną w tym stosunkowo nowym budynku, zrodzonym może i ze szlachetnych pobudek, lecz postawionym kompletnie bez pomysłu.

Czasy się zmieniły: dzisiaj uczniowie nie uczą się Szekspira tak jak ja kiedyś. Nigdy nie udało mi się zebrać kompletu na widowni głównej sceny, nawet na „Romea i Julię”

– z byłym chłopcem w roli tej ostatniej! Traktowałem teatr eksperymentalny bardziej jako narzędzie pracy z aktorami, poza tym świetnie nadawał się dla mniejszej publiczności. Uczniowie też czuli się swobodniej, ale wszyscy narzekaliśmy na myszy. Budynek był wprawdzie nowy, lecz w wyniku słabego projektu lub wadliwej konstrukcji Centrum zostało słabo zabezpieczone przed tymi szkodnikami.

Kiedy robi się zimno, w każdym źle wybudowanym budynku w Vermont pojawiają się myszy. Dzieciaki, z którymi pracowałem nad produkcją „Romea i Julii”, nazywały je myszami „scenicznymi”; czasem rzeczywiście widywano je na scenie.

To był zimny listopad. Do Święta Dziękczynienia został zaledwie tydzień, ale napadało śniegu – było zimno nawet jak na Vermont. (Nic dziwnego, że myszy wybrały dach nad głową).

Niedawno przekonałem Richarda Abbotta, by wprowadził się do mnie na River Street; miał osiemdziesiąt lat i nie widziałem potrzeby, aby spędzał kolejną zimę sam w domu – Martha przebywała w ośrodku. Oddałem mu swój dawny pokój oraz łazienkę, którą dzieliłem kiedyś z dziadkiem Harrym.

Richard nie skarżył się na duchy. Może byłoby inaczej, gdyby napotkał kiedyś ducha babci Victorii lub ciotki Muriel, czy choćby mojej matki – lecz widywał tylko ducha dziadka Harry’ego. Oczywiście duch Harry’ego ukazywał się w naszej łazience, szczęśliwie nie w wannie.

„Jest skołowany, jakby zgubił szczoteczkę do zębów”. Była to jedyna rzecz, jaką Richard kiedykolwiek mówił na jego temat.

Wanna, w której się zastrzelił, została usunięta. Gdyby postanowił raz jeszcze rozegrać tę

scenę, niewątpliwie uczyniłby to w głównej łazience – z której ja korzystałem – i w zachęcającej nowej wannie (tak jak „rozegrał” to przed Amanda).

Ale, jak już wspominałem, nie widziałem żadnych duchów w domu na River Street. Któregoś ranka po obudzeniu zastałem schludnie przygotowaną odzież – w kolejności, w jakiej miałem ją włożyć – w nogach łóżka. Były to czyste rzeczy: dżinsy spoczywały na dole, potem idealnie wyprasowana koszula, a bielizna i skarpetki tkwiły na samej górze. W identyczny sposób matka przygotowywała mi ubranie, gdy byłem małym chłopcem. Musiała to robić co wieczór, gdy zasnąłem. (Przestała, gdy byłem nastolatkiem lub nieco wcześniej). Zupełnie zapomniałem, jak mnie kiedyś kochała. Pewnie jej duch chciał mi przypomnieć.

Zdarzyło się to tylko raz, ale przypominałem sobie czasy, gdy też ją kochałem – bez zastrzeżeń. I po latach od chwili gdy straciłem jej uczucie i uwierzyłem we własną obojętność, mogłem wreszcie ją opłakiwać – jak należy opłakiwać rodziców, gdy odchodzą.

Po przeprowadzce na River Street zastałem w przedpokoju wuja Boba, stał obok kartonu z książkami. Próbował mętnie tłumaczyć, że Muriel chciała dać mi te „pomniki światowej literatury” na własność, lecz kartonu nie przytargał duch Muriel, tylko on sam. Odkrył poniewczasie, że Muriel nosiła się z tym zamiarem, lecz wypadek samochodowy musiał pokrzyżować jej plany. Wuj Bob nie zauważył, że książki są dla mnie; w środku był liścik, lecz przeczytał go dopiero po wielu latach.

„Oto książki twoich prekursorów, Billy – skreśliła charakterystycznym, asertywnym pismem. – Ty jesteś pisarzem w rodzinie – należą do ciebie”.

– Obawiam się, że nie wiem, kiedy zamierzała ci je dać, Billy – wyznał Bob ze skruchą.

Warto wspomnieć o słowie „prekursorzy”. Początkowo schlebiała mi plejada pisarzy, których wybrała dla mnie Muriel; towarzystwo było doborowe. Znajdowały się tam dwie sztuki Garcíi Lorki – „Krwawe gody” oraz „Dom Bernardy Alby”. (Nie miałem pojęcia, że Muriel wiedziała o mojej fascynacji Lorcą – uwielbiałem też jego wiersze). Były też trzy sztuki Tennessee Williamsa, być może prezent od Nilsa Borkmana. Zbiorek poezji WH. Audena, wiersze Walta Whitmana i lorda Byrona. Niedoścignione powieści Hermana Melville’a oraz E.M. Forstera, czyli „Moby Dick” i „Howards End”. „W stronę Swanna” Marcela Prousta. Mimo to wciąż nie rozumiałem, czemu ciotka Muriel zebrała właśnie tych pisarzy i nazwała ich moimi „prekursorami” – dopóki nie wygrzebałem z samego dna dwu leżących obok siebie książeczek: „Sezonu w piekle” Artura Rimbauda i „Mojego Giovanniego” Jamesa Baldwina.

– Ach tak – powiedziałem do wuja Boba. Zapewne miała na myśli moich prekursorów gejowskich – moich nie-do-końca-heteroseksualnych współbraci.

– Sądzę, że Muriel miała to na myśli w sensie pozytywnym, Billy.

– Tak uważasz? – Staliśmy w przedpokoju, próbując to sobie wyobrazić.

Nie wspominałem Gerry o książkach, żeby nie zaostczać sytuacji. I nie zapytałem Elaine, czy jej zdaniem Muriel podarowała mi je w sensie pozytywnym. (Zdaniem Elaine, Muriel urodziła się upiorem).

Telefon od Elaine – pewnego późnego wieczoru na River Street – przypomniał mi Esmeraldę, która odeszła z mojego życia (ale nie z myśli) bardzo dawno temu. Elaine płakała do słuchawki; znów rzucił ją chłopak, który nie darował sobie niemiłych uwag na temat jej pochwy. (Nigdy nie wspominałem Elaine o niefortunnym komplementcie pod adresem pochwy Esmeraldy i na pewno nie był to dobry moment!)

– Zawsze mówisz, że uwielbiasz moje małe piersi, Billy – szlochala Elaine – ale nigdy nie wspominasz o pochwie.

– Uwielbiam ją! – zapewniłem.

- Tylko tak mówisz, prawda?
- Wcale nie! Jest cudowna!
- Dlaczego? – Przestała płakać.

Postanowiłem nie popełnić tego samego błędu drugi raz.

– No cóż – zacząłem i urwałem. – Będę z tobą absolutnie szczery, Elaine. Niektóre pochwy są wielkie jak aule, ale twoja jest w sam raz. Ma rozmiar doskonały, przynajmniej dla mnie – rzuciłem możliwie neutralnym tonem.

– Nie jak aula... o to ci chodzi, Billy?

No i masz, pomyślałem.

– Nie jak aula, w sensie pozytywnym! – krzyknąłem.

Wada wzroku Elaine należała do przeszłości; zafundowała sobie laser, więc mówiąc wprost, po raz pierwszy w życiu przejrzała na oczy. Wcześniej zdejmowała do seksu okulary, więc nie miała okazji dobrze się przyjrzeć penisom. Teraz, gdy wreszcie je widziała, niektóre – lub „większość” – jej się nie podobały. Oświadczyła, że przy następnym spotkaniu obejrzy sobie mojego. To smutne, że nie umożliwiła jej tego zażyłość z żadnym facetem, lecz od czegoś są przyjaciele?

– Czyli moja pochwa nie jest „aulą”, w sensie pozytywnym? – upewniła się. – W porządku. Nie mogę się doczekać, aż obejrzę sobie twojego penisa, Billy – wiem, że odbierzesz to pozytywnie.

– Ja też nie mogę się doczekać.

– I pamiętaj, kto jest dla ciebie w sam raz, Billy – przypomniała.

– Kocham cię, Elaine.

– Ja ciebie też, Billy.

Tym sposobem moja gafa odeszła w niepamięć, a najgorsze wspomnienie związane z Esmeraldą (tym straszliwym aniołem) porwał wiatr.

Był trzeci tydzień listopada dwa tysiące dziesiątego roku – do śmierci go nie zapomnę. Uwijałem się przy „Romeo i Julii”; miałem fantastyczną obsadę oraz (jak wiecie) Julię z jajami, jakie tylko może sobie wymarzyć reżyser.

Sceniczne myszy dawały się we znaki głównie paniom – lady Montecchi, lady Capuletti i Piastunce. Co do Julii, Gee nie piszczala na ich widok, tylko próbowała zdeptać uciążliwe gryzonie. Gee wraz z krwiożerczym Tybaltem je rozdeptywali, podczas gdy Merkucjo i Romeo byli ekspertami od pułapek. Bez przerwy im przypominałem, że mają je rozbrajać na czas trwania spektaklu: wolałem uniknąć upiornego trzasku lub przedśmiertnego pisku złapanej myszy w tle.

Mój Romeo był chłopcem o cielejącym wzroku i urodzie dość konwencjonalnej, ale dykcję miał świetną. Nikt inny nie umiałby tak dobitnie przekazać sensu pamiętnej kwestii ze sceny pierwszej aktu pierwszego – „Winna nienawiść, jeszcze bardziej – miłość”^[15].

Na szczęście nie miał oporów przed całowaniem Gee – chociaż wszyscy w szkole wiedzieli, że Gee ma jaja (i penisa). Jedynie śmiałek z Favorite River odważyłby się umówić z Gee; nic takiego się nie zdarzyło. Mieszkała w internacie dla dziewcząt – nawet z jajami i penisem nie naprzykrzała się koleżankom, i one też zostawiły ją w spokoju.

Umieszczenie jej w chłopcącym internacie mogłoby stworzyć masę problemów; Gee lubiła chłopców, lecz ponieważ była chłopcem, który chciał zostać dziewczyną, na pewno miałyby ciężko z niektórymi kolegami.

Nikt nie podejrzewał – a najmniej ja – że Gee wyrośnie na taką ślicznotkę. Niewątpliwie wpadła w oko wielu kolegom – zarówno heteroseksualnym, gdyż była w pełni wiarygodna, jak i

gejom, których kręciła z wiadomych względów.

Richard Abbott i ja na zmianę zawoziliśmy ją do Marthy do ośrodka. W wieku lat dziewięćdziesięciu pani Hadley była dla niej kimś w rodzaju mądrej babci; radziła, aby Gee nie spotykała się z chłopcami ze szkoły.

– Zaczekaj z randkami, aż pójdziesz do college’u – mówiła.

– Właśnie to robię, randki mogą poczekać – powiedziała mi Gee Montgomery. – Poza tym wszyscy chłopcy w Favorite River są dla mnie zbyt niedojrzali – dodała.

Był pewien chłopiec, który wydawał mi się bardzo dojrzały – przynajmniej fizycznie. Podobnie jak Gee, chodził do ostatniej klasy, a do tego trenował zapasy, dlatego obsadziłem go w roli zapalczywego Tybalta – bratanka pani Capuletti, na którym spoczywa najwięcej odpowiedzialności za to, co dzieje się w sztuce. Tak, wiem, że to długotrwały konflikt między rodami prowadzi do śmierci Romea i Julii, ale Tybalt jest katalizatorem zdarzeń. (Mam nadzieję, że Herm Hoyt i panna Frost wybaczyliby mi obsadzenie zapaśnika w roli katalizatora).

Mój Tybalt był najdojrzalszym z wyglądu chłopcem w Favorite River. Manfred, czwartoklasista z Niemiec, trenował zapasy w wadze lekkiej; po angielsku mówił poprawnie, starannie artykułując słowa, przy czym miał lekki akcent. Zależało mi, aby był on słyszalny w „Romeo i Julii”. Co za przekora z mojej strony – Tybalt jako zapaśnik z niemieckim akcentem. Lecz prawdę powiedziawszy, trochę martwił mnie pociąg Manfreda do Gee. (Wiem, że Gee też go lubiła). Jeśli w Akademii był chłopiec na tyle śmiały, by umawiać się z Gee – czy choćby zaproponować jej randkę – chłopcem tym (o wyglądzie mężczyzny) był mój krewki Tybalt.

Do środy przestaliśmy czytać z kartki i zajęliśmy się szlifowaniem kwestii. Próba miała odbyć się później niż zazwyczaj, czyli o ósmej wieczorem, bo Manfred wracał z przedsezonowych rozgrywek w Massachusetts.

Przyszedłem do teatru o zwykłej porze, czyli przed siódmą, podobnie jak większość aktorów. Przed wybiciem ósmej miało brakować tylko Manfreda.

Odbyłem polityczną dyskusję z moim Benvoliem, jednym z gejów. Był aktywnym członkiem miejscowej grupy LGBTQ; rozmawialiśmy o wyborach na funkcję nowego gubernatora Vermont, demokracji – „obroncy naszych praw”, jak to ujął Benvolio.

Nagle urwał i zmienił temat.

– Zapomniałem panu powiedzieć, panie A. Jakiś facet pana szuka. W stołówce pytał o pana.

Byłem niedawno w stołówce, aby coś przekąsić, więc już to słyszałem. Dowiedziałem się od młodej nauczycielki angielskiego – trochę w typie Amandy, ale niezupełnie. (Ku mojej uldze Amandzie już przeszło).

– Ile miał lat? – spytałem. – Jak wyglądał?

– W moim wieku, może nieco starszy... przystojniak – odpowiedziała nauczycielka. Mogła mieć niewiele po trzydziestce, góra trzydzieści pięć.

– Jak myślisz, ile miał lat? Jak wyglądał? – zapytałem mojego Benvolia.

– Chyba pod czterdziestkę. Przystojny... bardzo, jeśli chce pan znać moje zdanie – dorzucił z uśmiechem. (On i Romeo o cielejącym wzroku stanowili zgrany duet).

Nadchodzili aktorzy, niektórzy w pojedynkę, inni dwójkami lub trójkami. Jeśli Manfred wróci wcześniej, zaczniemy próbę; większość uczniów miała jeszcze lekcje do odrobienia, czekał ich długi wieczór.

Zjawili się franciszkanie, brat Jan i ojciec Laurenty, oraz nieco nadgorliwy Aptekarz. Za nimi dwie trzecioklasistki gaduły, pani Montecchi i pani Capuletti. No i Merkućjo, dopiero w drugiej klasie, lecz długonogi i utalentowany. Jego brawura i urok pasowały do sympatycznego, acz nieszczęsne – go Merkućja.

Nadciągali Mieszczanie, Goście balowi w maskach, Eskorta z pochodniami, Chłopiec z

bębenkiem (mały pierwszoklasista, który mógł zagrać karła), paru Służących (w tym paż Tybalta), rozmaici Panowie i Panie z obu rodzin – oraz mój Parys, mój książę Escalus i inni. Piastunka przyszła na końcu, pchając przed sobą Baltazara i Piotra. Piastunka była rosłą hokeistką na trawie i jedną z najbardziej wyga danych lesbijek w grupie LGBTK. Nie znosiła większości typów męskich zachowań, w tym gejów i bi. Bardzo ją lubiłem. W razie kłopotów – bitwy na kanapki w stołówce lub niezadowolonego ucznia z bronią – mogłem na niej polegać. Żywiła niechętny respekt do Gee; wiedziałem, że się nie przyjaźnią.

Ale gdzie podziwia się Gee? Na ogół zjawiała się przed wszystkimi.

– Szuka pana jakiś facet, panie A. Zbok, co na wszystkich patrzy z góry – oznajmiła Piastunka Julii. – Zdaje się, że podrywa Gee, a może tylko idą i rozmawiają. Zaraz tutaj będą – dodała.

Ale go nie zobaczyłem, Gee przyszła sama. Omawiałem z długonogim Merkućjem scenę jego śmierci; zgodziliśmy się, że kryje pewną dozę wisielczego humoru, gdy Merkućjo opisuje ranę przyjacielowi: „nie tak głęboka jak studnia i nie tak szeroka jak kościelne wrota, ale w sam raz wystarczy. Odwiedźcie mnie jutro – zobaczcie, że się wreszcie ustatkowałem”. Lecz przestrzegłem Merkućja, by klątwa na Capulettich i Montecchich nie brzmiała ani trochę zabawnie: „A niech diabli porwą te wasze domy!”.

– Przepraszam za spóźnienie, panie A.... Coś mnie zatrzymało – powiedziała Gee; była dziwnie zarumieniona, ale może z powodu chłodu. Nikt jej nie towarzyszył.

– Podobno ktoś ci się naprzykrzał – zagadnąłem.

– Nie, chodziło mu o pana – odparła moja Julia.

– Wyglądało, jakby się przystawiał – wtrąciła Piastunka.

– Nikt nie będzie się do mnie przystawiał, dopóki nie pójde na studia – oznajmiła Gee.

– Mówił, czego chce? – spytałem, ale Gee pokręciła głową.

– To chyba sprawa osobista, panie A. Wydawał się zdenerwowany.

Staliśmy w okolicach rzeźbiście oświetlonej sceny, światła na widowni były przygaszone. W teatrze eksperymentalnym możemy dowolnie sadzać publiczność i przestawiać krzesła; czasem siedzą wokół sceny lub twarzami do siebie, a scena znajduje się pośrodku. Na „Romea i Julię” kazałem ustawić krzesła w kształcie podkowy. Z przygaszonymi światłami mogłem śledzić akcję z każdego miejsca na widowni i przeglądać notatki – lub sporządzać nowe.

– Panie A., widzę go – szepnął mi do ucha Benvolio, gdy wszyscy czekaliśmy na Manfreda. – Ten facet, który pana szukał... siedzi na widowni. – W przyćmionym świetle nie widziałem jego twarzy; siedział pośrodku podkowy jakieś cztery, pięć rzędów dalej – akurat poza zasięgiem reflektorów oświetlających scenę.

– Wezwać ochronę, panie A.? – spytała Gee.

– Nie, nie. Sprawdź, czego chce. Jeżeli uznacie, że robi się nieprzyjemnie, niech ktoś z was podejdzie pod byle pretekstem. Coś wymyślicie – dodałem.

– Iść z panem? – spytała dzielna hokeistka Piastunka.

– Nie, nie – odpowiedziałem nieustraszonej dziewczynie, która aż rwała się do działania. – Tylko dajcie znać, kiedy Manfred się zjawi.

Lecieliśmy ciurkiem; nie chciałem ćwiczyć dialogów ani scen wyrwanych z kontekstu. Mój Tybalt jest wichrzycielem w scenie pierwszej aktu pierwszego (wchodzi Tybalt z mieczem); bez Manfreda chciałem przeciwiczyć tylko krótki prolog Chóru.

– Słuchajcie, Chór – powiedziałem. – Kilka razy przeciwiczyć prolog. Zwróćcie uwagę, że najważniejszy wers nie kończy się przecinkiem, tylko średnikiem. „Dzieciom, wiedzionym przez los ku zagładzie, miłość podsuwa daremną nadzieję”; po średniku zróbcie przerwę.

– Gdyby pan nas potrzebował, jesteśmy tutaj – usłyszałem słowa Gee, kierując się w stronę

czwartego lub piątego rzędu krzeseł na zaciemnionej widowni.

– Hej, nauczycielu – rzucił mężczyzna, ułamek sekundy zanim go zobaczyłem. Tak samo mógłby zawołać: „Hej, Nimfo”, głos zabrzmiał bowiem znajomo, mimo że ostatnio słyszałem go prawie pięćdziesiąt lat temu. Przystojna twarz, sylwetka zapaśnika, chytry uśmieszek – to wszystko było mi znane.

Przecież ty umarłeś, pomyślałem – wątpliwe tylko, czy z „przyczyn naturalnych”. Jednakże ten Kittredge, rzecz jasna, nie mógł być moim Kittredge’em. Ten Kittredge był ode mnie młodszy o niespełna połowę; jeśli w myśl mojej teorii przyszedł na świat na początku lat siedemdziesiątych, miał trzydzieści siedem, może osiem lat.

– Niesamowite, jak bardzo przypomina pan ojca – powie – działałem do młodego Kittredge’a; wyciągnąłem rękę, lecz nie podał mi swojej. – Oczywiście nie widziałem go w pańskim wieku, ale wyobrażam sobie, że wyglądałby tak samo.

– Bynajmniej – odparł młody człowiek. – Miał po trzydzieście, gdy się urodziłem; odkąd sięgam pamięcią, wyglądał jak kobieta. W moim wieku był jeszcze przed operacją, ale mógł uchodzić za babkę. Nie miałem ojca. Miałem dwie matki: jedna była histeryczką, a druga miała penisa. Potem go usunęła, jak sądzę. Umarł na AIDS; dziwię się, że pana to nie spotkało. Czytałem wszystkie pana powieści – dodał, jakby moja twórczość wskazywała, że mogłem, a w zasadzie powinienem umrzeć na AIDS.

– Przykro mi – powiedziałem; gotował się ze złości. Próbowałem nawiązać rozmowę. Spytałem, kim z zawodu był jego ojciec i jak poznał Irmgardę, swoją żonę.

Poznali się na nartach – w Davos, a może w Klosters. Żona Kittredge’a, Szwajcarka, miała babkę Niemkę, stąd „Irmgarda”. Kittredge i Irmgarda mieli domy w narciarskim kurorcie i w Zurychu, gdzie oboje pracowali w Schauspielhaus. (Dosyć znanym teatrze). Przypuszczałem, że Kittredge dobrze się czuł w Europie: był do niej przyzwyczajony z powodu matki. Może łatwiej dało się tam załatwić operację zmiany płci – nie miałem pojęcia.

Pani Kittredge – mama, nie żona – zabiła się wkrótce po jego śmierci. (Nie ulegało wątpliwości, że to jego prawdziwa matka). „Proszki” – uciał jej wnuk; interesowała go jedynie kwestia kobiecości ojca. Zaświtało mi, że jego zdaniem miałem w tym swój udział.

– Jak sobie radził z niemieckim? – spytałem, ale syna to nie obchodziło.

– Znośnie. Nie chciał się podciągnąć. Zależało mu tylko na byciu kobietą.

– Ach tak.

– Przed śmiercią wspomniał, że coś tutaj się zdarzyło... kiedy się znaliście – dodał. – Coś się zaczęło. Podziwiał pana; mówił, że ma pan jaja. I że natchnął go pan, tak mi powie – dział. Ponoć chodziło o jakąś transseksualistkę, chyba kogoś starszego. Może ją obaj znaliście. Może ją też podziwiał. I go natchnęła.

– Widziałem zdjęcie pańskiego ojca z wczesnej młodości... Jeszcze przed jego przybyciem tu – odpowiedziałem. – Był przebrany za dziewczynkę. Myślę, że to się „zaczęło”, zanim mnie poznał... przed tym wszystkim. Mogę pokazać panu to zdjęcie, jeśli pan...

– Widziałem te fotografie. Na co mi jeszcze jedna? – burknął ze złością. – O co chodziło z tą transseksualistką? Jak natchnęliście mojego ojca?

– Jestem zdziwiony, że mnie „podziwiał”. Nie zrobiłem nic, co mogło go „natchnąć”. Zdaje się, że wręcz mnie nie lubił. Prawdę mówiąc, zawsze był wobec mnie okrutny – dorzuciłem.

– A transseksualistka?

– Znałem ją, pański ojciec widział ją raz. Byłem w niej zakochany. To, co zdarzyło się z transseksualistką, zdarzyło się mnie! – zawołałem. – Nie wiem, co spotkało pańskiego ojca.

– Coś się tutaj stało, tyle wiem – odparł z rozgoryczeniem.

– Ojciec obsesyjnie czytał pana książki. Czego w nich szukał? Ja też je czytałem, ale nigdy

nie odnalazłem tam ojca, choć może bym go nie rozpoznał.

Wówczas pomyślałem o moim ojcu i powiedziałem taktownie:

– Jesteśmy, kim jesteśmy, prawda? Nie mogę przybliżyć panu ojca, ale ma pan dla niego trochę współczucia, praw da? (W życiu nie sądziłem, że będę prosił o współczucie dla Kittredge'a!).

Kiedyś sądziłem, że Kittredge, jako gej, z całą pewnością byłby „góram”. Teraz nie miałem pewności. Gdy poznał pannę Frost, spotulniał jak baranek – w jednej chwili.

Gee stanęła w rzędzie za naszymi plecami. Aktorzy słyszeli nasze podniesione głosy, pewnie niepokoił się o mnie. Niewątpliwie słyszeli, że młody Kittredge ział wściekłością. Dla mnie był tylko marną, rozwodnioną wersją ojca.

– Cześć, Gee – rzuciłem. – Przyszedł Manfred? Jesteśmy gotowi?

– Nie, Tybalt się nie pojawił. Ale mam pytanie. Chodzi o scenę piątą aktu pierwszego, gdy słyszę od Piastunki, że Romeo jest Montecchim. No wie pan, kiedy dowiaduję się, że ukochany jest synem wroga. Tamten fragment.

– No i? – spytałem. Widziałem, że gra na zwłokę; czekaliśmy na Manfreda. Gdzie mój krewki Tybalt, gdy go potrzebuję?

– Chyba nie powinnam się nad sobą użalać – ciągnęła Gee.

– Julia się nie użala.

– Istotnie – odparłem. – Bywa fatalistką, lecz nie płacze nad swoim losem.

– Dobra. Chyba mam: mówię, jak jest, ale nie narzekam.

– To moja Julia – powiedziałem do Kittredge'a. – Moja pupilka Gee. W porządku – zwróciłem się do Gee.

– Posłuchajmy.

– „Więc kocham – wroga! O słodycz bolesna, szczęście zbyt późne, niedola zbyt wczesna!” – wyrecytowała moja Julia.

– Trafiłaś w dziesiątkę, Gee – pochwalilem, ale młody Kittredge tylko świdrował ją wzrokiem, z podziwem, a może podejrzliwie.

– Co to za imię „Gee”? – zainteresował się. Widziałem, że się spłoszyła: stała przed przystojnym światowcem, kimś ewidentnie nie z Favorite River, gdzie pozyskała nasz szacunek i uwierzyła w siebie jako kobieta. Wyczuwałem, że przeżywa chwilę zwątpienia. Wiedziałem, co sobie myśli – w obecności młodego Kittredge'a, pod jego taksującym spojrzeniem. Czy jestem wiarygodna?

– Gee to zmyślane imię – odparła wymijająco.

– Jak brzmi prawdziwe? – spytał.

– Urodziłam się jako George Montgomery. Kiedyś zostanę Georgią Montgomery. Na razie jestem Gee. Chłopcem, który staje się dziewczyną. Jestem w toku – wyjaśniła młodemu Kittredge'owi.

– Trafiłaś w dziesiątkę, Gee – powtórzyłem. – Nie mogłaś tego lepiej ująć.

Wystarczył rzut oka na Kittredge'a: nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia, nie dostrzegł w niej chłopca na trudnej drodze do zostania kobietą. I wystarczył rzut oka na Gee: była tego świadoma i urosła w oczach. Zrozumiałem, że gdyby syn Kittredge'a powiedział jej coś obraźliwego, dałbym mu popalić.

W tej samej chwili zjawił się Manfred.

– Mamy zapaśnika! – krzyknął ktoś, pewnie mój Merkucjo, a może Benvolio.

– Mamy Tybalt! – zawołała do nas Piastunka.

– Nareszcie. – Odetchnąłem. – Możemy zaczynać.

Gee popędziła na scenę, jakby od tego zależało jej przyszłe życie.

– Powodzenia, złam nogę – krzyknął za nią młody Kittredge „nieprzeniknionym” tonem, całkiem jak ojciec. Mówił szczerze czy silił się na ironię?

Patrzyłem, jak moja asertywna Piastunka odciąga Manfreda na stronę; pewnie informowała go o „zboku” na widowni. Prowadziłem Kittredge’a do przejścia pomiędzy krzesłami, kierując się w stronę najbliższego wyjścia, gdy Manfred stanął obok, krewki jak zawsze.

Gdy chciał zamienić ze mną słówko na osobności, zawsze mówił po niemiecku; wiedział, że mieszkałem w Wiedniu i trochę znam ten język. Zapytał uprzejmie, czy potrzebuję pomocy.

Zasrani zapaśnicy! Ujrzałem, że mój Tybalt stracił pół wąsa; przed założeniem szwów musieli go zgolić! (Przed premierą straci drugą połowę; nie wiem, jak wy, ale ja nigdy nie widziałem Tybalta z połowicznym wąsem).

– Dobrze mówisz po niemiecku – stwierdził Kittredge ze zdziwieniem.

– No chyba – jestem Niemcem – odparł agresywnie Manfred po angielsku.

– To mój Tybalt. Jest zapaśnikiem, jak pański ojciec – poinformowałem syna Kittredge’a. Z wahaniem uściśnieli sobie ręce. – Już idę, Manfredzie. Poczekaj na scenie. Ładna warga – dodałem, kiedy ruszył w przeciwną stronę.

Przy wyjściu młody Kittredge z ociąganiem podał mi rękę. Wciąż pobudzony, chciał coś dodać, lecz przynajmniej pod jednym względem nie przypominał ojca. Cokolwiek sądzić o Kittredge’u, jedno wam powiem: był wrednym gnojem, ale umiał zebrać się w sobie i stanąć do walki. Młodemu wystarczyło jedno spojrzenie na Manfreda: syn Kittredge’a nie miał w sobie ducha walki.

– Wie pan co... muszę to powiedzieć – rzucił, unikając mojego wzroku. – Przyznaję, że pana nie znam... i nie wiem, kim naprawdę był mój ojciec. Ale czytałem pana książki i wiem, co pan w nich robi: przedstawia seksualne skrajności w zwykłym świetle. Jak ta cała Gee, ta „dziewczyna”, czy jak tam ją nazwać... to, czym się staje. Tworzy pan bohaterów, którzy według pana są „inni”, a dla mnie zwyczajnie porąbani. I oczekuje pan, że okazemy im sympatię, litość, i tak dalej.

– Mniej więcej – odpowiedziałem.

– Ale to, co pan opisuje, nie jest naturalne! – krzyknął.

– Wiem, co z pana za jeden, nie tylko z pańskich książek. Wiem, co pan o sobie mówi w wywiadach. Pan nie jest normalny!

Zniżył głos, mówiąc o Gee – muszę mu to oddać – ale znowu go podniósł. Wiedziałem, że wszyscy słyszą każde słowo. W teatrze zapadła taka cisza, że słychać było pierdnięcie myszy.

– Pan jest biseksualny, prawda? Myśli pan, że to normalne, naturalne czy godne sympatii? Biseks! – warknął, otwierając drzwi. Na szczęście wszyscy zobaczyli, że wychodzi.

– Drogi chłopcze – rzuciłem ostro, na wzór i podobieństwo tego, co sam kiedyś usłyszałem.

„Drogi chłopcze, bądź łaskaw nie przypinać mi etykietki. Nie rób ze mnie kategorii, zanim mnie nie poznasz!” – powie działa do mnie panna Frost; słowa te wryły mi się w pamięć. Cóż innego mogłem powiedzieć młodemu Kittredge’owi, zadziornemu synowi mojej dawnej nemezis i zakazanej miłości?

Podziękowania

Jamey Bradbury

Rob Buyea

David Calicchio

Dean Cooke

Emily Copeland

Peter Delacorte

David Ebershoff

Amy Edelman

Marie-Anne Esquivié

Paul Fedorko

Vicente Molina Foix

Rodrigo Fresán

Ruth Geiger

Ron Hansen

Sheila Heffernon

Alan Hergott

Everett Irving

Janet Turnbull Irving

Josée Kamoun

Jonathan Karp

Katie Kelley

Rick Kelley

Kate Medina

Jan Morris

Anna von Planta

David Rowland

Marty Schwartz

Nick Spengler

Helga Stephenson

Abraham Verghese

Edmund White

Przypisy

[1] First Sister (ang.) – pierwsza siostra. [2] Favourite (ang.) – ulubiona. [3] Fragmenty „Heddy Gabler” w przekładzie Jacka Frühlinga. Wydawnictwo Poznańskie 1977. [4] Przekład Agnieszki Glinczanki. Czytelnik 1957. [5] Jock (ang.) – atleta. [6] Cytaty z „Burzy” Szekspira w przekładzie Stanisława Barańczaka. „W drodze”, Poznań 1991. [7] Przekład Macieja Słomczyńskiego. [8] Fragmenty z „Makbeta” w przekładzie Stanisława Barańczaka. „W drodze”, Poznań 1992. [9] Fragmenty „Wieczoru Trzech Króli” w przekładzie Stanisława Barańczaka. „W drodze”, Poznań 1994. [10] Fragmenty „Króla Lira” w przekładzie Macieja Słomczyńskiego. Wydawnictwo Elipsa, Warszawa. [11] „Mój Giovanni” w przekładzie Andrzeja Selerowicza. PIW 1991. [12] Przekład Mieczysława Jastruna. [13] Fragmenty „Pani Bovary” w przekładzie Anieli Micińskiej. PIW 1986. [14] Fragmenty „Kupca weneckiego” w przekładzie Stanisława Barańczaka. „W drodze”, Poznań 1992. [15] Fragmenty „Romea i Julii” w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.